

Autor LINII KRWI i OKA BOGA

JAMES ROLLINS



SZÓSTA APOKALIPSA

O książce

Dlaczego Charles Darwin dopiero po dwudziestu latach opublikował raport ze swojej słynnej wyprawy na pokładzie HMS *Beagle*?

Sabotaż w tajnej bazie naukowej

„Zabijcie nas, zabijcie nas wszystkich!” – tak kończy się rozpaczliwe wołanie o pomoc pracowników placówki badawczej na kalifornijskim odludziu. Nikt nie ocalał, a na obszarze ponad stu kilometrów kwadratowych wyginęły wszystkie organizmy żywe, nawet bakterie. A skażenie się rozprzestrzenia.

Atak w samo serce Sigma Force

Celem napaści komandosów na siedzibę agencji DARPA, pod auspicjami której działa jednostka Sigma, jest zniszczenie serwerów. Młodemu analitykowi udaje się jednak skopiować pliki, dzięki którym można połączyć sabotaż w Kalifornii z tajnymi badaniami prowadzonymi na Antarktydzie.

Szaleniec próbujący zbawić świat

W niedostępnym zakątku brazylijskiej dżungli pozbawiony skrupułów naukowiec – który podobno od lat nie żyje – realizuje w swój chory sposób misję mającą na celu powstrzymanie wymierania gatunków zwierząt.

Nowa forma śmierci pogrzebana pod lodową pokrywą

Jest jedno miejsce, gdzie można znaleźć odpowiedź na pytanie, jak powstrzymać zagładę – Antarktyda. I tylko kilka osób, które mogą tego dokonać – komandor Gray Pierce i jego koledzy z Sigma Force.

Jeśli jeszcze nie jest za późno...

JAMES ROLLINS

SZÓSTA APOKALIPSA

Z angielskiego przełożył
JERZY ŻEBROWSKI

Wydanie elektroniczne



JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne **Mapa Trzech Mędrców**, **Czarny zakon**, **Wirus Judasza**, **Klucz zagłady**, **Ołtarz Edenu**, **Kolonia Diabła** – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy.

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
PODZIEMNY LABIRYNT

Cykl SIGMA FORCE

BURZA PIASKOWA
MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
KLUCZ ZAGŁADY
OSTATNIA WYROCNIA
KOŁONIA DIABŁA
LINIA KRWI
OKO BOGA
SZÓSTA APOKALIPSA

James Rollins, Rebecca Cantrell
Cykl ZAKON SANGWINISTÓW

EWANGELIA KRWI

Wkrótce

NIEWINNA KREW
LABIRYNT KOŚCI

Tytuł oryginału:
THE SIXTH EXTINCTION

Copyright © James Czajkowski 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2016

Redakcja: Monika Strzelczyk

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Mapa Antarktydy: Steve Prey

ISBN 978-83-7985-314-4

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakkolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas [88em](#)

Spis treści

Podziękowania

Zapiski historyczne

Zapiski naukowe

CZĘŚĆ PIERWSZA. MROczne POCZĄTKI

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

CZĘŚĆ DRUGA. WYBRZEŻE UPIORÓW

11

12

13

14

15

16

CZĘŚĆ TRZECIA. PRZYŁĄDEK PIEKŁA

17

18

19

20

21

22

23

24

CZĘŚĆ CZWARTA. ODWRÓT OD CYWILIZACJI

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

EPILOG. W LEŚNEJ GŁUSZY

Nota od autora. Prawda czy fikcja

Końcowy przypisek historyczny

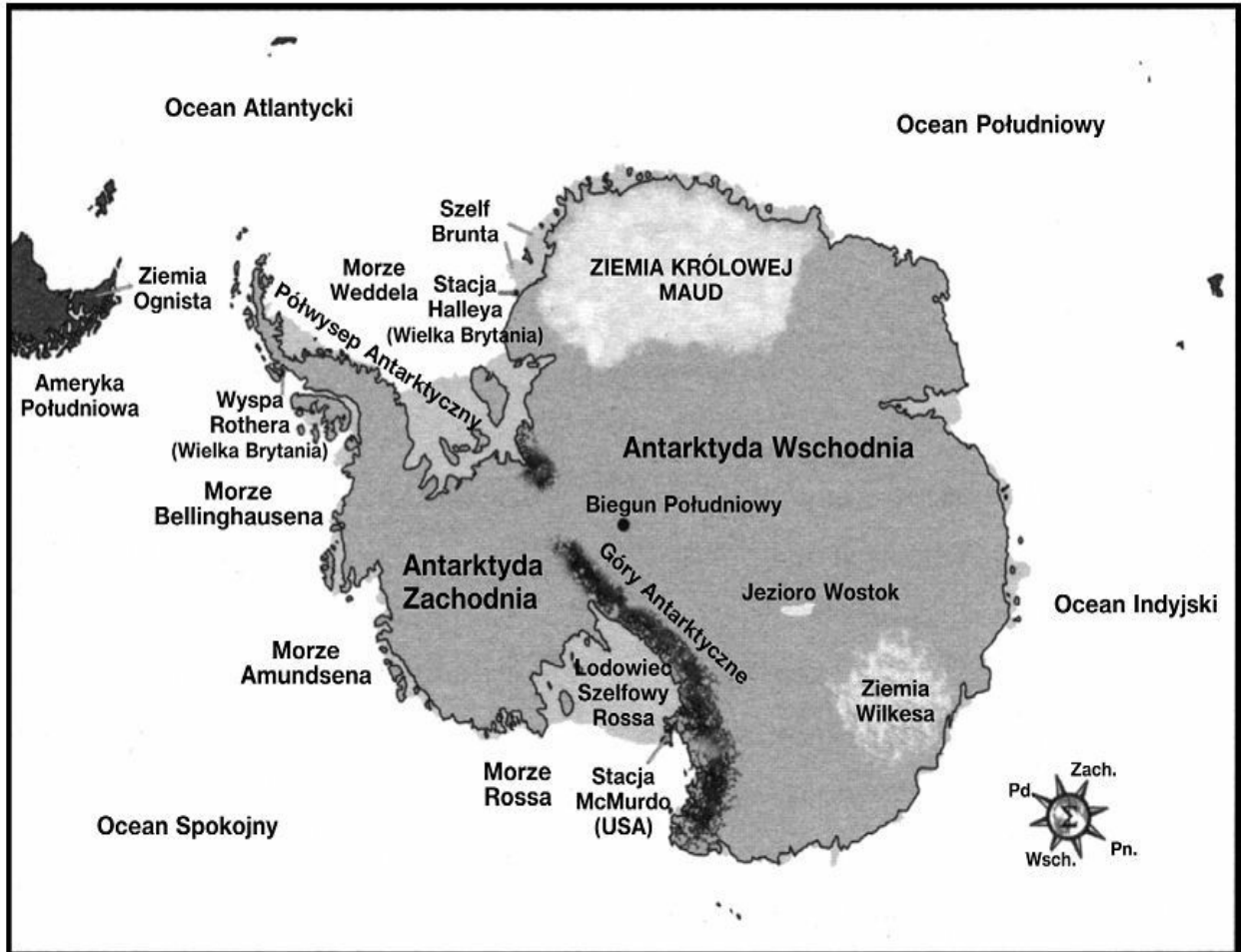
Przypisy

*Davidowi,
dzięki któremu trzymam się ziemi i wysoko szybuję...
co jest nie lada wyczynem!*

Podziękowania

Tak wiele osób pozostawiło swój ślad w tej książce. Doceniam ich pomoc, krytyczne uwagi i słowa zachęty. Przede wszystkim muszę podziękować moim pierwszym Czytelnikom, Wydawcom i Przyjaciołom, do których należą: Sally Anne Barnes, Chris Crowe, Lee Garrett, Jane O'Riva, Denny Grayson, Leonard Little, Scott Smith, Judy Prey, Will Murray, Caroline Williams, John Keese, Christian Riley, Tod Todd, Chris Smith i Amy Rogers. Jak zwykle, dziękuję szczególnie Steve'owi Preyowi za wspaniałe mapy... i Cherei McCarter za wszystkie ciekawostki, które trafiają do mojej skrzynki e-mailowej! Davidowi Sylvianowi za to, że spełniał wszelkie moje prośby i starał się, bym wypadł zawsze jak najlepiej! Podziękowania za nieustanne wsparcie niech zechce przyjąć cały zespół wydawnictwa HarperCollins, a zwłaszcza: Michael Morrison, Liate Stehlik, Danielle Bartlett, Kaitlyn Kennedy, Josh Marwell, Lynn Grady, Richard Aquan, Tom Egner, Shawn Nicholls i Ana Maria Alessi. Na koniec, oczywiście, specjalne wyrazy wdzięczności dla tych osób, które odgrywają kluczową rolę na poszczególnych etapach powstawania książki, a są to: moja wydawczyni Lyssa Keusch i jej koleżanka Rebecca Lucash; moi agenci, Russ Galen i Danny Baror (oraz jego córka Heather Baror). I, jak zawsze, muszę podkreślić, że za wszelkie merytoryczne błędy czy nieścisłości, których, mam nadzieję, jest w tej książce niewiele, ponoszę odpowiedzialność wyłącznie ja.

ANTARKTYDA



Zapiski historyczne

W różnych okresach historii ludzka wiedza ma swoje wzloty i upadki, przypływy i odpływy. To, co kiedyś wiedziano, zostaje zapomniane, zagubione w czasie, nieraz na stulecia, i po wiekach znów jest odkrywane.

Przed tysiącami lat starożytni Majowie badali ruchy gwiazd i opracowali kalendarz na 2500 lat, w którym nie pominięto ani jednego dnia. Było to osiągnięcie astronomii, którego powtórzenie będzie wymagało wielu stuleci. W okresie świetności cesarstwa bizantyjskiego dzięki wynalezieniu „greckiego ognia”, środka zapalającego, którego nie dawało się ugasić wodą, zmieniła się radykalnie sztuka wojenna. Przepis na sporządzenie tej dziwnej palnej mieszanki zaginął przed dziesiątym stuleciem i dopiero w latach czterdziestych ubiegłego wieku powstał jej bliski odpowiednik, napalm.

Dlaczego ta starożytna wiedza zaginęła? Na przykład dlatego, że w pierwszym lub drugim wieku spłonęła doszczętnie legendarna Biblioteka Aleksandryjska. Założona w Egipcie około 300 roku p.n.e., posiadała podobno ponad milion manuskryptów i była unikatową skarbnicą wiedzy. Przyciągała uczonych z całego ówczesnego świata. Przyczyna pożaru pozostaje zagadką. Niektórzy winią Juliusza Cezara, który podpalił doki Aleksandrii. Inni przypisują zniszczenie biblioteki grasującym arabskim najeźdźcom. Pewne jest, że płomienie strawiły ogromny skarbiec tajemnic i gromadzoną przez stulecia wiedzę, która zaginęła na zawsze.

Ale niektórych sekretów nie da się pogrzebać. Oto opowieść o jednej z tych mrocznych tajemnic, wiedzy tak niebezpiecznej, że nigdy nie mogła całkowicie zginąć.

Zapiski naukowe

Życie na naszej planecie zawsze opierało się na chwiejnej równowadze – zaskakująco kruchej, skomplikowanej sieci powiązań. Gdyby usunąć, czy choćby zmienić, wystarczająco dużo kluczowych elementów, ta sieć zacznie się rwać i rozpadać.

W geologicznej historii naszej planety taki rozpad – czyli masowa zagłada – zdarzył się pięciokrotnie. Pierwszy czterysta milionów lat temu, gdy wyginęła większość istot morskich. Trzeci miał miejsce na lądzie i w morzu pod koniec ery paleozoicznej; wyginęło wówczas dziewięćdziesiąt procent gatunków i życie na Ziemi zostało niemal unicestwione. Piąty, najmniej odległy w czasie, spowodował wyginiecie dinozaurów i zapoczątkował erę ssaków, co zmieniło świat na zawsze.

Jak bliscy jesteśmy ujrzenia ponownie takiego zjawiska? Zdaniem niektórych naukowców, już go doświadczamy, pogrążając się w szóstej apokalipsie. Co godzinę wymierają trzy kolejne gatunki, w sumie ponad trzydzieści tysięcy rocznie. Co gorsza, ich liczba stale rośnie. Aktualnie zagrożona jest wyginieciem niemal połowa wszystkich płazów, jedna czwarta ssaków i jedna trzecia raf koralowych. Podobnie jak co trzecie drzewo iglaste.

Dlaczego tak się dzieje? W przeszłości taką masową zagładę powodowały nagłe zmiany globalnego klimatu albo przesunięcia płyt tektonicznych – jak było w przypadku dinozaurów – a może nawet uderzenie asteroidy. Większość naukowców uważa jednak, że obecny kryzys ma prostsze wyjaśnienie: działalność człowieka. Niszcząc środowisko i zwiększając zanieczyszczenie, ludzie są główną przyczyną wymierania wielu gatunków. Według raportu Uniwersytetu Duke’a, opublikowanego w maju 2014 roku, wskutek ludzkiej aktywności inne gatunki giną w tempie tysiąckrotnie szybszym niż przed pojawieniem się współczesnego człowieka.

Mniej natomiast wiadomo o nowym zagrożeniu dla życia na Ziemi, które ma swe źródła w odległej przeszłości i może przyspieszyć zagładę, zepchnąć nas na skraj przepaści i doprowadzić do apokalipsy.

Zagrożenie to nie tylko wydaje się bardzo realne – ono jest już na naszym progu.

Wymieranie jest regułą. Przetrwanie stanowi wyjątek.

Carl Sagan, *Różnorodność naukowego doświadczenia* (2007)

27 grudnia 1832

Na pokładzie HMS *Beagle*

Należało liczyć się z tym, że poleje się krew...

Charles Darwin wpatrywał się w słowa, które nagryzmolił czarnym atramentem na białych kartach swojego dziennika, ale widział tylko szkarłat. Mimo żaru piecyka w niewielkiej kajucie drżał z zimna, które przenikało go do szpiku kości; obawiał się, że nigdy się nie rozgrzeje. Odmówił bezgłośnie modlitwę, przypominając sobie, jak ojciec nalegał, by został księdzem, gdy zrezygnował ze studiów medycznych.

Może powinienem był go posłuchać.

Skusił go jednak zew dalekich lądów i nowych odkryć naukowych. Niemal dokładnie przed rokiem zatrudniono go jako przyrodnika na pokładzie statku HMS *Beagle*. W wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat gotów był zdobywać sławę i zwiedzać świat. W taki to sposób znalazł się, z krwią na rękach, w tym miejscu.

Rozejrzał się po kajucie. Gdy zjawił się pierwszy raz na statku, został zakwaterowany w kabinie z mapami, ciasnym pomieszczeniu z dużym stołem na środku, w którego blacie tkwił pień bezanmasztu. Wykorzystywał każdy centymetr wolnej przestrzeni – szafki, półki, nawet umywalkę – jako miejsce do pracy i tymczasowe muzeum z kolekcją zgromadzonych eksponatów i próbek. Miał tam kości i skamieliny, zęby i muszle, a nawet wypchane lub zakonserwowane okazy rzadkich węży, jaszczurek i ptaków. W pobliżu jego łokcia spoczywała tablica z przyszpilonymi chrząszczami monstrualnych rozmiarów, o rogach wydatnych jak u afrykańskich nosorożców. Obok kałamarza stał rząd słoików z zasuszonymi roślinami i nasionami.

Spoglądał z rozpaczą na swoją kolekcję, którą pozbawiony wyobraźni kapitan FitzRoy nazywał bezużyteczną kupą śmieci.

Może powinienem był przesłać to wszystko do Anglii, zanim *Beagle* opuścił Ziemię Ognistą...

Ale niestety, podobnie jak resztę załogi statku, zafascynowały go historie, które opowiadali dzicy mieszkańcy archipelagu, tubylcy z plemienia Jagan. Legendy o potworach, bogach i niewyobrażalnych cudach. To z powodu tych opowieści *Beagle* zboczył z kursu i popłynął poza kraniec Ameryki Południowej, przez skute lodem morza, do zamrażniętego świata u dołu Ziemi.

– *Terra Australis Incognita* – mruknął do siebie.

Ponurej sławy Nieznany Południowy Ląd.

Przesunął mapę leżącą na zagraconym biurku. Kapitan FitzRoy pokazał mu ją dziewięć dni temu, wkrótce po ich przybyciu na Ziemię Ognistą. Była to francuska mapa z 1583 roku.



Przedstawiała niezbadany kontynent na południowym biegunie globu. Była ewidentnie niedokładna, nie uwzględniała nawet faktu, że współczesny jej autorowi sir Francis Drake odkrył już lodowate morza oddzielające Amerykę Południową od tego nieznanego lądu. Choć jednak od wyrysowania tej mapy minęły dwa stulecia, nieprzyjazny kontynent nadal stanowił zagadkę. Nawet zarysy jego wybrzeży pozostawały tajemnicą.

Czy można się więc dziwić, że jeden z tubylców, kościsty starzec, który zaraz po przybyciu statku do Ziemi Ognistej podarował załodze zdumiewający prezent, rozpałił natychmiast ich wyobraźnię? *Beagle* zacumował w pobliżu Woolya Cove, gdzie wielbny Richard Matthews założył misję i nawracał dzikusów oraz uczył ich podstaw angielskiego. I choć starzec, który ofiarował im prezent, nie mówił królewskim językiem, jego dar nie wymagał słów.

Była to prymitywna mapa, narysowana na kawałku wybielonej foczej skóry, przedstawiająca wybrzeże owego kontynentu na południu. Już sama w sobie wystarczająco wszystkich zaintrygowała, ale historie, jakie się z nią wiązały, wzmogły jeszcze ich zainteresowanie.

Jeden z tubylców – ochrzczony jako Jemmy Button – opowiedział przybyszom dzieje plemienia Jagan. Twierdził, że lud ten mieszka na wyspach archipelagu od ponad siedmiu tysięcy lat – tak zdumiewająco długo, że trudno było w to uwierzyć. Co więcej, Jemmy wychwalał umiejętności żeglarskie członków swojego plemienia, co budziło mniej wątpliwości, gdyż Charles zauważył w zatoce kilka ich dużych łodzi. Były prymitywne, ale najwyraźniej zdadne do żeglugi.

Jemmy wyjaśnił, że mapa jest rezultatem tysięcy lat badania przez Jaganów wielkiego kontynentu na południu; była przekazywana z pokolenia na pokolenie, doskonalona i rysowana

na nowo w ciągu stuleci, w miarę jak zdobywano coraz więcej wiedzy o tajemniczym lądzie. Opowiedział im również o tym zagubionym kontynencie, wielkich bestiach i dziwnych skarbach, płonących górach i obszarach bezkresnego lodu.

Charles przypomniał sobie w tym momencie najbardziej zdumiewające stwierdzenie Jemmy'ego. Zapisał w swoim dzienniku jego słowa, które brzmiały mu w uszach: *Nasi przodkowie mówią, że w zamierzchłych czasach dolin i gór nie pokrywał lód. Rosły tam wysokie drzewa i polowano na zwierzynę, a w ciemnościach straszły demony gotowe pożerać serca nieroztropnych...*

Na górnym pokładzie rozległ się tak przeraźliwy wrzask, że Charles zabazgrał atramentem resztę kartki papieru. Zdusił przekleństwo, bo zdał sobie sprawę, że w tym krótkim krzyku brzmiał strach i ból. Zerwał się na nogi.

Ostatni członek załogi musiał powrócić z tego koszmarnego brzegu.

Pozostawiając dziennik i pióro, Charles pospieszył do drzwi kajuty, a potem krótkim korytarzem na pogrążony w chaosie górny pokład.

– Ostrożnie z nim! – krzyknął kapitan FitzRoy. Stał przy relingu sterburty w rozpiętym płaszczu, z czerwonymi policzkami i oszronioną ciemną brodą.

Charles zmrużył oczy przed oślepiającym blaskiem letniego słońca południowej półkuli. Przenikliwie zimne powietrze zmroziło mu nos i wypełniło płuca. Lodowata mgła spowijała czarne morze wokół zakotwiczonego statku, relingi i takielunek pokrywał szron. Z ust spanikowanych członków załogi buchały białe kłęby pary, gdy z wysiłkiem wykonywali rozkazy kapitana.

Charles pospieszył na sterburtę, by pomóc wydobyć z szalupy rannego marynarza. Mężczyznę zawinięto od stóp do głów w płótno żeglarskie i wciągano na linach. Głośno jęczał. Charles pomógł przenieść biedaka przez reling na pokład.

Był to bosman, Robert Rensfry.

FitzRoy wzywał lekarza, ale ten opatrywał pod pokładem dwóch mężczyzn, którzy uczestniczyli w pierwszej eskapadzie na ląd. Obaj byli tak poważnie ranni, że nie mieli szansy dożyć następnego dnia.

A co z tym człowiekiem?

Charles ukłękął przy nim. Inni wygramolili się z szalupy. Jako ostatni pojawił się Jemmy Button, blady i zagniewany. Próbował ich ostrzec, aby tu nie przyplływali, ale jego obawy zlekceważono jako przesady tubylców.

– Gotowe? – spytał FitzRoy swego zastępcę, pomagając Jemmy'emu wejść na pokład.

– Tak, kapitanie. Wszystkie trzy beczki czarnego prochu. Pozostawione przy wejściu.

– Dobra robota. Gdy zabezpieczycie szalupę, obróćcie statek i przygotujcie działa na lewej burcie. – FitzRoy zwrócił zatroskane spojrzenie na rannego marynarza, przy którym klęczał Charles. – Gdzie ten cholerny Bynoe?

Jakby przynaglony tymi słowami, wychudzony lekarz, Benjamin Bynoe, wyłonił się spod pokładu i pospieszył w ich kierunku. Miał zakrwawione ręce i fartuch.

Charles dostrzegł milczącą wymianę spojrzeń między kapitanem i lekarzem. Bynoe dwukrotnie pokręcił głową.

Dwaj pozostali mężczyźni z pewnością zmarli.

Charles wstał i ustąpił miejsca lekarzowi.

– Rozwińcie to płótno! – polecił Bynoe. – Muszę zobaczyć jego rany!

Charles podszedł do relingu i stanął przy FitzRoyu. Kapitan z lunetą w dłoni w milczeniu

wpatrywał się w ład. Gdy ranny mężczyzna zaczął głośniej jęczeć, FitzRoy podał lunetę Charlesowi.

Ten wziął ją do ręki i – choć z pewnym wysiłkiem – zobaczył pobliski brzeg. Wąską zatokę, w której kotwiczyli, otaczały ściany błękitnego lodu. W miejscu, gdzie mgła była najgęściejsza, przesłaniała wybrzeże, ale nie przypominała lodowatych oparów, które spowijały morze i góry lodowe. Były to wyziewy siarki, oddech Hadesu, dobywający się z ładu równie cudownego, jak potwornego.

Podmuch wiatru poprawił na chwilę widoczność i ukazała się kaskada krwi spadająca z lodowatego klifu. Spływała szkarłatnymi strugami i strumykami, sącząc się jakby z piekielnych czeluści pod lodową powierzchnią.

Charles wiedział, że nie jest to krew, tylko jakaś mikstura substancji chemicznych i minerałów, wydobywająca się z podziemnych tuneli.

Trzeba było jednak zważyć na tę złowróżbną przestrożę, pomyślał. Nie powinniśmy byli nigdy wchodzić do tego tunelu.

Skierował lunetę na wejście do jaskini i dostrzegał stojące tam trzy załuszczone beczki. Mimo wszystkich przeżytych ostatnio koszmarów, które zagrażały zdrowiu psychicznemu, pozostał naukowcem, poszukiwaczem wiedzy i choć powinien może protestować przeciw temu, co miało nastąpić, zachowywał milczenie.

Jemmy dołączył do niego; szeptał coś pod nosem w swoim języku – najwyraźniej uciekał się do pogańskich modłów. Nawrócony dzikus z Ziemi Ognistej sięgał Charlesowi zaledwie do piersi, ale emanował siłą woli, która kontrastowała z jego drobną sylwetką. Wielokrotnie próbował ostrzec załogę statku, ale nikt go nie słuchał. Mimo wszystko pozostał wierny Anglikom i towarzyszył im, gdy głupio zmierzali do zguby.

Charles poczuł pod palcami ciemną dłoń zaciśniętą na relingu. Pycha i chciwość załogi kosztowały życie nie tylko ich własnych ludzi, ale także jednego z członków plemienia Jemmy'ego.

Nie powinniśmy byli nigdy tu przypływać.

A jednak podjęli tę głupią decyzję; pozwolili sobie zboczyć z planowanego kursu na południe z powodu szalonych opowieści o zaginionym kontynencie. Najbardziej skusił ich jednak symbol znaleziony na starej mapie mieszkańców Ziemi Ognistej. Wokół zatoki narysowano tam drzewa, obietnicę życia. Zamierzając odkryć ten raj zagubiony wśród lodowatych wybrzeży, załoga *Beagle'a* wyruszyła w rejs z nadzieją zdobycia nowych dziewiczych obszarów dla Korony.

Zbyt późno zrozumieli prawdziwe znaczenie symboli na mapie. W końcu cała wyprawa zakończyła się koszmarem i rozlewem krwi i należało koniecznie, za zgodą wszystkich, na zawsze o niej zapomnieć.

Nikomnie wolno tu wrócić, pomyślał Charles.

A gdyby ktokolwiek się odważył, kapitan zamierzał zadbać o to, by niczego już nie odnalazł. Świat nie może się dowiedzieć, co tam ukryto.

Podniósłszy kotwicę, statek obrócił się powoli, skrzypiąc zlodowaciałym takielunkiem i sypiąc szronem z żagli. FitzRoy oddalił się już w kierunku baterii dział. HMS *Beagle* był należącym do Królewskiej Marynarki żaglowcem typu Cherokee, wyposażonym pierwotnie w dziesięć dział. I choć przerobiono go z okrętu wojennego w statek badawczy, część dział pozostała.

Kolejny krzyk sprawił, że Charles zwrócił znów uwagę na pokład, na którym wił się z bólu

leżący na żeglarskim płótnie marynarz.

– Przytrzymajcie go! – krzyknął lekarz okrętowy.

Charles ruszył mu z pomocą i dołączył do innych, którzy chwycili Rensfry'ego za ramię i starali się go unieruchomić. Gdy nieopatrznie spojrzął bosmanowi w oczy, odczytał w nich ból i błaganie.

Bosman poruszył wargami i jęknął: „...wyciągnijcie to...”.

Lekarz zdołał zdjąć z niego ciężki płaszcz i rozciął mu nożem koszulę, odsłaniając zakrwawiony brzuch i ranę wielkości pięści. Charles zobaczył, że coś przesuwają się bosmanowi pod skórą, jak wąż pod powierzchnią piasku.

Rensfry stawiał im opór, wyprężając się z bólu. Zacharczał rozpaczliwie przez zaciśnięte gardło:

– Wyciągnijcie to!

Bynoe nie wahał się. Wsunął rękę do rany, w pulsujące trzewia mężczyzny. Zagłębił ją w brzuchu aż po łokieć. Mimo lodowatego zimna po twarzy spływały mu krople potu.

Statkiem wstrząsnął głośny huk, obsypując ich znowu szronem.

Potem następny i jeszcze jeden.

W oddali odbiła się echem od lądu o wiele głośniejsza eksplozja.

Po obu stronach zatoki odrywały się od brzegu potężne bryły lodu i roztrzaskiwały się w morzu. Działa okrętu siały zniszczenie, ziejąc ogniem.

Kapitan FitzRoy wołał nie ryzykować.

– Za późno – oznajmił w końcu Bynoe, wyciągając rękę z rany. – Spóźniliśmy się.

Charles zauważył dopiero teraz, że ciało bosmana jest bezwładne, a martwe oczy wpatrują się w błękitne niebo.

Cofnąwszy się, przypomniał sobie słowa Jemmy'ego na temat tego przeklętego kontynentu: *Demony nawiedzały również jego mroczne czeluście, gotowe pożerać serca żyjących...*

– Co ze zwłokami? – spytał jeden z marynarzy.

Bynoe spojrzął w kierunku relingu, na wzburzone, skute lodem morze.

– Pochowajcie go tutaj, razem z tym, co w nim siedzi.

Charles miał już dość. Gdy inni wśród ryku morza i huku dział dźwignęli ciało Rensfry'ego, wymknął się jak tchórz do swojej kajuty i nie był świadkiem marynarskiego pogrzebu bosmana.

Niewielki ogień w piecyku w jego kajucie niemal już wygasł, ale wszedłszy z mrozu do ciepłego pomieszczenia, Charles poczuł, że traci oddech. Wziął do ręki swój dziennik, wyrwał zapisane kartki i wrzucił je w nikłe płomienie. Patrzył, jak się skręcają, czernieją i zamieniają w popiół.

Dopiero wtedy wrócił do leżących na stole map. Podniósł tę najstarszą, która pochodziła od tubylców z Ziemi Ognistej, i przyjrzał się ponownie przekłętymu rysunkowi drzew wokół zatoki. Jego wzrok powędrował do świeżo podsyconych płomieni.

Podszedł krok w kierunku paleniska, po czym przystanął.

Zwinął mapę zziębniętymi palcami i zacisnął ją mocno w obu dłoniach.

Nadal jestem naukowcem.

Z ciężkim sercem odwrócił się od ognia i ukrył mapę wśród rzeczy osobistych. Przedtem jednak przemknęły mu przez myśl mało naukowe słowa.

Boże, pomóż mi...

CZĘŚĆ PIERWSZA
MROCZNE POCZĄTKI

Σ

Jezioro Mono, Kalifornia
27 kwietnia, godz. 18.55 czasu miejscowego

– Wygląda jak powierzchnia Marsa.

Jenna Beck uśmiechnęła się do siebie, słysząc z ust kolejnego turysty ten najbardziej typowy opis jeziora Mono. Gdy ostatnia już tego dnia grupa zwiedzających kończyła robić zdjęcia, czekała obok swojego białego forda pic-kupa F-150, z wymalowaną na przednich drzwiach gwiazdą Służby Leśnej Stanu Kalifornia.

Opuściła sztywne rondo kapelusza i spojrzała w kierunku słońca. Choć do zmierzchu brakowało godziny, padające ukośnie światło zmieniło jezioro w perłowe lustro o błękitno-zielonych barwach. Strzeliste, poszarpane stalagmity z wapienia, zwane tufami, wyglądały jak skamieniały las porastający południowy brzeg i wchodzący w głąb wody.

Był to rzeczywiście nieziemski krajobraz – ale stanowczo nie przypominał Marsa. Klepnęła się po ramieniu, zabijając komara, który stanowił dowód, że nawet w tym jałowym środowisku kwitnie życie.

Na odgłos klepnięcia przewodniczka grupy – starsza kobieta o imieniu Hattie – spojrzała w jej kierunku, uśmiechając się życzliwie. Pochodziła z ludu Kutzadika, północnego plemienia Pajutów. Była po siedemdziesiątce i wiedziała o jeziorze i jego historii więcej niż ktokolwiek w okolicy.

– To jezioro – zwróciła się do turystów – ma podobno siedemset sześćdziesiąt tysięcy lat, ale niektórzy naukowcy uważają, że może mieć nawet trzy miliony, co by oznaczało, że jest jednym z najstarszych w Stanach. Przy powierzchni stu osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych jego głębokość nie przekracza trzydziestu metrów. Zasila je kilka bulgocących źródeł i strumieni, ale nie ma żadnego odpływu, woda jedynie odparowuje w upalne letnie dni. To dlatego jezioro jest trzykrotnie bardziej słone niż ocean i ma współczynnik pH dziesięć, mniej więcej jak domowy ług.

Hiszpański turysta skrzywił się i zapytał łamaną angielszczyzną:

– Czy w tym *lago*... w tym jeziorze... cokolwiek żyje?

– Nie ryby, jeśli to ma pan na myśli, ale, owszem, istnieje tu życie. – Hattie skinęła na Jennę, bo tego typu wiedza była jej specjalnością.

Jenna odchrząknęła i przeszła między kilkunastoma turystami. Połowa z nich była Amerykanami, a druga – Europejczykami. Jezioro, usytuowane między Parkiem Narodowym Yosemite i wymarłymi miastami Stanowego Parku Historycznego w Bodie, przyciągało zdumiewająco wielu cudzoziemców.

– Życie zawsze znajdzie sposób, by wypełnić każdą niszę w środowisku – zaczęła Jenna. – I jezioro Mono nie jest wyjątkiem. Mimo dużej zawartości szkodliwych chlorków, siarczanów

i arszeniku, ma bardzo bogaty i złożony ekosystem, który staramy się zachować, poddając go ochronie.

Uklęknęła na brzegu.

– Życie w jeziorze pojawia się zimą, gdy wyrastają w nim unikatowe, odporne na solankę algi. Gdybyście przyjechali tutaj w marcu, zobaczylibyście wodę w kolorze zielonego groszku.

– Dlaczego teraz nie jest zielona? – spytał młody ojciec, kładąc rękę na ramieniu córki.

– Z powodu artemii, żyjących tu skorupiaków. Są niewiele większe od ziarenka ryżu i pożerają wszystkie algi. Nimi z kolei żywi się inny zadomowiony w jeziorze łowca.

Kłęcząc nadal na skraju wody, pomachała ręką nad powierzchnią i w powietrze wznosił się brzęczący obłok rozdrażnionych meszek.

– Wstrętne – rzucił nadęty rudy nastolatek, podchodząc bliżej, by im się przyjrzeć.

– Nie obawiaj się. Nie gryzą. – Jenna przywołała gestem innego chłopca, ośmio-, może dziesięcioletniego. – To pomysłowi mali łowcy. Zobacz.

Chłopiec podszedł do niej nieśmiało, a za nim jego rodzice i inni turyści. Poklepała ręką ziemię obok siebie, zachęcając go, by przykucnął, po czym wskazała na mieliznę, gdzie płynęło pod wodą kilka meszek, otoczonych srebrnymi banieczkami powietrza.

– Wyglądają jak nurkowie! – zawołał chłopiec z szerokim uśmiechem.

Jenna odwzajemniła uśmiech, doceniając dziecięcy zachwyt nad prostym cudem natury. Był to jeden z najprzyjemniejszych aspektów jej pracy: dzielenie radości i zdumienia innych.

– Jak powiedziałam, to pomysłowi mali łowcy. – Wstała i odsunęła się na bok, by pozostali mogli popatrzeć. – A te artemie i meszki stanowią pożywienie dla setek tysięcy jaskółek, perkozów, żurawi i mew, które tędy przelatują. – Wskazała na dalszy odcinek wybrzeża. – Jeśli tam spojrzycie, zobaczycie na tym wysokim tufie nawet gniazdo rybołowa.

Cofnęła się i turyści zrobili kolejne zdjęcia.

Gdyby chciała, mogłaby dalej opowiadać o unikalnej pajęczynie życia jeziora Mono. Wspomniała tylko powierzchownie o dziwnym i złożonym ekosystemie tego alkalicznego zbiornika. Można tam było znaleźć wszelkie dziwne gatunki i formy adaptacji, zwłaszcza w błotnistym dnie jeziora, gdzie mało znane bakterie rozwijały się w warunkach sprzecznych z logiką, w mule tak toksycznym i pozbawionym tlenu, że nic w nim nie miało prawa przeżyć.

A jednak żyło.

Życie zawsze znajdzie sposób.

Choć był to cytat z *Parku Jurajskiego*, takie przekonanie wpoił również Jennie jej profesor biologii na Politechnice w Kalifornii. Zamierzała pisać doktorat z ekologii, ale okazało się, że bardziej pociąga ją praca w Parku Narodowym, przebywanie na powietrzu i aktywny udział w chronieniu tej kruchej pajęczyny życia, która z każdym mijającym rokiem coraz bardziej się strzępiła.

Wróciła do swego pick-upa, oparła się o drzwi i czekała, aż Hattie z grupą pojedą autobusem do sąsiedniej wioski Lee Vining, a ona ruszy za nimi pick-upem. Wyobrażała już sobie porcję żeberek z grilla serwowanych w lokalnej knajpce Bodie Mike's.

Poczuła na karku mokry jęzor. Sięgnęła ręką za siebie i podrapała Nikka za uchem. Najwyraźniej nie tylko ona zgłodniała.

– Już prawie skończyliśmy, mały.

Odpowiedziało jej merdanie ogona. Czteroletni husky był jej stałym towarzyszem, wyszkolonym w akcjach poszukiwawczych i ratunkowych. Wysunął łeb przez otwarte okno, oparł pysk na jej ramieniu i ciężko westchnął. Jego ślepie – jedno bladoniebieskie, a drugie

brązowe – patrzyły tęsknie w kierunku rozległych wzgórz. Hattie powiedziała kiedyś Jennie, że według legend amerykańskich Indian psy o oczach różnego koloru widzą zarówno niebo, jak i ziemię.

Bez względu na to, czy tak było, wzrok Nikka pozostał w tym momencie bardziej przy ziemi. Przez suche zarośla na pobliskim zboczu przebiegł zając, i pies zerwał się na nogi w kabinie samochodu.

Jenna uśmiechnęła się, gdy zając zniknął szybko w półmroku.

– Następnym razem, Nikko. Dopadniesz go następnym razem.

Chociaż husky był wyszkolony, miał nadal naturę psa.

Hattie zebrała grupę turystów i wyłapując po drodze maruderów, prowadziła ich do autokaru.

– I Indianie jadali larwy tych owadów? – spytał rudy nastolatek.

– Nazywaliśmy je *kutsavi*. Kobiety i dzieci zbierały poczwarki ze skał do plecionych koszy, a potem je piekły. Robią tak nadal przy specjalnych okazjach. To rzadki przysmak.

Mrugnęła do Jenny, przechodząc obok niej.

Ta stłumiła uśmiech na widok odrazy na twarzy chłopca. Przekazywanie takich szczegółów na temat lokalnego życia pozostawiała Hattie.

Gdy załadowano wszystkich do autokaru, Jenna otworzyła drzwi pick-upa i zajęła miejsce obok Nikka. Zaledwie się usadowiła, radio głośno zatrzeszczało.

Co znowu? – pomyślała.

Wzięła do ręki nadajnik.

– Co się dzieje, Bill?

Bill Howard był dyspozytorem i jej przyjacielem. Miał po sześćdziesiątce, ale gdy przed trzema laty zaczęła pracę, otoczył ją opieką. Teraz miała dwadzieścia cztery lata i w wolnym czasie, którego tak niewiele zostawało, zrobiła licencjat z ochrony środowiska. Brakowało im personelu i byli przepracowani, ale w ciągu tych kilku lat przywiązała się do jeziora, zwierząt, a nawet kolegów leśników.

– Nie wiem dokładnie, co się dzieje, Jen, ale miałem nadzieję, że będziesz mogła pojechać na północ. Służby ratownicze powiadomiły nasze biuro, że ktoś wzywał pomocy.

– Podaj mi szczegóły. – Leśnicy nie tylko opiekowali się parkiem, byli również zaprzysiężonymi funkcjonariuszami policji. Mieli szeroki zakres obowiązków, od prowadzenia śledztwa po udzielanie pomocy medycznej.

– Dzwoniono zza Bodie – wyjaśnił Bill.

Uniosła brwi. Za Bodie niczego nie było, z wyjątkiem kilku wymarłych miasteczek z czasów gorączki złota i paru opuszczonych kopalń. No i...

– Z tej bazy wojskowej – potwierdził Bill.

Cholera!

– Czego dotyczył ten telefon?

– Przesłuchałem nagranie. Słysząc było tylko krzyki. Nie dało się zrozumieć ani słowa. Potem połączenie zostało przerwane.

– Więc może nic się nie stało.

– Właśnie. To mógł być omyłkowy telefon, ale ktoś powinien podjechać przynajmniej do bramy i sprawdzić, co się tam dzieje.

– I zdaje się, że to muszę być ja.

– Tony i Kate są w pobliżu Yosemite. Wezwano ich do jakiegoś pijaka.

- W porządku, Bill, zajmę się tym. Odezwę się przez radio, kiedy będę przy bramie bazy. Daj znać, gdybyś dowiedział się czegoś więcej.
- Dyspozytor potwierdził i wyłączył się.
- Zdaje się, że żeberka będą musiały zaczekać, wielkoludzie – zwróciła się do Nikka.

Godzina 19.24

- Szybciej!
- Doktor Kendall Hess pędził po schodach cztery kondygnacje pod ziemią, a tuż za nim biegła Irene McIntire, jego analityk systemowy. Na każdym półpiętrze pulsowały czerwone światła alarmowe. W całym kompleksie wyły syreny.
- Utraciliśmy poziomy bezpieczeństwa cztery i pięć – oznajmiła zdyszana za jego plecami, monitorując na podręcznym bioczytniku sytuację na dole.
- Ale krzyki, które słyszeli za sobą, wystarczały, by wiedzieli, że zagrożenie nadciąga.
- Musi już być w przewodach wentylacyjnych – powiedziała Irene.
- Jak to możliwe?
- Pytanie było retoryczne, ale odpowiedziała na nie.
- Niemożliwe. Chyba że popełniono ogromny błąd w laboratorium. Ale sprawdziłam...
- To nie był błąd laboratoryjny – wyrzucił z siebie Kendall Hess ostrzejszym tonem, niż zamierzał.
- Znał bardziej prawdopodobną przyczynę.
- Sabotaż.
- Zawiodło zbyt wiele zabezpieczeń – elektronicznych i biologicznych – by mógł to być przypadek. Ktoś celowo spowodował tę awarię.
- Co możemy zrobić? – jęknęła Irene.
- Pozostało im tylko jedno wyjście: całkowite wyłączenie systemu, wygaszenie ognia ogniem. Ale czy nie wyrządzi to jeszcze większych szkód? Nasłuchując dochodzących z dołu stłumionych krzyków, otrzymał odpowiedź.
- Dotarli na najwyższe piętro. Nie wiedząc, co ich czeka – zwłaszcza jeśli nie mylił się co do sabotażu – powstrzymał Irene, dotykając jej ramienia. Miała już pęcherze na wierzchu dłoni i na szyi.
- Musisz dotrzeć do radia. Wezwij pomoc. Na wypadek gdyby mnie się nie udało.
- Niech mi Bóg pomoże, jeśli bym stracił zimną krew, pomyślał.
- Skinęła głową, starając się nie okazywać bólu. To, o co ją prosił, przypłaci zapewne życiem.
- Spróbuję – odparła przerażona.
- Przepełniony żalem, otworzył na oścież drzwi i wypchnął ją w kierunku pokoju radiooperatora.
- Biegnij!

Godzina 19.43

Pick-up podskoczył gwałtownie, zjeżdżając z asfaltowej drogi na żwirową nawierzchnię.

Wciskając mocno pedał gazu, Jenna dojechała w ciągu niecałych dwudziestu minut od jeziora Mono do położonego na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów Stanowego Parku Historycznego w Bodie. Ale nie on był jej celem. Musiała się dostać jeszcze wyżej, w bardziej odległe miejsce.

Jechała mroczną drogą po wertepach, widząc na horyzoncie poświatę zachodzącego słońca. Żwir uderzał o nadkola samochodu. Poza stróżami prawa tylko garstka ludzi wiedziała o istnieniu tej bazy wojskowej. Zbudowano ją pośpiesznie i w tajemnicy. Nawet materiały budowlane i personel dostarczano wojskowymi śmigłowcami, a wszystkie prace wykonywali kontrahenci Departamentu Obrony.

A jednak nie powstrzymało to wycieku pewnych informacji.

Baza, należąca do amerykańskiego Dowództwa Badań Testowych, była w jakiś sposób powiązana z poligonem doświadczalnym w pobliżu Salt Lake City. Jenna sprawdziła to miejsce w internecie i nie podobało jej się to, co tam znalazła. Był to poligon do testowania broni nuklearnej, biologicznej i chemicznej. W latach sześćdziesiątych z powodu wycieku śmiertelnie niebezpiecznego gazu paraliżującego wyginęły w pobliżu tysiące owiec. Od tamtego czasu baza coraz bardziej się rozrastała. Zajmowała teraz czterysta tysięcy hektarów, dwukrotnie więcej niż Los Angeles.

Po co zbudowano ją na takim odludziu?

Snuto, oczywiście, różne spekulacje: że wojskowi naukowcy potrzebowali głębokich szybów znajdujących się tam nieczynnych już kopalń, że ich badania były zbyt niebezpieczne, by prowadzić je w pobliżu tak dużego miasta jak Salt Lake City. Inni wymyślali bardziej absurdalne teorie; twierdzili na przykład, że baza jest wykorzystywana do tajnych badań życia pozaziemskiego – być może dlatego, że Obszar 51 stał się za bardzo atrakcją turystyczną.

Niestety, to ostatecznie przypuszczenie zyskało poparcie, gdy grupa naukowców odważyła się zejść głęboko na dno jeziora Mono, by pobrać tam próbki. Byli to astrobiolodzy, powiązani z Narodowym Centrum Nauki i Technologii Kosmicznej NASA.

To, czego szukali, niewiele miało jednak wspólnego z cywilizacją pozaziemską – było bardzo ziemskie. Jennie udało się porozmawiać krótko w Bodie Mike's z jednym z naukowców, doktorem Kendallem Hessem, jowialnym szpakowatym biologiem. Wyglądało na to, że każdy, kto przyjeżdżał nad jezioro Mono, wpadał co najmniej raz na obiad do tej knajpki. Opowiedział jej przy kawie o zainteresowaniu jego zespołu ekstremofilami z jeziora, rzadkimi gatunkami bakterii, które żyją w toksycznych i nieprzyjaznych środowiskach.

„Takie badania pozwalają nam lepiej zrozumieć, jak może istnieć życie na innych planetach”, wyjaśnił.

Ale już wtedy wyczuwała, że coś ukrywa. Wynioskowała to z twarzy naukowca, z jego powściągliwości i podekscytowania.

Nie była to zresztą pierwsza tajna baza wojskowa założona nad jeziorem Mono. W czasach zimnej wojny rząd zbudował w tym rejonie kilka oddalonych od świata obiektów do testowania broni i prowadzenia różnych projektów badawczych. Nawet najsłynniejsza plaża jeziora – Navy Beach – zawdzięczała swą nazwę dawnemu kompleksowi, wzniesionemu kiedyś na jego południowym brzegu.

Co więc znaczyło jedno więcej tajne laboratorium?

Po kilku minutach jazdy po wertepach Jennie zauważyła ogrodzenie przecinające wzgórze. Chwilę później reflektory oświetliły znak przy drodze, wypłowiały i podziurawiony pociskami.

DROGA BEZ PRZEJAZDU
WSTĘP WZBRONIONY
WŁASNOŚĆ RZĄDOWA

W tym miejscu blokowała zwykle drogę brama, teraz była jednak otwarta. Pełna podejrzeń Jenna zwolniła i zatrzymała pick-upa przy wjeździe. Słońce zniknęło już za wzgórzami i rozległe łąki okrył zmierzch.

– Co sądzisz, Nikko? Chyba nie łamiemy prawa, skoro zostawili otwartą bramę, prawda? Pies przechylił łeb, stawiając uszy.

Jenna wzięła nadajnik i połączyła się z dyspozytorem.

– Bill, dotarłam do bramy bazy.

– Coś niepokojącego?

– Stąd niczego nie widzę. Tyle że ktoś zostawił bramę otwartą. Co, twoim zdaniem, powinnam zrobić?

– Zadzwoiłem do paru wojskowych, ale nie dostałem jeszcze żadnej odpowiedzi.

– A więc muszę zdecydować sama.

– Nie mamy uprawnień, żeby...

– Przepraszam. – Pokręciła gałką radia. – Nie słyszę, co mówisz, Bill.

Zakończyła rozmowę i odwiesiła nadajnik.

– Mówię tylko... że skoro już tu przyjechaliśmy... prawda, Nikko?

Zobaczmy zatem, co się tu dzieje, dodała w myślach.

Przydepnęła pedał gazu, przejechała przez bramę i podążyła w kierunku niewielkiego skupiska oświetlonych budynków na szczycie ciemnego wzgórza. Przypominały kompleks półokrągłych blaszanych baraków i pospiesznie skonstruowanych betonowych bunkrów.

Zważywszy na liczbę wyrastających z ich dachów talerzy satelitarnych i anten, przypuszczała, że stanowią jedynie wierzchołek zakopanej piramidy.

Nikko zawarczał, gdy rozległ się głuchy łoskot.

Jenna przyhamowała i instynktownie wyłączyła reflektory, ufając intuicji psa podobnie jak własnej.

Zza jednego z blaszanych baraków wyłonił się niewielki czarny śmigłowiec i wzniósł się na tyle wysoko, że oświetliły go ostatnie promienie zachodzącego słońca. Jenna wstrzymała oddech, mając nadzieję, że w cieniu wzgórza nie będzie widoczna. Włosy zjeżyły jej się na karku, gdy zauważyła, że śmigłowiec nie ma żadnych oznaczeń. Ze smukłą czarną sylwetką drapieznika zdecydowanie nie wyglądał na wojskową maszynę.

Wypuściła powoli powietrze z płuc, gdy śmigłowiec, przelatując nad wzgórzami, oddalił się i zniknął jej z oczu.

Podskoczyła, słysząc trzaski w radiu. Chwyciła nadajnik.

– Jenna! – Bill wydawał się zdenerwowany. – Wracasz już?

Westchnęła ciężko.

– Jeszcze nie. Pomyślałam, że pokręcę się trochę przy bramie, żeby sprawdzić, czy ktoś przyjdzie się przywitać. – Było to kłamstwo, ale lepsze od prawdy.

– Więc wynoś się stamtąd natychmiast!

– Dlaczego?

– Odebrałem kolejną wiadomość przekazaną przez dowództwo wojskowe. Nadał ją przez radio ktoś z bazy. Posłuchaj. – Po chwili przerwy usłyszała przytłumiony głos kobiety, w którym brzmiała bez wątpienia panika i pośpiech: – „Tu SVW, sierra, victor, whiskey. Doszło do awarii. Zainicjowano całkowite wyłączenie systemu. Bez względu na wynik: zabijcie nas... zabijcie nas wszystkich”.

Gdy Jenna wpatrywała się w skupisko budynków, nagle cały szczyt wzgórza eksplodował. Wzniosła się chmura ognia i dymu, a ziemia zadrżała, wstrząsając pick-upem.

O mój Boże...

Przełknąwszy ślinę, by odzyskać oddech, Jenna wrzuciła wsteczny bieg i przydepnęła pedał gazu, ruszając z impetem do tyłu.

Ściana dymu pędziła w jej kierunku.

Mimo desperacji Jenna wiedziała, że nie może pozwolić, by ją dosięgła. Pamiętała martwe owce z poligonu. Jej przezorność okazała się uzasadniona, gdy chwilę później z chmury dymu wyskoczył zając i po kilku susach, wstrząsany konwulsjami, upadł na bok.

– Trzymaj się, Nikko!

Na wstecznym biegu nie mogła jechać szybko, wykonała więc obrót w miejscu, tak że żwir posypał się spod kół, po czym dodała gazu i przemknęła przez otwartą bramę. Widziała w lusterkach wstecznych ścigającą ją chmurę.

Drgnęła, gdy coś czarnego uderzyło o maskę pick-upa.

Kruk.

Po chwili runął na ziemię, trzepocząc czarnymi skrzydłami.

W zarośla po obu stronach drogi spadały z nieba inne martwe ptaki.

Nikko zaskomlał.

Jenna miała ochotę zrobić to samo, ale brzmiały jej w uszach jedynie ostatnie słowa tej nieszczęsnej kobiety.

Zabijcie nas... zabijcie nas wszystkich...

Santa Barbara, Kalifornia
27 kwietnia, godzina 20.05 czasu miejscowego

Jestem szczęściarzem...

Painter Crowe przyglądał się sylwetce narzeczonej na tle słońca zachodzącego nad Pacyfikiem. Stała na skraju klifu górującego nad wąskim piaszczystym brzegiem i spoglądała w kierunku Rincon Point, gdzie kilku surferów stawiało jeszcze czoło ostatnim tego dnia falom. Z położonej w dole plaży dobiegały ciche pokrzykiwania portowych fok, których obszary lęgowe w sezonie godowym pozostawały niedostępne dla turystów.

Narieczona Paintera, Lisa Cummings, obserwowała krajobraz przez lornetkę. Painter, stojąc z tyłu, przyglądał się jej. Była w żółtym bikini, przesłoniętym cienką bawełnianą chustą zawiązaną na biodrach. Pod przezroczystą tkaniną widział zarys pośladków, kształtne uda i długie nogi.

I doszedł do zdecydowanego wniosku.

Jestem największym szczęściarzem na świecie.

Lisa przerwała jego rozmyślenia, wskazując na plażę.

– Tam prowadziłam badania do doktoratu. Testowałam fizjologię nurkowania fok. Szkoda, że nie widziałeś ich młodych... są takie słodkie! Przez wiele tygodni badałam dorosłe foki pulsoksymetrami, żeby sprawdzić ich adaptację do nurkowania na dużych głębokościach. W kontekście procesów oddychania u człowieka, nasycenia krwi tlenem, wytrzymałości i odporności ludzkiego organizmu...

Painter przysunął się do Lisy, obejmując ją czule w talii.

– Wiesz, że moglibyśmy zbadać w pokoju hotelowym naszą wytrzymałość i odporność.

Opuściła lornetkę i uśmiechnęła się do niego, odsuwając z twarzy małym palcem kilka rozwianych przez wiatr kosmyków jasnych włosów.

– Myślę, że zrobiliśmy już sporo tych badań – odparła, unosząc brew.

– Zawsze mogą być bardziej dogłębne.

Odwróciła się i przylgnęła do niego.

– Może masz rację. – Pocałowała go lekko w usta, przedłużając tę chwilę, po czym wysunęła się z jego objęć. – Ale jest późno, a my za godzinę musimy się spotkać z przedstawicielem firmy cateringowej i ustalić ostateczne menu na przyjęcie.

Westchnął ciężko, wpatrując się w zachodzące słońce. Wesele było za cztery dni. Skromny ślub z udziałem najbliższej rodziny i przyjaciół miał się odbyć na miejscowej plaży, a przyjęcie – w restauracji Four Seasons Biltmore w Montecito. Tylko że w miarę, jak zbliżał się ten wyjątkowy dzień, lista spraw do załatwienia coraz bardziej się wydłużała. Aby uciec na kilka godzin od chaosu, wyszli oboje na popołudniowy spacer po rozległych łąkach ze strzelistymi

eukaliptusami, wzdłuż klifów Carpinteria Bluffs nad Pacyfikiem.

W takich chwilach Painter mógł dowiedzieć się bardziej intymnych szczegółów z dzieciństwa Lizy i jej korzeni. Wiedział już, że wychowała się na południu Kalifornii i ukończyła studia na Uniwersytecie w Los Angeles, ale gdy przebywała w bliskim sobie otoczeniu – snując wspomnienia, opowiadając rozmaite historie, po prostu pławiąc się w słońcu swych rodzinnych stron – kochał ją jeszcze bardziej.

Jak mogło być inaczej?

Poczawszy od długich blond włosów do gładkiej skóry, która brązowiła pod najłżejszym dotykiem słońca, Lisa stanowiła ucieleśnienie Złotego Stanu. Ale tylko wyjątkowy głupiec mógł zakładać, że wygląd jest jej jedynym atutem. Za tą urodą krył się umysł, który przyćmiewał wszystko. Nie dość, że ukończyła z wyróżnieniem medycynę, to zrobiła również doktorat z fizjologii.

To z powodu jej związków z Zachodnim Wybrzeżem wybrali Santa Barbara jako miejsce ślubu. Choć oni mieli teraz dom w Waszyngtonie, większość przyjaciół i krewnych Lisy mieszkała nadal tam, skąd pochodziła. Przeniesienie uroczystości do Kalifornii było więc sensowne, zwłaszcza że Painter nie miał właściwie rodziny. W dzieciństwie został sierotą i w zasadzie nie utrzymywał kontaktów z krewnymi, którzy mieli indiańskie korzenie. Najbliższą jego rodziną była bratanica, która chodziła do szkoły w Brigham Young w stanie Utah.

Pozostała zatem tylko garstka gości, którzy musieli odbyć daleką podróż na ich ślub, a mianowicie najbliżsi koledzy Paintera z Sigma Force. Sprawilo im to trochę kłopotu. Dowódca grupy, komandor Grayson Pierce, miał ojca, którego umysł coraz bardziej pograżał się we mgłę z powodu choroby Alzheimera i...

– Wspominałam ci, że dostałam rano wiadomość od Kat? – spytała Lisa, jakby czytając w jego myślach.

Pokręcił głową.

– Udało jej się znaleźć kogoś do opieki nad dziewczynkami. Z jaką ulgą mi to powiedziała! Z pewnością nie miałyby ochoty lecieć tak daleko z dwójką małych dzieci.

Painter uśmiechnął się szeroko, gdy ruszyli z powrotem wzdłuż pogrążonych w mroku klifów.

– Podejrzewam też, że Kat i Monk chętnie odpoczną od pieluch i nocnego karmienia.

Kathryn Bryant była głównym ekspertem Sigma Force do spraw wywiadu i zastępczynią dyrektora Paintera Crowe'a, jego przysłowiową prawą ręką. Jej mąż, Monk Kokkalis, pracował jako agent wyszkolony w medycynie sądowej i biotechnologii.

– Skoro mowa o pieluchach i nocnym karmieniu... – Lisa przyłgnęła do niego, biorąc go za rękę. – Może wkrótce też będziemy na to narzekać.

– Możliwe.

Sądząc z jej lekkiego westchnienia, musiała wyczuć wahanie w jego głosie. Rozmawiali, oczywiście, o dzieciach, o założeniu rodziny. Ale marzenia to co innego niż twarda rzeczywistość.

Wysunęła rękę z jego dłoni.

– Painter...

Przerwał jej ostry, natarczywy sygnał jego telefonu, który oszczędził mu wszelkich wyjaśnień – i dobrze się złożyło, bo sam nie rozumiał swojej niechęci do życia rodzinnego. Charakterystyczny dźwięk sprawił, że naprężyły mu się mięśnie. Lisa nie protestowała, gdy odbierał telefon, wiedziała bowiem, że ten konkretny sygnał rozbrzmiewał tylko w awaryjnych

sytuacjach.

Painter przyłożył komórkę do ucha.

– Crowe.

– Panie dyrektorze – odezwała się Kat Bryant. – Mamy kłopoty.

Skoro jego zastępczyni dzwoniła do niego teraz, musiały to być poważne kłopoty. Ale z drugiej strony, czy Sigmę interesowały kiedykolwiek błahe sprawy? Jako tajna sekcja DARPA – kontrolowanej przez Departament Obrony agencji zajmującej się zaawansowanymi badaniami w dziedzinie obronności – Sigma Force wkraczała do akcji w przypadku zagrożeń o charakterze naukowym lub technologicznym. Jako szef zespołu Painter zebrał wyselekcjonowanych żołnierzy sił specjalnych z różnych formacji i przeszkolił ich w rozmaitych dyscyplinach naukowych, by pełnili w DARPA role agentów terenowych. Sigmie nie dawano raczej do rozwiązywania drobnych problemów.

Choć taki telefon powinien go zaniepokoić, tym razem Painter raczej poczuł ulgę, że przerwał ich rozmowę. Gdybym miał próbować teraz kolejnego kawałka weselnego tortu albo decydować, jak ozdobić stoły na przyjęcie...

– Co się dzieje? – zapytał i czekał w napięciu na odpowiedź Kat.

Godzina 20.09

– Nie, nie, nie!

Jenna wdepnęła pedał hamulca tak raptownie, że gdyby nie pas bezpieczeństwa, uderzyłaby głową w szybę. Nikko spadł z siedzenia obok niej. Kiedy wdrapywał się z powrotem na swoje miejsce, spojrzała w lusterko wsteczne.

Świat za nią stał się chmurą czarnego dymu, pędzącą nieubłaganie ze zboczy wzgórz. Jenna musiała zjechać jej z drogi, ale szosa wiła się serpentynami, prowadząc do odległego jeziora Mono, a tuż przed nią był ostry zakręt. Pokonawszy go, jechałaby z powrotem w kierunku trującego dymu. Obróciła głowę, spojrzała na zakręt i stwierdziła, że się nie myli.

Mimo wieczornego chłodu na jej czole zaślśniły krople potu.

Nikko wpatrywał się w nią, ufając, że dowiezie ich w bezpieczne miejsce.

Ale dokąd?

Włączyła światła i przyjrzała się zakrętowi. Zauważyła ledwo widoczne ślady opon prowadzące ze zwirowej drogi na otwartą przestrzeń, porośniętą chwastami i karłowatymi sosnami. Nie wiedziała, dokąd ją ta ścieżka zawiedzie. Z pewnością wielu turystów i miejscowych nastolatków korzystało często z nielegalnych szlaków, by rozbijać namioty w okolicznych wąwozach albo rozpałać ogniska przy strumieniach. Jako strażniczka parku sama ściagała wielu z nich.

Nie mając innego wyboru, wcisnęła gaz i popędziła w kierunku zakrętu. Zjechała z pobocza na wąski trakt i mknęła po wertepach z taką prędkością, że w fordzie dzwoniły wszystkie śruby i nakrętki. Nikko dyszał, stawiając uszy i rozglądając się niespokojnie.

– Trzymaj się, stary.

Teren był coraz bardziej wyboisty, co zmusiło ją do zredukowania prędkości. Mimo pośpiechu nie mogła ryzykować połamania osi albo rozdarcia opony na którymś z ostrych jak

brzytwa głązów. Bez przerwy spoglądała w lusterko wsteczne. Widoczna za nią chmura dymu przesłaniała księżyc.

Jenna wstrzymała oddech ze strachu, co ją czeka.

Dróżka zaczęła się piąć w kierunku szczytu kolejnego wzgórza. Jazda stała się niebezpiecznie powolna. Jenna przeklinała swojego pecha i zastanawiała się, czy nie zjechać na bok, ale okolica była tu jeszcze bardziej skalista. Żaden kierunek nie wydawał się lepszy niż ten, w którym podążała.

Zdeterminowana, wcisnęła głębiej pedał gazu, testując granice możliwości pick-upa z napędem na cztery koła. W końcu znalazła się znów na płaskim terenie. Korzystając z tego, pokonała brawurowo zakręt na zboczu wzgórza i nagle w świetle reflektorów ujrzała zagradzające drogę rumowisko skalne.

Zahamowała ostro, ale pojazd wpadł w poślizg na piasku i kamieniach. Przedni zderzak grzmotnął w najbliższy głąz. Wystrzeliła poduszka powietrzna, uderzając Jennę w twarz jak worek cementu i pozbawiając ją oddechu. Dzwoniło jej w głowie, ale zdołała usłyszeć, jak silnik dławi się i gaśnie.

Łzy bólu napłynęły jej do oczu i poczuła smak krwi z pękniętej wargi.

– Nikko...

Husky, mimo uderzenia, utrzymał się na siedzeniu.

– Chodź...

Pchnęła drzwi i niemal wypadłszy z samochodu na ziemię, stanęła na chwiejnych nogach. W powietrzu unosił się zapach dymu i oleju.

Czyżbyśmy się spóźnili?

Odwróciła się w kierunku chmury dymu i dostrzegła wyskakującego z niej zajaca, który po chwili padł martwy. Przeszła kilka kroków – niepewnie, ale nie z powodu zatrucia. Jestem tylko oszołomiona. Taką przynajmniej miała nadzieję.

– Idź naprzód – rozkazała sobie głośno.

Nikko dołączył do niej, podskakując i machając z determinacją ogonem.

Chmura dymu za ich plecami rzedniała i była coraz bardziej postrzępiona, ale nadal pędziła ku nim jak potężna fala. Jenna wiedziała, że pieszo przed nią nie ucieknie.

Spojrzała w kierunku szczytu wzgórza.

To była jej jedyna nadzieja.

Wzięła z pick-upa latarkę i ruszyła pospiesznie pod górę. Zagwizdała na Nikka, by trzymał się blisko niej, i przeszła przez rumowisko skalne. Ujrzała rozległą łąkę porośniętą krzewami i kolczastymi floksami. Na otwartej przestrzeni mogła poruszać się szybciej. Biegła na szczyt wzgórza, przyświecając sobie latarką i wspinając się coraz wyżej.

Ale czy wzgórze było dostatecznie wysokie?

Dysząc, zmuszała nogi do maksymalnego wysiłku. Nikko mknął w milczeniu obok niej, nie zwracając uwagi na podrywające się czasem do lotu wróble czy wyskakujące z zarośli zajace.

W którymś momencie odważyła się obejrzeć za siebie. Potężna chmura dymu rozbiła się o zbocze wzgórza i rozprzestrzeniła wokół niego, wypełniając okoliczne doliny i zamieniając jego wierzchołek w wyspę otoczoną toksycznym morzem.

Ale jak długo to schronienie pozostanie bezpieczne?

Uciekała dalej od śmiertelnie niebezpiecznego wybrzeża, w kierunku szczytu wzgórza. Dotarłszy tam, ujrzała na tle rozgwieżdżonego nieba wyraźne kontury ruin wymarłej osady. Naliczyła kilkanaście stodół i innych budynków. Podobne pozostałości z czasów gorączki złota, spotykane

często na okolicznych wzgórzach, popadały zazwyczaj w zapomnienie i nie zaznaczano ich nawet na mapach – z wyjątkiem pobliskiego miasta Bodie, stanowiącego główną atrakcję Stanowego Parku Historycznego.

Pospieszyła z radością w kierunku tej lichej kryjówki, czerpiąc otuchę z faktu, że ściany i dachy zachowały się tam tak długo. Podchodząc do najbliższego budynku, wyciągnęła telefon komórkowy w nadziei, że jest dość wysoko, by mieć zasięg. Ponieważ radio pick-upa utonęło w toksycznym morzu, komórka pozostała jedynym środkiem łączności.

Spostrzegła z wielką ulgą, że ma na ekranie jedną kreskę.

Niewiele, ale nie będą narzekać, uznała.

Wybrała numer biura dyspozytora. Zdyszany Bill Howard szybko odebrał telefon.

Choć połączenie było kiepskie, usłyszała ulgę w głosie przyjaciela.

– Jen, wszystko w po...dku?

– Jestem trochę potłuczona, ale nic mi się nie stało.

– Co jest... potłuczone?

Jakość połączenia była beznadziejna. Próbowwała mówić głośniej.

– Posłuchaj, Bill. Będziecie mieli problemy.

Chciała powiedzieć mu o eksplozji, ale przerywany sygnał utrudniał łączność.

– Musicie ewakuować Lee Vining – oznajmiła, niemal krzyżąc. – A także wszystkie kempingi w tym rejonie.

– Nie dosły... O co chodzi z tą ewakuacją?

Zdesperowana zamknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze.

Może będę miała lepszy zasięg, jeśli wejdę na dach którejś z tych stodoł.

Zanim zdążyła coś postanowić, rozległo się głucho dudnienie. Początkowo sądziła, że to bicie jej własnego serca. Potem Nikko, który również usłyszał ten dźwięk, zawył. Hałas coraz bardziej narastał, więc rozejrzała się po niebie i zauważyła błysk świateł nawigacyjnych.

Śmigłowiec.

Wiedziała, że Bill nie zdążyłby przysłać tak szybko ekipy ratunkowej. Instynktownie wyłączyła latarkę i pobiegła szukać schronienia w wymarłym miasteczku. Dotarła do pierwszych zabudowań i kiedy pojawił się śmigłowiec, ukryła się za starą stodołą.

Rozpoznała jego smukłą czarną sylwetkę. Była to ta sama maszyna, która wystartowała z bazy wojskowej tuż przed eksplozją.

Czyżby zauważyli w strefie wybuchu mojego pick-upa i zawrócili? Ale po co?

Nie znając odpowiedzi na to pytanie, wołała się nie pokazywać. Zobaczyła otwarte na oścież wrota stodoły i wślizgnęła się tam pospiesznie razem z Nikkiem. Weszła w głąb jej mrocznego wnętrza, zatrzymując się tylko na chwilę, by zerknąć na komórkę.

Rozmowa z Billem została przerwana i telefon stracił zasięg.

Była odcięta od świata i skazana na siebie.

Po drugiej stronie stodoły wyjrzała ostrożnie przez stłuczone okno. Śmigłowiec zawisnął tuż nad łąką. Gdy płozami dotykał już niemal ziemi, wyskoczyli z niego ubrani na czarno mężczyźni. Zarośla wokół maszyny pochyliły się od podmuchu śmigieł.

Jennie serce podeszło do gardła, gdy zauważyła karabiny na ramionach mężczyzn.

To nie była ekipa ratunkowa.

Dotknęła swej jedynej broni, którą miała w kaburze na biodrze. Paralizator. Zgodnie z prawem strażnicy leśni ze stanu Kalifornia mogli nosić broń palną, ale nie wtedy, gdy towarzyszyli wycieczkom.

Nikko zawarczał, słysząc hałasy na zewnątrz.

Jenna uciszyła go gestem ręki. Wiedziała, że tylko pozostając w ukryciu, mają szansę ocaleć.

Skradając się, zobaczyła, że ostatni z mężczyzn – prawdziwy olbrzym – wyskoczył ze śmigłowca i odszedł kilka kroków na bok. Niósł broń z długą lufą. Nie rozpoznała jej, dopóki nie trysnął strumieniem ognia, podpalając łękę.

Miotacz ognia.

Dopiero po chwili zrozumiała, po co mu taka broń. Gdy zacisnęła palce na parapecie okna stodoły, zorientowała się, że drewno, z którego go wykonano, jest wyschnięte i wypaczone. Jej kryjówka była prawdziwą beczką prochu.>

Na zewnątrz grupka uzbrojonych mężczyzn rozproszyła się, szykując się do okrążenia niewielkiego skupiska budynków.

Muszą wiedzieć, że tu jestem, ukryta gdzieś w tej wymarłej osadzie.

Ich plan był jasny. Zamierzali wykurzyć ją na otwartą przestrzeń.

Za plecami mężczyzn kłębiło się wokół szczytu wzgórza toksyczne morze. Z tej wyspy nie było ucieczki. Jenna przykucnęła, rozważając gorączkowo, jakie ma możliwości. Pozostawała tylko jedna.

Nie wyjdę z tego cało.

Nie oznaczało to jednak, że przestała być strażniczką. Zostawi przynajmniej wiadomość, co jej się przydarzyło.

Kiedy podszedł do niej Nikko, przytuliła go mocno, być może po raz ostatni.

– Musisz jeszcze coś dla mnie zrobić, stary – wyszeptała mu do ucha.

Pomachał ogonem.

– Dobry pies.

Park Takoma, stan Maryland
27 kwietnia, godzina 23.10 czasu miejscowego

Jak się wali, to wszystko naraz...

Gray Pierce pędził na motorze po mokrej nawierzchni na przedmieściach. Od tygodnia szalały ulewy. Woda nie spływała do kanałów i na poboczu drogi pełno było zdradliwych kałuż. Przecinając światłem reflektora strugi deszczu, jechał do ojca.

Parterowy domek stał w połowie drogi do następnej przecznicy. Gray dostrzegł już z daleka rzęście oświetlone okna, werandę i wiszącą na niej drewnianą huśtawkę. Dom wyglądał tak jak zawsze. Nic nie zwiastowało burzy, która oczekiwała Graya wewnątrz.

Gdy dotarł na podjazd, zakręcił i stanął przy garażu w głębi posesji. Za domem rozległ się ochrypły wrzask, którego nie zagłuszył nawet ryk silnika Yamaha V-Max.

Wyglądało na to, że sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Kiedy wyłączył silnik, zza domu wyłoniła się jakaś postać. Młodszy brat Graya, Kenny, szedł w strugach deszczu. Miał rumianą twarz Walińczyka i gęste ciemne włosy. Ewidentnie pochodzili z jednej rodziny.

Ale na tym ich podobieństwo się kończyło.

Gray ściągnął kask, zeskoczył z motoru i stanął przed rozsierdzonym bratem. Choć byli tego samego wzrostu, Kenny miał wydatny brzuch, którego się dorobił, pracując przez dziesięć lat jako programista w Kalifornii i nadużywając alkoholu. Ostatnio wziął urlop w pracy i wrócił do domu, by opiekować się ojcem. Niemal co tydzień odgrażał się jednak, że wyjedzie z powrotem na Zachodnie Wybrzeże.

– Dłużej już tego nie zniosę – oznajmił, zaciskając pięści i czerwieniejąc z gniewu. – Musisz przemówić mu do rozsądku.

– Gdzie on jest?

Kenny, rozdrażniony i zażenowany, wskazał ręką na ogród.

– Co tam robi w czasie deszczu? – Gray ruszył na zaplecze domu.

– Ty mi to powiedz.

Gray dotarł do ogrodu. Pojedyncza lampa nad wejściem do kuchni dawała niewiele światła, ale bez trudu zauważył wysokiego mężczyznę, stojącego przy rzędzie oleandrów obok płotu. Znieruchomiał przez chwilę, próbując zrozumieć, co się dzieje.

Ojciec stał bosy i prawie nagi, w przemokniętych bokserkach, które kleiły się do jego kościstej sylwetki. Wznosząc chude ramiona, patrzył w niebo, jakby modlił się do jakiegoś boga burzy. Potem zaczął poruszać rękami jak sekatorem.

– Wydaje mu się, że przycina oleandry – wyjaśnił Kenny, który trochę się uspokoił. – Przedtem wałęsał się po kuchni. To już drugi raz w tym tygodniu. Nie mogłem zaciągnąć go

z powrotem do łóżka. Wiesz, jaki potrafił być uparty... nawet zanim... zanim się to wszystko zaczęło.

Alzheimer...

Kenny rzadko wypowiadał to słowo, jakby się obawiał, że mówiąc o tej chorobie, zarazi się nią.

– Dlatego właśnie zadzwoniłem – powiedział. – Ciebie słucha.

– Od kiedy? – mruknął Gray.

Gdy dorastał, miał z tatą burzliwe relacje. Ojciec był kiedyś teksaskim nafciarzem, twardym facetem o niezależnym charakterze, dopóki nie stracił połowy nogi w wypadku na platformie wiertniczej. Wtedy stał się zgorzkniały i zgryźliwy i wyżywał się na starszym synu. Z tego powodu Gray wyniósł się w końcu z domu, najpierw do wojska, a potem do Sigmy.

Stojąc teraz w ogrodzie, próbował odnaleźć w tej kruchej postaci dawnego wkurzającego twardziela. Wpatrywał się w jego żebra, zwiotczałą skórę, kręgosłup. Nie był to nawet cień jego dawnego ojca, a jedynie szkielet, zniszczony wiekiem i chorobą.

Gray podszedł do niego i dotknął delikatnie jego ramienia.

– Tato, już wystarczy.

Ojciec spojrzał na niego zaskakująco przytomnym wzrokiem. Niestety, w jego oczach błyszczał dawny gniew.

– Te krzewy trzeba przyszczyć. Sąsiedzi już się skarżą. Twoja matka...

Nie żyje.

Gray stłumił w sobie poczucie winy, zaciskając dłoń na ramieniu ojca.

– Zrobię to, tato.

– A co ze szkołą?

Gray dostosował się do jego toku myślenia.

– Zrobię to po szkole, dobrze? – rzucił gładko.

Zamglone błękitne oczy ojca straciły blask.

– Nie zawieź, chłopcze. Człowiek powinien dotrzymywać słowa.

– Obiecuję.

Gray zaprowadził go przez tylny ganek do kuchni. Ruch, ciepło i jaśniejsze światło sprawiły, że ojciec powoli odzyskiwał świadomość.

– Gray... co ty tu robisz? – spytał ochryple, jakby widział go pierwszy raz.

– Wpadłem, żeby sprawdzić, jak się miewasz.

Wychudzona dłoń poklepała go po plecach.

– Na to może napijemy się piwa?

– Innym razem. Muszę wracać do Sigmy. Wzywają mnie obowiązki.

Była to prawda. Kat złapała go w drodze z mieszkania i poprosiła, żeby przyszedł do niej do centrali Sigma Force w Waszyngtonie. Gdy wyjaśnił, że ma problemy z ojcem, dała mu trochę czasu. Słyszał jednak niepokój w jej głosie i nie chciał jej zawieść.

Spojrzał na brata.

– Zaprowadzę go do łóżka – powiedział Kenny. – Po takich ekscesach przesypia zwykle resztę nocy.

Dobrze, pomyślał Gray.

– Ale, Gray, to jeszcze nie koniec – dodał Kenny, zniżając głos. – Nie mogę tak żyć. Rozmawiałem o tym dzisiaj z Mary.

Gray poczuł lekką irytację, że nie był obecny przy tej rozmowie. Mary Benning,

wykwalifikowana pielęgniarka, opiekowała się ich ojcem w ciągu dnia. Nocami zajmował się nim głównie Kenny, a Gray pomagał mu, kiedy mógł.

– I co Mary sądzi?

– Ojciec potrzebuje całodobowego nadzoru i odpowiednich zabezpieczeń. Systemu alarmowego, bramek przy schodach. Albo...

– ...albo domu opieki.

Brat skinął głową.

Ale przecież tu jest jego dom.

Kenny musiał dostrzec jego zaszokowane spojrzenie.

– Nie musimy decydować natychmiast – powiedział. – Mary dała mi na razie numery kilku pielęgniarek, które mogą przychodzić na nocną zmianę. Myślę, że nam obu przyda się urlop.

– Zgoda.

– Załatwię wszystko – oznajmił Kenny.

Gray podejrzewał, że nagła przedsiębiorczość brata wynika z chęci pozbycia się obowiązków wobec ojca i powrotu do Kalifornii. Zdawał sobie jednak sprawę, że Kenny ma zapewne rację. Coś musieli zrobić.

Gdy brat prowadził ojca w kierunku schodów i do sypialni na górze, Gray wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do Sigmy. Kat odebrała niemal natychmiast.

– Już przyjeżdżam – poinformował ją.

– Lepiej się pośpiesz. Sytuacja coraz bardziej się pogarsza.

Gray spojrzał w kierunku schodów.

Z całą pewnością.

Godzina 23.33

Komandor Gray Pierce dotarł do siedziby Sigmy w ciągu kwadransa; pędził yamahą na złamanie karku po pustych niemal ulicach, jakby ścigały go duchy, a równocześnie gnało pilne wezwanie do Waszyngtonu. Mógł się od tego wymigać, ale w mieszkaniu czekały na niego same zmartwienia. Nawet łóżko miał teraz zimne i puste, bo Seichan przebywała nadal w Hongkongu; pomagała matce zbierać fundusze dla ubogich dziewcząt z Azji Południowej.

Na razie więc potrzebował ruchu.

Gdy tylko w podziemiach kwatery Sigmy otworzyły się drzwi windy, Gray wyszedł na korytarz. Ośrodek zajmował dawno opuszczone bunkry z czasów drugiej wojny światowej i schrony przeciwatomowe pod Smithsonian Castle. Jego potajemne usytuowanie na skraju parku National Mall zapewniało członkom Sigmy łatwy dostęp zarówno do siedziby władz, jak i do licznych laboratoriów i zbiorów Instytutu Smithsona.

Gray skierował się do miejsca, gdzie znajdował się mózg ośrodka – centrum wywiadu i łączności.

Kat musiała usłyszeć jego kroki, bo wyszła mu na spotkanie. Pomimo późnej pory i długiego dnia pracy miała na sobie nieskazitelnie odprasowany mundur. Kasztanowe włosy upięła starannie w pensjonarski kok, ale poza tym nie było w niej nic z pensjonarki. Przywitała komandora skinieniem głowy, z powagą w oczach.

– Co się dzieje? – spytał.

Nie tracąc czasu na wyjaśnienia, odwróciła się i weszła do centrum łączności Sigmy. Podążył za nią do okrągłego pomieszczenia z monitorami i stanowiskami komputerowymi. Zazwyczaj obsługiwało je dwóch lub trzech techników, gdy jednak operacja przebiegała pełną parą, mogło ich być dwa razy więcej. Ale o tak późnej porze czekała na nich tylko jedna osoba: główny analityk Kat, Jason Carter.

Młody człowiek siedział przy komputerze, tłukąc palcami w klawiaturę. Był w czarnych dżinsach i T-shircie z napisem Boston Red Sox. Jego jasne jak len włosy były rozczochrane, jakby dopiero się obudził, ale zmęczona twarz świadczyła raczej o tym, że w ogóle nie spał. Choć miał dopiero dwadzieścia dwa lata, przejawiał wyjątkowe zdolności, zwłaszcza w dziedzinie układów scalonych. Według Paintera, Jasona wyrzucono z marynarki za to, że włamał się do serwerów gry komputerowej *Day of Defeat*, używając tylko telefonu BlackBerry i skleconego prowizorycznie iPada. Po tym incydencie Kat osobiście zwerbowała chłopaka do Sigmy i wzięła go pod swoje skrzydła.

– Nieco ponad godzinę temu w wojskowym ośrodku badawczym w Kalifornii doszło do jakiejś katastrofy – poinformowała Graya. – Rozpaczliwie wzywali pomocy. – Dotknęła ramienia Jasona.

Chłopak wcisnął klawisz, włączając nagranie. Usłyszeli zdenerwowany głos kobiety, która starała się zachować spokój.

Tu SVW, sierra, victor, whiskey. Doszło do awarii. Zainicjowano całkowite wyłączenie systemu. Bez względu na wynik: zabijcie nas... zabijcie nas wszystkich.

– Ustaliliśmy, że dzwoniła doktor Irene McIntire, główny analityk systemowy bazy – dodała Kat.

Na ekranie komputera pojawiło się zdjęcie ubranej w fartuch laboratoryjny kobiety w średnim wieku. Była uśmiechnięta, a jej oczy błyszczały z podniecenia. Gray próbował zestawić ten obraz ze zdesperowanym głosem, który przed chwilą słyszał.

– Nad czym pracowali? – spytał.

Jason przerwał mu, przyciskając mocniej do ucha słuchawkę Bluetooth.

– Dotarli na miejsce. Już wchodzą.

– Tego właśnie mam nadzieję się dowiedzieć – odparła Kat w odpowiedzi na pytanie komandora. – Wiem tylko, że stacja badawcza musiała się zajmować czymś niebezpiecznym, skoro podjęto tak drastyczne środki zaradcze. Na zdjęciach satelitarnych widać eksplozję. Chmurę dymu.

Jason wyświetlił te zdjęcia, szybko je przerzucając. Chociaż były niewyraźne, Gray dostrzegł bez trudu błysk ognia i kłęby oleistego czarnego dymu.

– Przez ten dym nie widzimy nadal, w jakim stanie jest baza – powiedziała Kat. – A nie było już potem łączności.

– Musieli tam wszystko zniszczyć.

– Na razie na to wygląda. Painter zasięga informacji na Zachodnim Wybrzeżu, korzystając z lokalnych źródeł. Prosił mnie o więcej szczegółów na temat funkcjonowania tej bazy. – Kat odwróciła się do Graya z troską w oczach. – Dowiedziałam się już, że zarządza nią DARPA.

Nie potrafił ukryć zdziwienia. DARPA była agencją Departamentu Obrony, nadzorującą działalność Sigma Force – ale o jej istnieniu wiedziała tylko garstka ludzi mających dostęp do najtajniejszych informacji. Nie powinna go jednak aż tak zaszokować wiadomość, że baza miała powiązania z DARPA. Ta wojskowa agencja miała setki ośrodków, podzielonych na kilka

oddziałów i rozsianych po całym kraju. Większość z nich działała niemal bez nadzoru, całkowicie niezależnie, zatrudniając najbardziej utalentowanych ludzi na swoim terenie. Szczegóły każdej operacji znane były tylko wybranym.

I najwyraźniej my nie musieliśmy ich znać, pomyślał Gray.

– Kiedy doszło do katastrofy, w bazie przebywało ponad trzydzieści osób – oznajmiła Kat. Sądząc po jej napiętych mięśniach i zaciśniętych wargach, była wściekła.

Gray, wpatrując się w czarną chmurę dymu na monitorze, rozumiał tę wściekłość.

– Czy wiesz, który konkretnie wydział DARPA zarządził tę bazą?

– WB. Wydział Biotechnologii. Jest stosunkowo nowy. Ich misją jest badanie powiązań między biologią a fizyką.

Komandor zmarszczył brwi. Zajmował się w Sigmie podobnymi zagadnieniami. Był to niebezpieczny obszar, obejmujący wszystko, od inżynierii genetycznej po biologię syntetyczną.

W korytarzu rozległy się głosy dochodzące od strony windy. Obejrzał się przez ramię.

– Po uzyskaniu zgody od Paintera poprosiłam dyrektora WB, doktora Luciusa Raffeeego, żeby do nas dołączył i pomógł rozwiązać problem – wyjaśniła Kat.

Głosy nadchodzących przybyszów wyrażały napięcie i niepokój, że wezwano ich o północy.

W drzwiach centrum łączności pojawili się dwaj mężczyźni. Pierwszy był cudzoziemcem, dystyngowanym Afrykańczykiem, ubranym w sięgający do kolan płaszcz i garnitur od Armaniego. Wyglądał na pięćdziesiąt parę lat, miał szpakowate włosy i kocią bródkę.

– Doktorze Raffee – Kat podeszła do niego i uściśnęła mu rękę – dziękuję za przybycie.

– Pani człowiek nie pozostawił mi wielkiego wyboru. Wychodziłem właśnie ze spektaklu *Cyganerii* w Kennedy Center, kiedy mnie zgarnął.

Eskortujący doktora Monk Kokkalis wcisnął się do pokoju. Był olbrzymem o ogolonej głowie i muskulaturze gracza w futbol. Rzucił Grayowi znaczące spojrzenie, jakby chciał powiedzieć „uważaj na tego faceta”, po czym podszedł do Kat i pocałował ją delikatnie w policzek.

– Kochanie, wróciłem do domu – wyszeptał żonie na ucho.

Doktor Raffee powiódł po nich spojrzeniem, próbując pojąć, jak to możliwe, że są małżeństwem. Gray rozumiał jego skonfundowanie. Stanowili przedziwną parę.

– Zakładam, że mąż zapoznał pana z sytuacją w Kalifornii – powiedziała Kat.

– Owszem. – Doktor Raffee westchnął ciężko. – Obawiam się jednak, że nie jestem w stanie dostarczyć pani żadnych konkretnych informacji na temat tego, co się tam wydarzyło... ani powiedzieć nic o skutkach, jakie mogły wywołać zastosowane w bazie drastyczne środki zaradcze. Zadzwoiłem do kilku moich kluczowych współpracowników, żeby zajęli się tą sprawą. Mam nadzieję, że wkrótce czegoś się od nich dowiemy. Na razie wiem tylko tyle, że szefem naukowców był tam doktor Kendall Hess, specjalista od astrobiologii zajmujący się badaniami alternatywnej biosfery.

Kat uniosła brwi.

– Alternatywnej biosfery?

Machnął lekceważąco ręką.

– Poszukiwał radykalnie odmiennych form życia, zwłaszcza tych, które istnieją dzięki nietypowym procesom biochemicznym lub molekularnym.

Gray trochę się na tym znał.

– Na przykład organizmy wykorzystujące RNA zamiast DNA – rzucił.

– Właśnie. Ale alternatywne biosfery mogą być nawet bardziej ezoteryczne. Hess sugerował, że istnieją, być może, utajone formy życia wykorzystujące całkowicie odmienny zestaw aminokwasów niż ten, który znamy. Dlatego założył stację badawczą nad jeziorem Mono.

– Czego tam szukał? – spytał Gray.

– W dwa tysiące dziesiątym roku naukowcy z NASA pobrali z tego wysoce alkalicznego jeziora bakterię i sprawili, że w swych procesach biochemicznych wykorzystywała arsenik zamiast fosforu.

– Jakie to ma znaczenie? – spytał Monk.

– Jako astrobiolog Hess znał ich badania. Jego zdaniem, takie odkrycie dowodziło, że arsenik stanowił prawdopodobnie podstawę pierwotnego życia na Ziemi. Wysunął też hipotezę, że gdzieś na naszej planecie może istnieć rozwinięta biosfera organizmów, które również bazują na arseniku.

Gray rozumiał zapał Hessa. Takie odkrycie oznaczałoby rewolucję w biologii i otworzyło całkowicie nowy rozdział w badaniach dotyczących życia na Ziemi.

Raffee zmarszczył czoło.

– Ale Hess badał również wiele innych potencjalnych biosfer. Na przykład lakier pustynny. – Widząc brak zrozumienia na ich twarzach, wyjaśnił to dokładniej: – Lakier pustynny jest występującą na powierzchniach skał powłoką o kolorze od rdzawego do czarnego. Niegdyś tubylcy, zdrapując ją, tworzyli swoje petroglify.

Gray przypomniał sobie znajdowane w jaskiniach na całym świecie naskalne rysunki ludzi i zwierząt.

– Co najdziwniejsze – kontynuował Raffee – nadal nie wiadomo, w jaki sposób powstaje lakier pustynny. Czy w wyniku reakcji chemicznej? Czy też jest produktem ubocznym jakiegoś nieznanego procesu mikrobiologicznego? Nikt tego nie wie. Od czasów Darwina trwają spory, czy to żywy organizm.

Monk mruknął z irytacją:

– Ale co ma wspólnego badanie jakichś osadów na skałach z rozpaczliwym wzywaniem pomocy i z eksplozją?

– Nie wiem. Przynajmniej na razie. Wiem jedynie, że badania Hessa zwróciły uwagę prywatnego sektora i że część z nich przejęła korporacja joint venture w ramach Federalnego Programu Transferu Technologii. – Wzruszył ramionami. – Tak się dzieje, gdy jest tyle cięć budżetowych w sektorze badań i rozwoju.

– Czym zajmuje się ta korporacja? – spytała Kat.

– Badając alternatywne biosfery, Hess odkrył całe mnóstwo nowych ekstremofili, organizmów, które rozwijają się w skrajnych lub nietypowych warunkach środowiskowych. Takie bakterie są nieocenionym źródłem odkryć unikatowych substancji i związków chemicznych. Jeśli połączyć to z dynamicznym rozwojem biologii syntetycznej, z testami laboratoryjnymi w dziedzinie inżynierii genetycznej, mamy potencjalnie bardzo lukratywny biznes.

Komandor Gray Pierce wiedział, że tacy korporacyjni giganci, jak Monsanto, Exxon, DuPont czy BP, pompowali już miliardy dolarów w tego typu przedsięwzięcia. A przy wysokich stawkach korporacje często przedkładają zysk nad bezpieczeństwo.

– Jeśli prawdą jest, że prace doktora Hessa finansował prywatny sektor, to czy powodem tego wypadku nie mógł być sabotaż? – spytał Gray.

– Trudno powiedzieć, ale wątpię. Jego badania miały dość altruistyczny charakter. Nazywał je Projektem Neogenesis.

– Jaki był ich cel? – spytała Kat.

– Bardzo wzniosły. Doktor Hess uważa, że potrafi spowolnić albo zatrzymać proces wymierania coraz większej liczby gatunków na naszej planecie, spowodowany działalnością człowieka, zwłaszcza zanieczyszczeniem środowiska i zmianami klimatycznymi. Powiedział kiedyś na wykładzie, że Ziemia zmierza w kierunku szóstej masowej zagłady, porównywalnej w skutkach z uderzeniem asteroidy, po którym wyginęły dinozaury. Pamiętam, jak mówił, że wzrost globalnej temperatury zaledwie o dwa stopnie spowodowałyby natychmiastową śmierć milionów gatunków.

Kat uniosła brwi.

– A jak doktor Hess zamierzał temu zapobiec?

Raffee rozejrzał się po pokoju, jakby odpowiedź była oczywista.

– Uważa, że znalazł sposób, by nie dopuścić do zagłady.

– Dzięki Projektowi Neogenesis? – spytała Kat.

Gray pojął nagle sens tej nazwy.

Nowy początek.

Spojrzał na widoczny wciąż na ekranie obraz chmury dymu. Ten człowiek miał wzniosły cel, ale równocześnie jego pycha kosztowała być może życie trzydziestu kobiet i mężczyzn.

A Gray przeczuwał, że na tym nie koniec.

Ilu jeszcze ludzi zginie?

Jezioro Mono, Kalifornia
27 kwietnia, godzina 20.35 czasu miejscowego

Już długo tak nie wytrzymam.

Jenna leżała płasko na brzuchu pod zardzewiałym starym traktorem. Widziała wyraźnie śmigłowiec stojący na łące obok wymarłej osady. Zrobiła kilka zdjęć telefonem. Nie odważyła się użyć lampy błyskowej, by nie zauważył jej któryś z mężczyzn. Musiała się wykazać nie lada ostrożnością i cierpliwością, żeby przepelznąć ze stodoły do tej liczej kryjówki.

Wyciągnęła szyję, śledząc wzrokiem barczystego mężczyznę, który obchodził wkoło niewielkie skupisko drewnianych domów na szczycie wzgórza. Włączył miotacz ognia, z którego wystrzelił z hukiem oślepiający trzymetrowy płomień. Podpalił trawę, krzaki i najbliższe zabudowania, zamieniając wzgórze w krajobraz piekła. Dym wzniósł się wysoko, przypominając Jennie o toksycznym morzu, które uwięziło ją w tym miejscu.

Być może nie zdoła uciec, ale to nie znaczyło, że nie zostawi czegoś po sobie, jakiejś informacji na temat tego, co się wydarzyło.

Otarła wierzchem dłoni pot z czoła. Starła się zrobić jak najwięcej zdjęć śmigłowca i uzbrojonych mężczyzn. Miała nadzieję, że ktoś potrafi zidentyfikować tę maszynę albo rozpoznać na fotografiach kilka twarzy. Udało jej się zrobić zbliżenie olbrzyma, który używał miotacza ognia. Miał ciemną karnację Latynosa, czarne włosy pod wojskową czapkę i wyraźną fioletową bliznę na podbródku.

Facet z taką fizjonomią musi figurować w jakiejś policyjnej bazie danych, pomyślała.

Wiedząc, że zrobiła, co mogła, obróciła się na bok i zobaczyła parę oczu, lśniących w ciemności w blasku ognia. Nikko dyszał cicho z wywieszonym językiem. Poglądziła go po grzbiecie. Był spięty i gotowy do biegu, ale musiała go prosić o coś więcej.

Przymocowała etui komórki do skórzanej obroży psa, po czym objęła dłońmi jego pysk. Wpatrywał się w nią z determinacją.

– Zostań, Nikko.

By wzmocnić tę komendę, uniosła dłoń i zacisnęła ją w pięść.

– Zostań – powtórzyła.

Przestał dyszeć, za to cicho zaskomlał.

– Wiem, ale musisz tu zostać.

Potarmosiła psu pysk, by dodać mu otuchy. Wtulił go w jej dłoń, jakby prosząc, by nie odchodziła.

Bądź dzielny. Jeszcze ten jeden raz, dobrze? – poprosiła go w myślach.

Odsunęła jego łeb. Spuścił go posępnie i położył na łapach. Cały czas jednak patrzył swojej pani w oczy. Został jej towarzyszem, kiedy tylko zaczęła pracę strażniczki w parku. Była wtedy

świeżo po szkole, a on przeszedł właśnie szkolenie dla psów ratowników. Dojrzewali razem, zarówno w sensie zawodowym, jak i osobistym, stając się partnerami i przyjaciółmi. Był również przy niej, gdy dwa i pół roku temu zmarła na raka piersi jej matka.

Matka Jenny stoczyła długą, brutalną walkę z chorobą, która wykończyła jej męża. Pograżony w rozpacz i poczuciu winy, pozostał cieniem człowieka, którym kiedyś był. Ta śmierć wytworzyła między Jenną a ojcem przepaść. Jenna potajemnie poddała się testowi BRCA, który potwierdził, że posiada jeden z dwóch dziedzicznych markerów genetycznych wskazujących na podwyższone ryzyko zachorowania na raka piersi. Dotąd jeszcze nie oswoiła się w pełni z tą informacją ani nie wspomniała o tym ojcu.

Pograżyła się w pracy, czerpiąc pociechę z piękna dzięki przyrody, odnajdując spokój w zmianach pór roku, w niekończącym się cyklu śmierci i narodzin. Strażnicy parku, z którymi dobrze się rozumiała, stali się de facto jej rodziną. Przede wszystkim jednak spotkała Nikka.

Ponownie cicho zaskowyczał, jakby wiedział, co Jenna musi zrobić.

Nachyliła się ku niemu, dotykając nosem jego pyska.

Ja też cię kocham, stary.

Rozpaczliwie pragnęła z nim zostać, ale pamiętała, jak matka dzielnie stawiała czoło temu, co nieuchronne. Teraz nadeszła jej kolej.

Zabezpieczywszy i ukrywszy przy obroży Nikka dokumentację wydarzeń, wiedziała, co musi zrobić. Poklepała raz jeszcze psa i wytoczyła się spod traktora. Musiała wywabić intruzów jak najdalej od kryjówki Nikka. Wątpiła, by ścigający ją mężczyźni wiedzieli, że ma tresowanego psa, albo się nim przejmowali. Ich celem było wyeliminowanie świadków, którzy mogli zeznawać. Gdy tego dokonają, powinni się wycofać. Miała nadzieję, że wtedy ktoś zacznie jej szukać – i znajdzie Nikka wraz z dowodami, które zostawiła.

Tylko tyle mogła zrobić.

No i zmusić prześladowców do morderczego pościgu.

Ruszyła lekkim sprintem, uciekając od płomieni w kierunku najmroczniejszej części wzgórza. Gdy przebiegła jakieś trzydzieści metrów, usłyszała z lewej strony wrzask, triumfalny krzyk myśliwego, który dostrzegł zwierzyne.

Pognała szybciej, mając w głowie tylko jedną myśl.

Żegnaj, przyjacielu.

Godzina 20.35

Doktor Kendall Hess wzdrygnął się na dźwięk ognia karabinów. Wyprostował się w fotelu, prężąc ramiona, by wyrzeć przez boczne okienko śmigłowca. Plastikowe kajdanki, które krępowały mu za plecami nadgarstki, wbijały się boleśnie w skórę.

Co się działo?

Próbował ocknąć się z odurzenia. Domyślał się, że dostał ketaminę i valium, choć nie mógł być pewien, jaki środek usypiający wstrzyknięto mu w udo, gdy został schwytany w laboratorium.

Widział jednak, co się wydarzyło, gdy śmigłowiec wyleciał z bazy. Całe ciało bolało go na wspomnienie eksplozji będącej środkiem zaradczym, który zdołał zastosować w ostatniej chwili.

Miał nadzieję, że jego radykalna akcja unieszkodliwi to, co wydostało się z biolaboratorium na Poziomie 4, ale nie mógł być tego pewien. Wraz ze swoim zespołem stworzył w tym podziemnym laboratorium wczesny prototyp czegoś, co było zbyt niebezpieczne, by mogło się znaleźć w realnym świecie. Ktoś jednak dokonał sabotażu.

Ale dlaczego?

Przypomniał sobie twarze kolegów.

Zginęli. Wszyscy zginęli.

Z płonącego wzgórza rozbrzmiała echem kolejna seria strzałów.

Kendall pozostał w śmigłowcu z jednym strażnikiem, ale mężczyzna wyglądał przez okno po drugiej stronie, najwyraźniej mając ochotę dołączyć do pościgu. Gdyby pilot wcześniej nie zauważył uciekającego pick-upa – z logo straży leśnej – Kendall mógłby mieć nadzieję na ratunek, dla siebie i dla każdego, kto znajdował się w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od jego dawnego laboratorium.

Modlił się, by jego środek zaradczy zadziałał. Dym zawierał sporządzoną przez ich zespół trującą bojową mieszankę VX i saxitoksinu, gazu paralizującego i śmiertelnej pochodnej organofosforanów. Żaden żywy organizm nie może ocaleć w kontakcie z tą substancją.

Z wyjątkiem tego, co stworzyłem.

Jego zespół nie odkrył jeszcze, jak można zniszczyć ten syntetyczny mikroorganizm. Gaz paralizujący miał jedynie zapobiec jego rozprzestrzenianiu się, zabić wszelkie organizmy, które mogły go przenosić.

Słyszając serie strzałów, wyobrażał sobie nieznanego strażnika parku, który dzielnie się bronił, choć jego przeciwnicy mieli wyraźną przewagę. Wciąż jednak walczył.

A co ja mogę zrobić?

Kendall starał się otrząsnąć z zamroczenia. Próbował rozerwać plastikowe kajdanki, by ból pomógł mu się skoncentrować. Całą jego uwagę skupiała jedna zagadka. Sabotażyści zastrzelili wszystkich w bazie albo pozwolili im zginąć wskutek eksplozji.

Więc dlaczego ja jeszcze żyję? Czego ode mnie chcą?

Postanowił z nimi nie współpracować, ale zdawał sobie również sprawę, że mogą go złamać. Jak każdego. Mógł pokrzyżować im plany tylko w jeden sposób.

Gdy rozległa się kolejna seria strzałów, Kendall wykręcił ręce tak, by rozpiąć pas bezpieczeństwa. Kiedy się od niego uwolnił, otworzył drzwi i wypadł z kabiny śmigłowca. Odbił się nogą od ziemi i zaczął uciekać.

W kabinie rozległ się przeraźliwy krzyk ochroniarza, a potem głośny strzał.

Pocisk trafił w ziemię obok lewej nogi Kendalla.

Ten zignorował zagrożenie, zakładając, że porywacze chcą go mieć żywego. Z wciąż skrępowanymi rękami biegł przed siebie. Potykał się o trawę, krzaki raniły mu nogi. Kierował się w stronę chmury dymu na zboczach wzgórza.

Zmierzał ku pewnej śmierci.

Zaczął biec szybciej.

Tak będzie lepiej.

Ponieważ wszyscy byli zajęci ściganiem strażnika parku, nabrał wiary w siebie.

Dam radę... zasłużyłem na to...

Nagle, z niewiarygodną szybkością, pojawił się za nim widoczny w świetle pożaru drżący cień. Silny cios w nerki powalił go w zarośla twarzą do ziemi. Kendall upadł na kolana.

Na tle płomieni rysowała się potężna sylwetka.

Nie musiał widzieć poszarpanej blizny, by rozpoznać dowódcę grupy szturmowej, który stanął nad nim, uniósł rękę i uderzył go stalową kolbą karabinu.

Kendall nie mógł odparować ciosu. Nos i czoło rozsadzał mu ból. Runął do tyłu, czując, jak wiotczeją mu kończyny. Cały świat pogrążył się w mroku.

Zanim zdołał się poruszyć, napastnik chwycił go za kostkę i pociągnął w kierunku śmigłowca. W plecy Kendalla wbijały się ciernie i ostre kamienie. Może potrzebowali go żywego, ale najwyraźniej nie miało znaczenia, w jakim będzie stanie.

Stracił na chwilę przytomność i ocknął się dopiero, gdy wrzucono go do kabiny. Wydawano rozkazy po hiszpańsku. Usłyszał słowa *apúrate* i *peligro*.

Przetłumaczył je w zamroczeniu.

„Pospiesz się” i „niebezpieczeństwo”.

Świat wypełnił się nagle głuchym łoskotem, a potem zachwiaił się w posadach. Kendall zdał sobie sprawę, że śmigłowiec się wznosi.

Obrócił się na tyle, by wyrzec przez okno. Pod płozami maszyny biegły przez płonące wymarłe miasto mroczne postacie. Wyglądało na to, że śmigłowiec zostawia resztę grupy szturmowej.

Ale dlaczego?

Pilot gestykułował rozpaczliwie, pokazując na ziemię.

Kendall przyjrzał się uważniej i nagle pojął zagrożenie. Toksyczna chmura gazu bojowego zaczęła się unosić z okolicznych dolin. Początkowo sądził, że spowodował to podmuch wirników śmigłowca, ale potem zrozumiał.

Prąd wstępujący!

Szalejący pożar wypychał ku górze kolumnę gorącego powietrza, a ono pociągało za sobą śmiercionośny gaz, otulając nim jak welonem płonące wzgórza.

Nic dziwnego, że zarządzono pospieszną ewakuację. Kendall zmierzył wzrokiem masywną postać dowódcy grupy, siedzącego naprzeciw niego z karabinem na kolanach. On również wyglądał przez okno, ale patrzył w niebo, jakby spisał już na straty swoich ludzi.

Kendall nie mógł być tak bezduszny.

Spojrzał w dół, wypatrując ściganego strażnika parku. Nie miał nadziei, że ocaleje, ale ten człowiek zasługiwał, by ktoś był świadkiem jego śmierci albo przynajmniej się za niego pomodlił. Wyszeptał parę słów w jego intencji, gdy śmigłowiec odlatywał znad skłębionego, czarnego morza trucizny.

Obym się nie mylił co do tego gazu.

Przed wszystkim – nic nie może przeżyć.

Jezioro Mono, Kalifornia

27 kwietnia, godzina 20.49 czasu miejscowego

Jenna przycupnęła w głębi rozsypującego się budynku dawnego sklepu. Przyłgnęła plecami do wysmarowanego kolorowym graffiti kontuaru. Nad jej głową stały na spowitych srebrnymi pajęczynami drewnianych półkach omszałe butelki z poskręcanyymi ze starości etykietami. Z powodu kurzu z trudem powstrzymywała się od kichania. Starła się nie zwracać uwagi na ból draśniętego pociskiem ramienia.

Trzymaj się, mówiła sobie w duchu.

Nasłuchiwała, czy nie zbliża się któryś z uzbrojonych mężczyzn, co nie było łatwe, bo serce waliło jej jak młotem. Miała szczęście, że udawało jej się tak długo ukrywać, lawirując wśród kilku ocalałych budynków, których jeszcze nie podpalono.

Tym razem zdołała się wymknąć tylko dzięki temu, że jej prześladowców całkowicie zaskoczył odlot śmigłowca. Byli zdezorientowani na tyle długo, że zdążyła pobiec jak szalona w kierunku sklepu, zdumiona nie mniej niż oni tym, co się dzieje.

Dlaczego załoga maszyny zostawiła tych ludzi na ziemi? Może zamierzano po nich wrócić, kiedy ją znajdą i załatwią?

Przed chwilą udało jej się zauważyć, jak wciągano z powrotem do kabiny śmigłowca człowieka w fartuchu laboratoryjnym. Był najwyraźniej więźniem, zapewne jednym z naukowców z bazy wojskowej. Znajdowała się zbyt daleko, by móc go rozpoznać. Czyżby śmigłowiec odleciał, by uniemożliwić mu powtórny próbę ucieczki?

Jakoś w to nie wierzyła.

Raczej coś musiało się wydarzyć.

Ale co?

Pragnęła rozpaczliwie wystawić głowę i sprawdzić, czy pojawiło się jakieś nowe zagrożenie, ale nie miała pewności, czy uzbrojeni mężczyźni nie zechcą dokończyć swego zadania. Zorientowała się już, że to twardzi faceci, wyszkoleni do walki. Bez względu na ryzyko wykonają rozkaz – wyeliminują ją.

Usłyszała za sobą, po lewej stronie, chrzęst szkła. Pamiętała, że jest tam otwarte okno. Ktoś musiał przez nie wejść, omijając frontowe drzwi. Wcześniej, korzystając z huku silników śmigłowca, rozbiła jedną ze stojących na półkach nad barem starych butelek i rozsypała szkło pod obydwooma oknami i przy drzwiach.

Wycelowała swą jedyną broń w kierunku, z którego dobiegał hałas. Trzy metry dalej dostrzegła ciemną sylwetkę, przyczajoną na tle ognistej łuny. Pociągnęła za spust. Z lufy wystrzeliły błękitne iskry i dosięgły mężczyzny. Krzyknął z bólu, obezwładniony paralizatorem.

Jenna przeskoczyła przez kontuar, gdy napastnik upadał na podłogę i zaczął się wić w konwulsjach. Wycelowała taser X3 i wystrzeliła drugi nabój, by go uciszyć. Nie chciała ryzykować. Miała jeszcze trzeci pocisk, ale wiedziała, że to nie wystarczy. Dlatego właśnie urządziła zasadzkę w sklepie.

Podeszła do mężczyzny – nieprzytomnego, być może martwego – i zabrała mu karabin szturmowy. Wzięła go do rąk, schowawszy paralizator do kabury. Rzadko nosiła broń, ale przeszła obowiązkowe szkolenie ze strzelania. Był to chyba karabin typu Heckler & Koch model 416 lub 417. Przypominał w każdym razie wersję AR-15, którą знаła ze strzelnicy.

Pospieszyła do drzwi, przyklękła i uniosła broń. Rozejrzała się po okolicy. Krzyk żołnierza nie uszedł uwagi pozostałych mężczyzn. Biegli pochyleni w blasku ognia przez płonące zgliszcza wymarłej osady. Próbowali ją otoczyć. Wycelowała w najbliższego z nich i wystrzeliła serię pocisków. Ziemia rozprysła się u jego stóp, ale jedna z kul trafiła go w lewą gołęń i zwała z nóg.

Jego koledzy próbowali się ukryć. Atak Jenny nie był w stanie ich zatrzymać, ale przynajmniej zyskała na czasie. Odpowiedzieli ogniem, obsypując gradem pocisków fasadę sklepu. Przebijały stare drewno jak rozżarzone węgle przepalają papier. Ale Jenna już się wycofywała za kontuar z grubych belek. Zamierzała uczynić z tego miejsca swój ostatni bastion i sprzątnąć tylu napastników, ilu się uda.

Zająwszy stanowisko, oparła karabin o kontuar i rozglądała się przez noktowizor za kolejnym celem. Obserwowała oba okna i drzwi. Potrzebowała trochę czasu, by wyostrzyć obraz. Przez chwilę widziała człowieka, który znajdował się daleko na łące. Nie stanowił dla niej bezpośredniego zagrożenia, ale jego dziwne zachowanie natychmiast przyciągnęło jej uwagę.

Biegąc w kierunku wymarłej osady, upuścił karabin i padł na kolana. Wygiąwszy plecy w spazmatycznym skurczu, przewrócił się na bok. Jenna przypomniała sobie zajęcia i zrozumiała nagle, dlaczego śmigłowiec odleciał.

Toksyczne morze zapewne się podnosi i zalewa szczyt wzgórza.

Palec zadrzął jej na spuście karabinu. Pojęła bezcelowość swoich wysiłków, by bronić się do końca. Bez względu na to, ilu żołnierzy zabije, była skazana na zagładę wraz z nimi.

Pomyślała o Nikku ukrywającym się pod traktorem. Wiedziała, że nadal tam jest, posłuszny jej ostatniemu rozkazowi, zawsze lojalny. Miała nadzieję, że przynajmniej on ocaleje, że odnajdą go ratownicy, których wysłał Bill Howard.

Nikko... tak mi przykro...

W oknie po prawej pojawiła się jakaś postać. Pałając wściekłością, Jenna wystrzeliła całą serię pocisków i zobaczyła z satysfakcją, że napastnik zniknął jej z oczu. Po chwili znów odpowiedziała jej kanonada. Brzmiało to tak, jakby tysiąc pił łańcuchowych wycinało las. Wokół niej spadały roztrzaskane kawałki suchego drewna.

Pochyliła się, ale nadal trzymała karabin w gotowości na kontuarze. Gdy tylko spostrzegła poruszający się cień, strzelała do niego. W pewnej chwili zaczęła płakać. Zdała sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy zamglił jej się wzrok i musiała przetrzeć oczy.

Przyklękła na moment, znikając za kontuarem i starając się zrozumieć, skąd te łzy. Ze strachu, rozpacz, złości, żalu?

Zapewne z każdego z tych powodów.

Zrobiłaś, co mogłaś, pomyślała, próbując dodać sobie otuchy, ale ta myśl nie przyniosła jej pociechy.

Godzina 20.52

Kendall siedział otępiąły w śmigłowcu, znów skrępowany pasem bezpieczeństwa. Przyglądał się krajobrazowi w dole, próbując się zorientować, dokąd go zabierają. Wylecieli w końcu poza chmurę gazu paraliżującego, pozostawiając za sobą góry. Najwyraźniej zmierzali na wschód, nad pustynię Nevada. Ciemny teren pod nimi był monotony, bez żadnych punktów orientacyjnych

Siedzący naprzeciw niego olbrzym przez większość lotu prowadził szorstką rozmowę z pilotem. Kendall – udając brak zainteresowania – próbował podsłuchać, o czym mówią, ale używali jakiegoś dziwnego hiszpańskiego żargonu. Niektóre słowa rozumiał, inne brzmiały jak bełkot.

Gdyby miał zgadywać, skąd pochodzili ci ludzie, stawiałby na Amerykę Południową – Kolumbię albo Paragwaj. Ale może zwiódł go ich wygląd. Należeli najwyraźniej do jakiejś jednostki paramilitarnej i byli tej samej narodowości. Niscy, o okrągłych twarzach, wąskich oczach, ospowatych twarzach i piegowatej skórze koloru mokki. Wyjątkiem był ich przywódca. Miał ponad dwa metry wzrostu i w każdym narodzie uchodziłby za olbrzyma.

Słuchając rozmowy, Kendall był niemal pewien, że ten człowiek ma na imię Mateo, a pilot – Jorge.

Jakby przyciągnięty jego myślami, mężczyzna z blizną odwrócił się, wymachując nożem. Kendall wystraszył się, ale olbrzym chwycił go mocno za ramię i obrócił tak, by przeciąć mu na nadgarstkach plastikowe kajdanki.

Mając uwolnione ręce, Kendall pomasaował z ulgą otartą skórę. Zastanawiał się, czy nie sięgnąć po karabin leżący na siedzeniu w głębi maszyny, wiedział jednak, jak szybko porusza się olbrzym. Każda taka próba zakończyłaby się zapewne kolejnym ciosem w głowę, która wciąż go bolała od uderzenia kolbą karabinu.

Pilot odwrócił się i podał olbrzymowi telefon komórkowy, a ten przekazał go Kendallowi.

– Słuchaj. Rób, co ci każą.

Kendall zauważył, że jest już połączenie. Na ekranie był napis: NUMER NIEZNANY.

Przytknął telefon do ucha.

– Halo? – odezwał się. Był zdegustowany potulnym brzmieniem swego głosu.

– A, doktorze Hess, najwyższa pora, żebyśmy znów porozmawiali.

Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

To niemożliwe...

A jednak rozpoznawał ten głos. Głęboki tenor i nieomylny brytyjski akcent. Kendall nie miał wątpliwości, że to ten człowiek po drugiej stronie linii jest odpowiedzialny za zorganizowanie ataku.

Przełknął głośno ślinę. Wiedział już, że sprawy mają się tysiąc razy gorzej, niż podejrzewał. Choć wydawało się to niemożliwe, nie mógł odrzucić prawdy.

Porwał mnie człowiek, który nie żyje.

Godzina 20.55

Jenna przykucnęła za kontuarem sklepu w samym centrum szalejącego pożaru. Ściany były podziurawione kulami. W powietrzu unosił się pył z trocin. Ogłuszały ją coraz głośniejsze eksplozje. Schronienie zapewniały jedynie grube belki kontuaru. Ale i one mogły nie przetrwać długo pod takim zaporowym ogniem.

Nagle usłyszała jakiś nowy hałas.

Głuche dudnienie.

Przypuszczała, że to śmigłowiec grupy szturmowej wraca po swoich ludzi. Ale chwilę później w miejscu, skąd padało najwięcej strzałów, nastąpiła silna eksplozja. Poczowała wstrząs, jakby uderzono ją pięścią w klatkę piersiową.

Potem doszło do kolejnego wybuchu, po prawej stronie.

Cofnęła się oszołomiona. Grad pocisków dziurawiących fasadę sklepu nagle ustał, ale strzelanina wciąż trwała. Przybrała nawet na sile, ale nie celowano już w kierunku Jenny.

Wstała zdezorientowana, trzymając uniesiony karabin.

Co się...

Jakaś ciemna postać poderwała się z ziemi tuż przed nią, chwyciła za lufę karabinu i wyszarpnęła jej broń z ręki. Był to mężczyzna, którego obezwładniła paralizatorem. Najwyraźniej stracił tylko przytomność. W desperacji nie sprawdziła, czy żyje.

Rzucił się na nią ze sztyletem.

W ostatniej chwili zrobiła unik, ale ostrze przecięło jej skórę na obojczyku. Gdy mężczyzna wpadł siłą rozpędu na kontuar, wydobyła z kabury paralizator, przytknęła mu go do oka i pociągnęła za spust. Ostatni nabój roztrzaskał mu głowę.

Mężczyzna osunął się bezwładnie na kontuar.

Naładowana adrenaliną Jenna przeskoczyła przez blat i sięgnęła po karabin. Sapiąc z wysiłku, ruszyła w kierunku drzwi. Na zewnątrz słychać było już tylko sporadyczne strzały, a nim dotarła do wyjścia, nawet one ustały.

Pozostał jedynie równomierny łoskot wirników śmigłowca.

Spojrzała w spowite dymem niebo.

Z mroku wyłaniały się jakieś sylwetki.

Spadochroniarze.

Opadali w kierunku płonących zabudowań. Noktowizory przesłaniały ich twarze. W rękach trzymali karabiny szturmowe. Widziała, jak jeden z nich strzela w kierunku wymarłego osiedla. Po chwili w dole ktoś krzyknął. W oddali wyłonił się wojskowy śmigłowiec i wylądował na łące.

Jenna domyślała się, skąd przyleciała ta ekipa ratunkowa. Niecałe pięćdziesiąt kilometrów od jeziora Mono znajdowało się Centrum Szkolenia Oddziałów Górskich Amerykańskiego Korpusu Piechoty Morskiej. Prawdopodobnie zaalarmowano ich, gdy tylko z bazy nadeszło wołanie o pomoc. Ostatnie mrozące krew w żyłach słowa przekazu wywołały z pewnością błyskawiczną reakcję.

Zabijcie nas... zabijcie nas wszystkich.

Ale jakim cudem marines odnaleźli ją tak szybko? Czyżby z powodu pożaru?

Istniała bardziej prawdopodobna przyczyna. Przypomniała sobie swojego porzuconego pick-upa, ze zwiotczalą poduszką powietrzną. Po wypadku musiał automatycznie włączyć się alarm w GPS-ie. Bill Howard odebrał zapewne ten sygnał po tym, jak zostało przerwane ich ostatnie połączenie. Na ile go znała, wysłał natychmiast ekipę ratunkową do miejsca, z którego nadawała.

Poczowała ulgę, ale przypomniała sobie również umierającego w konwulsjach napastnika.

Spadochroniarze opadali dokładnie w kierunku toksycznej chmury. Musiała ostrzec ich przed niebezpieczeństwem.

Nie zważając na to, czy na ziemi pozostali jeszcze jacyś wrogowie, porzuciła swoją kryjówkę i wybiegła na zewnątrz. Pomachała ręką do najbliższego spadochroniarza. Skuliła się, gdy wycelował w nią broń.

– Jestem ze służby leśnej! – krzyknęła.

Broń pozostała w nią wymierzona, dopóki nie wylądował. Odpiął jedną ręką spadochron, który odfrunął na bok. Jego koledzy opadali na ziemię na szczycie wzgórza i w wymarłej osadzie, gotowi do walki.

– Jenna Beck?! – zawołał komandos, stając przy niej. Z noktowizorem na głowie wyglądał groźnie.

Zadrżała, ale nie ze strachu przed nim.

– Tutaj nie jest bezpiecznie.

– Wiemy. – Chwycił ją za ramię. – Mamy zaprowadzić panią do śmigłowca i zabrać w bezpieczne miejsce. Musimy się pospieszyć. Podmucha wirników zatrzyma chmurę gazu tylko na jakiś czas.

– Ale...

Dołączył do nich kolejny komandos i chwycił ją za draśnięte pociskiem drugie ramię, ściskając je boleśnie. Poprowadzili ją szybko w kierunku oczekującego śmigłowca. Inni spadochroniarze otoczyli go kołem.

– Chwileczkę! – zawołała, próbując uwolnić rękę.

Zignorowano ją.

Usłyszała z lewej strony krzyk. Jeden z napastników wyszedł z pistoletem w rękę z ukrycia. Rozpoznała w nim mężczyznę, któremu roztrzaskała nogę. Marines wycelowali w nieprzyjaciela broń, ale nie strzelali. Jeden z nich podbiegł do niego z boku, najwyraźniej zamierzając wziąć go do niewoli.

Ale mężczyzna przyłożył sobie pistolet do głowy i pociągnął za spust.

Jenna odwróciła z odrazą wzrok.

Członkowie grupy szturmowej mieli widocznie rozkazy, by nie dać się schwytać ani przesłuchiwać. Uderzyło ją ponownie ich niezachwiane poczucie obowiązku. Kimkolwiek byli, traktowali swoje zadanie śmiertelnie poważnie.

Dwaj marines, którzy prowadzili ją między sobą, dotarli już do łąki. Niemal nie dotykała stopami ziemi. Gdy doszli do dużego transportowego śmigłowca, chmura pyłu od podmuchu potężnego rotora niemal ją oślepiła.

Nie!

Próbowała wbić się obcasami w ziemię. Gdy jej się to nie udało, kopnęła spadochroniarza po lewej, trafiając go w kolano. Zaskoczony, potknął się i puścił ją.

Odwróciła się w kierunku wymarłej osady, uniosła uwolnioną rękę i wsunąwszy do ust dwa palce, gwizdnęła głośno i przenikliwie.

– Nie mamy już czasu – powiedział trzymający ją komandos.

Jego towarzysz zdążył ją ponownie złapać i wspólnie pociągnęli ją do otwartej kabiny helikoptera. Przybiegło pozostałych ośmiu żołnierzy. Jenna szamotała się w drzwiach.

– Nie! Zaczekajcie! Jeszcze tylko kilka sekund!

– Nie mamy czasu.

Podniesiono ją i wepchnięto do środka. Pozostali komandosi tłoczyli się za nią. W tym

zamęcie Jenna trzymała się kurczowo uchwytu przy otwartych drzwiach, wypatrując za zasnutą dymem łąką konturów wymarłej osady.

Rusz się, Nikko.

Nie widziała wyraźnie traktora, pod którym zostawiła swego partnera. Czy jeszcze żył? Przypomniała sobie ogłuszające eksplozje zwiastujące przybycie marines. Musieli wystrzelić granaty o napędzie raketowym, żeby zneutralizować wroga. W pobliżu miejsca, gdzie stał zardzewiały traktor, unosiła się smuga dymu.

Czyżby próbując ocalić Nikka, skazała go na śmierć?

Gdy wszyscy byli już na pokładzie, silniki śmigłowca zawyły głośnieją. Płozy uniosły się nad trawę.

W tym momencie Jenna dostrzegła jakiś ruch, sylwetkę pędzącą wśród krzaków na skraju wymarłego miasta.

Nikko.

Zagwizdała na niego ponownie. Zaczął biec jeszcze szybciej w kierunku startującego śmigłowca, ale maszyna już zaczynała się wznosić. Nie chcąc go zostawić, wyskoczyła przez otwarte drzwi kabiny i na zgiętych w kolanach nogach wylądowała na piaszczystym gruncie.

Z góry dobiegły gniewne okrzyki.

Nikko skoczył Jennie w ramiona, powalając ją na plecy. Dyszał jej w twarz, okazując swoją ulgę. Przytuliła go mocno, gotowa stawić czoło wszystkiemu, co miało się zdarzyć – byle zostać z nim.

Czyjeś ręce chwyciły ją od tyłu i uniosły. Śmigłowiec, nie dotykając nawet płozami ziemi, zniżył się na tyle, by ich zabrać.

Przylgnęła do Nikka i zabrała go ze sobą do kabiny. Wylądowała na plecach, a pies na niej.

Drzwi zatrzasnęły się przy jej stopach.

Komandos, który pierwszy ją pochwycił, pochylił się nad nią. Zdjął noktowizor, odsłaniając młodą, surową twarz z ciemnym zarostem. Spodziewała się, że ją skarci, zrugą za lekkomyślność.

Tymczasem żołnierz poklepał ją po ramieniu i podał jej rękę, by się podniosła.

– Nazywam się Drake. Nie wspomniano mi o psie – powiedział przepraszającym tonem. – Marines nigdy nie zostawiają swoich towarzyszy. Nawet czworonożnych.

– Dzięki – odparła.

Wzruszył ramionami i pomógł jej usiąść, po czym podrapał psa po karku.

– Przystojniak.

Uśmiechnęła się, czując już sympatię do tego chłopaka. Zresztą o nim też można było powiedzieć „przystojniak”...

Nikko stawał na łąkach, próbując wszędzie zajrzeć, ale trzymał się nogi Jenny, nie chcąc odejść od niej ani na krok.

Czuję to samo, stary.

Gdy śmigłowiec przechylił się na bok, wyjrzała przez okno.

W oddali dostrzegła srebrzystą powierzchnię jeziora Mono, wolnego jeszcze od rozprzestrzeniającej się toksycznej chmury. Skoro marines wiedzieli o gazie paralizującym, Bill Howard zapewne także, więc już zarządził ewakuację całego obszaru.

Śmigłowiec skręcił, oddalając się od jeziora.

Jenna zmarszczyła czoło i spojrzała na Drake'a.

– Dokąd lecimy?

– Z powrotem do Centrum Szkolenia.

Odwróciła się do okna. A więc wracali do bazy wojskowej. Nic dziwnego, zważywszy na fakt, że ośrodek badawczy pracował przede wszystkim dla armii. A jednak wydało jej się to podejrzane.

Słowa Drake'a spotęgowały jej niepokój.

– Zdaje się, że ktoś z Waszyngtonu bardzo chce z panią porozmawiać. Dotrze do centrum mniej więcej w tym samym czasie co my.

Jennie wcale się to nie podobało. Pochyliła się i potarła psa, zdejmując mu ukradkiem z obroży telefon komórkowy. Odwrócona plecami do marines, wsunęła go do kieszeni. Nie zamierzała odkrywać kart, dopóki nie zrozumie, co się dzieje. Zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszła i ile ryzykowała.

– Kiedy panią przesłucha, wróci pani pewnie do domu – dokończył Drake.

Nie odpowiedziała; zaciskając dłoń na ukrytym telefonie, myślała o jakimś biurokracie z Waszyngtonu.

Kimkolwiek pan jest, nie pozbędzie się pan mnie tak łatwo.

Park Narodowy Humboldt-Toiyabe, Kalifornia
27 kwietnia, godz. 21.45 czasu miejscowego

– Już dolatujemy – oznajmił pilot przez radio. – Lądujemy za dziesięć minut.

Painter zobaczył pod skrzydłami wojskowego samolotu łąkę położoną wysoko w górach Sierra Nevada. Znajdowała się tam jedna z najbardziej oddalonych od świata amerykańskich baz wojskowych. W kilku budynkach paliło się światło. Centrum Szkolenia zajmowało dwadzieścia tysięcy hektarów Parku Narodowego Humboldt-Toiyabe. Było to całkowite odludzie na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów – idealne miejsce, by wyszkolić żołnierzy do walki w górskim terenie i w niskich temperaturach. Mówiono, że ćwiczenia są tam wyjątkowo rygorystyczne i wymagające.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego? – spytała go Lisa, siedząca obok, ze stertą notatek na kolanach. Spojrzała na niego przez okulary do czytania, które dopiero niedawno zaczęła nosić. Podobała mu się w nich.

– Gray i pozostali pracują nadal z doktorem Raffeem w centrali Sigmy. Zbierają informacje na temat tego, co naprawdę działo się w tym ośrodku. Zdaje się, że tylko garstka ludzi wiedziała coś bliżej na temat tajnych badań doktora Hessa.

– Projekt Neogenesis – przypomniała Lisa.

Painter przytaknął z westchnieniem.

– Jako szef projektu Hess informował o szczegółach tylko wąskie grono współpracowników. I gdy doszło do awarii, większość z nich była na miejscu. Nie wiadomo, co się z nimi stało. Dopóki toksyczna chmura nie rozproszy się albo nie zostanie zneutralizowana, nikt nie może tam wejść.

– Poprosiłam, żeby nam przysłano kombinezony ochronne. Mając odpowiednie wyposażenie, powinniśmy być w stanie zbadać ten teren.

Painter wiedział, że Lisa chce poprowadzić ekspedycję. Przechodziły go ciarki na myśl, że miałyby zanurzyć się w te toksyczne wyziewy, jak nurek w piekielną otchłań oceanu.

– Na razie, póki nie dowiemy się czegoś więcej, nikt tam nie pójdzie. Nadal trwa ewakuacja, z pomocą lokalnych władz i wojska. Otoczyliśmy kordonem strefę o promieniu osiemdziesięciu kilometrów wokół tego miejsca.

Westchnęła i zerknęła w kierunku okienka obok.

– Nadal jestem zaskoczona, że coś takiego mogło się wydarzyć. Zwłaszcza że nikt nie wiedział, co działo się na najniższych poziomach tej bazy.

– Zdziwiłabyś się, jak powszechna jest ta wiedza. Od jedenastego września wzrosły znacznie nakłady na badania związane z obroną przed wojną biologiczną i w całym kraju jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać nowe laboratoria Poziomu cztery. Finansowane przez

korporacje, wspierane przez rząd, zarządzane przez uniwersytety. Zajmują się tym, co najgorsze: wirusami, na które nie ma szczepionki ani lekarstwa.

– Takimi jak ebola, wirus Marburg, gorączka Lassa.

– Właśnie, ale także tymi, które wytwarzane są jako broń, żeby przygotować się na to, co nieuchronne, być o krok przed wrogiem.

– Jaki jest nadzór nad tymi laboratoriami?

– Niewielki i doraźny, głównie ze strony niezależnych organizacji. Obecnie około piętnastu tysięcy naukowców posiada zezwolenie na eksperymenty ze śmiertelnościami patogenami, a nie ma żadnej agencji federalnej, która oceniałaby ryzyko istnienia takich laboratoriów czy choćby kontrolowania, ile ich jest. W konsekwencji pojawiło się mnóstwo doniesień na temat niewłaściwego obchodzenia się z zaraźliwymi patogenami, ginących probówek, źle prowadzonych kartotek. Więc jeśli chodzi o takie wypadki jak ten w bazie, nie należało pytać, czy do niego dojdzie, lecz kiedy.

Wyjrzał przez okno, na południe, w kierunku chmury toksycznego dymu. Otrzymał już wiadomość, że w bazie zastosowano środki zaradcze: specjalnie spreparowaną mieszankę środka paraliżującego i gazu bojowego, by żaden wirus nie wydostał się na zewnątrz, by zginął każdy żywy organizm, który mógł go przenieść albo pozwolił mu się rozprzestrzenić.

– Dżin został wypuszczony z butelki – mruknęła Lisa, mając na myśli nie tylko wydarzenia w bazie, ale również eskalację badań w dziedzinie bioinżynierii w całym kraju.

Painter odwrócił się od okna i spojrzął na nią.

– Musimy się martwić nie tylko o te oficjalne laboratoria. W garażach, na strychach i w lokalnych domach kultury powstają masowo ich amatorskie wersje. Za niewielką sumę możesz się nauczyć, jak przeprowadzać własne eksperymenty genetyczne, a nawet opatentować swoje dzieła.

– Co za przedsiębiorczość! Wygląda na to, że dawne cyberpunka stały się współcześnie biopunkami.

– Tyle że teraz włamują się do kodów genetycznych, zamiast do komputerów. I znów niemal bez żadnego nadzoru. Władze zezwalają, by te domowe laboratoria podlegały kontroli lokalnych władz.

– Nagły wzrost ich liczby wcale mnie nie dziwi.

– Dlaczego? – spytał Painter.

– Koszty sprzętu laboratoryjnego i materiałów spadają od lat. To, co kiedyś kosztowało dziesiątki tysięcy dolarów, można zrobić teraz za kilka centów. W dodatku o wiele szybciej. Tempo odczytywania kodu DNA wzrasta każdego roku dziesięciokrotnie.

Przeliczył to w myślach. A więc za niecałe dziesięć lat inżynieria genetyczna będzie mogła być dziesięć miliardów razy szybsza!

– Wszystko nabrało niesamowitego przyspieszenia – ciągnęła Lisa. – W laboratorium udało się już stworzyć pierwszą syntetyczną komórkę. A w zeszłym roku biolodzy skonstruowali sztuczny chromosom, budując od zera funkcjonalne żywe drożdże z lukami w DNA, które zamierzają uzupełnić w niedalekiej przyszłości specjalnymi dodatkami.

– Designerskie drożdże. Super!

Lisa wzruszyła ramionami.

– Ten dżin wydostający się z butelki może spowodować poważniejsze następstwa. Powinniśmy się martwić nie tylko o przypadkowe awarie. Czytałam o projekcie Kickstarter: za czterdzieści dolarów grupa młodych przedsiębiorczych biopunków wyśle ci sto nasion chwastu,

który ma świecący gen.

– Chwasty świecące w ciemnościach? Po co?

– Głównie dla zgrywy. Chcą, żeby ich sponsorzy rozrzucali te nasiona na bezludnych terenach. Mają już pięć tysięcy zwolenników, co oznacza, że w najbliższej przyszłości na obszarze Stanów Zjednoczonych może zostać rozsianych ponad pięćset tysięcy syntetycznych nasion.

Painter wiedział, że takie działania są jedynie wierzchołkiem niebezpiecznej góry lodowej. Generał Metcalf – dyrektor DARPA i jego szef – twierdził, że jednym z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa kraju jest podatność amerykańskich laboratoriów na penetrację ze strony obcych agentów. Jakaś organizacja terrorystyczna mogła z łatwością umieścić studenta albo doktoranta w jednym z obiektów, gdzie prowadzi się badania nad bronią biologiczną, i zdobyć w ten sposób śmiertelny patogen albo wiedzę niezbędną do prowadzenia własnych laboratoriów.

Przyglądał się zamglonym górcom w oddali.

Czy tam wydarzyło się coś takiego? Czy to był akt terroryzmu?

Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie – i osobiście zbadać teren – generał Metcalf rozkazał Painterowi polecieć do tej odległej bazy marines. W Centrum Szkolenia działał sztab kryzysowy. Painter miał współpracować z pułkownikiem, dowódcą centrum, w którym gromadzono już niezbędne środki.

Mógł nie zabierać ze sobą Lisy, ale jej wiedza i bystrość okazywały się bezcenne. Poza tym nalegała, by z nim lecieć, i oczy błyszczały jej z emocji. Gdy ujął jej dłoń, ich palce splotły się w uścisku, jakby byli na zawsze ze sobą złączeni. Jak mógł odmówić czegokolwiek przyszłej żonie?

Dzięki pobłażliwości Paintera towarzyszyła im podczas tego lotu jeszcze trzecia osoba. W kokpicie siedział Josh Cummings, młodszy brat Lisy, prowadził ożywioną rozmowę z załogą. Wskazywał właśnie na pas startowy poniżej. Było to główne lotnisko bazy marines, miejsce, które ten młody człowiek kiedyś często odwiedzał i które stanowiło jeden z powodów jego wizyty.

Josh, podobnie jak jego siostra, był szczupły i miał jasne włosy. Można by go wziąć za typowego kalifornijskiego surfera, ale nie pasjonował się morzem i słońcem, lecz skalnymi urwiskami. Był słynnym alpinistą, który w ciągu dwudziestu pięciu lat życia zdobył już większość najwyższych szczytów świata; jego umiejętności budziły uznanie, a dzięki kilku patentom sprzętu wspinaczkowego stworzył własną firmę.

W rezultacie współpracował z bazą jako cywilny konsultant. Nosił nawet czerwoną wełnianą czapkę instruktora górskich oddziałów marines. Niewielu cywilów miało prawo ją nosić i uczyć żołnierzy, jak radzić sobie w górach. Dowodziło to wyjątkowego talentu Josha.

Ale gdyby nie ta czapka, mało kto rozpoznałby w nim amerykańskiego komandosa. Miał włosy do ramion i demonstracyjnie lekceważył wszelkie autorytety. Nie nosił nawet wojskowego munduru. Pod kurtką z owczej skóry – którą wygrał w nocnego pokera od nepalskiego tragarza podczas burzy śnieżnej w namiocie na zboczu K2 – miał szarą ocieplaną koszulę z logo swojej firmy. Przedstawiało kontury łańcucha gór z najwyższym szczytem na środku, który wyglądał jak wystawiony środkowy palec.

Z pewnością wojsko tego nie akceptowało.

Przez większość roku Josh podróżował z plecakiem, ale przyjechał na wesele siostry i nalegał, żeby polecieć z nią do bazy. Painter zgodził się bez zastrzeżeń. Josh znał tam prawie

cały personel i mógł się za nim wstawić, gdyby pojawiły się jakieś pretensje, że Sigma wchodzi na ich teren. Poza tym prowadził w tych górach szkolenia, więc znał dokładnie teren, co mogło okazać się przydatne.

Właśnie to zademonstrował, przekrzykując huk silników:

– Wylądujcie na północnym krańcu pasa! Wznieście mniejszy kurz. Marines ćwiczą tam zwykle techniki V/STOL.

Lisa spojrzała na Paintera, unosząc pytająco brew.

– Chodzi o pionowy lub krótki start i lądowanie – wyjaśnił. Siły zbrojne bardziej od swojej broni kochają chyba tylko skrótowce.

Painter poczuł podniecenie, gdy samolot szykował się do lądowania. Lecieli na pokładzie maszyny MV-22 Osprey, należącej do bazy wojskowej Marine Corps Air Ground Combat Center w Twentynine Palms w pobliżu Los Angeles. Był to tak zwany konwertoplan, który dzięki ruchomym turbinom na końcówkach skrzydeł mógł się zmieniać z tradycyjnego samolotu odrzutowego w śmigłowiec.

Painter obrócił się i patrzył, jak śmigła przesuwają się powoli z pozycji pionowej w poziomą. Potężny samolot zmniejszył raptownie prędkość, znalazł się nad pasem startowym, a chwilę później dotknął kołami ziemi.

Lisa odetchnęła z wyraźną ulgą.

– To było niesamowite.

Painter zauważył dwa stojące nieco dalej konwertoplany. Załogi krzątały się przy nich, co sugerowało, że dopiero przyleciały, pewnie w ramach zarządzanej mobilizacji. Na lądowisku było również kilka śmigłowców.

– Chyba wszyscy przyjęli twoje zaproszenie – powiedziała Lisa.

Zanim opuścili wybrzeże, Painter określił z grubsza kolejność operacji dla ich misji: akcja poszukiwawczo-ratunkowa, ewakuacja, kwarantanna, śledztwo i na koniec oczyszczenie terenu. Pierwsze trzy zadania były już realizowane, dzięki czemu jego zespół mógł od razu zająć się dochodzeniem.

Wiedział, od czego chce zacząć. Marines z ekipy ratunkowej, którzy pierwsi przybyli na miejsce, ocalili życie świadka, strażniczki parku narodowego, znajdującej się akurat w pobliżu, gdy w bazie doszło do eksplozji. Painter słyszał o tajemniczej strzelaninie na szczycie sąsiedniego wzgórza. Kim byli napastnicy i co mieli wspólnego z wydarzeniami w bazie?

Tylko jedna osoba mogła znać odpowiedź.

A z tego, co Painter słyszał po drodze, nie chciała mówić.

Godzina 22.19

Jenna nie próbowała nawet chwycić za klamkę. Wiedziała, że drzwi zamknięto na klucz. Chodziła od ściany do ściany. Sądząc z tablicy i rzędów ławek, była w niewielkiej sali lekcyjnej. Z okna na trzecim piętrze widziała w oddali zarysy wyciągu narciarskiego i rząd stajni, a w dole ambulans, który odjeżdżał powoli spod budynku.

Sanitariusze opatrzyli już jej rany: obandażowali ramię, założyli szew na obojczyku, a na koniec wstrzyknęli antybiotyk. Proponowali zastrzyk przeciwbólowy, ale wołała połączyć

ibuprofen.

Muszę trzeźwo myśleć.

Tylko że jej narastający gniew temu nie sprzyjał.

Nikko śledził ją wzrokiem, rozciągnięty na podłodze, gdy chodziła tam i z powrotem po klasie. Obok niego stała miska z wodą i pusty talerz po jedzeniu. Na jednej z ławek leżała tacka z owiniętą w celofan kanapką z szynką i kartonem mleka. Jenna nie zwracała na nią uwagi – wciąż nie miała apetytu.

Spojrzała na zegarek.

Jak długo zamierzają mnie tu trzymać?

Komandos, który ją ocalił – sierżant Samuel Drake – powiedział jej, że zostanie przesłuchana przez kogoś z Waszyngtonu. Ale czekała już ponad godzinę.

Więc gdzie, do cholery, podziewa się ten facet?

Dowódca bazy zajrzał do niej i zadał kilka pytań, lecz unikała odpowiedzi. Opowie swoją historię tylko raz, ale najpierw oczekiwała wyjaśnień.

Usłyszała za drzwiami szuranie i zgrzyt zamka.

Wreszcie...

Cofnęła się kilka kroków i skrzyżowała ramiona na piersi, gotowa do walki. Drzwi otworzyły się, ale nie zobaczyła człowieka, którego oczekiwała. Do salki wszedł sierżant Drake. Wydawał się odświeżony, a jego kasztanowe włosy były wilgotne i zaczesane do tyłu. Miał na sobie luźne spodnie khaki i pasujący do nich T-shirt, który opinał jego tors, eksponując muskularne ramiona.

Zamiast okazać oburzenie, Jenna opuściła ramiona, starając się przyjąć swobodną postawę. Była pewna, że zupełnie jej to nie wyszło.

Drake uśmiechnął się, co tylko pogorszyło sprawę.

– Przynoszę prezent od przyjaciela – oznajmił głębokim basem, który zabrzmiał cieplej niż poprzednio, gdy opryskliwie wydawał rozkaz. – Pomyślałem, że będzie pani miała ochotę.

Uniósł rękę, by pokazać dużą papierową torbę, trochę wilgotną u dołu.

– Co to jest? – Podeszła krok bliżej i poczuła nagle znajomy zapach.

To niemożliwe!

– Grillowane żeberka z Bodie Mike's – potwierdził. – Z surówką i frytkami.

– Jakim cudem...? – spytała, jęknąc się z wrażenia.

Drake uśmiechnął się szerzej, odsłaniając idealnie białe zęby.

– Nasi ludzie latają tam i z powrotem między bazą a jeziorem Mono, koordynując ewakuację. Wygląda na to, że zanim ewakuowano miasto, przyjaciel postanowił przesłać pani z Lee Vining paczkę z żywnością. Pomyślał, że po tych wszystkich emocjach może pani zgłodnieć.

Tylko jedna osoba wiedziała, że jest tutaj.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Bill, mogłabym cię wycalować.

Ciemne oczy Drake'a zabłysły z rozbawienia.

– Jak pani chce, mogę mu to przekazać.

– Może podzielimy się frytkami? – Podeszła do jednej z ławek.

– A co z żeberkami?

– Nie ma mowy. Są tylko dla mnie.

Drake przysunął bliżej ławkę i przełożył nogę nad krzesłem, by usiąść przy Jennie. Gdy

rozerwał torbę, dziewczyna nagle odzyskała apetyt. Zjadła już połowę żeberek, mając cały czas przy sobie Nikka, który wpatrywał się w nią z nadzieją, gdy drzwi znów się otworzyły.

Weszło kilku nieznajomych. To musiała być ekipa z Waszyngtonu. Po tak długim oczekiwaniu wolałaby teraz, żeby sobie poszli i wrócili później.

Wytarła palce.

Drake podniósł się szybko i na widok dowódcy stanął na baczność.

– Pułkownika Bozeman.

– Spocznij, Drake. – Dowódca wyglądał na sześćdziesiąt parę lat, a jego siwe włosy pasowały do srebrnego orła, widocznego na tle barwnych naszywek na koszuli koloru khaki. Spojrzał na niedokończony posiłek Jenny. – Nie chciałem przeszkadzać, pani Beck, ale dyrektor Painter Crowe, współpracownik DARPA, musi zadać pani kilka pytań, zanim wróci pani do siebie.

Przedstawił kilku swoich towarzyszy. Byli najwyraźniej spokrewnieni, mogli być rodzeństwem, a nawet bliźniakami, ale Jenna skoncentrowała uwagę na stojącym z przodu mężczyźnie. Miał czarne włosy, z pojedynczym, zaczesanym za ucho śnieżnobiałym pasemkiem. Jego cera wskazywała na indiańskich przodków, ale przenikliwe niebieskie oczy świadczyły o domieszce europejskiej krwi. Chciała na niego warknąć, ale coś ją powstrzymało. Może cień przyjaznego uśmiechu albo błysk inteligencji w jego oczach. Najwyraźniej nie był wścibskim biurokratą ani protekcyjnym agentem wywiadu.

Mimo wszystko trzymała rękę na telefonie w kieszeni.

Chcę wyjaśnić, pomyślała.

– Czy możemy porozmawiać na osobności? – zwrócił się do pułkownika Painter Crowe.

– Oczywiście. – Bozeman dał ręką znak Drake'owi. – Zostawmy ich samych.

Drake wyszedł za nim, ale najpierw przybił piątkę blondynowi, który stał oparty o drzwi.

– Miło cię widzieć, Josh.

– Szkoda, że w takich okolicznościach.

– Ja też żałuję. – Drake uśmiechnął się szeroko. – Ale za to sporo nam płacą, prawda?

Gdy dwaj marines wyszli i zamknęły się drzwi, Painter skierował na Jennę przenikliwe jak laser spojrzenie.

– Pani Beck, wiele pani przeszła, ale mam nadzieję, że dostarczy nam pani jakichś dodatkowych informacji na temat wydarzeń tej nocy. Proszę o możliwie szczegółową relację. Interesuje mnie zwłaszcza grupa ludzi, którzy zaatakowali panią na szczycie wzgórza.

Dziewczyna pozostała nieugięta.

– Najpierw niech mi pan powie, co działo się naprawdę w tym ośrodku badawczym. Narazili na niebezpieczeństwo całą okolicę. Nie tylko kruchy ekosystem, który powstawał przez tysiące lat, ale także moich przyjaciół i kolegów.

– Chciałbym móc odpowiedzieć na to pytanie – odparł.

– A nie może pan?

– Szczerze mówiąc, nie wiemy, co dokładnie tam robiono. Bazą kierował doktor Kendall Hess, bardzo skryty człowiek.

Jenna zmarszczyła czoło, przypominając sobie astrobiologa, który przyjechał nad jezioro Mono. Pamiętała rozmowę z nim nad filiżanką kawy w Bodie Mike's. Już wtedy uderzyło ją, jak bardzo jest powściągliwy, jak starannie dobiera słowa.

– Spotkałam go, gdy pobierał próbki mułu z dna jeziora – powiedziała.

Painter zerknął na swoją towarzyszkę, Lisę Cummings. Wymienili spojrzenia, jakby

oceniali, czy ten szczegół ma jakieś znaczenie.

Jenna powiodła wzrokiem po ich twarzach, unosząc brwi.

– Nad czym pracował doktor Hess? – spytała.

– Wiemy tylko, że jego badania i eksperymenty dotyczyły rzadkich form życia – odparł.

– Ekstremofili. – Jenna skinęła głową, przypominając sobie treść ich krótkiej rozmowy. – Wspominał, że poszukuje niezwykłych organizmów: bakterii, pierwotniaków, czegokolwiek, co mogłoby się przystosować do przetrwania w niesprzyjających warunkach.

– Badał konkretnie alternatywne biosfery, środowiska, w których mogą istnieć w ukryciu niestandardowe formy życia – wyjaśnił Crowe. – Sądzymy, że zainteresował się tą tematyką, gdy naukowcy z NASA odnaleźli w jeziorze Mono bakterie żywiące się arsenikiem.

Jenna nagle zrozumiała.

– A więc dlatego doktor Hess wybrał to miejsce.

Painter przytaknął.

– Być może chciał kontynuować badania w tym kierunku albo nawet posunąć się o krok dalej. Sądzymy, że próbował stworzyć coś nowego, co nie istniało nigdy na naszej planecie.

– I to wydostało się na zewnątrz.

– Tak przypuszczamy, ale nie wiemy, czy to był wypadek przy pracy, błąd laboratoryjny czy celowe działanie.

Jenna potarmosiła Nikka. Siedział odprężony u jej boku, nie okazując zdenerwowania. Najwyraźniej nie odczuwał niepokoju z powodu obecności nieznanym. Z czasem nauczyła się ufać jego ocenie ludzi. Tych troje nie sprawiało wrażenia, że coś przed nią ukrywają. Doceniała też ich gotowość dzielenia się informacjami.

Postanowiła zaryzykować i trochę się przed nimi otworzyć.

– Nie wierzę, że to był wypadek, panie Crowe.

– Proszę mi mówić po imieniu. Dlaczego pani tak uważa?

– Widziałam śmigłowiec odlatujący z bazy po ogłoszeniu alarmu, zanim wszystko eksplodowało. Z tej samej maszyny wysadzono potem na szczycie wzgórza oddział najemników. Musieli zauważyć, jak uciekałam przed toksyczną chmurą.

– I ścigali panią, żeby zlikwidować jedyne świadka.

Skinęła głową.

– Prawie im się to udało.

– Może pani opisać ten śmigłowiec? Zauważyła pani jakieś oznakowania czy numery?

Pokręciła głową.

– Ale zrobiłam mu zdjęcie. – Rozbawił ją lekko wyraz zdumienia na twarzy Crowe'a. Wyjęła telefon komórkowy i opowiedziała ze szczegółami, co zdarzyło się w wymarłej osadzie. Potem zaczęła przeglądać zdjęcia i zatrzymała się przy tym, które pokazywało olbrzyma z miotaczem ognia. – Ten człowiek był chyba dowódcą grupy.

Painter wziął od niej telefon i zrobił zbliżenie jego twarzy.

– Wyraźne zdjęcie. Dobra robota.

Jenna poczuła, że rumieni się z dumy.

– Mam nadzieję, że figuruje w jakiejś kartotece.

– Też na to liczę. Z pewnością skorzystamy z komputerowych programów rozpoznawania twarzy, w kraju i za granicą. Przekażemy też zdjęcie śmigłowca policji na całym południowym zachodzie. Nie mogli odlecieć zbyt daleko.

– Poza tym mają więźnia – ostrzegła. – To jeden z naukowców. A w każdym razie był

w białym fartuchu. Próbował uciec, ale ten facet z miotaczem ognia schwytał go i zaciągnął z powrotem do śmigłowca. Zaraz potem odlecieli.

Painter podniósł wzrok znad telefonu.

– Zrobiła pani zdjęcie temu więźniowi?

– Niestety nie. Przypięłam wcześniej telefon do obroży Nikka. – Poklepała psa po boku.

Painter przyjrzał się dziewczynie uważnie, po czym, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

– Niech zgadnę. Miała pani nadzieję, że ci ludzie po zabiciu pani odlecą. Później ktoś odnalazłby psa i pani telefon.

Była pod wrażeniem. Nie wspominała o tym, ale ten człowiek i tak się wszystkiego domyślił.

– Jeśli kogoś porwali, założyłabym się, że to doktor Hess – powiedziała. – Był najwartościowszym celem w bazie.

Painter spojrział na nią, a ona wzruszyła ramionami.

– Nie potrafię powiedzieć, czy to był on. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie zdążyłam przyjrzeć się jego twarzy. Ale to mógł być doktor Hess. Jest jeszcze jedna sprawa. Kimkolwiek był, uciekał w kierunku tej toksycznej chmury, jakby wolał umrzeć, niż dać się porwać.

– Co sugeruje, że musi znać tajemnice, których nie chciał wyjawić wrogom – skonstatował ponurym tonem Painter.

– Jakie tajemnice? – spytała Jenna.

– Tego musimy się dowiedzieć.

– Chciałabym pomóc.

Painter przyglądał jej się dłuższą chwilę.

– Przyznam, że na tym wstępnym etapie śledztwa przydałyby się nam pani oczy. Może zapomniała pani o jakimś szczególe albo nie zwróciła na niego uwagi. Ale muszę panią ostrzec, że to będzie niebezpieczne.

– To już jest niebezpieczne.

– Przypuszczam, że będzie o wiele gorzej. To, co się tu zaczęło, może zwiastować śmiertelne zagrożenie na dużą skalę.

– Na szczęście mam pomocnika. – Jenna położyła dłoń na łbie psa. Nikko machnął ogonem, gotowy na wszystko. – Od czego zaczynamy?

Painter zerknął na doktor Cummings.

– O świcie wejdziemy na tę toksyczną pustynię. Poszukamy dowodów na to, co się tam wydarzyło.

– I co mogło się stamtąd wydostać – dodała jego towarzyszka.

Jennę przeniknął lodowaty dreszcz, gdy uzmysłowiła sobie, że ma wejść ponownie w pułapkę, z której właśnie uciekła.

W co ja się wpakowałam?

Arlington, stan Wirginia
28 kwietnia, godzina 3.39 czasu miejscowego

– Dlaczego tkwimy zawsze w piwnicy? – spytał Monk.

Gray spojrział na swojego najlepszego przyjaciela i współpracownika. Znajdowali się w podziemiach nowej centrali DARPA przy Founders Square w Arlington, w stanie Wirginia, dokąd przywieźli doktora Luciusa Raffeego. Dział biotechnologii zajmował sporą powierzchnię na szóstym piętrze. Jego szef próbował dodzwonić się w środku nocy do kogoś, kto wiedziałby nieco więcej na temat badań prowadzonych w ośrodku w Kalifornii.

Oni tymczasem mieli do załatwienia tu, na dole, swoje sprawy.

– Jeśli chodzi o ciebie – Gray rozprostował kark zeszywniały od ślęczenia przy komputerze – to jesteś skazany na siedzenie w piwnicy albo na kościelnej wieży.

– Jak Quasimodo? – Monk spojrział na niego wilkiem ze stanowiska obok.

– Już się trochę garbisz.

– To przez noszenie cały dzień na rękach dwóch dorastających dziewczyn. Każdemu wyrósłby garb.

Trzeci członek ich zespołu prychnął z irytacją i skulił się nad klawiaturą, stukając szybko w klawisze. Kat przysłała Jasona Cartera, żeby przeprowadził komputerową analizę kartotek i rejestrów bazy, przejrzał tysiące danych, formularze zamówień i niezliczone e-maile, by znaleźć jakąś wskazówkę na temat tego, co naprawdę działo się w Kalifornii.

Wszyscy trzej siedzieli zamknięci w głównym centrum danych DARPA, niedużym pomieszczeniu z oknem wychodzącym na rzędy czarnych komputerów, każdy wielkości lodówki. Ściany podziemia miały prawie metr grubości i chroniły przed jakąkolwiek formą elektronicznego ataku.

– Chyba coś znalazłem – oznajmił Jason, podnosząc głowę znad klawiatury. Oczy miał zaczerwienione. Przy jego łokciu stał pusty kubek po kawie. – Przeszukałem pliki, podając nazwisko i numer ubezpieczenia społecznego doktora Hessa, a potem słowo „neogeneza”.

– I co odkryłeś?

– Uzyskałem kilka terabajtów informacji. Przejrzenie ich zajęłoby wiele dni. Więc dodałem jeszcze termin „gaz VX”.

– To jedna z trucizn użytych w bazie?

Skinął głową.

– Uznałem, że w tych plikach może być mowa o organizmie, który ta trucizna miała zabić. Ale spójrzcie na pierwszy folder, który wyskoczył.

Gray podszedł do jego stanowiska, a za nim Monk. Przeczytali nagłówek:

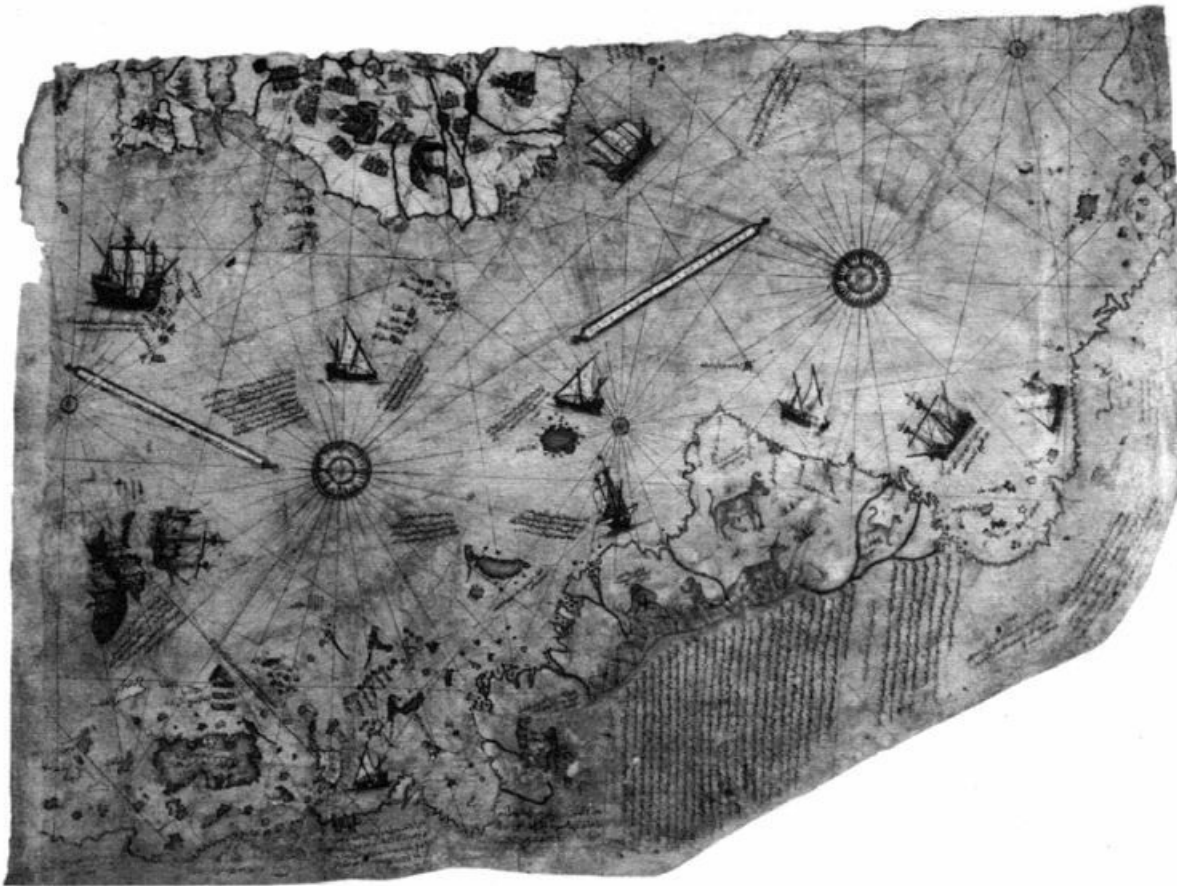
– Co, do cholery – mruknął Monk.

– To duży folder – stwierdził Jason. – Przejrzałem pobieżnie kilka pierwszych plików. Dotyczą głównie British Antarctic Survey, brytyjskiej organizacji naukowej, zajmującej się badaniami Antarktydy. Pierwszy artykuł był zakreślony i opisywał sukces grupy w przywróceniu do życia mchu mającego tysiąc pięćset lat.

Komandor rozumiał, dlaczego intrygowało to naukowca pokroju Hessa, badacza zainteresowanego rzadkimi formami życia.

– Ale wejdźmy w ten subfolder, zatytułowany „Historia” – zasugerował Jason. – Kliknąłem na niego w nadziei, że dowiem się, jaki związek ma ta grupa brytyjskich naukowców z badaniami doktora Hessa w Kalifornii. I zobaczcie, co się pojawiło.

Jason kliknął na ikonkę folderu i ukazała się seria map. Powiększył pierwszą z nich, z napisem PIRI REIS_1513.



– Słyszałem o tej mapie – rzucił Gray, pochylając się niżej. – Ma długą historię. Turecki podróżnik, admirał Piri Reis, sporządził ją na skórze gazeli w tysiąc pięćset trzynastym roku. Pokazuje wybrzeża Afryki i Ameryki Południowej, a także wysunięty najbardziej na północ skrawek Antarktydy.

Gray przesunął wzdłuż niego palcem u dołu ekranu.

– Co w tym niezwykłego? – spytał Monk.

– Antarktyda została odkryta, przynajmniej oficjalnie, dopiero trzysta lat później. Ale, co bardziej zagadkowe, niektórzy twierdzą, że ta mapa pokazuje prawdziwe wybrzeże tego kontynentu, bez lodu. – Komandor podniósł wzrok. – Po raz ostatni wyglądało tak prawdopodobnie sześć tysięcy lat temu.

– Ale to wszystko podaje się w wątpliwość – wtrącił Jason. – Pokazany tu ląd nie jest zapewne nawet Antarktydą.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Monk. – Że ta mapa jest falsyfikatem?

– Nie – odparł Gray. – Jest autentyczna, ale w notatkach na marginesie Turek przyznaje, że sporządził ją na podstawie dużo starszych map. Zatem wygląd brzegów Antarktydy to prawdopodobnie kombinacja omyłek i zbiegów okoliczności.

Monk potarł podbródek.

– Co więc ta mapa robi w folderze z plikami doktora Hessa?

Gray nie miał pojęcia, ale Jason najwyraźniej znał odpowiedź.

– Tę mapę i kilka innych w folderze przysłał profesor Alex Harrington – odparł, pisząc na klawiaturze.

Komandor przysunął się bliżej.

Jason przerzucił szybko parę okienek.

– Wyguglowałem go. Mówią tutaj, że to paleobiolog związany z British Antarctic Survey.

– Paleobiolog? – spytał Monk.

– To dyscyplina, która łączy archeologię z biologią ewolucyjną – wyjaśnił Jason, po czym, nadal stukając palcami w klawiaturę, dodał: – Wygląda na to, że od niemal dwudziestu lat profesor i doktor Hess wymieniali całą masę e-maili i telefonów. Obaj interesowali się nietypowymi ekosystemami.

Jason spojrział na Graya, unosząc brew.

Ten zrozumiał. Jeśli ktoś może znać szczegóły badań Hessa, to właśnie ten człowiek.

– Dobra robota – rzucił komandor. – Ale powinien to zobaczyć Raffee. Może dyrektor wie coś więcej o powiązaniach z Brytyjczykami? Prześlesz wydruk tego pliku do góry?

Jason skrzywił się, sięgnął ręką do komputera i wyjął z portu pendrive.

– Wszystko już tu skopiowałem. Wydrukowanie tego zajęłoby wiele godzin. Kiedy dotrze pan do gabinetu dyrektora, proszę znaleźć tylko port USB na jego komputerze i...

– Wiem, jak używać pendrive'a. Nie jestem dinozaurem.

– Przepraszam. Jest pan ode mnie jakieś dwanaście lat starszy. W świecie informatyki to odpowiednik epoki lodowcowej. – Jason ukrył uśmiechniętą twarz za kubkiem po kawie ze Starbucksa, próbując wysączyć ostatnie krople napoju.

Monk poklepał go po ramieniu.

– Rozumiem teraz, co Kat widzi w tym chłopaku.

Gray wsunął pendrive do kieszeni i ruszył w kierunku drzwi.

– Przeszukuj dalej te pliki – polecił Jasonowi. – Może znajdziesz coś jeszcze, kiedy będę rozmawiał z dyrektorem Raffeem.

Komandor przeszedł krótkim podziemnym korytarzem do windy i wsunął w szczelinę czarną kartę Sigmy ze srebrną grecką literą Σ , matematycznym symbolem oznaczającym „sumę wszystkiego”. Był to znak firmowy ich jednostki, która skupiała najlepszych ludzi, by stawić czoło globalnym zagrożeniom. Karta służyła również jako uniwersalny klucz do większości zamkniętych drzwi w Waszyngtonie.

Wcisnął guzik szóstego piętra. Gdy kabina sunęła płynnie do góry, wyjął telefon, by

sprawdzić, czy nie ma jakiejś wiadomości od Kenny'ego na temat ojca. W ciągu ostatniej godziny nie mógł tego zrobić, gdyż w podziemnym centrum danych komórka nie miała zasięgu. Odetchnął z ulgą, bo nie znalazł niczego w poczcie.

Zanosił się na spokojną noc.

Gdy drzwi windy się otworzyły, Gray podążył szybkim krokiem przez mroczne, opustoszałe korytarze. Tworzyły istny labirynt zawałony stertami pudeł. Przejście zagradzały również rusztowania i puszki z farbą. DARPA była nadal w trakcie przeprowadzki z odległej o kilka przecznic starej centrali do budynku przy Founders Square. Niektóre wydziały mieściły się nadal w poprzedniej siedzibie; inne już się przeniosły albo właśnie to robiły. Wyobrażał sobie, jaki chaos panuje w tym miejscu w ciągu dnia, ale o tej porze było tam cicho i spokojnie.

Skręciwszy za róg, zauważył uchylone drzwi i zapalone światło. Wyglądało na to, że Raffee urzęduje w narożnym pokoju. Komandor pospieszył w tym kierunku, lecz zatrzymał go ostry krzyk, stłumiony z powodu odległości.

Przyłgnął do ściany.

Nie był to głos dyrektora. Gray sięgnął do kabury pod marynarką po służbową broń, SIG Sauera P226. Gdy zacisnął na niej dłoń, usłyszał wyraźny odgłos strzałów.

Drzwi gabinetu Raffeego otworzyły się na oścież i korytarz zalała smuga światła. Komandor skulił się i ukrył za kserokopiarką. Kiedy ostrożnie wyjrzał, dostrzegł czterech mężczyzn, ubranych na czarno i wyposażonych w pistolety z tłumikami. Podążali w jego kierunku. Spojrzał za siebie. Najbliższe drzwi były wiele metrów od niego.

Za daleko.

Dokonał szybkiej kalkulacji. Miał w pistolecie dwanaście pocisków kalibru .357. Musiałby bardzo celnie strzelać, zwłaszcza jeśli napastnicy byli w kamizelkach kuloodpornych. Mógł liczyć tylko na element zaskoczenia.

Zebrał się w sobie, wstrzymując oddech.

Mężczyzna, który szedł na końcu, warknął przez radio:

– Pozostali są na dole. Trzeci poziom w podziemiach. Idźcie schodami, my pojedziemy windą.

Wyobraził sobie Monka i Jasona, siedzących w niewielkim pomieszczeniu i nieświadomych nadciągającej burzy.

Zaczekał, aż dwaj mężczyźni miną jego kryjówkę. Skupieni na swoim celu, nie zauważyli go, przykucniętego za kserokopiarką.

Wystrzelił dwa razy, trafiając ich w głowy, po czym obrócił się w kierunku gabinetu Raffeego i wyskoczył z ukrycia. Mierząc w kierunku pozostałych dwóch mężczyzn, powalił znajdującego się bliżej strzałem w kolano – ale mimo bólu i zaskoczenia napastnik odpowiedział ogniem.

Pocisk świsnął Grayowi koło ucha.

Cholera...

Byli to najwyraźniej twardzi profesjonaliści, zapewne dawni wojskowi. Gdy ramię mężczyzny uderzyło o podłogę, komandor, nie chcąc się narażać, strzelił mu prosto w twarz.

Ostatni napastnik ukrył się za rusztowaniem i ostrzeliwał korytarz. Gray przywarł do podłogi, wykorzystując ciało jednego z zabitych mężczyzn jako tarczę. Kule trafiały w zwłoki lub odbijały się rykoszetem od linoleum.

Musiał działać, zanim przeciwnik ucieknie z powrotem do gabinetu Raffeego. Zerkał w tamtym kierunku i najwyraźniej miał taki zamiar: dotrzeć w bezpieczne miejsce i wezwać

posiłki.

Nie mogę na to pozwolić, pomyślał Gray.

Podniósł się i zaczął strzelać w jego kierunku. Pociski dzwoniły o rusztowanie albo wbijały się w ścianę. Mężczyzna wciąż się ukrywał, gdy Gray naciskał spust, wyciągając rękę i przechodząc ponad leżącym na ziemi ciałem.

W końcu wystrzelił dwunasty pocisk... i usłyszał suchy trzask zamka.

Nie mam amunicji.

Jego przeciwnik znów się wyłonił, z szyderczym uśmiechem na ustach wymierzając w niego dymiącą lufę.

Komandor rzucił na ziemię broń. Gdy mężczyzna powiódł wzrokiem za SIG sauerem, Gray wykorzystał chwilę jego nieuwagi, by sięgnąć drugą ręką po ukryty za udem pistolet, który skonfiskował leżącemu na podłodze martwemu napastnikowi. Pociągnął dwukrotnie za spust – ale raz by wystarczyło.

Strzał prosto w oko powalił na ziemię ostatniego przeciwnika.

Gray popędził naprzód i wpadł do gabinetu Raffeeego. Nie miał wielkiej nadziei, że dyrektor jeszcze żyje, ale musiał to sprawdzić. Znalazł go w fotelu, bez marynarki, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami, na której widniała szkarłatna plama. W czole miał okrągłą dziurę.

Z trudem opanowując wściekłość na widok tej bezdusznej zbrodni, chwycił za telefon stojący na biurku, ale zauważył przecięty kabel. Wciągnął powietrze, zastanawiając się, czy nie poszukać innego aparatu. Gdyby nawet jakiś znalazł, nie znał wystarczająco dobrze systemu, by wiedzieć, jak połączyć się z centralą w podziemiach. A ponieważ na dole nie było zasięgu, komórka, którą miał w kieszeni, była bezużyteczna.

Nie mógł ostrzec Monka i Jasona.

Godzina 4.04

– Może ci sceptycy myślą się co do tej mapy Piri Reisa. – Jason rozprostował przed monitorem zeszywniałe ramiona. Wziął głęboki oddech, by ukryć zdenerwowanie, że wyciąga samodzielnie takie wnioski. Wiedział o dawnych wyczynach komandora Pierce'a i jego partnera i nie czuł się im równy.

Jestem tylko zdolnym komputerowcem.

Mimo wszystko intuicja mu podpowiadała, że to, co odkrył, może być istotne.

– Co masz na myśli? – spytał Monk, ziewając. Siedział przy sąsiednim biurku z nogami na blacie.

– Niech pan sam zobaczy.

Monk mruknął pod nosem coś na temat dzieciaków, które ciągle go budzą. Opuścił nogi na podłogę i przysunął krzesło bliżej Jasona.

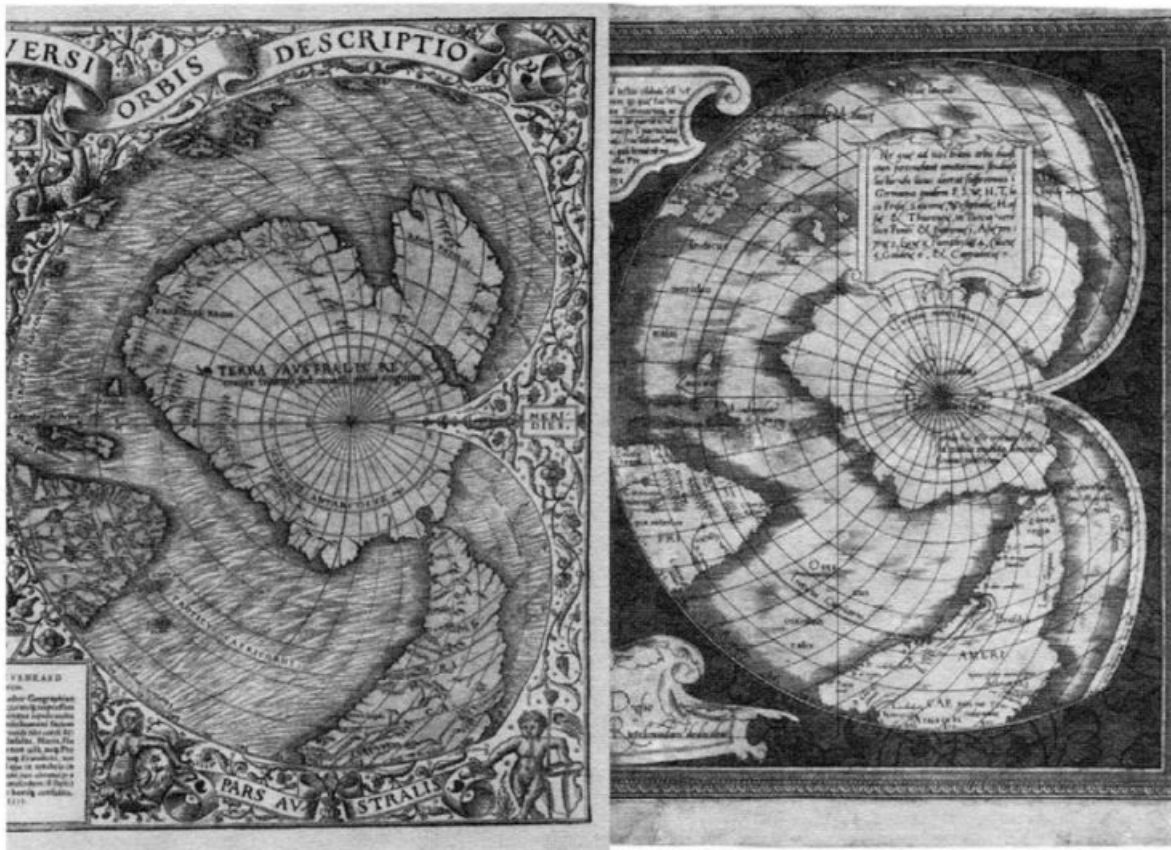
– Co znalazłeś?

– Przejrzałem inne historyczne mapy z folderu British Antarctic Survey i przeczytałem notatki profesora Harringtona na ich temat.

– Tego paleobiologa.

– No. – Jason odchrząknął, przetykając głośno ślinę. – Oto kolejna para map Antarktydy,

obie późniejsze o jakieś dwadzieścia lat niż ta, którą Piri Reis sporządził w tysiąc pięćset trzynastym roku. Autorem jednej z nich był niejaki Oronteus Finaeus, a drugiej Gerard Merkator.



– Zauważcie, że obie ponownie pokazują Antarktydę bez lodu – powiedział Jason. – Harrington odnotowuje również, że są na nich łańcuchy górskie i szczyty, które znajdują się obecnie głęboko pod lodowcami i nie powinny być widoczne w szesnastym wieku. Mapy te uwzględniają również takie miejsca, jak Wyspa Aleksandra czy Morze Weddella.

Monk uniósł brew.

– I obie sporządzono kilka wieków przed oficjalnym odkryciem tego kontynentu.

Jason przytaknął.



– I wiele tysięcy lat po tym, jak wybrzeża Antarktydy uwolniły się od lodu. Istnieje również mapa francuskiego kartografa o nazwisku Buache, pochodząca z tysiąc siedemset trzydziestego dziewiątego roku. Pokazuje Antarktydę jako dwa lądy, przedzielone rzeką albo morzem – ciągnął Jason. – Tak jest naprawdę. Ten kontynent wydaje się jednolity, ale w rzeczywistości pod lodem znajduje się górzysty archipelag złożony z dwóch części: Mniejszej i Większej Antarktydy. Dowiedziano się o tym dopiero z map sejsmicznych wykonanych w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku przez amerykańskie siły powietrzne.

– A ta mapa pochodzi z osiemnastego wieku.

– Właśnie. – Jason nie potrafił ukryć podniecenia.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z badaniami doktora Hessa w Kalifornii?

Pytanie Monka zgasiło jego entuzjazm.

– Nie wiem, ale w tym folderze jest dużo więcej materiałów od profesora Harringtona, niektóre pliki nawet z drugiej wojny światowej. Solidnie opracowane. Będę potrzebował sporo czasu, żeby je przejrzeć.

– Zdaje się, że nie obejdiesz się bez dzbanka kawy, kiedy wrócimy do centrali Sigmy.

Jason wydawał się pogodzony z tym faktem.

– Sądzę, że jeśli chodzi o tajemnice dotyczące Antarktydy, nikt nie zna się na tym lepiej ode mnie.

Monk zmierzył go wzrokiem.

– Co masz na myśli?

– Czy Kat... to znaczy kapitan Bryant... nie powiedziała panu?

– Żona nie mówi mi wielu rzeczy. Głównie dla mojego dobra. – Monk wycelował palec w Jasona. – Więc gadaj, chłopcze.

Jason spojrział na jego uniesioną dłoń i zauważył trochę nienaturalny połysk skóry. Była to proteza, niewiarygodnie podobna do prawdziwej ręki. Miała nawet delikatne włoski. Jason słyszał, w jakich okolicznościach Monk stracił dłoń, i jeszcze bardziej go za to szanował. DARPA podarowała mu potem ten cud bioinżynierii, zaopatrzony w zaawansowaną mechanikę i aktuatory, umożliwiające sensoryczne sprzężenie zwrotne i chirurgicznie precyzyjne ruchy. Jason słyszał również, że Monk może odłączyć dłoń i sterować nią zdalnie za pomocą punktów kontaktowych na tytanowej obręczy, przytwierdzonej chirurgicznie do kikuta na przegubie.

Jason marzył, by to kiedyś zobaczyć.

– Jeśli dość się już napatrzyłeś... – warknął Monk ostrzegawczym tonem.

– Przepraszam.

– Wspomniałeś, że masz jakieś powiązania z Antarktydą.

– Kiedyś tam mieszkałem, ale to było dawno. Moja mama, ojczym i siostra są tam nadal... w pobliżu stacji McMurdo.

Monk spojrział na niego z ukosa, wyczuwając, że chłopak coś przed nim ukrywa, ale nie drążył tematu.

– Skoro masz takie doświadczenie, może to ty powinieneś porozmawiać z Harringtonem. Dowiedzieć się, co ten Brytyjczyk wie.

Jason się ożywił. Zawsze pragnął pracować w terenie, a to mógł być dobry początek. Uwolniłby się wreszcie od układów scalonych, obwodów logicznych i algorytmów do łamania kodów.

Z korytarza dobiegł odgłos zamykanych drzwi.

Monk wstał z fotela, a Jason obejrzał się przez ramię.

– Zdaje się, że wrócił komandor Pierce – rzucił Jason. Oby zaproponował coś bardziej ekscytującego niż oglądanie map, pomyślał.

– Chłopcze, masz broń?

Jason dopiero teraz spostrzegł, jak spięty jest jego towarzysz. Przestał nagle być na luzie.

– Nie... – pisnął chłopak.

– Ja też nie. To były drzwi obok schodów, nie przy windzie. Nie sądzę, żeby Gray potrzebował się przebiec o tej porze.

Usłyszeli ciężki tupot butów po betonie.

Monk obdarzył Jasona śmiertelnie poważnym spojrzeniem.

– Jestem otwarty na wszelkie błyskotliwe pomysły, chłopcze.

Godzina 4.06

Wiedząc, że liczy się każda sekunda, Gray działał szybko.

Biegając korytarzem na szóstym piętrze, zabrał martwym napastnikom zapasowe magazynki, upewniwszy się, że pasują do broni, którą zdobył. Nie wiedział, ilu przeciwników

jest na dole, ale wolał nie ryzykować. W razie wymiany ognia pojedynczy nabój może wyznaczać granicę między życiem i śmiercią.

– Idę na dół – oznajmił, przytrzymując ramieniem przy uchu telefon komórkowy. Gdy stwierdził, że Raffee nie żyje, szybko połączył się z Sigmą, by wezwać pomoc.

– Wyślę wsparcie najszybciej, jak będę mogła. – Głos Kat był napięty, ale chociaż jej mężowi groziło niebezpieczeństwo, pozostała skupiona. – Bądź ostrożny.

– Na tyle, na ile będę musiał.

Dotarł do końca korytarza i rozłączył się. Zatrzymał się po drodze tylko na chwilę, by zabrać młotek ze skrzynki z narzędziami. Szacował, że mimo wysiłków Kat policja będzie potrzebowała kilku minut, by się tam zjawić.

Za późno, by pomóc Monkowi i Jasonowi.

Podszedł do alarmu przeciwpożarowego przy ścianie i pociągnął za czerwoną dźwignię. Natychmiast rozbrzmiał sygnał. Chciał przestraszyć napastników i zmusić ich do ucieczki albo przynajmniej do pośpiechu, by popełniali błędy.

Poza tym hałas powinien mu zapewnić osłonę.

Wiedząc, że schody będą strzeżone, skierował się do windy i wszedł do tej samej kabiny, którą wjeżdżał do góry. Wcisnął guzik jednego z dolnych pięter, ale gdy tylko poczuł, że winda pokonała pół kondygnacji, zatrzymał ją. Rozległ się dźwięk brzęczyka, ale zagłuszył go głośniejszy sygnał alarmu przeciwpożarowego.

Za pomocą młotka z ostro zakończonym i wygiętym obuchem z łatwością wyważył wewnętrzne drzwi windy. Zgodnie z jego oczekiwaniami kabina zatrzymała się tuż nad piątym piętrem i widać było górną połowę zewnętrznych drzwi na tym poziomie. Sięgnął do rygla, by je otworzyć. Wydostał się z kabiny i wpełznął pod stojącą windę.

Pod sobą miał otchłań szybu.

Przeskoczył na drabinkę przymocowaną do ściany po lewej stronie. Uchwyciwszy się jej, ześlizgnął się w dół, nie zwracając uwagi na stopnie. Hamując w razie potrzeby rękami i nogami, liczył kolejne piętra. W ciągu dwudziestu sekund dotarł do drzwi w podziemiach z napisem L3.

Zwisając na jednej ręce, pociągnął za rygiel, by je otworzyć, po czym wyskoczył na zewnątrz. Wylądował na kolanach i prześlizgnął się po posadzce, odwracając się błyskawicznie, by zobaczyć wyjście na klatkę schodową. Tak jak podejrzewał, stał tam samotny strażnik, podtrzymując jedną nogą drzwi i pilnując schodów.

Gray trzymał już w ręku zdobyczny pistolet wyposażony w tłumik. Trafił strażnika w głowę. Odgłos strzału zabrzmiał jak kaszlnięcie. Gray szybko obrócił broń w kierunku centrum danych w głębi korytarza.

Poruszały się tam jakieś postacie i słychać było przyciszone, gniewne głosy.

– Może wcale ich tu nie ma! – zawołał ostrym tonem jeden z napastników. – Ten facet, którego zabiliśmy, mógł kłamać, że ktoś tu jest.

Komandor odetchnął z ulgą. A więc nie znaleźli Monka i Jasona. Może ci dwaj byli już na gorze. Musiał się jednak upewnić, zwłaszcza gdy usłyszał, jak jeden z mężczyzn wykrzykuje:

– Nie mamy już, kurwa, czasu!

Odpowiedział mu drugi głos:

– Gotowe! Wpuściłem robaka do serwerów. Wykasuje wszystkie pliki i zbędne kopie.

– Więc załóżcie ostatnie ładunki i wynoście się stąd!

Słyszac wciąż alarm przeciwpożarowy, Gray pospieszył korytarzem w kierunku otwartych drzwi centrum danych. Zajrzał szybko do środka, po czym się ukrył.

Czterech ludzi.

Wszyscy patrzyli przez okno na rzędy komputerów w sąsiednim pomieszczeniu.

Muszą tam być jeszcze ci, którzy zakładają ładunki, pomyślał.

Zamierzali najwyraźniej zniszczyć serwery. Przypomniał sobie Luciusa Raffeeego zamordowanego na górze. Wyobrażał sobie, że kilku ochroniarzy w budynku spotkał ten sam los. Czy dyrektor znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze, czy też zabicie go było jednym z celów tej grupy szturmowej? Przed godziną dowiedział się od Painterera o próbie zlikwidowania jedyne go świadka wydarzeń w Kalifornii. Czy ten atak służył również zatarciu wszelkich śladów prowadzących do bazy w górach?

Nie miał jak się tego dowiedzieć. Dowódca grupy mówił jednak najwyraźniej z angielskim akcentem. Przypomniał sobie odkrycie Jasona, że istnieją powiązania między badaniami doktora Hessa i naukowcami z Wielkiej Brytanii.

Może to tylko przypadek, ale niekoniecznie.

– Wszystko gotowe! – zawołał ktoś z centrum serwerów.

– Wynosimy się! – rozkazał ich dowódca. – I to szybko, zanim nas tu znajdą!

Gray przyłgnął do framugi drzwi, na wpół ukryty za pojemnikiem na śmieci. Był nadal częściowo widoczny, ale miał nadzieję, że uciekający napastnicy przemkną obok niego.

Tak jak się spodziewał, wypadli z centrum operacyjnego i popędzili korytarzem w kierunku schodów, gdzie w półmroku leżało nadal ciało strażnika.

Komandor nie miał wiele czasu.

Gdy ostatni z mężczyzn zniknął mu z oczu, przeturlał się przez próg do centrum danych. Zatrzasnął za sobą kopniakiem drzwi i przeciągnął przez zamek czarną kartę Sigmy, by zaryglować je od wewnątrz.

Na korytarzu rozległ się krzyk.

Gray stał, wyglądając na zewnątrz przez kuloodporną szybę w drzwiach.

Dostrzegł w świetle latarki grupę mężczyzn otaczających martwego kompana. Najwyższy z nich – o krzepkim torsie i wyrazistych arystokratycznych rysach – odwrócił się i spojrzał na niego.

Mierzyl się wzrokiem na odległość. Oczy napastnika płonęły wściekłością.

Jeden z kompanów dotknął jego ramienia, wskazując na zegarek. Najwyraźniej brakowało im czasu, żeby wykurzyć Graya z zamkniętego pomieszczenia, gdy policja otaczała teren, a ładunki miały lada chwila eksplodować.

Zaciskając zęby, dowódca grupy dał swoim ludziom znak, by pobiegli w górę po schodach, i ruszył za nimi.

Komandor odwrócił się i otworzył drzwi prowadzące do centrum serwerów. Metalowe stopnie wiodły w dół do klimatyzowanego, izolowanego pomieszczenia. Stojąc w progu, widział rzędy wysokich czarnych komputerów. Zauważył przymocowane do tych, które znajdowały się najbliżej, pakunki C-4 ze świecącymi timerami, odliczającymi dziewięćdziesiąt sekund.

Krzyknął w głąb pomieszczenia:

– Monk! Jason!

Drzwiczki do jednego ze stojących w ostatnim rzędzie komputerów wielkości lodówki otworzyły się na oścież. Monk i Jason wypadli na zewnątrz, rozprostowując kończyny.

Dzięki Bogu...

Gray machnął do nich ręką.

– Ruszcie tyłki!

Pędząc, ominęli rzędy serwerów i dotarli po metalowych stopniach do centrum danych.

Komandor otworzył drzwi na korytarz za pomocą karty magnetycznej.

– Miałeś refleks, chłopcze – rzucił Monk, klepiąc Jasona po plecach.

Ten zachwiał się nieco, ale zaraz odzyskał równowagę.

– W serwerach często pozostawia się pustą przestrzeń, żeby można było je rozbudowywać – wyjaśnił. – Przypuszczałem, że DARPA postępuje podobnie.

Gray wyprowadził ich na zewnątrz i pobiegł w kierunku schodów.

– Tędy.

Przy wejściu na klatkę schodową nie było zwłok, tylko kałuża krwi.

– Widzę, że miałeś problemy z dotarciem do nas – powiedział Monk na widok krwi.

– Na górze byli jeszcze inni ludzie. Zamordowali doktora Raffeego.

Monk zaklął, gdy pędzili po schodach, pokonując kolejne kondygnacje.

– Masz pojęcie, co to za jedni?

– Zabrali zwłoki, które leżały na dole, ale na szóstym piętrze są jeszcze cztery ciała. Może uda nam się je zidentyfikować – odparł Gray. Jeśli ten budynek ocaleje, pomyślał.

Wypadli na parter i pobiegli korytarzem. Gray zauważył leżące bezwładnie za biurkiem zwłoki jednego z ochroniarzy. Na nowo ogarnął go gniew. Zapamiętał twarz dowódcy grupy szturmowej i obiecał sobie w duchu, że wyrówna rachunki.

Ale to musiało poczekać.

Pchnął frontowe drzwi i popędzili dziedzińcem. Gdy dotarli do chodnika na North Randolph Street, zadrżała ziemia i rozległa się głucha eksplozja. Z kilku okien na parterze powypadały szyby. Chwilę później noc spowił czarny dym.

W oddali rozbrzmiały syreny. Słyszeli je coraz wyraźniej.

– DARPA już nic tu nie zdziała – powiedział Monk i westchnął ciężko.

Gray pozostawił zrobienie porządku nadjeżdżającym ekipom ratunkowym. Chciał wrócić do dowództwa Sigmy, ale – co ważniejsze – potrzebował odpowiedzi.

Kto, do cholery, przysłał tę ekipę... i po co?

Góry Sierra Nevada, Kalifornia
28 kwietnia, godzina 6.02 czasu miejscowego

Mam nadzieję, że robię to dobrze...

Jenna stała w namiocie polowym na granicy strefy skażenia. Od wschodu widać było przeświecające przez brezent promienie słońca. Powietrze cuchnęło mieszaniną kwasów i potu.

Jej twarz musiała wyrażać niepokój, bo podeszła do niej doktor Cummings... Lisa, poprawiła się w myślach. Obie były już w jednoczęściowych kombinezonach z polietylenu, odpornych podobno na większość chemikaliów.

Bardzo na to liczę, pomyślała Jenna.

Aby dodatkowo się zabezpieczyć, miały przykleić rękawice taśmą do rękawów.

– Wygląda dobrze – oceniła Lisa, sprawdzivszy wszystko. – Pomogę ci z następną warstwą.

– Dzięki.

Przeszły do rzędu jaskrawoczerwonych skafandrów zwisających z wieszaka na kółkach. Ta druga warstwa ochronna osłoni je od stóp do głów, izolując całkowicie od zewnętrznej atmosfery. Oddychanie umożliwią im maski i przytwierdzone do ramion butle tlenowe.

Kobiety pomogły sobie wzajemnie przy zakładaniu skafandrów. Gdy Jenna była już całkowicie zapięta, przeżyła chwilę klaustrofobicznej paniki; z trudem chwyciła powietrze. Próbując to ukryć, wstała i zrobiła kilka kroków, jakby sprawdzała ciężar butli.

– Widzę, że paraduje pani jak modelka – usłyszała przez aktywowany głosem nadajnik, wmontowany w maskę tlenową.

Odwróciła się i zobaczyła sierżanta Drake'a; on również był ubrany w strój, który nazywano eufemistycznie „skafandrem króliczka”.

– To chyba oczywiste – odparła. – Zwłaszcza że prezentuję ostatni krzyk mody.

Miało to zabrzmieć beztrzesko, ale wypadło smętnie.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoił ją Drake, wyciągając rękę, by poklepać ją po ramieniu.

Odsunęła się w obawie, że coś jej rozerwie.

– Te skafandry są odporniejsze, niż wyglądają – zapewniła ją Lisa.

Jej brat, Josh, stał za nią, również przebrany. W wyprawie mieli im towarzyszyć także dwaj marines, ale w zdenerwowaniu zapomniała już ich nazwiska.

Radio zatrzeszczało, po czym rozległ się głos:

– Samochody już na was czekają.

Był to dyrektor Crowe. Znajdował się piętnaście kilometrów dalej, w bazie marines, skąd nadzorował misję i koordynował akcję ekip ratowniczych w całym regionie.

Miał jeszcze inne ważne zadanie: opiekować się Nikkiem.

Jenna tęskniła już za swoim husky. Nie mając go przy sobie, odczuwała niepokój, ale nikt nie produkował skafandrów ochronnych dla psów.

– Jak obraz wideo z kamer? – spytała Lisa, machając ręką przed swoją twarzą.

– Idealnie – odparł Painter. – Dzięki łączom satelitarnym będę mógł cały czas mieć was na oku. Bądźcie ostrożni. Przestrzegajcie zasad i unikajcie zbędnego ryzyka.

– Tak, tato – mruknął pod nosem Josh, ale czuły mikrofon i tak to wyłapał.

Painter zignorował go i kontynuował:

– Na razie granice strefy skażenia wydają się stabilne, ale nie wiemy, jakie są tam inne zagrożenia.

Jenna wpatrywała się w przezroczyste ściany namiotu. Granica obszaru kwarantanny znajdowała się niecałe dwa kilometry od nich. Toksyczny gaz rozprzestrzenił się maksymalnie w ciągu ostatnich kilku godzin i osiadł na ziemi. Stacje chemicznego monitoringu obserwowały, czy zmiany kierunku wiatru nie powodują wzniesienia kurzu i piasku.

Cel ich wyprawy – strefa zero w miejscu eksplozji – znajdował się w odległości trzydziestu kilometrów.

W tym momencie nikt nie wiedział, czy to, co wydostało się z bazy, zostało zneutralizowane. Próbowała sobie wyobrazić, jaka istota mogłaby przeżyć temperaturę wybuchu i toksyczną chmurę.

Na samą myśl o tym przeszły ją ciarki.

Ich misja była prosta: zebrać próbki, ocenić szkody i poszukać jakichkolwiek wskazówek, co się wydarzyło.

Painter namawiał ją, by została w bazie marines i razem z nim obserwowała z daleka przebieg ekspedycji do strefy zagrożenia. Ale ona zawsze wołała brać czynny udział w akcji. Dlatego właśnie została strażniczką w parku – by nie unikać trudnych zadań.

Chciała uczestniczyć w tej misji z jeszcze jednego powodu. Przez większość nocy nie dawała jej spokoju uporczywa myśl: Czy gdybym dotarła do bazy wcześniej, mogłabym zapobiec jakoś temu, co się stało?

Być może była to głupia myśl, zrodzona bardziej z dumy niż poczucia rzeczywistości, ale Jenna nie potrafiła się jej pozbyć. Zwłaszcza gdy dowiedziała się, że w bazie zginęło ponad trzydzieści osób. Jako strażniczka parku, będąca zaprzysiężonym stróżem prawa, nie zgadzała się, by odsuwano ją od śledztwa.

To mój teren.

– W porządku, chłopcy i dziewczęta – rzucił Drake, idąc przodem. – Ruszajmy.

Jenna dołączyła do pozostałych, poprawiając na plecach uprząż z butlami tlenowymi. Już zaczynało jej być gorąco w skafandrze. Wyszli z namiotu jak grupa astronautów wkraczających na obcą planetę. Przypomniała sobie turystę, który poprzedniego dnia powiedział, że jezioro Mono wygląda jak powierzchnia Marsa.

I oto tu jestem... dowodząc, że miał rację.

Na drodze prowadzącej do strefy skażenia stał zielony wojskowy hummer. Pojazd został zaprojektowany do przewozu żołnierzy, miał z przodu kabinę, a z tyłu otwartą platformę z ławkami. Jeden z eskortujących ich marines – przypomniała sobie, że to starszy kapral Schmitt – usiadł za kierownicą. Wszyscy pozostali musieli wspiąć się na platformę.

Gdy zajęli miejsca, Drake postukał w dach kabiny.

– Gotowe, Schmitty.

Silnik zakasłał i zadudnił. Ruszyli w drogę w kierunku granicy strefy kwarantanny. Jenna przełknęła ślinę; ciągle sprawdzała zapięcia skafandra.

– Nie ma powodu do obaw – powiedziała siedząca obok niej Lisa. – Ta toksyczna chmura już opadła i szybko traci moc.

Jenna nie odczuwała jednak ulgi, zwłaszcza gdy zobaczyła, jak spod szerokich opon pojazdu wzbija się w górę na zwirowej drodze chmura pyłu. Starła się oddychać równomiernie, by zachować zapas tlenu. Mieli dodatkowe butle, ale w miarę możliwości nie powinni ich wymieniać w strefie skażenia.

Po kilku minutach starszy kapral Schmitt nacisnął klakson i wskazał coś ręką przez otwarte okno.

Przy drodze stał metrowej wysokości cylinder – jedno z urządzeń do chemicznego monitoringu. Z jego wierzchołka wyrastała długa antena oraz trzyczaszowy anemometr wykorzystywany do mierzenia prędkości wiatru. Na szczęście niewielkie łopatki pozostawały całkowicie nieruchome.

Drake wpatrywał się w cylinder, gdy go mijali.

– Pożegnajcie się z czystym powietrzem – powiedział.

Wjeżdżali w strefę skażenia.

Droga pięła się na porośnięte krzakami zbocze. Widok przesłaniały miejscami skupiska sosen Jeffreya. Początkowo wszystko wydawało się w porządku, jakby jechali na wycieczkę w góry. Potem ujrzeli na poboczu drogi pierwszego martwego jelenia. Leżał na boku, z wykręconą od konwulsji szyją i sterczącym spomiędzy miękkich warg grubym różowym językiem.

Jenna zaczerpnęła powietrza i odwróciła głowę, żeby nie patrzeć, ale gdy przejechali kolejny kilometr, nie było już dokąd uciekać wzrokiem. W okolicy nie spotykało się zwykle dzikich zwierząt, zwłaszcza w ciągu dnia. Ale eksplozja i chmura trującego dymu wypłoszyły je najwyraźniej z ich legowisk, nor i dziur.

Wkrótce pod oponami samochodu zachrzęściły szczątki strzyżyków i świstaków. Na okolicznych zboczach leżały jak futrzane kłęby truchła królików i zajęcy. Większe cienie oznaczały martwe stado jeleni. Gdzie indziej kłęczał na przednich nogach rzadki okaz muflona z zaplątanymi w ciernisty krzak kręconymi rogami.

Jennie spłynęła po policzku łza. Nie mogła jej otrzeć. Nawet będąc strażniczką lasu, nie wyobrażała sobie nigdy, że wśród tych wzgórz żyje tyle zwierząt.

A teraz wszystkie zginęły.

Hummer zatrzymywał się co kilometr. Drake pobierał próbki ziemi, a Lisa – sierści i tkanek martwych stworzeń. Jenna chciała jej pomóc pobrać próbkę krwi czarnej niedźwiedzicy. Niestety, gdy ją odwróciły, by mieć dostęp do tętnicy szyjnej, Jenna znalazła pod cielskiem samicy zmiążdżonego niedźwiadka.

Widząc to, Lisa odeszła na bok.

– Wystarczy – powiedziała. – Mam już dość.

Z każdym kolejnym kilometrem coraz mniej żartowali, aż w końcu słychać było jedynie ich oddechy, pomruk silnika i chrzęst opon.

Gdy dzieliło ich jakieś pięć kilometrów od strefy zero, Drake w końcu znów się odezwał:

– Spójrzcie na roślinność na zboczu przed nami.

Jenna wstała z ławki, by lepiej się przyjrzeć.

Do tej pory wzgórze wyglądały w miarę normalnie. Były porośnięte krzewami, floksami

i sosnami. Ale wyżej dawało się zauważyć zmianę. Zbocza po obu stronach drogi były poczerniałe, bez śladu zieleni.

– Czyżby eksplozja wywołała pożar zarośli? – spytała Lisa.

Jenna pokręciła głową. Miała spore doświadczenie z takimi pożarami, powodowanymi przez pioruny albo lekkomyślnych biwakowiczów. Płomienie mogły strawić w ciągu kilku minut wiele hektarów suchej trawy i łatwopalnych krzaków. Pozostałby tylko popiół i wypalone pnie większych sosen.

– To nie był pożar – powiedziała.

– Przypatrzmy się bliżej. – Lisa dotknęła ramienia sierżanta.

– Zatrzymaj się – rozkazał Drake, a kiedy kierowca zahamował na skraju poczerniałego zbocza, zwrócił się do Lisy i Jenny: – Może powinnycie tu obie zostać, dopóki nie upewnimy się, czy jest tam bezpiecznie.

Jenna przewróciła oczami. Cała ta wyprawa była niebezpieczna.

Przeszła na tył hummera i zeskoczyła na ziemię. Lisa poszła w jej ślady i pozostali również.

– Weź sprzęt do pobierania próbek – poleciała Lisa bratu.

– Mam go – odparł Josh, zeskakując z platformy i lądując miękko na ziemi.

Kierowca został w kabinie, a reszta grupy ruszyła na łąkę. Jenna stąpała ostrożnie. Wiele spośród roślin, które musiały dostosować się do tego nieprzyjaznego alkalicznego środowiska, wytworzyło niebezpieczne mechanizmy obronne: długie kolce, haczykowate ciernie, ostre gałęzie. Bała się przedziurawić lub rozedrzeć skafander.

Zmierzali powoli wśród pejzażu zieleni, fioleto i czerwieni do strefy czerni. Górna połowa wzgórza wyglądała tak, jakby przesłaniał ją cień. Z oddali granica między dwoma obszarami wydawała się wyraźna, ale gdy do niej dotarli, dostrzegli zarówno żywą, jak i martwą roślinność.

Lisa zwróciła się do brata:

– Josh, znajdź w tej strefie roślinę, która wygląda na zdrową. Ja się zajmę tymi zwęglonymi. – Wskazała na Drake’a. – Pobierzmy też tutaj próbki ziemi.

Gdy wszyscy wykonywali posłusznie jej polecenia, Jenna trzymała się blisko Lisy. Weszły razem na wypaloną łąkę i przykucnęły obok kępy wysokich łądyg zwieńczonych szerniałymi płatkami.

– To *castilleja* – wyjaśniła Jenna. – Nazywana pustynnym pędzlem, a czasem także ogniem prerii, ze względu na jaskrawoczerwone kwiaty. O tej porze roku właśnie zaczynają kwitnąć.

Wskazała na zdrowe pędy z fioletowymi teraz pąkami.

Lisa chwyciła od dołu jedną z chorych roślin i wyrwała ją z korzeniami. Ale gdy próbowała ją włożyć do foliowej torebki, łądyga i liście rozsypały się jak rzeźba z piasku.

Jenna pomogła Lisie zebrać szczątki rośliny. Potem obie podniosły się i Lisa spojrzała na szczyt wzgórza.

– Rozejrzyjmy się – powiedziała Jenna, chcąc poznać rozmiar szkód.

Stąpając bardzo ostrożnie, doszły do grzbietu zbocza. Jennie zaparło dech na widok tego, co zobaczyła. Aż po horyzont rozciągały się poczerniałe wzgórza pogrążone w grobowej ciszy.

W oddali martwe zbocza przecinało ogrodzenie z metalowej siatki, znacząc granicę stacji badawczej.

– Myślisz, że to wszystko wyginęło z powodu toksycznej chmury? – spytała Jenna. – Czy gaz w pobliżu bazy był bardziej zabójczy?

– Możliwe, ale wątpię.

Jenna usłyszała strach w głosie Lisy i wiedziała, co ją niepokoi.

Czy to był znak, że coś uciekło z bazy? Rozejrzała się. A co najgorsze, że może nadal być aktywne?

Lisa przestała wpatrywać się w horyzont i pociągnęła ją za sobą.

– Jedźmy do strefy zero. Poszukajmy dowodów i wracajmy z próbkami do sztabu. Może znajdziemy jakieś odpowiedzi.

Gdy dotarły na skraj wypalonego obszaru, zobaczyły, że Drake i jeden z marines wbijają w ziemię drewniane słupki, wyznaczając granicę strefy skażenia. Josh stał z boku ze zgromadzonymi w pudle próbkami ziemi i roślin.

Wrócili razem do hummera i kontynuowali podróż w kierunku strefy zero.

Zaszokowana Jenna przyglądała się widocznym wokół zniszczeniom. Zauważyła w rowie zwłoki kojota, niemal bez futra, poczerniałe jak okoliczne łąki.

Spojrzała w kierunku bazy.

Co za potwora pan stworzył, doktorze Hess?

Kalifornia Dolna, Meksyk

Godzina 6.43 czasu miejscowego

Kendall Hess stał przy niewielkim odrzutowcu, który właśnie tankowano. Pozwolono mu rozprostować nogi. Pilnujący go rosły strażnik Mateo przekazał plik opasanych gumką studolarowych banknotów Meksykaninowi, spoglądającemu czujnie spod runda kowbojskiego kapelusza.

Pewnie handlarz narkotyków, domyślił się Kendall. Nieoznakowane lądowisko i cysterna z paliwem potwierdzały jego przypuszczenia.

Po tym, co wydarzyło się w górach, Kendall starał się śledzić ich trasę na południe. Mateo zostawił śmigłowiec na pustyni Nevada i przesiadł się na niewielkim lotnisku do prywatnego samolotu. W Arizonie zamienił go z kolei na cessnę i tuż przed wschodem słońca przeleciał nią przez granicę. Od tamtej pory lecieli wzdłuż półwyspu Kalifornii Dolnej. Domyślał się, że są gdzieś na południe od San Felipe.

W oddali lśniła jasno Zatoka Kalifornijska, której lazur kontrastował z falującymi wydmami pustyni. Był to surowy krajobraz, urozmaicony tylko pojedynczymi kaktusami.

Rozpoznał wysokie, kolczaste okazy z gatunku *Pachycereus pringlei*, z powodu rozmiarów zwane kaktusami słońcowymi. Jako naukowiec interesował się nimi, wykazywały bowiem niezwykłą zdolność przetrwania w nieprzyjaznym środowisku. Często rosły na skalistym podłożu, przekraczały wysokość dziesięciu metrów i mogły mieć ponad tysiąc lat. Osiągały to dzięki symbiozie z pewną bakterią, mikroorganizmem, który pomagał im kruszyć skałę i dostarczał azotu. Ich relacja okazała się tak udana, że bakteria weszła w skład nasion kaktusa.

Kendall zajmował się jakiś czas tym mikroblem w ramach swoich badań nad ekstremofilami, ale znalazł się w ślepym zaułku.

Miejmy nadzieję, że tym razem mnie to nie czeka, pomyślał.

– Do środka! – rozkazał szorstko Mateo.

Wiedząc, że nie ma wyboru, Kendall, pilnowany przez rosnącego strażnika, przeszedł pod skrzydłem i wspiął się do kabiny. Za sterami siedział pilot, z którym przylecieli z Kalifornii. Gdy

tylko Kendall zajął miejsce, cessa zaczęła kołować, po czym wystartowała i skierowała się znów na południe.

Dokąd mnie zabierają?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, wiedział jednak, kto na niego czeka. Był to ten sam człowiek, który zorganizował atak i który najprawdopodobniej przez ostatnie dziesięć lat manipulował z daleka badaniami Kendalla.

Ten łajdak – dawny współpracownik – został jedenaście lat temu uznany za zmarłego. Jego samolot rozbił się w Kongu i tydzień później ratownicy odnaleźli wrak i zwęglone szczątki załogi i pasażerów. Kendall teraz już wiedział, że to była mistyfikacja, ale wówczas poczuł w głębi duszy ulgę, bo obawiał się mrocznych poczynań tego człowieka.

Jeśli nadal prowadzi te badania...

Kendall poczuł dreszcz grozy, ponieważ wiedział, co stworzył w swoim laboratorium, co wyrwało się spod kontroli w Kalifornii. Przeszły go ciarki, bo domyślał się, dlaczego został porwany.

Boże, dopomóż nam wszystkim.

Godzina 6.46

Painter pochylił się nad monitorem; za jego plecami stał dowódca bazy, pułkownik Bozeman. Ekran komputera podzielony był na pięć prostokątów, gdyż obraz pochodził z kamer poszczególnych uczestników ekspedycji. Dzięki temu, kiedy hummer podjeżdżał do ogrodzenia otaczającego dawną bazę, mogli się przyglądać ponuremu krajobrazowi.

– Nie zbliżajcie się za bardzo do samej stacji – powiedział przez radio, ostrzegając swoich ludzi. – Większość bazy znajduje się pod ziemią. Kto wie, czy eksplozja nie naruszyła konstrukcji budowli? Może się zawalić pod ciężarem samochodu albo nawet człowieka. Nie chcemy, żebyście wszyscy wpadli przypadkiem do toksycznego leja.

– My też byśmy tego nie chcieli, panie pułkowniku – odparł Drake.

Bozeman pochylił się nad ramieniem Paintera.

– Słuchaj dyrektora, Drake – rozkazał. – Żadnych dyskusji. On tu dowodzi.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Bozeman wyprostował się i do mikrofonu odezwał się Painter:

– Sądząc z planu bazy, powinniście trzymać się w odległości co najmniej dwustu metrów. Jeśli zbliżycie się bardziej, znajdziecie się tuż nad stacją.

– Chyba nie będzie z tym problemu – odparł Drake.

Hummer przetoczył się na ekranie monitora przez otwartą bramę i po chwili zatrzymał się na drodze wjazdowej.

– Widzicie to? – spytał Drake.

Aby mieć lepszy obraz, Painter powiększył przekaz z kamery przymocowanej do skafandra Lisy, która stała na platformie hummera, umożliwiając mu obserwację drogi.

Pięćdziesiąt metrów dalej widać było na zboczu wzgórze ogromny krater. Nad miejscem eksplozji wisiał słup dymu. Zniszczenia były o wiele większe, niż się spodziewał. Wyglądało na to, że doktor Hess, projektując ten system bezpieczeństwa, nie zamierzał ryzykować.

– Myślę, że runęła nie tylko baza – powiedziała przez radio Jenna.

Nikko poruszył się przy nogach Paintera, przysiadając na zadzie i nastawiając ucha na dźwięk głosu swojej pani.

– Co masz na myśli? – spytał Painter.

– Podobno wojsko zbudowało tę stację wewnątrz dawnej kopalni, z czasów gorączki złota. Zdaje się, że gdy stacja eksplodowała, zawaliły się też odcinki okolicznych tuneli.

To nic dobrego, pomyślał Painter i odwrócił się do Bozemana.

– Mamy jakąś mapę albo plan tej starej kopalni?

– Pójdę sprawdzić. – Pułkownik wyszedł pospiesznie, wykrzykując rozkazy do swoich ludzi.

Painter zaczerpnął głęboko powietrza, zanim się odezwał.

– Dopóki nie ustalimy, jaki zasięg mają te stare tunele, powinniście się wycofać.

– A co z dochodzeniem w strefie zero? – spytała Lisa.

– Wygląda na to, że i tak nie znajdziecie tam niczego przydatnego. Będzie bezpieczniej, jeśli...

Obraz na ekranie zadrgał...

Rozległy się krzyki.

Painter widział, jak Lisa chwyta się pręta za kabiną kierowcy. Przednia część hummera przechyliła się, gdy osunął się pod nim grunt. Szczeliny w ziemi rozstępowały się w kierunku dużego krateru.

Na ekranie monitora Drake uderzał dłonią w dach hummera.

– Jedź, jedź, jedź!!

Silnik zawył na wstecznym biegu. Opony zabuksowały po żwirze.

Nikko zerwał się na nogi, warcząc do wtóru.

Hummer, cofając powoli, wyjechał z powiększającej się wciąż dziury. Kierowca ruszył zygzakiem do tyłu, by złapać przyczepność na niepewnym gruncie. Po chwili, wstrzymując oddechy, minęli bramę i znaleźli się na głównej drodze.

Lej zapadł się w głąb opuszczonej kopalni, ale im już nie zagrażał.

– Posłuchajmy lepiej dyrektora i zabierajmy się stąd! – zawołał Drake.

Nikt nie protestował.

Painter pochylił się i poklepał Nikka po boku.

– Są cali i zdrowi. – Starał się uspokoić psa, ale także uciszyć dudnienie własnego serca. Włączył obraz pochodzący z kamery Josha. Gdy chłopak pomagał siostrze usiąść na ławce, Painter przyjrzał się jej twarzy, przesłoniętej częściowo maską. Zauważył przyklejone do policzków kosmyki spoconych włosów, ale poza tym wydawała się niewzruszona, a co ważniejsze...

Była bezpieczna.

To wystarczyło, by miał poczucie zwycięstwa.

Członkowie ekspedycji mogli nie dowiedzieć się niczego istotnego na temat bazy, ale była nadzieja, że próbki, które zebrali, wskażą im właściwy kierunek poszukiwań.

Hummer zaczął obracać się za bramą o sto osiemdziesiąt stopni i w tym momencie krzyknęła Jenna:

– Zaczekajcie!

Drake kazał kierowcy się zatrzymać.

Painter wyprostował się w fotelu.

– Właśnie coś sobie uświadomiłam. Nie wiem, czy to ważne, ale zapomniałam wcześniej o tym powiedzieć. – Wskazała na bramę. – Kiedy przyjechałam tu wczoraj w nocy, ta brama była otwarta. Podobnie jak w tej chwili. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz wydaje mi się to dziwne.

Painter podążał za jej tokiem myślenia.

Napastnicy odlecieli śmigłowcem. Najprawdopodobniej również nim przylecieli.

– Kto zostawił otwartą bramę? – spytała Jenna. – Może ktoś, kto nie chciał dostać się do bazy, tylko z niej uciec?

Painter zwrócił uwagę na chronologię wydarzeń.

– Kiedy z bazy wysłano wezwanie o pomoc, mowa była tylko o uszkodzeniu systemu bezpieczeństwa, a nie o ataku – powiedział.

– Co oznacza, że ktoś, kto był wewnątrz, zapewne dokonał wcześniej sabotażu. I wiedząc, co nastąpi, uciekł, zanim rozpętało się piekło.

Rozważał prawdopodobieństwo takiego scenariusza.

– Ma to sens – przyznał. – W zamieszaniu, które powstało, grupa szturmowa mogła zjawić się niepostrzeżenie, wylądować i schwytać Hessa.

Jenna wskazała na krater.

– Przy tej skali zniszczeń potrzeba tygodni, jeśli nie miesięcy, żeby odnaleźć i zidentyfikować wszystkie ciała. Przez długi czas nikt się nie dowie, że Hess został porwany.

– Co wyjaśnia, dlaczego napastnicy byli tak zdeterminowani, żeby panią uciszyć. Nie wiedzieli, ile pani widziała, i nie mogli ryzykować, by wiadomość o porwaniu wydostała się na zewnątrz.

– Ale im się nie udało – dodała Jenna. – A teraz wiemy, że ktoś zdołał prawdopodobnie stąd uciec. Jedyne drogi z tych gór prowadzi przez Mono City albo Lee Vining. W obu miastach są liczne kamery do obserwacji ruchu. Jeśli uda nam się wysledzić sabotażystę...

...moglibyśmy się dowiedzieć, co się tu naprawdę wydarzyło i dlaczego, dokończył za nią w myślach. Painter wcześniej otrzymał pełne sprawozdanie na temat wydarzeń w Waszyngtonie, ataku na centralę DARPA i egzekucji doktora Luciusa Raffeego. Ktoś próbował najwyraźniej wykasować wszelkie informacje dotyczące bazy.

Ale teraz mogli mieć nadzieję, że dopadną tych ludzi.

Painter podrapał Nikka za uchem.

Masz mądrą panią.

Pochylił się do mikrofonu.

– W porządku, dobra robota. Zabieramy was bezpiecznie do domu.

Godzina 6.55

Gdy hummer zjeżdżał po zboczach, Lisa siedziała, milcząc pośpnie. Przypominała sobie procedury, którym musieli poddać się po powrocie.

Jednostka marines – współpracująca z ekipą z Centrum Zapobiegania Chorobom – zbudowała już na granicy strefy prowizoryczny garaż przystosowany do kwarantanny hummera. Będą musieli się tam rozebrać i przejść kilka etapów odkażania. Co więcej, będą izolowani przez

dwanaście godzin, by sprawdzić, czy nie pojawią się jakieś oznaki infekcji lub skażenia.

Wpatrywała się w pofalowane czarne wzgórza, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji. Szacowała, że strefa skażenia obejmuje ponad sto kilometrów kwadratowych.

Ale co to znaczyło? Czy eksplozja rozpyliła i rozprzestrzeniła na dużym obszarze to, co wyhodowano w laboratorium? Jeśli tak, to czy toksyczna chmura doktora Hessa zdołała zneutralizować skutki wybuchu?

Jedyne odpowiedzi znajdowały się teraz w bazie marines, gdzie założono w hangarze laboratorium biologiczne Poziomu 4. Chciała tam jak najszybciej wrócić, by zbadać pobrane próbki.

W końcu ukazały się przed nimi zielone wzgórza w łagodnym porannym słońcu. Miała wrażenie, jakby odbywali podróż z czarno-białego filmu w technikolor. Czerpała nadzieję z tego piękna, tej odporności natury.

Nagle zauważyła na zboczach martwe ptaki, jelenie, a nawet jaszczurki i węże – i poczuła na ramionach ogromny ciężar. Może to przez te cholerne butle z tlenem. Poprawiła uprząż, by było jej wygodniej.

– Spójrz tam. – Jenna wskazała w kierunku skraju pocerniałego pola.

Lisa dostrzegła, o co jej chodzi.

– Zatrzymajmy się – poleciła Drake'owi.

Posłuchał jej i hummer stanął w miejscu.

Obok drogi widać było rząd drewnianych słupków, które marines wbili w ziemię, by oznaczyć strefę skażenia. Tyle że sięgała ona już poza tę granicę, w dół zielonego zbocza.

– Nadal się rozprzestrzenia – powiedziała Jenna zduszonym głosem.

Drake zaklął.

Lisa przełknęła ślinę, czując, że ze strachu zasycha jej w gardle.

– Powinniśmy zmierzyć, jak daleko skażenie przesunęło się poza słupki. – Spojrzała na zegar w kabinie hummera. – Możemy oszacować w przybliżeniu, jak szybko się przemieszcza.

– Jestem za – rzucił sierżant Drake. Wydobył taśmę mierniczą ze skrzynki z narzędziami na platformie hummera i zeskoczył na drogę.

Josh podążył za nim.

– Pomogę ci.

Lisa chciała do nich podejść, ale Painter odezwał się do niej przez radio.

– Liso, mam cię na prywatnym kanale.

Przystanąła, zaciskając dłoń na krawędzi platformy. Pomachała do pozostałych, by kontynuowali.

– O co chodzi?

– Jeśli ten organizm jest wciąż żywy, jeśli nie zabił go toksyczny gaz, będziemy musieli wszystko tam spalić.

– Ale czy ogień go zniszczy?

– Tak sędzę.

– Dlaczego?

– Grupa szturmowa przyleciała z miotaczem ognia. To nietypowe wyposażenie.

Zrozumiała.

– Musieli przewidywać, że taka broń będzie im potrzebna.

– Właśnie. Mieli zaatakować laboratorium z systemem zabezpieczeń przed skażeniami. Zaopatrzone ich tak, by mogli utorować sobie ogień drogę do Hessa.

– Obyś się nie mylił. – Spojrzała w kierunku wzgórz usianych padliną. – Może w przypadku, gdyby toksyny nie zniszczyły tego organizmu, gaz paraliżujący miał zabić wszystko, co się rusza, co pozwoliłoby mu się przemieścić poza ten obszar.

– Żeby nie szerzyła się infekcja.

Pokiwała głową. Po tej rozmowie zapragnęła jeszcze bardziej znaleźć się w laboratorium i sprawdzić te hipotezy.

Jej uwagę przykuł ostry krzyk zza hummera. Josh klęczał na jednym kolanie, a Drake pomagał mu wstać.

– Trzeba uważać na te ukryte skały – powiedział.

Josh wyrwał mu się, cofnął o krok i spojrzał na swoją lewą nogę.

– Coś mnie ukłuło. Chyba cierń.

– Pokaż mi to.

Drake zaczął oglądać jego nogę, ale Lisa krzyknęła:

– Stójcie! – Zeskoczyła z platformy i pospieszyła do nich. – Josh, nie ruszaj się!

Dobiegła do mężczyzn. Zauważyła, że jej brat zbladł. Przykucnąwszy, obejrzała rozdarcie skafandra i wbity w skórę cierń z kawałkiem gałązki.

Łodyga i liść były czarne.

– Przynies taśmę klejącą! – krzyknął Drake do swojego kolegi, po czym zwrócił się do Lisy: – Możemy załatać skafander. To nieduże rozdarcie.

Ona rozdarła go jednak jeszcze bardziej, by obejrzeć goleń brata. Skóra wokół wbitego w skórę czarnego ciernia była już fioletowa.

– Piecze jak cholera – powiedział Josh, krzywiąc się.

– Potrzebujemy sznura – zwróciła się do Drake'a. – Albo paska.

Sierżant pobiegł do hummera, żeby znaleźć coś odpowiedniego.

– Wyjdiesz z tego – zapewniła Lisa, ale jej słowa brzmiały nieprzekonywająco. Stała przy młodszym bracie, ściskając go za rękę.

Josh oddychał ciężko pod maską. Oczy zwęziły mu się z bólu. Wyglądał o dziesięć lat młodziej, jakby strach zmienił go w chłopca szukającego pomocy u starszej siostry.

A Lisie brzmiały w uszach słowa:

Zabijcie nas... zabijcie nas wszystkich.

Drake przybiegł z powrotem, sprowadzając całą ekipę z wyjątkiem kierowcy. Przyniósł zwój liny wspinaczkowej. Lisa pomogła przewiązać nią udo Josha.

– Zaciśnij najmocniej jak możesz – przykazała sierżantowi.

Jenna stała ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, najwyraźniej zdając sobie sprawę z zagrożenia.

– Czy to zapobiegnie rozprzestrzenianiu się zakażenia?

Lisa nie odpowiedziała, bo nie chciała kłamać.

Gdy linę zaciśnięto na udzie Josha, marines przenieśli go z powrotem do hummera i położyli na platformie. Lisa podeszła do skrzynki z narzędziami i wyjęła z niej to, czego potrzebowała.

Painter odezwał się na prywatnej linii.

– Liso...

– To konieczne – wyszeptała w odpowiedzi.

– Przynajmniej zaczekaj, aż tu wrócicie.

– Stracimy zbyt wiele czasu.

Gdy się odwróciła, Drake zmartwił, widząc, co Lisa trzyma w rękach. Podała mu strażacki topór.

– Pod kolaniem – powiedziała. – Tnij pod kolaniem.

Waszyngton, D.C.

28 kwietnia, godzina 10.17 czasu miejscowego

– To on – powiedział komandor Grayson Pierce.

Oparł zaciśnięte dłonie na konsoli komputera w centrali Sigmy. Był sam z Kat. Jason, widoczny za szybą w sąsiednim pomieszczeniu, pracował nad plikami, które odzyskali z serwerów DARPA.

Dzięki Bogu, że miałem ze sobą tego pendrive'a, pomyślał Gray.

Skupiając uwagę na monitorze, przyglądał się fotografii widocznego na ekranie mężczyzny o wyrazistych rysach, wąskim nosie i krótko przystrzyżonych blond włosach. Przypomniał sobie, jak ten człowiek mierzył go groźnym spojrzeniem z końca korytarza w centrali DARPA.

– Masz pewność, że to on? – spytała Kat.

– Bez wątpienia. Kto to jest?

Przed kilkoma godzinami, gdy wrócili z Arlington do centrali Sigmy, Kat wysłuchała relacji Graya. Umówiła go również z rysownikiem, by sporządził portret pamięciowy dowódcy grupy, podczas gdy wyznaczona ekipa zabierała zwłoki napastników z korytarza siedziby DARPA na szóstym piętrze. Nie znaleziono przy nich żadnych dowodów tożsamości, ale pobrano odciski palców. Kat nie potrzebowała dużo czasu, by stwierdzić, że wszyscy napastnicy byli dawnymi żołnierzami brytyjskich sił specjalnych, a konkretnie SAS – Dwudziestej Drugiej Jednostki Sił Powietrznych. Najprawdopodobniej zostali najemnikami, elitarną grupą świadczącą kosztowne usługi.

Kat wskazała na ekran.

– Dowodzi nimi major Dylan Wright.

– Niech zgadnę. Jest również z SAS.

– Blisko. Służył w brytyjskich siłach specjalnych, ale w marynarce.

SBS. Jednostka przeznaczona do działań na morzu.

Gray słyszał o tej jednostce. Powstała podczas drugiej wojny światowej, aby atakować niemieckie cele na Morzu Śródziemnym, Egejskim i Adriatyku. Teraz stacjonowali na całym świecie jako grupy antyterrorystyczne.

– Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że tę grupę utworzyli dawni członkowie brytyjskiego Szwadronu X – dodała Kat. – Ta wyspecjalizowana jednostka powstała w dwa tysiące czwartym roku i składała się z ochotników z SAS i SBS.

Podobnie jak grupa, która zaatakowała siedzibę DARPA, pomyślał Gray.

– Szwadron X uchodzi za elitarną formację – dokończyła Kat.

– Kto więc wynajął tych byłych żołnierzy?

– Nie wiadomo, ale próbuję się czegoś dowiedzieć od służb wywiadowczych i moich

wtyczek w mrocznym świątku najemników. Mam nadzieję, że w ciągu paru godzin otrzymamy jakieś odpowiedzi. – Kat zerknęła na niego z życzliwością. – Gdybyś tymczasem chciał się zająć jakimiś osobistymi sprawami, teraz jest dobra pora.

Gray westchnął. Zdążył już zajrzeć do ojca. Zastał tam pielęgniarkę i rozmawiali długo na temat zainstalowania alarmów przy drzwiach i innych urządzeń, by zapewnić ojcu bezpieczeństwo nocą. Ale nawet ona przyznawała, że to tylko prowizoryczne rozwiązanie i muszą pomyśleć razem z Kennym o podjęciu kolejnego kroku, czyli przeniesieniu ojca jeśli nie do ośrodka dla chorych na demencję, to przynajmniej do domu opieki.

– Pójdę chyba na siłownię – oznajmił, czując potrzebę uporządkowania myśli. – Wyładuję trochę energii.

Kat przyglądała mu się przez chwilę, po czym skinęła powoli głową.

– Myślę, że Monk jest tam teraz.

Odwrócili się, gdy ktoś zastukał w szybę za ich plecami. Jason przywołał Kat gestem ręki. Gray, zaciekawiony, podążył za nią do sąsiedniego pomieszczenia.

Kat weszła za biurko Jasona.

– Udaje ci się coś wydobyć z tych plików?

– Trochę. Szkoda, że mogłem odzyskać tylko ten jeden folder z informacjami na temat bazy. To tak, jakbyś chciał odtworzyć wygląd pokoju, zaglądając przez dziurkę od klucza. Gdybym miał więcej czasu, żeby skopiować dodatkowe pliki...

Kat dotknęła jego ramienia.

– Przede wszystkim musisz pogodzić się z tym, że w wywiadzie nigdy nie ma się pełnego obrazu sytuacji. Trzeba się nauczyć korzystać z dostępnych informacji i wyciągać z nich wnioski.

Jason zmarszczył czoło, najwyraźniej nadal niezadowolony. Sądząc po jego podkrążonych oczach i napoju energetyzującym Rockstar, który miał obok łokcia, tej nocy chyba w ogóle nie spał.

– Próbowałem się dodzwonić do British Antarctic Survey, żeby porozmawiać z profesorem Harringtonem, tym paleobiologiem, który miał regularny kontakt z doktorem Hessem – powiedział. – Może być w stanie wypełnić wiele luk w naszym śledztwie.

– Miejmy nadzieję – rzuciła Kat. – Ale po co nas tu ściągnąłeś? Znalazłeś coś?

– Możliwe, ale chciałem zasięgnąć waszej opinii. Ślęczę nad tymi plikami tyle godzin, że tracę obiektywizm. Potrzebuję świeżego spojrzenia.

– Nie martw się. Mnie też się to zdarza. Doradzimy ci.

Gray był zaskoczony, jak łagodnie Kat – zwykle ostra i zasadnicza – odnosi się do tego młodego człowieka. Gdy ją spotkał, czuł, że w jej obecności musi zawsze stawać na baczność. Wywierała taki wpływ na ludzi. Może dlatego, że wychowywała dwie dziewczynki, ale tu dawała się poznać z innej strony. Daleko jej było do okazywania ciepła i czułości, ale z pewnością służyła życzliwą radą.

Jason wyprostował się w fotelu, nabierając pewności siebie.

– W porządku, ale musicie być cierpliwi, bo zagłębiłem się po uszy w dociekaniach, co robiły na Antarktydzie różne wojskowe i naukowe brytyjskie ekspedycje.

Kat zerknęła wymownie na Graya. Znów brytyjczy wojskowi! Jak członkowie grupy, która zaatakowała siedzibę DARPA. Czy coś ich ze sobą łączy?

– Kontynuuj – zachęciła Jasona Kat.

– Zanim przejdę do historii, zacznijmy od bardziej współczesnych wydarzeń. W tysiąc

dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku zaczął obowiązywać międzynarodowy Traktat Antarktyczny, w którym zadeklarowano, że Antarktyda ma być wolna od roszczeń terytorialnych i wykorzystywana wyłącznie w celach pokojowych. Od tamtej pory zbudowano na tym kontynencie wiele baz. Niektóre są placówkami czysto naukowymi, ale większość, wbrew traktatowi, ma charakter militarno-badawczy.

Podobnie jak baza w Kalifornii, uzmysłowił sobie Gray.

– Ale jeszcze przed podpisaniem traktatu – ciągnął Jason – międzynarodowe społeczności rozpętały na Antarktydzie wojnę terytorialną. Wszyscy rościli sobie pretensje do kawałka tego lodowego tortu. Sytuacja zaostrzyła się podczas drugiej wojny światowej, bo niemieckie łodzie podwodne chroniły się na Oceanie Południowym. Ale nawet przed wojną Niemcy upominali się bardzo agresywnie o swoje prawa do tego obszaru. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku zorganizowali Deutsche Antarktische Expedition, żeby zbadać ten kontynent i założyć tam bazę.

Jason wcisnął klawisz i wyświetlił logo niemieckiej ekipy.

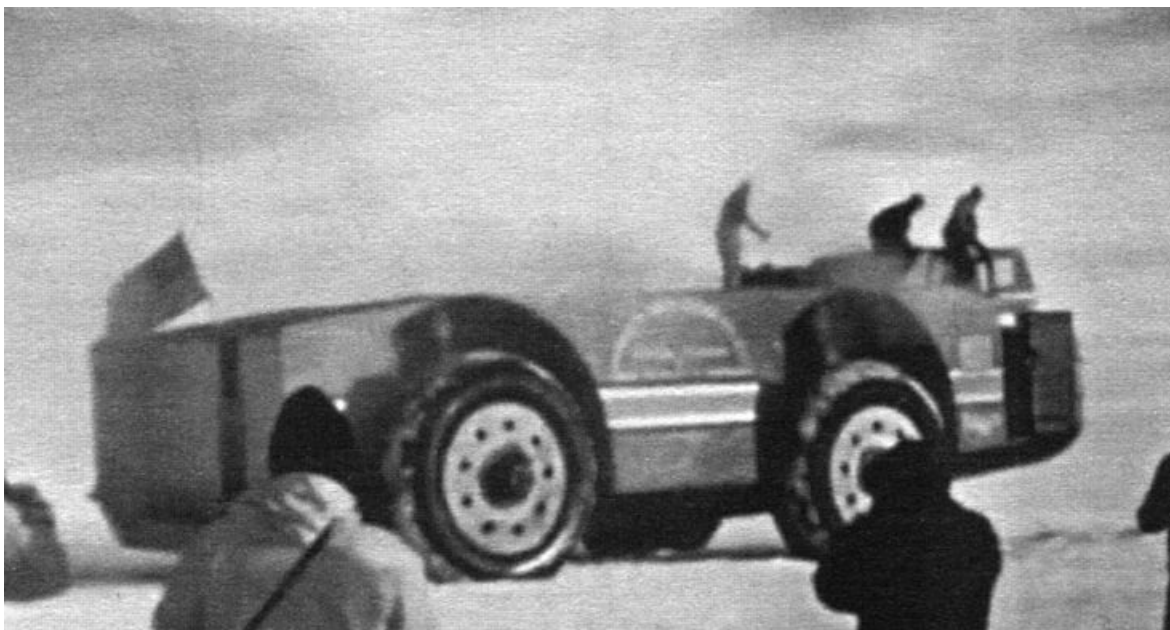


– Oficjalnym celem ekspedycji było znalezienie lokalizacji dla stacji wielorybniczej, ale w powszechnej opinii szukali miejsca dla niemieckiej bazy morskiej. O dziwo, zanim wyjechali z Hamburga, wynajęli nawet słynnego amerykańskiego polarnika, Richarda E. Byrda, by zrobił im wykład. To istotny szczegół.

– Dlaczego? – spytał Gray.

– Naziści zagarnęli w końcu część Antarktydy w rejonie zwanym Ziemią Królowej Maud, uważanym wówczas za terytorium Norwegii. Nadali temu miejscu nazwę Neuschwabenland. Najwyraźniej skłoniło to Amerykanów do zorganizowania własnej ekspedycji, na której czele stanął sam Richard Byrd. Towarzyszyły jej tajemnicze okoliczności. Byrd polecił skonstruować gigantyczny pojazd śnieżny, szesnastometrowe monstrum zdolne pokonywać góry polarne i ogromne rozpadliny. Na jego górnej platformie mieścił się nawet niewielki samolot zwiadowczy. Oto zdjęcie z przybycia tego pojazdu na Antarktydę.

Kliknął na ikonę, by wyświetlić je na ekranie.



– Imponująca bestia – przyznał Gray.

– Ten pojazd zabierał wystarczająco dużo sprzętu i zapasów, by grupa badawcza miała zaopatrzenie na cały rok i mogła działać całkowicie niezależnie. Stanowił w zasadzie ruchomą bazę.

– Jakie miał zadanie?

– Tutaj sprawa robi się interesująca. Gdy budowano i transportowano ten pojazd, było o nim głośno, ale kiedy dotarł na Antarktydę, wszystko nagle ucichło. Objęto tajemnicą nie tylko rozkazy Byrda dotyczące tej ekspedycji, ale nawet sam fakt, że one w ogóle istniały. Dopiero po latach Byrd przyznał, że jego pojazd śnieżny zbadał tysiąc pięćset kilometrów nieznanego obszaru, który nazwał Wybrzeżem Upiorów. I że podczas tej wyprawy stracił pięćdziesięciu dziewięciu ludzi.

– Czego tam szukali? – spytała Kat.

Jason wzruszył ramionami.

– Istnieje wiele teorii, niektóre prozaiczne, inne dość wyszukane. Ale profesor Harrington miał wiele notatek i dokumentów z tamtego okresu. Jego zdaniem, Niemcy odkryli coś niewiarygodnego, zakopanego pod lodem.

– Co? – spytał drwiąco Gray. – UFO?

– Nie, ale prawie zgadłeś. Z dawnych relacji wynika, że znaleźli tam rozległy podziemny kompleks ciepłych jezior, głębokich rozpadlin i tuneli.

Gray nie ukrywał sceptycyzmu.

Jason spojrział na Kat, a ona skinęła głową, pozwalając mu swobodnie mówić.

– Istniały pewne precedensy... – Chłopak przerwał, jakby wiedział o czymś, o czym niekoniecznie chciał mówić.

Komandor zamierzał chyba drążyć ten temat, ale Kat dała Jasonowi znak, by kontynuował.

Chłopak odchrząknął i powiedział:

– Ostatnie badania geologiczne wykazują, że twierdzenia Niemców nie były bezpodstawne.

W ciągu minionych kilku lat odkryto głęboko pod lodem zadziwiające anomalie. Od dawnych jezior i płynących rzek, być może pełnych życia, po rowy, przy których Wielki Kanion jest karłem. Odnaleziono nawet podziemne wulkany, z których wypływa lava drążąca sobie powoli drogę wiele kilometrów pod lodem.

Gray próbował sobie wyobrazić taki dziwny krajobraz.

– W każdym razie – kontynuował Jason – przekonanie o istnieniu nazistowskiej bazy zwróciło uwagę opinii publicznej. Tu jest artykuł opublikowany w „New York Timesie” w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku.

Komandor zajrzał mu przez ramię i przeczytał tytuł „Raport o bazie na Antarktydzie”.

Kat westchnęła zniecierpliwiona.

– No tak, ale co to ma wspólnego z doktorem Hessem albo z British Antarctic Survey?

– Bardzo wiele. Profesor Harrington dużo zainwestował w te pionierskie ekspedycje. Brytyjczycy byli najaktywniejszymi badaczami Antarktydy. Pierwsi założyli tam bazę, nazwali większość punktów orientacyjnych, a w ciągu dziesięciu lat po wojnie przedsięwzięli kilkanaście wypraw w głąb kontynentu, głównie pod auspicjami organizacji Falkland Islands Dependencies Survey. – Jason podniósł wzrok. – W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku zmieniła ona nazwę na British Antarctic Survey.

– A więc ta sama organizacja działa tam od dziesięcioleci. – Kat zastanowiła się nad tą informacją. – Ale po co wysyłali tyle ekspedycji, zwłaszcza po drugiej wojnie?

– Musicie zrozumieć, że pod koniec wojny większość głównych graczy z nazistowskich Niemiec trafiła w ręce Brytyjczyków. Rudolf Hess, Heinrich Himmler, a przede wszystkim dowódca niemieckiej marynarki, admirał Karl Dönitz. Brytyjczycy mieli nieograniczone możliwości przesłuchiwania tych przywódców i ich współpracowników, zanim mogliśmy to zrobić my albo Rosjanie.

Gray rozumiał znaczenie tego faktu w kontekście ich rozmowy.

– A jako dowódca marynarki Dönitz dysponował z pewnością dogłębną wiedzą na temat działalności U-Bootów wokół tego wysuniętego na południe kontynentu – powiedział.

– Owszem, znał również lokalizację bazy Neuschwabenland i wiedział, co Niemcy znaleźli na Antarktydzie. Najwyraźniej coś niewiarygodnego. Oto cytat z jego zeznań podczas procesu norymberskiego, gdzie chwalił się odkryciami nazistów na tym kontynencie. Mówi, że napotkali „niezdobytą fortecę, rajską oazę wśród wiecznego lodu”.

Jason zaczekał, aż dotrą do nich jego słowa, po czym kontynuował:

– A co jeszcze bardziej niezwykle, ten admirał, zajmujący tak wysoką pozycję w nazistowskim aparacie władzy, spędził zaledwie dziesięć lat w więzieniu Spandau w Berlinie. Podczas gdy innych skazano na śmierć, dowódca niemieckiej floty dostał tylko klapsa. Jak sądzicie, dlaczego?

– Niech zgadnę – odparł Gray. – Zawarł jakiś układ. Lżejszy wyrok w zamian za informacje.

Jason przytaknął.

– Tak właśnie twierdzi profesor Harrington w swojej korespondencji z doktorem Hessem.

– A ta brytyjska organizacja od dziesięcioleci poszukuje labiryntu zaginionych jaskiń? – spytała Kat. – Dlaczego jest on taki ważny?

Jason westchnął ciężko.

– Pliki dotyczące historii nie zawierają niczego więcej na ten temat, ale w prywatnych notatkach profesora Harringtona jest wzmianka o istnieniu jakichś tajnych dokumentów, być

może mapy, czegoś, co należało kiedyś do Darwina.

Gray był wyraźnie wstrząśnięty.

– Charlesa Darwina?

– Tak.

Komandor wskazał na nazwę pliku u góry ekranu komputera.

D.A.R.W.I.N.

– Czy dlatego folder, który skopiowaliśmy z serwerów DARPA, nosi taki tytuł? – spytał.

– Być może, ale jest to również najwyraźniej skrót od wspólnego życiowego motta Harringtona i Hessa. Omawiają to w kilku swoich e-mailach. Składa się z pierwszych liter słów: *Develop and Revolutionize Without Injuring Nature*¹. Obaj naukowcy starali się znaleźć sposób na powstrzymanie masowego wymierania gatunków na naszej planecie.

Szóstą apokalipsę.

Gray przypomniał sobie, jak doktor Raffee opisywał misję Hessa: rozwiązać problem zagłady życia na Ziemi.

– Ale co ta odległa historia ma wspólnego z aktualnym projektem Hessa z dziedziny biologii syntetycznej? – spytała Kat.

– Nie wiem, ale przypuszczam, że kryzys zaczął się w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Dlaczego wtedy?

– Obaj naukowcy wspominają o odkryciu dokonanym w październiku tego roku. Opisują je jako przełom w swoich badaniach. Harrington nazwał je bardziej ostentacyjnie „kluczem do bram piekła”.

Komandorowi nie spodobało się to określenie.

– Byli bardzo ostrożni, wspominając o tym odkryciu. Ale ujawnili, o co chodziło. – Jason spojrział na Kat i Graya. – Dlatego was tu poprosiłem. Pomyślałem, że to może mieć znaczenie w kontekście wydarzeń w Kalifornii.

– To znaczy? – naciskał Gray.

– Znalazłem potwierdzenie tych informacji w niezależnych źródłach. Ten konkretny szczegół jest z pewnością prawdziwy. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku grupa naukowców odkryła na Antarktydzie wirusa, na którego nie są odporne organizmy ludzi ani zwierząt. Co jeszcze dziwniejsze, znaleziono go na odległych polach lodowych, gdzie nie ma żadnego życia. Niektórzy naukowcy spekulowali, że mógł to być jakiś prehistoryczny mikroorganizm, który odtajał z lodu... albo pozostałość dawnego programu broni biologicznej. Tak czy inaczej, odkrycie to podekscytowało zarówno Harringtona, jak i Hessa.

Gray rozumiał, dlaczego ten szczegół zainteresował Jasona. Zważywszy na to, co działo się w Kalifornii, mógł być istotny.

Zanim zdążyli o tym porozmawiać, zadzwonił telefon na biurku Kat. Podniosła słuchawkę. Komandor miał nadzieję, że to dalsze wiadomości z Kalifornii. Spojrział na zegarek. Grupa ekspedycyjna powinna już wracać ze strefy skażenia. Liczył, że dostarczą jakichś informacji.

Kat zerknęła na niego.

– Łączą mnie z profesorem Harringtonem.

Wyprostował się. Może to i lepiej, pomyślał.

Kat przełączyła rozmowę na głośnik.

– Halo, halo. – Połączenie ciągle się przerywało. – Mówi Alex Harrington. Słyszysz mnie pani?

– Tak, panie profesorze. Rozmawia pan z...

– Wiem – rzucił, nie dając jej dokończyć. – Pracuje pani dla Sigmy.

Kat spojrzała na Jasona, a ten, poruszając bezgłośnie wargami, powiedział: „Nie mówiłem ani słowa”.

– Przyjaźniłem się z Seanem McKnightem – oznajmił Harrington.

Gray i Kat spojrzeli na siebie zaniepokojeni. Sean McKnight założył jednostkę Sigma. To on ponad dziesięć lat temu zwerbował do niej Paintera i w końcu zginął na służbie w tych murach.

– Próbowaliśmy się z panem skontaktować – powiedziała Kat. – Nie wiem, czy słyszał pan o wypadku w laboratorium doktora Hessa w Kalifornii.

Nastąpiła pauza, na tyle długa, że Gray zaczął się obawiać, czy nie stracili połączenia.

Nagle Harrington się odezwał. W jego głosie brzmiała panika i złość.

– Co za głupiec! Ostrzegalem go!

– Potrzebujemy pańskiej pomocy – nalegała Kat. – Żeby lepiej zrozumieć, co badał doktor Hess.

– Nie przez telefon. Jeśli chcecie odpowiedzi, musicie do mnie przyjechać.

– Gdzie pan jest?

– Na Antarktydzie... Na Ziemi Królowej Maud.

– Może pan dokładniej to określić?

– Nie. Przyjedźcie do Stacji Badawczej Halleya na Szelfie Brunta. Wyjdzie wam na spotkanie ktoś, komu ufam, i przyprowadzi was do mnie.

– Panie profesorze. – Kat nadal naciskała. – To sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Więc lepiej się pośpieszcie. Ale proszę mi najpierw powiedzieć, czy doktor Hess nie żyje, czy zaginął?

Kat zacisnęła wargi, zastanawiając się najwyraźniej, ile mu wyjawić. W końcu zdecydowała się powiedzieć prawdę.

– Sądzimy, że go porwano.

Na linii znów zaległa cisza. Złość w głosie profesora zastąpił strach.

– Lepiej zjawcie się tu natychmiast.

Połączenie zostało przerwane.

Za ich plecami rozległ się głos.

– Zdaje się, że ruszamy w drogę.

Gray odwrócił się i zobaczył na progu Monka w spodniach od dresu i przepoconym T-shircie, z piłką do koszykówki pod pachą.

– Przyszedłem spytać, czy nie masz ochoty pograć jeden na jednego, ale chyba musimy z tym poczekać.

– Owszem – przyznała Kat. – Ktoś musi polecieć na Antarktydę i przesłuchać natychmiast Harringtona.

Gray skinął głową na Monka.

– Możemy się tym zająć. We dwóch sobie poradzimy.

– Może i masz rację – odparł Monk. – Ale to wyprawa nie dla mnie, kolego. Nie tym razem. Potrzebujesz kogoś, kto zna Antarktydę.

– Czyli kogo?

– Na przykład jego? – Wskazał na Jasona.

Tego dzieciaka? Gray nie krył zaskoczenia.

– Monk ma rację – rzuciła Kat. – Jason zna zawartość plików, a co więcej, spędził trochę czasu na tym kontynencie. Będzie tam cennym źródłem informacji.

Komandor nie próbował dyskutować. Gdy chodziło o działania operacyjne, ufał Kat tak jak dyrektorowi Painterowi Crowe.

– W porządku. Kiedy wyruszamy?

– Natychmiast. Dopóki profesor chce z nami współpracować. Sądząc z jego zachowania, najwyraźniej bardzo się czegoś obawia... albo kogoś.

Gray przyznał jej rację.

Ale kogo?

Roraima, Brazylia

28 kwietnia, godzina 21.33 czasu miejscowego

Zawsze uwielbiał dżunglę nocą, gdy po zapadnięciu zmierzchu ulatnia się złudzenie bezpieczeństwa i pozostaje tylko ciemność, ruchome cienie i szelest skradających się w mroku zwierząt. Gdy zachodzi słońce, ten pierwotny las nie jest już miejscem odpowiednim dla człowieka.

Kiedy Cutter Elwes stał na balkonie z widokiem na jezioro i tropikalny las, przypomniał mu się wiersz z *Księgi dżungli* Rudyarda Kiplinga. Czytał go często swemu siedmioletniemu synowi, doceniając to, że Kipling nie popada w sentymentalizm, gdy opiewa piękno Natury.

*Noc nadchodzi, to pora łupów sępa Chila
I nietoperza Manga, i innego zwierza.
Ludy dżungli bój zaczną lub wznowią przymierza,
Bo nadszedł czas turnieju, wielka łowów chwila.
Walczyć dzielnie, o ludy, póki dzień nie wstawa,
Szczepiąc jednak wiernie stare dżungli prawa².*

Zamknął oczy, nasłuchując brzęczenia komarów i much, bezgłośnego niemal lotu nietoperzy o lejkowatych uszach, ostrzegawczego pochrząkiwania czepiaka. Słyszał szelest wiatru w koronach potężnych drzew kapokowych i szum skrzydeł papug. Czuł na czubku języka smak łą i zbutwiałych liści, i słodycz pachnącego upojnie jaśminu.

Przerwały mu słowa dobiegające zza otwartych drzwi za jego plecami.

– *Viens ici, mon mari.*

Uśmiechnął się, wiedząc, jak bardzo Ashuu stara się mówić do niego po francusku. Odwrócił się i oparł o poręcz balkonu, patrząc na nagie, ciemne ciało, pełne piersi i hebanowe włosy opadające falami do bioder. Pochodziła z plemienia Macuxi. Jej imię znaczyło „drobna”, ale również „cudowna”.

Podszedł do niej i dotknął lekko wypukłego brzucha, zwiastującego drugi trymestr ciąży.

Naprawdę jest cudowna.

Przesunęła opuszkami palców po jego ramieniu i plecach, dotykając poszarpanych blizn. Wiedziała, jak bardzo go to podnieca. Był dumny ze swoich ran, pamiętając po tym, jak pazury afrykańskiego lwa rozszarpały mu ciało, znacząc go na zawsze. Nocami czuł jeszcze czasem ten cuchnący oddech przesycony zapachem krwi i mięsa.

Wzięła go za rękę i zaciągnęła do sypialni.

Odwrócił się plecami do dżungli, do istot, które uczyły się nadal pod baldachimem nocy Kiplingowego Prawa Dżungli. Wiedział, że wkrótce nic go nie powstrzyma przed realizacją

wytyczonego celu: zapoczątkuje nowy etap dziejów tej planety, którego twórcą nie będzie Bóg, lecz człowiek.

Uścisnął dłoń Ashuu.

Uczynię to własnymi rękami.

Gdy wchodził za żoną do pokoju, mroczny las przyzywał go, a palące blizny na ramieniu i plecach przypominały wciąż o prawie dżungli.

Przyszedł mu do głowy kolejny wiersz, tym razem lorda Tennysona, dalekiego krewnego ze strony jego matki. Nosił tytuł *In Memoriam A.H.H.* Nawiązywał do idei selekcji naturalnej, mówiąc o wspaniałości i bezduszości ewolucji i głosząc, że serce natury...

...krwawi od kłów i pazurów.

Nie napisano nigdy bardziej prawdziwych słów.

Oprę na nich moje Prawo, pomyślał.

CZĘŚĆ DRUGA
WYBRZEŻE UPIORÓW
Σ

Lee Vining, Kalifornia
29 kwietnia, godzina 7.05 czasu miejscowego

Co znaczy jedno więcej wymarłe miasto w tych górach?

Jenna jechała z Nikkiem na tylnym siedzeniu wojskowego samochodu. Husky dyszał u jej boku, podekscytowany powrotem do domu. Eskortujący ich żołnierze siedzieli z przodu: sierżant Drake na fotelu pasażera, a starszy kapral Schmitt ponownie za kierownicą. Całą grupę przetransportowano śmigłowcem na niewielkie lotnisko w Lee Vining, a teraz zmierzali przez ewakuowane miasto do stacji straży leśnej.

Zwykle o poranku w tym niewielkim miasteczku nad jeziorem roiło się od turystów przyjeżdżających na jednodniowe wycieczki z pobliskiego Yosemite albo nocujących w motelach usytuowanych wzdłuż autostrady 395. Tego dnia po głównej drodze nic się nie poruszało, z wyjątkiem kulistego krzaku niesionego wiatrem wzdłuż środkowej żółtej linii.

Na wschodzie świeciło słońce, ale od zachodu, nad łańcuchem Sierra Nevada, gromadziły się ciemne chmury, grożąc w każdej chwili burzą. Prognoza przewidywała opady i silne wiatry. Wyobraziła sobie, jak woda spływa ze skażonego pustkowia na zboczach do jeziora i jeszcze dalej.

Ale to nie z powodu gazu VX obserwowali wszyscy niebo. Ostatni raport toksykologiczny wskazywał, że ten środek paraliżujący w zetknięciu z ziemią szybko tracił moc.

Myślała o poczerńiałych wzgórzach... i o tym, co się tam wylęgało.

Dzięki Bogu, w miasteczku nikogo już nie ma.

Ewakuacja Lee Vining – z jego populacją około dwustu mieszkańców, nie licząc turystów – nie zabrała wiele czasu. Spojrzała na żółtą tablicę restauracji Nicely's, reklamującą zestaw śniadaniowy, którego już nie podadzą. Nieco dalej dostrzegła amerykańską flagę, wiszącą nadal nad wejściem do budynku księgarni i Centrum Informacji Jeziora Mono, ale wszystkie okiennice były pozamykane.

Czy komukolwiek pozwolą tu jeszcze wrócić?

W końcu samochód skręcił z autostrady na Visitor Center Drive. Droga prowadziła do stacji straży leśnej nad jeziorem Mono. Nie zatrzymali się na parkingu; podjechali wprost pod strzeliste szklane wejście. W budynku mieścił się również punkt informacji turystycznej, z wystawami, dwiema galeriami sztuki i niewielkim teatrem.

Gdy stanęli, w drzwiach pojawiła się znajoma postać. Bill Howard uniósł rękę w geście powitania. Miał na sobie dżinsy, brązową koszulę leśnika i kurtkę. Choć był po sześćdziesiątce, dobrze się trzymał. O jego wieku świadczyły jedynie rzednące włosy i zmarszczki w kącikach oczu.

Nie tylko Jenna ucieszyła się szczerze na jego widok. Nikko wyskoczył z samochodu

i rzucił się Billowi w objęcia. Urażało to dyscyplinie, ale zachowywał się tak tylko w stosunku do niego, a Bill okazywał mu wiele tolerancji. Miał trzy własne psy.

Jenna podeszła do niego i uścisnęła go serdecznie.

– Dobrze cię widzieć.

– I wzajemnie. Zdaje się, że przeżyliście trochę emocji.

To niedomówienie roku, pomyślała.

Drake wysiadł z samochodu i dołączył do nich.

– Czy dostał pan wiadomość od dyrektora Crowe’a? – spytał.

Bill wyprostował się, przyjmując profesjonalną postawę.

– Dostałem. Kazałem sprawdzić nagrania ze wszystkich kamer. Proszę za mną.

Przeszli przez centrum informacji do stacji straży leśnej. Gabinet na tyłach był niewielki, mieściło się tam tylko kilka biurków, rząd komputerów i biała tablica na ścianie. Jenna zobaczyła wypisaną na niej długą listę numerów rejestracyjnych samochodów, w sumie trzydzieści dwa.

W ciągu ostatnich szesnastu godzin Painter Crowe zdołał uzyskać pełny wykaz pracowników stacji badawczej w górach. Zdobył również numery rejestracyjne ich samochodów i informacje z wypożyczalni aut. Zajęło to irytująco dużo czasu z powodu utajnienia danych i uwikłania w sprawę wielu agencji rządowych, ale największe opóźnienie spowodował banalny fakt, że wczoraj była niedziela.

Kto by przypuszczał, że bezpieczeństwo narodowe może zależeć w takim stopniu od dnia tygodnia?

Bill Howard wskazał na trzy stojące obok siebie komputery.

– Ściągnąłem obraz z kamer stąd i z Mono City, a gdyby wasz cel prześlizgnął się niezauważony, mam też nagrania z drogi prowadzącej przez Przełęcz Tioga w kierunku Yosemite i autostrady trzysta dziewięćdziesiąt pięć.

– To obejmuje cały obszar na południe od jeziora – wyjaśniła Drake’owi Jenna.

Sierżant skinął głową usatysfakcjonowany.

– Crowe poprosił szeryfa z Bridgeport, żeby sprawdził drogi na północy. Jeśli ktoś z tej bazy był sabotażystą i uciekł stamtąd, powinniśmy być w stanie wysledzić jego samochód dzięki którejś z tych kamer.

Jenna przypomniała sobie otwartą bramę stacji badawczej. Sprawdzenie według listy każdego samochodu będzie wymagało ogromnego wysiłku, ale musieli to zrobić. To był ich najlepszy trop. O ile, oczywiście, jej teoria o uciekającym sabotażyście była słuszna.

Bo może ktoś po prostu zapomniał zamknąć bramę.

Był tylko jeden sposób, by to stwierdzić.

– Bierzmy się do pracy – powiedziała.

Choć czekało ich żmudne zadanie, nie skarżyła się. Inni mieli o wiele gorzej.

Godzina 7.32

– W jakim on jest stanie? – spytał Painter pielęgniarkę.

Młoda kobieta z personelu medycznego Centrum Szkolenia Oddziałów Górskich, wychodząc przez komorę powietrzną z sali kwarantanny, ściągnęła rękawiczki chirurgiczne.

Była wycieńczona po nocnej zmianie i trwającej godzinę procedurze odkażania.

Odwróciła się, by spojrzeć przez szybę na prowizoryczną izolatkę, zajmującą narożnik dużego hangaru i wykorzystywaną w przypadku zagrożenia biologicznego na Poziomie 4. Przetransportowano ją samolotem z Wojskowego Instytutu Badań Chorób Zakaźnych w Fort Detrick.

W sali kwarantanny było tylko jedno łóżko i jeden pacjent.

Josh leżał podłączony rurkami i przewodami do całej masy sprzętu medycznego. Był blady i płytko oddychał. Lewą nogę – a raczej to, co z niej zostało – miał uniesioną. Kikut był zasłonięty cienkim kocem.

Pojawiły się jeszcze dwie osoby – lekarz i pielęgniarka, oboje w skafandrach, zaopatrzonych w podłączone do ściany przewody tlenowe.

– Jest w najlepszym stanie, jakiego można oczekiwać – odparła pielęgniarka, zdejmując czepek chirurgiczny i odsłaniając przycięte krótko kasztanowe włosy. Była ładna, ale miała zmęczoną twarz. – Zdaniem lekarza, może potrzebować kolejnej operacji.

Painter przymknął na chwilę oczy. Przypomniał sobie uderzenie topora, a potem szaleńczy wyścig z czasem, by przewieźć krwawiącego Josha z gór do szpitala. Lekarze wykonujący operację musieli być ubrani w skafandry i niewygodne rękawice. Lisa, niemal ciągle płacząc, oddała dla brata litr krwi – więcej, niż powinna.

Wiedział, jak ciężko jej było podjąć decyzję o amputacji nogi Josha. Początkowo trzymała się dzielnie, zdając sobie sprawę, że chłopak potrzebuje w tym momencie lekarza, a nie siostry. Ale gdy dotarli do centrum i Josha zabrano na salę operacyjną, załamała się; niemal traciła przytomność z rozpacz i zmartwienia.

Próbował ją namówić, żeby wzięła środek uspokajający i przespała się, ale odmówiła.

Tylko jedno pozwalało jej pozostać przy zdrowych zmysłach i nadal być w ruchu.

Painter spojrzał w głąb hangaru na białe ściany szeregu pomieszczeń. Było to laboratorium biologiczne Poziomu 4, założone przez zespół Centrum Zapobiegania Chorobom. Lisa spędziła z tymi ludźmi całą noc. Strata nogi Josha nie była ich jedynym problemem.

– Jest jakaś oznaka zakażenia? – naciskał na pielęgniarkę Painter.

Pokręciła lekko głową i wzruszyła ramionami.

– Badamy mu na bieżąco krew i mierzymy temperaturę, żeby sprawdzić, czy nie zachodzi jakaś reakcja immunologiczna. Co pół godziny kontrolujemy, czy na ciele nie pojawiają się rany. Tylko tyle możemy zrobić. Nadal nie wiemy, czego mamy szukać ani nawet z czym mamy do czynienia.

Pielęgniarka spojrzała w kierunku laboratoriów Poziomu 4 w głębi hangaru.

Wszyscy czekali na więcej informacji.

Przed dwudziestoma minutami Painter dostał wiadomość od ekipy znajdującej się obok strefy skażenia. Zaraza – cokolwiek ją powodowało – rozprzestrzeniła się szybko i objęła w ciągu paru godzin wiele hektarów.

Ale co, u diabła, było jej przyczyną?

Podziękował pielęgniarce i ruszył w kierunku miejsca, gdzie mógł najprędzej znaleźć odpowiedź na to pytanie.

W ciągu ostatniej doby Waszyngton przysyłał im personel, mobilizując specjalistów z różnych dziedzin: epidemiologów, wirusologów, bakteriologów, genetyków, bioinżynierów – każdego, kto mógł pomóc. Obszar w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od strefy zero został poddany kwarantannie. Na jego obrzeżach rozbijały obozowiska ekipy telewizyjne.

Zaczynało to przypominać cyrk.
Stalowy dach hangaru zadźwięczał od echa grzmotu nad górami.
Nawet Matka Natura wydawała się zdeterminowana, by pogorszyć sytuację.
Painter ruszył szybszym krokiem w kierunku kompleksu laboratoriów Poziomu 4.
Potrzebujemy chwili wytchnienia... choćby krótkiej.

Godzina 7.56

– Spójrzcie na to! – krzyknęła Jenna znad swojego komputera.

Drake podjechał do niej na krześle ze stanowiska obok, rozsiewając piżmowy męski zapach. Bill rozprostował plecy i podszedł do nich. Nawet Nikko uniósł łeb znad podłogi, przerywając obgryzanie starej plastikowej kości, którą Jenna trzymała w biurze, by zająć go czymś, gdy pracowała.

Na monitorze widniało zdjęcie białej toyoty camry. Obraz pochodził z kamery meteorologicznej zainstalowanej przy autostradzie 395, na południe od miasta. Niestety, miał słabą rozdzielczość.

Jenna wskazała białą tablicę, na której toyota camry figurowała w spisie podejrzanych samochodów.

– Nie widać wyraźnie tablicy rejestracyjnej, bo kierowca jechał szybko.

Włączyła odtwarzanie i obserwowany pojazd zniknął im z oczu.

– Jakies sto dwadzieścia, sto trzydzieści kilometrów na godzinę – oszacował Bill.

– To typowa marka i model – zauważył sceptycznie Drake. – Może ktoś się spieszył do domu.

– Tak, ale zaobserwuj ten moment, gdy mija samochód zmierzający w przeciwnym kierunku.

Cofnęła nagranie i odtworzyła je wolniej, klatka po klatce. W pewnym momencie pojawił się na ekranie jadący z naprzeciwka minivan. Jego reflektory oświetliły wyraźnie twarz kierowcy toyoty, ale słaba rozdzielczość obrazu znów nie pozwalała na jej identyfikację.

Drake zmrużył oczy.

– Chyba ciemna blondynka, z długimi włosami. Obraz jest niewyraźny.

– Tak, ale zobacz, co ona ma na sobie.

Bill gwizdnął głośno.

– Lubi nosić białe kostiumy albo jest w fartuchu laboratoryjnym.

Jenna spojrzała na białą tablicę.

– Który z naukowców z listy jeździ białą toyotą camry?

Drake obrócił się na krześle i chwycił tablet z blatu biurka. Przejrzał spis nazwisk pracowników, aż znalazł właściwe.

– Amy Serpry, biolog z Bostonu, niedawno zatrudniona. Pięć miesięcy temu.

– Jak wygląda?

Drake wyświetlił na ekranie jej zdjęcie, przyjrzał mu się, po czym odwrócił je w ich kierunku.

– Blondynka, włosy zaczesane w koński ogon. Nadal wydają mi się dość długie. – Uśmiechnął się do Jenny w taki sposób, że zrobiło jej się gorąco. – Chyba możemy powiedzieć:

bingo!

Jenna chciała mieć pewność.

– Co o niej wiemy?

Painter przekazał im wszystko, co mógł, na temat każdego z naukowców: ich akta, arkusze ocen, życiorysy, nawet publikacje.

Drake przejrzał najważniejsze dane z biografii Amy Serpny.

– Pochodzi z Francji, amerykańskie obywatelstwo otrzymała siedem lat temu, robiła studia postdoktoranckie w Oksfordzie i Northwestern University.

Nic dziwnego, że doktor Hess ją zatrudnił. W dodatku, sądząc ze zdjęcia, była całkiem ładna, co nigdy nie przeszkadza, gdy chce się znaleźć pracę w męskim klubie, jakim jest świat nauki.

Drake czytał dalej w milczeniu, najwyraźniej szukając czegoś, czym się wyróżniała.

– Mam! – rzucił w końcu. – Była czołową postacią ruchu, który domagał się otwartego dostępu do wiedzy naukowej. Postulowali za większą przejrzystością informacji. Napisała nawet artykuł popierający holenderskiego wirusologa, który ujawnił w internecie, że wskutek manipulacji genetycznych wirus ptasiej grypy H5N1 staje się bardziej zaraźliwy i śmiertelny.

– Była za tym, by to publikować? – spytał Bill.

Drake czytał jeszcze przez chwilę.

– Z pewnością nie była temu przeciwna.

Jenna wciągnęła głęboko powietrze.

– Trzeba zawiadomić biuro szeryfa i dyrektora Crowe’a. Ta toyota camry to model z dwa tysiące dziewiątego roku. Zapewne wyposażony w GPS.

– Mając numer nadwozia, powinniśmy go zlokalizować – powiedział Bill.

– Warto go sprawdzić – przyznała Jenna.

Drake wstał i dał jej znak, by poszła za nim.

– Wracajmy do śmigłowca. Musimy być gotowi do drogi, gdy namierzemy ten samochód.

Jenna poczuła dumę, że ją zabiera – choć nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej.

– Ruszajcie – rzucił Bill, sięgając po telefon. – Podzwonię, gdzie trzeba, i dam wam znać, jak tylko się czegoś dowiem.

Jenna i Drake wyszli pospiesznie z biura i przez ośrodek informacji turystycznej dotarli do frontowych drzwi. Nikko podążał za nimi. Na zewnątrz Jenna poczuła na twarzy kilka zimnych kropli deszczu.

Spojrzała w niebo i nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

Kłębowisko czarnych chmur rozświetliła błyskawica.

Drake zmarszczył czoło, bo podzielał jej obawy.

– Zaczyna brakować nam czasu.

Miał rację.

Jenna pobiegła do czekającego pojazdu.

Potrzebujemy odpowiedzi – i to szybko.

Godzina 8.04

Lisa przyglądała się szczurowi w klatce, który szperał pyszczkiem w ściółce, wpychając w wióry różowy nos. Czuła się tak samo jak on uwięziona i zagrożona.

Klatka składała się z dwóch części przedzielonych gęstym filtrem powietrza. Po jego drugiej stronie leżała kupka poczerniałych szczątków jednej z martwych roślin.

Wystukała notatkę na klawiaturze komputera, co było nie lada wyzwaniem, gdyż miała na rękach grube rękawice.

Pięć godzin i żadnych oznak zakażenia.

Przeprowadzili serię prób z filtrami o różnej grubości i średnicy otworów, by oszacować wielkość zaraźliwego wirusa. Jak dotąd, tylko ten jeden szczur nie wykazywał oznak zakażenia. Pozostałe chorowały albo zdychały z powodu niewydolności wielonarządowej.

Starła się nie myśleć o bracie, zamkniętym w izolatce w głębi hangaru.

Kilka godzin wcześniej przeprowadziła z histopatologiem sekcję jednego ze szczurów, będącego we wczesnym stadium infekcji. W najgorszym stanie miał płuca i serce, z wybroczynami na pęcherzykach płucnych i rabdomiolizą włókien mięśnia sercowego. Jego serce dosłownie się rozlewało. Skoro początkowe zmiany ujawniały się w klatce piersiowej w tak dramatyczny sposób, wskazywało to na przenoszenie zakażenia drogą powietrzną.

Dlatego rozpoczęli serię testów z filtrami.

Pisała dalej na klawiaturze.

Ocena: zakaźna cząstka musi mieć wielkość poniżej 15 nanometrów.

A więc zdecydowanie nie jest to bakteria.

Jedną z najmniejszych znanych bakterii jest *Mycoplasma genitalium*, osiągająca od dwustu do trzystu nanometrów.

– To musi być wirus – mruknęła.

Ale nawet najbardziej mikroskopijny cirkowirus świń miał wielkość siedemnastu nanometrów. Ta cząstka była jeszcze mniejsza. Nic dziwnego, że wciąż walczyli, by uzyskać jej obraz, zbadać jej ultrastrukturę.

Przed dwiema godzinami technik z Centrum Zapobiegania Chorobom skończył wreszcie ustawiać i kalibrować mikroskop elektronowy w sąsiednim laboratorium w hangarze. Istniała nadzieja, że wkrótce staną twarzą w twarz ze swoim przeciwnikiem.

Westchnęła, żałując, że nie może pomasaować obolałych skroni, ale z powodu skafandra nie była w stanie nawet odgarnąć kosmyka włosów, który łaskotał ją w nos. Próbowwała zdmuchnąć go na bok, ale w końcu dała za wygraną. Wiedziała, że ogarnia ją zmęczenie, ale nie chciała opuścić kompleksu laboratoriów, w których prowadzono badania.

Usłyszała przy uchu trzeszczenie radia i głos głównego epidemiologa, doktora Granta Parsona.

– Wszyscy pracownicy mają zgłosić się na odprawę do centralnej sali konferencyjnej.

Lisa dotknęła gumową rękawicą plastikowej klatki.

– Trzymaj się, mały.

Wstała, odłączyła od ściany przewód tlenowy i zabrawszy go ze sobą, wyszła przez komorę powietrzną łączącą laboratorium, w którym prowadzono eksperymenty na zwierzętach, z resztą kompleksu. Wszystkie laboratoria były od siebie oddzielone, co pozwalało prowadzić niezależne badania i ograniczało możliwość rozprzestrzeniania się infekcji.

Weszła do centralnego pomieszczenia. Naukowcy z laboratoriów spotykali się tam co dwie godziny, aby porównać notatki i omówić postępy. Dla ułatwienia tych spotkań ustawiono tam długi stół z dodatkowymi monitorami, umożliwiającymi odbywanie telekonferencji z badaczami z całych Stanów Zjednoczonych. Okno za stołem wychodziło na ciemny hangar.

Zauważyła za szybą znajomą twarz.

Pozdrowiła Paintera gestem ręki, po czym wskazała na swoje ucho. Miał radio i połączył się z nią na prywatnym kanale.

– I jak tam? – spytał, przytykając dłoń do szyby.

– Robimy powolne postępy – odparła, choć wiedziała, że chodzi mu o jej samopoczucie, a nie raport o stanie badań. Nie chcąc mówić o sobie, zadała ważniejsze pytanie: – Co z Joshem?

Dostawała regularne informacje od personelu medycznego, ale chciała usłyszeć opinię Paintera, kogoś, kto znał jej brata osobiście.

– Jest wciąż na środkach uspokajających, ale trzyma się. Josh jest twardy... i umie walczyć.

Painter z pewnością miał rację. Jej brat przenosił góry, ale nawet on nie mógł pokonać tego, co niewidoczne.

– Dobra wiadomość jest taka, że chirurgom udało się najwyraźniej uratować staw kolanowy – dodał Painter. – To powinno ułatwić rekonwalescencję i późniejszą rehabilitację.

Modliła się, by Josh przeżył.

– A co z... Czy są jakieś oznaki infekcji?

– Nie. Wszystko wygląda dobrze.

Nie bardzo pocieszyły ją te wiadomości. Josh miał kontakt z wirusem przez rozciętą skórę, a nie wdychane powietrze. Brak objawów mógł wynikać z dłuższego okresu inkubacji przy tej drodze zakażenia.

Nadal dręczył ją strach. Czy amputowano mu nogę na czas?

Usłyszała za sobą głos doktora Parsona.

– Zacznijmy zebranie.

Lisa przytknęła dłoń w rękawicy do widocznej za szybą ręki Paintera.

– Proszę, miej go na oku.

Skinął głową.

Lisa dołączyła do pozostałych naukowców. Jedni siedzieli, drudzy stali, ale wszyscy byli w skafandrach ochronnych. W ciągu następnego kwadransa szef każdego z laboratoriów zdawał relację z postępu badań.

Edafolog – zajmujący się mikroorganizmami, grzybami i innymi formami życia, których środowiskiem jest gleba – złożył raport jako pierwszy. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Przeprowadziłem pełną analizę ziemi ze strefy skażenia. Zginęły tam nie tylko rośliny i zwierzęta. W warstwie gruntu do głębokości sześćdziesięciu centymetrów nie ocalał żaden żywy organizm. Bakterie, zarodniki, owady, robaki, wszystko jest martwe. Gleba została dosłownie wysterylizowana.

Parson był ewidentnie w szoku.

– Taki poziom patogeniczności... jest niespotykany.

Lisie przypomniał się widok poczerniałych zboczy i wyobraziła sobie, jak toksyczny gaz przemieszcza się powoli nad wzgórzami, wsączając się głęboko w ziemię i niszcząc po drodze wszelkie ślady życia. Słyszała, że nad jeziorem Mono zapowiadają pogorszenie pogody. Groziło to katastrofą ekologiczną o nieobliczalnych rozmiarach.

Jako drugi zabrał głos bakteriolog.

– Skoro mowa o patogeniczności, nasz zespół przetestował całą gamę płynów dezynfekujących, szukając sposobu na wyjałowienie próbek pobranych w terenie. Zastosowaliśmy maksymalne stężenia zasad i kwasów. Ług, rozmaite wybielacze i tak dalej. Ale próbki są nadal toksyczne.

– A co z wysokimi temperaturami? – spytała Lisa, przypominając sobie uwagę Paintera, że być może będą musieli wypalić te wzgórza, by powstrzymać szerzenie się zarazy.

Naukowiec wzruszył ramionami.

– Początkowo wydawało nam się, że odnieśliśmy sukces. Spaliliśmy zainfekowaną roślinę na popiół i mieliśmy wrażenie, że to poskutkowało, ale po ostygnięciu pozostała równie zaraźliwa. Przypuszczamy, że pod wpływem żaru mikroby przyjął formę przetrwalnika albo się otorbił.

– Może trzeba jeszcze podwyższyć temperaturę? – zasugerowała Lisa.

– Możliwe. Ale do jakiego poziomu? Rozważaliśmy eksplozję jądrową. Ale jeśli mikroby nie zginą od wybuchu bomby atomowej, podmuch może je rozproszyć na setki kilometrów.

To z pewnością nie było rozwiązanie.

– Szukajcie dalej – zachęcił kolegę Parson.

– Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, z czym walczymy – dokończył bakteriolog, co spotkało się z aplauzem pozostałych naukowców.

Lisa wyjaśniła, co udało jej się ustalić; potwierdziła, że mają najprawdopodobniej do czynienia z wirusem.

– Jest jednak wyjątkowo mały – dodała. – Mniejszy od tych, które znamy. Wiemy, że doktor Hess eksperymentował z ekstremofilami z całego świata, organizmami, które mogą żyć w środowisku kwasowym lub alkalicznym, a nawet przetrwać w ciekłej lawie wulkanicznej.

Spojrzała znacząco na bakteriologa.

– Co gorsza, wiemy również, że Hess interesował się biologią syntetyczną. W ramach swojego projektu o nazwie Neogenesis próbował manipulować genetycznie DNA ekstremofili, aby zagrożone gatunki stały się bardziej wytrzymałe i odporne na zmiany środowiska. Kto wie, jakiego potwora stworzył w trakcie tych eksperymentów.

Doktor Edmund Dent, wirusolog z Centrum Zapobiegania Chorobom, wstał z miejsca.

– Chyba pomógł nam go wytropić zainstalowany właśnie mikroskop elektronowy.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego.

– Sądziłem początkowo, że mamy do czynienia z usterką techniczną. To, co odkryliśmy, wydawało się zbyt małe, niewyobrażalnie małe, ale jeśli doktor Cummings ma rację co do wielkości tej zaraźliwej cząsteczki, być może się nie mylimy. – Dent zerknął na Lisę. – Gdyby zechciała pani nam towarzyszyć...

– Oczywiście. Myślę, że powinniśmy też sprowadzić genetyka i bioinżyniera. Na wypadek gdybyśmy...

Rozległ się głośny dźwięk syreny alarmowej i spojrzenia wszystkich zwróciły się w kierunku okna. W ciemności równomiernie pulsowało niebieskie światło. Sygnał dochodził z izolatki.

Lisa zerwała się w panice na równe nogi.

Szelf Brunta, Antarktyda

28 kwietnia, godzina 15.05 czasu miejscowego

– Trzymajcie się mocno! – krzyknął pilot.

Niewielki samolot Twin Otter wierzgnął jak dziki rumak, kiedy przelatywali wysoko nad skutym lodem Morzem Weddella. Gdy zbliżali się do wybrzeża, podmuchy wiatru przybrały na sile.

– Te pieprzone wiatry katabatyczne zawsze skopią mi dupę! – zawołał pilot. – Gdybyście mieli rzygać, mam tam z tyłu plastikowe torebki. Nie zapaskudźcie mojej ślicznotki.

Gray trzymał się kurczowo pasa bezpieczeństwa, którym był mocno przypięty. Z tyłu zgrzytały i skrzypiały skrzynie ze sprzętem i zapasami. Nie cierpiał zwykle na chorobę lokomocyjną, ale ten powietrzny rollercoaster nawet jemu dawał w kość.

Jason siedział z drugiej strony kabiny, z opuszczoną głową, na wpół drzemiąc i najwyraźniej nie przejmując się turbulencjami. Miał chyba spore doświadczenie z tym smaganym wiatrami kontynentem. Bardziej dokuczyła mu zapewne konieczność spędzenia dwudziestu czterech godzin w samolotach, żeby dostać się na południowy kraniec świata.

Ale pokonywali już ostatni odcinek drogi.

Wcześniej, tuż po wschodzie słońca – który po tej stronie świata oznaczał południe na początku mrocznej zimy – wylecieli z Wysp Falklandzkich i wylądowali na szczycie skalistego cypla na Wyspie Adelajdy, gdzie Brytyjczycy utrzymywali Stację Rothera. Odbyli lot na pokładzie dużej jaskrawoczerwonej maszyny Dash 7, z wymalowanym na boku napisem *British Antarctic Survey*. Na Stacji Rothera przesiedli się do mniejszego twin ottera, podobnie oznakowanego, i wyruszyli przez Morze Weddella w kierunku Szelfu Brunta – stumetrowej grubości kry, stanowiącej część wybrzeża na obszarze Antarktydy Wschodniej nazywanego Ziemią Coatsów.

Gdy podchodzili do lądowania, w śmigła samolotu uderzyły tak zwane wiatry katabatyczne – podmuchy powietrza polarnego, spływającego z położonych wyżej łańcuchów górskich w kierunku morza.

Pilotem był niemłody już Brytyjczyk o nazwisku Barstow, który najwyraźniej miał spore doświadczenie w lotach nad Antarktydą i kontynuował swój nieprzerwany komentarz przewodnika:

– Czy wiecie, że nazwa tych wiatrów pochodzi od greckiego słowa *katabaino*, co znaczy „opadać”?

– Miejmy nadzieję, że nam się to nie przydarzy – mruknął ktoś za jego plecami.

Joe Kowalski siedział skulony z tyłu. Zgiął się niemal wpół, by zmieścić swe potężne ciało w ciasnej przestrzeni. Wyglądał jak goryl z ogoloną czaszką, wciśnięty do rury kanalizacyjnej.

Głowę miał cały czas pochyloną, a i tak gdy maszyną wstrząsało nad Morzem Weddella, kilka razy uderzył nią w niski sufit.

Kat wysłała tego olbrzyma na tę misję, by zapewnił im dodatkowe wsparcie, ale miała też inny powód. „Zabierzcie go stąd. Odkąd zerwał z Elizabeth Polk, snuje się tylko po korytarzach”.

Gray zastanawiał się, jak Kat dostrzega różnicę w jego zachowaniu – Kowalski nigdy nie promieniał radością, nawet gdy był w najlepszym nastroju.

Nie narzekał jednak na jego towarzystwo. Ten był żołnierz piechoty morskiej może tak nie wyglądał, ale wiele potrafił, przede wszystkim jako pirotechnik. W roli eksperta Sigmy od materiałów wybuchowych nieraz okazał się bezcenny. Do jego gderliwego usposobienia dało się przywyknąć jak do pleśni na chlebie. Gdy się człowiek do niego przyzwyczaił, był w porządku.

Chociaż nigdy bym tego głośno nie przyznał, pomyślał Gray.

– Widać już Stację Halleya! – krzyknął Barstow. – To ta duża niebieska stonoga na szczycie góry lodowej.

Gray pochylił się, by spojrzeć w okno, gdy twin otter skręcił w kierunku lądowiska.

Tuż pod nimi czarne fale uderzały o błękitne lodowe klify, wysokie jak czterdziestopiętrowe wieżowce. Szelf Brunta przypominał skaliste wybrzeże, ale był to wysunięty w morze jezor lodu o szerokości prawie stu kilometrów, obsuwający się z położonych na wschodzie lodowców Ziemi Królowej Maud. Przesuwał się co roku o długość dziesięciu boisk futbolowych i zamieniał na końcu w góry lodowe, rozbijane przez cieplejsze wody Morza Weddella i prądy morskie.

Uwagę Graya skupiło jednak to, co znajdowało się na szczycie klifów. Wyglądało to rzeczywiście jak stonoga. Stacja Badawcza Halleya numer VI, założona w 2012 roku, była unikatową konstrukcją składającą się z pojedynczych stalowych segmentów w kolorze niebieskim, połączonych ze sobą zamkniętymi korytarzami. Każdy segment spoczywał na płozach i miał hydrauliczną regulację wysokości.

– To szósta wersja Stacji Halleya – wyjaśnił Barstow, borykając się z wiatrem. – Pięć poprzednich zasypał śnieg. Zostały zmiażdżone i zepchnięte do morza. Dlatego mamy teraz wszystko na płozach. Możemy wydobyć stację z głębokiego śniegu i uciec przed dryfującym lodem.

Kowalski przytknął nos do szyby.

– Więc dlaczego jest tak blisko przepaści?

Miał rację. Osiem stojących rzędem połączonych segmentów znajdowało się zaledwie sto metrów od krawędzi klifu.

– Już niedługo tam zostanie. Za parę tygodni przesuniemy ją w głąb lądu. Grupa klimatologów badała tu przez cały rok topniejące lodowce, sprawdzając, w jakim tempie lód obsuwa się z tego cholernego kontynentu. Prawie skończyli i przeniosą się teraz na drugą stronę Antarktydy. – Pilot znów się do nich odwrócił, co Grayowi wcale się nie spodobało, gdyż twin otter podchodził już do lądowania. – Wybierają się na Szelf Rossa. Na stację McMurdo. To jedna z waszych amerykańskich baz.

– Niech pan patrzy przed siebie – burknął z tylnego siedzenia Kowalski, wskazując na pas startowy.

Gdy pilot zajął się znów sterami, Gray zwrócił się do Jasona, którego obudził hałas:

– McMurdo? Masz tam nadal rodzinę, prawda?

– W pobliżu – przytknął Jason.

– Kto by chciał tam mieszkać? – zdziwił się Kowalski. – Można odmrozić sobie jaja przy sikaniu.

Barstow parsknął śmiechem.

– Zwłaszcza w środku zimy, kolego. Wtedy można stracić także fiuta. Zimą jest tam jak w psiarni.

– Jak w psiarni? – spytał Kowalski.

– To znaczy, że jest cholernie zimno – wyjaśnił Gray.

Jason wskazał na zabudowania w dole.

– Dlaczego ta środkowa część stacji pomalowana jest na czerwono, a wszystkie pozostałe na niebiesko?

– To nasza „dzielnicza czerwonych latarni” – odparł Barstow, starając się wyrównać lot, gdy zbliżali się do lodowego pasa. – Miejsce rozrywki. Tam jadamy, wypijemy czasem parę piw, gramy w bilard i oglądamy filmy w telewizji.

Twin otter wylądował, ślizgając się po lodowej powierzchni, która pełniła rolę pasa startowego. Samolot dygotał i trzeszczał, aż w końcu zatrzymał się niedaleko stacji.

Wszyscy wysiedli. Choć byli opatuleni w grube polarne kurtki, zimny wiatr przeniknął natychmiast przez każdą ich szczelinę. Wdychanie powietrza przypominało zasysanie płynnego azotu, a słońce, wiszące nisko nad horyzontem, oślepiało oczy odbitym od lodu blaskiem. Do zachodu brakowało tylko pół godziny. Za kilka dni miała zapaść noc polarna.

Pilot podążył za nimi, ale nie zapiął kurtki i nie założył kaptura. Zwrócił pomarszczoną twarz w kierunku błękitnego nieba, jakby delektował się ostatnimi promieniami słońca.

– Długo już tak ciepło nie będzie.

Ciepło?!

Nawet Gray szcząkał zębami z zimna.

– Opalcie się, póki możecie – poradził im Barstow i poprowadził ich w kierunku schodów, wiodących do jednego z gigantycznych niebieskich segmentów.

Z poziomu ziemi stacja robiła imponujące wrażenie. Każdy segment wyglądał jak dwukondygnacyjny budynek i stał na czterech ogromnych wspornikach hydraulicznych na wysokości piętnastu metrów nad zaśnieżoną lodową taflą. Pod stacją mógł przejechać z łatwością duży traktor, co – sądząc po zaparkowanym w pobliżu ciągniku John Deere – zapewne czasem się zdarzało.

– Musi służyć do holowania tych segmentów – powiedział Jason, wpatrując się w amerykańską maszynę. Po chwili zerknął na oszroniony kompleks stacji. – To wszystko przypomina scenografię z *Gwiezdnych wojen*.

– Właśnie – przyznał Kowalski. – Lodową planetę Hoth.

Gray i Jason spojrzeli na niego.

Wieczny grymas na jego twarzy stał się jeszcze bardziej wyrazisty.

– Oglądam filmy.

– Tędy, panowie. – Barstow dał znak ręką, by weszli na schody.

Gdy wdrapywali się do góry, otrzepując śnieg z butów, otworzyły się drzwi na podeście nad nimi i wyszła ich powitać kobieta w niezapiętej czerwonej kurtce z kapturem. Jej długie ciemne włosy były zaczesane do tyłu i ściągnięte, by nie rozwiewał ich wiatr, w praktyczny, ale wyglądający kobieco kucyk. Była wysportowana, policzki miała ogorzałe i opalone. Najwyraźniej nie spędzała zbyt wiele czasu zamknięta w bazie.

– Witam na dnie świata – powiedziała. – Jestem Karen Von Der Bruegge.

Gray podszedł do niej i uściskał jej dłoń.

– Dziękujemy za gościnę, doktor Von Der Bruegge.

– Wystarczy Karen. Nie zwracamy się tu do siebie zbyt oficjalnie.

Komandorowi opowiadano o tej kobiecie, która była zarówno wybitnym naukowcem – cenionym biologiem arktycznym, wykształconym w Cambridge – jak i dowódcą bazy. Miała zaledwie czterdzieści dwa lata. Gray widział na stronie misji jej zdjęcia niedźwiedzi polarnych z Dalekiej Północy. Teraz po przeciwnej stronie globu badała kolonie gniazdujących tutaj pingwinów cesarskich.

– Proszę do środka. Zaraz sobie usiądziecie. – Odwróciła się i poprowadziła ich przez właz.

– To segment dowództwa, gdzie znajdziecie szatnię, centrum łączności, gabinet lekarski i moje biuro. Ale myślę, że będzie wam wygodniej w naszym pokoju rekreacyjnym.

Gray rozglądał się, gdy pokazywała im swoje królestwo. Zwrócił uwagę na niewielki gabinet chirurgiczny z jednym stanowiskiem operacyjnym. Przystanął przy drzwiach prowadzących do centrum łączności.

– Doktor Von Der Bruegge... Karen, próbowałem skontaktować się ze Stanami, odkąd dotarliśmy do Stacji Rothera na Adelajdzie, ale ciągle mam za słaby sygnał.

Uniosła brwi.

– Twój telefon satelitarny... pewnie korzysta z geosynchronicznego łącza.

– Owszem.

– Działają słabo, kiedy przekroczy się siedemdziesiąty stopień na południe od równika. Co oznacza w praktyce całą Antarktydę. Używamy tutaj systemu satelitów LEO, czyli niskiej orbity okołozemskiej. – Wskazała na centrum łączności. – Możesz zadzwonić. Zostawimy cię samego. Ale muszę cię ostrzec, że jesteśmy w centrum burzy słonecznej, która oddziałuje także na nasze systemy. Jest bardzo uciążliwa, ale dzięki niej mamy spektakularną zorzę polarną.

– Dziękuję. – Gray wszedł do centrum łączności.

– Zabiorę was do świetlicy – zwróciła się do pozostałych Karen. – Domyślam się, że macie ochotę na gorącą kawę i coś do zjedzenia.

– Nigdy nie odmawiam darmowego posiłku – odparł Kowalski mniej zrędlwym tonem niż zwykle.

Gdy wyszli przez właz do jednego z rękawów między segmentami, Gray zamknął drzwi do centrum łączności i podszedł do telefonu satelitarnego. Wybrał bezpieczny numer dowództwa Sigmy i w oczekiwaniu na połączenie słuchał tonowego sygnału.

Kat odebrała natychmiast.

– Dotarliście do Stacji Halleya? – spytała, nie tracąc czasu.

– Chyba straciłem parę plomb, ale jesteśmy cali i zdrowi. Musimy nadal czekać na przyjazd tego, kogo ma tu przysłać profesor Harrington. Może wtedy czegoś się dowiemy.

– Miejmy nadzieję, że zjawi się niedługo. W ciągu ostatnich paru godzin nadchodziły coraz gorsze wieści z Kalifornii. Nadciąga burza, która może spowodować ulewne deszcze i gwałtowne powodzie.

Gray rozumiał zagrożenie – zabezpieczenie strefy kwarantanny będzie niemożliwe.

Gdy Kat kontynuowała, niektóre jej słowa zagłuszały trzaski.

– Powinieneś też wiedzieć, że brat Lisy wykazuje... oznaki infekcji. Dwadzieścia minut temu miał atak. Nadal próbujemy stwierdzić, czy to skutek kontaktu z wirusem, czy powikłań pooperacyjnych. Tak czy inaczej, musimy... opanować sytuację jak najszybciej, zanim rozpęta się piekło.

- Jak znosi to Lisa?
- Pracuje na okrągło. Stara się znaleźć sposób, by pomóc bratu. Ale Painter się martwi. Jedyna dobra wiadomość jest taka, że być może wpadliśmy na trop sabotażysty z bazy. Właśnie to sprawdzamy.
- Dobrze, a ja przyspieszę, co się da, tutaj. Ale i tak dopiero za godzinę zjawi się człowiek, który ma doprowadzić nas do Harringtona.
- Diabli wiedzą, gdzie profesor się ukrywa, pomyślał.
- W dochodzącym jakby z zaświatów głosie Kat zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.
- Czemu on jest takim pieprzonym paranoikiem...
- Gray rozumiał jej frustrację, ale dręczyło go inne pytanie: A jeśli Harrington ma powody, żeby się bać?

Godzina 15.32

Znów w domu...

Jason podziwiał widok zachodzącego słońca. Siedział przy stole przed wysokimi na dwa piętra trójwarstwowymi oknami, które wychodziły na lodowiec i bezkresne Morze Weddella. Granatowe wody usiane były potężnymi górami lodowymi, którym wiatr i fale nadawały ulotne kształty grani, łuków i postrzępionych błękitno-białych żagli.

Jason wstąpił do Sigmy, by działać w słusznej sprawie, zapewnić krajowi bezpieczeństwo, ale miał również nadzieję, że zobaczy kawałek świata. Niestety, większość czasu spędzał zagrzebany w podziemiach dowództwa Sigmy, a teraz, gdy po raz pierwszy wyznaczono mu zadanie w terenie...

Zostałem wysłany do domu.

Przeżył część dzieciństwa na Antarktydzie, z matką i ojczymem, którzy pracowali nadal w pobliżu stacji McMurdo po drugiej stronie tego kontynentu.

Zatoczyłem pełny krąg.

Sączył posępnie z filiżanki gorącą herbatę, nasłuchując gwaru rozmów kilku pracowników bazy, którzy siedzieli w świetlicy. Czerwony segment był podzielony na dwa poziomy. W dolnej połowie znajdowała się jadalnia, a spiralne schody prowadziły na antresolę, gdzie mieściła się niewielka biblioteka, rząd komputerów i salka konferencyjna. Między kondygnacjami umieszczono nawet ścianę wspinaczkową.

Tuż za nim trzech mężczyźni grali w bilard; mówili językiem, który brzmiał jak norweski. Chociaż stacja była brytyjska, pracowała tu międzynarodowa grupa badaczy – według doktor Von Der Bruegge, zwykle pięćdziesięciu do sześćdziesięciu, ale ostatnio mniej, bo zbliżały się mroczne zimowe miesiące. Liczba naukowców spadła do dwudziestu, a podczas polarnej zimy zostanie ich tylko kilkunastu.

W związku z tym okresem przejściowym w bazie wiele się działo, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Za oknami dwa pługi śnieżne ciągnęły palety skrzynek. Najbardziej jednak zadziwiał widok zielonego traktora John Deere, który holował powoli po lodowej tafli jeden z niebieskich segmentów. Zniknął jak duch we mgle wiszącej nad szelfem i odpornej na wiatr wiejący w górze przed zachodem słońca.

Doktor Von Der Bruegge powiedziała, że w ciągu następnego tygodnia – pracując 24 godziny na dobę – zdemontują stację i przeniosą ją w głąb lądu, gdzie zostanie ponownie zainstalowana na zimowe miesiące.

Na niebie pojawił się kolejny twin otter, lecący nisko wzdłuż krawędzi szelfu w ostatnich promieniach słońca. Wyglądało na to, że zamierza wylądować. Miał kredowobiały kolor, a nie wiśniowy, jak samoloty eskadry British Antarctic Survey. Był to nietypowy widok w rejonie Antarktydy, gdzie preferowano jaskrawe barwy, wyróżniające się na tle lodu i śniegu.

Może to łącznik profesora Harringtona.

Jason podniósł się z miejsca, żeby zawiadomić Graya. Kowalski nakładał sobie przy bufecie drugą porcję jedzenia, głównie zapiekanki.

Samolot nagle się wzniósł, zawracając znad lądowiska, jakby odlatywał. Nie był to chyba jednak ich łącznik, raczej jakiś podróżnik. Tak czy inaczej, alarm okazał się fałszywy.

Jason usiadł z powrotem na krześle i obserwował, jak samolot przechyla się na skrzydło. Z boku otworzyły się drzwiczki. Zauważył w środku jakiś ruch... i podejrzenie wystające na zewnątrz dwie długie czarne rury.

Zaczęły płuć ogniem i smugami dymu.

Wyrzutnie pocisków.

Pierwsze eksplozje zniszczyły stojącego na lodzie samotnego twin ottera. Potem samolot poleciał w kierunku stacji.

Jason poczuł, że ktoś chwyta go za ramię.

To Kowalski ściągał go z krzesła.

– Pora ruszać, chłopcze.

Godzina 15.49

Gray biegł pochylony po mostku, który łączył segment dowództwa ze świetlicą. W uszach nadal rozbrzmiewały mu echa wybuchów. Po zakończeniu rozmowy z Kat wszedł do zadaszonego pasażu, gdy eksplodowały pierwsze rakiety. Przez szyby widział płonące szczątki twin ottera.

Podbiegł do przykucniętej postaci.

– Karen, jesteś cała?

Była oszołomiona, jakby chwilowo ogłuszona. Nagle jej niebieskie oczy odzyskały ostrość spojrzenia. Zobaczył w nich bardziej gniew niż strach.

– Co się dzieje, do cholery? – wykrztusiła.

– Zaatakowano nas.

– Musimy wezwać pomoc! – rzuciła, przeciskając się obok niego.

Komandor chwycił ją jednak w pasie i przytrzymał. Słyszając coraz głośniejszy ryk silników samolotu, pociągnął ją w kierunku segmentu, w którym mieściła się świetlica.

– Nie mamy czasu – ostrzegł.

– Ale...

– Zaufaj mi.

Nie zdążyłby jej niczego wyjaśnić, więc niemal ją niosąc, popędził na drugą stronę pasażu.

Gdy dotarł do drzwi, otworzyły się przed nim. Na progu pojawił się zagrażający wejście Kowalski. Wyglądało na to, że ciągnie za sobą Jasona.

– Cofnijcie się! – wrzasnął Gray.

Kiedy Kowalski zszedł mu z drogi, komandor rzucił się do przodu i pchnął Karen za próg. Zatrzasnął za sobą drzwi w momencie, gdy całym segmentem wstrząsnęły kolejne dwie eksplozje. Z półek w jadalni pospadały szklane naczynia, a kilka trójkątnych szyb rozprysło się na kawałki.

Wyjrzał przez okienko w drzwiach. Drugi koniec pasażu wyleciał w powietrze, a w ścianie segmentu dowództwa widniała dymiąca dziura.

Dokładnie w miejscu, gdzie było centrum łączności.

Karen zajrzała mu przez ramię.

– Izolują nas – wyjaśnił Gray. – Najpierw zniszczyli samolot, byśmy nie mogli się stąd wydostać. Jak tylko ich zobaczyłem, wiedziałem, że wysadzą centrum łączności, by pozbawić nas kontaktu ze światem.

– Kim oni są?

Przypomniał sobie oddział, który zaatakował dowództwo DARPA. Biały kolor twin ottera był typowy dla arktycznych jednostek szturmowych. Z pewnością planowali atak na lądzie.

– Macie tu jakąś broń? – spytał.

Karen spojrzała w przeciwnym kierunku.

– W magazynie. W ostatnim segmencie stacji. Ale jest jej niewiele.

Wolał niewiele niż nic.

Tymczasem zgromadzili się wokół inni ludzie, w tym Barstow i kilku przestraszonych naukowców.

– Ile osób jest jeszcze w bazie? – spytał Gray, prowadząc ich przez jadalnię.

Karen przyjrzała się tym, którzy im towarzyszyli, najwyraźniej ich licząc.

– O tej porze roku nie więcej niż pięć, sześć osób, oprócz personelu, który pracuje na zewnątrz.

Gray dotarł na drugi koniec jadalni i otworzył drzwi prowadzące na następny mostek.

– Idźcie dalej! Przez kolejne segmenty! Aż do samego końca! – ponaglił wszystkich, po czym zwrócił się do Karen: – Czy stacja ma wewnętrzny system komunikacji, żeby ogłosić alarm?

Skinęła głową.

– Oczywiście. Sygnał radiowy dotrze też do wszystkich poza bazą.

– To dobrze. Kiedy więc będziemy w ostatnim segmencie, zarządzaj ewakuację.

Spojrzała na niego z niepokojem.

– Po zachodzie słońca spadnie gwałtownie temperatura.

– Nie mamy wyboru.

Zaległa cisza. Nie było już dalszych eksplozji. Domyślał się, że twin otter zatacza koło, by wylądować. Nie miał wątpliwości, że grupa szturmowa znajdzie się wkrótce na ziemi. Bez środków łączności nie był w stanie wezwać pomocy, a napastnicy będą mieli całą noc, by przeszukać stację albo po prostu założyć ładunki i wszystko wysadzić.

Gdy Gray rozmyślał nad planem działania, pozostali, wycofując się, wpadli do kolejnego segmentu. Znajdowały się w nim pomieszczenia mieszkalne, szereg niewielkich sypialni pomalowanych na jaskrawe kolory. Dołączył tam do nich kolejny pracownik stacji: drobny spanikowany chłopak w okularach. Szli dalej przez następne dwa segmenty badawcze. Oba już

zamknięto na zimę.

W końcu dotarli do ostatniego wagonu tego lodowego pociągu. Był to najwyraźniej magazyn.

– Gdzie jest broń? – spytał Gray.

– Obok tylnych drzwi – odparła Karen, rzucając Barstowowi pęk kluczy. – Pokaż im.

Gdy wykonywał jej polecenie, podeszła do interkomu na ścianie i wystukała szybko kod. Komandor pospieszył za Barstowem, podczas gdy Karen ogłaszała alarm, ostrzegając pracowników przebywających jeszcze na terenie stacji, by ją opuścili. Tym, którzy znajdowali się na zewnątrz, nakazała się do niej nie zbliżać.

Barstow zaprowadził ich do szafki przy tylnej ścianie i kluczem od Karen otworzył podwójne drzwi. Gray spojrział na karabiny i pistolety, starając się nie okazać rozczarowania, że jest ich tak mało, ale z drugiej strony, co mogło zagrażać bazie naukowej? Nie było tu lądowych drapieżników, jedynie pingwiny i foki. Te kilka sztuk broni miało służyć do ewentualnej obrony przed niepożądanymi gośćmi, a nie regularnym szturmem.

Komandor rozdał sześć pistoletów Glock 17 i zarzucił na ramię jeden z trzech karabinów LSW L86A2. Drugi podał Kowalskiemu, a ostatni Barstowowi. Stojący z boku Jason załadował fachowo swojego glocka.

Gray podszedł do okienka w drzwiach w głębi magazynu. Na zewnątrz była już noc i wszystko spowijał mrok. Za włazem znajdowała się nieduża platforma, z której schodziło się po drabince na lód.

– Kowalski i Barstow, jak będziemy na zewnątrz, spróbujemy nie dopuścić, żeby samolot wylądował. Jeśli nam się nie uda, zajmiemy pozycje obronne – powiedział, po czym zwrócił się do Jasona: – Ty zabierz stąd pozostałych. Jak najdalej od stacji.

Chłopak skinął głową. Jego czujne oczy szklily się od zdrowego strachu, ale był gotów do działania.

Karen wróciła z naręczem przenośnych radionadajników.

– To też zabrałam.

Komandor pochwalił skinieniem głowy jej zaradność i wsunął jeden z nich do kieszeni kurtki.

– Rozdaj pozostałe – nakazał.

Gdy skończyli, wyprowadził ich przez otwarty właz w ciemną, mroźną noc. Kiedy poczuł na twarzy pierwszy lodowaty podmuch, zwątpił nagle w słuszność swego planu. Na zewnątrz czekała ich równie pewna śmierć, jak w segmentach stacji. Musieli szybko znaleźć jakieś schronienie poza bazą.

Ale gdzie?

Rozległa się kolejna eksplozja, wstrząsając stacją. Światła zamigotały i zgasły.

– Musieli zniszczyć generatory – odezwała się Karen za plecami komandora.

Zmarszczył czoło. Czyżby nieprzyjaciel usłyszał, że ogłosiła alarm? Czy właśnie to spowodowało nowy atak? A może grupa szturmowa chce osłabić ich opór przed wylądowaniem?

Nieustający warkot silników twin ottera przypomniał mu, że dalsze wahanie tylko pogarsza ich sytuację. Pospieszył więc na zewnątrz, wciągnął rękawice i podszedł do drabiny. Zjechawszy po niej w dół, dał znak pozostałym, by poszli w jego ślady.

Z przytkniętą do ramienia kolbą karabinu obserwował przez celownik światła twin ottera na wieczornym niebie. Samolot, nadlatując z drugiej strony stacji, przechylił się na bok i wystrzelił jeszcze jeden pocisk. Rozległa się kolejna eksplozja. Wysepka światła pograżyła się w mroku.

– Myślę, że to jeden z naszych pługów śnieżnych – powiedziała Karen z poczuciem winy. – Powinnam była ich ostrzec, żeby wygasili reflektory.

Gray zauważył drugi pług, zaparkowany na lodzie na prawo od stacji i trzy skutery śnieżne.

– Potraficie uruchomić szybko te pojazdy? Z wyłączonymi światłami będziecie w stanie pokonać większy dystans niż na piechotę.

Karen skinęła głową.

– A jeśli tamci mają noktowizory? – spytał Jason, dołączając do nich.

– Wtedy zobaczą nas równie łatwo, gdy będziemy szli pieszo. – Komandor wskazał na gęstą mgłę, osiadającą nad lodowym szelfem wokół stacji. – Kierujcie się jak najszybciej w tamtą stronę. To najlepsze rozwiązanie.

Jason spojrział z powątpiewaniem na tuman mgły.

W nadziei na zwiększenie szans reszty grupy Gray zwrócił się do Kowalskiego i Barstowa:

– Musimy zyskać dla nich jak najwięcej czasu. – Wskazał na część stacji znajdującą się po przeciwnej stronie niż zaparkowane pojazdy śnieżne. – Jeśli będziemy strzelać stamtąd, zwrócimy na siebie uwagę.

Kowalski wzruszył ramionami.

– To chyba lepsze niż odmrażanie sobie tyłków.

Barstow również przytaknął.

Mając gotowy plan, Gray rozkazał obu grupom, by się rozdzieliły.

Jason obejrzał się przez ramię, prowadząc swoją.

– Jeden ze skuterów śnieżnych ma trzy miejsca. – Popatrzył na komandora. – Zostawię go z włączonym silnikiem. Tak na wszelki wypadek.

Gray skinął tylko głową, podziwiając bystrość chłopaka.

Ustaliwszy wszystko, poprowadził Kowalskiego i Barstowa pod magazyn. Słyszał, jak po drugiej stronie zaczynają działać silniki pojazdów śnieżnych – najpierw krztusząc się, a potem nabierając mocy.

Przyglądał się, jak członkowie odchodzącej grupy znikają jeden po drugim we mgle.

Usatysfakcjonowany, z karabinem przy ramieniu wyszedł spod segmentu stacji. Wycelował w lecącego twin ottera, który skręcił i zmierzał w jego kierunku, nabierając wysokości, jakby wyczuwał, że w dole ukrywa się snajper.

Jego dziwne manewry zaniepokoiły Graya. Zaczął coś podejrzewać.

Dlaczego nie próbuje wylądować?

Samolot krążył nadal powoli jak jastrząb nad polem. Na razie wyglądało na to, że napastnicy chcą odciąć bazę od świata i izolować jej mieszkańców.

Ale w jakim celu? Na co czekają?

Odpowiedź nadeszła po ułamku sekundy.

Potężna eksplozja była sto razy silniejsza niż wcześniejsze wybuchy rakiet. Po drugiej stronie stacji wystrzelił wysoko w mroczne niebo gejzer lodu i ognia. Po kolejnej detonacji, o wiele bliższej, nastąpiła jeszcze jedna.

Wszyscy trzej padli na kolana. Gray wyobraził sobie rząd ładunków ukrytych głęboko pod lodem. Pewnie zakopano je tam dawno temu.

Seria eksplozji trwała dalej, od jednego końca stacji do drugiego.

Komandor spojrział za linię wybuchów, w kierunku gęstej mgły.

Przynajmniej pozostali uciekli na czas...

Na jego oczach lód zaczął pękać i między lejami po pociskach powstały rozszerzające się

coraz bardziej szczeliny. Wyobraził sobie, że sięgają w głąb dryfującego lodowego szelfu.

Zrozumiał nagle, jaki nieprzyjaciel ma plan, i poczuł skurcz w żołądku.

Jego najgorsze obawy potwierdził głośny trzask, jakby pękła pod nimi skorupa Ziemi.

Lód drgnął mu pod kolanami, odsuwając się od nowej szczeliny i przechylając ku ciemnemu morzu. Eksplozje zakopanych bomb oderwały fragment Szelfu Brunta, tworząc nową górę lodową – na której pozostała Stacja Halleya numer VI.

Cała konstrukcja zadrżała i zaczęła ześlizgiwać się powoli po pochyłej powierzchni na swych gigantycznych płozach.

Gray z niedowierzaniem patrzył w górę.

Kowalski też się temu przyglądał.

– Zdaje się, że nie wrócę już do mojej byłej.

Dolina Yosemite, Kalifornia

29 kwietnia, godzina 8.45 czasu miejscowego

– Jeśli ktoś zamierza się schować, to całkiem niezła kryjówka – powiedział sierżant Drake.

– Miejmy nadzieję, że ona jeszcze tu jest. – Jenna wysiadła z SUV-a. Był dżdżysty poranek, założyła więc kaptur nieprzemakalnej kurtki i spojrzała z podziwem na majestatyczną sylwetkę sławnego hotelu Ahwahnee, klejnotu koronnego Parku Narodowego Yosemite.

Ta rustykalna górską budowla, otwarta w 1927 roku, stanowiła mistrzowskie połączenie stylu Arts and Crafts z estetyką amerykańskich Indian i słynęła z ogromnych kominków z piaskowca, ręcznie malowanych krokwi i licznych witraży. Nocleg w tym hotelu był dla Jenny zbyt kosztowny, ale wpadała tam czasem na lunch do olśniewającej restauracji, wysokiej na trzy piętra sali, wspartej na potężnej sosnowej kolumnadzie.

Tego ranka nie przyjechali jednak do hotelu.

Czterooosobowy oddział marines zaparkował pojazd za budynkiem. Drake ruszył w kierunku otaczającego hotel lasu, zabierając ze sobą Jennę i Nikka. Pod cywilnymi ubraniami mieli kamizelki kuloodporne i ukrytą broń.

Jenna trzymała za pasem, pod kurtką, kompaktową czterdziestkę smitha & wessona M & P, a na drugim biodrze kajdanki.

Przed dziesięcioma minutami śmigłowiec przetransportował ich podczas burzy nad górami Sierra Nevada do doliny Yosemite. Helikoptery służb ratowniczych lądowały zwykle na rozległej łące obok hotelu Ahwahnee, ale Drake obawiał się, że mogą spłoszyć swoją zwierzynę, wybrał więc trochę bardziej odległe miejsce – Stoneman Meadow.

– Samochód! – rzucił starszy kapral Schmitt.

Wskazał białą toyotę camry z tablicami z Massachusetts. Numer rejestracyjny się zgadzał. To był samochód Amy Serptry.

Godzinę wcześniej Painter wydał nakaz poszukiwania tego pojazdu GPS-em, na podstawie jego numeru VIN. Odnaleźli go tutaj, w dolinie Yosemite, niedaleko obszaru w górach, który ewakuowano i poddano kwarantannie.

Początkowo wszyscy sądzili, że kobieta porzuciła samochód, być może przesiadając się do innego. W hotelu nie zameldowała się żadna Amy Serptry. Ale gdy do recepcji przesłano zdjęcie, okazało się, że osoba odpowiadająca jej rysopisowi wynajęła pokój pod innym nazwiskiem, posługując się fałszywym dokumentem i kartami kredytowymi.

Niezaprzeczalny dowód winy.

Ale dlaczego zakwaterowała się tutaj, tak blisko granicy strefy kwarantanny? Czy została w pobliżu, żeby obserwować skutki swego dzieła?

Jennę ogarnął gniew na wspomnienie spalonej ziemi i martwych zwierząt. Starła się nie pamiętać widoku opadającego topora i przeraźliwego krzyku. Trzymała ramiona Josha, gdy sierżant Drake robił to, co było konieczne. Nie odzywał się potem przez całą powrotną drogę; błądził tylko wzrokiem po wzgórzach.

– Ona musi nadal tu być – rzucił Schmitt, gdy obchodzili jej samochód. – Chyba że odjechała innym pojazdem.

Miejmy nadzieję, że nie, pomyślała Jenna. Potrzebujemy odpowiedzi na pytania.

Drake szedł przodem, z zaciętym i stoickim wyrazem twarzy. Najwyraźniej chciał czegoś więcej niż odpowiedzi. Chciał rozliczenia.

Toyota stała zaparkowana w pobliżu ścieżki biegnącej między sosnami. Do hotelu Ahwahnee należały dwadzieścia cztery drewniane domki ukryte w lesie. Amy musiała wynająć jeden z nich, żeby zachować dyskrecję.

Weszli na ścieżkę. Powietrze przesycił intensywny zapach sosnowych igieł. W miejscu, gdzie ścieżka się rozwidła, dwaj ludzie Drake'a skęcili w prawo. Kika kroków dalej sierżant z jeszcze jednym komandosem podążyli w las w lewo. Zamierzali okrążyć domek i zastawić pułapkę.

Gdy ci dwaj zniknęli, Jenna i Nikko ruszyli wprost w kierunku domku. Zaplanowali, że Jenna podejdzie tam pierwsza. W cywilnym ubraniu i z psem przy nodze wyglądała na turystkę. Chcieli uspić czujność Amy, licząc, że być może otworzy drzwi zagubionej urlopowiczce.

Za zakrętem ścieżki wyłonił się otoczony sosnami uroczy domek z cedrowych desek. Pomalowany był na zielono, by lepiej komponować się z lasem. Drzwi z dwoma bocznymi szybami wychodziły na kamienne patio. We wszystkich oknach, także drzwiowych, były zaciągnięte żaluzje.

Ktoś tu najwyraźniej potrzebuje prywatności.

Jenna, wiedząc, że ma wsparcie marines, nie bała się podchodzić sama do drzwi. Mimo wszystko dotknęła jednak ukradkiem kuloodpornej kamizelki. Nikko trzymał się blisko, jakby wyczuwając jej napięcie.

Gdy dotarła do wejścia, nie zważając na deszcz, ściągnęła kaptur. Zastukała mocno, po czym cofnęła się o krok.

– Halo! – zawołała. – Czy mogę się dowiedzieć, jak dojść do recepcji hotelu Ahwahnee?

Usłyszała jakiś hałas.

A więc ktoś tam jest.

Nachyliła się, przytykając ucho do drzwi.

– Halo! – zawołała ponownie, tym razem głośniej.

Nasłuchując, zdała sobie sprawę, że ów hałas to przytłumiony dzwonek telefonu. Sądząc po jego brzmieniu, zapewne komórki.

Zaczerpnęła tchu, by zawołać ponownie, gdy ktoś odezwał się ochrypłym, ledwie słyszalnym głosem:

– Pomocy!

Reagując instynktownie na żałosny jęk, Jenna wydobyla smitha & wessona i rozbiła kolbą szybę w drzwiach, obok klamki. Gdy szkło się rozprysło, owinęła dłoń mankietem kurtki, usunęła resztki odłamków, po czym wsadziła rękę do środka i odciągnęła rygiel.

Usłyszała za plecami tupot nóg.

Rzuciwszy okiem przez ramię, zobaczyła, że Drake biegnie w jej kierunku.

– Zaczekaj!

Odblokowane drzwi otworzyły się na oścież.

Jenna kryła się za framugą, trzymając pistolet w obu rękach. Drake dobiegł do niej i zajął miejsce po drugiej stronie drzwi.

W mrocznym pokoju paliła się lampka nocna. Zobaczyli w jej świetle leżącą na łóżku postać, przykrytą do połowy kołdrą. Wnosząc z blond włosów, musiała to być Amy Serpny – ale miała spuchniętą i posiniaczoną twarz, pokrytą pęcherzami skórę i poczerniałe wargi. Kołdra była zaplamiona wymiocinami, a prześcieradło poskręcane, jakby kobieta z kimś walczyła.

Jenna słyszała wcześniej, że Josh miał atak.

Podejrzewała, że z Amy było podobnie.

Nic dziwnego, że nie uciekła zbyt daleko. Musiała zachorować i ukryła się tam, gdzie mogła.

Jenna, wiedząc, ile osób zginęło z powodu tej sabotażystki, miała dla niej niewiele współczucia.

Amy opuściła głowę na poduszkę, obracając się w kierunku drzwi. Miała mętny wzrok i zapewne nic już nie widziała. Otworzyła usta, jakby chciała znów błagać o pomoc.

Ale chlusnęła z nich tylko krew, plamiąc poduszkę i przesiąkając przez materac. Jej ciało opadło na łóżko, zwiotczałe i nieruchome.

Jenna postąpiła krok naprzód, by przyjść jej z pomocą, ale Drake przytrzymał ją na progu.

– Spójrz na dywan – ostrzegł.

Początkowo Jenna nie rozpoznała, co leży na podłodze. Potem uświadomiła sobie nagle, na co patrzy.

Myszy... martwe myszy.

Słyszała opowieści o tych małych intruzach, dzielących często pokoje z gośćmi hotelowymi. Jej przyjaciółka z uczelni mieszkała w zeszłym roku w jednym z tych domków. Opowiadała potem ciągle tylko o tym, jak myszy chodziły jej w nocy po łóżku, szperały w walizkach, a nawet zostawiły odchody w butach.

Żeby poradzić sobie ze szkodnikami, hotel prowadził nieustanną wojnę, zwłaszcza gdy w dolinie odnotowano przypadki zakażeń przenoszonych przez gryzonie hantawirusami.

Ale w tym domku wojna już się skończyła.

Albo prawie.

Jedna mysz podskakiwała na dywanie, wstrząsana drgawkami.

Jenna zareagowała zbyt powoli, zanadto skoncentrowana na makabrycznym widoku wewnątrz domku.

Nikko przemknął obok niej, gdy ruch myszy rozbudził jego instynkt łowcy.

– Nikko, nie!

Husky zatrzymał się na jej rozkaz, ale miał już mysz w zębach. Odwrócił się, opuszczając ogon i wiedząc, że zrobił coś złego.

– Nikko...

Pies upuścił mysz i ruszył potulnie do swojej pani, z opuszczonym łbem i podwiniętym ogonem.

Drake odepchnął do tyłu Jennę jedną ręką, po czym sięgnął do klamki i zamknął drzwi. To, co czaiło się w tym pokoju, było o wiele gorsze niż jakikolwiek hantawirus.

Nikko wył za drzwiami, błagając, by go wypuścić.

Godzina 9.01

Lisa czekała wewnątrz śluzy powietrznej, by ustabilizowało się ciśnienie, zanim będzie mogła otworzyć wewnętrzne drzwi prowadzące do kompleksu laboratorium. Przez ściany słyszała lekkie uderzenia kropel deszczu o metalowy dach gigantycznego hangaru.

Przypomniało jej to, że mają coraz mniej czasu.

Według miejscowych meteorologów, nad region nadal nadciągał ogromny front burzowy. Na razie martwa ziemia wokół strefy zero pozostawała sucha, ale było tylko kwestią czasu, kiedy z tych czarnych chmur lunie deszcz. Grupie logistycznej polecono oszacować, przy zastosowaniu programów komputerowych uwzględniających topografię i geologię terenu, jak daleko może się rozprzestrzenić skażenie.

Wstępne raporty były przerażające.

Painter, próbując zapobiec katastrofie, odbywał właśnie telekonferencje z różnymi urzędnikami stanowymi i federalnymi. Niestety, człowiek, który pojawił się w środku nocy, przyprawiał go o ból głowy. Dyrektor techniczny DTC – amerykańskiego Dowództwa Testowania Broni – przyleciał z poligonu Dugway w stanie Utah, gdzie zajmowano się obroną kraju przed zagrożeniem nuklearnym, chemicznym i biologicznym. W ciągu kilku krótkich godzin od przybycia stał się dla Paintera cierniem w dupie.

Nad wewnętrznymi drzwiami zapaliło się zielone światło i magnetyczny zamek otworzył się z głośnym kliknięciem. Lisa przeszła przez próg, czując ulgę, że kłótnie polityczne może zostawić Painterowi. Miała ważniejsze zadanie, które wymagało jej pełnego zaangażowania.

Obejrzała się przez ramię w kierunku izolatki w głębi hangaru. Josh leżał znów spokojnie, podłączony do kroplówki. Podawano mu diazepam. Przyczyna jego krótkiego ataku pozostawała nieznana, ale Lisa obawiała się, że może to być oznaka infekcji docierającej do centralnego systemu nerwowego.

Przypomniała sobie cierń tkwiący w jego nodze.

Mam nadzieję, że się mylę, pomyślała.

Ale dopóki nie była pewna, zamierzała pracować dalej.

– Wróciła pani, doktor Cummings. Fantastycznie!

Usłyszała ten głos przez słuchawkę radionadajnika. Odwróciła się i dostrzegła za szybą stojącego w swoim laboratorium doktora Edmunda Denta, wirusologa z Centrum Zapobiegania Chorobom. Uniósł rękę na powitanie, po czym dał jej znak, by weszła do środka.

– Dzięki pani pracy poczyniliśmy chyba znaczące postępy w wyodrębnieniu zakaźnej cząsteczki – przekazał jej przez radio. – Wiedząc, że trzeba szukać czegoś tak małego, zaczęliśmy posuwać się do przodu. Ale chciałbym zasięgnąć pani opinii na temat tego, co dotychczas odkryliśmy.

– Oczywiście – odparła.

Podeksytowana perspektywą choćby drobnego postępu w badaniach, Lisa pospieszyła przez mniejszą śluzę powietrzną do jego laboratorium, w którym lśniło stalowe wyposażenie: wysokoobrotowe wirówki, spektrometr mas, ultramikroskop Leica, kriokomora, a także dwa mikroskopy elektronowe.

Zobaczyła, że przy jednym ze stanowisk komputerowych siedzi ktoś jeszcze, ubrany w skafander i pochylony nad monitorem. Nie rozpoznała go, dopóki się nie odwrócił. Starła się nie okazać zdziwienia.

Był to doktor Raymond Lindahl, dyrektor techniczny amerykańskiego Dowództwa Testowania Broni. Za ochronną maską wyglądał na pięćdziesiąt parę lat, miał farbowane czarne włosy i kocią bródkę. Odkąd się pojawił, wtykał swój długi nos we wszystko, co robił Painter, rzucał uwagami, nakazywał zmiany, gdy tylko było to w jego gestii – co, ku rozpaczy Paintera, zdarzało się bardzo często.

Wyglądało na to, że teraz Lisa też trochę pocierpi.

Oczywiście, ten człowiek nie znalazł się tu przypadkiem. Słyszała, że Lindahl jest zarówno genetykiem, jak i bioinżynierem. Jego wybitnej wiedzy dorównywała arogancja.

– Doktorze Dent – oznajmił oschle. – Nie jestem pewien, czy potrzebujemy tutaj ekspertyzy doktor Cummings w dziedzinie medycyny i fizjologii. Lepiej, żeby poświęciła czas na pracę kliniczną i skupiła się na eksperymentach nad zwierzętami, a nie na badaniach na tym poziomie.

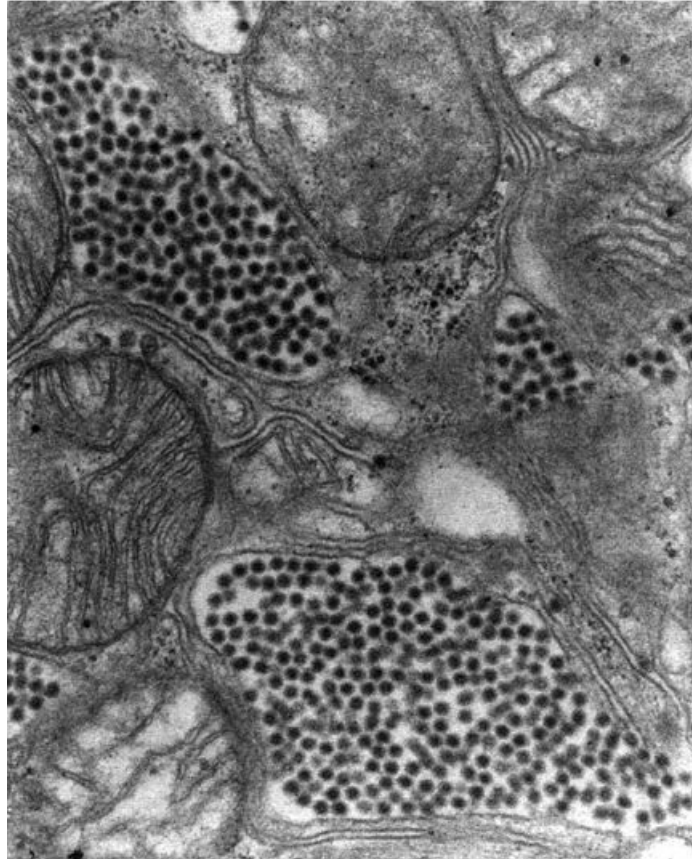
Wirusolog nie zgodził się z nim, czym zyskał jeszcze większą sympatię Lisy. Był dziesięć lat młodszy od Lindahla i nie dbał o konwenanse, co pozostało mu zapewne z okresu studiów w Berkeley i Stanfordzie. Choć nigdy nie widziała Edmunda bez skafandra, zawsze wyobrażała go sobie w markowych sandałach Birkenstock i batikowym T-shircie.

– To dzięki pracy Lisy robimy postępy – przypomniał Lindahlowi. – Kolejna para oczu zawsze się przydaje. Poza tym, czy do wytwarzania miodu wystarczy jedna pszczoła w ulu?

Lindahl westchnął z irytacją, ale zamilkł.

Edmund podjechał na krześle do dyrektora DTC.

– Liso, zapoznam panią z tym, co wiemy. Wspomniałem na zebraniu, że udało mi się, być może, zobaczyć monstrum, którego szukamy. Oto obraz mikroskopowy przekroju pęcherzyków płucnych zarażonego szczura.

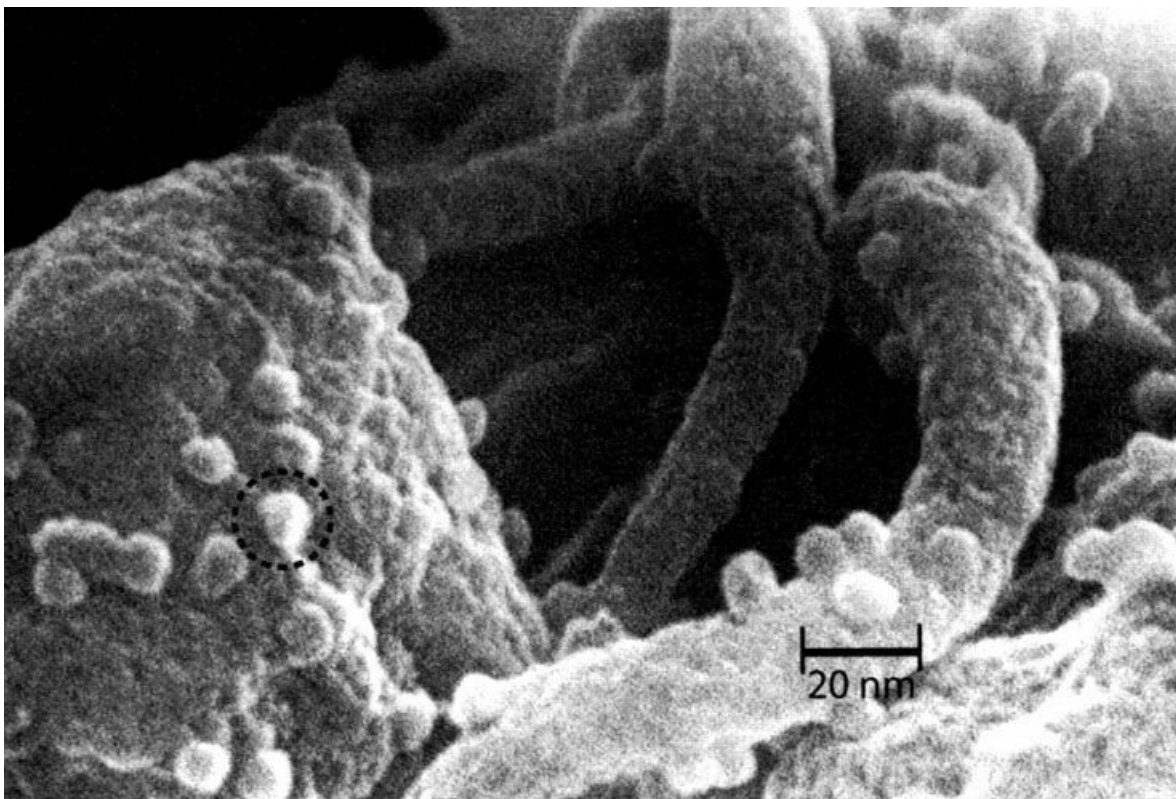


Lisa pochyliła się i przyjrzała skupiskom drobnych cząsteczek upakowanych gęsto w małych komórkach powietrznych płuc.

– Wyglądają zdecydowanie na wiriony, cząstki wirusowe – przyznała Lisa. – Ale nigdy nie widziałam niczego tak mikroskopijnego.

Edmund skinął głową.

– Zrobiłem pomiary cząsteczek pączkujących na zainfekowanych włóknach mięśnia sercowego. Oto trójwymiarowy obraz z mikroskopu elektronowego.

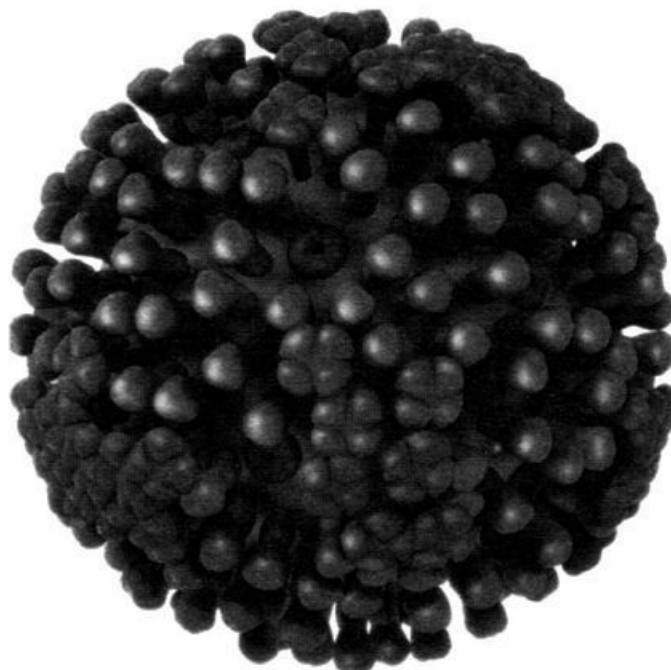


To zdjęcie przedstawiało pojedyncze wirusy przytwierdzone do rozgałęzionych wiązek mięśni i nerwów. Podana skala pozwalała określić ich rozmiar.

– Zdaje się, że mają mniej niż dziesięć nanometrów – zauważyła Lisa. – To połowa wielkości najmniejszego znanego wirusa.

– Dlatego zjawiłem się tu z pomocą. – Lindahl odepchnął Edmunda łokciem. – Żeby otrzymać wyraźniejszy obraz, zestawilem dane na temat protein, uzyskane od biologa molekularnego. Na ich podstawie i za pomocą programu, który opatentowałem, opracowałem trójwymiarowy model kapsyda, osłony wiriona.

Lisa przyglądała się kulistemu modelowi zakaźnej cząsteczki. Umiejętności Lindahla wywarły na niej takie wrażenie, że była gotowa wybaczyć mu arogancję.



– To zewnętrzny wygląd naszego potwora – powiedział Edmund. – Henry jest już w trakcie sporządzania analizy genetycznej tego, co kryje się wewnątrz osłony.

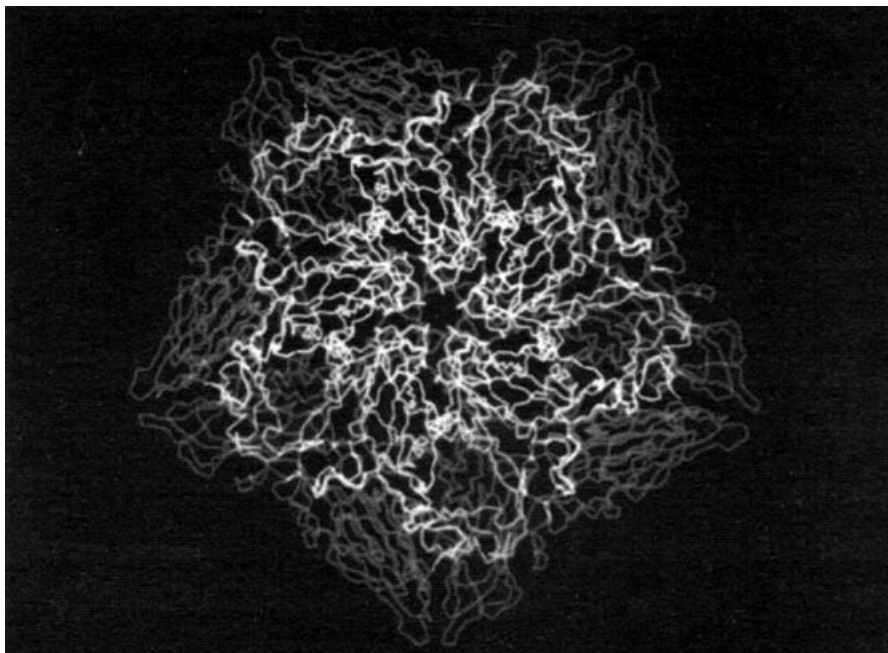
Doktor Henry Jenkins był genetykiem z Harvardu.

– Ale na podstawie tego kapsyda możemy wiele wywnioskować – dodał Lindahl. – Na przykład, że ta cząsteczka jest sztucznym tworem. Pod proteinową powłoką znajdujemy włókna grafenu, każde o grubości zaledwie dwóch atomów, wplecione w heksagonalny wzór.

Wyświetlił kolejny obraz obok poprzedniego, ukazujący splątaną sieć nitek pod usuniętą proteinową powłoką.

Zdecydowanie wyglądało to na sztuczny twór. Lisa zastanawiała się nad znaczeniem tych wykonanych przez człowieka włókien. Grafen jest niezwykle twardym materiałem, mocniejszym niż pajęcza sieć.

– Wygląda to niemal tak, jakby Hess próbował umieścić pod tą skorupą coś w rodzaju kamizelki kuloodpornej – powiedziała.



Lindhahl odwrócił się do niej.

– Właśnie. Bardzo przenikliwe spostrzeżenie. Ta dodatkowa warstwa może wyjaśniać stabilność wiriona, jego odporność na wybielacze, kwasy, a nawet ogień.

Nadal jednak nie mieli odpowiedzi na ważniejsze pytanie: Co ochrania ta twarda powłoka?

– Zdaje się, że doktor Hess skonstruował idealną skorupę – ciągnął Lindahl – na tyle miniaturową, że przeniknie przez każdą tkankę: zwierzęcia, rośliny czy grzyba. Jej niezwyklej rozmiar i charakter może tłumaczyć, dlaczego jest tak uniwersalnie patogeniczna.

Lisa skinęła głową, przypominając sobie, jak ten organizm wysterylizował glebę do głębokości sześćdziesięciu centymetrów.

– Ale po co Hess stworzył coś takiego? – rzuciła. – W jakim celu?

– Słyszała pani o eVLP? – spytał Lindahl.

Pokręciła głową.

– Rozmawialiśmy na ten temat, zanim pani przyszła – wyjaśnił Edmund. – Ten skrót oznacza puste wirusopodobne cząsteczki. To nowa dziedzina badań. Pozbawia się wirusa DNA, pozostawiając tylko jego zewnętrzną powłokę. Jest to przydatne przy produkcji szczepionek.

Lisa zrozumiała. Puste cząsteczki stymulują silną reakcję antygenową albo obronną bez ryzyka, że szczepionka wywoła chorobę.

– Ale to dopiero początek – ciągnął Lindahl. – Mając pustą osłonę, można ją dowolnie wykorzystać. Dodać składniki organiczne albo nawet nieorganiczne, jak te włókna grafenu.

– I wypełnić ją, czymkolwiek się chce. Czymś pięknym albo potwornym – włączył się Edmund. – Innymi słowy, idealna osłona zapewnia idealną dystrybucję.

Lisa przyjrzała się ponownie „twarzy” monstrum.

Co ukryto tam w środku?

– I myśli pan, że doktor Hess osiągnął swój cel? – spytała. – Stworzył w laboratorium ten wirion i coś do niego włożył?

Lindhahl odchylił się na oparcie fotela.

– Technicznie jest to już wykonalne. W dwa tysiące drugim roku grupa naukowców ze

Stony Brook zrekonstruowała żywego wirusa polio, używając tylko substancji chemicznych i znanego kodu genetycznego.

Edmund westchnął ciężko.

– Ten projekt był sponsorowany przez Pentagon – powiedział.

Lisa usłyszała w jego głosie ton oskarżenia. Pracę doktora Hessa również opłacało wojsko.

– A w dwa tysiące piątym roku – kontynuował Lindahl, ignorując uwagę Edmunda – odtworzono w innym laboratorium większego wirusa grypy. W dwa tysiące szóstym dokonano tego samego z wirusem Epsteina-Barra, który ma analogiczną liczbę par zasad, co wirus ospy. Ale to dziecinne igraszki w porównaniu z dzisiejszymi możliwościami. Potrafimy już konstruować stokrotnie większe organizmy, przy dużo mniejszych kosztach. – Prychnął pogardliwie. – Na eBayu można dziś nawet kupić syntezytor DNA.

– Więc co dokładnie doktor Hess włożył w tę osłonę? – spytała Lisa.

Zanim któryś z naukowców spróbował zaryzykować odpowiedź, zabrzączało radio Lisy. Sądząc z reakcji mężczyźni, oni również to usłyszeli.

Kontaktował się z nią Painter. Poczwała przyspieszony puls, wyczuwając napięcie w jego głosie.

– Dostaliśmy właśnie wiadomość z Yosemite – oznajmił. – Kobieta podejrzewana o sabotaż nie żyje.

Nie żyje...

Lisa przymknęła oczy, myśląc o Joshu. Amy Serpny była ich jedynym tropem, jedyną osobą, która mogła wyjawić więcej szczegółów na temat pracy doktora Hessa.

– Ze wstępnego raportu wynika, że zmarła najprawdopodobniej na tę samą chorobę, z którą walczymy – kontynuował Painter. – Żołnierze Gwardii Narodowej, razem z jednostką szybkiego reagowania, są już w drodze, żeby otoczyć teren wokół hotelu Ahwahnee. Mamy również, być może, kolejne przypadki zakażenia. To sierżant Drake i Jenna Beck ze straży leśnej. No i jej pies.

Och, nie...

Painter wspomniał też o dodatkowych instrukcjach i środkach ostrożności. Centrum Zapobiegania Chorobom miało zorganizować w hangarze kolejną strefę kwarantanny, aby przyjąć następne ofiary.

Gdy skończył, Lisa przełączyła się na prywatny kanał.

– Jak bardzo są zagrożeni? – spytała.

– Jenna i Drake nie weszli do domku, a według sierżanta padał deszcz i mieli wiatr w plecy, więc może nic im nie będzie.

– A pies?

– Wszedł do środka i chwycił mysz, która mogła być zarażona.

A zatem husky miał zapewne kontakt z wirionem przez służówkę.

Spojrzała ponownie na monstrum na ekranie.

Biedne psisko.

Szelf Brunta, Antarktyda
29 kwietnia, godzina 16.04 czasu miejscowego

Słyszac pod sobą trzask i skrzywienie lodu, Gray przyglądał się, jak potężna bryła Stacji Halleya przesuwa mu się nad głową. Jej gigantyczne płozy zjeżdżały po pochyłej powierzchni, ześlizgując się w kierunku czeluści lodowatego Morza Weddella.

Po przeciwnej stronie stacji nad szczelinami w lodzie unosił się wciąż dym i para po eksplozjach. Kra, na której dryfowała stacja, oddalała się nadal od Szelfu Brunta.

Gray podźwignął się na nogi i pomógł się podnieść brytyjskiemu pilotowi.

– Ruszcie się! Obaj!

Kowalski stanął niepewnie, rozglądając się.

– Dokąd mamy iść?

– Za mną!

Komandor ruszył z miejsca; wbijał buty w przysypany śniegiem lód i wspinał się po coraz bardziej pochyłym zboczu, podczas gdy stacja zsuwała się za jego plecami. Powierzchnia była wystarczająco chropowata, by zapewnić nogom przyczepność, ale kilka razy poślizgnął się i podparł kolaniem lub ręką. Pomagał sobie, niczym laską, stalową kolbą karabinu, by iść szybciej. Pozostały im tylko sekundy. Brnął w kierunku chmury pary i dymu unoszącej się nad strefą wybuchu. Widoczność była prawie zerowa.

Modlił się, by nie zmylić drogi.

Po kilku krokach odetchnął z ulgą – ale tylko na chwilę.

Zobaczył przed sobą sylwetkę skutera śnieżnego. W miarę jak się do niego zbliżał, słyszał coraz głośniejszy ryk silnika.

Dzięki Bogu, Jason go uruchomił.

Dotarłszy do trzyosobowego skutera, komandor przerzucił nogę przez siodełko, ale nim zdążył usiąść, Barstow kazał mu się cofnąć.

– Kto tu jest ekspertem? Ja poprowadzę. Pan i pański kumpel dacie mi wsparcie.

Gray nie dyskutował; ufał, że arktyczny pilot ma więcej doświadczenia niż on z pojazdami śnieżnymi. Gdy Kowalski wspiął się na siodełko za nim, Gray wskazał na widoczną przed skuterem rozszerzającą się szczelinę.

– Będziemy musieli...

– Rozumiem – odparł Barstow, wciskając pedał gazu.

Spod tylnych opon wystrzelił śnieg i odłamki lodu, gdy skuter gwałtownie ruszył. Musieli przeskoczyć przez rozpadlinę i wylądować na lodzie po drugiej stronie. Szanse mieli niewielkie, zwłaszcza że pojazd był przeciążony, ale pozostanie na krze oznaczało pewną śmierć.

Komandor się pochylił.

Kowalski głośno zaklął.

Barstow nagle ostro skręcił, zaskakując Graya, który niemal wyleciał z siodełka. Skuter obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i stanął tyłem do lodowej szczeliny. Silnik zawył głośniej i Barstow popędził w dół stromego zbocza. Wyjechali z mgły na otwartą przestrzeń. Wyglądało to tak, jakby ścigali teraz zsuwającą się powoli stację.

– Co pan...?! – wrzasnął komandor.

– Pozwól mu prowadzić!

Anglik pochylił się nad kierownicą, próbując wycisnąć z pojazdu jak największą prędkość. Komandorowi nie pozostało nic innego, jak pójść za jego przykładem.

Ale nie byli w tym miejscu sami.

Ostrzegło ich jedynie migotanie świateł nawigacyjnych na ciemnym niebie. Nad ich głowami przemknął twin otter wroga, po czym lód eksplodował przed nimi od wybuchu rakiety.

– Jasna cholera! – zaklął Barstow. – Pilnujcie tyłków, panowie!

Objechał dymiący krater i popędził w kierunku jedynej dostępnej kryjówki. Jeszcze raz gwałtownie skręcił, sypiąc lodem i śniegiem spod kół, a potem podjechał ślizgiem pod przesuwaną się stacją, trafiając dokładnie między dwie z czterech gigantycznych płoz hydraulicznych, na których wspierały się segmenty.

– Powiedzcie mi, jak będzie po wszystkim! – jęknął Kowalski.

Na razie się na to nie zносиło.

Po nierozważnym manewrze Barstow stracił impet, ale gnał teraz pod segmentami Stacji Halleya, dzięki czemu byli poza zasięgiem wzroku załogi twin ottera. Stacja wciąż zsuwała się po pochyłym zboczu, a skuter nabrał znów prędkości.

Gray zrozumiał teraz poprzedni manewr Barstowa – kiedy zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Jadąc pod górę, nie mieli szans rozpedzić skutera wystarczająco, by pokonał rozszerzającą się rozpadlinę, zwłaszcza że był obciążony. Ale kierując się w dół, Barstow mógł nabrać rozpędu, przekształcając ich pojazd w raketę na kołach.

Był tylko jeden problem...

Zaczynało brakować im lodu.

Przed nimi pierwszy segment tej zsuwającej się stonogi dotarł na skraj przepaści i odrywając się od pozostałej części stacji, spadł w mroczną czeluść morza.

– Pora na nas, chłopcy!

Barstow skręcił, przelatując między dwiema potężnymi płozami z powrotem na otwartą przestrzeń. Jechali teraz nieco pod górę, oddalając się od stacji spadającej – kawałek po kawałku – w otchłań Morza Weddella.

Kra, na której się znajdowali, odchylała się pod coraz większym kątem od Szelfu Brunta. Barstow pędził po pochyłym lodzie w kierunku miejsca, gdzie rozpadlina była najwęższa.

Wcisnął gaz do dechy.

Ale pewien uparty jastrząb nie zamierzał stracić swojej zdobyczy. Twin otter wyłonił się z chmury dymu przed nimi i zniżając lot, ciął śmigłami mgłę. Skręcił i ustawił się bokiem, ukazując otwarty właz, w którym siedział człowiek z granatnikiem RPG na ramieniu.

Wróg nie ryzykował.

Miał ich jak na dłoni.

Gray obrócił się na siodełku, odpychając łokciem Kowalskiego. Uniósł karabin i wyprostował rękę. Nacisnął mocno spust i wystrzelił w ciągu trzech sekund wszystkie trzydzieści pocisków. Celował początkowo w otwarty właz. Gdy napastnik wypadł z krzykiem

na zewnątrz, komandor wpakował resztę zawartości magazynka w główny wirnik.

– Trzymajcie się! – wrzasnął Barstow.

Kowalski, kładąc się na Grayu, przycisnął go do siodełka.

Skuter dotarł do krawędzi kry... i uniósł się w powietrze.

Poszybował wysoko nad pękniętą taflą lodu, przechylając się w locie. Przez krótką przerażającą chwilę Gray widział wyraźnie w dole lodową przepaść. Potem runęli na podłoże po jej drugiej stronie, lądując na krawędzi jednej z opon.

Skuter uderzył twardo o lód i przekoziółkował, zrzucając ich z siodełek.

Komandor z podkurczonymi kończynami potoczył się po lodzie, gubiąc broń. W końcu przestał się turlać. Skuter podskoczył jeszcze kilka razy i stanął. Pozostali dwaj mężczyźni podnieśli się z lodu.

Kowalski poklepał się po ramionach, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze żyje.

– Nie byłem zachwycony tym lądowaniem.

Barstow z krwią na twarzy dołączył do nich, trzymając się za łokieć. Zerknął na rozbity skuter.

– Jak mówią, każde lądowanie, po którym możesz jeszcze iść o własnych siłach...

– To dotyczy samolotów, a nie pieprzonych skuterów śnieżnych – zaprotestował Kowalski.

Pilot wzruszył niekontuzjowanym ramieniem.

– Przez chwilę lecieliśmy. Więc to się liczy.

Gray, nie zwracając na nich uwagi, spoglądał w niebo. Dostrzegł w mroku niewielkie skupisko świateł, które zniknęły za krawędzią klifu, gdy oderwany fragment Szelfu Brunta zsunął się do morza. Nie był pewien, czy uszkodził twin ottera na tyle, że samolot się rozbił, czy jedynie lądował awaryjnie. Tak czy inaczej, wróg mógł wezwać przez radio dodatkowe wsparcie.

Komandor nie chciał czekać, by się o tym przekonać.

Spojrzał na skuter.

Barstow jakby czytał w jego myślach.

– Przykro mi, kolego, nadaje się tylko na złom. Wygląda na to, że musimy pójść pieszo.

Gray podniósł kaptur kurtki, całkiem już zimny.

Kowalski wypowiedział głośno dręczące go pytanie:

– A dokąd, kurwa, mamy iść?

Godzina 16.18

– Wszystko zniszczone...

Jason słyszał rozpacz w głosie dowódcy stacji – a raczej byłego dowódcy. Stał z Karen na szczycie lodowego pagórka, wystarczająco wysokiego, by za oparami mgły widzieli wybrzeże. Poszarpana krawędź szelfu pozostawała zamglona, ale w odległym pejzażu najwyraźniej czegoś brakowało.

Stacja Badawcza Halleya VI zniknęła.

Jasonowi nadal rozbrzmiewały w uszach wcześniejsze eksplozje. Uciekając skuterem śnieżnym, widział, jak lód rozpada się wśród błysków ognia i ogłuszających wybuchów. Fala

uderzeniowa tych detonacji dotarła kilometr dalej, aż do miejsca, gdzie się znajdowali. Po kilku kolejnych dramatycznych minutach znaleźli dostatecznie wysoki punkt obserwacyjny, by zobaczyć, co się stało.

Teraz już wiedzieli.

...wszystko zniszczone.

Karen wciągnęła głęboko powietrze, otrząsając się z szoku.

– Powinniśmy ruszać dalej – rzuciła, patrząc na gęstą polarną mgłę.

Temperatura zdawała się spadać co minutę o kilka stopni.

A może to objawy hipotermii, pomyślał Jason.

W odległości trzydziestu metrów wśród innych pojazdów śnieżnych stał z włączonym silnikiem ich skuter. Ocalili kilkunastu pracowników stacji, ale jak długo mogli pozostać w tym miejscu? Zaskoczeni tym, co się wydarzyło, byli w większości ubrani nieodpowiednio do tak niskich temperatur, a baki paliwa nie wystarczały na daleką jazdę. Skuter miał nawet zepsute ogrzewanie. Dlatego nie był używany, gdy nastąpił atak.

– Musimy znaleźć jakieś schronienie – powiedziała Karen. – Ale jesteśmy setki kilometrów od jakiegokolwiek bazy czy obozu. Najlepiej byłoby zostać tutaj i mieć nadzieję, że ktoś słyszał te eksplozje i pojawi się tu. Ale możemy czekać wiele dni.

– Jak długo wytrzymamy bez pomocy?

Prychnęła pogardliwie.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli przeżyjemy noc. Do wschodu słońca pozostało jeszcze osiemnaście godzin. A dzień potrwa potem tylko dwie godziny.

Jason rozważał ich szanse.

– Jeśli ktoś będzie nas szukał, trudno mu będzie zauważyć nas w ciemnościach.

– Może powinniśmy nadać jakiś sygnał. Wypompować trochę paliwa z któregoś z pojazdów i zapalić je, gdy usłyszymy samolot.

Jason dostrzegł w tym planie jeden oczywisty problem.

– A jeśli to nie ekipa ratownicza pojawi się jako pierwsza?

Karen skrzyżowała ręce na piersi.

– Masz rację – mruknęła. – Więc co robimy?

– Chyba wiem, dokąd możemy pójść.

Karen uniosła brwi, ale nim zdążyła zadać mu pytanie, pod jej kurtką rozległy się trzaski. Wzdrygnęła się wyraźnie, słysząc niespodziewany hałas. Rozpięła zamek błyskawiczny i wyjęła przenośne radio, jedno z tych, które rozdawała, zanim opuścili stację.

– ...nas słyszy? Czy ktoś nas odbiera?

– To Gray! – zawołał Jason, nie wierząc własnym uszom.

Karen podała mu radio.

Wcisnął guzik.

– Komandorze Pierce?

– Jason, gdzie jesteście? Jesteście bezpieczni?

Jason starał się wyjaśnić swoje położenie, a Gray zrelacjonował mu krótko, jak uciekli z lodowej kry. Ale on i jego dwaj towarzysze nadal pozostawali uwięzieni i podobnie jak Jason obawiał się, że wróg może wkrótce wrócić.

– Mogę wziąć dwa skutery i pojechać po nich – zaproponowała Karen.

Jason pokiwał głową.

Spojrzała na niego z wyrazem zwątpienia na twarzy.

– Ale czy ty naprawdę znasz miejsce, gdzie znajdziemy schronienie?
Popatrzyl na mroczną lodową pustynię.
Mam taką nadzieję, pomyślał.

Godzina 17.22

Gray dygotał z zimna, pochylając się nad kierownicą skutera śnieżnego. Gruby wełniany szal przywarł mu niemal do dolnej części twarzy. Dłonie w rękawiczkach miał jakby przyspawane do rączek pojazdu.

Mrużył oczy od wiatru, wpatrując się w snop światła reflektora, które przenikało z trudem przez tuman mgły. Wbijał wzrok w jadący przed nim skuter, prowadzony przez Karen Von Der Bruegge. Zjawiała się przed godziną, ciągnąc za sobą drugi pojazd. Wiozła teraz rannego Barstowa, podczas gdy Kowalski kulił się za plecami Graya.

Komandor musiał przyjąć, że Karen wie, dokąd jedzie. Wyglądało na to, że podąża śladami grupy Jasona. Chłopak zabrał pozostałych w głąb spowitego mgłą Szelfu Brunta, oddalając się od Morza Weddella... oby wystarczająco daleko, by wróg nie mógł ich odnaleźć.

Jeśli będziemy mieli szczęście, może uwierzą, że wszyscy zginęliśmy, pomyślał Gray.

Skuter na przedzie nagle zwolnił. Gray był tak zamyślony, że niemal uderzył w jego tył, ale zahamował w porę, by uniknąć kolizji. Dziesięć metrów dalej zorientował się, jaki był powód tego nagłego zmniejszenia prędkości.

Całą przestrzeń przed nimi wypełniała ogromna ciemna bryła. Wyglądała jak wyrastająca z lodowej tafli góra ze ściętym wierzchołkiem. Gdy podjechali bliżej, wyłoniły się z mroku poszczególne jej elementy: wielkie płozy, potężny niebieski segment i samotny traktor John Deere.

Był to fragment stacji.

Jason zauważył wcześniej, że ten segment holowano we mgle tuż przed atakiem. Miał nadzieję, że wróg – skoncentrowany na centralnej części Stacji Badawczej Halleya VI – mógł nie zauważyć jego zniknięcia.

Zdaje się, że chłopak miał rację.

Segment, chociaż ciemny, wyglądał na nieuszkodzony. Gray zauważył zaparkowany w pobliżu skuter oraz kilka pojazdów śnieżnych i gdy Karen zatrzymała się tam, podjechał do niej.

Otworzył się wjazd na tyłach wysokiego segmentu i na niewielkim podeście pojawił się Jason. Dał im znak, by podeszli do drabiny. Gray nie potrzebował zachęty. Podmuchał gorące powietrze z otwartego wjazdu stanowił przekonujące zaproszenie.

Cała grupa pospieszyła w kierunku obiecującej ciepło kryjówki. Temperatura spadła do trzydziestu stopni poniżej zera i przy wiatrach katabatycznych, wiejących nocą jeszcze gwałtowniej, mróz przenikał ich do szpiku kości.

Komandor pomógł Barstowowi wspiąć się po drabinie. Pilot, spadając ze skutera śnieżnego, zwicznął sobie ramię, i chociaż zdołali mu je nastawić, ręka nadal go bolała i była osłabiona. Wdrapawszy się z pewnym trudem, wszyscy weszli do środka.

Gray zatrzasnął wjazd przed polarnym mrozem i przez chwilę delektował się ciepłem. Twarz

piekła go okropnie. Obawiał się odmrożeń, ale przynajmniej wciąż czuł czubek nosa.

Podążył za innymi do wnętrza segmentu, który był jednym z tych mieszkalnych, podzielonych na sypialnię, wspólną łazienkę i siłownię. Wystrój w podstawowych barwach miał zrekompenzować wieczną monotonię tego lodowego świata. W miarę jak odmarzał mu nos, Gray poczuł, że ściany z desek mają cedrowy zapach, co było kolejną psychologiczną sztuczką, mającą powetować brak roślinności i zieleni.

Zebrali się wszyscy w niewielkiej świetlicy ze stołem i krzesłami. Kilku ocalonych naukowców, najwyraźniej zaszokowanych i wyczerpanych, rozeszło się już do różnych pomieszczeń. Inni stali oparci o ściany, posępni i zmartwieni.

Mieli pełne prawo być w takich nastrojach.

– Udało nam się dogonić traktor – oznajmił Jason. – Chyba przestraszyliśmy jego kierowcę, gdy siedliśmy mu wszyscy na ogonie. Ale przynajmniej łatwo było jechać jego śladem. Po dotarciu tutaj uruchomiliśmy generator tego segmentu. – Chłopak wskazał ręką na przyćmione światła. – Niestety, nie mamy łączności radiowej.

Kowalski poklepał chłopaka po plecach.

– Skoro znalazłeś to pieprzone miejsce, zasłużyłeś na premię. – By dowieść, że dotrzymuje słowa, wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki zawinięte w celofan cygaro i wręczył je Jasonowi. Rozejrzawszy się, spytał: – Tu chyba wolno palić?

– Zwykle nie – odparła Karen. – Ale zważywszy na okoliczności, zrobię wyjątek.

– Więc chyba mógłbym się przyzwyczaić do tego miejsca. – Kowalski oddalił się nieco, być może szukając spokojnego kąta, by zapalić cygaro.

Gray tymczasem przeszedł do bardziej praktycznych spraw.

– Jak wyglądamy z żywnością i wodą?

– W tym segmencie nie ma jedzenia – odparł Jason. – Tylko to, co przywiózł ze sobą kierowca traktora. Miałby zapasy na kilka dni, gdyby gdzieś utknął, ale nam one nie wystarczą. Z wodą nie powinno być natomiast problemu. Zawsze możemy stopić śnieg albo lód.

– Więc musimy racjonować żywność – rzucił Gray, a następnie zwrócił się do Karen, która opadła na krzesło, załamana i zmęczona. – A propos tego, co się stało... ładunki, które spowodowały oderwanie się kry, musiały być zakopane w lodzie już od jakiegoś czasu. Jakim cudem?

– Mogę się tylko domyślać. Bomby umieszczono tam zapewne na długo przed powstaniem stacji.

– Czy to możliwe?

– Nie byłoby to takie trudne – odparła. – Przenieśliśmy Stację Halleya sześć bliżej morza jakieś trzy miesiące temu, żeby klimatolodzy mogli dokończyć swoje badania nad przyspieszonym topnieniem lodowców. Zaplanowano to cały rok wcześniej, określając nawet współrzędne nowej lokalizacji.

Gray zastanowił się nad tym.

– A więc ktoś dysponujący taką wiedzą mógł łatwo zastawić pułapkę i zniszczyć stację w każdej chwili.

– Owszem, ale nadal nie wiemy, z jakiego powodu.

– Może ma to coś wspólnego z badaniami profesora Harringtona. Wasza stacja stanowi przedsięwzięcie do Ziemi Królowej Maud, gdzie działa jego ekipa. Gdyby ktoś chciał nagle izolować ich tajną bazę, pozbycie się Stacji Halleya sześć stanowiłoby ważny pierwszy krok.

Twarz Karen jakby jeszcze bardziej poszarzała.

– Masz pojęcie, nad czym pracował Harrington? – spytał Gray.

Pokręciła głową.

– Nie, ale krążyło na ten temat wiele plotek. Opowiadano historie o odkryciu zaginionej nazistowskiej bazy i potajemnym testowaniu broni nuklearnej, w co, mogłabym dodać, zaangażowany był w tym rejonie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku wasz kraj. Ale wszystko to są w najlepszym wypadku spekulacje.

A jednak, gdziekolwiek leżała prawda, najwyraźniej warta była tego, by zabijać.

I to się chyba nie zmieniło.

Spojrzał na jedno z trójkątnych okien.

– Trzeba będzie wystawić strażę. Ze wszystkich stron segmentu. I co najmniej jedna osoba musi patrolować na zewnątrz, obserwując niebo.

Karen wstała od stołu.

– Zacznę planować warty.

– Jeszcze jedno – powstrzymał ją Jason. Wskazał na człowieka w poplamionym olejem kombinezonie. – Carl mówi, że może zostać w kabinie traktora.

Mężczyzna skinął głową. Był z pewnością kierowcą tego pojazdu.

– Kabina jest ogrzewana – dodał Jason. – Carl może tak manewrować segmentem, żeby był cały czas we mgle nadciągającej znad wybrzeża. To nam pomoże się ukryć.

Gray przyznał, że to rozsądny plan. Ale jak długo zdołają wytrzymać?

I co niepokoiło go bardziej: Kto odnajdzie ich pierwszy?

Godzina 23.43

Gdy zbliżała się północ, Jason wciągnął kurtkę i sięgnął po rękawice, szalik i gogle. Miał pełnić pierwszą wartę tego dnia. Zmieniali się co godzinę, by nikt nie stał zbyt długo na mrozie.

Chociaż zdążył się zdrzemnąć, nie czuł się wcale wypoczęty i dręczył go niepokój. I na pewno nie myślał z przyjemnością o najbliższych sześćdziesięciu minutach na zimnie.

Ubrany ruszył do wjazdu. Joe Kowalski stał oparty o framugę, trzymając w zębach dymiące cygaro, jakby żuł je już od jakiegoś czasu.

– Nie powinieneś się trochę przespać? – spytał Jason. Ekspert Sigmy od materiałów wybuchowych miał zmienić go o pierwszej w nocy.

– Nie mogłem zasnąć. – Wyjął z ust cygaro i wycelował jego żarzącą się końcówkę w Jasona. – Uważaj na siebie. Z tego, co słyszę, Crowe wiąże z tobą duże nadzieje. Nie daj się zabić.

– Nie miałem takich planów.

– Właśnie o to chodzi, że planowanie nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Kopniaki w dupę dostaje się w związku z tym, co nieprzewidywalne. I cholernie niemile zaskakuje.

Jason skinął głową, doceniając życiową mądrość ukrytą w tych szorstkich słowach. Gdy chciał minąć Kowalskiego, zauważył niewielką fotografię, którą ten ścisnął w grubych palcach. Zanim zdążył przyjrzeć się widocznej na zdjęciu kobiecie, olbrzym schował ją.

Otwierając drzwi, chłopak zastanawiał się, czy ta przestroga nie odnosiła się bardziej do pułapek życia uczuciowego niż niebezpieczeństw misji.

Ale te myśli zniknęły, gdy tylko uderzył go w twarz podmuch mroźnego wiatru. Jason został niemal zmieciony z podestu. Ślizgając się na butach, dotarł do drabiny i zszedł na dół. Został jednego z naukowców ukrytego po zawietrznej gigantycznej kolumny na płozach.

Mężczyzna poklepał Jasona po ramieniu i oznajmił drżącym z zimna głosem:

– Jest spokojnie. Jak za bardzo zmarzniesz, wskocz do kabiny Carla, żeby się ogrzać. – Wszedł na drabinę i ruszył w kierunku wymarzonego ciepłego łóżka.

Jason spojrzął na zegarek.

Zostało tylko pięćdziesiąt dziewięć minut.

Obchodził powoli stację, starając się chronić od wiatru. Obserwował niebo, wypatrując świateł nadlatującego samolotu. Wszędzie panowała ciemność. Zza lodowatej mgły, nadciągającej przez szelf znad odległego wybrzeża, nie było widać nawet gwiazd. Jedyne światło – nikła żółta poświata – widniało na południu, w miejscu, gdzie stał ciągnik John Deere. Robiąc obchód, Jason korzystał z niego jak z kompasu.

Po pewnym czasie zaczęło mu dudnić w głowie od wycia wiatru. Mącił mu się wzrok i widział w mroku jakieś błyski. Mrugał wtedy lub przecierał oczy.

Gdy okrążył ponownie stację, zaczął się zastanawiać, czy nie wskoczyć do kabiny ciągnika – nie po to, by się ogrzać, lecz aby uciec od monotonnej ciemności i ciągłego wycia katabatycznych wiatrów. Zaledwie wyszedł spod segmentu stacji i ruszył w kierunku plamy żółtego światła, dostrzegł z lewej strony, na zachodzie, lekki błysk.

Zamrugał, próbując pozbyć się tego obrazu, i wtedy zobaczył lśniąca w ciemnościach parę „oczku”. Dudnienie w jego głowie zagłuszył głuchy łoskot, a chwilę później chrzęst lodu.

Po ułamku sekundy pojął, że to nie złudzenie optyczne, lecz coś ogromnego, co przedziera się przez wiatr w kierunku samotnego segmentu stacji.

Jason wy dobył radio i przytknął je do ust.

– Zauważyłem jakiś ruch. Na lodzie. Od zachodu zbliża się duży pojazd.

– Potwierdzam odbiór – odezwał się obserwator z wnętrza segmentu. Krzyknął coś do pozostałych osób na stacji, po czym dodał: – Teraz ja też to widzę!

Jason, trzymając przy ustach radio, ukrył się za jedną z kolumn spoczywających na płozach.

– Powiedz Carlowi, żeby wyłączył reflektory!

Po kilku sekundach żółta poświata zniknęła. Przecinające mrok dwa snopy światła stawały się szybko coraz większe i jaśniejsze. Jason oszacował, że to, co się zbliża, jest wielkości czołgu. Jego domysły potwierdzał chrzęst gąsienic na lodzie.

Usłyszał z góry odgłos zatraskiwania włazu. Po chwili Gray i Kowalski zeszli po drabinie, z pistoletami w rękach. Dopiero wtedy Jason przypomniał sobie, żeby wyjąć broń spod kurtki.

– Tutaj! – zawołał do nich.

Mężczyźni podeszli do niego.

Gray wskazał na pozostałe wieże hydrauliczne.

– Rozproście się. I ukryjcie. Niech się zbliżą. A nawet wysiądą. Jeśli okażą się wrogami, skorzystamy z ciemności i zastosujemy strategię partyzancką. Barstow i Karen są na dachu, uzbrojeni w nasze dwa ostatnie karabiny i będą nas osłaniać z góry.

Uzyskawszy od Jasona akceptację planu, Gray pognał do jednego z filarów, a Kowalski do innego. Biegli pochyleni, starając się, by ich nie zauważono.

Zbliżający się pojazd zwolnił, zmniejszając obroty silnika.

W końcu zatrzymał się jakieś czterdzieści metrów od nich.

Zza rozwianej przez wiatr mgły ukazał się dziwny widok. Arktyczny pojazd był wielkości

potężnego czołgu i bardzo go przypominał. Gigantyczne gąsienice po obu stronach sięgały na wysokość grzbietu słonia. Wspierało się na nich coś, co wyglądało jak opancerzony autobus z umieszczoną na dachu kabiną, podobną do sterówki holownika.

U góry rozbłysły światła, a wewnątrz pojazdu coś się poruszyło.

W sterówce otworzyły się drzwi i na okalający ją podest wyszła mroczna postać. Przez wycie wiatru przedarł się krzyk. Nie był wystarczająco głośny, by dało się rozróżnić słowa, ale brzmiał jak zapytanie, jak wyzwanie.

Kolejna postać podała coś tej na podeście.

Był to zapewne megafon, gdyż rozległy się nagle głośne słowa:

– HALO! PRZECHWYCILIŚMY WASZ KOMUNIKAT! WIEMY, ŻE MACIE PROBLEMY!

To był wyraźnie kobiecy głos, wnosząc z akcentu, była Brytyjką. Musiała usłyszeć wcześniejszą rozmowę komandora z Karen.

– POJECHALIŚMY WASZYMI ŚLADAMI I PRZYBYWAMY Z POMOCĄ!

Gray, który nie potrzebował megafonu, krzyknął donośnym głosem ze swojej kryjówki.

– Kim jesteście?!

– REPREZENTUJEMY PROFESORA ALEXA HARRINGTONA. BYLIŚMY W DRODZE PO GRUPĘ AMERYKANÓW, GDY DOWIEDZIELIŚMY SIĘ O ATAKU.

Jason opanował szok, rozważając tę możliwość. Painter powiedział im, że łącznicy profesora przylecą na Stację Halleya. Ale może, dowiedziawszy się o ataku na bazę, zawrócili i przybyli drogą lądową?

– MUSIMY SIĘ POSPIESZYĆ! JEŚLI CI AMERYKANIE SĄ TUTAJ, MUSZĄ NATYCHMIAST Z NAMI POJECHAĆ!

– A kim dokładnie jesteście? – nalegał Gray, potrzebując najwyraźniej więcej dowodów. – Jak pani się nazywa?

– STELLA... STELLA HARRINGTON.

Wciągnął raptownie powietrze. Pamiętał jej nazwisko z archiwów misji. Kobieta potwierdziła po chwili to, co już wiedział.

– PROFESOR JEST MOIM OJCEM. I MA POWAŻNE PROBLEMY!

Góry Sierra Nevada, Kalifornia
29 kwietnia, godzina 19.55 czasu miejscowego

Jeśli wbiją mi jeszcze jedną cholerną igłę...

Jenna przemierzała tam i z powrotem izolatkę na powiększonym właśnie oddziale zakaźnym. Od dwunastu godzin przechodziła tam kwarantannę.

Zespół Centrum Zapobiegania Chorobom dodał w hangarze nowe segmenty do pierwotnego oddziału. Przez okno z boku widziała Josha, który leżał nieprzytomny na łóżku. Miał po południu dwa kolejne ataki i ciągle majaczył.

Obserwowała ze swojej izolatki, jak poddają chłopaka kolejnym badaniom. Pielęgniarka przewróciła go na bok, a lekarz wykonał punkcję lędźwiową. Nie było wątpliwości, że Josh zaraził się jakimś mikroblem. Ale powiedziano jej, że nie udało się na razie stwierdzić obecności zakaźnego wirusa w żadnej jego tkance ani we krwi.

Od niej także pobierano próbki, by go wyodrębnić.

W pomieszczeniu po drugiej stronie izolatki – mojej celi, pomyślała ze złością – widać było za szybą Sama Drake’a. Miał na sobie, podobnie jak ona, szpitalną koszulę i siedząc na łóżku, wyglądał równie nieszczęśliwie. Po przybyciu na oddział oboje zostali dokładnie zdezynfekowani. Upokarzająca procedura obejmowała konieczność wdychania podawanej w aerozolu dawki silnego preparatu antybakteryjnego o szerokim spektrum działania. Były to środki ostrożności, na wypadek gdyby w domku w Yosemite dostały im się do płuc jakieś zakaźne cząsteczki – choć skuteczności tego preparatu jeszcze nie sprawdzono.

Ale lepsze to niż nic, pomyślała Jenna.

Od tamtej pory i ją, i Drake’a szorowano, dezynfekowano, nakłuwano i pobierano od nich wszelkie płyny ustrojowe. Jak dotąd, żadne z nich nie miało klinicznych objawów, które Josh wykazywał w ciągu pierwszych dwunastu godzin, a mianowicie wysokiej gorączki i drżenia mięśni. Z tego powodu lekarze uważali, że być może Jenna i Drake uniknęli zakażenia. Jednakże, na wszelki wypadek, musieli być poddawani kwarantannie jeszcze przez jeden dzień. Jeśli nie wystąpią żadne symptomy, będą mogli zostać zwolnieni.

Z naciskiem na „mogli”.

W tym momencie nic nie było pewne.

Z jednym wyjątkiem...

Jenna obeszła ponownie swoją celę. Zdenerwowana i zmartwiona, musiała być w ruchu, nie potrafiła długo siedzieć ani leżeć. Był jeszcze trzeci członek zespołu z Yosemite, którego los wydawał się przesądzony.

Nikko.

Jej partnera zabrano do kompleksu laboratoriów w głębi mrocznego hangaru. Lisa

zapewniła ją, że troskliwie się nim zajmą, że umieści go w swoim własnym laboratorium. Niestety, Nikko miał już wysoką gorączkę, wymioty i biegunkę.

Moje biedne psisko...

Jenna pragnęła wydostać się z izolatki i pójść do niego. Choćby tylko po to, by go pocieszyć, powiedzieć, że go kocha. Złość walczyła w niej z żalem, pozostawiając w piersiach ból. Dręczyła ją myśl, że Nikko cierpi w samotności, zastanawiając się, gdzie ona jest, i myśląc, że został porzucony. Ale, co najgorsze, nie wyobrażała sobie, że może go stracić.

– Zrobisz w końcu koleiny w podłodze.

Odwróciła się i zobaczyła przy szybie Drake'a wciskającego palcem guzik interkomu. Uśmiechał się łagodnie i smutno; najwyraźniej wiedział, że ona cierpi.

Podeszła do okna i włączyła interkom.

– Gdybym tylko mogła go odwiedzić.

– Lisa zrobi wszystko, co się da. – Wzrok Drake'a powędrował do okna za jej plecami. – Zwłaszcza że dotyczy to jej osobiście.

Jenna poczuła wyrzuty sumienia. Czym była strata psa w porównaniu z cierpieniami brata? Może powinna spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy, zachować profesjonalizm? W końcu Nikko był tylko psem.

Ale nie chciała tego zaakceptować.

Dla niej Nikko był jak brat.

– Póki czekamy, możemy przynajmniej ustalić, z czym walczymy – powiedział Drake, zniżając głos. – Gdybyśmy wiedzieli, jakiego piwa nawarzone w tym cholernym laboratorium, Josh i Nikko mieliby większe szanse na przeżycie.

Na zewnątrz rozległ się grzmot, wstrząsając hangarem i przypominając Jennie, że nie tylko Josh i Nikko są w niebezpieczeństwie. Burza dotarła w końcu do jeziora Mono i w górach zaczęła padać deszcz. Według dyrektora Crowe'a, ekipy ratunkowe zrzucały ze śmigłowców worki z piaskiem do strumieni i wyschniętych koryt, by ograniczyć szerzenie się infekcji.

Nikt nie oczekiwał jednak, że uda się nad nią całkowicie zapanować.

Nawet jeśli worki okazywały się początkowo skuteczne, to jak długo takie prowizoryczne tamy mogły wytrzymać? I co będzie, jeżeli wirus dotrze do podziemnych warstw wodonośnych na tym obszarze i je skazi?

Drake miał rację.

Jenna trzymała kciuk na przycisku interkomu.

– Ale jak możemy dowiedzieć się czegoś więcej o tym przeklętym wirusie? Zwłaszcza kiedy siedzimy tu zamknięci. Sabotażystka nie żyje, a to był nasz ostatni bezpośredni trop.

– A co z pośrednimi? – zasugerował Drake.

Odetchnęła głęboko, próbując opanować niepokój i frustrację. Bazę wysadzono, a Hessa porwano i ślad po nim zaginął. Nie mieli żadnego punktu zahaczenia. Wszystko wskazywało na to, że współpracujący z Hessem naukowcy w chwili eksplozji przebywali w laboratorium. Amy Serpry była ich jedyną nadzieją.

Z czasem może udałoby się znaleźć inny trop, pomyślała Jenna.

Ale nie mieli czasu.

– Czy coś przeoczyliśmy? – spytał Drake, najwyraźniej łamiąc sobie nad tym głowę.

Przypomniała sobie wszystko po kolei: od sygnału SOS, który odebrał Bill Howard, do chwili, gdy ciało Amy Serpry, włożone do foliowego worka, przetransportowano śmigłowcem. Jej zwłoki skupiały teraz uwagę całego personelu w kompleksie laboratoriów w hangarze.

Jenna zamknęła oczy, wspominając koszmary ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Trudno było uwierzyć, że minęły zaledwie dwa dni od telefonu Billa Howarda.

Od tamtego telefonu...

Gdy otworzyła oczy, malowało się w nich przerażenie.

– Jenna? – zaniepokoił się Drake.

– Muszę skontaktować się z Painterem Crowe'em! Natychmiast!

Godzina 20.12

Painter miał chwilowo do dyspozycji gabinet pułkownika Bozemana. Rzadko mógł liczyć na prywatność w miejscu, które stało się centrum dowodzenia operacji ratunkowych w tym rejonie. W ciągu ostatnich dwóch dni przeszedł tam prawdziwy huragan. Painterowi zwały się na głowę tabuny polityków, wojskowych i prawników. Musiał ich uspokajać, udzielać wskazówek lub rad.

Jak zwykle w takich przypadkach, groziło to totalnym bałaganem. Na szczęście, dzięki zasługom Sigmy, prezydent osobiście interweniował i zrobił to, czego Painter chciał – mianował go dowódcą operacji.

Ale trzeba uważać, czego się chce...

Painter walczył nadal, by zapanować nad różnymi agencjami i stworzyć jednolity zespół. Pozostawiało mu to niewiele czasu do myślenia, musiał szybko reagować, by wygaszać kolejne pożary.

Korzystał więc z chwilowego spokoju, choć wiedział, że to tylko przysłowiowa cisza przed burzą.

Powinienem zejść na dół i sprawdzić, co z Lisą, pomyślał.

Nie odwiedzał jej od wielu godzin. Rozmowa przez szybę nie była tym samym co czuły uścisk. Wyglądała jak duch. Wiedział, co doprowadziło ją do takiego stanu. Stan Josha się pogarszał, a nie mieli skutecznego lekarstwa.

Odsunął fotel, gotów pocieszyć ją najlepiej, jak potrafił, gdy nagle otworzyły się drzwi. Weszła Jessup, przydzielona mu jako asystentka, bardzo zasadnicza młoda kobieta w nieskazitelnym mundurze i wojskowej czapce.

– Dyrektorko Crowe – powiedziała. – Mam na linii Jennę Beck ze służby leśnej. Mówi, że to pilne.

– Połącz mnie z nią.

Rozmawiał krótko z Jenną i Drakiem po ich powrocie z Yosemite. Na razie ich stan zdrowia był dobry i najprawdopodobniej uniknęli zakażenia. Była to jedyna tego dnia pomyślna wiadomość, zwłaszcza że od czasu, gdy Gray dotarł do brytyjskiej stacji polarnej na Antarktydzie, nie mieli kontaktu z jego ekipą. Kat zbyt szybko na razie nie martwiła, wiedziała bowiem, że potężny rozbłysk słońca utrudnia łączność na większości obszaru południowej półkuli.

Mieli nadzieję, że Gray wkrótce się odezwie.

A tymczasem...

Podniósł słuchawkę.

– Mówi dyrektor Crowe.

– Panie dyrektorze! – Jenna wydawała się bardzo poruszona. – Przypomniałam sobie właśnie coś, co może być istotne.

Wyprostował się w fotelu.

– Co takiego?

– Zanim włamałam się do tego domku i usłyszałam ostatnie wołanie Amy o pomoc... w środku dzwoniła komórka. Po wszystkim, co potem nastąpiło, zapomniałam o tym wspomnieć.

– Jest pani pewna, że to była komórka, a nie telefon stacjonarny?

– Całkowicie. Może ktoś sprawdzał, czy ona tam jest. Wspólnik albo człowiek, który ją wynajął. Sama nie wiem.

– Ale to bez sensu. Zabraliśmy jej komórkę i rzeczy osobiste, zanim domek został zaplombowany. Wszystko dokładnie przeszukano. Osobiście przejrzałem zapis rozmów w jej komórce.

– I?

– Nie było tam nic istotnego. Kilka telefonów do krewnych i przyjaciół. Ale, co ważniejsze, w ciągu ostatniej doby nie odnotowano w jej komórce żadnych przychodzących ani wychodzących rozmów. Nawet gdyby nie odebrała telefonu, zostałyby zapisana próba połączenia.

Na linii zaległo milczenie.

– Jestem pewna, że to była komórka – oznajmiła stanowczo Jenna. – Ktoś próbował się do niej dodzwonić.

Painter darzył tę dziewczynę wielkim szacunkiem i liczył się z jej opinią.

– Powiem technikowi, żeby jeszcze raz sprawdził ten telefon.

Jeśli Jenna miała rację i zapis rozmów został w jakiś sposób skasowany lub spreparowany, takie działanie musiało o czymś świadczyć. Sugerowałoby z pewnością, że ostatni telefon wykonał jeden z towarzyszy Serpry, może nawet ten, który wydawał jej rozkazy.

– Być może naprowadziła nas pani na nowy trop – przyznał Painter.

– To dobrze. Gdyby coś z tego wyniknęło, chcę brać udział w dalszym dochodzeniu.

– Ja też! – rozległ się w słuchawce zuchwały głos starszego sierżanta Drake’a.

Painter wiedział, jak bardzo oboje chcą pomóc, zwłaszcza po tym, co przydarzyło się psu Jenny.

– Zobaczmy najpierw, dokąd ten trop prowadzi – powiedział niezobowiązująco.

– Nie jesteśmy chorzy! – wrzasnął Drake. – Wychodzimy! Nawet jeśli będę musiał utworować nam drogę skalpelem!

Painter rozumiał ich determinację. Widział ją w oczach Lisy za każdym razem, gdy do niej przychodził. Ale czasem cała determinacja świata nie wystarcza. Czasami pozostaje tylko jedna droga.

Dokonywanie trudnych wyborów.

Godzina 20.22

– Doktor Cummings, myślę, że powinniśmy uspić tego psa.

Lisa obróciła się gwałtownie w kierunku doktora Raymonda Lindahla. Dyrektor techniczny amerykańskiego Dowództwa Testowania Broni przykucnął w swym skafandrze ochronnym przed klatką z nierdzewnej stali, w której przetrzymywano Nikka.

Podłączony do kroplówki husky leżał na boku, oddychając płytko. Podano mu lekki środek uspokajający, a także leki przeciwwymiotne i przeciwwirusowe.

Mimo wszystko jego stan się pogarszał.

– On cierpi – rzucił Lindahl, wyprostowując się, by spojrzeć Lisie w oczy. – Wyświadczy mu pani przysługę. A na tym etapie infekcji sekcja pozwoli nam lepiej zrozumieć charakter tej choroby w jej wczesnym stadium. Nadarza się rzadka okazja.

Lisa nie podniosła głosu, choć kipiała z gniewu.

– Dowiemy się równie wiele, monitorując kliniczne objawy pacjenta, by określić jego reakcje na różne leki.

Dyrektor przewrócił oczami.

– Dopóki nie zrozumiemy lepiej, z czym mamy do czynienia, wszelka terapia to błędzenie po omacku. Głupie marnotrawienie środków i czasu.

Lisa stanęła między Lindahlem i klatką Nikka.

Dyrektor westchnął.

– Nie chcę być zmuszony do wydawania pani rozkazów, doktor Cummings. Sądziłem, że zachowa się pani rozsądnie.

– Nie podlegam pańskim rozkazom.

Lindahl spojrzał na nią z góry.

– Dowództwo wojskowe przekazało mi pełnię władzy nad tymi laboratoriami. Poza tym myślałem, że zechce pani zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, by pomóc bratu.

Obruszyła się na jego zarzut.

– To, co pan proponuje, jest niehumanitarne.

– Nie może pani pozwolić, by sentymenty zaciemniły pani profesjonalny osąd – przekonywał ją. – Nauka z konieczności nie powinna ulegać emocjom.

– Dopóki nie wyprowadzi mnie stąd ochrona, nie pozwolę nikomu skrzywdzić mojego pacjenta.

Dyskusję nad losem Nikka przerwał syk powietrza w zamku hydraulicznym. Odwróciwszy się, zobaczyli, że do laboratorium wchodzi wirusolog Edmund Dent w towarzystwie genetyka grupy, doktora Henry’ego Jenkinsa, jasnowłosego dwudziestopięciolatka, który był ich cudownym dzieckiem.

Sądząc z wyrazu twarzy Edmunda, widocznej zza plastikowej maski, miał złe wieści.

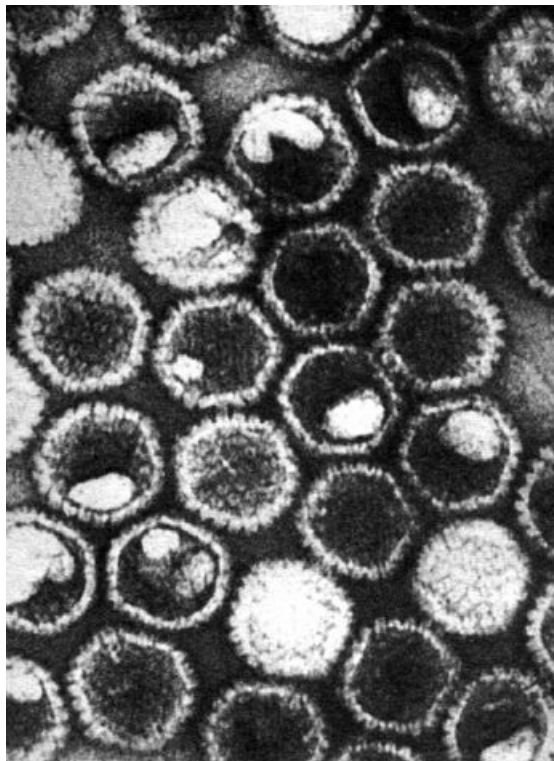
– Chciałem przekazać to pani osobiście – zaczął wirusolog. – Mamy najnowsze wyniki badań pani brata.

Lisa poczuła skurcz żołądka, ale i pewną ulgę; domyśliła się, co Edmund przyszedł jej powiedzieć. Czekwała przez cały czas na te nieuniknione wiadomości.

– Nadal nie znajdujemy wirusów we krwi Josha, co jest dobrym znakiem, ale zrobiliśmy analizę ostatniej próbki płynu mózgowo-rdzeniowego.

Edmund skinął na swego towarzysza, by podszedł do stanowiska komputerowego. Henry załogował się i ściągnął kartotekę medyczną Josha. Na ekranie pojawiło się zdjęcie brata Lisy, pochodzące z jego prawa jazdy. Po niedawnej wycieczce w góry miał uśmiechniętą, ogorzałą twarz.

Serce ścisnęło jej się na ten widok.
Fotografię zastąpił szybko obraz z mikroskopu elektronowego.



Pokazywał zwarte skupisko wirusów – pobranych z osadu płynu mózgowo-rdzeniowego jej brata, który odwirowano w laboratoryjnej ultracentryfudze. Teraz Lisa rozpoznała już bez problemu charakterystyczne kształty złowrogich mikrobów.

Nie umiała jakoś pogodzić widoku uśmiechniętej twarzy brata z koszmarem, który pojawił się na ekranie. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie mogła wydobyć słowa.

Edmund musiał wyczuć jej udękę.

– Sądzymy, że choroba Josha postępowała tak powoli, ponieważ wirus przemieszczał się wzdłuż włókien nerwowych w nodze, zanim dotarł do centralnego systemu nerwowego, podobnie jak jest w przypadku wirusa wścieklizny. To również tłumaczy, dlaczego nie stwierdzamy nadal jego obecności we krwi pani brata. Dlatego tak długo nie mogliśmy go wykryć.

Henry wyjaśnił znaczenie tego faktu.

– Krwotok spowodowany amputacją nogi zmył prawdopodobnie wszystkie cząsteczki wirusa, które zaczęły przenikać do układu krążeniowego i limfatycznego kończyny.

– Ale nie usunął ich z nerwów obwodowych – dodał Edmund. – Kilka cząstek musiało dotrzeć przed amputacją do nerwu piszczelowego albo nerwu strzałkowego wspólnego. Tam się ulokowały i przemieściły powoli do centralnego systemu nerwowego.

Lisa sprawiała wrażenie, jakby ogarniała ją mdłości.

Edmund dotknął jej ramienia.

– Dowodzi to jednak, że dzięki pani szybkiej reakcji brat zyskał trochę cennego czasu.

Wiedziała, że Edmund próbuje złagodzić jej poczucie winy, ale zdawała sobie sprawę

z podstawowej prawdy.

Należało amputować Joshowi całą nogę.

Ona tymczasem próbowała pozostawić mu sprawny staw kolanowy, dzięki czemu łatwiej byłoby mu się poruszać z protezą. Zawsze był bardzo aktywny, chciała więc dać mu szansę powrotu do normalnego życia.

Gdybym tak trzymała się filozofii Lindahla...

Tam, w terenie, pozwoliła, by sentymenty zaciemniły jej profesjonalny osąd. A teraz może to kosztować Josha życie.

Aby oderwać ją od tych myśli, Edmund wskazał na ekran komputera.

– Powinna pani mieć świadomość, że Henry dowiedział się też nieco więcej na temat funkcjonowania tego sztucznego potwora.

Lisa opanowała rozpacz, wiedząc, że Joshowi to nie pomoże.

– Zrobiłem wspólnie z biologiem molekularnym analizę genetyczną tego, co znajduje się wewnątrz syntetycznego kapsydu wirusa – wyjaśnił Henry.

Lisa przypomniała sobie kulistą proteinową osłonę, otaczającą warstwę twardych włókien grafenu. Swego czasu zastanawiała się, co się pod nią kryje.

– Poddaliśmy próbki wirusa rozmiękczeniu i odwirowaniu, by uwolnić kwasy nukleinowe, które tworzą jego genetyczny...

Lindahl podszedł bliżej, machając niecierpliwie ręką.

– Nie musi pan nam mówić, jak to się robi, doktorze Jenkins. Nie jesteśmy studentami pierwszego roku biologii. Proszę skupić się na tym, czego się pan dowiedział.

Edmund rzucił dyrektorowi karcące niechętne spojrzenie.

– Henry próbował tylko wyjaśnić, że zdobywając te informacje, napotkali trudności. Ma to istotne znaczenie dla jego odkrycia.

– Jakie trudności? – spytała Lisa.

Henry spojrzał na nią; wyglądał wyjątkowo chłopczo z jasną czupryną i w okularach z grubymi czarnymi oprawkami.

– Początkowe próby wyodrębnienia jakiegokolwiek kodu DNA nie powiodły się. Mówiąc ściśle, przy użyciu preparatu difeniloaminy nie udało nam się wykryć żadnego DNA. Próbowaliśmy także innych technik, ale bez powodzenia.

– A co z RNA? – spytała Lisa.

Wiedziała, że wirusy dzielą się na dwie kategorie: jedne wykorzystują jako bazę genetyczną kwas dezoksyrybonukleinowy, czyli DNA, drugie kwas rybonukleinowy, czyli RNA.

– RNA także nie wykryliśmy – odparł Henry.

– To niemożliwe. – Lindahl nie ukrywał rozdrażnienia. – Więc co znaleźliście?

Henry spojrzał na Edmunda, a ten odpowiedział za nieśmiałego genetyka.

– Wykryli razem z biologiem molekularnym jakąś formę XNA.

Lisa zmarszczyła czoło, nic nie rozumiejąc.

– Po pomyślnym wyodrębnieniu kwasów nukleinowych z twardej osłony wirusa nie znaleźli żadnej dezoksyrybozy ani rybozy. Genetyczny kręgosłup wirusa tworzy jakaś nieznaną substancja.

– Litera X oznacza *xeno* – powiedział Henry. – Czyli obcy.

– Ale nie pochodzący z kosmosu – dodał szybko Edmund. – Uważamy, że ten genetyczny materiał został sztucznie stworzony. Naukowcy od ponad dziesięciu lat eksperymentowali z rzadkimi formami XNA i udowodnili w swoich laboratoriach, że te molekuly mogą się

replikować i rozwijać, podobnie jak nasze DNA.

– Ale czym się wyróżnia ten wirus? – spytała Lisa. – Co zastąpiło dezoksyrybozę albo rybozę w tych genetycznych molekułach?

Henry przygryzł dolną wargę, po czym odparł:

– Nadal nad tym pracujemy, ale jak na razie wykryliśmy ślady arszeniku i nienormalnie wysokie poziomy fosforanu żelaza.

Arszenik i fosforan...

Zmarszczyła czoło, przypominając sobie, że doktor Hess przyjechał nad jezioro Mono, ponieważ odkryto tam w błocie bakterię żywiącą się arszenikiem. Czy miało to coś wspólnego z jego badaniami?

– Ale co Hess próbował stworzyć? – dopytywał się Lindahl. – Jaki był cel jego prac?

Edmund wzruszył ramionami.

– Możemy się tylko domyślać. Jest jednak pewien istotny szczegół dotyczący znanych XNA powstałych w różnych laboratoriach. Udowodniono, że są bardziej odporne na zniszczenie.

Innymi słowy, twardsze.

– Jak ta zewnętrzna osłona – wtrącił Lindahl. – Nic dziwnego, że nie możemy sobie z nią poradzić.

– Przynajmniej na razie – odpowiedział Henry. – Ale gdyby udało nam się lepiej zrozumieć, z czego składa się ta molekula, a konkretnie odkryć, czym jest X w kodzie XNA, może bylibyśmy w stanie nie tylko znaleźć środek, by zabić ten organizm, lecz także odkryć sposób leczenia osób zakażonych.

Lisa przypomniała sobie Josha leżącego w głębi hangaru i zaświtała jej iskierka nadziei – ale tylko niewielka.

– Jest jeszcze jeden szczegół dotyczący XNA, który może być istotny – dodał Edmund. – Odnosi się do początków życia. Obecne badania nad zdolnością XNA do replikacji i rozwoju sugerują, że na naszej planecie mógł istnieć kiedyś, w zamierzonych czasach, inny system genetyczny, starszy niż DNA czy RNA.

Zastanowiła się nad taką możliwością i jej konsekwencjami.

– Badania doktora Hessa skupiały się na tym, jak uniknąć grożącej nam masowej zagłady. Czy eksperymenty z syntetycznymi formami życia miały z tym coś wspólnego? Czyżby próbował stworzyć odporniejszy ekosystem, oparty na XNA, który przetrwałby zanieczyszczenie i przegrzanie globu?

– Kto wie? – rzucił Edmund. – Będzie pani musiała go spytać, jeśli kiedykolwiek się odnajdzie. Ale Henry'ego niepokoi jeszcze jedna sprawa.

– Co takiego? – spytał Lindahl.

Henry popatrzył na nich.

– Nie sądzę, żeby ten wirus był sztucznym tworem... przynajmniej nie w całości.

– Dlaczego pan tak uważa? – spytała Lisa.

– Dotychczas nikt nie zdołał stworzyć z powodzeniem w pełni funkcjonalnego organizmu z kodem XNA. Osiągnięcie tego wymaga uwzględnienia astronomicznej liczby zmiennych. To byłby zbyt gigantyczny skok w nauce, nawet dla doktora Hessa.

Lindahl wskazał na monitor i widoczny wciąż na ekranie obraz z mikroskopu.

– Ale udało mu się. Oto dowód.

Henry pokręcił lekko głową.

– Niekoniecznie. Myślę, że dokonał tego skoku, używając szablonu. Znalazł coś rzadkiego,

żywy organizm z kodem XNA, i przekształcił go po prostu w twór będący hybrydą biologii naturalnej i syntetycznej.

Lisa skinęła powoli głową.

– Może pan mieć rację. Hess interesował się ekstremofilami. Szukał po świecie nietypowych lub dziwacznych organizmów. Może coś znalazł.

Czy dlatego został porwany?

– Gdybyśmy odkryli, co to było, może dowiedzielibyśmy się, czym jest X, i moglibyśmy zacząć robić porządek z tym całym bałaganem – powiedział Edmund.

Radio Lisy zatrzeszczało i usłyszała na prywatnym kanale głos Paintera. Była podekscytowana, że może z nim porozmawiać, podzielić się tym, czego się właśnie dowiedziała – złymi i dobrymi nowinami.

– Być może mamy nowy trop – oznajmił Painter, zanim zdążyła się odezwać. – Jenna zasugerowała, żebyśmy sprawdzili jeszcze raz komórkę Amy Serpry. Wygląda na to, że ktoś bardzo się starał wykasować z listy jej rozmów swoje połączenie. Ale jeśli wie się, gdzie i jak szukać, udaje się co nieco odzyskać.

– Czego się dowiedzieliście? – spytała Lisa, odchodząc na bok.

– Udało nam się odtworzyć spis połączeń na tyle, by wiedzieć, że dzwoniono do niej z Ameryki Południowej – odparł Painter. – Z miasta Boa Vista, stolicy stanu Roraima, na północy Brazylii.

Lisa uklękła przy klatce Nikka. Husky uniósł łeb, patrząc na nią szklistymi oczami, i machnął ogonem.

Dobry piesek.

– Zanim ten ślad się urwie – ciągnął Painter – polecę tam z ekipą, żeby przeprowadzić dochodzenie. Pozostanę w kontakcie z pułkownikiem Bozemanem, który pod moją nieobecność będzie tu dowodził.

Lisa chciała mu towarzyszyć, być blisko niego, ale napotkawszy smętne spojrzenie Nikka, wiedziała, że jej miejsce jest tutaj. Przypomniała sobie również przestrożę Lindahla.

Nie może pani pozwolić, by sentymenty zaciemniły pani profesjonalny osąd.

Nie popełni znów tego błędu. Ale i tak się martwiła. Gdy Painter się rozłączył, zaczęło dręczyć ją pytanie.

Co lub kto oczekuje go w Brazylii?

W powietrzu nad Brazylią
29 kwietnia, godzina 23.35 czasu miejscowego

Doktor Kendall Hess skulił się w fotelu, gdy pod kłębowiskiem czarnych chmur rozbłysnął kolejny piorun, oświetlając mroczny las w dole. Grzmot wstrząsnął śmigłowcem, a strugi deszczu siekły szyby niewielkiej maszyny.

Pilot zaklął po hiszpańsku, przedzierając się przez burzę. Olbrzym pilnujący Kendalla siedział nieporuszony obok niego z tyłu kabiny, wyglądając przez okno.

Kendall opanował strach i próbował pójść w jego ślady. Przytknął czoło do szyby. W świetle błyskawicy zobaczył tylko bezkresną zieloną dżunglę. Przez większość dnia lecieli nad tym lasem deszczowym na południowy zachód. Wylądowali tylko raz dla uzupełnienia paliwa na zamaskowanej siatce wykarczowanej polanie.

Dokądkolwiek mnie zabierają, jest to koniec świata, pomyślał.

Zastanawiał się z rozpaczą, czy wróci jeszcze kiedyś do cywilizacji.

Wiedział, że musi być gdzieś w Ameryce Południowej, prawdopodobnie nadal na północ od równika, ale niewiele poza tym. Zeszłej nocy porywacze wylądowali cesań w pobliżu niewielkiego miasteczka. Zabrano go do rudery z przerdzewiałym blaszanym dachem, bez bieżącej wody, i pozwolono mu spać na materacu na klepisku. Gdy wychodził z samolotu, założono mu na głowę kaptur, żeby nie miał szansy zorientować się, co to za miasto. Słyszał jednak na ulicy głosy ludzi rozmawiających po hiszpańsku, angielsku, ale na ogół po portugalsku.

Na tej podstawie domyślił się, że jest w Brazylii, zapewne w jednym z północnych stanów. Nie zostali tam jednak dostatecznie długo, żeby mógł ustalić coś więcej. Następnego dnia o świcie zaprowadzili go do tego niewielkiego śmigłowca, który wydawał się sfatygowany i niezdolny do latania.

A jednak dolecieli nim aż tutaj.

Chmury przeszła kolejna seria błyskawic. Na horyzoncie pojawił się jakiś ciemny kształt, wyłaniając się z lasu jak czarny okręt wojenny płynący po zielonym morzu. Kendall musiał się wyprostować, by lepiej widzieć, zwłaszcza że Mateo ruszył się z miejsca i podniósł z podłogi jakąś paczkę.

Dokąd lecieli?

Gdy śmigłowiec przedzierał się przez burzę, deszcz osłabł, ale grzmoty nie ustawały, a w świetle błyskawic ukazywały się coraz to nowe fragmenty widocznej przed nimi góry. Była wysoka na jakieś dwa tysiące metrów i wyrastająca z dżungli stromymi urwiskami. Jej płaski szczyt, osnuty gęstą mgłą, wystawał ponad najniższe chmury.

Kendall rozpoznał tę niezwykłą geologiczną formację. Występowała jedynie w tym regionie

Ameryki Południowej. Takie potężne bloki starego piaskowca – zwane *tepui* – leżały rozrzucone w lasach tropikalnych i bagnach północnej Brazylii, a także w Wenezueli i Gujanie. Było ich ponad sto. Najśłynniejsza, góra Roraima, wyrastała niemal trzy tysiące metrów nad poziom dżungli, a płaskowyż na jej szczycie miał prawie trzydzieści kilometrów kwadratowych.

Tepui widoczny przed nimi był o wiele mniejszy, może o jedną czwartą.

Ale dawno temu setki tych gór stanowiły jeden gigantyczny masyw z piaskowca. Gdy kontynenty popękały i oddzieliły się, ten dawny masyw rozpadł się na części, a deszcze i wiatry zamieniły skalne bloki w pojedyncze płaskowyże, samotnych strażników zamierzchłych czasów.

Chociaż Kendall nie był nigdy na żadnym z tych *tepui*, dowiedział się o ich istnieniu, badając niezwykle formy życia. Należały do najdawniejszych formacji geologicznych Ziemi, pochodzących z okresu prekambryjskiego, starszych niż większość skamielin. Te podniebne wyspy, izolowane przez stulecia, były domem dla gatunków spotykanych tylko na ich szczytach, unikatowych zwierząt i roślin. Z powodu nieprzystępności tych płaskowyżów i stromych urwisk do wielu z nich nigdy nie dotarli ludzie. To jedne z najbardziej niezbadanych obszarów na naszej planecie. Pozostają nieskażone i czyste.

Śmigłowiec wzniósł się, uderzany silniejszymi podmuchami wiatru i znoszony w kierunku góry, która z lotu ptaka wydawała się mroczna i odpychająca, nietknięta przez człowieka.

Gdy znaleźli się nad płaskowyżem, powierzchnia *tepui* nie okazała się tak płaska, jak wyglądała z daleka. Na szczycie był duży staw, w którym odbijały się ich światła nawigacyjne. Na jego południowym brzegu spowodowane przez burzę fale zalały dolną część płaskowyżu – skalną półkę porośniętą gęstym, skałowaciałym lasem, który był tylko namiastką bujnej roślinności u podnóża góry. Na północ od stawu rozciągał się labirynt skał, w którym wiatr i deszcz wyrzeźbiły rozpadliny, jaskinie i gęszcz nieziemskich kolumn pokrytych gąbczastym ciemnozielonym mchem lub galaretowatymi algami. Ale między szczelinami Kendall dostrzegł kwitnące orchidee i bromelie – nawadniany mgłą magiczny ogród.

Śmigłowiec zniżył lot, by wylądować na płaskiej skale w pobliżu stawu. Dopiero gdy omiótł reflektorami płaskowyż, Kendall zauważył tam oznaki obecności człowieka. W jedną z większych jaskiń wbudowany był – wypełniając ją całkowicie jak róg obfitości – imponujący kamienny dom z balkonami, dwuspadowym dachem, a nawet oranżerią. Pomalowany był cały w różne odcienie ciemnej zieleni, by wtopić się w otoczenie.

Dostrzegł również sąsiadującą z nim zagrodę z kilkoma końmi rasy arabskiej i zaparkowane w szeregu wózki golfowe, które wydawały się tu nie na miejscu, choć je również pomalowano na zielono. Za domem kilka wysokich turbin wiatrowych komponowało się idealnie z kamiennymi kolumnami.

Ktoś najwyraźniej chce zachować dyskrecję, pomyślał.

Ten ktoś stał w pobliżu, pod parasolem.

Gdy tylko płozy dotknęły ziemi, strażnik Kendalla otworzył drzwi kabiny i wyskoczył na zewnątrz. Pochylił głowę, by uniknąć obracających się śmigieł. W pobliżu czekała grupa ludzi z siatką maskującą, by zasłonić śmigłowiec, kiedy przestanie pracować silnik. Mieli taką samą ciemną cerę i okrągłe twarze jak strażnik i pilot. Najwyraźniej pochodzili wszyscy z tego samego plemienia.

Wiedząc, że nie ma wyboru, Kendall wysiadł ze śmigłowca. Zadrżał, czując na twarzy zimną mżawkę. Na tej wysokości panował wilgotny chłód, co stanowiło istotną różnicę w porównaniu z klimatem tropikalnego lasu. Ruszył w kierunku człowieka, którego przed jedenastu laty wszyscy uznali za zmarłego.

– Cutter Elwes. Jak na nieboszczyka, dobrze wyglądasz.

W rzeczywistości Cutter wyglądał lepiej niż wtedy, gdy ostatnio ze sobą rozmawiali. Było to wieki temu, podczas konferencji na temat biologii syntetycznej w Nicei. Cutter, czerwony na twarzy, wpadł wtedy w młodzieńczą furję, gdy koledzy Kendalla przyjęli bez entuzjazmu jego wystąpienie.

Ale czego wówczas oczekiwał?

Teraz wydawał się w formie, zrelaksowany, a jego stalowoniebieskie oczy pod czupryną czarnych włosów wyrażały spokojną determinację. Miał na sobie uprasowane lniane spodnie, białą koszulę i beżową kamizelkę safari.

– A ty, mój drogi przyjacielu, wyglądasz na zmęczonego... i przemoczonego. – Cutter wyciągnął ku niemu parasol.

Kendall zignorował ze złością jego gest.

Gospodarz nie obraził się i schował się ponownie pod parasolem. Odwrócił się, oczekując najwyraźniej, że Kendall za nim podąży – i tak się stało.

A dokąd mógłbym pójść?

– Wyobrażam sobie, że miałeś męczącą podróż – powiedział Cutter. – Jest późno, więc Mateo zaprowadzi cię do łóżka. Na szafce nocnej znajdziesz zimną kolację i gorącą kawę, oczywiście, bezkofeinową. Jutro czeka nas długi dzień.

Kendall przyspieszył kroku, zrównując się z gospodarzem; tuż za sobą miał rosnącego strażnika.

– Zabiłeś... zamordowałeś tylu ludzi. Moich przyjaciół, kolegów. Jeśli po tym wszystkim, co zrobiłeś, oczekujesz mojej współpracy...

Cutter machnął lekceważąco ręką.

– Omówimy szczegóły rano.

Dotarli do czterokondygnacyjnego budynku i weszli przez podwójne drzwi do ogromnego holu. Była tam podłoga wyłożona deskami z brazylijskiego mahoni, wysokie łukowate sklepienie i ściany ozdobione francuskimi gobelinami. Gdyby Kendall nie wiedział, że Elwes pochodzi z bogatej rodziny, domyśliłby się tego, bo wybudowanie potajemnie takiego domu musiało kosztować miliony.

Rozejrzał się, szukając czegoś więcej. Cutter nie pasjonował się nigdy pieniędzmi ani gromadzeniem bogactwa. Jego pasją była zawsze planeta. Zaczynał jako zapalony obrońca środowiska, wykorzystując rodzinny majątek do finansowania ochrony przyrody. Ale wykazywał się również niewiarygodną błyskotliwością i miał iloraz inteligencji geniusza. Choć ze strony ojca był Francuzem, studiował w Cambridge, a także w Oksfordzie, gdzie zdobyła wykształcenie jego matka. Tam Kendall spotkał go po raz pierwszy.

Po uzyskaniu dyplomu Cutter zaczął wykorzystywać swój nieprzeciętny umysł i bezgraniczne bogactwo, by zdemokratyzować naukę; zakładał na całym świecie laboratoria naukowe, z których wiele parało się badaniami z dziedziny inżynierii genetycznej i syntezy DNA. Szybko stał się „królem biopunków”, przedsiębiorczych zapaleńców, którzy włamywali się beztrąsko do kodów genetycznych.

Miał również wielu zwolenników jako zagorzały obrońca reform polityki ekologicznej. Z biegiem czasu ideologia takich ekstremistycznych grup jak Ziemia Przede Wszystkim! czy Armia Wyzwolenia Ziemi mogła się wydawać konserwatywna w porównaniu z jego poglądami. Przyciągał ludzi swoją obrazoburczą osobowością i bezkompromisowością. Wspierał obywatelskie nieposłuszeństwo i dramatyczne protesty.

Ale nagle wszystko się zmieniło.

Kendall przyglądał mu się od tyłu. Zauważył, że Cutter woli pokazywać się z prawej strony. Walcząc z kłusownikami w Serengeti, został poszarpany przez afrykańskiego lwa, przedstawiciela jednego z tych gatunków, które usiłował chronić. Omal wtedy nie zginął – a właściwie już nie żył co najmniej przez minutę na stole operacyjnym. Jego rekonwalescencja była długa i bolesna.

Dla większości ludzi takie potworne oszpecenie stanowiłoby powód, by zrezygnować z realizowanej misji, ale Cutter zaczął się jej poświęcać jeszcze bardziej. Jakby ocalony przed dziką furią lwa – będącego wręcz uosobieniem kłów i pazurów Natury – zyskał dodatkowy ładunek energii. Ale to go również zmieniło. Pozostał obrońcą środowiska, lecz inspirowała go teraz bardziej nihilistyczna filozofia. Założył nową organizację o nazwie Mroczny Eden, skupiającą ludzi myślących podobnie jak on; jej celem nie była już ochrona przyrody, ale przygotowanie się do końca świata, być może nawet przyspieszenie go, by masowa zagłada zapoczątkowała nowe Genesis, nowy Raj.

W krótkim czasie działania Cuttera coraz bardziej się radykalizowały, a jego zwolennicy zaczęli zachowywać się jak szaleńcy. W końcu, skazany zaocznie w kilku krajach za rozmaite przestępstwa, musiał zejść do podziemia. Właśnie uciekając przed sprawiedliwością, uległ wypadkowi lotniczemu.

Teraz stało się jednak oczywiste, że upozorował własną śmierć, by zrealizować projekt Mroczny Eden.

Ale jakie miał zamiary?

Cutter poprowadził Kendalla do imponujących kamiennych schodów, które wiodły na górę. Zeszła do nich kobieta w prostej białej tunice, podkreślającej piękno jej opalonej skóry i krągłości ciała.

Głos Cuttera złagodniał:

– A, Kendall, pozwól, że ci przedstawię matkę moich dzieci. – Wyciągnął rękę i pomógł jej zejść z ostatniego stopnia. – To Ashuu.

Kobieta skłoniła lekko głowę, po czym skupiła całą uwagę na Cutterze. Jej ciemne oczy żarzyły się niemal w świetle lampy.

– *Tu fait une promesse à ton fils* – wyszeptała jedwabistym głosem.

Obiecałeś coś swojemu synowi, w myślach przetłumaczył Kendall z francuskiego.

– Wiem, kochanie. Zajmę się nim, jak tylko obsłużę naszego gościa.

Dotknęła delikatnie policzka Cuttera wierzchem miękkiej dłoni, po czym skinęła do Matea.

– *Bienvenue, mon frère.*

Potem odwróciła się i weszła z powrotem na schody.

Kendall unióśł brwi i spojrzał ponownie na Matea.

Frère. Brat.

Przyglądał się pokierszowanej twarzy towarzyszącego mu olbrzyma. Nigdy by nie przypuszczał, że on i ta olśniewająco piękna kobieta są rodzeństwem, ale teraz dostrzegwał pewne podobieństwo rysów.

Cutter dotknął jego łokcia i wskazał w głąb holu.

– Mateo zaprowadzi cię do twojego pokoju. Zobaczymy się rano. Przed spaniem muszę się jeszcze zająć ważną sprawą. – Wzruszył ramionami z właściwym sobie zawadiackim urokiem. – Jak przypomniała mi moja droga żona... *une promesse est une promesse.*

Obietnica jest obietnicą.

Cutter podążył po schodach za Ashuu.

Gdy Mateo chwycił Kendalla brutalnie za ramię i zaczął go prowadzić, ten wpatrywał się w plecy Cuttera, przypominając sobie bliźny, które tak radykalnie odmieniły tego człowieka – zarówno jego wygląd, jak i charakter.

Po co mnie tu sprowadził? – zastanawiał się.

Podejrzewał, że zna już odpowiedź.

I był nią przerażony.

Godzina 23.56

Drobne palce ścisnęły rękę Cuttera, gdy schodził po stopniach wykutych w kamiennej posadzce tunelu.

– Tato, musimy się pospieszyć.

Cutter uśmiechnął się, gdy syn zaczął go ponaglać, z właściwą dziecku beztroską. Jori, mając zaledwie dziesięć lat, dziwił się wszystkiemu, a na jego ślicznej buzi ciągle malowała się ciekawość. Miał delikatne rysy i ciemną cerę matki, ale oczy ojca, lśniące i jasnoniebieskie. Niejeden miejscowy szaman dotykał jego twarzy i patrząc mu w oczy, stwierdzał, że chłopiec jest wyjątkowy. Pewien starzec z plemienia Macuxi powiedział o nim: „Urodził się po to, by oglądać świat tylko przez błękit bezchmurnego nieba”.

Taki był Jori.

Jego niebieskie oczy wypatrywały zawsze kolejnego cudu.

Z tego właśnie powodu wybrali się obaj o północy na spacer podziemnymi tunelami. Zmierzali w kierunku żywej biosfery, którą Cutter ulokował na *tepui* – a raczej w jego wnętrzu.

Góry z piaskowca kryły w sobie na ogół stare jaskinie i tunele, które powstawały, gdy miękką skałę złobiły przez stulecia deszcze i strumienie. Mówiono, że znajdujące się tam labirynty jaskiń są najstarsze na świecie. Były więc najbardziej odpowiednim miejscem, by stać się kuźnią nowego porządku.

W świetle nagich żarówek zawieszonych pod sklepieniem tunelu ukazały się blokujące przejście stalowe drzwi. Cutter podszedł do elektronicznego zamka i otworzył go kartą, którą miał zawieszoną na szyi. Z framugi wysunęły się z cichym szmerem trzy bolce grubości nadgarstka.

– Gotowy? – spytał, patrząc na zegarek.

Do północy zostały jeszcze trzy minuty.

Idealnie.

Jori skinął głową, kołysząc się lekko na piętach.

Cutter otworzył drzwi do innego świata – nowego świata.

Poprowadził syna do podestu obok wjazdu.

Przed nim znajdował się ogromny lej, w głąb którego opadała z nieba delikatna mżawka. Podest był prawie pięć metrów poniżej krawędzi cylindrycznego krateru. Wzdłuż jego wewnętrznych ścian biegł spiralnie, od szczytu płaskowyżu aż do podnóża *tepui*, szeroki skalny występ. Potężny krater, o średnicy trzystu metrów, był i tak o jedną trzecią mniejszy niż jego kuzyn, gigantyczny lej Sarisariñama *tepui* w Wenezueli.

Ale ten niewielki zamknięty ekosystem doskonale służył celom Cuttera.

Krater funkcjonował jako wyspa wewnątrz wyspy.

Takie same *tepui* zainspirowały sir Artura Conan Doyle'a do napisania *Zaginionego świata*. Zaludnił te wyspy wśród chmur żywymi relikdami z prehistorycznych czasów, drapieżnymi dinozaurami i pterodaktylami. Dla Cuttera rzeczywistość była bardziej ekscytująca niż jakakolwiek wiktoriańska fikcja. Każda skalna półka przypominała podniebne Galapagos, ewolucyjny szybkar, w którym wszystkie gatunki próbowały przetrwać na swój sposób.

Podszedł do ściany ozdobionej bujną roślinnością, oczekującą wilgocią i zanurzoną we mgle. Wskazał delikatnie mały kwiatek z białymi płatkami. Jego listki w kształcie wąsów miały drobne wypustki, zakończone lśniącoymi lepkiemi kropelkami.

– Wiesz, Jori, jak nazywa się ta roślina?

Chłopiec westchnął.

– To łatwe, tato. Rosiczka. *Dro... dro...*

Cutter uśmiechnął się i dokończył za niego:

– *Drosera*.

Chłopiec przytaknął energicznie.

– Chwyta mrówki i owady i je pożera.

– Właśnie.

Takie rośliny były piechurami w jego ewolucyjnej wojnie, rozwijającymi różne strategie przetrwania, by zrekompensować brak pokarmu i niedobór ziemi na szczycie *tepui*. Aby żyć, stawały się mięsożercami. Były to nie tylko rosiczki, także pływacze, kapturnice, a nawet pewne odmiany bromelii, które na tej podniebnej wyspie zagustowały w owadach.

– Natura jest najlepszym racjonalizatorem – mruknął.

Ale czasem potrzebuje pomocy.

Gdy wybiła północ, ściany rozblęły łagodnym fosforyzującym światłem, spływającym od góry w głąb mrocznej czeluści.

Jori klasnął w dłonie. To właśnie przyszedł zobaczyć.

Cutter wszczepił świecący gen meduzy w DNA pospolitego gatunku orchidei, które rosły na tym *tepui*, włączając nawet rytm dobowy do ich cyklu wzrostu. Nie dość, że pięknie wyglądały, to zapewniały nocą światło ludziom, którzy zajmowali się tym sztucznym ogrodem.

Inna sprawa, że to, co stworzyłem, nie wymaga już szczególnej pielęgnacji, pomyślał Cutter.

– Zobacz, tato! Żaba!

Jori chciał dotknąć płaza o czarnej skórze, który przyłgnął do pnącza.

– Nie, nie! – ostrzegł syna ojciec, chwytając go za rękę.

Chłopiec pomylił tego mieszkańca krateru z jego pospolitym kuzynem, żyjącym na szczycie *tepui* endemicznym gatunkiem żaby o nazwie *Oreophrynella*, która nie potrafiła skakać ani pływać, ale wykształciła przeciwstawne palce, aby lepiej przywierać do śliskich powierzchni skał.

To nie był jednak przedstawiciel miejscowego gatunku.

– Pamiętaj – przestrzegł syna Cutter. – Tu, na dole, musimy być ostrożni.

Żaba miała wszczepioną w gruczoły pod skórą silną neurotoksynę. Pobrał sekwencję genów od australijskiej szkaradnicy, najbardziej jadowitego gatunku na planecie. Wystarczy jej dotknąć, by natychmiast umrzeć w męczarniach.

Ta żaba miała niewielu naturalnych wrogów, przynajmniej w świecie przyrody.

Zaniepokojona ich głosami, pomknęła w górę po pnączach. Jej ruch przyciągnął uwagę kolejnego drapieźnika. Spod liścia rozpostarły się na szerokość otwartej dłoni przezroczyste skrzydła. Liść zatrzepotał, odrywając się od łądygi i demonstrując swą zmyślną mimikrę. Był to przedstawiciel rodziny *Phylliidae*, czyli chodzących liści.

Tyle że ten stwór nie chodził.

Jego skrzydła załopotały we mgle i przebierając w powietrzu drobnymi nóżkami, poszybował bezszelestnie w kierunku żaby.

– Tato, nie pozwól mu! – Jori musiał wyczuć, na co się zanosi. Lubił żaby. Miał nawet w sypialni duże terrarium z kolekcją kilku ich gatunków.

Chciał pacnąć ręką trzepoczące skrzydełkami stworzenie, ale Cutter chwycił go za nadgarstek. Zmodyfikowany genetycznie owad ukąsiłby co najwyżej chłopca, ale chodziło o kolejną lekcję.

– Jori, czego nauczyliśmy się o Prawie Dżungli, o drapieźniku i jego ofierze? Jak to się nazywa?

Chłopiec spuścił głowę i mruknął, patrząc na swoje stopy:

– Selekcja naturalna.

Cutter uśmiechnął się i poczochnął go po włosach.

– Zuch chłopak!

Wylądowawszy na grzbiecie żaby, owad wbił ostre odnóża w jej toksyczną skórę i zaczął się pożywiać. Ojciec i syn patrzyli, jak jego rozpostarte przezroczyste skrzydła przybierają powoli różowe zabarwienie od świeżej krwi.

– Jakie to piękne! – zachwycił się Jori.

Nie, to tylko Natura.

Piękno jest po prostu dla Matki Natury kolejnym sposobem na przetrwanie, bez względu na to, czy chodzi o słodki zapach kwiatu, który zwabia pszczołę, czy skrzydła motyla, które zwodzą myśliwego. Cały świat przyrody ma jeden cel: przetrwać, przekazać geny następnemu pokoleniu.

Cutter podszedł do krawędzi podestu i spojrzał w czeluść głębokiego na półtora kilometra krateru. Ekosystem zmieniał się co kilkadziesiąt metrów. U szczytu leja było wilgotno i zimno, w dole panował tropikalny upał. Na pośrednich poziomach mógł stworzyć strefy badawcze, unikalne nisze ekologiczne, potrzebne do jego prac. Poszczególne poziomy oznaczone były kolorami – od jaśniejszych barw u góry po ciemniejsze na dole – i oddzielone biologicznymi i fizycznymi barierami.

Czarny poziom był najgłębszy i najbardziej niebezpieczny.

Nawet w blasku orchidei nie widział rosnącej na dnie mrocznej wilgotnej dżungli, której glebę wzbogacały spadające z góry szczątki organiczne. Ten odosobniony skrawek lasu deszczowego stanowił idealną cieplarnię, gdzie dzieła jego życia znajdowały schronienie, nabierały sił i uczyły się sztuki przetrwania.

Rdzenni mieszkańcy tych ziem bali się osnutych mgłami *tepui*, twierdzili, że mieszkają w nich złe duchy.

Jak wiele było w tym teraz prawdy.

Tyle że te nowe duchy były dziełem Cuttera, stworzonym dla przyszłości. Stał na skraju przepaści, wpatrując się w krater.

Nowe Galapagos dla nowego świata.

Uwolnionego od tyranii ludzkości.

CZEŚĆ TRZECIA
PRZYŁĄDEK PIEKŁA

Σ

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda
30 kwietnia, godzina 10.34 czasu miejscowego

– Gdzie jest to cholerne słońce? – jęknął Kowalski.

Gray rozumiał jego frustrację. Stał w kabinie gigantycznego pojazdu na gąsienicach i obserwował krajobraz za jego wysokimi szybami. Choć było przedpołudnie, na zewnątrz panowała całkowita ciemność. Księżyc już zaszedł i jasne gwiazdy migotały zimnym blaskiem na bezchmurnym niebie. Wśród błysków wyładowań atmosferycznych pojawiały się nad horyzontem ulotne świetliste pasma w odcieniach szmaragdu i szkarłatu.

Potężna burza magnetyczna, wywołująca zjawisko zorzy polarnej, ściagała ich podczas nocnej podróży po zamrzniętych bezkresach Ziemi Królowej Maud. Jej intensywność odzwierciedlała siłę wiatru słonecznego, który utrudniał łączność satelitarną na Antarktydzie. Każdy oślepiający błysk zorzy przypominał komandorowi, jak bardzo są osamotnieni.

Obserwował teren, by zorientować się, dokąd zacierają. Pozostawiwszy Karen i innych naukowców w ocalałym samotnym segmencie Stacji Halleya, Gray i jego ludzie, podążając gigantycznym pojazdem na wschód, przedzierali się przez bezmiar śniegu i lodu. Według mapy nad konsolą kabiny, posuwali się równolegle do odległego wybrzeża. Ale za szybą nie widzieli ani śladu oceanu, tylko zamrznięty świat w kolorze bieli i błękitu. Monotonny krajobraz urozmaicał jedynie wznoszący się na południe od nich, sterczący z lodu szereg czarnych stromych szczytów zasypanych gór. Ostre jak brzytwa urwiska przypominały rząd kłów i nazwano je Fenriskjeften, czyli Szczękami Fenrisa, mitycznego nordyckiego wilka.

Rozmowa, którą słyszał za sobą, skupiła ponownie jego uwagę na mostku kapitańskim i ich gospodyni, Stelli Harrington, córce osamotnionego profesora, z którym mieli się spotkać.

– Zaprojektowaliśmy ten pojazd na podstawie prototypu skonstruowanego przez DARPA – tłumaczyła Stella swemu żądnemu wiedzy uczniowi.

Jason stał obok niej w kabinie, wpatrując się w konsolę dziwnego wehikułu. Chłonał wręcz informacje na temat ich unikatowego środka transportu.

A może był zafascynowany nauczycielką.

Stella była w tym samym wieku co Jason, miała krótko ścięte blond włosy, oszłamiające zielone oczy i zgrabną figurę, widoczną nawet pod grubym wełnianym swetrem i polarnymi spodniami. Ze swoją nieprzeciętną inteligencją i dyplomem z botaniki i biologii ewolucyjnej stanowiła wyzwanie dla geniusza komputerowego Sigmy.

– Pamiętam, że widziałem film na temat tego prototypu DARPA – powiedział Jason. – Był pięć razy mniejszy. Czy tą jego większą wersją możecie poruszać się po wodzie?

– A jak myślisz, dlaczego jest nazywany pojazdem wodno-ładowym? – Stella wywróciła przekornie oczami. – Każda z gąsienic wykonana jest z niezatapialnej pianki, która pozwala nam

poruszać się po lądzie i morzu. A tutaj to ważne.

Jason uniósł brwi, wpatrując się w lodową pustynię.

– Po co wam w tym miejscu taki pojazd?

– Ponieważ korzystamy z niego głównie... – Zamilkła nagle, jakby zdała sobie sprawę, że mówi za dużo.

Było tak, odkąd zaczęli wspólną podróż. Każdą rozmowę przerywały chwile milczenia. Nie powiedziała im jeszcze, jakie problemy ma jej ojciec, wspomniała jedynie, że potrzebuje ich pomocy.

Odwróciła wzrok, z poczuciem winy ścisząc głos:

– Sam zobaczysz.

Jason nie naciskał.

– Ale ta amfibia jest też przydatna na lodzie – kontynuowała Stella z większą pewnością siebie. – Na płaskim terenie osiąga do stu trzydziestu kilometrów na godzinę, a dzięki swojej długości może pokonywać wąskie rozpadliny.

Jason przyjrzał się konsoli.

– Ta wasza amfibia przypomina mi trochę pojazd śnieżny admirała Byrda, wielką polarną ciężarówkę, skonstruowaną tuż po drugiej wojnie światowej. Słyszałaś o niej?

Gray przypomniał sobie, że widział zdjęcie tego długiego na prawie dwadzieścia metrów pojazdu, który mógł przetransportować niewielki samolot. Zdjęcie znaleziono w archiwach profesora Harringtona, odzyskanych z serwerów DARPA.

– Owszem... słyszałam... – odparła z wahaniem Stella, jakby znów stąpała po kruchym lodzie. – Ojciec uważa, że ta amfibia może służyć do podobnych celów.

Jason skinął głową.

– Bardzo słusznie.

Posłał Grayowi ukradkowe spojrzenie, a ten uświadomił sobie nagle, że Jason sprawdza dyskretnie Stellę, wykorzystując informacje z archiwów jej ojca, by sprawdzić, na ile jest z nimi szczera.

Może wcale nie stracił dla niej głowy.

– Ile osób może pomieścić ten pojazd? – spytał Jason.

– Dwanaście, łącznie z załogą. Ale w razie potrzeby wejdzie jeszcze sześć lub siedem.

Dlatego musieli zostawić Karen i resztę ekipy. Gray widział, jak ciasno jest na dole. Wyglądało na to, że silnik i oprzyrządowanie zajmują większość dostępnej przestrzeni. W pomieszczeniu załogi znajdowała się niewielka mesa i koje, a Stella, spodziewając się kłopotów, przywiozła ze sobą całą grupę uzbrojonych brytyjskich żołnierzy. Nie było mowy, by mogli zabrać Karen i wszystkich dwunastu naukowców.

Zresztą, tak czy inaczej, nie wchodziło to w rachubę.

Stella powiedziała wyraźnie, że profesor Harrington pozwolił przewieźć do swej tajnej bazy na Ziemi Królowej Maud tylko Graya i dwóch jego towarzyszy. Najwyraźniej na wieść o ataku stał się jeszcze większym paranoikiem. Stella leciała już samolotem, gdy usłyszała przez radio ich rozmowę po ucieczce komandora ze zniszczonej bazy. Natychmiast zawróciła i odnalazła amfibię, która była już przygotowana do innej misji.

W goście dobrej woli zostawiła Karen i reszcie grupy dwóch brytyjskich żołnierzy, a także granatniki i ciężką broń, na wypadek gdyby nieprzyjaciel zdołał wytropić ich wędrujący segment. Tylko tyle mogła dla nich zrobić.

Gray dołączył do Jasona w kabinie.

– Kiedy dotrzemy do celu? – spytał.
Stella spojrzała na mapę nad konsolą. Wpatrywała się w nią nieco zbyt długo, najwyraźniej wahając się, ile może powiedzieć.
– Przecież nikomu nie powiemy! – rzucił Jason z dziecięcą szczerością.
Nadal patrzyła na mapę, ale Gray zauważył, że lekko się uśmiecha.
– Chyba to prawda. – Wskazała na ekran z systemem pozycjonowania. – Widzicie ten niewielki półwysep w kształcie półksiężyca? Jakies trzydzieści kilometrów stąd. To Przylądek Piekła.
– Przylądek Piekła? – Jason zmarszczył czoło, słysząc tę złowróżbną nazwę.
Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej.
– Tak jest.
– Nie brzmi to najlepiej – skomentował z przekąsem Kowalski z drugiej strony kabiny. – Nie sprzedacie w takim miejscu zbyt wielu nieruchomości.
– Nie myśmy je tak nazwali.
– A kto? – spytał komandor.
Stella zawahała się, ale w końcu przełamała obawy i powiedziała otwarcie:
– Charles Darwin. W tysiąc osiemset trzydziestym drugim roku.
Po chwili pełnej zdumienia ciszy Gray zadał oczywiste pytanie:
– Dlaczego Przylądek Piekła?
Spojrzeła na mapę, po czym pokręciła głową. Powtórzyła swą wymijającą odpowiedź sprzed paru minut. Tyle że teraz jej głos był zmrożony strachem.
– Sami zobaczycie.

Godzina 10.55

Jak na piekło, nie wygląda najgorzej.
Jason patrzył, jak amfibia pokonuje z wysiłkiem ostatni kilometr, kierując się do lodowego przylądka wysuniętego w głąb Oceanu Południowego. Jego oczy przywykły już do mroku i widział dobrze w świetle gwiazd i w blasku zorzy polarnej.
Łukowate wybrzeże przed nimi, utworzone przez błękitny lód i czarne klify, kryło małą zatoczkę. Fale rozbijały się o kamienistą plażę u podnóża skał. Był to jeden z niewielu odcinków wybrzeża wolnych od lodu.
– Gdzie jest ta baza? – spytał Kowalski.
Było to dobre pytanie.
Stella stanęła za pilotem i pochyliwszy się, szepnęła mu coś na ucho. Gdy pojazd zbliżał się do brzegu, mężczyzna zwolnił. Gigantyczne gąsienice zrównały się z krawędzią klifu...
...i wysunęły się nad przepaść.
– Trzymajcie się czegoś! – ostrzegła Stella.
Jason uchwycił się poręczy przy jednej ze ścian, a Gray i Kowalski – blatu stołu.
Amfibia posuwała się dalej, aż połowa jej długości znalazła się poza krawędzią klifu. Wtedy przechyliła się i zaczęła opadać. Jason chwycił się mocniej, przypuszczając, że pojazd runie na skalistą plażę. Tymczasem jego gąsienice natrafiły na ukryte za krawędzią zbocze.

Pojazd zachwiał się, jego tylna część uniosła się i po chwili jechali po stromym osypisku w kierunku plaży widocznej daleko w dole.

Jason puścił poręcz i podszedł do Stelli.

Zbocze wyglądało na zrobione przez człowieka i usypano je, zapewne przy użyciu sypiaczy, z takich samych kamieni, jakie znajdowały się na plaży. Ale przypadkowy obserwator mógł je łatwo przeoczyć, zwłaszcza że kryło się za łukiem przyładka.

U podnóża zbocza amfibia wjechała na plażę i posuwała się wzdłuż potężnych klifów, szorując gąsienicami po piasku. Przed nimi ukazała się przepastna pieczara, jakby wyciosana w skutej lodem skale. Amfibia zwolniła i skręciła raptownie w kierunku mrocznego otworu. Światła dwóch reflektorów przecięły mrok. Tunel kończył się zaledwie trzydzieści metrów dalej, przegrodzony ścianą z zimnej błękitnej stali. Był wysoki na pięć pięter i szeroki na sto metrów. Na brzegach stalowa ściana wydawała się obudowana betonem.

Gdy pojazd wjechał, otworzyły się potężne wrota na szynach. Zalało ich jaskrawe światło – oślepiające po wielu godzinach ciemności.

– Witam na Przyładku Piekła – powiedziała Stella.

Za ścianą ukazała się ogromna jaskinia ze stalowym podłożem i ścianami z naturalnego kamienia. Wyglądała jak skrzyżowanie pokładu lotniskowca i największego na świecie hangaru. Duża amfibia stała zaparkowana obok sześciu o połowę mniejszych. Po drugiej stronie jaskini dokonywano przeglądu dwóch wyposażonych w pływak samolotów śmigłowych. W innym miejscu trzy wózki widłowe przewoziły skrzynie, a w górze przeciągano na linach kontener.

Amfibia wjechała w środek tego chaosu i stanęła obok bliźniaczego pojazdu. Gigantyczne drzwi zamknęły się za nimi szczelnie. Dieslowskie silniki zamilkły z ciężkim westchnieniem.

Gdy tylko się zatrzymali, Stella dała im znak, by zeszli po schodach.

– Wsiądźmy. Mój ojciec nie może się doczekać spotkania z wami.

Poprowadziła grupę Amerykanów na niższy poziom, do rampy na rufie pojazdu. Powietrze, niezwykle ciepłe, cuchnęło olejem i chemikaliami. Jason był pod wrażeniem ogromu jaskini.

Stella rozmawiała chwilę ze szczupłym brytyjskim oficerem, który podbiegł do nich, zdyszany i zatroskany. Gdy skończyli, odwróciła się do gości i wskazała w głąb pieczary.

– Jest na tarasie obserwacyjnym.

Cały tył jaskini po drugiej stronie potężnego hangaru wypełniała gigantyczna stalowa konstrukcja. Składała się z ośmiu pięter, połączonych schodami i mostkami. Na samym szczycie znajdował się rząd wysokich szyb.

Było w tej konstrukcji coś znajomego.

Gray również to zauważył.

– Czy to nadbudówka statku morskiego?

Stella skinęła głową.

– Wycofanego ze służby brytyjskiego niszczyciela. Sprowadzono go tu w częściach i ponownie zmontowano.

Podobnie jak zewnętrzne drzwi, wstawiona do jaskini konstrukcja została uszczelniona na krawędziach betonem.

– Proszę za mną – powiedziała Stella, obracając się na pięcie. – Trzymajcie się blisko.

Jason podążył za nią, nie mogąc oderwać wzroku od jej pleców.

Kowalski zauważył to i trącił go łokciem.

– Ruszaj, chłopcze. Nie szukaj kłopotów.

Jason poczuł, że się czerwieni, i starał się nie patrzeć na Stellę. Minęli rząd worków

z piaskiem, sięgających na wysokość pasa, z trzema stanowiskami amerykańskich karabinów maszynowych Browning M2, z lufami wycelowanymi w główne drzwi.

Jason obserwował, jak przesuwały się w górze na linach kontener znika we wnętrzu potężnej konstrukcji. Po raz pierwszy zauważył, że wyposażony jest w grube szyby, jak opancerzona gondola kolejki górskiej. I że widoczna u spodu kulista kabina przypomina do złudzenia wieżyczkę strzelniczą.

Przyspieszył kroku, by dogonić pozostałych.

Co to, do cholery, za miejsce?

Godzina 11.14

Gray podążył za Stellą przez drzwi prowadzące na najniższy poziom stalowej konstrukcji. Wprowadziła ich do windy towarowej i wcisnęła guzik najwyższego piętra.

– Jak dawno powstało to miejsce? – spytał komandor, gdy jechali w górę.

Przechodząc przez hangar, miał wrażenie, że ta brytyjska baza ma prowizoryczną konstrukcję, jakby budowano ją w pośpiechu.

– Prace rozpoczęto sześć lat temu – odparła Stella. – Posuwają się powoli. Nadal je kontynuujemy, na ile pozwalają na to okoliczności i budżet. Ale poszukiwania tego miejsca trwały od stuleci.

– Co przez to rozumiesz?

Przerwali rozmowę, gdy drzwi windy się otworzyły.

Stella dała znak, by wysiedli.

– Mój ojciec wszystko wam wyjaśni... jeśli wystarczy czasu.

Weszli na mostek dawnego niszczyciela, z rzędem wysokich okien, z których był widok na wnętrze hangaru. Większość pomieszczenia przerobiono na szereg biur otaczających przytulną bibliotekę. Stalową podłogę pokrywały miękkie perskie dywany, a przy ścianach stały drewniane regały wypełnione szczelnie książkami. Książki leżały również na biurkach i stołach, razem z czasopismami i porzucanymi papierami. Gray zauważył też gabloty mieszczące różne eksponaty: skamieliny, dziwne skały krystaliczne, otwarte stare księgi z odręcznymi biologicznymi wykresami lub rysunkami zwierząt i ptaków. Największy z wolumenów zawierał fantazyjne, lśniące metalizującym atramentem mapy z objaśnieniami, które wydawały się pochodzić sprzed stuleci.

Biblioteka przypominała muzeum, dział historii naturalnej Brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego.

W głębi pomieszczenia w niszy między dwoma regałami, stał szczupły dystyngowany mężczyzna o szpakowatych włosach. Choć wyglądał na sześćdziesiąt parę lat, ruszył energicznie w ich kierunku. Był w szarych spodniach na szelkach, lśniących butach i wykrochmalonej białej koszuli. Przystanął na chwilę, by włożyć marynarkę wiszącą na krześle za szerokim biurkiem, na którym stał dzbanek z gorącą herbatą. Potem przyszedł się przywitać.

– Komandorze Pierce, dzięki za przybycie.

Gray znał twarz profesora Alexa Harringtona ze zdjęcia w dossier. Uścisnął mu rękę. Była koścista, ale nadal silna. Podejrzewał, że ten człowiek spędził więcej czasu w terenie niż w sali

wykładowej.

– Stella opowiedziała mi o waszych problemach na Stacji Halleya – powiedział Harrington.
– Sądzę, że mamy wspólnego wroga, majora Dylana Wrighta, byłego dowódcę Szwadronu X.

Komandor przypomniał sobie krzepkiego mężczyznę dowodzącego grupą szturmową podczas ataku na DARPA, z jego zimnymi jak stal oczami i krótko przystrzyżonymi jasnymi włosami. Kat z centrali Sigmy zidentyfikowała go jako Dylana Wrighta.

– Skąd pan go zna? – spytał Gray.

– Początkowo Wright i jego wyselekcjonowana ekipa zostali wyznaczeni do strzeżenia bazy. Potem ktoś go przekupił, a może przez cały czas był wtyczką. Chyba raczej to drugie. Ten dupek pochodzi z jakiejś podupadłej arystokratycznej rodziny, chełpił się nawet swoją starą angielską bronią myśliwską. Tak czy inaczej, zaczęły się tu dziać różne rzeczy, mieliśmy przypadki sabotażu, ginęły dokumenty, zdarzały się kradzieże próbek. Jakies półtora roku temu Wright został przyłapany na gorącym uczynku, ale uciekł wraz ze swoimi ludźmi, zabijając po drodze trzech lojalnych żołnierzy.

Grayowi stanął przed oczami obraz dyrektora Raffeeego zamordowanego we własnym gabinecie.

– Jeśli zniszczył Stację Halleya – kontynuował Harrington – z pewnością się tu pojawi, zwłaszcza w tak sprzyjającym czasie, gdy na całym kontynencie szwankuje łączność. A najbardziej martwi mnie to, że ten człowiek wie wszystko o Przylądku Piekła.

– Po co, pańskim zdaniem, miałby tu wracać? Czego szuka?

– Może po prostu zemsty. Zawsze był mściwy. Ale sądzę, że ma o wiele gorsze zamiary. Badania, które tu prowadzimy, poza tym, że poufne i utajnione, są bardzo niebezpieczne. Mógłby spowodować wielką katastrofę.

– Jakiej natury są te badania?

– Dotyczą samej Natury. – Harrington westchnął. Miał w oczach zmęczenie i strach. – Najlepiej zacznijmy od początku.

Podszedł do biurka, dając im znak, by zebrali się wokół niego, po czym przytknął dłoń do narożnika wbudowanego w blat czterdziestocalowego ciekłokrystalicznego ekranu, który rozblęsnął światłem, wzbogacając to muzeum Królewskiego Towarzystwa o nowoczesną technologię.

Przeciągając palcem po jego powierzchni, Harrington wyświetlał różne obrazy z taką łatwością, jakby przekładał karty na stole.

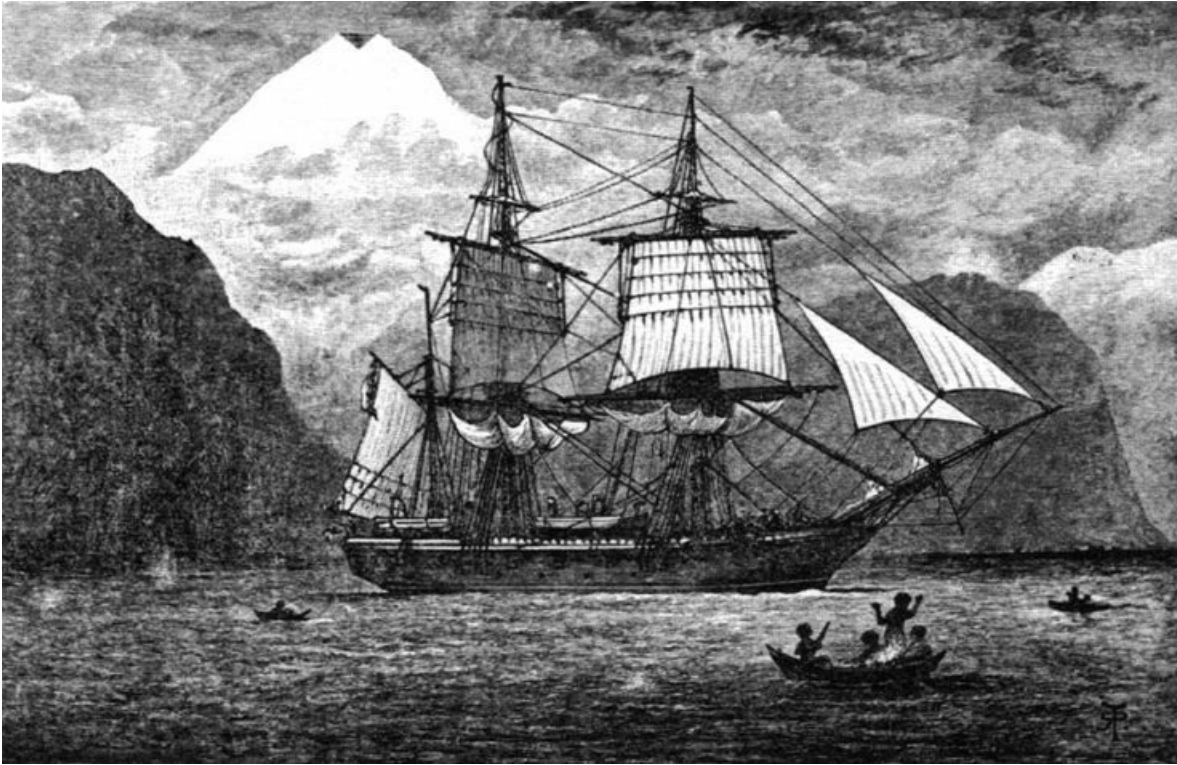
Gray zauważył nazwę pliku, lśniąca u góry ekranu.

D.A.R.W.I.N.

Widział ten skrót już wcześniej i pamiętał, że oznacza „rozwój i rewolucyjne zmiany bez szkodenia naturze”. Taką filozofię ochrony przyrody głosili Harrington i Hess. Gray jednak milczał, pozwalając, by profesor mówił dalej.

– Wszystko zaczyna się od wyprawy HMS *Beagle* i podróży Charlesa Darwina przez ten region. I pamiętnego spotkania z tubylcami z Ziemi Ognistej, w pobliżu Cieśniny Magellana. Oto wykonany ołówkiem stary rysunek, który ilustruje to wydarzenie.

Harrington wyświetlił i powiększył ilustrację pokazującą brytyjski żaglowiec i grupę tubylców na łodziach.



– Mieszkańcy Ziemi Ognistej – ciągnął Harrington – byli zręcznymi żeglarzami i rybakami, pływającymi po morzach wokół krańca Ameryki Południowej i dużo dalej. Według tajnego dziennika, prowadzonego przez Darwina i trzymanego pod strażą w Muzeum Brytyjskim, kapitan HMS *Beagle* zdobył starą mapę, pokazującą fragment wybrzeża Antarktydy, wraz z informacją, że jest tam być może ziemia wolna od lodu. Próbował ją odszukać i przekazać we władanie koronie brytyjskiej, ale jego odkrycie okazało się tak przerażające, że zostało na zawsze wykreślone z kroniki tej podróży.

Jason wpatrywał się w rysunek.

– Co takiego znaleźli?

– Cierpliwości – odparł Harrington. – Widzicie, Darwin nie mógł pozwolić, by ta wiedza całkowicie przepadła, zachował więc mapę razem ze swym tajnym dziennikiem. Tylko garstka badaczy miała kiedykolwiek do niej dostęp. Na ogół uważali jego historię za zbyt fantastyczną, by w nią wierzyć, zwłaszcza że przez kolejne stulecie nikt tego miejsca nie odnalazł.

– Przylądka Piekła – podpowiedział Gray. – To jest to miejsce.

– Przez większość ubiegłego wieku prawdziwe wybrzeże ukrywały grube pokłady lodu. Dopiero dzięki odwilży w ostatnich dekadach udało nam się je ponownie odkryć. A i tak musieliśmy użyć bomb, by skruszyć resztki lodu, dotrzeć tutaj i założyć bazę. Dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy tu wcale pierwszymi przybyszami od czasu feralnej wizyty Darwina. Ale trochę za wcześnie o tym mówię.

Harrington wyświetlił na ekranie kolejne mapy. Gray rozpoznał te, które sporządzili turecki podróżnik Piri Reis i Oronteus Finaeus.

– Te dawne mapy sugerują, że w odległej przeszłości, jakieś sześć tysięcy lat temu, znaczna część wybrzeża mogła być wolna od lodu. Turecki admirał, autor pierwszej z nich, twierdził, że korzystał z antycznych map, pochodzących nawet z czwartego wieku przed naszą erą.

– Aż tak starych? – zdziwił się Jason.

Profesor przytaknął.

– W tym okresie Kreteńczycy i Fenicjanie byli doskonałymi żeglarzami, budowali gigantyczne, wyposażone w wiosła okręty wojenne, które pływały po morzach świata. Możliwe zatem, że dotarli do leżącego najbardziej na południu kontynentu i zanotowali to, co tam odkryli. Admirał Piri Reis sporządził swoją mapę na podstawie materiałów znalezionych w bibliotece w Konstantynopolu, ale nawet on podejrzewał, że najstarsze z nich mogły zostać sprowadzone ze słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej, zanim ta spłonęła.

– Dlaczego tak uważał?

– Wspomina, że część map, które przeglądał w Konstantynopolu, miała adnotacje sugerujące ich egipskie pochodzenie. Według archeologów starożytni Egipcjanie przemierzali morza już trzy i pół tysiąca lat przed naszą erą.

– A więc prawie sześć tysięcy lat temu – zauważył Gray. – Kiedy wybrzeża mogły być wolne od lodu. Ale co te mapy mają wspólnego z Darwinem?

– Po powrocie do Anglii Darwin próbował wręcz obsesyjnie dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co odkrył na tak zwanym Przylądku Piekła. Przeglądał stare mapy i przeszukiwał starożytne księgi, szukając jakiegokolwiek wzmianki na temat tego miejsca. Starł się również zrozumieć jego unikatową geologię.

– Co tu jest takiego unikatowego? – spytał Kowalski. – Wygląda to jak wielka pieczara.

– Jest o wiele większa, niż można sobie wyobrazić. I ogrzewana energią geotermiczną. Gdy Darwin odkrył wejście do tej jaskini, było pokryte krwistoczerwonym nalotem tlenków żelaza, które wydobywały się z wrzących głębin słonej morskiej wody. Podobna formacja geologiczna, tak zwane Krwawe Wodospady, znajduje się po drugiej stronie kontynentu, w pobliżu waszej amerykańskiej bazy w McMurdo Dry Valleys.

Gray mógł sobie tylko wyobrażać, jak taki złowróżbny widok musiał przerazić ludzi z epoki wiktoriańskiej, załogę *Beagle'a*.

– Darwin był ogarnięty tą obsesją przez całe życie, do tego stopnia, że opóźniła ona publikację jego słynnego traktatu na temat ewolucji, *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego*. Wiedzieliście, że wydał tę przełomową pracę niemal dwadzieścia lat po rejsie? Bynajmniej nie z obawy, że jego dzieło wzbudzi kontrowersje. Powód był zupełnie inny.

Harrington wskazał na zestaw map.

– Powodem była ta obsesja. Sądzę w dodatku, że odkrycie dokonane w jaskiniach mogło mu nawet pomóc w sformułowaniu jego teorii: o gatunkach przystosowujących się do życia w środowiskowej niszy, o tym, że siłą napędową w przyrodzie stanowi selekcja naturalna. Ta teoria z pewnością się tu potwierdza.

Ciekawość Graya wzrosła jeszcze bardziej.

Co się tutaj kryje?

– Jak duży jest ten labirynt jaskiń? – spytał Jason.

– Nie wiemy na pewno. Georadar jest tu bezużyteczny, bo w głębi lądu kontynent pokrywają grube warstwy lodu. Sprawę komplikuje jeszcze fakt, że jaskinie sięgają pod łańcuch gór.

Gray przypomniał sobie strome urwiska Fenriskjeften.

– Wysłaliśmy najdalej, jak się dało, drony z radarami – kontynuował profesor. – Szacuję, że te tunele i jaskinie mogą ciągnąć się wzdłuż całego niemal kontynentu, być może sięgają aż do jeziora Wostok albo nawet do krateru Wilkes Land, co nasuwa pewne intrygujące hipotezy na

temat pochodzenia tego, co odkryliśmy. Zresztą potężne rozmiary labiryntu potwierdzają źródła historyczne.

– Jakie źródła historyczne? – zainteresował się Jason.

– Naziści... a konkretnie ówczesny dowódca niemieckiej floty.

– Admirał Dönitz. – Jason skulił się, zaledwie wypowiedział te słowa, gdyż ujawnił niechcący, że mieli już dostęp do akt z nagłówkiem D.A.R.W.I.N.

Harrington nie skomentował jego uwagi. Może zakładał, że to powszechnie znany fakt. Stella posłała jednak chłopakowi zdziwione spojrzenie.

– Dönitz twierdził – ciągnął profesor – że naziści odkryli podwodny rów przebiegający przez środek kontynentu i stanowiący labirynt połączonych ze sobą jezior, rzek, jaskiń i lodowych tuneli.

Komandor pamiętał, jak Jason cytował słowa niemieckiego generała z procesu norymberskiego, dotyczące odkrycia przez Niemców *rajskiej oazy wśród wiecznego lodu*.

Jason odezwał się ponownie, mówiąc powoli i ostrożnie, by znów nie popełnić gafy.

– Myśli pan, że naziści odkryli podczas wojny ten kompleks jaskiń?

– Nie tylko oni. Wie pan, że amerykański rząd detonował na tym obszarze ładunki jądrowe? Twierdzili, że dokonują tylko prób atomowych, ale zastanawiam się, czy nie starali się przypadkiem posprzątać tu po sobie, niszcząc coś, co niechcący wymknęło im się spod kontroli. W tym samym rejonie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku odkryto unikatowego wirusa, który był uniwersalnie zaraźliwy.

Gray pamiętał, że to odkrycie zaintrygowało zarówno Hessa, jak i Harringtona, i opisali je jako „klucz do bram piekła”.

– Właśnie doktor Hess rozpoznał unikalny kod genetyczny tego wirusa, bardzo różniący się od naszego. Ten ślad pozwolił nam w końcu odkryć to miejsce, choć potem jeszcze przez osiem długich lat szukaliśmy wejścia do labiryntu jaskiń.

– Dopóki kontynent nie zaczął topnieć wystarczająco, by ujawnić swe tajemnice – wtrącił Gray.

– Właśnie.

Jason odchrząknął.

– Ale dlaczego jest pan pewien, że byli tu Niemcy i Amerykanie?

– Ponieważ...

Głośna eksplozja wstrząsnęła powietrzem, aż zadrżały szyby. Wszyscy początkowo przykucnęli, spodziewając się najgorszego, ale konstrukcja wytrzymała. Gray podbiegł pochylony w kierunku rzędu okien wychodzących na gigantyczny hangar. Dotarł tam na czas, by zobaczyć, jak skrzydło wielkich stalowych wrót wypada z szyn i uderza o podłoże, miażdżąc jeden z zaparkowanych tam hydroplanów.

Do hangaru wdarła się chmura czarnego dymu. Pod jego osłoną wbiegli ludzie w śnieżnobiałych polarnych skafandrach.

To musiała być grupa majora Wrighta.

Rozległy się strzały.

Dwaj brytyjscy żołnierze upadli, ale jeden z nich sięgnął do karabinu maszynowego i zaczął ostrzeliwać nieprzyjaciela. Głośny terkot broni słychać było nawet na najwyższej kondygnacji, aż do chwili, gdy na stanowisku karabinu eksplodował z hukiem pocisk rakietowy.

– Chodźmy! – rzucił Harrington, ciągnąc Graya za rękaw. – Nie możemy pozwolić, żeby rozpętali piekło na Ziemi!

Komandor, ścigany przez odgłosy rozgrywającej się w dole walki, dał się zaprowadzić na drugą stronę mostka. Dotarłszy do tylnej ściany, profesor zniknął za tymi samymi zasłonami, zza których przedtem wyszedł.

Gray podążył za nim, podobnie jak reszta grupy.

Długi korytarz za zasłonami wiódł na zaplecze. Buty dudniły po stalowej posadzce. Tunel prowadził do oszklonej platformy obserwacyjnej na tyłach bazy. Była ona przytwierdzona do sklepienia jaskini. Sądząc z wiszącej tam gondoli, ta konstrukcja ze szkła i stali służyła również jako stacja kolejki linowej.

Komandor dotarł na platformę tuż za Harringtonem.

Na widok tego, co się przed nim ukazało, stanął oniemiały z wrażenia.

Nie wszyscy jednak tak zareagowali.

– W porządku! – rzucił Kowalski. – Teraz ta cholerna nazwa zaczyna mieć sens.

Boa Vista, Brazylia
30 kwietnia, godzina 7.20 czasu miejscowego

To przypomina tropienie ducha...

Jenna podążała za Drakiem i Painterem po skwarnych ulicach Boa Vista, stolicy brazylijskiego stanu Roraima. Temperatura wzrastała już do trzydziestu trzech stopni, a wilgotność musiała być na poziomie stu procent. Lekka bluzka kleiła jej się pod pachami i przywierała do żeber pod zarzuconym na ramiona plecakiem. Spod czapki, chroniącej ją przed ostrym słońcem, wystawał kucyk.

Sierżant Drake i Painter byli również ubrani swobodnie, podobnie jak dwaj marines, Schmitt i Malcolm, idący za nimi i udający turystów, których w mieście nie brakowało. Najwyraźniej Boa Vista stanowiła punkt wypadowy dla szukających przygód podróżników, chcących odwiedzić lasy deszczowe północnej Brazylii albo płaskowyże sąsiedniej Gujany lub Wenezueli.

Fakt, że Boa Vista jest węzłem komunikacyjnym, komplikował również ich dochodzenie w sprawie ostatnich kroków Amy Serpny. Z raportu laboratorium kryminalistyki, dotyczącego jej komórki, dowiedzieli się, że dzwoniło do niej z tego miasta. Jennie nadal brzmiał w uszach dźwięk jej telefonu. Miała przed oczami obraz wyniszczonego ciała leżącej w łóżku kobiety... i widok Nikka.

Otrząsnęła się z tych myśli. Z żalem zostawiała swego partnera w Kalifornii, ale najlepiej mogła mu pomóc, będąc tutaj, szukając odpowiedzi na pytanie, jak zwalczyć tę straszliwą chorobę.

Wylądowali godzinę temu, o wschodzie słońca. Z powietrza ulice miasta wyglądały jak szprychy koła. Pojechali taksówką jedną z tych biegnących promieniście arterii i teraz szli do położonego na uboczu niewielkiego pensjonatu, ukrytego przy zadrzewionej ulicy.

– To chyba tutaj. – Painter wskazał drewniany kolonialny hotelik.

Gdy znaleźli się w jego pobliżu, Drake nakazał gestem dwóm marines, by się rozdzielili i dyskretnie ich osłaniali.

Jenna podeszła z sierżantem i Painterem do schodów przy wejściu. Wzdłuż frontu biegła drewniana weranda ze skrzynkami kolorowych kwiatów. Była tam nawet niewielka huśtawka, zajęta przez grubego rudego kota, który przeciągnął się na ich widok i przeszedł leniwie po desce.

– To pewnie właściciel – rzucił Drake, przystając, by podrapać kota pod brodą.

Jenna zaśmiała się nerwowo, ale szybko się zreflektowała, przypisując tę niekontrolowaną reakcję napięciu.

Hotel stanowił ich jedyny konkretny trop. Wiedzieli, że do Amy dzwoniło z tego miasta,

ale nie potrafili ustalić dokładnego miejsca. Painter przypuszczał, że ktoś zastosował prymitywny system satelitarnego mirroringu, by ukryć swą dokładną pozycję.

Oznaczało to, że musieli przylecieć do Brazylii i rozejrzeć się na miejscu, co Jennie wcale nie przeszkadzało.

Czasem tradycyjne metody są najlepsze.

Gdy Painter otworzył drzwi do pensjonatu, poprawiła plecak i przesunęła dłonią po rękojeści ukrytego w kaburze glocka 20. Painter zaraz po wylądowaniu zaopatrzył ich w broń. Była schowana w szafce na lotnisku. Nie powiedział jej, jak to załatwił, a ona nie pytała.

Mimo broni czuła się niepewnie bez Nikka przy nodze.

Weszła za Painterem do środka, podczas gdy Drake został na ganku z kotem. Kiedy podeszli do recepcji – zwykłej drewnianej lady – Painter objął dziewczynę w pasie.

Ubrana w podomkę leciwa Brazylijka z przyklejonym do ust uśmiechem podniosła się z fotela przed małym telewizorem i pozdrowiła ich.

– *Sejam bem-vindos.*

– *Obrigado* – odpowiedział jej Painter. – Mówi pani po angielsku?

Staruszka uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Tak. Głównie potrafię.

– To moja córka – oznajmił Painter, wypychając Jennę do przodu. – Szuka swojej przyjaciółki, z którą miała spotkać się w mieście. Ale dziewczyna się nie pojawiła.

Staruszka spoważniała, kiwając głową ze zrozumieniem.

Jenna poczuła lekki ucisk na plecach, gdy Painter dał jej sygnał, by kontynuowała.

– Ona... nazywa się Amy Serpry – powiedziała zmartwionym głosem, co nie było takie trudne.

Naprawdę się martwię, pomyślała.

– Moja przyjaciółka podróżuje w tym rejonie od miesiąca, ale zaraz po przylocie zatrzymała się w pani pięknym hotelu.

Nie mogąc ustalić dokładnie, skąd dzwoniło do Amy, Painter starał się wytropić, gdzie ostatnio przebywała, przeglądając wyciągi bankowe, billingi rozmów z jej mieszkania w Bostonie, a nawet zapisy z GPS-u odnalezionej w toyocie camry. Przypominało to śledzenie ducha. Krok po kroku próbowali odtworzyć, co robiła w ciągu ostatnich miesięcy.

Dochodzenie ujawniło także więcej informacji na temat jej burzliwej młodości. Zanim zrobiła studia postdoktoranckie i została zatrudniona przez doktora Hessa, należała jako nastolatka do radykalnego ruchu ekologów o nazwie Mroczny Eden, który głosił, że świat natury należy uwolnić od człowieka, i propagował akty ekoterroryzmu.

Poprzedniego dnia, wkrótce po drugiej w nocy, Painter odebrał telefon z Waszyngtonu. Jenna była w tym momencie z Drakiem w jego biurze. Właśnie zwolniono ich z kwarantanny. Painter przełączył rozmowę na głośnik. Kobieta, która dzwoniła – Kathryn Bryant – dokonała przełomu w śledztwie.

„Nie znaleźliśmy pieczętek w jej amerykańskim paszporcie, więc sądziliśmy, że przez cały czas przebywała w Stanach. Ale potem dowiedziałam się, że zachowała swój francuski paszport”.

Najwyraźniej Amy, która od siedmiu lat była obywatelką amerykańską, jako osoba urodzona we Francji zachowała podwójne obywatelstwo. Bryant odnalazła jej oryginalny paszport i odkryła, że przed pięcioma tygodniami Amy poleciała z Los Angeles do Boa Vista, a za bilet zapłaciła gotówką. Czas i miejsce nie mogły być przypadkowe.

Szybko ustalono, że Amy skorzystała z francuskiej karty kredytowej, wystawionej przez bank Crédit du Nord, aby zapłacić przez internet za pobyt w hotelu w Boa Vista.

Ten nikły trop doprowadził ich do pensjonatu, w którym mieli nadzieję odnaleźć jakieś dodatkowe wskazówki na temat swojego ducha.

– Mam zdjęcie tej dziewczyny – oznajmiła Jenna.

Wyjęła odbitkę fotografii z prawa jazdy Amy. Nie mogła patrzeć na jej uśmiechniętą twarz, wiedząc, ile spowodowała nieszczęść, i przypominając sobie, w jakim była stanie w domku w Yosemite.

Właścicielka hotelu obejrzała zdjęcie i pokiwała powoli głową.

– Pamiętam. Bardzo ładna.

– Czy ktoś jej towarzyszył? – naciskała Jenna. – Albo z kimś się tu spotkała?

– Z kimś, kto mógłby wiedzieć, gdzie jest teraz – dodał Painter.

Kobieta przygryzła dolną wargę, najwyraźniej starając się coś sobie przypomnieć. Potem odparła z namysłem:

– Pamiętam. W nocy przychodzi mężczyzna. Bardzo... – Szukała właściwego słowa, ale w końcu rozczapierzyła palce i zaczęła udawać, że ciska z oczu błyskawice.

– Impulsywny? – podsunęła jej Jenna.

– *Sim* – przytaknęła staruszka. – Ale i przerażający. Senhor Cruz nie lubić go. On syczeć i chować się.

Senhor Cruz to zapewne kocur z ganku.

Jeśli ten nocny gość był współnikiem albo szefem Amy, kot mógł się znać na ludziach. Niewątpliwie polubił Drake'a.

Painter podszedł bliżej, wyciągając plik fotografii.

– Może zdoła go pani rozpoznać. To znajomi Amy.

Rozłożył zdjęcia na ladzie. Byli na nich różni koledzy i współpracownicy Amy. Ale większość fotografii pochodziła z czasów jej młodości, z dawnej strony internetowej Mrocznego Edenu, na której widniały nadal podobizny pierwszych członków tej grupy. Był to najbardziej prawdopodobny trop. Jedno ze zdjęć przedstawiało nawet Amy w grupie przyjaciół jako uśmiechniętą nastolatkę.

Kobieta pochyliła się nad fotografiami, włożyła okulary do czytania i przyjrzała się uważnie każdej z nich. W końcu wskazała jedną z osób na grupowym zdjęciu.

– Ten człowiek. Tu uśmiechnięty, ale nie jak tu był. Wtedy on bardzo... – spojrzała na Jennę – ...impulsywny.

Painter wziął do ręki fotografię i przyjrzał się widocznemu na niej mężczyźnie. Jenna zajrzała mu przez ramię. Podejrzany miał kruczoczarne włosy, zaczesane do tyłu nad przystojną bladą twarzą, i przenikliwe niebieskie oczy.

– Słyszała pani ich rozmowę? – spytał Painter.

– *Não*. Oni pójść do jej pokoju. On wyjść, ale ja go nie widzieć.

– I nikt więcej nie przyszedł?

– *Não*.

Painter wręczył staruszce kilka brazylijskich banknotów.

– *Obrigado*.

Odsunęła pieniądze, kręcąc głową.

– Mam nadzieję, że wy znajecie wasza przyjaciółka. Mam nadzieję, że ona nie z tym mężczyzną.

Jenna poklepała jej dłoń spoczywającą na banknotach.

– To dla Senhora Cruza. Proszę mu kupić dobrą rybę.

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową, zgarniając palcami banknoty z blatu.

– *Obrigado*.

Jenna wyszła z Painterem na werandę.

– Dowiedzieliście się czegoś? – spytał Drake, machając do Schmitta i Malcolma, by się zbliżyli.

Painter westchnął.

– Ktoś ją odwiedził, ktoś z jej przeszłości, z czasów Mrocznego Edenu.

Drake spojrzał groźnie.

– Więc to musi być człowiek, którego szukamy.

– Kim on jest? – spytała Jenna.

– Był założycielem Mrocznego Edenu. – Painter nie wyglądał na zadowolonego i po chwili wyjaśnił dlaczego. – Jak wynika z wszelkich raportów, zmarł jedenaście lat temu.

Jenna spojrzała ponownie na pensjonat.

A więc nadal tropimy duchy.

Godzina 7.45

– Czy to nie piękny widok? – spytał Cutter Elwes.

Kendall chciał zaprzeczyć, zaprotestować, ale spoglądając za balustradę balkonu z kutego żelaza, nie potrafił się na to zdobyć.

Słońce wschodziło właśnie nad krawędzią *tepui*. Burza w nocy ustała, pozostawiając olśniewająco błękitne niebo, ale szczyt nadal osnuwały mgły, pogłębiając złudzenie, że jest to wyspa w chmurach. Poranna poświata nadawała tym mgiełkom barwy miodowego bursztynu i ciemnego różu. Sam płaskowyż zdawał się jaśnieć w blasku świtu wszelkimi odcieniami szmaragdu, podczas gdy staw stanowił idealne odbicie bezchmurnego nieba.

Tak inspirujące piękno mogło łatwo osłabić czujność Kendalla, ale miał się na baczności. Siedział wyprostowany przy stole naprzeciwko gospodarza. Przed nimi stało śniadanie: cała gama kolorowych owoców, ciemne pieczywo oraz jajka i soczewica.

Żadnego mięsa... Cutter Elwes go nie jadał.

Kendall sięgnął po jedzenie, ale nie miał apetytu. Czuł skurcze żołądka na myśl, co go z pewnością czeka tego dnia. Cutter chciał go skłonić do współpracy, do podzielenia się swoją wiedzą, ale Kendall postanowił nie ustępować.

Przynajmniej tak długo, jak się da.

W przeszłości niewielu ludziom udawało się stawić czoło Cutterowi i Kendall wątpił, by coś się w tym względzie zmieniło. Wyobrażał sobie wszelkiego rodzaju nocne tortury, strach, który pozbawi go snu. Jakakolwiek myśl o ucieczce – czy choćby rzuceniu się w przepaść – nie wchodziła w rachubę z powodu towarzyszącego mu jak cień strażnika.

Nawet teraz widział przy drzwiach balkonowych potężną sylwetkę Matea.

Próbując uniknąć rozmowy na temat tego, co miało nastąpić, spojrzał na ochroniarza.

– Mateo... on pochodzi z tej dżungli, prawda? Podobnie jak jego siostra, twoja żona.

Z jakiego są plemienia? Akuntsu? A może Yanomani?

W czasach, gdy Kendall poszukiwał w lasach deszczowych ekstremofili, poznał w Brazylii kilka tubylczych plemion.

– Patrzysz na nich oczami człowieka z Zachodu – skarcił go Cutter. – Gdy się ich bliżej pozna, każde z plemion okazuje się zupełnie inne. Mateo i moja żona należą do miejscowego plemienia Macuxi. Żyją w tych lasach od tysiący lat i są tu taką samą częścią natury jak każdy liść, kwiat czy ukryty w norze wąż. Mają też pewne wyjątkowe predyspozycje.

– Jakie? – spytał Kendall, chcąc podtrzymać ten temat rozmowy.

– Nadzwyczaj często rodzą się im bliźniaki, zarówno jedno-, jak i dwujajowe. Ashuu przysłała na świat jako jedna z trojaczków. Bardzo nietypowych. Ma identyczną siostrę i brata, Matea.

Kendall zmarszczył brew. Dwie identyczne dziewczynki i chłopiec. Słyszał o takich niezwykle przypadkach, o kobietach, które rodziły identyczne bliźniaki i trzecie dziecko, zwane singlem. Choć takie ciąży występują naturalnie, częściej są wynikiem stosowania leków na bezpłodność.

– Myślisz, że Mateo jest takim olbrzymem... – Kendall zniżył głos, gdyż ciekawość wzięła nad nim górę – ponieważ urodził się jako singiel?

– Możliwe. Może to genetyczna anomalia, wtórna wobec dziwnej konfiguracji narodzin trojaczków. Ale bardziej fascynuje mnie niezwykła liczba mnogich ciąży w tym plemieniu. Zastanawiam się, czy w tutejszym lesie deszczowym nie występuje jakiś nieodkryty dotąd naturalny odpowiednik leku na bezpłodność.

Była to interesująca hipoteza. Lasy deszczowe stanowiły źródło wielu nowych specyfików, od leku na malarię po skuteczne preparaty antyrakowe. I z pewnością można było jeszcze dokonać setek innych odkryć. Pod warunkiem że te lasy przetrwają, a nie będą wycinane i wypalane, by powiększyć obszary upraw lub pozyskać drewno.

Ale to nasuwało kolejne pytanie.

– Sporo wiesz o tym plemieniu – powiedział Kendall. Zwerbowałeś nawet tubylców, żeby dla ciebie pracowali, pomyślał. – Jak udało ci się nakłonić ich do współpracy? Zwłaszcza tutaj. Jeśli dobrze pamiętam, większość z nich boi się tych *tepui*.

– Ale nie Macuxi. Otaczają wciąż te płaskowyże jako siedzibę bogów. Wierzą, że stare tunele, jaskinie i kratery są przejściami do podziemnego świata, w którym potężni giganci przekazują zgromadzoną przez wieki wiedzę. – Cutter spojrział z balkonu na dżunglę w dole i widoczny w świetle dnia ogromny mroczny lej. – Może mają rację.

Kendall pomyślał, że jego rozmówca uważa się za jednego z tych boskich gigantów, strażnika ogromnej wiedzy.

– Czy wiesz, że mój znakomity przodek, Cuthbert Cary-Elwes, był jezuitą? – spytał Cutter. – Przez dwadzieścia trzy lata mieszkał wśród tubylców z plemienia Macuxi, darzony przez nich wielką miłością. Wspominają go nadal w opowieściach, które należą do ich ustnej tradycji.

Kendall podejrzewał, że siedzący naprzeciw niego wyrachowany i elokwentny człowiek wykorzystał ten fakt, by przekonać tubylców do swojej sprawy. Czyżby ożenił się z Ashuu z tego samego powodu – żeby umocnić więzi z nimi poprzez małżeństwo? Kendall wiedział, jak bardzo tubylcy szanują rodzinne koligacje i dawne zobowiązania, nawet długi poprzednich pokoleń. Aby przetrwać w dzikiej dżungli, członkowie wspólnoty musieli być solidarni i wzajemnie się strzec.

– Jeśli już się najadłeś, bierzmy się do pracy! – zawołał Cutter, zrywając się i zacierając

ręce.

Kendall obawiał się tej chwili, ale podźwignął się na nogi. Zamierzał przynajmniej się dowiedzieć, co tamten knuje – a potem przeciwstawić mu się najenergiczniej, jak potrafi.

Cutter poprowadził go z powrotem do wnętrza domu i do windy ozdobionej – jak w starym hotelu – kutym żelazem we francuskim stylu. Gdy Kendall i Mateo wsiedli do kabiny, wcisnął guzik najniższej kondygnacji.

Kendall obserwował przez pręty żelaznych drzwi kolejne umykające piętra. Minęli ogromną bibliotekę, potem salon z wielkim kominkiem, aż w końcu dotarli na parter z przestronnym holem – ale winda wcale się tam nie zatrzymała.

Nadal zjeżdżała.

Otoczały ich ściany z surowego piaskowca. Zanurzali się w głąb *tepui*, w podziemny labirynt z opowieści plemienia Macuxi. Winda opadała jeszcze przez dwadzieścia długich sekund, po czym znalazła się w jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu.

Kendall musiał trochę wysilić umysł, by uświadomić sobie, co widzi. Nie było już śladu kamiennych ścian. Zobaczył natomiast przed sobą ogromne laboratorium, lśniąca stalą nierdzewną i nieskazitelnie gładkimi zdezynfekowanymi powierzchniami. Przy różnych stanowiskach krzątało się kilku pracowników w białych fartuchach.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Cutter, wypuszczając go z windy. – To prawdziwe serce Mrocznego Edenu.

Kendall przyjrzał się nowoczesnemu wyposażeniu laboratorium. Wzdłuż jednej ze ścian stał długi rząd stołów oraz regałów ze sterylizatorami, wirówkami, pipetami, zlewkami i menzurkami. Za grubymi stalowymi drzwiami pod drugą ścianą znajdowały się lodówki i zamrażarki. Zauważył również ciemne szklane drzwi, za którymi mieścił się zapewne inkubator.

Ale większość przestrzeni na środku zajmowały szeregi stanowisk z aparaturą do badań genetycznych, termocyklery do przeprowadzania reakcji łańcuchowej polimerazy i syntezatory DNA, używane do tworzenia wysokiej jakości oligonukleotydów. Rozpoznał również sprzęt wykorzystujący najnowszą technologię CRISPR-Cas9 do manipulowania łańcuchami DNA.

To urządzenie najbardziej go przeraziło. Było nowoczesne i proste w obsłudze, a zarazem tak wydajne, że kilka grup naukowców w Stanach Zjednoczonych użyło go już do zmutowania wszystkich genów znajdujących się w ludzkich komórkach. Niektórzy nazywali je „maszynką ewolucji”. Możliwość, że wpadnie ono w niepowołane ręce, niepokoiła już agencje bezpieczeństwa narodowego, obawiające się, co może z tego wyniknąć, przypadkowo lub wskutek celowego działania.

Od jak dawna Cutter był w posiadaniu tej technologii?

Kendall tego nie wiedział, ale zdawał sobie sprawę, że to laboratorium było o wiele większe i nowocześniejsze niż jego. Co więcej, dalej znajdowały się jeszcze inne pomieszczenia, umożliwiające badania na ogromną skalę.

Z trudem dobywając głos, spytał ochryple:

– Co ty wyprawiasz, Cutter?

– Robię zdumiewające rzeczy... wolny od rządowych regulacji i wszelkiej kontroli. Dzięki temu sięgnąłem granic możliwości. Choć przyznam z pokorą, że wyprzedzam zaledwie o pięć, sześć lat niektórych twoich kolegów. Ale to, co zdołałem już osiągnąć... stworzyć... – Cutter spojrział na niego. – A ty, drogi przyjacielu, możesz nauczyć mnie o wiele więcej.

Kendall z przerażeniem przełknął ślinę.

– Czego ode mnie chcesz?

– Stworzyłeś w swoim laboratorium idealne eVLP, pustą osłonę, tak małą, że może przeniknąć do każdej żywej komórki. Znakomita robota, Kendall. – Cutter pokręcił głową z szacunkiem. – Możesz być dumny.

W tym momencie Kendall bynajmniej nie czuł dumy.

– Stworzyłeś idealnego konia trojańskiego – kontynuował Cutter. – Można włożyć cokolwiek do jego wnętrza i nic się przed nim nie obroni. To perfekcyjny genetyczny nośnik. – W jego głosie zabrzmiała nuta nagany. – Ale zaprojektowałeś tę pustą osłonę, korzystając z obcego kodu genetycznego, innego niż DNA, prawda?

Kendall starał się ukryć swoją reakcję przed jego przenikliwym wzrokiem. Czy ten łajdak wie, co odkryli z Harringtonem na Antarktydzie? Czy zna pochodzenie XNA, którego użyli do skonstruowania osłony wirusa?

Uznał, że czas stawić mu czoło. Wyprostował ramiona, nie dając się zastraszyć.

– Nie będę z tobą współpracował – oświadczył. – Zabiorę do grobu metodę tworzenia tej osłony.

Śmiech Cuttera przeniknął go do szpiku kości.

– Och, nie ma potrzeby, mój przyjacielu! Jeden z twoich młodszych kolegów był na tyle miły, że przesłał mi pięć miesięcy temu próbkę, dzięki której ją zrekonstruowałem. Mam teraz zapasy, które wystarczą mi na lata.

Kendall starał się nadażyć za tokiem myślenia przeciwnika.

– Więc... czego chcesz ode mnie?

– Chodzi raczej o to, co mogę dla ciebie zrobić.

– Jak to?

– Chcę ci pomóc powstrzymać epidemię, która szerzy się w Kalifornii. Odkąd znalazłeś się pod moją opieką, twój syntetyczny wirus, uwolniony z zamknięcia, rozprzestrzenił się jeszcze bardziej z powodu niedawnej burzy. Niedługo będzie wszędzie, nawet poza granicami kraju.

Kendall obawiał się takiej sytuacji, ale słysząc teraz, że do niej doszło...

– Nie ma sposobu, żeby go zniszczyć – przyznał zdławionym, przerażonym głosem. – Próbowałem wszystkiego.

– Ach, po prostu myślisz zbyt szablonowo. – Cutter postukał się palcem w głowę. – Trzeba wyzbyć się czasem naukowych dogmatów. Znaleźć nowe twórcze rozwiązania. Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony, że dotychczas nie zastosowałeś tego, które ty i profesor Harrington mieliście cały czas przed oczami.

Słowa Cuttera nie pozostawiały wątpliwości, że wie o badaniach Harringtona. Z każdym jego zdaniem Kendall coraz bardziej tracił nadzieję.

– A co chcesz w zamian za to lekarstwo? – spytał Kendall.

– Tylko twoją współpracę, nic więcej. Udało mi się odtworzyć tę pomysłową osłonę wirusa, ale nie zdołałem jej wypełnić, zamienić w żywy organizm.

Kendall rozumiał jego frustrację. Pracował nad tą techniką ze swoją ekipą długie lata, stosując metodę prób i błędów. Potem udoskonalił ją osobiście i nikomu nie udostępnił. Teraz ugięły się pod nim kolana na myśl o tym, co Cutter zamierza umieścić w osłonie wirusa i rozprzestrzenić po świecie.

Ten musiał wyczytać strach w jego oczach, bo uniósł rękę, mówiąc:

– Przysięgam, że to, co zamierzam zrobić, nie uśmierci żadnego człowieka ani zwierzęcia na tej planecie.

Kendall powątpiewał w jego uczciwość, ale wiedział, że Cutter dotrzymuje słowa. Miał w tym względzie dziwne poczucie honoru.

– Ale jeśli nie zechcesz współpracować, z każdą mijającą godziną sytuacja w Kalifornii będzie się pogarszała. Wkrótce nawet ja mogę nie być w stanie temu zaradzić. Pomóż mi, a ocalisz świat. Jeśli odmówisz, zniszczy go dzieło twoich własnych rąk. To będzie twoje dziedzictwo.

– Przysięgasz, że masz ten lek?

Cutter trzymał rękę w górze, patrząc mu w oczy.

– Mam i przetestowałem go. Poskutkuje, ale, jak powiedziałem, jeśli będziemy czekać zbyt długo, może mieć ograniczone działanie.

– A jeżeli zgodzę się na współpracę, dasz mi go i pozwolisz przekazać odpowiednim władzom?

– Tak. Wcale nie pragnę, żeby twój wirus spowodował spustoszenie. Chcę go unieszkodliwić tak samo jak ty.

Kendall wierzył mu. Mimo ciemnych stron swego charakteru Cutter pozostał obrońcą środowiska. Nie chciałby, żeby świat zginął. A jednak...

– Więc dlaczego wysadziłeś w powietrze moje laboratorium? – spytał Kendall, znów z większą pasją w głosie. – Dlaczego wszystkich zabiłeś i wypuściłeś wirusa?

Cutter przyglądał mu się, jakby odpowiedź była oczywista.

Kendall nagle zrozumiał i zadrżał, uświadamiając sobie jego zuchwałość.

– Zrobiłeś to, żeby wyrzucić na mnie nacisk, prawda? Żebym podzielił się z tobą wiedzą.

– Widzisz, drogi przyjacielu – Cutter się odwrócił – już zaczynasz myśleć nieszablonowo. Bierzmy się do pracy.

Kiedy przeszedł kilka kroków, w kieszeni jego kurtki safari zadzwoniła komórka. Wydobył ją i powiedział kilka słów, prawdopodobnie w języku Macuxi. Jediną oznaką jego konsternacji była pojedyncza zmarszczka na nieskazitelnie gładkim czole.

Gdy skończył, oznajmił z westchnieniem:

– Zdaje się, że mamy kolejny problem. Ktoś dotarł tu za tobą z Kalifornii i zadaje niepotrzebne pytania.

Kendallowi błysnęła iskierka nadziei, ale zaraz zgasła, gdy Cutter pokręcił głową, najwyraźniej lekceważąc problem.

– Nieważne. To da się szybko załatwić.

Godzina 8.07

– Ten głupek nie mówi chyba poważnie – powiedział do telefonu Painter.

Przechadzał się obok kafejki w pobliżu centralnej dzielnicy Boa Vista. Pozostali byli wewnątrz; zamawiali kawę i śniadanie. Zadzwonił już wcześniej do Kat, aby zdobyć jak najwięcej informacji na temat nieżyjącego założyciela Mrocznego Edenu, niejakiego Cuttera Elwesa. Czekał, aż Kat oddzwoni, połączył się z Centrum Szkolenia Oddziałów Górskich, by dowiedzieć się, co tam nowego.

– Nie jest dobrze – oznajmiła Lisa. – Po nocnej burzy skażenie rozprzestrzeniło się daleko

poza dotychczasowe granice. Strumienie wody, których nie byliśmy w stanie kontrolować, przeniosły infekcję na obszary odległe o wiele kilometrów.

Painter wyobraził sobie czarną plamę rozlewającą się jak nowotwór po zboczach gór.

– Rozszerzyli strefę kwarantanny o czterdzieści kilometrów we wszystkich kierunkach. Park Yosemite został ewakuowany. Jest tu teraz dopiero po piątej rano, ale o świcie rozpoczną się dokładniejsze poszukiwania. Będą musieli podjąć decyzję zależnie od tego, co znajdą. Co gorsza, w ciągu najbliższych trzech dni nadal spodziewana jest zła pogoda. Jedna burza za drugą.

Painter miał nadzieję na poprawę pogody, ale najwyraźniej się na to nie zносиło. Matka Natura wydawała się zdeterminowana zniweczyć jego wysiłki.

– Z obawy, że skażenie może się rozprzestrzenić na całą Kalifornię – ciągnęła Lisa – Lindahl zaproponował zastosowanie ładunku nuklearnego. Poważnie biorą to pod uwagę.

Painter pożałował nagle, że poleciał do Brazylii.

Powinennem przewidzieć, że Lindahl wymyśli coś tak głupiego.

– Na ile poważnie rozważają tę opcję?

– Bardzo serio. Lindahl ma już poparcie ekipy, która szukała sposobu na zniszczenie tego organizmu. Są zgodni, że największe szanse na sukces daje fala ognia i promieniowanie po detonacji średniej wielkości bomby. Testują już symulacje eksplozji i oceniają potencjalnie najgorsze scenariusze wydarzeń.

– A co ty sądzisz?

Lisa wahała się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała:

– Sama nie wiem, Painter. W pewnym sensie Lindahl ma rację. Coś trzeba zrobić, bo inaczej osiągniemy masę krytyczną i wszystko stracimy. Jeśli eksplozję da się kontrolować, by ograniczyć opad radioaktywny, może warto zaryzykować. Takie drastyczne rozwiązanie mogłoby przynajmniej obezwładnić tego wirusa, dać nam czas na wymyślenie nowej strategii.

Nadal nie mógł uwierzyć, że pozostała im tylko taka opcja.

– A może jestem po prostu zmęczona – dodała Lisa. – Nie mogę zebrać myśli. Stan Joshua się pogorszył. Lekarze wprowadzili go w stan śpiączki, żeby kontrolować ataki. Z Nikkiem też nie jest lepiej. Jak powiedziałam, coś trzeba zrobić.

Painter pragnął ją przytulić i pocieszyć, a tymczasem musiał jeszcze bardziej naciskać.

– Liso, musimy zyskać na czasie. Powstrzymaj Lindahla. Przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny.

– Jeśli mamy aż tyle czasu...

– Coś wymyślimy – obiecał Painter, ale jego słowa nie zabrzmiały tak przekonująco, jak miał nadzieję. – Jeśli nie my, to Gray.

– Czy Kat miała jakieś wiadomości od niego?

– Na razie nie. Ale mówi, że burza słoneczna słabnie i jest nadzieja na przywrócenie jeszcze dzisiaj łączności satelitarnej. Więc wstrzymajmy się z tą opcją nuklearną, dopóki nie nawiążemy kontaktu z Grayem.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Ja także, pomyślał.

Pożegnał się z nią i szedł w kierunku drzwi kafejki, gdy pocisk drasnął go w ramię i roztrzaskał szybę w lokalu.

Upadł na kolano, a kolejne pociski podziurawiły front kafejki. Szkło rozprysło się nad jego głową, gdy przekoziółkował, by ukryć się za kubłem na śmieci.

Dostrzegł kątem oka, że jego ludzie przypadają do podłogi w kafejce. Zobaczył również za

ich plecami trzech ubranych na czarno mężczyzn, którzy wypadli z kuchni, strzelając z broni automatycznej do gości przy stolikach. Przez ulicę biegła kolejna trójka napastników z dymiącymi lufami karabinów.

Painter, przygwożdżony do ziemi, uzmysławiając sobie beznadziejność ich sytuacji, zdążył pomyśleć tylko jedno:

Gray, obyś ty miał więcej szczęścia.

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda
30 kwietnia, godzina 12.09 czasu miejscowego

– Wszyscy do gondoli! – krzyknął Harrington, biegnąc do wagonika kolejki, wiszącego na linach przy platformie obserwacyjnej obłożonej stacji Przylądka Piekła. – Natychmiast!

Gray, wpatrzony w mroczny podziemny świat za osłoniętą szkłem platformą, nie od razu go posłuchał. Reflektory, umieszczone na tyłach stalowej nadbudówki, oświetlały obszar znajdujący się bezpośrednio w dole. Ale nawet światło tych potężnych ksenonowych lamp nie było w stanie przeniknąć w głąb mrocznej, przepastnej otchłani.

Pięćdziesiąt metrów dalej skaliste podłoże znikało w wodach ogromnego jeziora. Jego czarna powierzchnia bulgotała i wydzielala żółtawy dym, tworząc toksyczną mgiełkę. Na prawym brzegu jeziora wznosiła się skalna półka. Od podstawy nadbudówki do tego naturalnego mostu prowadziły błotniste ślady gąsienic.

Komandor przypomniał sobie zaparkowane w hangarze małe amfibie. Rozumiał teraz, do czego są potrzebne wśród arktycznych lodów.

– Szybciej! – rzucił Harrington.

Otworzył podwójne drzwi prowadzące do gondoli i wskoczył do kabiny. Podbiegł do konsoli i wcisnął duży czerwony guzik. W stalowej nadbudówce rozbrzmiał głośny dźwięk syreny.

Gray popchnął Kowalskiego w kierunku gondoli.

– Do środka!

Jason i Stella ruszyli za nimi.

Wchodząc do kabiny, komandor wzdrygnął się z powodu hałasu. Gdy zamknęły się drzwi, słyszeli już tylko przytłumiony odgłos syreny, co dowodziło, jak szczelna jest gondola.

– Co pan robi, profesorze? – spytał. – Co pan zamierza?

– Chcę wydostać się stąd i znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Harrington pociągnął za dźwignię i wagonik ruszył. Nie podążał jednak z powrotem przez nadbudówkę w kierunku toczonej w hangarze bitwy, lecz do przodu, w głąb potężnej jaskini.

Pochyliwszy się nieco i wykręciwszy szyję, Gray dostrzegł, że czarne stalowe prowadnice biegną wzdłuż sufitu jaskini i są wsparte miejscami na słupach, by zapewnić względnie stabilny ruch wagonika.

– Dokąd jedziemy? – spytał, wyprostowując się.

– Do Tylnych Wrót. – Harrington wskazał ręką przed siebie, drugą trzymając nadal na długiej czerwonej dźwigni. – To podstacja, jakieś sześć kilometrów stąd. Wychodzi się przez nią na powierzchnię, tuż za urwiskami Fenriskjeften.

Komandor przypomniał sobie łańcuch poszarpanych szczytów w pobliżu wybrzeża.

– Tam jest radio – dodała Stella. – A w garażu stoi amfibia.

– Więc zamierzamy po prostu uciec? – spytał Kowalski.

– Nie. – Profesor wskazał na czerwony guzik, który niedawno wcisnął. – Ogłosiłem właśnie powszechną ewakuację. Brytyjscy żołnierze będą odpierali szturm komandosów Dylana Wrighta, jak długo potrafią, ale wiedzą, że po trzydziestu minutach muszą zniknąć. Opuścić ten teren.

– Dlaczego? – spytał Gray.

– Na tyłach tej stacji zgromadzono cały arsenał bomb przeciwbunkrowych. Jest wśród nich amerykański pocisk penetrujący o masie piętnastu tysięcy ton. Jego eksplozja zniszczy bazę i zasklepi wejście do kompleksu jaskiń i wszystkiego, co się tam znajduje.

– Kiedy ten wybuch ma nastąpić?

Harrington wydawał się zmartwiony.

– Eksplozję można wywołać tylko z Tylnych Wrót – odpowiedziała Stella. – Kod zna jedynie mój ojciec.

Gray zmarszczył brwi. A więc brytyjscy żołnierze uciekną frontowym wyjściem, a my wymkniemy się tylnymi drzwiami, wysadzając wszystko za sobą. Dlaczego, do cholery, był tu potrzebny taki poziom zabezpieczeń?

Zanim zdążył zadać to pytanie, poczuł potworny ból w skroniach – ale nie tylko on. Kowalski też chwycił się za głowę, jęcząc:

– Jasna cho...

Jason padł na kolana, jakby chciał zwymiotować.

– Za kilka sekund będzie po najgorszym – rzucił Harrington przez zaciśnięte zęby.

Komandor oddychał głęboko; on również omal nie zwrócił śniadania. Potem ból zaczął stopniowo ustępować. Ustały wibracje zębów trzonowych. Domyślił się źródła tej nagłej udręki.

– LRAD?

Urządzenie dźwiękowe dalekiego zasięgu.

Harrington przytaknął.

– Mamy tu działka akustyczne, wycelowane na stałe w głąb jaskini na skraju bazy. Mają trzymać na dystans intruzów. Stwierdziliśmy, że kombinacja ultradźwięków i infradźwięków stanowi tu skuteczny środek odstraszający. Lepszy niż broń palna.

Gray przytknął dłoń do ściany, by zachować równowagę. Na szczęście gondola miała dobrą izolację. Mógł sobie jedynie wyobrazić, jak intensywny jest ten dźwięk na zewnątrz.

Jason wskazał na szklany właz w podłodze, który miał pod stopami. Przez szybę widać było w dole krzesło, zamontowane w przezroczystej kabinie u spodu gondoli i ustawione obok broni z dużą stożkową czaszą.

– To też działko akustyczne, prawda? – spytał Jason.

Stella skinęła głową.

– W razie potrzeby można je zamienić na karabin maszynowy.

– Kiedy znajdziemy się poza strefą buforową, możemy potrzebować obu typów broni, żeby ochronić gondolę, jeśli wpadniemy w poważne kłopoty – wyjaśnił profesor.

Jakiego rodzaju kłopoty? – zastanawiał się Gray.

Za oknami wagonika panowała nieprzenikniona ciemność. Oświetlona lampami stacja, którą zostawili za sobą, znikła w mroku, odbita w powierzchni kipiącego jeziora. Kolejka skręciła nagle w przepastny tunel i stracili z oczu nawet to ostatnie światło.

Harrington podszedł do szafki i otworzył drzwiczki. Wisiały tam rzędem na hakach ciężkie

gogle – noktowizory.

– Załóżcie je. Wyłączę światła gondoli, zanim ktoś nas zauważy. Potem zapalę zewnętrzne lampy na podczerwień.

Komandor założył noktowizor, a Harrington wygasił oświetlenie wnętrza wagonika. Gogle wychwytywały drobne plamki światła diod z konsoli, ale za oknami panował nieprzenikniony mrok. W tym pozbawionym słońca i księżyca podziemnym świecie nawet noktowizory były bezużyteczne.

Profesor włączył zewnętrzne lampy i bezkresną ciemność przeniknęły promienie podczerwieni. Choć nie były widoczne gołym okiem, dzięki goglom mogli zobaczyć to, co przed chwilą ukrywał mrok.

Gray otworzył usta ze zdumienia.

Kowalski pokręcił tylko głową.

– Coś mi mówi, że będziemy potrzebowali cięższej broni.

Godzina 12.14

Jason przycisnął dłonie do szyby, chłonąc wzrokiem to, co widział, gdy opancerzona gondola posuwała się powoli po swoim torze pod sklepieniem tego nowego świata.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – spytała Stella.

– Nie... nigdy.

Przepastny tunel był dostatecznie wysoki, by pomieścić Statuę Wolności. Jej pochodnia nie zahaczyłaby nawet o rzędy stalaktytów zwisających ze sklepienia jak ostre kły. W dole płynęła zygziem wzburzona rzeka, osnuta mgłą pary wodnej. Gondola sunęła przez labirynt potężnych filarów.

Gdy mijala jeden z nich, Jason zauważył, że łączą go ze sklepieniem kamienne przypory. Z bliska chropowata powierzchnia filaru wydawała się dziwnie pofałdowana, niemal jak kora.

Przyjrzał się jej jeszcze dokładniej.

– To jest kora – uzmysłowił sobie nagle i powiedział to na głos, oglądając się za znikającą kolumną.

– Mijamy skamieniały las – wyjaśniła Stella. – Relikt dawnych czasów, gdy Antarktyda była zielona i tętniła życiem.

– To *Glossopteris*, rośliny strefy półtropikalnej – oznajmił Harrington. – W ostatnich dekadach archeolodzy odkryli na powierzchni kontynentu trzy takie stare lasy. Ogromne skamieniałe pnie z rozrzuconymi wokół nich skamielinami liści.

– Ale nigdzie nie zachowały się tak dobrze jak tutaj – dodała Stella z nutką dumy.

Jason przypomniał sobie pewien szczegół z opowieści Darwina o mapie dawnych mieszkańców Ziemi Ognistej: to miejsce było na niej oznakowane kępą drzew. Właśnie obietnica zielonej oazy w krainie lodu skusiła załogę *Beagle'a* do odbycia feralnego rejsu.

Czy to mógł być ten las? Czy to te skamieniałe drzewa mieszkańcy Ziemi Ognistej narysowali na swojej mapie?

Jason, zafascynowany widokiem, obserwował cały teren z lotu ptaka. Gdy patrzył na płynącą w dole rzekę, coś dużego wygramoliło się z wody i po chwili zniknęło. Początkowo

sądził, że to złudzenie optyczne, ale po chwili pojawił się kolejny stwór i jeszcze jeden.

– Coś wychodzi z wody – powiedział.

Gray stanął przy nim.

– Gdzie?

Zanim chłopak zdążył wskazać ręką, z mielizny wyszedł na brzeg ogromny, przypominający skorupiaka biały pająk. Był wielkości małego cielaka, miał z przodu parę dużych szczypców, a wzdłuż pancerza – kolce. Nagle te kolce zbiegły z grzbietu pająka i zaczęły zdrapywać z mokrych skał czarne algi.

Z ukrytego wśród stalaktytów gniazda sfrunął ciemny ptak i wylądował na czubkach zakończonych pazurami skrzydeł. Przebił ostrym dziobem i pożarł jedno z małych stworzeń, po czym sięgnął po następne.

Większy skorupiak, by obronić swoje młode, rzucił się na napastnika, trzaskając szczypcami. Aby uniknąć walki, drapieżca wzbił się w powietrze i przeleciał szerokim łukiem w pobliżu gondoli. Miał skrzydła o rozpiętości dwóch metrów, ciało pokryte czarnymi łuskami, głowę jak krokodyl i dziób w kształcie sztyletu.

– To mniejszy przedstawiciel tego gatunku – wyjaśnił Harrington. – Nazwaliśmy go *Hastax valans*, co po łacinie znaczy latająca włócznia. Znajdowaliśmy osobniki trzykrotnie większe. Ten biały homar to *Scalpo cancer*, czyli rzeźbiony pazur.

– Co jeszcze tam żyje? – spytał komandor Pierce.

– Mnóstwo innych organizmów, cały kompletny ekosystem. Nadal próbujemy sklasyfikować wiele z nich. Na razie zidentyfikowaliśmy ponad tysiąc nowych gatunków, poczynając od prymitywnego *Lutox vermem*...

– To rodzaj błotnej glisty – wtrąciła Stella.

– ...po osiagającego rozmiary słonia *Pachycerex ferocis*.

– To zdumiewające! – rzucił Jason, nie potrafiąc ukryć zachwytu i przerażenia.

Gray wiedział, że współpracownik Harringtona – doktor Hess – poszukiwał na całej planecie przykładów alternatywnej biosfery, radykalnie nowych form życia.

Zdaje się, że tutaj znalazł ich pod dostatkim.

– To pierwsze tego typu środowisko naturalne – oświadczył Harrington. – Unikatowy ekosystem xenobiologiczny.

– Xenobiologiczny? – powtórzył Jason, unosząc brwi.

Stella wyjaśniła mu, o co chodzi, wykazując się wiedzą magistra biologii ewolucyjnej.

– Chodzi o biologiczny ekosystem, oparty na innych zasadach niż reszta życia na planecie. Dlatego zastosowaliśmy klasyfikację taksonomiczną, w której występuje litera X we wszystkich nazwach łacińskich, żeby odróżnić różne nowe gatunki jako *xenobiologiczne*.

Jason nie mógł oderwać wzroku od tego, co widział w dole.

Krążący w powietrzu drapieżca wydawał się gotowy zanurkować ponownie w kierunku białego *Scalpoxa* i jego potomstwa. Przeleciał nisko nad wodą, rozpraszając mgłę. Z rzeki wystrzeliły w górę – jakby zwabione jego lotem – fosforyzujące kule średnicy dwudziestu centymetrów. Jason zsunął na chwilę gogle. Kule iskrzyły w mroku, przypominając mu bioluminescencyjne organizmy występujące w głębokich rowach oceanicznych. Tyle że te świetliste przynęty zostały wypuszczone przez ukrywające się pod wodą większe stwory: wijące się w rzecie ogromne węgorze.

Skrzydlaty drapieżca przeleciał przez gąszcz świecących kul, roztrzaskując je i zahaczając o nie skrzydłami. Za każdym razem, gdy ich dotykał, słychać było skwierczenie palącego się

ciała. W końcu *Hastax*, wijąc się z bólu, runął do wody. Jason obserwował, jak pod ciemnym lustrem wody monstrualne węgorze osaczają swoją zdobycz.

Ich atak przypomniał mu technikę polowań żabnicy – ryby, która wykorzystuje podobnego typu bioluminescencyjną przynętę do zdobywania pożywienia.

Stella wymieniła nazwę tego nowego drapieźnika głosem zdławionym ze strachu:

– *Volitox ignis*.

Jason znał wystarczająco łacinę, by domyślić się, co to znaczy.

– Pływający ogień.

– To jeden z najgroźniejszych tutaj gatunków. Przypominają kształtem pytona, są bardzo szybkie pod wodą i potrafią wypuszczać te ogniste kule, by dopaść ofiarę w powietrzu lub na brzegu. Są również niewiarygodnie płodne: wydają na świat ogromnie dużo mięsożernego potomstwa. Co gorsza, ich młode rodzą się ze szczątkowymi kończynami, dzięki którym mogą wychodzić na ląd. Nie ma przed nimi ucieczki.

– Przedstawiciele gatunku *Volitox* są też bardzo inteligentni – dodał Harrington, z równie pośepną miną. – Polują stadami, stosując rozmaite techniki zasadzek. Nawet nasza broń akustyczna jest wobec nich bezużyteczna.

Stella skrzywiła się.

– Podczas pierwszych ekspedycji straciliśmy trzech ludzi... zanim zdobyliśmy doświadczenie.

– Tam w dole jest dziki, obcy świat – przyznał Harrington. – Rozwinęły się w nim inteligentne i przerażające strategie przetrwania.

Jason wpatrywał się w wodę, która znów była czarna i ukrywała to, co czaiło się pod jej powierzchnią.

Zdaje się, że nam też przydałaby się jakaś błyskotliwa strategia, przemknęło mu przez głowę.

Godzina 12.16

– Nie ma ich, panie majorze – oznajmił zastępca dowódcy.

– Widzę.

Major Dylan Wright wpatrywał się w puste stanowisko gondoli przy platformie obserwacyjnej. Wściekłość paliła go jak rana od pocisku, który drasnął mu udo. Stracił podczas szturmów dwóch ludzi, próbując w pośpiechu nie dopuścić, by Harrington zbiegł.

Bertram i Chessie, odnotował w myślach, zamierzając w odpowiednim czasie uczcić ich pamięć. Ale miał jeszcze do dyspozycji dziesięciu żołnierzy, którzy czekali na jego rozkazy.

– Bomby – odezwał się. – Co powiedział Gleeson?

Jego zastępca, muskularny Szkot o nazwisku McKinnon, pokręcił głową.

– Zdaje się, że po naszym odejściu zainstalowano w bazie nowy system. Gleeson może znaleźć sposób, żeby rozbroić bomby, ale nie w ciągu pół godziny.

Harrington nie potrzebuje aż tyle czasu, by dotrzeć do Tylnych Wrót, pomyślał major.

Dylan przeklął fakt, że przed szesnastoma miesiącami zostały zdemaskowane działania jego ekipy. Musieli uciekać pospiesznie z Przylądka Piekiła, by nie dać się złapać. Pozostała część

jego misji napotykała przez to liczne trudności. Na szczęście był dość przewidujący, by zakopać bomby zapalające w lodowym szelfie pod Stacją Halleya. Miał nadzieję, że pozbył się dzięki nim grupy Amerykanów. Przypomniawszy sobie człowieka, który strzelał do twin ottera. Z trudem udało im się wrócić do bazy. Ale realizowali swój plan.

Aż do tej chwili...

– Mógłbym wysłać grupę na ląd – zaproponował McKinnon. – Zastawimy tam na nich pułapkę.

– Jeśli podnieśli poziom bezpieczeństwa tutaj, pewnie tam zrobili to samo.

Poza tym podstacja Tylne Wrota znajdowała się za niebezpiecznymi skalistymi urwiskami. Nikt nie dotarłby tam na czas, by powstrzymać Harringtona przed wysadzeniem tego miejsca w powietrze.

A do tego nie można było dopuścić.

W każdym razie nie przed zakończeniem misji.

W słowniku jego pracodawcy nie było słowa „porażka”. Cutter Elwes zapłacił słono za usługi zespołu Dylana, w tym za wręczanie ogromnych łąpówek i pociąganie za odpowiednie sznurki, by powierzono im zadanie ochrony stacji. Od tamtej pory dostarczali mu przez lata informacji na temat tego miejsca, posłuszni wszelkim jego instrukcjom.

A teraz gra dobiegała końca.

Jeśli wygrają, będą urzędzeni do końca życia.

McKinnon przestąpił z nogi na nogę.

– Co robimy dalej? – spytał.

Major obmyślał różne scenariusze, spoglądając w mroczną jaskinię. Harrington umknął im sprzed nosa, jak lis ogarom jego ojca. Ale Dylan zawsze odnosił sukcesy na polowaniu – przynajmniej w rodzinnych stronach – i nie zamierzał zawieść teraz.

Oparł dłoń na kaburze, mieszczącej dziewiętnastowieczny pistolet Howdah, jeden z rzadkich skarbów, których nadal był właścicielem, choć przez ostatnich kilkadziesiąt lat jego rodzina przeżywała ciężkie czasy. Tę dwulufową broń, o długości prawie pół metra, łądowało się wykonywanymi na zamówienie nabojami kalibru .577 i odpalało dwoma odbojowymi kurkami. Pistolet pochodził z czasów brytyjskich rządów w Indiach, gdy jego krewni byli tam królami. Nazwa *howdah* nawiązywała do siodła zakładanych słoniom, a broń dużego kalibru wykorzystywano wtedy do obrony przed atakami tygrysów lub polowań na grubego zwierza.

Wypróbował ją nawet tutaj, przeciw mieszkańcom Przylądka Piekła.

Zacisnął palce na rękojeści, szykując się do kolejnych łowów w tych mrocznych jaskiniach.

– Przygotuj ludzi! – rozkazał. – Załadujcie wszystko na amfibie. Ruszamy za nimi. Na pełnym gazie.

– Profesor znacznie nas wyprzedził – ostrzegł go McKinnon.

Dylan uśmiechnął się ironicznie, świadomy wyzwania.

– Więc będziemy musieli coś z tym zrobić.

Godzina 12.17

W gondoli zapanowała głucha cisza, gdy wszyscy pogрузyli się w myślach. Gray wpatrywał się od pewnego czasu w licznik kilometrów. Pokonali zaledwie jedną czwartą drogi od

zapasowej stacji, zwanej Tylnymi Wrotami.

Obserwował świat poza ich marną kryjówką. Mieli jeszcze do pokonania spory odcinek drogi, ale chciał zdobyć jak najwięcej informacji, zanim dotrą do końca trasy.

– Więc skąd się to wszystko wzięło? – zapytał w końcu, przerywając pełną napięcia ciszę. – Jak ten ekosystem mógł tutaj tak długo przetrwać bez promieni słońca?

– Nie znam odpowiedzi na pana pierwsze pytanie – odparł Harrington. – Ale mam swoje teorie. A co do tego, jak ten ekosystem mógł przetrwać, to w bardzo podobnych warunkach rozwijają się organizmy w kominach hydrotermalnych w głębinach oceanów. Nikt nie spodziewał się znaleźć życia na tych głębokościach, w wiecznej ciemności i ekstremalnych temperaturach. Ale Natura znalazła sposób. Tak samo jest tutaj, tyle że na większą skalę.

Harrington wskazał ręką na wrzącą wodę.

– Siłą napędową tego ekosystemu nie jest słońce, czyli fotosynteza, lecz substancje chemiczne, chemosynteza. Cały proces zapoczątkowują chemoautotroficzne bakterie, które żywią się siarkowodorem lub metanem, związkami powstającymi bez przerwy w labiryncie jaskiń w wyniku aktywności geotermicznej. Bakterie te tworzą grube pokłady, spełniając podobną rolę jak trawa w świecie fotosyntezy i umożliwiając życie w podziemiach.

– Ale nawet chemosyntezą nie da się w pełni wyjaśnić, jak to wszystko powstało – wtrąciła Stella. – Jak wspomniał mój ojciec, życie tutaj jest xenobiologiczne, inne niż to, które obserwujemy na powierzchni.

– Czym właściwie się różni? – spytał Jason.

– Życie w tym ekosystemie nie jest oparte na DNA, lecz na innym kodzie genetycznym, a mianowicie na XNA.

Gray miał informacje z Kalifornii, że w syntetycznym organizmie stworzonym przez doktora Hessa w kodzie XNA normalną molekułę cukru DNA zastąpiła jakaś toksyczna kombinacja arsenu i fosforanu żelaza. To musiało być źródło tego unikatowego elementu genetycznego.

– Dlaczego XNA czyni taką różnicę? – spytał.

– Zmienia wszystko – wyjaśnił Harrington. – Richard Dawkins stwierdził, że nasze DNA jest egoistyczne, ponieważ geny pod naciskiem procesu ewolucji chcą nade wszystko się mnożyć. Gdybym musiał określić kod XNA, nazwałbym go drapieżnym.

– Dlaczego?

– Z naszych badań tego naturalnego środowiska, zweryfikowanych w laboratoriach, które stworzyły syntetyczne wersje XNA, wynika, że geny te są oportunistyczne i wysoce mutageniczne, o wiele bardziej niż regularne DNA, co umożliwia przyspieszoną ewolucję. Geny XNA nie są jedynie egoistyczne, ale ukierunkowane na totalną dominację. Nawet ich cechy fenotypiczne odzwierciedlają tę kluczową tendencję: powstające organizmy są wyjątkowo wytrzymałe, odporne i adaptują się łatwo do otoczenia. Jeśli umieści się je w jakiejś środowiskowej niszy, znajdują natychmiast sposób, by nią zawładnąć.

– I doktor Hess eksperymentował z takim niestabilnym kodem genetycznym? – spytał Gray. Nic dziwnego, że to, co stworzył, tak trudno jest zniszczyć, pomyślał.

– Ostrzegalem go, by nie kontynuował tych badań albo przynajmniej prowadził je tutaj, ale mnie nie posłuchał.

– Co chciał osiągnąć?

– Kendall sądził, że zdoła wyodrębnić najlepsze cechy XNA i umieścić je w osłonie, by móc szczepić zagrożone gatunki... może nawet wszystkie gatunki, aby stały się bardziej

odporne, umiały się łatwiej adaptować i zdołały stawić czoło globalnym siłom, które pchają nas w kierunku szóstej masowej zagłady.

– A czy istnieje możliwość włączenia XNA w nasz kod DNA?

– Tak. W laboratoriach, które eksperymentują teraz z XNA, udowodniono już, że produkty xenobiologiczne mogą zastąpić niemal każdy żywy organizm. Więc owszem, jest to teoretycznie możliwe. Ale istnieje również ogromne ryzyko.

Grayowi wystarczył rzut oka na dziki świat pod gondolą, by przekonać się, że to prawda.

– Profesorze, powiedział pan, że ma pewną teorię na temat tego, jak mogło tu powstać życie.

Harrington przytaknął.

– Na razie to tylko domysły. Gdybym miał więcej czasu, mógłbym je zweryfikować.

– Jaka jest pańska hipoteza?

– Pamięta pan moją uwagę, że ten kompleks jaskiń może przebiegać pod większością kontynentu?

– W postaci labiryntu połączonych ze sobą rzek, jezior i lodowych tuneli.

– Proszę w to tak bardzo nie wątpić. Zamrożona powierzchnia Antarktydy na pozór się nie zmienia, ale wiele kilometrów niżej jest ciepło i wilgotno, tworzą się tam bagna i mokradła, ukryte przed światem od tysięcy lat. Weźmy na przykład jezioro Wostok. Dorównuje wielkością każdemu z waszych Wielkich Jezior, jest dwa razy głębsze i odizolowane od świata od piętnastu milionów lat. Pod lodem nie brak też aktywności geotermicznej. Wie pan, że jeden z moich kolegów, glaciolog z British Antarctic Survey, odkrył czynny wulkan niemal tysiąc metrów pod lodowcem na Antarktydzie Zachodniej, z płynącą pod spodem lawą? Oto jak dziwne i wspaniałe jest prawdziwe oblicze tego kontynentu.

– Jeśli więc ten labirynt jaskiń przebiega pod Antarktydą, w jaki sposób wyjaśnia to powstanie całego ekosystemu?

– Na podstawie tego, co dotychczas ustaliliśmy, podziemne tunele prowadzą w większości w kierunku potężnego krateru w głębi Antarktydy Wschodniej, w regionie nazywanym Ziemią Wilkesa. Odkryto go w dwa tysiące szóstym roku. Ma średnicę prawie pięciuset kilometrów. Szacuje się, że powstał wskutek upadku meteorytu cztery razy większego niż ten, który spowodował wyginiecie dinozaurów. Niektórzy uważają, że jego uderzenie mogło być przyczyną trzeciej masowej zagłady życia na Ziemi: tak zwanego wymierania permskiego, podczas którego wyginęły niemal wszystkie gatunki organizmów morskich i dwie trzecie lądowych.

– W porządku, ale jakie to ma znaczenie?

– Po pierwsze, kompleks jaskiń mógł powstać wskutek pęknięcia skorupy ziemskiej po upadku meteorytu. Gdy wyginęła większość żyjących na Ziemi gatunków, niektóre nasiona z kodem XNA mogły zapaść korzenie w tym pustym ekosystemie i wypełnić go, wzrastając w idealnej izolacji. Ale z tym scenariuszem wiąże się jeszcze jedna intrygująca możliwość.

– Jaka?

O dziwo, odpowiedział na to pytanie Jason:

– Panspermia.

Harrington uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze.

Gray słyszał o teorii panspermii, według której życie dotarło na naszą planetę na powierzchni meteorytu, przyniesione z kosmosu, i zaczęło się tu rozwijać.

– Proszę pamiętać, że tylko bardzo odporna molekula przetrwałaby tak długą podróż przez kosmiczną próżnię – przypomniał Harrington.

– Taka jak XNA – powiedział Gray.

– Właśnie. Ale, jak wspominałem, to tylko spekulacje. Choć muszę przyznać, że intrygujące. Czy ta alternatywna biosfera może dać nam wgląd w inny świat, a przynajmniej wskazać odmienną genetyczną ścieżkę życia?

Zanim zdążyli o tym porozmawiać, gondola zakołysała się, zaczynając zjazd po łagodnym zboczu, jak docierający do końca trasy wagonik alpejskiej kolejki.

Było zbyt wcześnie, by zbliżali się do podstacji.

– To Gardziel – uspokoił Graya Harrington.

Komandor wyrzął przez okno. Widoczny przed nimi przepastny tunel zwężał się wyraźnie. Gondola wsunęła się w ciasny przesmyk. Znajdowali się zaledwie jakieś trzy piętra nad spienioną rzeką. Oba jej brzegi emanowały delikatną fosforyzującą poświatą, która oświetlała również wodę, ukazując skupiska dziwnych małży i zwinne rybki na mieliźnie. W tej gorącej rzece tętniło życie.

Harrington patrzył w głąb przesmyku.

– Pytał mnie pan wcześniej, skąd wiem, że inni odkryli te tunele przed nami. Proszę spojrzeć.

Gondola pokonała zakręt w Gardzieli i ujrzeli nagle wystającą z wody szarą konstrukcję, sięgającą dość wysoko, by ocierać się o sklepienie. Był to kiosk łodzi podwodnej. Połamane stalaktyty znaczyły jej drogę w głąb przesmyku. Większość obłego kadłuba łodzi była widoczna nad powierzchnią rzeki i przypominała wyrzuconego na plażę stalowego wieloryba.

Gdy gondola zrównała się z łodzią, Gray dostrzegł emblemat na boku wieżyczki.



Był to czarny krzyż z białą sylwetką łodzi podwodnej.

– Niemiecka – powiedział Harrington. – Z dziesiątej flotyli Kriegsmarine. Nazistowski U-Boot.

– W tych tunelach musiało być wtedy więcej wody – wyjaśnił. – Sądząc z dowodów, które odnaleźliśmy, Niemcy przedarli się tutaj, używając torped, ale dalej nie udało im się dotrzeć. Potem zapadło się sklepienie i odcięło im drogę. Wszystko tu zamarzło. Nawet jeśli załoga próbowała się stąd wydostać pieszo albo szalupą, nie przypuszczam, by dotarli daleko.

Gdy gondola mijiała powoli ten ponury grobowiec, Gray mógł sobie jedynie wyobrazić strach uwięzionych w łodzi marynarzy. Na szczęście kiosk zniknął w ciemnościach za nimi i wagonik zaczął się wznosić, opuszczając Gardziel.

Kawałek dalej gondola stanęła nagle, kołysząc się niebezpiecznie na boki. Profesor manipulował czerwoną dźwignią, próbując ponownie ją uruchomić.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Gray.

Harrington obejrzał się w kierunku, z którego przybyli.

– To Dylan Wright. Pewnie dotarł do stanowiska kontroli.

– Da pan radę ruszyć? – spytał komandor.

Gondola nagle drgnęła i zaczęła wracać powoli w kierunku bazy.

Wright próbuje z pewnością nas zawrócić, pomyślał Gray.

Profesor sięgnął w górę i pociągnął mocno za czerwoną plastikową rączkę. Rozległ się głośny zgrzyt i gondola znów się zatrzymała.

– Odłączyłem wagonik od liny. – Jego oczy błyszczały z przerażenia.

Byli teraz bez szans.

Boa Vista, Brazylia
30 kwietnia, godzina 8.18 czasu miejscowego

Jenna, która wpadła w panikę z powodu niespodziewanej zasadzki, skuliła się za przewróconym stolikiem, gdy seria strzałów rozrywała na strzępy kafejkę.

Chwilę wcześniej trzech zamaskowani mężczyźni wypadli z kuchni z karabinami w rękach. Równocześnie duża frontowa szyba rozprysła się za jej plecami, rozbita przez kogoś, kto strzelał z ulicy.

Jenna ocalała tylko dzięki refleksowi Drake'a. Gdy rozległy się pierwsze strzały, wykopał spod niej krzesło, chwycił ją, kiedy upadała, i zakrył swoim ciałem. Jeden z jego marines, Malcolm, wywrócił na bok ciężki drewniany stół, zapewniając im tymczasową osłonę. Jego partner, Schmitt, strzelał do napastników.

– Painter... – sapnęła Jenna.

Dyrektor był nadal na ulicy.

– Zajmę się tym – odparł Drake. – Zostań tutaj.

Podźwignął się z podłogi, próbując wyrzucić szybko przez wybite okno. Na ulicy rozległy się nagle strzały z pistoletu, kontrastujące z głośniejszym ogniem karabinów.

Painter musiał podjąć walkę.

– Chyba jest ranny i nie może się ruszyć – oznajmił Drake, znów nurkując za blat stołu. – Malcolm, Schmitt, osłaniajcie mnie i brońcie fortu.

Nie czekając na ich odpowiedź, wyskoczył z ukrycia. Obaj marines osłaniali go ogniem, gdy dawał nura przez okno.

Jenna sięgnęła do plecaka po broń, by przyjść mu z pomocą.

Gdy zacisnęła palce na rękojeści pistoletu, ostrzał przybrał na sile, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz kafejki. Jeden z napastników upadł na blat stołu. Dwaj pozostali ukryli się za kontuarem i strzelali z dobrze osłoniętego miejsca.

Malcolm zaklął, znów się chowając. Krwawiło mu ucho.

Jenna podniosła się i zajęła jego miejsce. Wiedziała, że jeśli okażą słabość i zmniejszą natężenie ognia, nieprzyjaciel może zdobyć nad nimi przewagę i pokonać ich. Strzeliła z glocka, zmuszając do cofnięcia się napastnika, który zamierzał wstać.

Wykorzystała ten ułamek sekundy, by rozejrzeć się po kafejce. Na podłodze leżały ciała, a kafelki były spryskane krwią. Zauważyła, że niektórzy z leżących poruszają się. Kilku gości i członków personelu jeszcze żyło.

Ale całą jej uwagę skupił inny ruch.

Lustro za ladą roztrzaskała pierwsza seria pocisków, lecz w jego rozbitych fragmentach zobaczyła, jak jeden z napastników przykłęka, by załadować magazynek.

Nie będzie lepszej okazji, uznała.

Strzeliła ponownie w kierunku miejsca, gdzie znajdował się pierwszy napastnik.

– Teraz! – krzyknęła do obu marines.

Nie miała czasu na wyjaśnienia, więc wyskoczyła po prostu zza stołu i popędziła do lady, mając nadzieję, że zrozumieją.

Zrozumieli.

Malcolm i Schmitt osłaniali ją z boków, strzelając do człowieka, który nadal stanowił zagrożenie. Zasypali bar gradem kul, z których jedna odbiła się rykoszetem od krawędzi metalowego krzesła i trafiła napastnika, powalając go na ziemię.

Jenna przeskoczyła przez kontuar, nogami do przodu, prześlizgnęła się biodrem nad rozbitymi talerzami i rozrzuconymi sztućcami. Przez cały czas miała na oku widoczne w odłamkach lustra odbicie ukrytego mężczyzny. Zdążył załadować magazynek i podnosił się, by przyjść w sukurs swemu partnerowi.

Gdy wyłonił się zza lady, Jenna miała już uniesioną lewą nogę i kopnęła go obcasem w zakryty kominiarką nos. Głowa opadła mu do tyłu. Usłyszała satysfakcjonujący chrzęst zębów i kości. Osunął się bezwładnie, straciwszy przytomność.

Z boku Schmitt strzelił w skroń drugiemu napastnikowi, gdy ten próbował w niego wycelować.

Kiedy wymiana ognia w kafejce nagle ustała, Jenna słyszała tylko dzwonięcie w uszach, które zagłuszało strzelanie na zewnątrz.

Malcolm podkradł się do niej, a Schmitt wysunął głowę i rękę z pistoletem w kierunku kuchni.

– Tam jest już czysto! – zawołał, wracając do nich.

Czerwony z wściekłości Malcolm wycelował broń w leżącego na podłodze nieprzytomnego mężczyznę.

– Nie – zaprotestowała Jenna. – Możemy potrzebować jego zeznań.

Malcolm skinął głową.

Mierzyła z glocka do powalonego mężczyzny.

– Przypilnuj go, a wy pomóżcie Painterowi i Drake’owi.

Sądząc z nasilenia wymiany ognia na zewnątrz, byli w tarapatach.

Godzina 8.20

– Otaczają nas – ostrzegł Drake.

Painter też to zauważył. Siedzieli obaj przykucnięci, ramię przy ramieniu, za metalowym kubłem na śmieci. Nie dawał im wystarczającej osłony, gdy ostrzeliwali z dwóch stron trójkę napastników po drugiej stronie ulicy.

Niestety, tamci mieli znaczną przewagę – mogli się ukryć się za rzędem samochodów i nie byli pozbawieni możliwości manewru. Po stronie ulicy, po której znajdowała się kafejka, był zakaz parkowania.

Mimo wszystko jednak, gdyby Drake nie wyskoczył przez okno kafejki, Painter zapewne już by nie żył.

Sierżant, przybywszy w samą porę, zmusił trzech napastników do ukrycia się za zaparkowanymi samochodami. Teraz jednak zaczęli się rozdzielać. Dwaj biegli przykucnięci po chodniku, kierując się w przeciwnie strony, podczas gdy trzeci nie przestawał strzelać. Pociski odbijały się rykoszetem od metalowego kubła.

Drake i Painter byli w pułapce; nie bardzo mogli się ruszyć. W ciągu kilku sekund tamci dwaj znajdują się na idealnych pozycjach do oddania celnego strzału.

– Osłonię cię – powiedział Painter, wkładając nowy magazynek. – Wróć do kafejki. Spróbujcie wydostać się przez zaplecze.

Zauważył, że w środku zapanowała cisza – ale czy to był dobry, czy zły znak?

Nagle rozległa się kolejna kanonada. Pociski, wystrzeliwane z rozbitego okna kafejki, dziurawiły zaparkowane rzędem samochody.

Napastnik biegnący w lewo dał się zaskoczyć i trafiony w szyję, zatoczył się i upadł, brocząc krwią. Podobny los spotkał mężczyznę po prawej stronie – dostał w czoło.

Trzeci ukrył się za starym modelem volva, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że sytuacja diametralnie się zmieniała.

Drake uniósł się na palcach, zerkając na zranione ramię Paintera.

– Został jeszcze jeden – rzucił. Dwaj jego towarzysze potwierdzili to skinieniem głowy, wychodząc na ulicę. – Od tego są marines.

Painter wolał nie protestować.

– Spróbuj wziąć go żywcem.

Jakby czując nadchodzący koniec, ukryty mężczyzna zaczął krzyczeć – ale nie w ich kierunku. Wyglądało na to, że prosi o pomoc albo wsparcie przez telefon lub radio.

Painter wychwycił kilka słów po hiszpańsku, ale większość wypowiedzi była w jakimś nieznanym lokalnym narzeczu. Jedno hiszpańskie słowo zwróciło jego uwagę. Mężczyzna powtórzył je ponownie, z większym naciskiem.

Mujer.

Painter zeszytywniał, oglądając się w kierunku kafejki.

Mujer znaczy kobieta.

– Gdzie Jenna? – spytał, czując, jak wali mu serce.

– Jest w środku. Bezpieczna – odparł Malcolm, który nie spuszczał wzroku z volva po drugiej stronie ulicy.

Czy na pewno? – zastanawiał się Painter.

Nie zważając na zagrożenie ze strony nieprzyjaciela, rzucił się do drzwi i wpadł do kafejki. Trzymając pistolet w zdrowej ręce, przebiegł wzrokiem stoliki i leżące na podłodze ciała. Przebrnąwszy przez całe pobjowisko, zajrzał za kontuar i do kuchni.

Z ulicy dobiegły odgłosy strzałów.

Chwilę później przez frontowe drzwi wpadł do kafejki Drake. Wydawał się spanikowany i przerażony, jakby trafiło go coś więcej niż troska o koleżankę z ekipy.

– Jenna? – zapytał.

– Zniknęła. – Painter skinął głową w kierunku ulicy, wiedząc, że mają tylko jedną szansę, by dowiedzieć się, kto porwał dziewczynę. – Co z tym trzecim napastnikiem?

Drake zbladł, uświadomiwszy sobie znaczenie jego pytania.

– Zastrzelił się.

Nie żyje, pomyślał Painter, dysząc ciężko.

A więc straciliśmy ją.

Godzina 8.22

Jenna odzyskiwała przytomność, czując napływające fale bólu. Ciemność eksplodowała nagle zbyt jaskrawym światłem i za głośnymi dźwiękami. Unosząc głowę z trzęsącej się podłogi furgonetki, poczuła przeszywające klucie od lewej skroni do karku.

Auu...

Stłumiła jęk, by nie przyciągać uwagi porywaczy. Szybko oceniła swoje położenie. Serce podchodziło jej do gardła. Z miejsca, gdzie leżała, widziała za szybą jedynie górne piętra przemyskających szybko budynków i płataninę przewodów energetycznych.

Po lewym policzku spływała jej strużka krwi.

Przypomniała sobie, jak wpadła w zasadzkę. Złość brała w niej górę nad strachem. Przycupnęła za ladą kafejki, przyglądając się, jak Malcolm i Schmitt podchodzą do okna i zaczynają ostrzeliwać drugą stronę ulicy. Z powodu ogłuszającej kanonady nie usłyszała, że ktoś wychodzi z kuchni. Jedynym ostrzeżeniem był delikatny miodowy zapach perfum.

Odwróciwszy się, zobaczyła przykucniętą metr od niej śniadą kobietę o ciemnych oczach. Stawiała ostrożnie bose stopy, jak dzikie zwierzę, by nie zranić się rozsypanymi na podłodze odłamkami szkła.

Zanim Jenna zdążyła zareagować, kobieta rzuciła się na nią; zamachnęła się błyskawicznie i uderzyła ją w głowę ręką pistoletu. Jenna zobaczyła błysk, a potem pogrążyła się w mroku, tracąc świadomość.

Ile czasu byłam nieprzytomna?

Przypuszczała, że niezbyt długo. Zapewne minutę lub dwie.

Dostrzegła, że ktoś spogląda na nią z przedniego siedzenia samochodu. Długie czarne włosy okalały piękną śniadą twarz. Skóra tej kobiety miała kolor stopionego karmelu, a ciemne oczy lśniły blaskiem. A jednak za jej urodą, od ponętnych warg po szkliste spojrzenie, kryła się groźba. Wyglądała jak przyczajona na drzewie pantera, uosabiająca najpiękniejsze – i najbardziej śmiertcionośne – oblicze Natury.

Jenna chciała uciec od tego spojrzenia, ale wytrzymała je, nie odwracając wzroku. Niewiele więcej mogła zdziałać. Nadgarstki i kostki miała skrepowane plastikowymi kajdankami.

Ciszę przerwał natarczywy dzwonek telefonu. Kobieta odwróciła się, gdy kierowca przekazał jej komórkę.

Przytknęła ją do ucha.

– *Oui* – odparła głosem równie jedwabistym jak jej cera. Słuchała przez dłuższą chwilę, po czym zerknęła na Jennę. – *Oui, j'ai fini.*

Jenna wiedziała, że zapewne rozmawiają o niej. Ktoś potrzebował potwierdzenia, że została porwana albo że przynajmniej jeden z członków amerykańskiej ekipy jest w ich rękach. Starła się podsłuchać resztę rozmowy, ale nie znała francuskiego. Domyślała się jednak, kto jest po drugiej stronie linii.

Cutter Elwes.

Najwyraźniej kazał komuś obserwować pensjonat, by mieć pewność, że wszelkie ślady, jakie Amy zostawiła w Boa Vista, są pod stałą kontrolą. A może uprzejma właścicielka hoteliku

nie była aż tak miła, jak wyglądała, i zawiadomiła go o Amerykanach, którzy węszyli w okolicy. Tak czy inaczej, Cutter musiał zlecić lokalnej ekipie, by porwali kogoś z grupy, kogo mógłby przesłuchać i dowiedzieć się, ile świat wie o nim i jego operacjach.

Jako człowiek, który nie żyje, życzył sobie najwyraźniej zachować ten status.

Furgonetka pomknęła szybciej, gdy wyjechała z centralnej dzielnicy Boa Vista. Jenna obejrzała się przez ramię, obawiając się o Drake'a i pozostałych. Czy przeżyli strzelaninę? Modliła się o to, ale nie miała nadziei, że będą w stanie podążyć jej śladem.

Rozejrzała się ponownie, dostrzegając bolesną prawdę.

Jestem zdana na siebie.

Po kilku kolejnych minutach furgonetka zahamowała gwałtownie i Jenna przesunęła się siłą bezwładności ponad metr do przodu. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła za przednią szybą skupisko slumsów skleconych z odpadków zardzewiałych baraków. Ale nie był to cel podróży porywaczy.

Na ubitej ziemi czekał stary śmigłowiec. Miał już włączone silniki i był gotowy do lotu.

Jennę ogarnęła rozpacz.

Dokąd oni mnie zabierają?

Godzina 8.32

Kendall stał na progu sąsiadującego z głównym laboratorium pomieszczenia Poziomu 4, w którym pracowało kilku techników w skafandrach zaopatrzonych w żółte przewody powietrzne. Cutter wyszedł przed chwilą, by odebrać telefon. Kendall oddychał głęboko, nadal nie mogąc się zdecydować, czy pomóc temu łajdakowi.

Jeśli tego nie zrobię, cały świat może ulec zagładzie.

Ale czy w przeciwnym wypadku i tak do tego nie dojdzie?

Wahał się, nie znając odpowiedzi na kluczowe pytanie: jak Cutter zamierzał wykorzystać jego syntetyczne eVLP? Pamiętał, w jak niepokojący sposób określił tę idealną pustą osłonę.

Koń trojański... perfekcyjny genetyczny nośnik.

Najwyraźniej planował wypełnić jego wnętrze... tylko czym?

Czy mogę ufać jego zapewnieniom, że to, co włoży do pustej osłony, nikogo nie zabije?

Rozmyślał gorączkowo, zyskując czas na podjęcie decyzji dzięki temu, że do Cuttera ktoś zadzwonił. Przyjrzał się uważnie strefie kwarantanny, którą miał przed sobą. Podobnie jak główne laboratorium genetyczne za jego plecami, pomieszczenie Poziomu 4 wyposażone było w najnowocześniejszy sprzęt do analizy DNA i manipulowania genami. Przy tylnej ścianie stała duża zamrażarka ze szklanymi drzwiczkami, za którymi lśniły rzędy probówek.

Przeniknął go dreszcz, gdy spróbował sobie wyobrazić, co tam przechowywano. Ale najbardziej przerażały go cztery pomieszczenia obok zamrażarki. Każde z nich wyposażono w inny rodzaj sprzętu medycznego. W jednym rozpoznał zwykły aparat rentgenowski, w drugim – tomograf komputerowy. W dwóch ostatnich pokojach znajdowała się aparatura do rezonansu magnetycznego, umożliwiająca obserwowanie wnętrza tkanek, i do pozytronowej tomografii emisyjnej (PET) – pozwalającej uzyskać trójwymiarowy obraz procesów biologicznych.

Obecność tego sprzętu nie pozostawiała wątpliwości.

Cutter przeprowadzał już eksperymenty na zwierzętach.

Ale na ile były one zaawansowane?

Cutter wrócił w końcu, bardziej już zrelaksowany, jakby otrzymał dobre wiadomości.

– Zdaje się, że będziemy niedługo mieli gościa. Ale przedtem czeka nas sporo pracy, prawda, Kendall? – Uniósł pytająco brew, czekając na odpowiedź.

Kendall wpatrywał się w laboratorium Poziomu 4.

– I przysięgasz, że jeśli zgodzę się współpracować i przekażę ci moją technologię, nikt z tego powodu nie zginie?

– Mogę ci obiecać, że nie planuję jej wykorzystywać do zabijania kogokolwiek. – Cutter zmarszczył brwi, dostrzegając nieufny wyraz jego twarzy. – Może uspokoi cię krótka wycieczka. Zajmie nam tylko parę minut. – Obrócił się na pięcie i zaczął się oddalać.

Kendall pospieszył za nim, zadowolony, że znów zyskuje na czasie. Mateo nie odstępował go jak cień.

– Dokąd idziemy? – spytał Kendall.

Cutter uśmiechnął się do niego. Jego twarz jaśniała chłopięcym entuzjazmem.

– W cudowne miejsce.

Gdy się odwrócił, Kendall zauważył, że obwisa mu lewe ramię. Wyobraził sobie, jakie ma tam grube blizny. Stanowiło to przypomnienie, że chłopiec, którym kiedyś był, zginął przed laty na afrykańskiej sawannie. Pozostał tylko bezduszny, szalony geniusz o mrocznych ambicjach, czujący głęboką urazę do świata.

Wyszli z głównego laboratorium genetycznego i podążyli wzdłuż długiego naturalnego tunelu. Kendall przypuszczał, że idą w kierunku środka płaskowyzu.

Cutter maszerował szybko, stawiając duże kroki.

– Wcale się tak bardzo nie różnimy – powiedział.

Kendall nie próbował zaprzeczać.

– Obaj troszczymy się o tę planetę i martwimy się o jej przyszłość. Ale podczas gdy ty próbujesz zachować *status quo* swoimi działaniami na rzecz ochrony środowiska, ja uważam, że świat zaszedł już za daleko. Człowiek nie jest w stanie naprawić tego, co zepsuł przemysł. Za bardzo wzrosły nam apetyty, a nasze pole widzenia się zawęża. Ochrona przyrody to przegrana sprawa. Po co ratować pojedyncze gatunki, kiedy wokół nas ginie cały ekosystem?

– Właśnie takiej katastrofie starałem się zapobiec dzięki badaniom w Kalifornii – odparował Kendall. – Chciałem znaleźć rozwiązanie systemowe.

– Próbując wszczepić różnym gatunkom odporny i przystosowujący się łatwo do warunków otoczenia kod XNA? – spytał Cutter szyderczym tonem. – Okradasz w ten sposób jedną biosferę, aby ocalić inną, która wymiera.

Kendall zmartwiał. A zatem Cutter wiedział, co on próbował osiągnąć. Nazywało się to naukowo „ułatwieniem adaptacji”: wzmocnienie DNA czyniło dany gatunek bardziej odpornym na choroby albo ułatwiało przetrwanie w nieprzyjnym środowisku. Nie zamierzał się usprawiedliwiać. Jego badania mogły potencjalnie uchronić wiele gatunków przed przyszłymi zagrożeniami, ale były dopiero w początkowym stadium. Niestety, to, co dotychczas stworzył, było prymitywne, niebezpieczne, pożerało wszystko na swej drodze, niszczyło wszelkie napotkane DNA.

Nie miało prawa nigdy znaleźć się na wolności.

Pałając znów gniewem, postawił się Cutterowi.

– Więc co, twoim zdaniem, mamy robić? Kompletnie nic?

Cutter odwrócił się do niego.

– A czemu nie? Zejdźcie z drogi Naturze. Ona jest najdoskonalszym reformatorem. Przeżyje nas wszystkich... może nie w takiej formie, jaka ci się podoba albo jaką znasz. Ostatecznie ewolucja wypełni wszystkie luki spowodowane masową zagładą. W przeszłości po każdej z pięciu epok wymierania gatunków następowała ewolucyjna eksplozja. Spójrz na ludzkość. Musiały wyginąć dinozaury, abyśmy my mogli się rozwijać. Tylko dzięki śmierci może powstawać nowe życie.

Kendall słyszał wystarczająco często ten podstawowy dogmat Mrocznego Edenu, by go teraz rozpoznać. Sprowadził go do kluczowej zasady.

– Wielka zagłada stwarza obietnicę nowego początku.

Cutter przytaknął.

– Nowego Edenu. – Zważywszy na zapal w jego głosie, nie mógł się już tego doczekać.

Kendall westchnął.

– W twoim rozumowaniu tkwi jednak pewien zasadniczy błąd.

– Jaki mianowicie?

– Zagłada następuje szybko. Ewolucja jest powolna.

– Zgadza się! – Cutter przerwał, sprawiając wrażenie, że zamierza go uściskać. – Masz całkowitą rację! Zagłada będzie zawsze wyprzedzała ewolucję. Ale gdybyśmy tak potrafili przyspieszyć ewolucyjne zmiany?

– W jaki sposób?

– Pokażę ci.

Dotarli do grubych stalowych drzwi w tunelu i Cutter zdjął z szyi kartę magnetyczną.

– Ekolodzy powinni troszczyć się mniej o zachowanie dawnych form życia, a skoncentrować na pielęgnowaniu tych, które mają przyszłość.

– A jak mamy je rozpoznać?

– My je tworzymy. Kierujemy ewolucję ku nowemu początkowi.

Kendall zaniemówił z wrażenia.

Cutter przeciągnął kartę magnetyczną i grube sworznie zamka zaczęły powoli się przesuwać.

– To niemożliwe – wyszeptał Kendall, ale nawet sam siebie nie potrafił przekonać. Inżynieria genetyczna i synteza DNA czynią niewiarygodne postępy.

– Nic nie jest niemożliwe – odparował Cutter, otwierając drzwi. – Czasy się zmieniły.

Pogrążony w półmroku tunel zalało jasne światło dnia, a towarzyszył temu powiew słodkich zapachów, ze znajomą nutą woni mokrej ziemi i zbutwiałych liści. Zwabiony światłem i świeżym powietrzem, Kendall chętnie wyszedł za Cutterem z korytarza na metalowy pomost na zboczu klifu.

Stukając podszewkami o kratę, wyciągnął szyję, by spojrzeć w błękitne niebo. Pomost wisiał pięć metrów nad krawędzią czegoś, co przypominało potężny krater. Wzdłuż jego ścian znajdowały się na różnych poziomach tarasy z ogrodami, pełnymi orchidei, bromelii, winorośli i rozmaitych kwiatów, wszelkich barw i wielkości. Poszczególne poziomy łączyła biegnąca spiralnie droga.

Kendall przyglądał się, jak sunie po niej bezgłośnie elektryczny wózek golfowy, pnąc się w ich kierunku i mijając bramki, które automatycznie się przed nim otwierały. Na pobliskim ogrodzeniu wisiał trójkątny żółty znak z czarną błyskawicą, wskazując, że jest ono pod napięciem.

Chwilowy zachwyt Kendalla przyćmił niepokój.

Cutter stał z boku, wpatrując się w najbliższe ściany, jakby szukał chwastów rosnących w tym fantastycznym ogrodzie.

– O! – powiedział w końcu. – Tutaj. Sam zobacz.

Otworzył furtkę w ogrodzeniu i zszedł po stromych metalowych schodkach na krętą kamienną drogę. Kendall odwrócił wzrok od przepaści. Była tak głęboka, że nie widział niemal jej dna, zwłaszcza że poranne słońce stało nadal nisko nad horyzontem. Zauważył jednak w dole korony gigantycznych drzew, być może fragment brazylijskiej dżungli.

Zszedł bardzo ostrożnie ze stalowych stopni na drogę z piaskowca. Odsunął się od jej krawędzi, od przepastnego krateru. Przy ścianie ciągnęły się tarasowo rzędy grządek, sięgające dziesięć metrów w głąb zbocza. Pięły się po klifach, tworząc jedną całość ze spływającą ze skał kaskadą zieleni. Przecinał je labirynt wąskich ścieżek. Łatwo było wziąć to miejsce za ogród warzywny, ale Kendall podejrzewał, że to, co tam rośnie, stanowi pułapkę i nie jest organicznego pochodzenia.

Spostrzegł szereg długonogich mrówek wielkości kciuka, paradujących po krawędzi jednej ze skrzyń.

– To *Paraponera clavata* – wyjaśnił Cutter. – Znane powszechnie jako mrówki-pociski. Zyskały tę nazwę, ponieważ ich ukąszenie jest uważane za jedno z najbardziej bolesnych. Zajmuje najwyższą pozycję na liście skali bólu Schmidta. Ofiary porównują je do efektu postrzału, a ból może się utrzymywać przez dwadzieścia cztery godziny.

Kendall cofnął się o krok.

– Byłem w stanie podwoić ilość ich jadu.

Spojrzał z wyrzutem na Cuttera.

– Jad tych mrówek powoduje paraliż i potworny ból. Jeden z moich pracowników został przypadkowo ukąszony. Zagryzając z bólu zęby, wyłamał sobie siekacze. Ale to nie wszystko. Podejdź trochę bliżej.

Nie, dziękuję, pomyślał Kendall i nie ruszył się z miejsca.

Cutter podniósł ułamaną gałązkę.

– Mrówki-pociski, jak wszystkie mrówki, są lądowymi przedstawicielami rzędu *Hymenoptera*, do którego należą pszczoły i osy.

Szturchnął gałązką czerwono-czarnego marudera, który odpowiedział, rozpościerając niewidoczne przedtem niewielkie błoniaste skrzydełka. Odleciał kilkanaście centymetrów i wylądował wśród swych jadowitych towarzyszy, wywołując ich poruszenie.

– Łatwo było przywrócić im skrzydła – stwierdził Cutter. – Wystarczyło pobrać geny nastecznika, osy polującej na tarantule. Zwłaszcza że te dwa gatunki są ze sobą spokrewnione.

– Stworzyłeś chimerę – wykrztusił w końcu Kendall. – Genetyczną hybrydę!

– Właśnie. Nie byłem w stanie umożliwić im na razie swobodnego latania, potrafią tylko, jak widziałeś, przefrunąć na niewielką odległość, ale mam nadzieję, że z biegiem czasu i dzięki presji otoczenia Natura uczyni resztę i będą latać równie sprawnie, jak ich jadowici kuzyni.

– Jak?... – wybełkotał Kendall. – Jak to osiągnąłeś?

– Nie było to aż takie trudne. Wiesz, podobnie jak ja, że jest już dostępna odpowiednia technologia. Potrzebna była tylko wola i środki, bez nadzoru i kontroli. Widziałeś, że moje laboratorium jest wyposażone w wiele stanowisk wykorzystujących najnowszą technologię CRISPR-Cas dziewięć. Nawiasem mówiąc, jeszcze ten proces udoskonaliłem.

Była to wiadomość mrożąca krew w żyłach. Technologia CRISPR-Cas9 pozwala na skonstruowanie każdego fragmentu genomu z precyzją, którą można by porównać do składania

tekstu encyklopedii z pojedynczych liter bez popełnienia żadnego błędu w pisowni.

– Słyszałeś zapewne o technikach MAGE i CAGE, które opracował George Church.

Kendall czuł, jak krew odpływa mu z głowy. Podobnie jak CRISPR, te dwie nowe techniki – wielokrotnie zautomatyzowane modyfikowanie genomu (MAGE) i modyfikowanie genomu poprzez sekwencję koniugacyjną (CAGE) – nazywano czasem „maszynami ewolucji”. W istocie były właśnie nimi: umożliwiały przeprowadzenie równocześnie tysięcy zmian genetycznych. W ciągu paru minut mogły przyspieszyć ewolucję o miliony lat.

MAGE i CAGE mogły zmienić na zawsze oblicze biologii syntetycznej, wznosząc ją na nowe wyżyny. Ale do czego nas te zmiany doprowadzą?

Kendall patrzył z przerażeniem na rząd wielkich mrówek, a Cutter obracał w dłoni gałązkę, najwyraźniej rozczarowany jego reakcją.

– Przeczytałem w artykule, który napisałeś w zeszłym roku, że popierasz wykorzystywanie MAGE i CAGE jako narzędzi do wskrzeszania wymarłych gatunków.

Miał rację. Ta nowa technologia odtwarzania genów była bardzo obiecująca. Naukowcy mogli pobrać nieuszkodzony genom żywego zwierzęcia i modyfikując DNA, przekształcić go stopniowo w genom pokrewnego gatunku, który wyginął.

– Zaczynij od słonia, a być może zdołasz wskrzesić dzięki jego genom włochatego mamuta – mruknął Kendall.

Była to nie tylko teoretyczna możliwość. Pewien Rosjanin zbudował nawet na Syberii eksperymentalny rezerwat, nazwany Parkiem Plejstoceniowym, w którym, jak miał nadzieję, będą żyły na wolności wyhodowane laboratoryjnie mamuty.

– Użyłeś w swoim artykule określenia „odtworzenie gatunków” – rzucił z pogardą Cutter. – Jakie to smutne! Wykorzystywać tak obiecującą technologię dla wąskich ekologicznych celów. Tłumisz jedynie zdolność Natury do reagowania na szkody, jakie wyrządził jej człowiek.

– A to jest twoja odpowiedź? – odparł drwiąco Kendall, wskazując na szereg maszerujących mrówek.

– To zaledwie niewielki fragment całościowego obrazu. Podczas gdy ty i twoi koledzy tkwicie w przeszłości, wypatrując zbawienia w klonowaniu, ja zwracam się ku przyszłości, by być gotowym na to, co nadejdzie, i planuję odrodzenie Natury.

– Odrodzenie natury?

– Przywrócenie kluczowych gatunków, zwierząt i roślin, które mają największy wpływ na środowisko.

– Jak twoje mrówki.

– Zaprojektowałem wszystkie moje stworzenia tak, by były silniejsze, i wyposażylem je we wszelkie niezbędne narzędzia, by mogły nas przeżyć. Oraz w parę innowacji.

Cutter wziął gałązkę, zachęcając jedną z mrówek, by wspięła się na jej wierzchołek. Zanim zdążyła się wdrapać i ukąsić go, strzepnął ją do sąsiedniej skrzynki. Mrówka wylądowała na szerokim liściu bromelii i zaczęła się gramolić po jego powierzchni. Jej cienkie skrzydełka zawibrowały z irytacją.

Nagle z liścia wystrzelił lśniący pęcherzyk, otaczając mrówkę gęstą galaretowatą cieczą. Owad wił się i walczył, ale w ciągu paru sekund rozpuściły mu się odnóża, a wkrótce potem reszta. Galaretowata bańka szybko się skropliła i spłynęła do wnętrza liścia, aby zaopatrzyć w pokarm korzeń rośliny.

– Wszczepiłem jej sekwencję genów z mięsożernej rosiczki – wyjaśnił Cutter. – Intensyfikując dodatkowo wydzielanie enzymów trawiennych.

Kendall poczuł skurcz żołądka, gdy odwrócił się, by spojrzeć na mroczny ogród w dole.

– Ile jest tu jeszcze gatunków?

– Setki. Ale to tylko pierwsza fala. Podjąłem też kroki, aby powiązać genetycznie każdą zmianę z sekwencjami retrotranspozonów DNA.

Kendall zaczynał pojmować, co Cutter zamierza. Retrotranspozony nazywano również skaczącymi genami, gdyż potrafią one przeskakiwać pomiędzy gatunkami w procesie określanym jako poziomy transfer genów. Genetycy doszli do przekonania, że te skaczące geny są potężnymi motorami ewolucji, przekazującymi cechy między różnymi gatunkami. Ostatnie badania DNA u bydła wykazały, że aż dwadzieścia pięć procent ich genomu pochodzi od żmii rogatej, co dowodzi, że Matka Natura tasuje geny od tysięcy lat, tworząc hybrydowe gatunki od zarania dziejów.

Ale teraz nie była to już tylko Natura.

– A więc tak zamierzasz przyspieszyć ewolucję – odezwał się Kendall. – Chcesz wykorzystać cechy powiązane ze skaczącymi genami, aby rozprzestrzenić na cały świat to, co stworzyłeś.

– Każdy gatunek będzie jak nasionko rzucone na wiatr. Z jednej hybrydy powstaną dwie, z dwóch cztery. Możesz sobie wyobrazić, jakie nowe gatunki wykreuje takie wymieszanie genów? A wszystkie będą walczyć o przetrwanie w tym świecie, który zniszczyliśmy.

Kendall wyobraził sobie wielki pożar, rozprzestrzeniający się z lasu deszczowego na cały świat.

Skoro Cutter tyle już osiągnął, po co mu moja osłona wirusa? Co zamierza do niej włożyć?

Ten szaleniak musi mieć jeszcze jakieś plany.

– Nowy Eden już na nas czeka – kontynuował Cutter egzaltowanym tonem. – Stoimy u progu nowego świata. Będziemy za życia świadkami dramatycznego nowego początku. Chcę dzielić go z tobą. Pomożesz mi osiągnąć cel?

Kendall widział jego nieokiełznaną pasję i pozostawało mu tylko jedno wyjście. Musiał przeżyć wystarczająco długo, by powstrzymać tego człowieka.

– Tak... Pomogę ci.

Godzina 8:44

– Musimy ją odnaleźć – powiedział Drake, wycofując się wraz z dwoma towarzyszami z pobojuwiska pozostającego po wymianie ognia.

Painter przyklęknął nad jedną z ocalałych ofiar, młodą kelnerką. Przytknął jej do boku ręcznik, tamując krwotok po postrzale w brzuch. Ramię piekło go od kuli, która wyrwała mu kawałek mięśnia. Malcolm zdążył mu je szybko opatrzyć bandażem wyjętym z plecaka.

Trzej marines przeczesali już ulicę za kafejką, ale nigdzie nie było śladu Jenny.

Painter rozumiał frustrację, którą słyszał w głosie Drake'a.

W oddali rozbrzmiał dźwięk syren. Stracą dodatkowo czas na tłumaczenie się lokalnym władzom.

Zza kontuaru rozległ się jęk.

A więc ktoś w końcu postanowił się ocknąć, pomyślał i przywołał Schmitta, by go zastąpił.

– Załóż tej kobiecie opaskę uciskową.

Gdy marine zajął jego miejsce, Painter podszedł do miejsca, z którego dochodził hałas. Leżący tam mężczyzna uniósł głowę z podłogi. Ręce miał związane na plecach. Krew przesiąkała przez kominiarkę ukrywającą jego twarz. Był to napastnik, którego Jenna obezwładniła podczas walki. Jej porywacze uznali zapewne w pośpiechu, że ich kompan nie żyje, zwłaszcza że broczył krwią.

Painter podszedł do niego i zerwawszy kominiarkę, poczuł satysfakcję, gdy mężczyzna wrzasnął z bólu. Jego rozbity nos zaczął jeszcze bardziej krwawić. Nie widział już niemal nic przez zapuchnięte powieki.

– Zabierz go! – rozkazał Painter Drake’owi.

Syreny rozbrzmiewały coraz głośniej.

Zobaczył, że Schmitt skończył już zakładać kelnerce opaskę uciskową na brzuchu. Powinna przeżyć.

– Chodźmy – powiedział, dając wszystkim znak ręką.

Drake i Malcolm ruszyli do tylnych drzwi, ciągnąc ze sobą zamrozonego napastnika. Ich SUV czekał w alejce na zapleczu. Podstawili go tam marines, aby ułatwić im sprawną ewakuację.

Drake wepchnął jeńca na tylne siedzenie.

– A jeśli ten łajdak nie zechce mówić?

Painter starł kłykiem kroplę krwi z siedzenia samochodu.

– Może nie będzie musiał. Ale nie obejdziemy się bez pomocy.

Góry Sierra Nevada, Kalifornia
30 kwietnia, godzina 6.02 czasu miejscowego

Trzymaj się, Josh...

Lisa siedziała na niewygodnym stołku w izolatce. Trzymała brata za rękę, żałując, że nie może ściągnąć rękawic i naprawdę go dotknąć. Choć była przy nim, dzieliła ich przepaść. Nie tylko z powodu polietylenowego skafandra, który miała na sobie. Farmakologiczna śpiączka odebrała jej Josha. Jego ochrypli śmiech, poczucie humoru, nieśmiałość, gdy czerwienił się w obecności ładnej dziewczyny, jego charakterystyczne zmarszczenie czoła, kiedy zwisał z urwiska na linie.

Tego wszystkiego już nie było.

Kilka minut temu Josh został podłączony do respiratora, gdyż jego stan się pogorszył. Każdy oddech był zbyt raptowny, zbyt regularny. Słyszała kliknięcia, szумы i delikatne pikanie ustawionych z boku monitorów. Tylko tyle pozostało z życiowej energii jej brata.

Wyprostowała się, gdy w skafandrze zabrzęczało radio. Nastawiła się na kolejne złe wiadomości. Rozpoznała jednak znajomy, przyjazny głos. Uścisnęła mocniej dłoń Josha, jakby próbując nakłonić brata, by nie przestawał walczyć, bo Painter go ocali.

– Liso – odezwał się Painter. – Jak sobie radzisz?

A jak myślisz?

Łzy napłynęły jej nagle do oczu i pociekły po policzkach. Nie miała ich jak otrzeć. Przełknęła kilka razy ślinę, by nie załamał jej się głos.

– Nie... nie jest dobrze – powiedziała, próbując zapanować nad sobą. – I z każdą godziną coraz gorzej. Nie wiem, czy słyszałeś, że Lindahl rozkazał przewieźć w góry ładunek nuklearny. Jest w drodze i powinien dotrzeć tu po południu.

– I nie ma sposobu, żeby zmienił zdanie?

– Nie. O świcie cała ekipa sporządziła mapę skażonych obszarów... albo przynajmniej tych, na których widać, że wszystko wymiera. Jest gorzej, niż wskazywały nocne raporty. Wirus nadal się rozprzestrzenia i skażenie osiąga rozmiary, określane przez Lindahla jako masa krytyczna, gdy może nie pomóc nawet opcja nuklearna. Fizycy jądrowi obliczają nadal, jakiego potrzeba ładunku i poziomów promieniowania, aby uzyskać maksymalnie śmiertelny efekt eksplozji.

Pomimo wyczerpania powiedziała z naciskiem:

– Potrzebujemy informacji, żeby powstrzymać ten nuklearny kataklizm. Albo przynajmniej nadziei na jakieś rozwiązanie.

Spojrzała na twarz Josha, jego woskową cerę.

Błagam.

– Być może mamy dobry trop – odparł Painter, choć powiedział to z wahaniem, wyraźnie

zmarł. Zapoznał ją pokrótce z sytuacją w Brazylii.

Gdy kończył, Lisa zerwała się z miejsca.

– Ktoś porwał Jennę... – szepnęła.

Puściła rękę Josha i poszła przez hangar w kierunku kompleksu laboratoriów Poziomu 4. Nikko nie był w lepszym stanie niż Josh. Robiono mu transfuzję, ale z każdą godziną był słabszy. Gdyby nie herkulesowe wysiłki doktora Edmunda Denta, biedny husky już by nie żył. Wirusolog wykorzystywał wszelkie dostępne w medycynie środki, aby ocalić Nikka i Josha. I choć nie był w stanie zniszczyć wirusów w organizmach pacjentów, jego kuracja paliatywna spowalniała kliniczne objawy infekcji.

Painter dał Lisie cień nadziei.

– Jesteśmy w drodze do ośrodka w Boa Vista, prowadzonego przez Federalny Uniwersytet w Roraima i powiązanego z Projektem Genograficznym. Od lat gromadzą informacje genetyczne na temat tubylczej ludności Brazylii. Korzystają z markerów autosomów dla oszacowania wzorców migracyjnych i podgrup poszczególnych plemion. Posiadają obszerną bazę danych. Na podstawie próbki krwi mężczyzny, którego schwytaliśmy, możemy być w stanie ustalić, z jakiego pochodzi plemienia.

– A jakie to ma znaczenie?

– Pamiętasz te zdjęcia, które Jenna zrobiła napastnikom w wymarłej osadzie przy jeziorze Mono?

– Pamiętam.

– Wygląda na to, że ludzie, którzy zaatakowali nas tutaj, byli z tego samego plemienia. Zastanawiam się, czy Cutter Elwes nie urządził sobie w deszczowym lesie Jądra Ciemności, wiążąc się z tymi tubylcami i narzucając im swoją wolę. Jeśli wpadniemy na ich trop, możemy odnaleźć nie tylko Elwesa, ale, miejmy nadzieję, także Jennę i Kendalla Hessa.

Przez mrok jej znużenia przeniknął srebrny promień optymizmu. Wzięła głęboki, drżący oddech.

– Musisz coś znaleźć – nalegała. – Coś, co przekonałoby Lindahl, żeby zmienił plany.

– Postaram się.

– Wiem. Kocham cię.

– Ja ciebie też, skarbie.

Nie była usatysfakcjonowana jego instynktowną odpowiedzią.

– Powiedz to jeszcze raz, żebym usłyszała.

Zaśmiała się, co podsyciło srebrny błysk w jej sercu.

– Nie przy chłopakach.

Wyobraziła sobie Drake'a i jego kolegów i poczuła, że się uśmiecha. Głos Paintera zdradzał, że on także.

– W porządku – skapitulował. – Ja też cię kocham.

Gdy się pożegnali, Lisa była ożywiona, gotowa sprostać każdemu wyzwaniu. Jej radio zabręczało ponownie. Miała nadzieję, że to Painter zapomniał jej o czymś powiedzieć – nieważne o czym, byle tylko mogła znów go usłyszeć – ale szukał jej Edmund Dent.

– Liso, musisz wrócić jak najszybciej do swojego laboratorium.

– Dlaczego? – Zerknęła w tamtym kierunku. – Czy stan Nikka się pogorszył?

– Kiedy zmieniałem mu torebkę z plazmą, zorientowałam się, że Lindahl zostawił włączony mikrofon w swoim nadajniku. Rozmawiał z tutejszymi naukowcami i nakłaniał ich, żeby eksperymentowali na Nikku. Chce znać wpływ promieniowania na wirusa osadzonego głęboko

w żywej tkance, aby obliczyć dawkę, która zabije go wewnątrz organizmu.

– Zamierzają napromieniować Nikka?

– Będą zwiększali stopniowo dawki i robili mu biopsje nerki i wątroby, by sprawdzić, jaki poziom promieniowania zabija wirusa.

Cały optymizm, którym emanowała przed chwilą, zamienił się w kipiący gniew. Jenna ryzykowała życie, by im pomóc, a oni zamierzali zabić jej psa i torturować go, gdy tylko się odwróciła.

Po moim trupie.

Pobiegła do komory powietrznej sali kwarantanny.

– Lepiej się pospiesz – ostrzegł ją Edmund. – Usłyszałem właśnie przez radio kolejny rozkaz Lindahla.

– Co tym razem?

– Kazał marines nie wpuszczać cię do laboratorium, gdybyś stawiała opór.

Co za łajdak!

Otworzyła drzwi komory powietrznej i zaczęła proces odkażania. Gdy dysze spryskiwały jej skafander, zastanawiała się gorączkowo, jak ocalić Nikka. Zanim zapaliło się zielone światełko, sygnał, że może wyjść, zdołała wymyślić tylko jedno rozwiązanie – wymagające od niej sporego ryzyka.

Ale zamierzała je podjąć.

Dla Nikka...

Dla Jenny...

Była im to winna, ale wciąż dręczyły ją obawy, gdy opuściła komorę powietrzną i szła przez źle oświetlony hangar w kierunku kompleksu laboratoriów Poziomu 4.

Ile czasu pozostało psu? A im wszystkim?

Tylko jedno wiedziała na pewno.

Ktoś musiał rozwikłać tę zagadkę, i to szybko.

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda
30 kwietnia, godzina 13.03 czasu miejscowego

– Nie możemy tak tutaj tkwić – rzucił Kowalski, najwyraźniej mając ochotę kopnąć unieruchomioną gondolę.

Gray rozumiał jego zniecierpliwienie. Nastawił ostrość noktowizora i obserwował pejzaż za wiszącą w powietrzu kabiną. Znajdowali się jakieś cztery kondygnacje nad dnem jaskini. Tuż pod nimi ciemna woda obmywała skalisty brzeg. Nie było powrotu tam, skąd przybyli, a zamontowane pod wagonikiem reflektory na podczerwień świeciły na niewielką odległość, ukazując jedynie kilka skamieniałych pni, które przypominały kolumny podpierające sklepienie.

Kto mógł wiedzieć, jakie koszmary kryła ta ciemność?

To, co widzieli, było dostatecznie przerażające.

Płynąca powoli rzeka kipiała ukrytym w jej nurtach życiem. Od czasu do czasu wyłaniały się na powierzchnię lśniące płetwy. Gray zobaczył człapiącego po mieliźnie stwora ze skorupą żółwia, którego najeżona kolcami głowa przypominała ogon stegozaura. Podobna do krokodyla bestia ześlizgnęła się na brzuchu z porośniętego algami brzegu, aby uniknąć spotkania z tym monstrem, i zniknęła w wodzie. Wyżej chmary ptaków, przypominających nietoperze i nieco większych od małych wróbli, kręciły regularne kółka i spirale, unosząc się niczym dym nad swoimi gniazdkami. Gdy wzrok Graya przyzwyczał się do ciemności, dostrzegł dalsze szczegóły. Między algami wyrastały łaty mchu, roje drobnych komarów i muszek kłębiły się wśród pni skamieniałego lasu, a po ścianach sunęły białe ślimaki, jak poruszający się powoli artyści graffiti, którzy pozostawiali za sobą świecące ślady.

– On ma rację – zwróciła się Stella do ojca, wskazując głową na Kowalskiego. – Nie możemy tu zostać. Dylan Wright na pewno wie, gdzie jesteśmy. Wie, że próbujemy dotrzeć do Tylnych Wrót. Odkrył już z pewnością, że przerobiłeś bomby przeciwbunkrowe tak, żeby można je było dezaktywować z głównej stacji. Skoro nie udało mu się cofnąć gondoli, wyśle za nami swoich ludzi.

– Przez ten Przylądek Piekła? – spytał Jason.

– Może użyć naszych amfibii – odparł posępnie profesor Harrington. – Skorzystać z transportu lądowego. Jesteśmy niecałe dwa kilometry od niego.

I pięć od Tylnych Wrót, pomyślał Gray.

Starszy pan objął córkę ramieniem. Strach i troska pogłębiły zmarszczki na jego twarzy. Stella przyłgnęła do niego, równie zmartwiona jak jej ojciec.

Światła coraz bardziej przygasały. Początkowo komandor sądził, że to zdenerwowanie osłabia mu wzrok, ale Kowalski, klnąc, postukał w gogle.

– Kiedy odłączyłem wagonik od kabla, straciliśmy zasilanie – wyjaśnił Harrington. – Mamy

tylko akumulator.

– Na ile wystarczy nam energii? – spytał Gray.

– Najwyżej na dwie godziny.

Komandor pokręcił lekko głową. Nie chciał siedzieć w ciemnościach, czekając, aż ludzie Wrighta odnajdą ich uwięzionych w gondoli.

– A co z tą niemiecką łodzią? – zasugerował Jason. – Jest dwieście metrów stąd. Mamy szansę się do niej dostać? I ukryć się w jej wnętrzu?

– Czy to możliwe? – spytał Gray Harringtona. – Możemy ewakuować się z tej gondoli?

Stella wysunęła się z ramion ojca i podeszła do wjazdu w podłódze wagonika. Gdy go otworzyła, zobaczyli składaną metalową drabinkę.

– Kiedy pociągnie się za tę czerwoną dźwignię, opadną drzwi awaryjne i drabinka się rozłoży. Powinna sięgnąć do ziemi.

– Nie ma mowy, żebym tam zszedł – oznajmił Kowalski.

Harrington, spoglądając z niepokojem na córkę, sprawiał wrażenie, że się z nim zgadza. Odwrócił się jednak i otworzył kolejną szafkę przy ścianie. Były w niej, ułożone jeden na drugim, trzy karabiny o lufach dwukrotnie grubszych niż w strzelbach z nabojami kalibru 12.

– To broń akustyczna – wyjaśnił Harrington. – Skonstruowana przez American Technology Corporation. Seria dysków w lufach wzmacnia impuls dźwiękowy, co daje w efekcie ekwiwalent pocisku sonicznego.

Kowalski prychnął i mruknął pod nosem.

– Wolę prawdziwe pociski.

Harrington zignorował go.

– Ten sprzęt może służyć również do transmisji mowy albo jako kierunkowy mikrofon. – Postukał palcem w coś, co wyglądało jak celownik strzelecki. – Dodałem tutaj przenośny iluminator podczerwieni.

– I te karabiny akustyczne mogą nas obronić? – spytał Gray.

– Jak najbardziej. Nie są tak skuteczne jak urządzenia dźwiękowe dalekiego zasięgu LRAD, ale odstraszają większość żyjących tu stworzeń. Musicie jednak być ostrożni. Mają taki odrzut, że mogą zwalić z nóg.

Gray podszedł bliżej, wziął do ręki jeden z karabinów i przyjrzał mu się uważnie. Chciał podać broń Kowalskiemu, ale ten spojrział na nią jak na grzechotnika. Przejął ją więc Jason.

Stella również sięgnęła po karabin.

– Ona dobrze strzela – oznajmił z dumą Harrington. – A mnie to cholerstwo przyprawia o migrenę.

Komandor wyciągnął ostatni karabin i zarzucił sobie na ramię.

Harrington nie był jeszcze gotowy. Otworzył wjazd prowadzący w dół do kapsuły pod gondolą. Uklęknął i sięgnął do jej wnętrza. Gdy się wyprostował, miał w rękach bardziej tradycyjną broń. Ugiął się pod jej ciężarem.

– Słyszałem, co pan powiedział – zwrócił się do Kowalskiego. – Pomyślałem, że woli pan coś takiego.

Olbrzym uśmiechnął się szeroko, przejmując od profesora karabin maszynowy M240. Przez chwilę trzymał go na rękach jak niemowlę. Potem przyklęknął obok profesora, wyciągnął długi pas z pociskami NATO kalibru 7.62×451 mm i przerzucił go sobie przez ramię jak śmiercionośną szarfę.

– Teraz już dużo lepiej – oznajmił, wstając i wyprężając pierś.

Jason spojrział na złożoną drabinę, jakby nagle zaczął wątpić, czy jego plan jest rozsądny.

- A więc próbujemy się dostać do niemieckiej łodzi?
- Nie – odparł Gray. – Jeśli nas tam dopadną, będziemy osaczeni. A nawet gdyby Wright nie trafił na nasz ślad, jego ludzie mieliby otwartą drogę, żeby dotrzeć przed nami do Tylnych Wrót.
- Więc dokąd idziemy? – spytał chłopak.

Grayowi przyszło do głowy stare powiedzenie Churchilla: „Jeśli idziesz przez piekło, nie zatrzymuj się”. Wskazał przed siebie.

- Spróbujemy dotrzeć do podstacji i do Tylnych Wrót.

Uśmiech Kowalskiego zmienił się w typowy dla niego grymas.

- Jak to sobie, do cholery, wyobrażasz?

Gray nie miał pomysłu... ale ktoś inny miał.

- Wiem, co możemy zrobić – powiedział Harrington. – Ale najpierw musimy przejść kawałek pieszo.

Godzina 13.22

Piekło stało się bardzo realne i Jason czuł je wszystkimi zmysłami.

Z przewieszonym przez plecy karabinem akustycznym schodził ostrożnie po szczeblach kołyszącej się drabinki. Gdy opuścił gondolę, wchłonął go ponury świat.

Powietrze cuchnęło siarką i wulkanicznym dymem. Czuł na języku cierpki smak, a fala wilgotnego gorąca paliła mu skórę perlącą się kropelkami potu. Świat rozbrzmiewał teraz skrzeczeniem, rechotaniem, pluskiem wody, nieustannym brzęczeniem owadów i odbijającymi się od ścian echami ultradźwięków wydawanych przez żyjące tam stworzenia.

Z powodu tych ostatnich odgłosów włosy zjeżyły mu się na karku – a może po prostu ze strachu.

Spojrzął w dół. Komandor i Kowalski dotarli już do kamiennego brzegu rzeki. Mieli broń na ramionach. Iluminator na podczerwień, zamontowany na karabinie Graya, rozjaśniał ciemność snopem światła. Kowalski trzymał karabin w górze, a pas z amunicją zwiślał mu aż do ziemi.

Jason widział, jak Harrington schodzi z ostatniego stopnia drabinki i dołącza do dwóch mężczyzn. Rozmawiali szeptem, stosując się do instrukcji profesora: „W tym świecie wiecznych ciemności dźwięk zastępuje wzrok”.

Dlatego broń akustyczna była tam tak skuteczna.

Taką przynajmniej Jason miał nadzieję.

Poprawił karabin na ramieniu i schodząc dalej po chwiejącej się drabinie, przyglądał się rzece pod swymi stopami. Mógł przeżyć upadek z tej wysokości, gdyby zleciał do wody – ale ujście z życiem z tej rzeki byłoby nie lada wyzwaniem.

Harrington udzielił im jeszcze jednej dobrej rady, zanim opuścili gondolę: „Cokolwiek robicie, trzymajcie się z dala od wody”.

Tutejszy ekosystem zależał od rzeki i jezior zasilanych przez topniejące w górze lodowce i sięgających nie wiadomo jak daleko w głąb kontynentu.

Zanim gondola się zatrzymała, profesor wyjaśnił im, że pierwotnie występowały tam głównie organizmy wodno-łądowe, żyjące na granicy między stałym lądem a rzekami i stawami. Cykle życiowe wielu z nich obejmowały dwa odrębne etapy: młode osobniki zamieszkiwały na skalistych brzegach, a dorosłe w wodzie – albo odwrotnie.

Zdaniem Harringtona, miejscowy ekosystem powstał w epoce karbonu, gdy świat u góry był zdominowany przez pierwotne podmokłe lasy. Profesor dostrzegał analogie w ewolucyjnym rozwoju obu tych miejsc. Tyle że ten odizolowany podziemny świat uległ stagnacji, nie doświadczając nigdy radykalnych zmian, jakimi były uderzenia meteorytów czy rozpad superkontynentu Pangei. Jednakże dzięki wysokiej zdolności adaptacji kodu XNA w tym kompleksie jaskiń kwitło życie.

Jason usłyszał z dołu, jak Harrington ostrzega szeptem Kowalskiego:

– Ostrożnie z bronią. Oprócz hałasu silnym bodźcem jest tu także zapach, zwłaszcza krwi. Huk wystrzału i rozlew krwi może wywołać szal pożerania.

Jason wyobraził sobie stado wściekłych rekinów kłębiących się w spienionej wodzie.

– Uwaga z prawej! – zawołała z góry Stella, cicho, ale alarmującym tonem.

Jason początkowo nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Dwadzieścia metrów dalej wyrastał potężny pień skamieniałego drzewa. Nagle zauważył wokół niego jakiś ruch, jakby delikatny podmuch – choć w dole nie było wiatru. Zahaczył ramieniem o szczebel drabinki i zdjął karabin, włączając promień podczerwieni. W smudze światła ukazało się to, co wychwycił bystrzejszy wzrok Stelli.

Wokół drzewa wirował rój nitkowatych robaków. Unosiły się na małych spadochronach z jedwabnych nitek. Wiedział, że podobną technikę stosują młode pająki i gąsienice, wykorzystując wiatr lub pole elektrostatyczne, by utrzymać się w powietrzu.

Cała flotyła dryfowała w ich kierunku.

– Pospiesz się! – rzuciła Stella.

Jason, ufając jej doświadczeniu, założył na ramię karabin i zaczął schodzić szybciej po drabince. Teraz już widział, co mu grozi.

Spoglądając w górę podczas schodzenia, przeoczył pojedynczego robaka, który wyprzedził pozostałe. Nitkowaty stwór otarł się o jego policzek i przylgnął mu do skóry, przepalając ją jak niedopałek papierosa. Tłumiąc okrzyk bólu, Jason próbował go zdrapać, ale jedwabna nić, lepka jak super glue, przywarła wraz z larwą do policzka.

Zaczął drapać mocniej.

– Przestań! – upomniała go Stella, która była tuż za nim, tym razem zawołała głośniej: – Musimy zejść z drabinki. Natychmiast!

Jason chwycił ponownie za szczebelki, choć skronie rozsadzał mu ból. Schodził pospiesznie, a Stella za nim. Dryfujący rój robaków dotarł do górnej części stalowej drabinki i oblepił ją grubo jedwabnymi nićmi. Szczebelki i stalowe linki zaskwierczały i zaczęły dymić, gdy żrący kwas zetknął się z metalem.

Jedna z pojedynczych linek w grubym kablu przebiegającym przez szczebelki pękła z głośnym trzaskiem.

O cholera...

Jason przyspieszył, ześlizgując się już niemal po drabince. Był jeszcze dobre dziesięć metrów nad ziemią, gdy Stella znów krzyknęła:

– Z lewej!

Reagując na panikę w głosie dziewczyny, obrócił się, ściskając w jednej ręce karabin. Coś

dużego zeskoczyło z pnia stojącego obok skamieniałego drzewa. Zwabiony prawdopodobnie pojawieniem się ludzi, stwór musiał być idealnie zamaskowany, gdy zajmował pozycję do ataku.

Dopiero kiedy rozpostarł skrzydła i poszybował, można go było zobaczyć.

Hastax valans.

Latająca włócznia.

Mierzył ostrym dziobem w pierś Jasona i za chwilę by ją przebił, gdyby chłopak nie pociągnął za spust karabinu i nie wystrzelił pocisku akustycznego. Trafił bestię z bliskiej odległości. *Hastax* wrzasnął, przestał machać skrzydłami i runął na ziemię.

Włócznia nie trafiła w cel, ale odrzut broni niemal strącił Jasona z drabinki. Stopa ześlizgnęła mu się ze szczebla, lecz utrzymał równowagę, zawisając na rękach. Zerknąwszy w dół, zobaczył, że koniec drabinki odchyła się ruchem wahadła od brzegu i zanurza w wodzie.

Jason wstrzymał oddech, czekając, aż drabinka wróci do poprzedniej pozycji, gdy nagle pionowa lina po jej lewej stronie pękła, osłabiona żrącymi kwasami i naprężeniem z powodu kołysania.

Gwałtowne szarpnięcie pozbawiło Jasona całkowicie oparcia dla nóg, ale wisiał nadal na jednej ręce.

Ktoś inny nie miał tyle szczęścia.

Obok niego przeleciała jakaś postać.

Stella.

Godzina 13.24

Gray pobiegł na brzeg, gdy dziewczyna wpadła z pluskiem do rzeki i zniknęła pod wodą.

Harrington krzyknął i rzucił się na mieliznę, by przyjść córce z pomocą.

Komandor chwycił go i pchnął w kierunku Kowalskiego.

– Proszę zostać... ja pójdę.

Spóźnił się jednak, bo Jason wskoczył do rzeki i zanurkował za dziewczyną.

Gray wstrzymał oddech, ale minęły zaledwie dwie sekundy, i oboje wynurzyli się, prychając wodą. Stella walczyła, z trudem chwytając powietrze. Jason starał się ją wyciągnąć, lecz napotykał opór. Oczy dziewczyny były szeroko otwarte z przerażenia.

– Coś trzyma jej nogę! – krzyknął.

Komandor rzucił karabin, pochylił się i wydobył sztylet z kabury w bucie. Skoczywszy do wody z przysiadu, gładko zanurkował. Dostrzegł przez noktowizor świecące kontury broni, którą Stella miała nadal na torsie. Kiedy popłynął w jej kierunku, ławice srebrnych rybek umykały mu z drogi, a niewielkie skorupiaki czmychały, poruszając mackami.

Modlił się, by wszystkie podwodne stwory tak się go bały.

Gdy dotarł do Stelli, stwierdził, że wokół jej łydki owinęło się jakieś pnącze. Z nogi dziewczyny sączyły się strużki ciemnej krwi. Chwycił pnącze przy jej kostce i przeciął je błyskawicznie ostrym sztyletem.

Uwolniona z pułapki Stella kopnęła go niechcący w skroń. Po chwili wypłynął z powrotem na powierzchnię, wcale się nie dziwiąc, że dziewczyna wpadła w panikę.

– Wynoście się stamtąd, do cholery! – wrzasnął Kowalski.

Gdy Stella i Jason płynęli do brzegu, Gray obserwował rzekę. Z wody wyłoniły się grzbiety trzech dużych stworów sunących w ich kierunku. Nad nimi pojawiły się świecące kule na ciemnych łodygach.

Pamiętał, jak wcześniej przepaliły kwasem skrzydła latającego drapieznika.

Volitox ignis.

Jason dopłynął do brzegu, uniósł broń i zaczął strzelać. Z szerokiej lufy wytrysnęła woda i wydobył się dźwięk, od którego zadudniło Grayowi w głowie jak od uderzenia w dzwon młotem kowalskim.

Ogłuszający huk nie odstraszył jednak stworów mknących w kierunku Graya.

– Broń akustyczna na nie nie działa! – krzyknął Harrington. – Niech pan ucieka!

Komandor brnął do brzegu w przemoczonej, ciężkiej odzieży i jedno wiedział na pewno:

Nie uda mu się.

Ogniste kule prześlizgiwały się nad powierzchnią wody, jakby wabione jego słabnącą energią.

Nagle usłyszał za sobą kolejną serię strzałów – tym razem nie z broni akustycznej, lecz z karabinu maszynowego.

Kowalski strzelał z brzegu, ale celował zbyt wysoko.

Pociski przeleciały nad świecącymi kulami i stworami w wodzie i trafiły w skrzydlatego drapieznika krążącego kilka metrów nad rzeką. Był to *Hastax*, którego Jason wcześniej ogłuszył. Rozszarpany pociskami, brocząc czarną krwią, runął do wody między żarłoczne bestie.

Rzuciły się na niego, zapewne najpierw w odruchu obronnym – przypuszczając, że je atakuje – a potem wiedzione już żądzą krwi.

Gray dotarł do brzegu i dołączył do pozostałych.

– To powinno je zająć... podobnie jak innych drapieźców – powiedział Harrington. – Ale trzeba wykorzystać tę sytuację i odejść stąd jak najdalej.

– Ruszajmy – rzucił komandor, ciężko dysząc i poklepując Kowalskiego po ramieniu w niemym podziękowaniu.

Olbrzym uniósł karabin maszynowy i oparł go sobie na ramieniu.

– Jak mówiłem, wolę prawdziwe pociski.

Pomaszerowali grupą wzdłuż brzegu, uważając na śliskie algi i mchy i trzymając się z dala od wody.

Gray, z bronią na ramieniu, prowadził. Obok szli Stella i Jason. Za nimi podążał Harrington, a Kowalski zamykał pochód. Profesor zauważył, że córka kuleje; wokół prawej nogi miała nadal owinięty kawałek odciętego pnącza, nogawka spodni była przesiąknięta krwią.

– Czy nie powinniśmy tego opatrzyć? – spytał komandor.

Harrington obejrzał się. Byli już za skalnym występem, poza zasięgiem wzroku krwiożerczych bestii.

– Powinniśmy – odparł i zaprowadził ich na bok. – Stańmy tutaj.

Duży głąz posłużył jako siedzenie dla Stelli. Ojciec odwinął ostrożnie pnącze, wyciągając z ciała córki długie na trzy centymetry zakrwawione kolce. Roślina wiła się nadal w jego rękach, ale Harrington zdołał ją utrzymać.

Stosując się do instrukcji profesora, Gray rozciął spodnie dziewczyny i udzielił jej pierwszej pomocy. Korzystając z niewielkiej apteczki, którą zabrali z gondoli, odkaził i zabandażował ranę.

– Nie musimy obawiać się jadu? – spytał.

– Nie. – Harrington uniósł pnącze. – *Sugox sanguine* jest jak wodorost. Tylko trochę bardziej agresywny.

– Chyba pan żartuje – prychnął Kowalski.

Z pnączem w ręce profesor podszedł do Jasona, ale ten cofnął się o krok.

– Nie ruszaj się – powiedział Harrington. – Pokaż mi twarz.

Chłopak odwrócił głowę, ukazując czarną ranę na policzku.

Profesor uniósł wijącą się roślinę. Z jej odciętego końca kapała jasnoczerwona krew. Gray z rosnącym przerażeniem przyglądał się ostrym kolcom.

Czy to umięśnione pnącze wysysało krew Stelli?

Harrington przechylił do tyłu głowę Jasona i na policzek chłopaka skapnęła z rośliny duża szkarłatna kropla.

Co on...?

Z czarnej rany wypełzła, zwabiona świeżą krwią, tłusta biała larwa. Profesor nadział ją na jeden z kolców pnącza i wyciągnął na zewnątrz, po czym wyrzucił roślinę i przebitego pasożyta do rzeki.

Jason z wyrazem obrzydzenia na twarzy dotknął palcem rany.

– Słyszałeś o gzach? – spytał Harrington.

Chłopak pokręcił głową, jakby dawał do zrozumienia, że nie chce nic o nich wiedzieć, ale profesor mimo wszystko kontynuował:

– *Cuniculux spinae* są do nich podobne. To pasożyty żyjące w mięśniach. Wypalają sobie drogę w głąb tkanki i wypuszczają kolce z jajeczkami.

– Z jajeczkami? – spytał Jason, blednąc jeszcze bardziej.

– Wylęgają się z nich mięsożerne larwy, z których potem wyrastają...

– Chyba dość już tej lekcji biologii – przerwał mu Gray, oszczędzając Jasonowi dalszych szczegółów. Pomógł Stelli wstać i powiedział: – Idziemy.

Godzina 14.32

Jason włókł się obok Graya. Szli już prawie czterdzieści pięć minut, ale, według jego szacunków, pokonali najwyżej osiemset metrów.

A może nawet mniej.

– Już niedaleko – oznajmił Harrington za ich plecami, lecz Jason nie był pewien, czy to prawda, czy profesor próbuje jedynie przekonać samego siebie.

Trasa wiodła teraz w dół szeregiem kamiennych stopni, mających nie więcej niż metr wysokości. Kaskady wody opadały z poziomu na poziom, odbijając się echem w tunelu. Byli w stanie iść wzdłuż brzegu przy zachodniej ścianie, kilkakrotnie jednak musieli omijać stawy lub brody, przeskakując ze skały na skałę.

Ale to nie ukształtowanie terenu opóźniało najbardziej ich marsz.

Dokuczała im ciągle, jak przeciwny wiatr, obecność żywych istot. Karabiny akustyczne odstraszyły większość dużych stworów. Ale nieustannie coś się wokół nich wiło, pełzało lub trzepotało skrzydłami. Nękały ich bez przerwy ukąszenia much, odpornych na broń akustyczną.

Coraz trudniej było oddychać.

Coraz ciężej się szło.

Jason miał ubranie przesiąknięte potem. Zapuchnięte oczy piekły go pod goglami.

Jedyną pociechą było to, że Stella szła blisko niego i na zmianę trzymali w pogotowiu karabiny. Początkowo ona lub jej ojciec próbowali opowiadać im o gatunkach, które napotykali po drodze, ale w końcu padały już tylko konkretne pytania.

– Mamy je zastrzelić? – zapytał właśnie Kowalski.

Jason spojrzął przed siebie. Zagradzało im drogę stado pozbawionych piór strusi emu, na wysokich chudych nogach, przystosowanych zapewne do brodzenia w stawach, w które obfitowała okolica. Ptaków było ponad dwieście. W ich gniazdach leżały cętkowane jaja wielkości grejpfrutów.

– Jeśli będziemy poruszać się wolno, nie powinny sprawiać nam kłopotów – odezwał się Harrington. – Nie czują naturalnego lęku przed człowiekiem. Dopóki nie zbliżycie się za bardzo do ich gniazd, powinniśmy być w stanie spokojnie przejść.

– A jeśli je wkurzymy? – spytał Gray.

– *Avex cano* mają mentalność stada. Atakują gromadą. Widzicie ten zakrzywiony pazur z tyłu nogi? Używają go do patroszenia ofiary.

– Ale na ogół są łagodne – dodała Stella. – Nawet przyjazne, a czasem ciekawskie. – Aby to zademonstrować, podeszła do jednego z nich i wyciągnęła rękę. Struś podskoczył do niej, przekrzywiając łepkę najpierw na jedną stronę, a potem na drugą. Dopiero w tym momencie Jason zauważył, że ptak nie ma oczu. Jego niewielkie nozdrza nad długim dziobem w kształcie wiosła otwierały się i zamykały.

Stella sięgnęła nieco dalej i przesunęła opuszkami palców po spodniej części dzioba, na co ptak zareagował delikatnym kwileniem. Jego towarzysze podchwycili ten dźwięk, który rozszedł się w powietrzu jak fala na powierzchni stawu po wrzuceniu do wody kamyka.

Stella weszła bez problemu między strusie i poprowadziła dalej całą grupę. Jason ruszył za nią, zafascynowany zarówno stadem ptaków, jak i idącą przed nim dziewczyną.

W pobliżu jeden ze strusi brodził w wodzie, pozostawiając za sobą fosforyzujący ślad w miejscu, gdzie na powierzchni stojącej wody unosił się gęsty galaretowaty śluz. Ptak zaczerpnął go do dzioba.

– Te bakterie stanowią ich pokarm – wyjaśniła Stella. – Są bardzo pożywne.

– Poprzestanę na stekach – oznajmił Kowalski, choć spoglądał łakomie na stado, jakby próbował ocenić, czy smakują jak kurczaki.

Przeszli bez problemów między strusiami, co być może osłabiło czujność Jasona.

– Stój! – krzyknął Harrington.

Chłopak znieruchomiał. Zamierzał właśnie wejść na skałę, gdy wysunęły się z niej połączone stawami twarde, chitynowe odnóża. Dziwny stwór umknął na bok, a gdy się obrócił, Jason zobaczył zakręcony ogon, zakończony trzema długimi na dwadzieścia centymetrów kolcami. Lśniły wilgocią, więc musiały być jadowite.

Harrington potwierdził to, podając nazwę drepczącego stwora.

– *Pedex fervens*. – Czyli w wolnym tłumaczeniu: gorąca stopa.

Stella dała Jasonowi znak, by ruszał dalej.

Szedł obok Graya, ale chwilowy zachwyt już go opuścił.

Gdy przebrnęli kolejne sto metrów, schodzący w dół tunel doprowadził ich do ogromnej jaskini. Zatrzymali się oszołomieni jej rozmiarami.

– Nazywamy to miejsce Koloseum – oznajmiła Stella.

Było to niedomówienie.

Sklepienie jaskini znajdowało się poza zasięgiem reflektorów na podczerwień. Potężne ściany po obu stronach sięgały gdzieś w przestrzeń jak rozpostarte ramiona. Rzeka, wzdłuż której szli, rozgałęziała się na tysiące niewielkich strumyków, rzeczek i potoków, tworzących ogromną kamienną deltę. Nieco dalej światła ich lamp odbijały się w dużych jeziorach, ukazując kontury mrocznych wysp.

Ale bliżej nich pojedyncze skamieniałe drzewa, które wcześniej mijali, zastąpił prawdziwy kamienny las. Okazy, które tu widzieli, przyćmiewały największe sekwoje, ale nie były to jedynie pnie. Drzewa w tej gargantuicznej jaskini stanowiły perfekcyjne kamienne repliki oryginałów, z zachowanymi konarami i gałęziami, które tworzyły u góry łukowaty bezlistny firmament.

Była to skamieniała rzeźba dawnego świata.

Między gałęziami unosiły się dziwne świecące stworzenia, być może utrzymujące się w powietrzu dzięki zapasom wodoru lub helu. Wyglądały jak dryfujące na wietrze japońskie lampiony.

Weszli do jaskini, wykręcając szyje, by ogarnąć jej ogrom. Jason czytał kiedyś o odkryciu pod lodem Antarktydy Zachodniej rowu dwukrotnie głębszego niż Wielki Kanion. Ta jaskinia była równie imponująca.

– Tędy – ponaglał Harrington.

Poprowadził ich w prawo, do rozległej płytkiej rzeki i wszedł po kostki do wody. Jason podążył za nim, lecz miał ochotę iść na palcach, nadal bojąc się tego, co może być pod wodą. Rozglądał się za nowymi zagrożeniami, biorąc przykład ze Stelli, która omiatała snopem latarki na podczerwień przestrzeń przed sobą. Spostrzegł, że wzdłuż ich trasy biegnie podwójny rząd zniszczonych kolumn, mających grubość uda Kowalskiego. Początkowo sądził, że to naturalne formacje, ale tworzyły zbyt równy szereg. Po uważnym przyjrzeniu się stwierdził, że to pozostałości drewnianych słupów, umocowanych za pomocą poczerniałych od pleśni stalowych wkrętów.

Konstrukcja wyglądała na zbyt starą, by była dziełem Brytyjczyków.

Stella zauważyła, czym się zainteresował.

– To wsporniki serii mostów, które dawno się rozpadły.

– Kto je zbudował?

Harrington krzyknął, skłaniając ich do pośpiechu. Przed nimi stał ukosem na skalnym przesmyku ogromny, wysoki na dwa piętra pojazd na potężnych nowych oponach. O jego boki opartych było kilka lśniących drabin.

– Znaleźliśmy go już jakiś czas temu – wyjaśniła Stella. – Dzięki ekipie brytyjskich mechaników od niedawna znów działa.

Jason patrzył z podziwem.

Był to stary pojazd śnieżny admirała Byrda.

Godzina 15.14

Major Dylan Wright stał koło tylnej rampy największej amfibii. Poirytowany, poprawił

jedną ręką kamizelkę kuloodporną, a w drugiej trzymał długi dwulufowy pistolet Howdah. Był gotów stawić czoło każdemu zagrożeniu.

Mniejsza amfibia stała obok z włączonymi silnikami. Reflektory obu pojazdów przecinały ciemność. Ludzie Dylana obsługiwali zainstalowane na dachu urządzenia dźwiękowe dalekiego zasięgu. Jedna czasa skierowana była do przodu, druga do tyłu i w razie potrzeby mogły zostać użyte.

Dylan zaklął pod nosem, spoglądając w górę na unieruchomioną gondolę. Od spodu zwisały z niej resztki drabinki.

A więc Harrington i pozostali uciekli. Ale dokąd?

Słyszając ryk silnika, odwrócił się. Druga mała amfibia sunęła po wodzie, a kiedy dotarła do skalistego brzegu, wjechała na ląd, demonstrując swoje możliwości.

Gdy zatrzymała się obok pojazdu majora, przez opuszczone okienko wystawił głowę jego zastępca.

– Profesor nie zadekował się w tej szwabskiej łodzi – oznajmił McKinnon. – Przeszukaliśmy ją od dziobu do rufy.

Dylan wysłał Szkota, by upewnić się, czy Harrington nie ukrył się na niemieckim okręcie. Znając już odpowiedź, zastanawiał się, co robić dalej.

A więc naprawdę poszli pieszo...

Jeden ze zwiadowców znalazł wcześniej ślady na brzegu rzeki, ale Dylan chciał mieć pewność, czy nie jest to fałszywy trop. Nie mógł uwierzyć, że Harrington odważył się na taki marsz.

Chyba wciąż cię nie doceniam, stary.

Niestety, załadowanie amfibii na wyprawę zajęło ekipie majora zbyt wiele czasu, zwłaszcza że brytyjscy żołnierze zaczęli się na nich na Przylądku Piekła. Chcąc jak najszybciej dopaść Harringtona, Dylan nie oczyścił odpowiednio pola. Kilku żołnierzy ukryło się i zaatakowało jego ludzi. Zanim zostali zlikwidowani, ostrzeliwali ich przez dziesięć minut.

Straciliśmy zbyt wiele czasu, pomyślał znów major.

Zamierzał to jednak nadrobić. Harrington nie mógł dojść zbyt daleko. Dylan wyprostował się, otrząsnął z irytacji i wszedł do amfibii.

Wsunął pistolet do kabury i krzyknął:

– Wsiadać! Ruszamy!

Czas zacząć prawdziwe polowanie.

Boa Vista, Brazylia

30 kwietnia, godzina 11.33 czasu miejscowego

– A to ciekawe – powiedział doktor Lucas Cardoza, wyprostowując przed komputerem zgarbione plecy.

Painter podniósł się ze stołka i podszedł do niego.

Brazylijski genetyk kierował w Boa Vista Projektem Genograficznym. Był korpulentnym mężczyzną o ciemnych włosach, gęstych czarnych wąsach i bystrych oczach za okularami w grubych oprawkach. On i jego zespół segregowali i rejestrowali od dziesięciu lat kody DNA tubylców z Ameryki Południowej. Przy użyciu firmowego algorytmu porównywał zgromadzone dane, aby wysledzić najstarsze wzorce migracyjne setek plemion zamieszkujących brazylijską dżunglę.

Painter i Drake odwiedzili Cardozę w jego biurze na Federalnym Uniwersytecie w Roraimie, głównej uczelni miasta. Naukowiec zgodził się przeprowadzić analizę DNA próbki krwi jedyne go napastnika, który ocalał podczas ataku na kafejkę. Zgodnie z oczekiwaniami, więzień, będący teraz pod nadzorem policji, odmówił zeznań, a nawet próbował bezskutecznie powiesić się w celi. Ten akt desperacji świadczył o gorliwości zwolenników Cuttera i plemiennej lojalności.

Ale jakie to było plemię?

– Chyba coś znalazłem – oznajmił Cardoza, dając Painterowi znak, by się zbliżył.

Drake także pochylił się nad komputerem, mrużąc pod nosem:

– Najwyższy czas.

Dyrektor Sigmy spojrział na zegarek. Jennę porwano mniej więcej przed trzema godzinami. Jej porywacze mieli znaczną przewagę, a z upływem czasu trop się zacierał. Painter wiedział, że muszą szybko ją odnaleźć. Cutter Elwes porwał dziewczynę nie bez powodu, najprawdopodobniej po to, by ją przesłuchać i ustalić, co Amerykanie o nim wiedzą. Potem jednak nie będzie mu już potrzebna.

Wiedząc o tym, Painter wysłał Malcolma i Schmitta do bazy lotniczej w Brazylii, by odebrali nowy transport. Samolot przylatywał z amerykańskiego okrętu wojennego na południowym Atlantyku. Kat przyspieszyła przygotowania, wywierając naciski na brazylijski rząd i wojsko, by uzyskać ich współpracę. Załatwiła też przezornie dodatkowe wsparcie dla Paintera, które było już w drodze. To stanowiło jej główny atut: zamiast czekać biernie na rozkazy, zawsze przewidywała, co będzie potrzebne.

Teraz szczególnie to doceniał.

Nie możemy tracić już czasu, pomyślał.

I nie tylko z powodu Jenny.

Kat przekazała mu wiadomość, że nad jezioro Mono dotarł średniej wielkości ładunek jądrowy i jest przygotowywany do odpalenia. Jej zdaniem, skutki eksplozji byłyby opłakane. Spłonąłby obszar o powierzchni stu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych, a opad radioaktywny skaziłby ponad tysiąc kilometrów kwadratowych, w tym cały Park Narodowy Yosemite. A co najgorsze, nadal nie było gwarancji, że to drastyczne posunięcie zniszczy wirusa.

Painter potrzebował więc odpowiedzi – i brazylijski genetyk był ich największą nadzieją.

– Co pan odkrył? – spytał.

– Przepraszam, że tyle to trwało – usprawiedliwił się Cardoza. – Od paru lat analizę DNA robi się dużo szybciej, ale w tym przypadku szczegółowe badanie wymagało wyjątkowej precyzji. Nie chciałem popełnić błędu i wytypować niewłaściwego plemienia.

Painter położył dłoń na jego ramieniu.

– Jestem wdzięczny, że zechciał pan nam pomóc.

Naukowiec skinął poważnie głową i wskazał na monitor.

– Proszę spojrzeć.

Na ekranie pojawił się szereg szarych pionowych kresek. Przypominały kod paskowy, ale był to kod genetyczny ich więźnia.

– Zidentyfikowałem dwadzieścia dwa markery typowe dla tubylców z północnej Brazylii, co niewiele by nam pomogło, gdyż na tym obszarze jest dość dużo plemion i są one rozproszone. Ale ta sekwencja – zakreślił palcem grupę kresek na ekranie – to unikatowa mutacja występująca u jednej z podgrup plemienia Macuxi, która słynie z izolacji i endogamii, a także dziwnie częstych mnogich ciąż.

– I nasz więzień należy do tej hermetycznej grupy?

– Niemal na pewno.

Słowo „niemal” zaniepokoiło Paintera.

– Na ile jest pan tego pewien?

Naukowiec poprawił okulary.

– W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Może nawet ułamek procenta więcej.

Painter ukrył uśmiech. Tylko naukowiec może użyć słowa „niemal”, mówiąc o dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewności.

– Gdzie zamieszkuje to plemię? – spytał Drake, pochylając się niżej.

Cardoza postukał w klawiaturę i wyświetlił mapę topograficzną. Czerwona kropka wskazywała miejsce w głębi dżungli, około stu pięćdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Boa Vista.

Painter westchnął ciężko. Czekala ich jeszcze daleka droga.

– Co pan wie na temat tego rejonu dżungli? – spytał w nadziei na jakiś przełom.

Cardoza pokręcił głową.

– Bardzo niewiele. Z powodu ukształtowania terenu jest właściwie niedostępny drogą lądową. Są tam głębokie rozpadliny i bujna roślinność. Mało kto ma odwagę zapuszczać się w te okolice.

– Nic dziwnego, że to endogamiczne plemię – zauważył Drake.

– To zdjęcie satelitarne tego obszaru. – Cardoza zamienił mapę topograficzną na panoramiczną fotografię, wykonaną z niskiej orbity i ukazującą gęstą dżunglę.

Wydawała się nie do przebycia. Pod tym mrocznym zielonym baldachimem mogło się ukrywać wszystko, ale Painter miał intuicję.

Przeczytał, co tylko mógł, na temat Cuttera i zaczął tworzyć sobie profil jego osobowości. Cutter miał skłonność do dramatyzowania, co w połączeniu z wybujałym ego sprawiało, że nie lubił chować głowy w piasek – nawet kiedy udawał martwego.

– Może pan powiększyć ten obraz? – spytał Painter.

– Oczywiście.

Na zbliżeniu ukazał się fragment lasu deszczowego. Oznaczająca wioskę czerwona kropka znajdowała się w pobliżu jedyne miejsce, które wyróżniało się na tle tego szmaragdowego morza. Na południu wyrastał z dżungli wysoki szczyt. Jego strome urwiska wydawały się nie do pokonania, a wierzchołek spowijały mgły.

– Co to jest? – spytał Drake.

– *Tepui* – wyjaśnił Cardoza. – Fragment jednego z dawnych płaskowyżów. Jest o nich wiele mitów i legend, opowieści o mściwych duchach i zaginionych korytarzach do podziemnego świata.

Painter wyprostował się.

Może to dobre miejsce, by zmarły powrócił do życia, pomyślał.

Drake zerknął na niego.

– Myślisz, że to tam? – spytał.

– Jeśli nawet nie, to zaznaczona na mapie wioska jest wystarczająco blisko. Możemy zawsze wpaść do nich z wizytą. – Słowo „wpaść” było bardzo odpowiednie. – Jeśli na tej górze niczego nie znajdziemy, może w wiosce będą coś wiedzieli na temat Cuttera Elwesa.

– Więc ruszajmy. – Drake obrócił się na pięcie, nie mówiąc doktorowi Cardozie „dziękuję” ani „do widzenia”.

Painter rozumiał jego pośpiech, ale znalazł chwilę, by uścisnąć genetykowi rękę.

– Być może ocalił pan życie młodej kobiecie.

Podążył za Drakiem, modląc się, by to była prawda.

Godzina 11.38

Jenna stała na krawędzi cywilizacji.

Przed nią rozpościerała się dżungla, z której dochodziło brzęczenie owadów i świergot ptaków, a za nią terkotał na leśnej polanie stygnący silnik śmigłowca.

Dwóch półnagich tubylców w zaplamionych szortach pompowało do stojącej maszyny paliwo z wielkich czarnych beczek. Po drugiej stronie polany wisały między pniami drzew osłonięte moskitierami hamaki. Pod nimi walały się na ziemi niedopałki papierosów. Leżało tam też pismo pornograficzne, porzucone zapewne w pośpiechu, gdy nadleciał śmigłowiec. Powietrze cuchnęło ropą naftową, dymem tytoniowym i ludzkimi odchodami.

Podeszła na skraj polany, by uniknąć tych zapachów. Wyobrażała sobie, jak musiało tam śmierdzieć, gdy zaciągano nad tą kloaką maskującą siatkę. Teraz zwisła ona z koron drzew. Czekali na odlot śmigłowca, by ponownie zamaskować nią stację paliwową.

Wpatrywała się w tarczę południowego słońca i w nieskazitelnie błękitne niebo. Powalający upał, wzmożony przez potworną wilgotność powietrza, parzył jej bladą skórę. Stała w cieniu drzewa mahoniowego, zwracając uwagę swego strażnika. Pilot, trzymający na kolanach karabin,

spojrzał w jej kierunku. Porywacze nie pofatygowali się, żeby ją związać.

Dokąd mogłabym uciec?

Nawet gdyby spróbowała, ci tubylcy znali okolicę o wiele lepiej niż ona i szybko by ją schwyтали.

Stojąc na skraju dżungli, wdychała jej zapach i próbowała opanować strach. Wiatr poruszał liśćmi, przynosząc woń leśnych kwiatów, wilgotnej ziemi i zieleni. Jako strażnik parku dostrzegała surowe piękno tego miejsca i cud życia w jego niezliczonych przejawach: od wysokich drzew, których pnie sięgały gęstych szmaragdowych koron, do przemykającego cicho po dolnych gałęziach stada małp, a nawet parady mrówek na korze. Czytała, że przyrodnik E.O. Wilson doliczył się na jednym drzewie w lesie deszczowym ponad dwustu gatunków mrówek. Wyglądało na to, że Natura jest zdeterminowana wypełnić każdy zakamarek i niszę w tym zachwycającym Edenie.

Przestraszyła się, gdy nagle w dżungli poruszyło się coś większego, wychodząc z cienia w odległości zaledwie paru metrów od niej.

Zobaczyła kobietę o hebanowych włosach, z torsem nagim jak mężczyźni. Miała na sobie tylko ciemnobrązowe szorty w kolorze jej skóry. Niosła w ręku łuk, a na plecach kołczan ze strzałami. Z jej ramion zwisał martwy jelonek z szarym łbem, czarnymi nogami i rudobrazowym futrem. Jego duże czarne oczy patrzyły martwo w kierunku lasu, w którym mieszkał.

Kobieta minęła Jennę, nawet na nią nie spojrzawszy.

Spędziła w lesie zaledwie kwadrans. Rzuciła zdobycz na ziemię koło hamaków, pozostawiając ją dwóm tubylcom, którzy musieli mieszkać przy tej stacji paliw. Wyglądało na to, że nie poluje dla mięsa czy skóry, lecz dla rozrywki.

Jenna zauważyła, że mężczyźni unikają jej wzrokiem, choć jej piersi – całkiem efektowne – były nagie.

Kobieta włożyła bluzkę, która wisiała na gałęzi, i powiedziała coś do pilota spokojnym, zrelaksowanym głosem. Spojrzała na Jennę, a potem znów na niego. Pilot skinął głową, wrzasnął na dwóch tubylców i dał im znak, by zabrali swój sprzęt.

Najwyraźniej była pora ruszać w drogę.

Kilka minut później Jenna znów siedziała z tyłu śmigłowca. Zawyły silniki i maszyna poderwała się z ziemi, opuszczając dżunglę w blasku południowego słońca. Pochyliwszy lekko dziób, śmigłowiec pomknął nad bezkresnymi połaciami zieleni.

Jenna spojrzała naprzód.

W oddali, na horyzoncie, wyłoniły się mroczne kontury.

Czy właśnie tam zmierzamy?

Nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie to, że u kresu tej podróży nie czeka jej nic przyjemnego. Zamknęła oczy i odchyliła się na oparcie siedzenia, przygotowując się na to, co miało nadejść, i tęskniąc za swoim źródłem siły i odporności.

Nikko...

Ale jej partner musiał toczyć własną walkę.

Góry Sierra Nevada, Kalifornia

Godzina 8.40 czasu miejscowego

Lisa pchała nosze na kółkach w kierunku komory powietrznej, przez którą wychodziło się z jej laboratorium. Jedyne ocalały szczur poruszył się w klatce, podchodząc bliżej, gdy go mijała, i marszcząc różowy nosek.

Przykro mi, ale mogę ocalić z tego tonącego okrętu tylko jednego pasażera.

Nikko leżał na boku na wyściełanych noszach, prawie nie oddychając po lekkiej narkozie. Jego przednia lewa łapa była usztywniona i podłączona do kroplówki. Z jednej z dwóch torebek, spoczywających na razie na poduszce obok psa, spływał roztwór z zestawem leków przeciwwirusowych, z drugiej – plazma bogata w płytki krwi.

Nosze na kółkach, przeznaczone do przewozu pacjentów z oddziału zamkniętego, były osłonięte hermetycznie przezroczystym namiotem i zaopatrzone w tlen płynący z butli umieszczonych pod spodem.

Lisa wpełznąła je do komory powietrznej, zaczekała, aż wyrówna się ciśnienie, a gdy zapaliło się zielone światelko, skinęła głową do człowieka stojącego za drzwiami. Edmund Dent otworzył je i pomógł jej wciągnąć nosze do niewielkiej sali konferencyjnej w centrum kompleksu laboratoriów Poziomu 4.

– Musimy się pospieszyć – ostrzegł. – Mamy niewiele czasu.

Sama to wiedziała.

Lindahl i jego kumple wyszli, aby nadzorować dostawę ładunku jądrowego do górskiej bazy, zabierając ze sobą cały zespół fizyków nuklearnych i radiologów. Na chwilę laboratorium niemal opustoszało. Naukowcy, którzy tam zostali, byli kolegami Edmunda, którzy zgodzili się przymknąć oko na ich poczynania. Wszyscy znali Jennę, wiedzieli o jej porwaniu i planach Lindahla, by napromieniować psa.

Kto mógł jednak przewidzieć, jak długo będą milczeć, gdy zostaną poddani presji?

Edmund pomógł zaciągnąć nosze do głównej komory odkażania. Po drugiej stronie drzwi stała strażniczka. Uniósł rękę, dając jej znak, jakby robili coś rutynowego.

Lisa weszła do komory powietrznej sama, zostawiając kolegę za sobą, aby zabezpieczył jej tyły. Miał zablokować dostęp do jej laboratorium, żeby Lindahl zorientował się jak najpóźniej, że Nikko zniknął.

Zaczął się proces odkażania. Najpierw dysze spryskały jej skafander i osłonę noszy, potem były promienie ultrafioletowe, kolejna runda zraszania i osuszanie. Cała procedura trwała dwadzieścia potwornie długich minut.

Strażniczka co jakiś czas spoglądała w jej kierunku. Lisa starała się unikać jej wzroku.

W końcu zapaliło się zielone światelko i mogła wyjść. W pomieszczeniu za komorą powietrzną zdjęła skafander. Kleiła się od potu, głównie z powodu hermetycznego stroju, ale także ze strachu, że zostanie zdemaskowana. Pchnęła nosze i wtoczyła je z pewnym wysiłkiem do głównego hangaru.

– Gotowe? – spytała strażniczka.

Lisa skinęła głową.

– Tak, dzięki.

Kapral Sarah Jessup – kobieta o kasztanowych włosach, w idealnie wyprasowanym mundurze – została mianowana osobistą adiutantką Paintera. Dowódca bazy wyrażał się o niej z wielkim uznaniem.

– Nie musiała pani tego robić – powiedziała Lisa, gdy strażniczka pomogła jej przewieźć Nikka przez ogromny hangar.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie łamię żadnych przepisów. Moim bezpośrednim zwierzchnikiem jest dyrektor Crowe, a on powiedział, że popiera pani działania. Wykonuję więc rozkazy jak każdy dobry żołnierz. – Uśmiechnęła się lekko do Lisy. – Poza tym mam w domu czekoladową labradorkę, Belle. Gdyby ktoś spróbował ją skrzywdzić, gorzko by tego pożałował.

Lisa, wdzięczna Sarze za współpracę, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Gdyby kapral Jessup nie zgodził się jej pomóc i nie załatwiła sobie o tej porze dyżuru, wykradnięcie Nikka z laboratorium byłoby niemożliwe.

Sarah pomogła jej w jeszcze jednej sprawie.

– Zgodnie z pani instrukcjami, przygotowałam pokój na tymczasową kwarantannę – powiedziała. – W miejscu, w którym nikt nie będzie szukał.

– Gdzie to jest?

Kapral znów lekko się uśmiechnęła.

– Na zapleczu kaplicy. Kapelan zgodził się nas kryć, odpowiadać wymijająco na wszelkie pytania.

– Namówiła pani księdza, żeby kłamał.

Sarah uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Proszę się nie martwić. To ewangelik, i w dodatku mój chłopak. Poza tym kocha Belle tak samo jak ja... i całe szczęście, bo nigdy bym za niego nie wyszła. Belle i ja jesteśmy w pakiecie.

Słyszac w jej głosie nutę młodzieńczej miłości, Lisa przypomniała sobie o własnym odłożonym ślubie. Poczuła jeszcze większą tęsknotę za Painterem i stłumiła ból w sercu.

Pozwoliła, by kapral Jessup doprowadził ją na miejsce. Zdawała sobie jednak sprawę, że tylko trochę zyskują na czasie. W końcu ktoś się wygada albo kryjówka Nikka zostanie odkryta. Poza tym wisiała nad nimi poważniejsza groźba – wybuchu nuklearnego.

Po północy miała rozpętać się kolejna burza, więc Lindahl zaplanował detonację o zmierzchu.

Lisa wyobraziła sobie wykwitający nad górami ogromny ognisty grzyb.

Ogarnęła ją rozpacz. Ktoś musiał znaleźć sposób, by powstrzymać eksplozję, zanim będzie za późno.

Tylko kto... a co najważniejsze: jak to zrobić?

Roraima, Brazylia

Godzina 11.43 czasu miejscowego

Przez ostatnie dwie godziny Kendall pracował pod czujnym okiem Cuttera Elwesa w laboratorium Poziomu 4. Obaj mieli na sobie śnieżnobiałe skafandry ochronne połączone żółtymi przewodami wentylacyjnymi z otworami w ścianach.

Kendall wziął do ręki dwie fiołki i przeczytał napisy na etykietach.

25 ug CRISPR CAS9-D10A enzym MRNA

1 ug CRISPR CAS9-D10A plazmid enzymu

Niewielkie szklane ampułki zawierały podstawowe składniki do tworzenia genów. Dzięki nim naukowiec mógł precyzyjnie rozdzielić podwójne łańcuchy DNA w określonych miejscach i wprowadzić w nich zmiany. Te konkretne fiołki służyły głównie do zabiegów transgenicznych: wprowadzania obcego genu – zwanego transgenem – do kodu genetycznego innego organizmu.

Na przykład w celu dodania skrzydeł mrówkom-pociskom.

Cutter najwyraźniej bawił się od pewnego czasu w Boga, wszczepiając obce geny istniejącym gatunkom. Samo w sobie nie było to aż tak szokujące. Od blisko dekady znano technologię takich zabiegów i wykorzystywano ją w laboratoriach na całym świecie do tworzenia transgenicznych istot, od bakterii po myszy, czy nawet kolonii świecących w ciemności kotów. Prace Cuttera nie odbiegały więc aż tak bardzo od tamtych, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że miał dostęp do najnowszej generacji procesów MAGE i CAGE, technik pozwalających wprowadzić równocześnie setki zmian mutacyjnych.

Niestety, choć jego dzieła były monstrualne, Kendall nie miał moralnego prawa, by go krytykować. Nad jeziorem Mono wykorzystał zawartość tych samych fiołek do stworzenia swego syntetycznego wirusa. Jego dzieło również stanowiło eksperyment z dziedziny inżynierii transgenicznej. A transgeny, które wszczepił, były nawet bardziej obce, bo pochodziły od jednego z gatunków z kodem XNA, odkrytego w alternatywnej biosferze pod Antarktydą.

Ten ostatni szczegół miał kluczowe znaczenie dla jego sukcesu. Doprowadził do przełomu, dzięki któremu Kendall mógł przekształcić pustą osłonę wirusa w żywy, rozmnażający się organizm.

Boże, pomóż mi... On nie może się dowiedzieć, jak to zrobiłem, pomyślał.

Cutter podszedł do wysokich zamrażarek z tyłu laboratorium. Za prostokątnymi szybami lśniły rzędy probówek i fiołek. Była to genetyczna biblioteka dla jego eksperymentów – zarówno tych z przeszłości, jak i tych, które zamierzał przeprowadzić.

Wrócił z dwoma szklanymi probówkami wypełnionymi do połowy mętnym płynem.

– W prawej ręce – unióś ją – mam eVLP, które skonstruowałeś – oznajmił. – Twoją idealną pustą osłonę.

Kendall miał już dowód, że Cutter nie blefuje. Po spędzeniu godziny w jego laboratorium przekonał się, że ten człowiek rzeczywiście odtworzył identyczną proteinową powłokę.

Cutter unióś drugą probówkę.

– A oto moje dzieło. Fragment unikatowego kodu genetycznego o rozmiarach prionu.

A więc ten łajdak to właśnie chce umieścić w mojej osłonie.

Niepokoilo go, że Cutter wspomniał o prionach, zaraźliwych proteinach, powodujących między innymi chorobę wściekłych krów u bydła czy chorobę Creutzfeldta-Jakoba u ludzi. Kliniczne objawy tych infekcji miały zawsze neurologiczny charakter i dotyczyły zwykle mózgu. Co najgorsze, choroby te były nieuleczalne i często śmiertelne.

Cutter unióś probówki wyżej.

– Teraz musisz mi pokazać, jak połączyć nasze dokonania. Twoją osłonę z moim kodem genetycznym. – Wziął obie probówki do jednej ręki i podał je Kendallowi.

Ten odebrał je niechętnie.

– Do czego służy twój kod?

Cutter skarcił go kiwnięciem palca i wskazał na stanowisko laboratoryjne.

– Najpierw zweryfikujmy twoją koncepcję. Udowodnij mi, że twój sukces w Kalifornii nie był przypadkowy.

Kendall wyczuwał, jak Cutter jest poirytowany, że musi go prosić o pomoc. Zamiast

pogodzić się z tym, że ktoś osiągnął więcej niż on, uważał dokonania Kendalla za czysty przypadek. Choć po wypadku z lwem bardzo się zmienił, to zarozumiały był jak dawniej.

– To jednak trochę potrwa. – Kendall postanowił grać na zwłokę. – Będę potrzebował pełnej analizy twojego kodu DNA, żeby znaleźć sposób na umieszczenie go w osłonie.

– Masz już to wszystko w komputerze.

– Chciałbym zrobić tę analizę sam.

Cutter zmrużył podejrzliwie lewe oko.

– Po co powtarzać coś, co zostało już zrobione?

– To niezbędna część procedury. Być może będę musiał zmienić twój kod, dodać kluczową sekwencję, by otworzyć osłonę. – To akurat było prawdą.

Uznając zapewne logikę tej argumentacji, Cutter westchnął i skinął głową.

– Więc bierz się do pracy.

Zanim zdążył się odwrócić, Kendall go zatrzymał.

– Zgodziłem się współpracować. Możesz mi teraz powiedzieć, jak opanować skażenie w Kalifornii?

Zanim będzie za późno, pomyślał.

Cutter sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu zmierzył go wzrokiem.

– Wskażę ci częściowe rozwiązanie, jeśli wyjaśnisz mi, jak ten klucz otwiera twoją osłonę. Muszę przyznać, że intryguje mnie to wystarczająco, by okazać trochę dobrej woli.

Kendall oblizał wyschnięte wargi; wiedział, że powinien stąpać ostrożnie. Musiał zdradzić dostatecznie dużo informacji, aby Cutter, który w końcu nie był głupcem, mu uwierzył, ale nie tyle, żeby odkryć wszystkie karty.

Kendall odchrząknął.

– Słyszałeś o zainteresowaniu mediów Instytutem Badawczym Scrippsa w maju dwa tysiące czternastego roku? Po ogłoszeniu, że powstała tam żywa, replikująca się bakteria, która zawiera nowe litery alfabetu genetycznego?

Cutter zmrużył oczy z namysłem.

– Chodziło o wszczęcie sztucznych baz nukleotydów do kodu DNA bakterii.

Kendall przytaknął. Był to przełomowy eksperyment. Całe życie na naszej planecie – od pleśni do ludzkich istot – opiera się na prostym alfabecie genetycznym, złożonym tylko z czterech liter: A, C, G i T. Z ich kombinacji rozwinęło się na Ziemi bujne bogactwo gatunków. Ale naukowcy z Instytutu Scrippsa stworzyli po raz pierwszy żywą bakterię z dwiema dodatkowymi literami w genetycznym kodzie: nazwali je X i Y.

– No i co w związku z tym? – spytał Cutter.

– Zrobiłem coś podobnego – oznajmił Kendall. – Wykorzystując technikę CRISPR, zdołałem usunąć fragmenty starego DNA wirusa i zastąpić je obcymi segmentami XNA. Właśnie dokładnie ta, a nie inna, sekwencja genów XNA działa jako klucz otwierający osłonę.

– Ożywiając to, co stworzyłeś. – Cutter uśmiechnął się. – Dlatego ciągle mi się nie udawało. Brakowało mi klucza.

I mam nadzieję, że nigdy go nie zdobędziesz, pomyślał Kendall.

– Powiniennem był sam na to wpaść – rzucił Cutter. – Ten kapsyd wirusa, idealna osłona... Skonstruowałeś jej niezwykłą konfigurację, wytwarzając proteiny z genów XNA. Aby więc osłona zaakceptowała umieszczony w niej materiał genetyczny, może być niezbędna specyficzna sekwencja markerów XNA.

– Klucz pasujący do zamka. Na tym polegało moje przełomowe odkrycie. – A przynajmniej jego część, przemknęło Kendallowi przez głowę.

– Pomysłowe! Imponujesz mi.

– Skoro jesteś usatysfakcjonowany, powiesz mi coś o tym, jak zapobiec dalszej katastrofie w Kalifornii?

To była jedyna nadzieja Kendalla. Gdyby sam znalazł rozwiązanie, może nie musiałby zdradzać temu łajdakowi, jak napełnić kapsyd wirusa.

– W porządku – zgodził się Cutter. – Po pierwsze, pamiętasz może, jak wspominałem, że ty i Harrington mieliście cały czas przed oczami sposób na unieszkodliwienie stworzonego przez ciebie wirusa. Podobnie jak w przypadku twojego klucza, chodzi o XNA.

– Jak to?

– Szkoda, że nie zadałeś sobie pytania, dlaczego ta alternatywna biosfera pozostała przez tysiąclecia odizolowana na Antarktydzie, zwłaszcza gdy cały zewnętrzny świat jest niemal bezbronny wobec jej agresywnej, niepowtarzalnej natury.

– Jak brzmi odpowiedź?

– Daj mi klucz, to ją uzyskasz... wraz z informacją, jak wykorzystać pożytecznie tę wiedzę w Kalifornii.

Kendall, wiedząc, że więcej się od niego nie dowie, nie naciskał.

– Zostawiam cię z twoją pracą – rzucił Cutter, odwracając się. – Spodziewamy się wkrótce gościa, z którym chcę porozmawiać. Ale gdy wrócę, będę oczekiwał wyników. Uwierz mi, że nie powinieneś mnie rozczarować.

Kendall patrzył, jak Cutter wychodzi przez komorę powietrzną. Za drzwiami, w głównym laboratorium, pełnił straż barczysty Mateo.

Nie mając wyboru, Kendall zaczął studiować unikatową sekwencję kodu genetycznego, którą ten szaleniec chciał umieścić w jego idealnym nośniku genów.

Co zawierała? Do czego miała służyć?

Gdybym zdołał to odkryć, może potrafiłbym go powstrzymać.

Albo przynajmniej odroczyć moment, kiedy będzie w końcu musiał powiedzieć Cutterowi prawdę: że klucz, którego tak desperacko potrzebował, jest poza jego zasięgiem. Kendall nie mógł go odtworzyć w tym miejscu. Aby to zrobić, potrzebowałyby limfocytów konkretnego gatunku z alternatywnej biosfery. Jego unikatowego XNA nie dało się zrekonstruować syntetycznie w żadnym laboratorium. Niezbędne były żywe komórki.

Ale jak długo zdołam utrzymać to w tajemnicy?

Na razie mógł jedynie zwlekać jak najdłużej z przekazaniem Cutterowi tej wiadomości.

Tylko po co? – zastanawiał się. Kto może mi pomóc?

Godzina 23.55

Painter stał w skwarze południowego słońca na uboczu międzynarodowego lotniska w Boa Vista. Osłaniając oczy zdrową ręką, obserwował niebo. Drugą ręką, świeżo zabandażowaną, miał na temblaku.

Lotnisko znajdowało się zaledwie trzy kilometry od miasta i połączone było z Bazą

Lotniczą Boa Vista, lokalną placówką Brazylijskich Sił Powietrznych. Tej jego części rzadko używano, czego dowodziły chwasty rosnące w szczelinach asfaltu. Nie było tam pasa startowego, jedynie parking z rzędem starych zrujnowanych hangarów i zaniedbanych przybudówek.

Aktualnie baza lotnicza zajmowała nowocześniejsze budynki po drugiej stronie lotniska. Ale to miejsce odpowiadało Painterowi, było bowiem odizolowane i prawie niewidoczne. Niewielka grupa brazylijskich żołnierzy strzegła wejścia na ten teren, trzymając na dystans ciekawskich.

Sierżant Drake przechadzał się niecierpliwie za plecami Paintera, podczas gdy jego koledzy, Malcolm i Schmitt, próżnowali w cieniu z hangaru.

– Nadlatują – rzucił Painter, gdy dostrzegł srebrnoszary samolot przecinający błękitne do bólu niebo.

– Dlaczego tak cholernie późno? – burknął Drake.

Dyrektor Sigmy nie odpowiedział; wiedział, że przyczyną zniecierpliwienia sierżanta jest frustracja. Drake czuł się najwyraźniej odpowiedzialny za porwanie Jenny, bo to on zostawił ją samą w kafejce. Nie była to jego wina, ale nie przyjmował tego do wiadomości. Miał swój bezkompromisowy kodeks honorowy. Painter podejrzewał jednak, że niepokój Drake'a ma bardziej osobiste niż zawodowe podłoże. Podczas tej próby ognia on i Jenna bardzo się zżyli.

Drake podszedł do niego, osłaniając oczy przed palącym słońcem.

Przecinający niebo punkt pędził w ich kierunku. Maszyna wystartowała z okrętu USS *Harry S. Truman*, lotniskowca klasy Nimitz, odbywającego ćwiczenia na południowym Atlantyku.

Painter patrzył, jak podwójne śmigła samolotu zmieniają pozycję z pionowej na poziomą, spowalniając lot i przekształcając go w śmigłowiec. Był podobny do swego większego brata, maszyny typu MV-22 Osprey, którą Painter przyleciał z wybrzeża Kalifornii do bazy marines w górach Sierra Nevada. Stanowił nową wersję samolotu Bell V-280 Valor, nazywaną czasem Synem Ospreya, ze względu na mniejszą, bardziej opływową sylwetkę. Służył głównie do celów zwiadowczych, rozwijał prędkość prawie trzystu węzłów i mógł pokonać dystans ośmiuset mil morskich.

Dla ich potrzeb był idealny.

Valor zawisł nad ziemią i zaczął opadać. Painter i Drake cofnęli się po spękany asfalcie, a ściślej biorąc, zostali pchnięci do tyłu przez podmuch śmigieł. Samolot wylądował delikatnie jak komar na nagim ramieniu. Hałas nie był tak straszny, jak można było się spodziewać, dzięki zastosowanym technologiom, które utrudniały jego wykrywanie i tłumiły ryk silników.

Otworzył się boczny właz.

Dotrzymując słowa, Kat przysłała im dodatkowych ludzi. Z maszyny wyskoczyli trzej marines w kamizelkach kuloodpornych i hełmach. Drake i jego koledzy przywitali swoich towarzyszy braterskim uściskiem ramion.

Smagły dowódca grupy wsparcia podszedł do Paintera.

– Słyszałem, że macie jakiś problem, panie dyrektorze – powiedział z lekkim hiszpańskim akcentem. – Jestem sierżant Suarez. – Wskazał ręką dwóch stojących przy nim mężczyzn, muskularnego czarnoskórego żołnierza o stalowych oczach i rudego olbrzyma. – A to starsi szeregowi Abramson i Henckel.

Painter uściskał im dłonie.

– Dzięki za pomoc.

Suarez spojrział na samolot.

– Valor to wspaniała maszyna. Będzie nam tam ciasno, ale damy radę. – Sierżant spojrział w górę na palące słońce. – Gorąco dziś, co?

Painter skinął głową.

A zapewne zrobi się jeszcze goręcej... nie tylko z powodu temperatury.

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda
30 kwietnia, godzina 16.03 czasu miejscowego

Gray stał w kabinie potężnego pojazdu śnieżnego, oparty plecami o siedzenie kierowcy. Za szeroką przednią szybą widział panoramę ogromnego Koloseum. Przez ostatnią godzinę pokonywali powoli kamienną deltę, przedzierając się przez otaczający ich zewsząd skamieniały las.

Pojazd okrążał właśnie jezioro, tak wielkie, że nawet w świetle sześciu reflektorów wielkości pokrywy studzienki nie mogli dostrzec drugiego brzegu. Oświetlały im drogę na tyle dobrze, że nie potrzebowali noktowizorów.

Wokół jeziora rosły wysokie trupio blade trzciny zwieńczone falującymi, świecącymi włóknami. Tyle że te rośliny – a może zwierzęta – podnosiły się na sztucznych nogach i brodząc w wodzie, oddalały się, gdy się do nich zbliżali. Stella powiedziała, że bioluminescencyjne włókna przyciągają owady, zwabiając je w nasycone kwasem macki.

Nie tylko te trzciny unikały ich pojazdu.

Zwracał powszechną uwagę, ale jego rozmiary i głośny ryk silników najwyraźniej zastraszały większość drapieżników i płoszyły co bardziej bojaźliwe gatunki.

Kowalski siedział za kierownicą. Zazwyczaj jazda z nim była deprymującym doświadczeniem, ale znał się najlepiej na prowadzeniu wielkich ciężarówek i, jak widać, radził sobie z tym monstrualnym pojazdem; udowodnił już, że ma talent do manewrowania nim w trudnym terenie. Może nie miał szczęścia do kobiet, ale jego zamiłowanie do silników niewątpliwie to rekompensowało.

Zaciskając w zębach tłący się jeszcze niedopałek cygara, koncentrował uwagę na zmienianiu biegów. Właśnie pokonywał osuwisko głazów, przechylając na bok długi na prawie dwadzieścia metrów pojazd, którego gigantyczne opony pokonywały skały.

– Ostrożnie! – ostrzegł Gray.

– Nie potrzebuję pouczania – mruknął Kowalski. – Dowiedz się lepiej, jak daleko jeszcze musimy jechać. Ten pojazd zużywa galony ropy na metry, a nie na kilometry. Niedługo zabraknie nam paliwa.

Aby to udowodnić, postukał grubym palcem we wskaźnik, którego strzałka zbliżała się niebezpiecznie do czerwonej kreski.

Niedobrze.

Choć większość stworzeń, które mijali, ignorowała pojazd, powodował on jednak spory zamęt i nie byłiby bezpieczni, gdyby musieli go opuścić.

Gdy zjechali ze sterty głazów, Gray zostawił Kowalskiego za kierownicą i zszedł po krótkiej drabince do głównej ładowni. Jej przestrzeń była kiedyś podzielona na dwa poziomy, ale

najwyraźniej ktoś połączył je już dawno temu w jedną całość. Z obu stron pozostały jednak oryginalne ławki, dochodzące do tylnej rampy, którą można było opuścić, by wysadzić desant.

Zobaczył, że Stella i Jason usadowili się blisko siebie i cicho rozmawiają, pochłonięci dyskusją na temat biologii. Podszedł do Harringtona, który siedział ponury po drugiej stronie ładowni, ze spuszczoną głową i łokciami wspartymi na kolanach.

– Profesorze, kończy nam się paliwo – powiedział. – Jak daleko jeszcze do tych Tylnych Wrót?

Harrington uniósł głowę. Miał zmęczoną, wymizerowaną twarz i szkliste, zalęknione oczy. Sprawiał wrażenie, jakby podczas podróży z Przylądka Piekła postarzał się o kilkadziesiąt lat.

– Już niedaleko. Tylnie Wrota są po drugiej stronie Koloseum. Łatwo tam trafić.

Jakiś stwór zaskrzeczał głośno, uderzył w kabinę pojazdu i drapnął pazurami o dach, zanim odleciał.

Obyśmy szybko dotarli na miejsce, pomyślał komandor.

Harrington rzucił zatroskane spojrzenie w kierunku córki, po czym pochylił się, chwycił Graya za kolano i wyszeptał gorączkowo:

– Gdyby coś nie wyszło, niech pan ją stąd zabierze.

– Postaram się – obiecał Gray.

Jego słowa najwyraźniej nie były dla profesora wielką pociechą, więc żeby czymś zająć starszego pana, komandor usiadł obok niego i wskazał na monstrialny pojazd.

– Co robił tutaj admirał Byrd?

– Myślę, że szukał tajnej niemieckiej bazy okrętów podwodnych i natknął się na to miejsce. Wiem jedynie, że przybył na Antarktydę w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, już po zakończeniu wojny. Towarzyszyło mu trzynaście okrętów, ponad dwadzieścia samolotów i prawie pięć tysięcy ludzi.

– Pięć tysięcy... Dlaczego aż tylu?

– Nazywano to Operacją Skok Wzwyż. Według oficjalnej wersji, chodziło o założenie arktycznego ośrodka szkoleniowego, a także sporządzenie mapy kontynentu, ale większość celów tej ekspedycji utajniono. Potem doszło tu do serii eksplozji jądrowych. Myślę, że prominenci, którzy nadzorowali wyprawę Byrda, próbowali odciąć to miejsce od świata. Podobno Byrd nie był już po ekspedycji tym samym człowiekiem, bardzo się zmienił, stał się schorowanym samotnikiem. Niektórzy uważali, że spędził zbyt wiele czasu wśród lodów, ale ja zastanawiam się, czy właśnie tutaj nie przeżył wstrząsu.

Wystarczyło spojrzeć w przerażone oczy Harringtona, by zrozumieć, co miał na myśli.

– Może nie powinniśmy byli odkrywać na nowo tych jaskiń – powiedział. – Może należało polegać na mądrości Darwina i pogrzebać tę tajemnicę.

– Lepiej przyjdźcie to zobaczyć! – krzyknął z kabiny Kowalski.

Zerwali się, słysząc niepokój w jego głosie, i pobiegli na górę. Harrington opadł ciężko na miejsce pasażera.

Za przednią szybą widać było rozległe mokradła, które blokowały przejazd. Przecinały je strumienie, stawy i wodospady. Zamiast wielkiego skamieniałego lasu mieli teraz przed sobą kilka pojedynczych drzew. Ze sklepienia zwisały stalaktyty.

Na bagnach rozpościerały się ogromne pola fosforyzujących trzciny, które rozświetlały mrok nawet poza zasięgiem reflektorów. Po tym makabrycznym polu poruszały się wszędzie dziwne istoty. Brodzące ptaki wzbijały się w powietrze na skórzastych skrzydłach, uciekając przed ryczącą, dymiącą bestią, jaką był ich pojazd. Wśród trzciny snuły się cienie, dostrzegalne tylko

wtedy, gdy przejeżdżali. Wzdłuż brzegów wiły się, skakały i pełzały przeróżne stworzenia, umykając im z drogi. Przez stalową powłokę pojazdu cały czas przenikały krzyki, wrzaski i piski, jakby żyjące tu istoty rzucały wyzwanie wdzierającemu się w ich świat hałaśliwemu intruzowi.

Ale Kowalski wezwał wszystkich do góry z innego powodu.

Gray wpatrywał się w widok za szybą.

Mój Boże...

Przez zalaną wodą sawannę szło stado około stu potężnych zwierząt wielkości mamuta. Poruszały się w większości na czterech nogach, ale czasem któreś z nich stawalo jak niedźwiedź na tylnych łapach i pokonywało w ten sposób kilka kroków, rozglądając się, czy nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo. Miały krótkie trąby jak słonie i chwyciły nimi trzciny, wyrwijając je i miażdżąc powoli, metodycznie zębami, niczym krowy przeżuujące trawę.

– Spójrzcie na mech porastający ich boki – powiedziała Stella.

Gray zmrużył oczy. Sądził, że gruba włochata powłoka, zwisająca z ich muskularnych ciał, to futro, jak u mamutów. Tyle że świeciła ona delikatnie całą gamą kolorów.

– Przypuszczamy, że mech jest w symbiozie z tymi zwierzętami, które nazwaliśmy *Pachycerex ferocis*. *Pachyceri* wykorzystują temperaturę ciała, by wywoływać zmiany kolorów, za pomocą których porozumiewają się w stadzie.

– Jak świetliki na łące – zauważył Jason, czym zasłużył sobie na uśmiech Stelli.

Kowalski był mniej oczarowany.

– Tyle że te świetliki mogłyby zdeptać cię na śmierć. – Zerknął na siedzącego obok profesora. – Co robimy? Możemy bezpiecznie przejechać?

– Niech pan jedzie powoli. Światła reflektorów zdezorientują je pewnie na tyle, że nas przepuszczą.

Zważywszy, że porozumiewały się ze sobą za pomocą delikatnych błysków, zwierzęta te uznały zapewne, że pojazd na nie wrzeszczy jak jakiś głuchy i zdegenerowany przedstawiciel ich gatunku.

– Dotychczas nigdy nie wchodziły nam w drogę – powiedział Harrington. – Ale nie widziałem dotąd aż tylu w jednym miejscu. Napotykałiśmy kilka tu i tam, lecz zawsze zostawiały nas w spokoju, zwłaszcza gdy pojazd był jasno oświetlony.

– Może mają okres godowy – rzuciła Stella. – A to ich tereny rozrodcze.

– W takim razie mam nadzieję, że żadna z tych bestii się nie pomyli i nie będzie przystawiać się do naszej opancerzonej ślicznotki – wtrącił Kowalski. – Nie zamierzam umierać zmiażdżony przez napalonego słonia.

– Słuchaj profesora – upomniał go Gray. – Ruszaj, ale powoli.

Wrzucając bieg, Kowalski mruczał coś pod nosem. Brnęli przez mielizny, okrążając szerokim łukiem głębszą wodę na zalanym terenie. *Pachyceri* schodziły im z drogi. Niektóre prycały, jakby karcily intruzów. Jeden był na tyle wysoki, że zajrzał do wnętrza kabiny, żeby przyjrzeć się obcym.

– Wścibski facet. – Kowalski obejrzał się, żeby sprawdzić, czy jego żart został doceniony. – Naprawdę wścibski.

Stella i Jason jęknęli równocześnie.

Gray obserwował lusterka wsteczne, upewniając się, czy żadna z bestii nie zamierza ich ścigać, obawiał się bowiem, że nawet tak potężny pojazd mógłby nie przetrzymać ataku jednego lub kilku tych gigantycznych stworzeń.

Nagle zauważył w lusterku błysk światła, o wiele jaśniejszy niż poświata, którą emanowało stado. Pochodził z oddali, ze skamieniałego lasu. Potem dostrzegł po lewej stronie drugą parę świateł, przypominającą błyszczące ślepie. Po chwili dołączyła do nich trzecia.

Zacisnął palce na oparciu siedzenia, przy którym stał.

– Mamy towarzystwo.

Godzina 16.32

Nic dziwnego, że musieliśmy tak długo ścigać tych łajdaków...

Major Dylan Wright stał za kierowcą największej amfibii, wpatrując się w bezkresne mokradła i wędrujące stado *Pachyceri*. W oddali, po prawej stronie, okręzał fosforyzujące zwierzęta jasno oświetlony pojazd, jak kometa przemierzająca łukiem mroczną jaskinię.

A więc uruchomili stary wehikuł Byrda.

Musiało się to stać, gdy Dylan i jego ludzie uciekli z Przylądka Piekła półtora roku temu. Nie przywiązywał jednak do tego wagi. Lądowy pojazd nie dorównywał prędkością i zwrotnością amfibiom, zwłaszcza tym mniejszym.

Poza tym major miał aż trzy amfibie, a także więcej ludzi i broni.

Dotknął słuchawki radionadajnika i odezwał się do swoich podwładnych:

– McKinnon, jedź w prawo. Seward, w lewo. Okrążcie ich. A ja wjadę im w dupę dużą amfibią.

Otrzymał potwierdzenie od obu mężczyzn, że zrozumieli.

– Ruszamy! – rozkazał, czując w gardle znajomą żądzę krwi.

Pora to skończyć.

Godzina 16.33

Jason siedział obok Kowalskiego, gdy ich pojazd pędził przez mokradła, przedzierając się wśród trzcin, płosząc zwierzynę i omijając tylko większe przeszkody, zwłaszcza włokące się *Pachyceri*. Wielkie bestie protestowały, trąbiąc głośno, ale schodziły im z drogi najszybciej, jak mogły. Kowalski manewrował gigantycznym pojazdem, aby nie uderzyć w żadnego z maruderów – nie tyle z troski o zwierzęta, ile z obawy, że kolizja wyrządziłaby więcej szkody ich wehikułowi niż tym gruboskórnym bestiom.

Pojazd wjechał na skałę i unióś się, zawisając jakby na chwilę w powietrzu, po czym opadł na gigantyczne koła.

Jason, wyglądając przez okno, trzymał się kurczowo siedzenia. Stella przycupnęła nieco z boku za Kowalskim i nie odrywała wzroku od tego, co działo się po lewej stronie.

Nagle po prawej rozbłysły w ciemności światła.

– Nadjeżdżają od sterburty! – wrzasnął Jason dostatecznie głośno, by Gray usłyszał go w kabinie na dole.

– Od bakburty też! – zawtórowała mu Stella.

Z obu stron przeszły pędzący pojazd smugi światła reflektorów. Amfibie były w odległości około trzydziestu metrów; poruszały się szybciej i zwinnie niż ich ociężały wehikuł. Mniejsze próbowały najwyraźniej wysforować się do przodu, aby przeciąć im drogę. Większa podążała ich śladem, ale nieustannie się zbliżała, ślizgając się po powierzchni wody.

– Musimy jechać szybciej – mruknął pod nosem Jason.

Kowalski usłyszał go.

– Dociskam gaz do dechy, chłopcze. Szybciej się nie da, chyba że wysiądziesz i nas popchniesz.

Jason i Stella spojrzeli na siebie z niepokojem.

Nigdy nie umkną prześladowcom.

Okružające ich amfibie zaczęły się zbliżać, próbując przeciąć im drogę. Rozległy się strzały. Pociski przebiły bok pojazdu i uszkodziły przednią szybę. Grube szkło na razie nie pękło. Pojazd był dostosowany do surowego klimatu Antarktydy, odporny na lawiny i uderzenia lodu, ale technologia z czasów drugiej wojny światowej miała swoje ograniczenia.

Musieli uwolnić się z tej pułapki. Teraz albo nigdy. Nie mogli dopuścić prześladowców bliżej.

– Przygotuj się! – krzyknął z góry Jason do Graya.

Stella wskazała na lewo.

– Tamten!

Jason skinął głową i wrzasnął:

– Bakburta! Mamy wielkiego samca na bakburcie!

– Do roboty! – odkrzyknął komandor.

Kowalski pochylił się nad kierownicą.

– Pilnujcie swoich tyłków!

Godzina 16.35

Gray przypiął się pasem do siedzenia na końcu kabiny, zwrócony twarzą ku tyłowi pojazdu. Harrington usiadł po przeciwnej stronie, również przypięty.

Wehikuł skręcił nagle ostro w prawo. Uniósł się na dwóch kołach, trąc oponami o mokre skały i chwiejąc się niebezpiecznie, gdy jego tylną część zarzuciło w lewo.

Komandor wstrzymał oddech, pewien, że się wywróca, ale pojazd w końcu zachował równowagę i opadł na cztery koła.

– Teraz! – wrzasnął do Harringtona.

Profesor wcisnął duży czarny guzik nad swoim siedzeniem.

W górnej części tylnej ściany wysunęły się rygle i otworzyła się rampa wyjściowa, uderzając o ziemię. Gdy pojazd ciągnął ją za sobą, grzechotała i obijała się o skaliste podłoże, brnąc przez płytkie kałuże i strumienie.

Harrington wrzasnął, by przekrzyczeć brzęk stali uderzającej o skały i ryk przerażonego stada.

– To musi być ten!

Profesor wskazał wyjątkowo dorodnego *Pachycerexa*, który ukazał się za tylnymi

drzwiami, mknąc z furją i trąbiąc wściekle. Samiec był o jedną trzecią wyższy od pozostałych osobników. Za nim pędziła jedna z małych amfibii, próbując ich dogonić.

Gray uniósł karabin akustyczny, celując w zad potężnego samca. Zaczekał, aż ścigająca ich amfibia zrówna się ze zwierzęciem, i nacisnął spust.

Odrzut elektrycznej broni uderzył go w ramię. Impuls był tak silny, że komandor zazgrzytał zębami. Pocisk akustyczny trafił samca w bok. Widział to wyraźnie, gdyż skóra stworzenia świeciła początkowo ciemnym szkarłatem, a nagle zajaśniała błękitem, jakby zaplamiona farbą z kulki do paintballu.

Samiec ryknął i stanął na tylnych nogach, odwracając się, by uniknąć hałasu i bólu. Opadłszy ponownie na cztery łapy, pogalopował w przeciwnym kierunku – prosto na pędzącą tamtędy amfibię.

Wylądował swój gniew na intruzie, który pojawił się w stadzie. Opuściwszy łeb, grzmotnął pojazd z boku, aż jego kości zazgrzytały o stal. Amfibia pofrunęła w powietrze i kilkakrotnie przeokoziółkowała. Wylądowała na drugim brzegu stawu, przewracając się na bok i wzniesając snop iskier.

Jednego mniej.

Wiedząc, że przeciwnik ma przewagę, Gray postanowił wykorzystać to surowe otoczenie jako broń, obrócić je przeciw napastnikom.

Kowalski ruszył w kierunku rozbitej amfibii, znów raptownie zawracając. Gray zawisł na pasie bezpieczeństwa, niemal upuszczając broń. Musieli wykorzystać powstałą lukę, by wymknąć się z okrażenia.

Wehikuł przemknął obok miejsca wypadku. Widoczna w oddali większa amfibia zawracała. Gray spojrział na niknące w mroku światła reflektorów, wyczuwając, że jest tam jego nemezis.

W drogę...

Godzina 16.36

Dylan dostrzegł tylko kontur postaci przez opuszczoną tylną rampę pojazdu śnieżnego. W świetle reflektorów zobaczył w jego wnętrzu przypiętego pasem mężczyznę z długim karabinem. Choć widział go tylko przez moment i z dużej odległości, rozpoznał w nim człowieka, który dwadzieścia cztery godziny wcześniej, siedząc na skuterze śnieżnym, strzelał do twin ottera i niemal go strącił.

To musiał być ten sam Amerykanin.

A więc łajdak przeżył... dotarł do stacji.

Poczuł dla niego szacunek. Rozumiał teraz, dlaczego Harrington ciągle mu umykał. Profesor miał do pomocy kogoś wyszkolonego i kompetentnego.

Major zacisnął palce na starej drewnianej rękojeści pistoletu Howdah, gotów sprostać czekającemu go wyzwaniu.

Kierowca amfibii zwolnił, gdy zbliżali się do miejsca wypadku. Mniejsza amfibia leżała na boku w powodzi światła, a jej koła obracały się nadal bezużytecznie w powietrzu. Siła uderzenia otworzyła tylny właz. Z wnętrza kabiny dochodziły strzały.

Ktoś przeżył i wciąż walczył.

Nie bez powodu.

Przez otwarty właz wciskały się do wywróconej amfibii, tworząc kłębowisko cielsk, rozdrażnione i poirytowane chaosem stwory zamieszkujące Przylądek Piekła. Pełzały, wiły się i kotłowały, wchodząc na siebie nawzajem, zwabione najwyraźniej krwią rannych członków załogi. Jeden z nich wydostał się na zewnątrz, walcząc zaciekle. Jakiś szorstki, pająkowany stwór przylgnął do jego ramienia i szyi, wbijając mu głęboko w ciało długie odnóża.

Jego ofiarą był Seward, dowódca jednostki. Przedzierał się przez trzciny w kierunku nadjeżdżającej amfibii, unosząc błagalnie rękę.

– Panie majorze? – odezwał się kierowca, nadal zwalniając.

W tym momencie nad świecącymi trzciniami przeleciał potężny ptak, przebił Sewarda dziobem i uniósł go w dal.

Na pokładzie rozbitej amfibii było jeszcze trzech mężczyzn.

Ale wkrótce strzały zamilkły.

Nic już nie można było zrobić.

Dylan skupił uwagę na przyszłości i wskazał ręką na znikający w oddali wehikuł. Miał nadal misję do spełnienia.

– Jedź.

Godzina 16.39

Gray strzegł z karabinem otwartego tylnego włazu. Pokrywa była zbyt uszkodzona, żeby ją zamknąć. Jej górna część podskakiwała i iskrzyła, gdy pojazd ciągnął ją za sobą po skalnym podłożu. Byli cały czas narażeni na atak z zewnątrz. Komandor strzelał z broni akustycznej do każdego stwora, który za bardzo się zbliżył, ale ich najlepszą obroną była nadal karkołomna prędkość, buchające spaliny i ryczące silniki.

Nagle przez tę kakofonię przedarł się głośny gwizd.

Kowalski naciskał z całej siły klakson.

O co chodzi?

Gray obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Jason i Stella pędzą po schodkach z kabiny na górze.

– Kowalski cię potrzebuje! – krzyknął Jason, po czym skinął głową do dziewczyny. – My przypilnujemy ładowni.

Stella podeszła do Harringtona.

– Ty też powinieneś tam pójść, ojciec.

– Zaczekaj. – Profesor znalazł starą lornetkę z czasów drugiej wojny i wpatrywał się w ciemność. Opuścił ją i powiedział: – Wygląda na to, że Wright się oddala.

Gray odwrócił się i zobaczył, że Harrington ma rację. Amfibia skręciła w lewo, kierując się na mokradła, w głąb pogrążonego w mroku Koloseum.

Dokąd on zmierza? – zastanawiał się.

Harrington machnął lornetką.

– Widziałem coś przymocowanego do dachu amfibii – oznajmił. – To wyglądało jak...

Jego ostatnie słowa zagłuszył potężny huk, który odbił się echem od ścian jaskini, uciszając

na chwilę wrzaski zwierząt. Dobiegał najwyraźniej z dużej odległości.

Gdy grzmot ucichł, Gray zwrócił się do profesora:

– Czy to były pańskie bomby przeciwbunkrowe? – Strach chwycił go za gardło.

Czyżby Wright zasypał wejście do tuneli?

Harrington zrobił wielkie oczy – ale on obawiał się czegoś innego.

– Nie. Gdyby eksplodowały te potężne bomby, hałas byłby o wiele głośniejszy. Wszystko by się zatrzęsło.

Więc co to było?

Profesor odpowiedział na pytanie, które komandor zadał sobie w myślach.

– Wydaje mi się, że Wright założył mniejsze ładunki, wystarczające, by wysadzić dziurę w stacji na Przylądku Piekła.

– Po co miałyby to robić?

Harrington wskazał w kierunku niewidocznej już amfibii.

– Próbowałem panu powiedzieć... Widziałem na dachu tego pojazdu duży dysk, przysłonięty częściowo plandeką. Myślę, że była to broń akustyczna dalekiego zasięgu. Dysk musiał być cztery razy większy od tych, które strzegą stacji.

Gray wpatrywał się w mroczną jaskinię, którą przemierzał Wright, kierując się w głąb tego zaginionego świata.

Zrozumiał nagle jego plan.

Wyobraził sobie dziurę, wysadzoną w nadbudówce Przylądka Piekła, która połączy podziemną biosferę ze światem u góry. Jeśli Wright dotarł wystarczająco daleko i skierował to urządzenie akustyczne na wejście do tuneli...

– On zamierza uwolnić tę biosferę – uzmysłowił sobie nagle Gray. Fala akustyczna spowoduje ucieczkę wszystkich zwierząt do nowego wyjścia.

Harrington zbladł.

– Te agresywne gatunki o kodzie XNA mogą wyrządzić nieobliczalne szkody w naszych ekosystemach. – Pokręcił głową. – Po co ktoś miałby je uwalniać?

– To pytanie może poczekać. Na razie musimy zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić.

Stella przytaknęła.

– Jeśli dotrzemy do Tylnych Wrót, odpalimy te bomby i zasypimy wejście do tuneli, odetniemy tę biosferę od świata. Bez względu na to, czy Wright uruchomi swoją broń akustyczną, czy nie.

Nie mieli lepszego rozwiązania.

Znów zabrzmiał ostrzegawczo ryk klaksonu.

Komandor wskazał na podskakującą rampę i wrzasnął:

– Jason, Stella! Nie wpuśćcie niczego do środka!

Jeśli Harrington miał rację, nie mogli pozwolić, by cokolwiek ich opóźniło.

Gdy Jason i Stella skinęli głowami, Gray popędził na przód ładowni, ciągnąc profesora za sobą. Wskoczył na drabinę i pomógł starszemu panu wspiąć się do kabiny.

Kowalski spojrział na nich wilkiem, puszczać łańcuch, który uruchamiał klakson. Dopiero teraz go wyłączył.

– Wreszcie jesteście. – Wyciągnął przed siebie muskularną rękę. – Doktorze, czy to są te pańskie Tylne Wrota?

Światła potężnych reflektorów ich pojazdu przecięły mrok, ukazując konstrukcję przyczepioną do ściany jak stalowa pąkla. Zawieszono pod sklepieniem kable gondoli

prowadziły w dół do tej niewielkiej bazy, którą ze względu na szereg połączonych ze sobą pudełkowatych pomieszczeń i zadaszonych tuneli można było pomylić z naziemną stacją kosmiczną.

– To podstacja – przyznał Harrington. – Umieściliśmy ją w naturalnej szczelinie prowadzącej niemal na powierzchnię. Dalej wydrążyliśmy tunel.

Tworząc to tylne wyjście, przemknęło przez głowę Grayowi.

– A więc mamy problem. – Kowalski opuścił rękę i wskazał teren bezpośrednio przed nimi.

Drogę to Tylnych Wrót przecinała im szeroka rzeka. Płynęła rwącym, spienionym nurtem między poszarpanymi skałami i ostrymi stalagmitami. Wydawała się zbyt głęboka, by pojazd mógł ją pokonać.

Ale sytuacja nie była beznadziejna – przynajmniej nie całkowicie.

– Co sądzicie? – zapytał Kowalski.

Po lewej stronie przerzucony był nad rzeką stary drewniano-stalowy most. Gdy przejeżdżali przez Koloseum, napotykali w tym pełnym wody krajobrazie resztki innych przęsł, zbudowanych prawdopodobnie przez Amerykanów, którzy pierwsi penetrowali jaskinie. Musiało to być niewdzięczne zadanie.

Gray przypomniał sobie opowieść Harringtona o Operacji Skok Wzwyż. Nic dziwnego, że Byrd potrzebował tylu okrętów, samolotów i ludzi. Zapuszczanie się w te podziemia było jak eksploracja powierzchni Marsa.

Gdy pojazd pędził w kierunku mostu, komandor zauważył, że niektóre ze znajdujących się na nim podkładów kolejowych przegniły albo już dawno się rozpadły. Przypomniał sobie ruiny pozostałych mostów.

– Myślicie, że wytrzyma? – spytał Kowalski.

Harrington przygryzł dolną wargę, szukając najwyraźniej jakiegoś powodu do optymizmu.

– Te stare przęsła musiały być pierwotnie dostosowane do wagi i wielkości pojazdu Byrda.

Ale to było siedemdziesiąt lat temu, pomyślał Gray, nie widział jednak innego rozwiązania. Do Tylnych Wrót zostało jeszcze trzysta metrów. Chcąc dotrzeć do stacji na czas, by powstrzymać Wrighta, musieli jechać szybko – i bezpiecznie.

– Trzeba zaryzykować – zdecydował. – Jeśli nabierzemy rozpędu, możemy pokonać ten most, zanim się pod nami zawali.

– Ty jesteś szefem – rzucił Kowalski. Przyspieszył znowu, korzystając z resztek paliwa, by zwiększyć prędkość.

– Chwyćcie się czegoś i trzymajcie się mocno! – zawołał do dwójki na dole Gray.

Zastanawiał się, czy nie wysadzić Jasona, Stelli i Harringtona z pojazdu, zanim zaczną ryzykowną przeprawę. Ale kosztowałyby ich to zbyt wiele czasu, utratę prędkości i paliwa. Poza tym, gdyby wszystko diabli wzięli, cała trójka, pozostawiona bez pomocy, nie byłaby wcale bardziej bezpieczna.

Może nawet mniej.

– Trzymajcie się! – wrzasnął, gdy pojazd dotarł do rzeki i wjechał rozpędzony na most.

Skulił się, kiedy przednie opony dotknęły pierwszych drewnianych podkładów, ale mocne belki wytrzymały. Wypuścił powoli powietrze, nadal nastawiony na najgorsze. Pojazd pędził po przęsle, które miało pięćdziesiąt metrów, bardzo długich.

Widział w lusterku wstecznym, jak kilka desek pęka pod ciężarem ich wehikułu i spada w spienioną wodę. Ale mniejsze szczeliny nie stanowiły problemu; potężne koła je pokonywały. Jak na razie, mieli odpowiednią prędkość i przyspieszenie.

Zabrakło im tylko szczęścia.

Znad rzeki leciał w ich kierunku ognisty pocisk.

Gray dostrzegł, skąd go wystrzelono. W oddali stała w kręgu światła druga z mniejszych amfibii. Najwyraźniej nie podążyła za swą większą siostrą, lecz została wysłana, by się na nich zaciąć.

Z jej kabiny wystawał, narażając się na grożące z zewnątrz niebezpieczeństwa, mężczyzna z dymiącym granatnikiem.

Wystrzelony pocisk trafił w most przed nimi, roztrzaskując stare belki i rozłupując stal.

Nie mogąc zatrzymać się w porę, pojazd wjechał w lej po eksplozji – i runął do rzeki.

CZĘŚĆ CZWARTA
ODWRÓT OD CYWILIZACJI

Σ

Roraima, Brazylia

30 kwietnia, godzina 12.45 czasu miejscowego

Kto by przypuszczał, że taka mała przesyłka może sprawić tyle kłopotów?

Stojąc w cieniu na skraju swej posiadłości, Cutter Elwes obserwował młodą kobietę, która wysiadała ostrożnie ze śmigłowca na szczycie *tepui*. Osłaniała oczy przed słońcem, opuszczając na czoło bejsbolówkę. Była w luźnej bluzce i kamizelce, a włosy miała związane w kucyk.

Dość atrakcyjna.

Nie dorównywała jednak urodą kobiecie, która wyszła tuż za nią i chwyciła ją za łokieć. Cutter uśmiechnął się na widok siostry bliźniaczki swojej żony. Były podobne jak dwie krople wody, tyle że Rahei, w porównaniu z łagodną Ashuu, miała serce z kamienia. Nawet teraz nie okazała żadnej emocji; widząc Cuttera, spojrzała tylko na niego obsydianowymi oczami i pociągnęła dziewczynę w jego kierunku.

Wcześniej otrzymał e-mailem skan paszportu, który znaleźli w rzeczach młodej kobiety, gdy została schwytana. Dowiedział się o niej wielu interesujących szczegółów. Nazywała się Jenna Beck i należała do Straży Leśnej stanu Kalifornia, mającej bazę nad jeziorem Mono, gdzie Kendall Hess założył swoje laboratorium.

To nie mógł być przypadek.

Mateo doniósł mu, że jakaś uparta strażniczka lasu była zapewne świadkiem porwania doktora. Zrelacjonował również szczegóły strzelaniny na wzgórzu z udziałem tej samej kobiety.

Czy to mogła być ona?

Interesujące...

Chcąc dowiedzieć się więcej, Cutter wyszedł z cienia jaskini, w której znajdował się jego dom. Słońce prażyło z nieba, ale nie zdołało jeszcze rozproszyć mgieł spowijających rezydencję na szczycie góry.

Na jego widok oczy kobiety rozszerzyły się lekko. Była to oczywista i łatwa do odczytania reakcja.

Rozpoznała go.

A więc zna mnie.

Czyżby jej niefortunna wizyta w bazie nad jeziorem Mono zapoczątkowała wydarzenia, które doprowadziły do pojawienia się w Boa Vista grupy Amerykanów wypytyjących o nieżyjącego człowieka? Z tego pytania wynikały następne, ale na nie miał przyjść czas dopiero za chwilę.

Podszedł do dziewczyny i wyciągnął rękę na powitanie.

Zignorowała ten gest.

– Nazywa się pan Cutter Elwes.

Skłonił lekko głowę, nie widząc powodu, by to ukrywać.

– A pani jest Jenną Beck ze straży leśnej – odparł. – Osobą, która sprawiła nam tyle kłopotów.

Poczuł pewną satysfakcję, gdy okazała zdziwienie. Szybko jednak się pozbierała.

– Gdzie jest doktor Hess? – spytała, rozglądając się i mierząc wzrokiem dom za jego plecami.

– Jest cały i zdrowy. Wykonuje dla mnie pewną pracę.

Jej twarz wyrażała powątpiewanie.

Cutter też miał do niej pytanie.

– Jak mnie pani znalazła, pani Beck? Bardzo się starałem pozostać martwy.

Jenna wahała się, co odpowiedzieć. Jej uniesiony buntowniczo podbródek sugerował, że dziewczyna decyduje się na prawdę, bez względu na konsekwencje.

– Dzięki Amy Serptry – powiedziała w końcu. – Pańskiej wtyczce w laboratorium doktora Hessa.

Cutter już to podejrzewał, bo jego próby skontaktowania się z młodą adeptką Mrocznego Edenu się nie powiodły. Początkowo zakładał, że zginęła podczas akcji w laboratorium, ale najwyraźniej musiała zostać schwytana.

– Gdzie jest teraz Amy? – Zastanawiał się, ile powiedziała władzom. Zresztą szczególnie się tym nie martwił. Amy nie odwiedziła nigdy *tepui* i nie znała jego prawdziwych planów.

– Nie żyje – odparła Beck. – Zabił ją ten sam wirus, który uwolniła w Kalifornii.

Cutter próbował oszacować w myślach tę stratę, ale nie odczuł żadnej silnej emocjonalnej reakcji.

– Wiedziała, co ryzykuje. Była oddanym bojownikiem Mrocznego Edenu, z radością walczącym o sprawę.

– Umierając, nie wyglądała zbyt radośnie.

Cutter wzruszył ramionami.

– Walka wymaga poświęceń.

Ta młoda kobieta przekona się wkrótce, że będzie ich o wiele więcej, pomyślał.

Dał znak Rahei, by przyprowadziła Jennę, i odwrócił się. Idąc do frontowych drzwi domu, zauważył wyglądającą zza framugi twarzyczkę. Jego syn Jori zawsze interesował się obcymi. Cutter sam był temu winien, bo trzymał chłopca w izolacji.

Nakazał mu ręką, by wrócił do środka.

Tego akurat gościa Jori nie musiał poznawać.

– Chcę zobaczyć się z doktorem Hessem – nalegała kobieta. – Zanim powiem cokolwiek więcej.

Pomimo żądań Jenny Cutter wiedział, że Rahei potrafiłaby w ciągu godziny zmusić ją do mówienia, ale nie było to konieczne.

Obejrzał się za siebie.

– A jak pani myśli, dokąd idziemy?

To niemożliwe...

Kendall, pilnowany cały czas przez Matea, wpatrywał się w ekran komputera w głównym laboratorium.

Skończywszy analizę kodu genetycznego, który zaprojektował Cutter, by wypełnić nim osłonę wirusa, zdjął skafander ochronny i wrócił na stanowisko w pomieszczeniu na zewnątrz.

Wykorzystał technikę CRISPR-Cas9, aby rozłożyć kod Cuttera na pojedyncze geny i nukleotydy. Stwierdził, że jest on bardzo prosty: składał się z pojedynczej nitki RNA, typowej dla całej rodziny wirusów.

Wyglądało na to, że Cutter wszczepił po prostu do zwykłego wirusa nowy kod za pomocą tej samej techniki hybrydyzacji, którą stosował do tworzenia chimerycznych gatunków zamieszkujących krater.

Ale z jakiego wirusa go pobrał?

Zagadka była łatwa do rozwiązania. Kendall użył programu identyfikacyjnego i stwierdził dziewięćdziesięcioczworoprocentową zgodność kodu Cuttera z tym, który występuje w zwykłym norowirusie. Ten konkretny bakcyl był plagą statków wycieczkowych i wszelkich miejsc, gdzie gromadziły się tłumy ludzi. Należał do najbardziej zaraźliwych wirusów występujących w przyrodzie – do infekcji wystarczyło około dwudziestu cząsteczek. Mógł być przenoszony przez płyny ustrojowe, powietrze albo kontakt ze skażoną powierzchnią.

Jeśli chciało się stworzyć uniwersalnie zakaźny organizm, norowirus stanowił dobry wybór. Jego wadą była niska odporność na zwykłe środki dezynfekujące, wybielacze i detergenty, łatwo więc dawał się unieszkodliwić.

Ale umieszczony w mojej osłonie byłby nie do zwalczania.

Norowirus nie powodował jednak na ogół zgonu, zwłaszcza u zdrowych osobników. Wywoływał tylko podobne objawy jak grypa. Pozostawało więc bardziej niepokojące pytanie.

Co Cutter dodał do tej kombinacji?

Co stanowiło pozostałych sześć procent kodu?

Wyglądało na to, że powtarzały się w nim te same sekwencje specyficznego genu kodującego białko. Aby ustalić, jaka to proteina, Kendall zastosował program modelowania, który przekształcał kod w łańcuch aminokwasów, a na jego podstawie komputer tworzył trójwymiarowy model.

Wpatrywał się w niego teraz, gdy obraz obracał się powoli na ekranie.



Rozpoznał tę unikatową składalną białek, choć została nieco zmieniona. Potwierdził jej strukturę testem zgodności.

Mój Boże, Cutter, co ty planujesz?

Jakby ściągnięty jego myślami, Cutter pojawił się w drzwiach laboratorium. Towarzyszyły mu dwie kobiety. Jedną była jego żona – przynajmniej tak sądził Kendall, choć coś mu nie pasowało. Nie miała ponętnego uroku kobiety, którą wcześniej widział, nie okazywała też Cutterowi czułości.

Przypomniał sobie nagle niezwykle dziedzictwo tutejszego plemienia.

To musi być bliźniaczka żony Cuttera, druga siostra Matea.

Jakby na potwierdzenie jego domysłów, Cutter odnosił się do tej kobiety zupełnie inaczej niż do Ashuu. Mateo niemal nie spojrział siostrze w oczy; był jakby przestraszony i zdenerwowany.

Zanim Kendall zdążył się zorientować dlaczego, ukazała się druga kobieta. Sądząc z jej ubioru i zachowania, musiała być Amerykanką. Wydała mu się dziwnie znajoma, jakby już się kiedyś spotkali. Nie mógł sobie jednak uświadomić, kiedy ani gdzie.

Cutter dokonał prezentacji.

– Kendall, to moja szwagierka, Rahei. A ta urocza młoda dama u mego boku pochodzi z twoich stron. Pani Jenna Beck ze straży leśnej z Kalifornii.

Kendall zamrugnął zaskoczony, przypominając sobie nagle, skąd ją zna. Spotkał przelotnie tę dziewczynę w Lee Vining, przy filiżance kawy w barze Bodie Mike’s. Wypytywała o jego badania nad jeziorem. Był kompletnie zdezorientowany.

Co ona tu robi?

Wnosząc z gniewu na jej twarzy i sztywnej postawy, nie była współniczką tych ludzi.

Podeszła do niego, dotykając z troską jego łokcia.

– Dobrze się pan czuje, doktorze Hess?

Obliział wargi, zbyt zaszokowany, by odpowiedzieć nawet na to pytanie.

Cutter zerknął na ekran komputera.

– A, widzę, że sporo zrobiłeś, kiedy mnie nie było.

Kendall spojrział ponownie na obracający się powoli model proteiny.

– To jakiś rodzaj prionu, prawda? – spytał.

– Zgadza się. To zmodyfikowana wersja zakaźnej proteiny, wywołującej chorobę Creutzfeldta-Jakoba, która powoduje u ludzi szybko postępującą demencję.

Jenna zmierzyła wzrokiem obu mężczyzn.

– O czym panowie mówicie?

Kendall nie miał czasu na wyjaśnienia – sam zresztą nie wszystko rozumiał. Priony były jedynie fragmentami protein, bez własnego kodu genetycznego. Gdy ofiara ulega zakażeniu, uszkadzają one inne proteiny, zwykle w mózgu. W konsekwencji wywoływane przez nie choroby mają powolny przebieg i trudniej się rozprzestrzeniają.

Tak było dotychczas.

Kendall spojrział na Cuttera.

– Stworzyłeś zakaźny norowirus, który może szybko się rozprzestrzeniać i produkować te śmiertelne priony w dużych ilościach.

– Przede wszystkim nie są śmiertelne – sprostował Cutter. – Zmodyfikowałem ich strukturę genetyczną tak, by nie zabijały. Jak obiecywałem od początku, żaden człowiek ani zwierzę nie zginie z powodu działania stworzonego przeze mnie bioorganizmu.

– Więc do czego dążysz? Najwyraźniej chcesz umieścić to, co stworzyłeś, w pancernej osłonie wirusa, aby twojego kodu nie można było zniszczyć. W takiej osłonie będzie mógł swobodnie się rozprzestrzeniać i nie da się go powstrzymać.

– To prawda. Ale zaintrygował mnie również niewielki rozmiar twojej osłony. To genetyczny nośnik, wystarczająco mały, by przedostać się łatwo przez barierę między naczyniami krwionośnymi a tkanką nerwową i w ten sposób umożliwić tym małym fabrykom prionów dostęp do systemów nerwowych zakażonych organizmów.

Kendall nie potrafił ukryć przerażenia i nawet Jenna zrozumiała wystarczająco dużo, by zblednąć. Choroby prionowe były nieuleczalne, a szkody, które wyrządzały – nieodwracalne. Typowe objawy kliniczne obejmowały ogólną demencję i stopniową utratę wyższych funkcji poznawczych, co zamieniało inteligentną osobę w warzywo.

Wyobraził sobie, jak stworzony sztucznie wirus Cuttera rozprzestrzenia się wśród ludzi, równie nieujarzmiony jak organizm, który wydostał się z jego laboratorium, pozostawiając za sobą neurologiczne spustoszenie.

Cutter musiał wyczytać niepokój w jego oczach.

– Nie obawiaj się, przyjacielu. Zaprojektowałem ten prion tak, by nie tylko nie był zabójczy, ale by po pewnej liczbie podziałów ulegał samozniszczeniu. W ten sposób uniknie się całkowitej destrukcji mózgu ofiary.

– Jakemu więc służy celowi?

– Jest darem. – Cutter się uśmiechnął. – Osoby zakażone będą żyły prościej, w harmonii z naturą, uwolnione na zawsze od wyższych funkcji poznawczych.

– Innymi słowy, zredukuje nas do poziomu zwierząt.

– I świat będzie dzięki temu lepszy – odparł Cutter.

– To nieludzkie! – rzuciła Jenna, równie przerażona jak Hess.

– Pracuje pani w straży leśnej, pani Beck. Powinna pani rozumieć lepiej niż ktokolwiek, że

to bycie człowiekiem jest nieludzkie. Staliśmy się bestiami, które udają, że kierują się moralnością. Potrzebujemy religii, rządu i prawa, by wymusić kontrolę nad naszymi instynktami. Zamierzam wyeliminować chorobę, jaką jest inteligencja, zdemaskować oszustwo, które pozwala ludziom wierzyć, że są potężniejsi od Natury i zasługują bardziej na tę planetę.

Cutter zatoczył ręką łuk wokół siebie.

– Wypalamy lasy, zanieczyszczamy oceany, powodujemy topnienie lodowców, wypuszczamy w powietrze dwutlenek węgla... jesteśmy głównymi sprawcami jednego z największych procesów zagłady naszej planety, który doprowadzi nieuchronnie do eksterminacji ludzi.

Kendall próbował dyskutować, ale Cutter mu na to nie pozwolił.

– Ralph Waldo Emerson ujął to najlepiej. „Koniec ludzkiej rasy będzie taki, że zginie ona z powodu cywilizacji”. Jesteśmy już w tym punkcie zwrotnym, ale co po sobie pozostawimy? Planetę zanieczyszczoną do tego stopnia, że nic na niej nie przeżyje?

Jenna zaprotestowała przeciw takiej argumentacji.

– Ale to właśnie cywilizacja... nasza wrodzona inteligencja dają nam możliwość ocalenia siebie, a przy okazji planety. Dinozaury nie widziały, że zmierza ku nim asteroida, ale wielu z nas dostrzega, co się dzieje, i walczy, by to zmienić.

– Postrzega pani cywilizację z wąskiej perspektywy, moja droga. Dinozaury panowały przez sto osiemdziesiąt pięć milionów lat, a ludzkość istnieje dopiero od dwustu tysięcy lat. Cywilizacja zaś zaledwie od dziesięciu tysięcy.

Cutter pokręcił głową, by to zaakcentować.

– Społeczeństwo to destrukcyjne złudzenie kontroli, nic więcej. Proszę zobaczyć, jakie sieje spustoszenia. Podczas tego krótkiego eksperymentu z cywilizacją jesteśmy już jako gatunek na krawędzi katastrofy ekologicznej spowodowanej przez nas samych. Naprawdę pani sądzi, że w tym uprzemysłowionym świecie walczących ze sobą narodów i chciwych polityków cokolwiek się zmieni?

Jenna westchnęła głośno.

– Musimy spróbować.

Cutter prychnął pogardliwie.

– To nigdy się nie zdarzy, a już na pewno nie w porę. Lepsze rozwiązanie? Czas odcywilizować ten świat, przerwać ten idiotyczny eksperyment, zanim nasza planeta całkiem zginie.

– I to jest twój plan? – spytał Kendall. – Uwolnić wirusa i pozbawić ludzkość inteligencji?

– Traktuję to jako sposób na wyleczenie ludzkości z jej choroby zwanej cywilizacją. Sprowadzając ludzi do poziomu zwierząt, wyrównujemy szanse wszystkich gatunków. Jedynym obowiązującym prawem będzie selekcja naturalna. Świat stanie się dzięki temu silniejszy i zdrowszy.

Jenna spojrzała na niego podejrzliwie.

– A co z panem? – spytała. – Pan też zażyje to lekarstwo?

Cutter wzruszył ramionami, ale wydawał się rozdrażniony tym pytaniem, a Kendall poczuł do Jenny jeszcze większą sympatię.

– Garstka ludzi musi ocaleć, by nadzorować tę przemianę.

– Rozumiem – odparła Jenna, najwyraźniej czując, że pokazała Cutterowi jego hipokryzję.
– To bardzo wygodne.

Wyraźnie poirytowany, zwrócił się do Kendalla:

– Najwyższy czas, przyjacielu, żebyś pokazał mi, jak uzbroić osłonę wirusa.

Kendall wziął przykład z odważnej postawy Jenny.

– Nie mogę – powiedział szczerze.

– Nie możesz, czy nie chcesz? Byłem bardzo cierpliwy, bo kiedyś się przyjaźniliśmy, ale istnieją sposoby, by skłonić cię do pełnej współpracy.

Cutter zerknął na szwagierkę. Błysk w ciemnych oczach Rahei dowodził, że chętnie podejmie się takiego wyzwania.

– Nie chodzi o to, że ci odmawiam, Cutter... choć, bez względu na wszystko, i tak bym się nie zgodził. Po prostu klucz, którego potrzebujesz, jest poza naszym zasięgiem. Nie mogę wytworzyć go syntetycznie. Nie tutaj. Sekwencję XNA, konieczną do otwarcia skonstruowanej przeze mnie osłony, można znaleźć tylko w naturze.

Którą tak bardzo kochasz, dodał w myślach.

– Gdzie?

– Wiesz gdzie.

Cutter skinął głową, przymykając oczy.

– Oczywiście... na Antarktydzie – mruknął. – Jakiś specyficzny gatunek żyjący w tej alternatywnej biosferze musi posiadać unikatowy kod genetyczny, który działa jako klucz.

Kendall był zaniepokojony, jak szybko funkcjonuje umysł tego potwora.

Cutter otworzył oczy.

– Co to za gatunek?

Kendall napotkał jego beznamiętne spojrzenie, gotów wytyczyć nieprzekraczalną linię. Skoro ten szaleniec umieścił wtyczkę w jego laboratorium, to prawdopodobnie miał też kogoś na stacji Harringtona. Wiedział z pewnością wystarczająco dużo o Przylądku Piekła. Gdyby ten łajdak poznał prawdę, mógłby zdobyć ostatni fragment tej przerażającej genetycznej łamigłówki.

Nie można do tego dopuścić.

Cutter dostrzegł zdecydowanie na jego twarzy i pokręcił smętnie głową.

– Więc niech tak będzie. Będziemy musieli zastosować drastyczne metody.

Kendall poczuł, że trzęsą mu się kolana. Zamierzał przetrzymać wszelkie tortury.

Cutter odwrócił się do Jenny, dając ręką znak Rahei.

– Zaczniemy od niej, a Kendall będzie patrzył, żeby lepiej zrozumiał, co go czeka.

Godzina 13.00

– Jeszcze godzina! – zawołał Suarez siedzący z przodu obok pilota.

Painter wyrzął przez okno ponad zabandażowanym ramieniem. Zanim wystartowali, połknął garść tabletek ibuprofenu i pozbył się temblaka, ale nawet najmniejszy ruch wywoływał kłujący ból. Obserwował teren, nad którym lecieli, ale pod huczącymi silnikami śmigłowca widział jedynie morze zieleni. Gdzieś w oddali był cel ich podróży, płaskowyż *tepui*, z którego nieżyjący człowiek, Cutter Elwes, uczynił być może swój dom.

I miejmy nadzieję, że znajdziemy tam Jennę i doktora Hessa.

Czasu było coraz mniej.

Painter trzymał nadal przy uchu telefon satelitarny.

– Nie ma sposobu, żeby powstrzymać Lindahla? – spytał.

– W ciągu ostatniej godziny zmieniła się pogoda – odparła Lisa. – Nie widać poprawy. Kolejny front burzowy przesuwa się szybciej, niż przewidywano, i po południu spodziewany jest nad górami. Na podstawie prędkości wiatru i oczekiwanych opadów można sądzić, że burza będzie trzy do czterech razy gwałtowniejsza niż poprzednia. I dlatego przesunięto czas detonacji ładunku z wieczora na południe.

Południe...

Spojrzał na zegarek i obliczył różnicę czasu. Pozostały zaledwie dwie godziny. A oni mieli dolecieć na płaskowyż dopiero za sześćdziesiąt minut, co oznaczało, że nie będzie wiele czasu na odnalezienie Kendalla Hessa i stwierdzenie, czy istnieje jakiś inny sposób rozwiązania problemu.

Painter zdawał sobie sprawę, że czeka go niewykonalne zadanie. Spojrzał na towarzyszących mu marines. Siedzieli przy nim dwaj ludzie sierżanta Suareza: Abramson i Henckel. Po drugiej stronie kabiny Drake rozmawiał cicho z Malcolmem i Schmittem. Ci twardzi ludzie dodawali Painterowi otuchy.

A jednak...

– Kiedy ewakuują bazę? – spytał Lisę.

– Już zaczęli. Gwardia Narodowa przeczesła o świcie okolicę, usuwając krnąbrnych maruderów, którzy nie usłuchali rozkazu ewakuacji. Personel bazy demontuje laboratoria i właśnie zabierają stamtąd Josha.

– A ty i Nikko?

– Nie ufam Lindahlowi. Zaczekam na odjazd ostatniego autobusu. Sarah... kapral Jessup przygotowała niewielki śmigłowiec, by bezpiecznie nas przetransportował.

– Nie zwlekaj zbyt długo – ostrzegł ją, czując, jak ze strachu zasycha mu w gardle.

– Nie będę. Edmund informuje mnie na bieżąco, co robi zespół przygotowujący ładunek nuklearny. Dokonują jeszcze końcowych obliczeń. Zamierzają dostarczyć bombę dronem na określoną wysokość, by eksplozja objęła swym zasięgiem maksymalny obszar tutejszych gór i dolin. Nadal dopracowują szczegóły. – Głos Lisy nabrał surowego tonu. – Więc... Painter... musisz coś zdobyć... Jeśli nie lek, to przynajmniej nadzieję na opóźnienie tego, co nieuniknione.

Westchnął ciężko. To było trudne. Nawet gdyby znalazł jakieś rozwiązanie – nieznanne biologiczne antidotum – czy można by je sporządzić i zastosować wystarczająco szybko, by powstrzymać planowaną eksplozję nuklearną?

– Zrobię, co będę mógł – obiecał.

Pożegnał się, zakończył rozmowę i położył telefon na kolanach.

– Niech zgadnę. Złe wieści z domu – powiedział Drake, jakby czytał z jego twarzy.

Painter skinął głową.

Poczuwszy kłujący ból w ramieniu, odwrócił się do okna i zauważył w końcu wyrastający na horyzoncie odległy mroczny szczyt.

Wątpię, by tam sytuacja była lepsza.

Godzina 13.05

– To może zakłuc – uprzedził Cutter Elwes.

Jenna siedziała na krześle w laboratorium, przygwożdżona do miejsca przez olbrzyma Matea. Był to ten sam człowiek, który schwytał ją w zasadzkę w wymarłej osadzie na szczycie. Rozpoznała go po fioletowej bliźnie między policzkiem a brodą. Wyglądało na to, że koło się zamknęło.

– Nie rób tego – powiedział Kendall. – Błagam.

Cutter wyprostował się, trzymając w dłoni narzędzie w kształcie pistoletu. Jenna rozpoznała zmodyfikowaną strzykawkę bezigłową, używaną do szczepień. U góry sterczała odwrócona fiolka z bursztynowym płynem.

Podejrzewała, że nie jest to szczepionka przeciw grypie.

– Powiedz mi po prostu, jak nazywa się ten gatunek z kodem XNA, który stanowi biologiczny klucz do osłony wirusa, a nie będziemy musieli kontynuować tego koszmaru.

– Niech pan tego nie robi – odezwała się Jenna. Mateo wbił jej boleśnie palce w ramiona, ostrzegając ją, by milczała, ale zignorowała tę groźbę. – Niech pan mu nie ulega.

Kendall wyraźnie się wahał, ale w końcu skrzyżował ramiona na piersi.

– Świetnie – powiedział Cutter.

Śniada kobieta, Rahei, podciągnęła wyżej rękaw bluzki Jenny.

Cutter przytknął jej do ramienia otwór strzykawki.

– Ostatnia szansa.

Kendall z poczuciem winy odwrócił wzrok od Jenny.

Cutter wzruszył lekko ramionami i nacisnął spust. Rozległ się świst sprężonego gazu i Jenna poczuła bolesne ukłucie, które przeniknęło jej przez skórę aż do kości.

Zakłęła pod nosem, gdy Mateo ją puścił. Roztarła ramię i stanęła na nogi.

– Co to było?

Cutter uniósł strzykawkę, chlapiąc resztą zawartości fiolki.

– Wirus RNA bez osłony.

Jenna przypomniała sobie ich dyskusję.

– To ten stworzony przez pana kod genetyczny. Ten, który oddziałuje na mózg.

– Owszem. Ale w swojej obecnej postaci wirus jest tylko łagodnie zaraźliwy i bardzo podatny na warunki środowiska. Dlatego potrzebuję stworzonej przez Kendalla osłony.

Zrozumiała, co ten szaleniec zamierza. Chciał zaprojektować superwirusa, który mógłby cofnąć ludzką rasę do epoki kamienia – albo nawet w odleglejsze czasy.

– W tej surowej wersji spowoduje jednak takie same uszkodzenia neurologiczne – dodał.

Jenna wciągnęła głęboko powietrze, obawiając się odpowiedzi na swoje następne pytanie.

– Ile zostało mi czasu?

– Powinna pani zacząć odczuwać objawy w ciągu trzydziestu minut. Łagodna gorączka, lekki ból głowy, drętwienie szyi... Po kilku godzinach zmiany zwyrodnieniowe będą postępowały w szybkim tempie. Najpierw zanika mowa, potem kompleksowe myślenie, a na koniec poczucie tożsamości. Pozostają tylko podstawowe żądze i instynkt przetrwania.

Jenna poczuła skurcz w żołądku.

– A więc... testował pan to już na ludziach? – spytała, oczekując, że będzie próbował usprawiedliwić swoje niehumanitarne postępowanie.

– Gruntownie, moja droga – odparł spokojnie. – Bardzo gruntownie.

– Tak mi przykro – powiedział Kendall, dotykając jej ręki.

– Zabierz panią Beck do jednej z naszych laboratoryjnych klatek. Na Czarny Poziom.

Słyszając to, śniada dziewczyna uśmiechnęła się drapieźnie. Po raz pierwszy okazała jakieś

emocje, co przeraziło Jennę bardziej niż cokolwiek.

Rahei chwyciła ją za ramię i wyprowadziła, zabierając ze sobą tubylca, który stał przy drzwiach z karabinem na ramieniu. Jenna zauważyła, że broń jest wyposażona w sterujący przy lufie jak bagnet żółty pręt w kształcie litery U, z miedzianymi końcówkami.

Rozpoznała to urządzenie.

Paralizator.

Starła się trzymać od niego z daleka, gdy Rahei wyprowadzała ją z laboratorium. Poszły długim tunelem wydrążonym w kamiennym wnętrzu góry. Gdy minęły ciężkie ryglowane drzwi u jego wylotu, znalazły się na zewnątrz.

Ośłoniła oczy przed słońcem, które stało wysoko, oświetlając jasno coś, co wyglądało na głęboki krater. Ktoś przekształcił go w tarasowe ogrody, udekorowane orchideami, bromeliami i kwitnącymi pnączami. Na jego dnie odbijały światło słońca zielone korony drzew. Każdy z poziomów podzielony był na ogrodzone tarasy połączone wykutą w skale spiralną kamienną rampą.

Rahei pchnęła Jennę w kierunku drabiny prowadzącej ze stalowego podestu do krętej ścieżki na dole, gdzie czekał zadaszony wózek golfowy. Jenna została zmuszona, by usiąść z tyłu razem z Rahei, a uzbrojony strażnik zajął miejsce z przodu, obok kierowcy.

Wózek zjeżdżał rampą przy szumie silnika elektrycznego. Minęli kilka bramek, które magicznie się przed nimi otwierały, reagując być może na jakiś zamontowany w pojeździe system radiowej identyfikacji.

Początkowo Jenna nie widziała w tych ogrodach niczego niezwykłego, ale gdy przejechali przez kilka poziomów, zaczęła dostrzegać dziwne rzeczy. Choć nie znała zbyt dobrze wszystkich gatunków zamieszkujących lasy deszczowe, niektóre rośliny i zwierzęta zdawały się pochodzić z innego świata. Pierwsze tego oznaki były ledwo zauważalne: pszczoły wielkości orzecha włoskiego, ściana czarnych orchidei, których płatki same się otwierały i zamykały, karłowaty wąż boa ze skrzelami na bokach, wślizgujący się do stawu.

Ale im głębiej się zapuszczali, tym większe pojawiały się stworzenia i bardziej niezwykłe. Z cienkiej gałęzi nad drogą zwisały na chwytnych ogonach, typowych dla oposów, prążkowane jak zebry nietoperze. Gdy czekali, aż bramka całkiem się otworzy, grube pnącze wystrzeliło kolcami w ich kierunku, zadrapując bok pojazdu. Za kolejnym zakrętem przeleciało nad nimi stado ogromnych amazońskich papug, ukazując olśniewająco barwne upierzenie.

Jedna z nich, lecąca zbyt wysoko, zawisa nagle w powietrzu i opadła kilka metrów, zanim odzyskała zdolność lotu i dołączyła do pozostałych.

Jenna spojrzała w górę. Czy Cutter korzystał z elektronicznych identyfikatorów lub chipów, by każda z istot mogła poruszać się tylko w obrębie swojego poziomu? Zastanawiała się nad tym – byle tylko zająć czymś myśli i zagłuszyć strach.

W miarę jak wózek zjeżdżał na coraz niższe poziomy, powietrze stawało się cieplejsze i bardziej wilgotne. Jennie zaczęły ściekać po czole i plecach kropelki potu.

Spoglądała tęsknie w górę na odległy szczyt krateru, szacując, że zjechali już jakieś półtora kilometra w dół.

Nigdy się stąd nie wydostanę.

Rozpacz rozpraszała jej uwagę. W końcu dotarli do lasu rosnącego na dnie krateru. Oceniała, że ma około dziesięciu hektarów powierzchni.

Minąwszy ostatnią bramkę, znaleźli się pod koronami drzew.

Witamy na Czarnym Poziomie, pomyślała ponuro.

Ale co się tam mieściło?

Zjeżdżali rampą w coraz większy mrok. Promienie słońca rzucały już tylko mdły zielony blask. Gdy jej wzrok przywykł do ciemności, zauważyła wyrastające z pni drzew rzędy świecących delikatnie grzybów. Ich nikłe światło odbijało się w niewielkich stawach i wąskich strumykach, a wzdłuż prowadzącej do lasu żwirowanej drogi gęsto rosły potężne paprocie.

Wózek dojechał do tej drogi i skręcił w dżunglę.

Kierowca włączył w końcu reflektory.

Korzystając z jaśniejszego światła, Jenna próbowała dostrzec coś przez gęstą ścianę zarośli, ale miała ograniczone pole widzenia. Co jakiś czas zderzak pojazdu rozsuwał paprocie, a wtedy ich liście i łodygi pochylały się, pozwalając jej spojrzeć w głąb dżungli.

Był to jednak wciąż ten sam widok.

Zrezygnowana, skupiła się na drodze, zastanawiając się, dokąd ją zabierają. W świetle reflektorów brzęczały głośno komary. Z liści kapąca wszędzie woda, a płatki kwiatów opadały łagodnie na ziemię.

Gdy dotarli na ten poziom, ustała paplanina między kierowcą i strażnikiem. Wyczuwało się ich strach, co przyprawiło Jennę o szybsze bicie serca.

Trzydzieści metrów przed nimi coś dużego spadło z góry i rozprysło się na drodze. Gdy dotarli do tego miejsca, wózek minął leżące na żwirze szczątki.

Jenna spojrzała na zakrwawione ścierwo kozy lub jelenia. Do szkieletu przywierały nadal resztki mięsa, a jedno oko zwierzęcia wpatrywało się w nią żałośnie.

Przylgnąwszy do szyby, przeszukała wzrokiem gąszcz grubych konarów i liściaste korony drzew.

Niczego tam nie zauważyła.

Kto albo co...?

Nagle napiętą ciszę rozdarł potężny ryk rozwścieczonej i wygłodniałej bestii. Odpowiedziały mu echem krzyki w głębi lasu.

Jenna odwróciła się przerażona do Rahei.

Dziewczyna znów się uśmiechała.

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda
30 kwietnia, godzina 17.00 czasu miejscowego

– Wszyscy cali?! – krzyknął Gray. – Odezwijcie się!

Podźwignął się z podłogi kabiny pojazdu i sprawdził, w jakim jest stanie, obmacując ranę na głowie, którą uderzył w słupek. Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że obok rozbitej przedniej szyby wehikułu płynie rzeka. Przed chwilą pojazd spadł z wysadzonego w powietrze mostu, roztrzaskał przęsła i wylądował w wodzie.

Dlaczego więc nie pogrążyli się w niej całkowicie?

Kowalski pomógł Harringtonowi wydostać się z wnęki przed siedzeniem pasażera. Profesor miał paskudnego guza na głowie i zamglony wzrok.

– Potrzebuję tutaj pomocy! – krzyknął Jason z głębi ładowni.

Gray, słysząc panikę w jego głosie, zareagował natychmiast i popędził do drabinki prowadzącej w dół. Zobaczył, że dolny poziom zalewa woda wpływająca przez otwarty tylny właz. Ładownia była przebita od podłogi do sufitu wielkim czarnym szpikulcem. Przypomniawszy sobie, że z rzeki wystawały podobne do kłów stalagmity. Pojazd musiał nadziać się podwoziem na jeden z nich.

Zapewne tylko dzięki temu kamiennemu słupowi nie zostali porwani przez silne prądy na głębinię.

Jason walczył, by uwolnić Stellę. Uchwycił się mocno rury przy suficie, drugą ręką przyciskając dziewczynę do piersi. Miała zakrwawioną połowę twarzy, a głowa opadała jej bezwładnie. Rwący prąd wewnątrz ładowni mógł w każdej chwili porwać Jasona.

I nie tylko jemu groziło niebezpieczeństwo.

Cały pojazd kołysał się pod ciśnieniem wody, obracając się o kilka stopni wokół stalagmitu. Sąsiednie drewniane przęsła pękły i kolejny fragment mostu runął do rzeki. Ich niepewne schronienie nie mogło już długo wytrzymać.

– Coś jest w wodzie! – krzyknął Jason w chwili, gdy komandor chciał zanurkować w ciemny wir.

Gray założył noktowizor, zdjął z ramienia karabin akustyczny i włączył podczerwień. Snop światła przeciął głębiny i odbił się od stalowej podłogi. Zlustrowawszy ładownię, Gray zobaczył macki sięgające przez tylny właz w głąb pojazdu. W odróżnieniu od macek ośmiornicy, odnóża tego stwora miały zamiast przysawek ostre szczypce. Nieostrożna ryba, która podpłynęła zbyt blisko, została błyskawicznie zaatakowana i przecięta na pół. Mniejsze odnóża pochwytyły jej kawałki i owinęły się wokół nich.

Komandor nie chciał wiedzieć, do jakiego stwora należą te macki.

– Nie ruszaj się! – zawołał do Jasona.

Niestety, Stella zaczęła odzyskiwać przytomność i wrywać się chłopakowi. Kilka czarnych macek pełzło już w ich kierunku.

Gray zastanawiał się, czy nie wystrzelić pocisku akustycznego, lecz wątpił, czy to odniesie skutek, skoro stwór ukrywał się na zewnątrz. Ale wpadł na inny pomysł. Żyjące tam istoty były na ogół wrażliwe na wibracje i dźwięki. Pojedynczy pocisk mógł nie spłoszyć ukrytego drapieznika, ale gdyby udało się wzmocnić efekt akustyczny, cała ładownia zadudniłaby jak dzwon.

– Jason, na mój znak rusz tyłek i pędź do mnie.

Chłopak wydawał się przerażony, lecz skinął głową.

Komandor uniósł karabin nad wodę i wycelował w sufit. Miał nadzieję, że potężny huk w zamkniętej przestrzeni nie pozbawi Jasona przytomności. Musiał zaryzykować. Nacisnął spust. Impuls akustyczny uderzył w stalowe sklepienie i odbił się echem, wprawiając w wibracje cały pojazd.

Jason zatoczył się i wpadł do wody. Gdy Gray zanurkował za nim i Stellą, zobaczył, że macki kurczą się i wysuwają z ładowni. Prąd znosił Jasona częściowo w jego kierunku; na szczęście chłopak trzymał Stellę.

Gray pochwycił ich oboje i razem z Jasonem przyholował dziewczynę do drabinki. Upadek do wody ocucił ją na tyle, że była w stanie wspiąć się na szczeble. Kowalski wciągnął ją dalej do góry, a tam wziął córkę w ramiona Harrington.

– Nic mi nie jest – wymamrotała, przywierając do piersi ojca.

Mieli jednak niewiele czasu.

Komandor podążył za Jasonem do przedniej kabiny i wskazał właz w dachu.

– Wszyscy na górę!

Z powodu silnego prądu wody pojazd znów się zakołysał.

– Jesteśmy wciąż zaklinowani między przęsłami mostu – wyjaśnił. – Możemy spróbować wspiąć się po nich i wrócić na brzeg.

Kowalski poszedł pierwszy; właściwie nie potrzebował drabiny, by otworzyć właz i wydostać się na zewnątrz, mimo że dźwigał karabin. Gdy był już u góry, pomógł wyjść profesorowi i jego córce. Jason i Gray pospieszyli za nimi.

Gray wyprostował się i stwierdził z ulgą, że powinni dość łatwo wspiąć się na most po zniszczonych przęsłach.

– Mamy towarzystwo – oznajmił ponuro Kowalski.

Komandor odwrócił się i ujrzał reflektory pojazdu pędzącego ku nim wzdłuż rzeki. Była to amfibia, z której strzelano. Najwyraźniej jej załoga chciała się upewnić, że wszyscy zginęli.

Gray wskazał na drugi brzeg, w kierunku Tylnych Wrót.

– Jason, zabierz Stellę i jej ojca do podstacji, zdetonuj bomby przeciwbunkrowe i zabarykaduj szczerlnie to miejsce. Kowalski i ja zajmujemy się resztą.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał chłopak.

– Wciągnęli nas w zasadzkę... uprzejmość nakazuje im się zrewanżować. Przy odrobinie szczęścia przejmujemy ich pojazd.

Jason spojrział na niego, unosząc brwi.

– Zamierzasz dopaść Wrighta, tak?

– Jeśli nie uda się zdetonować bomb, nie możemy pozwolić, żeby łajdak wykorzystał sprzęt akustyczny, by wywołać panikę i wypuścić na zewnątrz ten podziemny ekosystem.

Jason skinął głową i ruszył w kierunku słupów w pobliżu przodu pojazdu. Gray i Kowalski podążyli za wehikuł, ku płataninie stali i drewnianych wsporników.

Olbrzym spojrział na pozostałą trójkę.

– Odkąd to rozdzielanie się jest dobrym pomysłem?

Godzina 17.07

Po zejściu z mostu Jason wspinał się ze Stellą i profesorem w kierunku podstacji usytuowanej wysoko na skalnej ścianie. Mieli tylko jeden karabin akustyczny. Dziewczyna straciła swoją broń, kiedy pojazd spadł z mostu. Przebywali już na tyle długo w ciemności, że pojedynczy reflektor podczerwieni dawał wystarczająco dużo światła, by mogli korzystać z noktowizorów.

To jak spacer w pełni księżyca, pomyślał Jason, przyglądając się miejscu, do którego zmierzali. Tylne Wrota składały się z szeregu osadzonych wysoko na skale pudełkowatych segmentów. Niektóre z nich wystawały na zewnątrz i były przytwierdzone do ściany, jak klocki przyklejone do fasady budynku.

– Jak się tam dostaniemy? – spytał Jason.

Sądząc z kabli biegnących wzdłuż sklepienia, do tego podniebego stalowego apartamentu docierało się pewnie gondolą.

Stella maszerowała z ojcem, trzymając go za rękę. Obydwoje byli posiniaczeni, poobijani i zakrwawieni, brnęli jednak przez sięgające do kolan kępy mchu i grzęzli butami w grubych warstwach alg.

– Tam jest drabina. – Dziewczyna wskazała wolną ręką w kierunku podstacji. – Wbite w ścianę stalowe szczeble prowadzą z jaskini do góry.

Przeszli zaledwie trzydzieści metrów, gdy coś głośno zgrzytnęło i Jason obejrzał się przez ramię. Walka między rwącym nurtem rzeki a uwięzionym w niej pojazdem się zakończyła. Stary wehikuł Byrda oderwał się od przęsła i zanurzył w głębiny.

Nieco dalej krąg jasnego światła zbliżał się do końca mostu. Jason modlił się, by Grayowi się powiodło. W przeciwnym razie amfibia przeprawi się zapewne przez rzekę na gąsienicach pławnych i szybko zostaną schwytani.

Wiedząc o tym, ponaglał pozostałych.

– Po lewej! – ostrzegła Stella.

Chłopak obrócił karabin, celując promieniem podczerwieni we wskazanym kierunku. Z mroku biegły ku nim susami stwory wielkości dużego psa, wyglądające jak stado wilków.

Naliczył ich co najmniej tuzin.

– Co to takiego? – spytał Jason.

– Kłopoty – odparł Harrington.

Godzina 17.09

Gray leżał na brzuchu w całkowitej ciemności, co było traumatycznym doświadczeniem, zważywszy na stworzenia zamieszkujące to piekielne miejsce. Kilka metrów dalej dyszał ciężko Kowalski, najwyraźniej równie zdeprymowany.

Gdy wspięli się po prześle na most, komandor nalegał, by szli po ciemku, i wyłączył reflektor na podczerwień. Nie chciał, aby załoga amfibii zorientowała się, że przedostali się na drugą stronę rzeki. Poruszali się po omacku na czworakach, aż dwadzieścia metrów od mostu znaleźli skupisko głazów, za którymi się schowali. Przykryli się algami, by temperatura ciała nie zdradzała ich obecności.

Po skórze Graya chodziły różne stworzenia; brzęczały wokół twarzy, zwabione zapewne zapachem jego potu albo krwią kapiącą z rany na głowie. Niektóre gryzły, inne żądliły. Robił, co mógł, by je odpędzić.

Na szczęście nie musieli czekać zbyt długo.

Amfibia nadjechała, świecąc tak jasno, że komandor zdjął z oczu noktowizor.

Gąsienice ślizgały się po gruncie, gdy pojazd skręcił gwałtownie przy moście i zatrzymał się nad brzegiem rzeki.

Po chwili otworzyły się drzwi kabiny po stronie pasażera. Mężczyzna, który wysiadł, przeskoczył zręcznie przez gąsienice i opadł lekko na ziemię. Założył noktowizor i spojrzał na rzekę, a potem na jej drugi brzeg.

– Widzę trzy cele! – krzyknął z wyraźnym brytyjskim akcentem. – Kierują się do Tylnych Wrót.

Kierowca zaklął.

– Cholerni dranie mają po dziewięć żyć.

Stojący na zewnątrz komandos przyglądał się rzece.

– Ten prąd wygląda zbyt zdradziecko, by ryzykować przeprawę – zameldował w końcu. – Może nas porwać.

– Zrozumiałem. – Kierowca, najwyraźniej dowódca drużyny, miał szkocki akcent. – Cooper, weź AWM i posprzątaj ten bałagan! – zawołał do innego z kolegów.

Gray znieruchomiał. Skrót AWM oznaczał prawdopodobnie arktyczną wersję brytyjskiego karabinu wyborowego. Zamierzali powystrzelać jego ludzi.

Zaczekał, aż drugi z mężczyzn wyjdzie z amfibii. Znalazłszy się na ziemi, komandos wsunął do karabinu magazynkę, przyłożył broń do ramienia i nastawił celownik.

– Nie ma obawy – oznajmił. – Są wyraźnie widoczni. Łatwy cel.

Wy też.

– Teraz – szepnął Gray, wyskakując naprzód.

Kowalski strzelił z jego prawej strony. Rozległ się terkot karabinu maszynowego i pociski rozszarpały pierś snajpera. Zanim jeszcze upadł na ziemię, Kowalski obrócił lufę broni i zdjął komandosa na moście, strącając go do rzeki.

Komandor popędził do amfibii i rzucił się do otwartych drzwi. Strzelił z bliskiej odległości z karabinu akustycznego w głąb zamkniętej przestrzeni kabiny. Kanonada pocisków była ogłuszająca.

Gdy w pojeździe rozległy się krzyki, wślizgnął się do środka.

Kierowca wyskoczył z kabiny, zanim Gray zdołał go powstrzymać. Był najwyraźniej zamroczony, ale dość przytomny, by spodziewać się dalszego ciągu ataku. Drugi z mężczyzn nie okazał się taki szybki. Gray wbił mu sztylet w gardło i przekręcił ostrze. Gdy je wyciągnął, mężczyzna zacharczał, chwytając się za szyję, i upadł na ziemię.

Gray przeszukał kabinę.

Była pusta.

A więc tylko ci czterej.

Zobaczył przez przednią szybę, jak dowódca drużyny pędzi wzdłuż brzegu rzeki, wybierając sprytnie taką drogę, by amfibia osłaniała go przed strzałami Kowalskiego. Biegając, starał się wydobyć radio.

Jeśli skontaktuje się z dowódcą i ostrzeże go przed atakiem, Gray straci nadzieję na wykorzystanie amfibii jako konia trojańskiego i dopadnięcie Wrighta.

Wyskoczył od strony kierowcy i uniósł karabin, wiedział jednak, że odległość jest zbyt duża, by trafić. Kowalski przybiegł zza amfibii, z karabinem maszynowym w rękach, ciągnąc za sobą pas z nabojami.

Przeciwnik miał już nadajnik przy ustach.

Za późno.

Nagle z wody wyłoniła się ciemna macka, owinęła się komandosowi wokół pasa i ściągnęła go z brzegu. Mężczyzna pogrążył się z głośnym pluskiem w rzecze.

Komandor rozpoznał to zakończone szczypcami odnóże. Strzały z broni – akustycznej i tradycyjnej – musiały wypłoszyć bestię na brzeg rzeki. Najwyraźniej była nie tylko zaszokowana, ale także wkurzona.

Nawet w Piekło zemsta jest słodka.

Godzina 17.11

Jason biegł obok Stelli i jej ojca. Słyszał strzelaninę za rzeką, ale nie odważył się spuścić z oczu zbliżających się do nich drapieżników, nie mógł więc sprawdzić, co robią Gray i Kowalski.

Trzymając przy ramieniu karabin akustyczny, osłaniał dziewczynę i profesora. Strzelał na chybił trafił do bestii, ale pociski soniczne rozpraszały stado tylko na chwilę, tak że zyskiwali zaledwie kilka sekund. Co najgorsze, po kilku seriach wskaźnik naładowania baterii z boku karabinu doszedł do czerwonej kreski.

Kończy nam się prąd!

– Odciągnę je stąd! – wykrztusił, mając buty ciężkie od błota i alg. – A wy dostańcie się do Tylnych Wrót. – Zwolnił, wskazując im ręką skalną ścianę.

– Idź, ojcze. – Stella popchnęła profesora do przodu i wyciągnęła zza pasa nóż. – Ja pomogę Jasonowi.

– Zostaniemy razem – oznajmił Harrington, przystając obok nich i dysząc ciężko. – *Leox depilis* są jak ich afrykańscy kuzyni, lwy. Starają się osaczyć najsłabsze osobniki. A poza tym nie sądzę, żebym był w stanie przebiec resztę drogi. Zrobimy tu postój.

Jason strzelił ponownie, trafiając pierwszego *Leoxa*, a ten zareagował tak, jakby dostał w nos kijem bejsbolowym. Pozostałe bestie odskoczyły na lewo i prawo i czekały, aż ich zaatakowany kompan oprzytomnieje.

Musi być przywódcą stada, uznał Jason, który zdążył już dobrze się tym bestiom przyjrzeć. Ich umięśnione grzbiety sięgały mu do pasa, a pozbawiona sierści czarna skóra lśniła oleistym

połyskiem, opalizując niemal w promieniach podczerwieni. Miały wydłużone łby jak wilki, a ich szczęki były tak zbudowane, że mogły otwierać niepokojąco szeroko paszcze zaopatrzone w kły. Przypominały znanego mu ze zdjęć, wymarłego już wilkowóra tasmańskiego.

Z gardzieli przywódcy stada wydobył się przerażający ryk, będący najwyraźniej wyzwaniem. W tym mrocznym świecie im głośniej ktoś krzyczał, tym więcej znaczył.

Stado zwarło szeregi, podchodząc ostrożnie i skracając dystans.

Jason uniósł karabin, co spowolniło przywódcę stada.

Bystrzak... rozpoznaje zagrożenie.

Chłopakowi pozostawała tylko nadzieja, że z bliższej odległości broń akustyczna wyrządzi więcej szkód i skłoni stado do szukania łatwiejszej zdobyczy. Rzuciwszy okiem na wskaźnik naładowania baterii, stwierdził, że pozostał mu tylko jeden strzał, musiał więc być celny, co oznaczało, że Jason powinien pozwolić bestiom podejść jak najbliżej.

Wycelował broń w przywódcę stada, wiedząc, że to on jest jego głównym przeciwnikiem.

Stella stanęła przy nim, gotowa bronić ojca.

– Daj mi karabin – wyszeptała.

Jason się zawahał.

– Mam pewien pomysł – nalegała.

Ustąpił i przekazał dziewczynie broń, biorąc od niej sztylet.

– Myślę, że pozostał nam tylko jeden impuls.

– Więc miejmy nadzieję, że się nie mylę co do wzorców dominacji u tego gatunku.

Wyciągnęła z miejsca, gdzie korpus broni łączył się z lufą, coś w rodzaju niewielkiego mikrofonu. Jason przypomniał sobie nagle, co Harrington mówił na temat broni akustycznej: że nie tylko strzela pociskami sonicznymi, lecz może być również używana do wzmacniania głosu, jak megafon albo do podsłuchiwania z dużej odległości.

Stella przyłożyła kolbę karabinu do ramienia i podsunęła sobie do ust mikrofon. Zamiast wycelować lufę w stado, które w milczeniu się do nich zbliżało, uniosła ją w kierunku sufitu.

I ryknęła.

Naśladowała przekonująco ryk przywódcy stada, tyle że został on stokrotnie wzmocniony, gdy nacisnęła spust i wyzywający krzyk odbił się echem od sklepienia jaskini.

Słyszając dziki skowyt, przywódca stada znieruchomiał i przykucnął niepewnie. Był najwyraźniej zastraszony tym hałasem.

Jason przypomniał sobie, co przed chwilą pomyślał.

W tym mrocznym świecie im głośniej ktoś krzyczy, tym więcej znaczy.

Przywódca stada, nie odwracając łba, zrobił krok w tył, potem następny. Inne bestie poszły za jego przykładem, rozglądając się nerwowo i powoli się wycofując.

Potem, na sygnał, stado odwróciło się i pognało z powrotem w mrok, skowycząc i szykując się do polowania na mniej hałaśliwą zdobycz.

Jason spojrział na Stellę.

– Jesteś niesamowita.

Wzruszyła ramionami i oddała mu karabin z wyładowaną już baterią. Odwracając się, próbowała ukryć uśmiech triumfu. Ruszyli dalej w kierunku skalnej ściany. Mieli jeszcze resztki elektryczności w reflektorze na podczerwień, ale na jak długo?

Chłopak narzucił szybkie tempo i ostatnie sto metrów pokonali w ciągu paru minut. Podstacja jaśniała wysoko w górze mdłym światłem lamp awaryjnych.

Bliżej Jason zobaczył wbite w ścianę stalowe szczeble. Tworzyły drabinę, która pięła się

kilkanaście piętér w górę, do Tylnych Wrót.

Czekała ich trudna wspinaczka.

Stella wskazała w głąb jaskini.

– Spójrz tam!

Jason odwrócił się spięty, oczekując kolejnego ataku. Dziewczyna wskazywała jednak na krąg światła po drugiej stronie rzeki. Była to amfibia. Jechała wzdłuż rzeki, oddalając się.

Jason wstrzymał oddech. Nagle usłyszeli trzykrotne trąbienie klaksonu.

Był to umówiony sygnał.

Gray i Kowalski wykonali zadanie. Przejęli pomyślnie wrogą amfibię i byli gotowi ścigać Dylana Wrighta.

Pewnie zwlekali z odjazdem, aż zobaczą nasze światła przy ścianie, pomyślał Jason. Nie wiedział, czy go widzą, ale uniósł rękę.

Powodzenia.

A powinien go życzyć raczej sobie.

Gdy opuścił ramię, reflektor na podczerwień zamrugał i zgasł, pogrążając ich w ciemnościach.

Roraima, Brazylia

30 kwietnia, godzina 13.22 czasu miejscowego

Co ja zrobiłem?

Kendall siedział przy komputerze w głównym laboratorium. Nie miał innego wyboru, jak wpatrywać się w duży ciekłokrystaliczny monitor. Pokazywał on obraz na żywo z zawieszonej na drzewie kamery. Sądząc po odcieniach szarości, musiał być nagrywany przy użyciu czujnika niskiego natężenia światła. Na ekranie widniał gęsty las, opleciony pnączami i ocieniony bujnymi koronami drzew. Obiektyw kamery skierowany był na wysypany żwirem plac.

Na jego środku stały w rzędzie trzy wysokie klatki. Tabliczki ostrzegały, że są pod napięciem, podobnie jak ogrodzenia między tarasami w makabrycznym ogrodzie Cuttera.

To musi być najniższy poziom.

Kendall pamiętał, że widział już przelotnie ten izolowany fragment lasu deszczowego. Ale co jeszcze się tam znajdowało?

Zobaczył na ekranie, jak Jenna jest wsadzana do środkowej klatki. Przyciskała ręce do piersi, by nie dotknąć prętów, wiedziała więc zapewne, że grozi to porażeniem.

Rahei zatrzaskała klatkę.

– Nasza pani Beck powinna już odczuwać pierwsze objawy infekcji – odezwał się Cutter, przechadzając się za plecami Kendalla i mając za sobą Matea. – Ból głowy, może także szyi.

– Błagam, nie rób tego – poprosił Kendall.

Widział na ekranie, że Rahei odchodzi z dwoma pozostałymi mężczyznami, którzy pilnowali uważnie dżungli, wyposażeni w paralizatory i karabiny. Wsiedli wszyscy do wózka, zawrócili na placu i ruszyli z powrotem tą samą drogą, którą przyjechali.

– Po co kazałeś ją tam zawieźć? Dlaczego zostawiasz ją samą?

– Och, nie jest sama.

Jakby na potwierdzenie jego słów, przed kamerą przebiegł jakiś stwór, zbyt szybko, by można było dostrzec coś więcej niż potężne zakrzywione pazury i gęste futro. Kendall rozpoznał jednak, co to za gatunek, i opadł z przerażeniem na krzesło.

– Chyba nie... – jęknął.

Cutter wzruszył ramionami.

– To był wczesny eksperyment, inspirowany twoimi ideami dotyczącymi ochrony przyrody. O ile pamiętam, użyłeś w swoim artykule terminu „odtworzenie gatunków”. Chodziło po prostu o to, by korzystając z technik MAGE i CAGE, zmienić kod genetyczny gatunku żyjącego w lesie deszczowym i wskrzesić w ten sposób jego przodka.

Kendall wiedział, że jest to teoretycznie możliwe. Laboratoria na całym świecie dążyły do osiągnięcia tego celu i zapewne w ciągu paru lat im się to uda. Wiele instytucji szukało już

sposobu na wskrzeszenie mamuta przy wykorzystaniu DNA słonia; w jednej z placówek próbowano przywrócić do życia wymarłego wędrownego gołębia, a w jeszcze innej zrekonstruować na podstawie genetycznego dziedzictwa współczesnego bydła dzikie tury, które wyginęły dawno temu. Przedsięwzięcia te miały różne nazwy: „Wskrzeszenie i Odnowa”, „Projekt Uruz”, a jedno nazwano nawet stosownie „Projektem Łazarz” – chodziło o odtworzenie australijskiej żaby, która składała jaja przez otwór gębowy.

Ale to, co Cutter tutaj osiągnął...

– Nie możesz jej tam zostawić – nalegał Kendall.

– Na razie, za prętami pod napięciem, jest wystarczająco bezpieczna. Damy jej jeszcze pół godziny, aż infekcja zredukuje ją do poziomu prostszego organizmu. Wtedy się przekonasz, jaki ten nowy świat będzie dla ludzkości, gdy nasz gatunek zostanie pozbawiony toczącej go jak rak inteligencji.

Kendall poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Wiedział, że ten potwór zmusi go, by patrzył, co dzieje się z tą dziewczyną.

– Ale możesz temu jeszcze zapobiec – powiedział Cutter. – Podaj mi tylko nazwę gatunku, którego kod XNA stanowi klucz genetyczny do otwarcia osłony wirusa. Jedno słowo... i będzie po wszystkim. Resztą sam się już zajmę.

Kendall wiedział, że jeśli Cutter otrzyma tę informację, znajdzie rozwiązanie biologicznej zagadki.

– Nie zwlekaj zbyt długo. Istnieje antidotum na chorobę pani Beck, ale musi zostać podane w ciągu godziny, inaczej zmiany neurologiczne będą nieodwracalne.

– Jest na to lek? – Kendall przełknął głośno ślinę.

– Owszem. – Cutter spojrział w kierunku dużej zamrażarki w głębi laboratorium. – To proteina, będąca lustrzanym odbiciem tego, co stworzyłem. Jest w stanie naprawić szkody w układzie nerwowym, które wyrządził prion, ale, jak wspomniałem, istnieje limit czasowy. Potem nie ma już powrotu.

Kendall miał poważniejsze zmartwienie niż los młodej dziewczyny.

– A jeśli podam ci tę nazwę, powiesz mi, jak powstrzymać rozprzestrzenianie się skażenia w Kalifornii?

Cutter potarł policzek, udając najwyraźniej, że się koncentruje.

– Dotrzymuję słowa. Tak brzmiała moja pierwotna propozycja. Ale to było przed przybyciem pani Beck.

– Co masz na myśli?

– Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, a dam ci wybór. Zdradzę ci, jak się pozbyć potwora, który wydostał się z twojego laboratorium... albo ocalę panią Beck. Sam zdecydujesz.

Kendall wpatrywał się w ekran, wiedząc, że w końcu będzie musiał powiedzieć Cutterowi prawdę. Z czasem ten łajdak i tak wydobędzie z niego tę informację.

– Będziesz potrzebował krwi jednego z gatunków żyjących na Antarktydzie – odezwał się cicho z poczuciem porażki.

– Którego?

– *Volitox ignis*.

Tym razem Cutter naprawdę się zamyślił.

– To te ogniste węgorze. Rzeczywiście niewdzięczne zadanie. Muszę zadzwonić, zanim będzie za późno. Być może zagalopowałem się z moimi planami. Za szybko chwytam za broń, jak mówicie wy, Amerykanie. – Zaczął odwracać się od Kendalla.

– Cutter, obiecałeś!

Obrócił się z powrotem.

– Oczywiście, przepraszam. Jakie chcesz lekarstwo? Dla pani Beck... czy dla świata?

Kendall spojrział ponownie na ekran, na drobną kobietę skuloną w klatce. Równocześnie wyobraził sobie spustoszenia szerzące się w górach Kalifornii.

Wybacz, Jenno.

Zwrócił się do Cuttera:

– Jak mogę zniszczyć to, co stworzyłem?

– Rozwiązanie jest bardzo proste. Nie zastanawiałeś się, dlaczego biosfera spod Antarktydy nie rozprzestrzeniła się nigdy na zewnątrz? Z pewnością zdarzały się tam w przeszłości uciezki pojedynczych osobników. Ale podejrzewam, że musiałyby ich być wiele, by doszło do masowego exodusu.

Kendall głowił się nad odpowiedzią. Co było tak unikalnego w Antarktydzie? Co sprawiało, że ten świat był uwięziony w podziemiach? Słona woda, lód, mróz? Eksperymentował z tymi zmiennymi w swoim laboratorium.

– Próbowaliśmy temperatur poniżej zera, różnych stężeń soli, toksyn metali ciężkich występujących w okolicznych oceanach – przyznał Kendall. – Ale wirusa nic nie zabiło.

– Bo miałeś zbyt ograniczone spojrzenie, przyjacielu... To zawsze był twój problem. Patrzysz na drzewa i nie dostrzegasz lasu. Myślisz lokalnie zamiast globalnie. – Cutter uniósł brew, jakby go testował.

Kendall zastanawiał się nad znaczeniem jego słów.

Globalnie.

Do czego zmierzał?

Nagle zrozumiał.

Godzina 13.24

Jenna potarła kark, starając się nie przysuwać za blisko do prętów klatki. Tępy ból w kręgach szyjnych przeszedł w ostry skurcz mięśni; w głowie czuła kłujące pulsowanie. Bolały ją nawet oczy, przez co zieleń lasu wydawała się zbyt jaskrawa.

Wiedziała, co znaczą te objawy.

Zaczyna się.

Obawiając się tego, co miało nastąpić, powtarzała swoją mantrę.

Jestem Jenna Beck, córka Gayle i Charlesa. Mieszkam na rogu D Street i Lee Vining Avenue. Mój pies ma na imię Nikko i obchodzi urodziny...

Walczyła z bólem, starając się zachować każdy skrawek tożsamości i sprawdzając, czy nie ma oznak utraty pamięci.

Ale czy będę wiedziała, kiedy to się stanie?

Oddychała głęboko, chłonąc upojny zapach lasu, próbując się skoncentrować i opanować panikę. Słyszała wokół siebie kapanie wody, trzepot ptasich skrzydeł, skrzypienie gałęzi, szum liści.

Jeden szczegół wydał jej się dziwny. Było tu zbyt cicho. Nie docierał do niej śpiew ptaków,

trajkotanie małych ani bzyczenie owadów wśród zarośli.

Nagle, jakby w odpowiedzi na jej niepokój, po lewej stronie trzasnęła gałązka. Spojrzała w tym kierunku, ale zobaczyła tylko przemykające cienie. Próbowała przeniknąć wzrokiem ścianę otaczających polanę paproci.

Niczego nie dostrzegła.

Znała jednak prawdę. Pamiętała wściekły ryk, który słyszała wcześniej, i wyjątkową czujność strażników, gdy wieźli ją do więzienia w dżungli.

Nie jestem tu sama.

Godzina 13.25

Myśl globalnie...

Czy przez cały czas to stanowiło rozwiązanie?

Kendall przymknął oczy, wyobrażając sobie wirującą planetę, pod której skorupą jest roztopiona lava, otaczająca rdzeń z żelaza wielkości dwóch trzecich księżyca. Prądy konwekcyjne w płynnym wnętrzu Ziemi, wraz z efektem Coriolisa spowodowanym jej rotacją, wzbudzały potężne pole magnetyczne, jak geodynamo elektryczne.

– Magnetyzm – powiedział Kendall. – Oto co utrzymuje tę alternatywną biosferę pod lodami Antarktydy.

– A gdzie na naszej planecie pole magnetyczne jest najsilniejsze?

– Na biegunach. A najsłabsze jest w pobliżu równika.

– I gdzie jeszcze?

Kendall wiedział, że Cutterowi musi chodzić o Przylądek Piekła. Stał mu przed oczami ten tropikalny świat głęboko pod lodem, idealny inkubator dla dziwnych gatunków. Przypomnił sobie zapach siarki i bulgoczące jeziora.

Spojrzał na Cuttera.

– W strefach geotermicznych – odparł. – Pole magnetyczne Ziemi jest słabsze w rejonach aktywności wulkanicznej.

– Zgadza się. Występująca w tych miejscach płynna lava, która nie wykazuje ferromagnetyzmu, tworzy lokalną lukę w polu magnetycznym Ziemi, coś w rodzaju wyspy na morzu silniejszych prądów magnetycznych.

Kendall wyobraził sobie Przylądek Piekła jako taką wyspę uwięzioną w silniejszym prądzie magnetycznym Antarktydy. Mimo wszystko założenie, że różnica natężenia pól magnetycznych wystarczy, by utrzymać biosferę w zamknięciu, wydawało mu się mało wiarygodne. Coś musiało powodować, że była ona szczególnie wrażliwa na te pola, coś tkwiącego w jej naturze.

– XNA – powiedział, prostując plecy. – Wszystkie żyjące tam organizmy mają łańcuch genetyczny, który nie wykorzystuje dezoksyrybozy. Jest unikatowy. Cukier zastępuje w nim mieszanka arseniku i fosforanu żelaza. – Spojrzał na Cuttera. – Chodzi o żelazo, prawda? To dlatego organizmy z kodem XNA są tak wrażliwe na pole magnetyczne.

– Badałem ich struktury przy użyciu dyfrakcji rentgenowskiej i spektroskopii fotoelektronów. Żelazo tworzy nanopierścienie na spirali XNA, przypominające kręgi.

– I oddziałując odpowiednio silnym polem magnetycznym, można je zniszczyć. – Popatrzył

z nadzieją na Cuttera. – Obliczyłeś, jakie powinno mieć natężenie?

– Owszem... i zrobiłem próby. Nie musi być szczególnie silne. Wasza Agencja do spraw Żywności i Leków testowała już wykorzystywanie pól magnetycznych do zabijania bakterii, wirusów i grzybów w zapasach artykułów spożywczych i wody. Zmodyfikowałem po prostu wyniki ich badań i określiłem natężenie pola, które będzie optymalne w tym przypadku.

Kendall wyobraził sobie, jak organizm, który stworzył w laboratorium, usycha wewnątrz syntetycznej osłony, pozostawiając ją jak skórę zrzuconą przez węża.

– Nie mając tego leku, nie uwolniłbym nigdy twojego wirusa – oznajmił Cutter. – Podobnie jak ty, nie chcę, by zniszczył świat. Gdybyś wolał wyleczyć panią Beck, zamiast dowiedzieć się, jak unieszkodliwić wirusa, i tak bym ci to zdradził. Nie mogę pozwolić, żeby świat zginął, zanim go ocalę.

Kendall spojrział na obraz z kamery wideo. Poczuł niepokój, ale musiał go opanować. Nadal zbyt wiele ryzykował.

– A więc pozwolisz mi zawiadomić władze w Kalifornii o magnetycznym antidotum.

– W swoim czasie.

– Jak to w swoim czasie?

– Z tego, co słyszę, twoi wybitni koledzy zamierzają zdetonować w górach ładunek jądrowy. Wyjątkowo głupi pomysł. Jak obaj wiemy, nie przyniesie to większego pożytku, rozprzestrzeni jedynie twojego wirusa na jeszcze większy obszar i napromieniuje okolice na dziesiątki lat. Ale na tym polega ułomność człowieka: zniszczy, zanim pomyśli. Dlatego jako gatunek jesteśmy skazani na zagładę.

– Ale powiedziałeś, że nie chcesz, by mój wirus zniszczył świat.

– Nie chcę. Kiedy dasz im antidotum, będą potrzebowali po prostu więcej czasu, by uprzętać ten bałagan. Da im to zajęcie na dłużej.

– A promieniowanie? Wszystkie szkody?

– Ziemia wylizywała się już z ran zadawanych przez ludzkość, więc i tym razem sobie poradzi. – Cutter westchnął ciężko. – Poza tym takie odwrócenie uwagi jest mi na rękę. Ludzie nie patrzą w kierunku, z którego nadchodzi zagłada.

Czyli na ciebie.

– Wybacz, ale muszę w końcu zadzwonić – powiedział Cutter. – Potrzebuję próbki krwi *Volitoxa*, zanim będzie za późno.

– Za późno?

– Ukrywałeś ten podziemny świat zbyt długo, trzymałeś go w zamknięciu, nie pozwalając wykorzystać jego pełnego potencjału.

Kendall był już maksymalnie zaniepokojony i zaszokowany.

– Co... co ty planujesz?

– Zamierzam wpuścić tę mrocznie piękną i cudownie agresywną biosferę do naszego świata. Uważam, że już czas, by opuściła tę odizolowaną wysepkę. Niektóre z organizmów zginą, oczywiście, po drodze, stając się ofiarami pola magnetycznego, o którym rozmawialiśmy, ale, jak wiesz, Natura jest mistrzem adaptacji. Przy takiej różnorodności i mnogości gatunków część z nich przetrwa i przystosuje się do życia, wnosząc do naszego świata kod XNA, który zapewnia większą odporność i zdolność do mutacji, cechy niezbędne w czekających nas trudnych czasach.

Kendall wyobraził sobie, jakie szkody wyrządzi w środowisku nagłe pojawienie się tak wielu obcych gatunków. Cała ta agresywna biosfera zaleje świat. Skutki ekologiczne będą

katastrofalne.

– Zamierzam skonfrontować twój podziemny świat z tym na górze. Podczas tej wojny będę wypuszczał na wolność wyhodowane tutaj osobniki, tworząc nowe mutacje genów i przyspieszając proces ewolucji dzięki możliwości przechodzenia pewnych cech między gatunkami. Powstanie ewolucyjny tygiel, w którym najwyższym prawem będzie selekcja naturalna. Parafrazując starożytnego chińskiego stratega, Sun Tzu, w takim chaosie tkwi szansa.

Kendall był zdruzgotany.

– Możesz stanąć po mojej stronie – ciągnął Cutter. – Być świadkiem tej transformacji, początku nowego Edenu, wolnego od degradacji powodowanej przez człowieka.

Kendall wyobraził sobie wywołaną przez priony pożogę, która sprowadzi ludzkość z powrotem do jej pierwotnej kondycji.

Cutter podszedł z płomiennym wzrokiem z powrotem do komputera.

– Zobacz mały zwiastun tej wojny, która ma nadejść i podczas której ludzkość uwolni się od plagi inteligencji i będzie wreszcie podlegała prawu natury.

Kendall wiedział, jakie prawo ten szalenciec gloryfikował z religijnym fanatyzmem.

Prawo Dżungli.

Cutter wcisnął klawisz.

Na ekranie widać było, jak otwierają się drzwiczki do klatki Jenny.

Godzina 13.29

– Ile to jeszcze potrwa?! – krzyknął Painter do sierżanta Suareza.

– Trzydzieści minut, proszę pana!

Za długo.

Painter poruszył się niecierpliwie. Piekło go ramię, a ból podsycił niepokój. Miał pełną świadomość, jak mało zostało im czasu. Ładunek jądrowy miał zostać zdetonowany w Kalifornii za dziewięćdziesiąt minut.

A ja siedzę tu na dupie.

Po upływie kolejnej minuty Suarez zawołał:

– Może zechce pan tu podejść i coś zobaczyć!

Painter, zadowolony, że ma powód, by się ruszyć, rozpiął pasy i podążył do kabiny pilota. Drake poszedł w jego ślady.

– O co chodzi? – zapytał Painter.

Suarez podał mu lornetkę i wskazał w kierunku odległego *tepui*. Było nadal zbyt daleko, by dostrzec szczegóły, ale Painter posłusznie wziął lornetkę do ręki.

Drugą dostał Drake.

Painter wpatrywał się przez chwilę w odległy szczyt, którego zbocza spowijały chmury.

– Proszę spojrzeć na południowy stok – poinstruował go sierżant, dając znak ręką pilotowi.

– Niech pan nas trochę pohuśta.

Painter skoncentrował się, opierając obolałe ramię o ścianę kabiny, aby utrzymać równowagę, gdy pilot zakołysał samolotem.

Początkowo niczego nie zauważył, tylko wyrzeźbione przez wiatr skały i rzadki las na

północnym zbocz. Ale gdy samolot zmienił pozycję, coś błysnęło w słońcu spomiędzy kamieni na południowym grzbiecie.

Drake gwizdnął.

– Taki odblask daje tylko metal.

– Obserwuję to od kilku minut – powiedział Suarez. – Myślę, że to turbina wiatrowa.

Turbina?

Painter zmrużył oczy, ale nadal widział za mało szczegółów, by dojść do podobnego wniosku. Sierżant był jednak młodszy i miał lepszy wzrok, a poza tym wylatał już wiele godzin jako zwiadowca, więc Painter uwierzył mu na słowo. A skoro na szczycie były turbiny wiatrowe, ktoś musiał założyć tam obóz.

Mogła to być tylko jedna osoba.

Cutter Elwes.

– Czy ta maszyna nie może lecieć szybciej? – spytał Painter.

– Mamy już maksymalną prędkość – oznajmił pilot.

Suarez spojrział na zegarek.

– Pozostało dwadzieścia siedem minut.

Godzina 13.33

Przez mgłę bólu przeniknął do świadomości Jenny odgłos kliknięcia zamka w drzwiczkach klatki. Podniosła wzrok i poczuła łupanie w czaszce. Uporczywe czerwone światło u góry zmieniło się na zielone.

Drzwiczki uchyliły się o kilka centymetrów.

Obawiając się, że to jakiś podstęp, pozostała na miejscu. Dotknęła krat gumową podeszwą. Nie były pod napięciem, więc otworzyła szerzej drzwiczki i wyszła z klatki. Pod jej butami zachrząścił żwir.

Słyszając ten hałas, znieruchomiała i włosy zjeżyły jej się na obolałym karku. Poczuła, że ktoś ją obserwuje. Przyjrzała się drodze prowadzącej przez las, wyobrażając sobie bramę i ogrodzenie elektryczne, które otaczało ten teren.

Nawet gdybym przedostała się w głąb dżungli, i tak będę uwięziona.

Spojrziała ponownie na klatkę. Być może zamknięta w niej byłaby najbezpieczniejsza, ale stalowe pręty nie bez powodu podłączono do prądu. Zapewne nie zabezpieczały wystarczająco przed zagrożeniem, które czaiło się w tym lesie.

Stalowa osłona była jednak lepsza niż nic.

Zaczęła cofać się powoli do klatki, ale drzwiczki zatrzęsły jej się przed nosem. Zapaliła się czerwona lampka.

Zamknięte...

Jenna starała się coś obmyślić, zaplanować, lecz nie mogła się skupić, skoncentrować dłużej na czymkolwiek. Próbowwała przypisać to bólowi i strachowi, ale obawiała się, że to symptom poważniejszych zaburzeń.

– Jestem Jenna Beck, córka Gayle i Charlesa – szepnęła w kierunku pogrążonego w ciszy lasu. – Mieszkam na rogu D Street i Lee Vine Road...

Zaraz. Czy rzeczywiście tam?

Wyobraziła sobie wiktoriański domek z dwuspadowym dachem.

Tam mieszkam.

To wspomnienie dodało jej otuchy.

– Mój pies ma na imię Nikko i obchodzi urodziny...

Z każdym wyszeptanym słowem robiła kolejny krok przez plac, starając się unikać drogi. Być może nie była to zresztą świadoma decyzja. Instynkt kazał jej się ukrywać, omijać otwartą przestrzeń. Postanowiła zaufać temu instynktowi. Gdy dotarła na skraj lasu i weszła w cień drzew, jej mantra zmieniła się w bezgłośny wewnętrzny monolog.

Moimi przyjaciółmi są Bill i Hattie. Próbowała odtworzyć w wyobraźni wygląd tej starej Indianki. *Hattie należy do plemienia Kutza...* Zaczerpnęła tchu, starając się przypomnieć sobie jego nazwę, i potknęła się ze zdenerwowania. Nagle odnalazła ją w pamięci.

Kutzadika'a... tak się nazywa.

Wyciągnęła rękę, by usunąć z drogi paproć, ale zapomniała, że tutejsza flora jest specyficzna. Roślina, unikając jej dotyku, zwinęła liście i łodygi w zwartą kulkę.

Za tą skurczoną paprocią pojawił się nagle zaledwie kilka metrów przed Jenną potężny stwór. Stał na czterech kończynach, był wielkości nosorożca, ale miał futro jak niedźwiedź brunatny i długi gruby ogon, a na każdej z przednich łap po pięć zakrzywionych pazurów. Budził respekt swym masywnym pyskiem i umięśnionym karkiem. Wpatrywał się w nią dużymi brązowo-czarnymi ślepiami.

Znieruchomiała. Znała się wystarczająco na fizjologii, by stwierdzić, że zwierzę należy do rodziny leniwców, poruszających się powoli nadrzewnych roślinożerców, które żyją w brazylijskich lasach. Ale ten osobnik był klonem swego przodka monstrualnych rozmiarów. Choć wyglądał jak prehistoryczny okaz, gatunek ten wyginął zaledwie przed dziesięcioma tysiącami lat.

Megatherium, przypomniała sobie jego nazwę. Gigantyczny naziemny leniwiec.

Wyczuwała jednak, że jest równie nienaturalnym tworem jak wszystko, co widziała po drodze. Jakby na dowód tego zwierzę odchylił wargi, ukazując grube, ostre zęby, służące do odrywania mięsa od kości.

To nie był roślinożerca, lecz nowy gatunek drapieżnika.

Zaryczał wściekle i stanął na tylnych kończynach, sięgając na wysokość czterech metrów. Wysunąwszy błyskawicznie łapę, przeciął pazurami na pół pień drzewka.

Jenna cofnęła się.

Wokół niej dzungla wybuchła chrapliwymi okrzykami, które odbijały się echem od skał, utrudniając jej myślenie.

Pamiętała jednak zwłoki kozy, zrzucone z góry na drogę i stanowiące być może ostrzeżenie.

Przypominając je sobie, podniosła wzrok – i krzyknęła, gdy pomiędzy liści coś zeskoczyło przed nią na ziemię.

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda
30 kwietnia, godzina 17.33 czasu miejscowego

– Ile czasu jeszcze potrwa instalowanie tego cholerstwa? – spytał Dylan Wright, wskazując radionadajnikiem, który zaciskał w pięści, na zmontowany częściowo dysk LRAD.

Reflektory dużej amfibii oświetlały trzyosobowy zespół, który pracował przy sześciu gigantycznych, ważących po czterdzieści kilogramów panelach, by zamocować je w stojącej ramie. Dwaj inni ludzie podłączali kable z przenośnego agregatu. Dylan wybrał miejsce położone możliwie najbardziej w głębi Koloseum, ustawiając dysk w kierunku wejścia do kompleksu tuneli, w stronę Przylądka Piekła.

Na razie realizował swój plan.

Zostawił na stacji niewielką grupę ludzi. Udało im się przebić tam tunel i otworzyć nowe wyjście na zewnątrz. Potrwało to dłużej, niż się spodziewał, ponieważ musieli uważać, by nie zdetonować bomb przeciwbunkrowych, które miały eksplodować, gdyby ktoś przy nich manipulował.

Ale wszystko poszło dobrze.

Pozostawało tylko sprawić, by cały ten zaginiony świat popędził w panice do nowego wyjścia. Montowane właśnie urządzenie akustyczne LRAD 4000X mogło wyemitować ogłuszający dźwięk o natężeniu stu sześćdziesięciu dwóch decybeli i miało zasięg pięciu kilometrów, a przy akustyce tych jaskiń nawet większy.

– Jak długo jeszcze? – zapytał ponownie.

– Potrzebuję dziesięciu minut! – odparł jeden z członków ekipy, pociągając za sznurek, by uruchomić generator.

– Christchurch i Riley, do mnie! – zawołał major, przekrzykując hałas. – Trzeba zdemontować i zdjąć z amfibii mniejsze LRAD. Zabierzcie z niego przenośny akumulator i pilota do 4000X.

Posłuchali go natychmiast bez dyskusji, choć tego, o co prosił, nie było w planie. Wright i jego ludzie znali konsekwencje swoich działań, rozumieli, jakie ekologiczne szkody spowoduje wypuszczenie na świat tej odizolowanej dotąd, agresywnej biosfery, ale biorąc pod uwagę, ile im zapłacono, nie miało to znaczenia. Naprawienie szkód w środowisku naturalnym będzie już problemem kogoś innego.

Majora dręczyło jednak, że nie ma pełnego obrazu sytuacji. Zwłaszcza po tym telefonie. Spojrzał na nadajnik, który trzymał w ręce. Otrzymał połączenie z Ameryką Południową przez Przylądek Piekła. Wyglądało na to, że Cutter Elwes postanowił w ostatniej chwili zmienić parametry misji. Wynegocjowawszy wysoką premię za dodatkowe ryzyko, Wright w końcu się na to zgodził, odkładając na bok obawy.

Dodatkowych dwieście tysięcy funtów zdecydowanie człowieka uspokajało.

Christchurch zeskoczył z amfibii, taszcząc pod pachą ciężki dysk o średnicy sześćdziesięciu centymetrów, jakby była to piłka do rugby. Zresztą Christchurch, ze swymi masywnymi kończynami i ogromnymi dłońmi, wyglądał na zawodnika tej dyscypliny sportu. Riley, o głowę wyższy i sześćdziesiąt kilogramów lżejszy, szedł za nim z akumulatorem, owinąwszy sobie kable wokół ramienia.

Gdy podeszli do majora, ten wskazał w głąb tunelu, za stojącą tam amfibię.

– Zdaje się, że czeka nas polowanie.

– Na co? – spytał Riley.

– Na *Volitoxa*.

Jego dwaj towarzysze wymienili spojrzenia, wcale tym nie uradowani. Nie miał im tego za złe, ale rozkaz to rozkaz. Poza tym, miał ochotę podjąć wyzwanie. Położył dłoń na kolbie ukrytego w kaburze pistoletu Howdah. Chciał sprawdzić swoje umiejętności, stawiając czoło jednemu z najbardziej agresywnych gatunków w tym podziemnym świecie – i najbardziej niebezpiecznemu.

Ale w takim piekielnym miejscu ostrożność nigdy nie jest przesadna, pomyślał, zerkając na przenośne LRAD.

– Panie majorze! – krzyknął jeden z mężczyzn, wskazując na widoczną w oddali i zbliżającą się w ich kierunku parę świateł.

Wracała grupa McKinnona.

Nareszcie!

– Jak tu dotrą, zacznijcie się pakować – polecił Wright. – Bądźcie na nasłuchu, gdybym musiał się z wami skontaktować.

Kiedy wszystko było już gotowe, wyruszył w drogę. A jednak dręczył go ciągle jakiś niepokój; był bardziej zdenerwowany niż zwykle. Po pokonaniu pięćdziesięciu metrów wzdłuż rzeki, która wypływała z Koloseum, spojrzął na krąg światła widoczny wokół placu montażowego, a potem na reflektory pojazdu pędzącego przez jaskinię.

McKinnon zameldował się wcześniej, informując go o udanej zasadzce na wehikuł Harringtona. Jako sumienny żołnierz, Szkot upewnił się nawet osobiście, że nikt nie ocalał. Ale potem Wright nie miał już od zastępcy żadnych wiadomości.

Rozproszony niespodziewanym telefonem z Ameryki Południowej, nie zastanawiał się nad tym. Ale teraz...

Wyobraził sobie, jak ten pomysłowy Amerykanin strzela z tyłu pojazdu.

– Zatrzymaj się! – rozkazał. Wyciągnął radio i nastawił kanał McKinnona. – Tu Wright. McKinnon, jaka sytuacja?

Zaczekał trzydzieści sekund, po czym powtórzył pytanie.

Nadal cisza.

Wzdychając ciężko, skontaktował się z placem montażowym i natychmiast uzyskał połączenie.

– Tak, panie majorze?

– Skończyliście montaż LRAD?

– Wszystko gotowe.

– Próbuje się połączyć z McKinnonem. Jeśli nie odpowie, zanim jego pojazd dotrze na odległość trzydziestu metrów, aktywujcie dysk.

– Ale wtedy jego ekipa...

- Bez dyskusji! Kiedy zostaną zatrzymani, wyłączcie dysk, podejście w pełni uzbrojeni do amfibii i zabezpieczcie ją.
- Tak jest, panie majorze.
- Wright opuścił nadajnik.
- Żadnych więcej niespodzianek.
- Wskazał przed siebie.
- Upolujmy sobie *Volitoxa*.

Godzina 17.43

Gray przyglądał się przez noktowizor mężczyznom pracującym przy potężnym dysku LRAD. Naliczył ich dziewięciu. Wcześniej major Dylan Wright odjechał z dwoma ludźmi, kierując się w głąb kompleksu jaskiń.

Kiepski stosunek sił... nawet biorąc pod uwagę element zaskoczenia.

– Gotowy?! – krzyknął Gray, podnosząc nieco głos, by przekrzyczeć hałas.

Kowalski prowadził dudniącą amfibię, ucząc się szybko manewrować pojazdem na gąsienicach w tym krótkim czasie, jaki zajęło im pokonanie reszty dystansu w ogromnej jaskini.

– Gotowy jak nigdy. – Olbrzym poklepał karabin maszynowy, który trzymał na kolanach, jakby chciał się upewnić, że nadal tam jest.

Gray zacisnął w dłoniach karabin akustyczny, z niemal już wyczerpanym akumulatorem od częstego ostatnio używania.

Na konsoli znów zatrzeszczało radio.

– Odpowiedz, McKinnon. Jeśli masz problemy z łącznością, zamrugaj światłami!

Kowalski zerknął na komandora.

To było trzecie wezwanie w ciągu paru minut.

– Nie rób tego – rzucił Gray. – Staną się jeszcze bardziej podejrzliwi.

Byli żołnierze brytyjskiego Szwadronu X, których mieli przed sobą, mogli sądzić, że amfibia utraciła łączność – anteny ulegają czasem uszkodzeniu podczas walki – ale Gray przypuszczał, że to ostatnie wezwanie było rodzajem przynęty. Skoro odbierali komunikaty, powinni móc również je wysyłać.

Na razie lepiej udawać głuchych i ślepych.

– Zaczynają się denerwować – powiedział Kowalski.

Pozbawieni wyboru, jechali dalej w milczeniu, wstrzymując oddech i czekając na to, co nieuchronne. I doczekali się.

Świat eksplodował ogłuszającym hałasem, wprawiając w wibracje przednią szybę. Gray miał wrażenie, że ktoś wbija mu w uszy lodowe sople. Zawęziło mu się pole widzenia. Poczul żółć w gardle i zawroty głowy.

Za drżącymi szybami rozpętało się piekło. Zwierzęta rzuciły się do ucieczki, czmychając przed kakofonią. Inne wychodziły z kryjówek, skacząc lub pełzając. Gdy przemknął obok nich potężny *Pachycerex*, Gray zobaczył go jak przez mgłę, bo zaczęły mu łzawić oczy. Wkrótce nie rozróżniał już żadnych szczegółów, dostrzegał tylko ruch spowodowany atakiem akustycznym.

Nie wytrzymam dużo dłużej...

Zobaczył, że Kowalski osuwa się bezwładnie na kierownicę.
Amfibia zwolniła i stanęła.
Komandor opadł na bok i przywarł do szyby po stronie pasażera, ale przedtem przemknęła mu przez głowę pewna myśl.
Nie martwił się o siebie, lecz o pozostałych.
Jason, obyś dotarł do tych Tylnych Wrót.

Godzina 17.44

Wyłącznie to, pomyślał Jason, który zwiślał ze ściany jaskini, w połowie jej wysokości, uczepony łokciem o jeden z wbitych w skałę szczebli i oparty stopami o inny. Wolną ręką zasłaniał sobie głowę, próbując zagłuszyć przeraźliwy hałas i nie dopuścić, by rozsadził mu czaszkę. Po twarzy spływał mu śluz z nosa, zmieszany ze łzami.

W oddali, w głębi Koloseum, lśniło światło wskazujące obozowisko Dylana Wrighta. Wspinając się po drabinie, Jason spoglądał często w tamtym kierunku, martwiąc się, że Brytyjczycy skończą pracę i aktywują LRAD, zanim on, Stella i profesor dotrą do dobrze zabezpieczonej podstacji.

Najgorsze obawy przed chwilą się potwierdziły.

Na dnie jaskini zauważył mniejszy krąg światła. Była to amfibia, którą dowodził Gray. W trakcie wspinaczki Jason obserwował jej powolną jazdę, ale teraz zobaczył, że się zatrzymała. Mógł sobie jedynie wyobrazić, jak silny musiał być sygnał akustyczny blisko jego źródła.

Z wielkim wysiłkiem wykręcił szyję i spojrzał w górę. Stella i jej ojciec wyprzedzili go o parę metrów. Profesor miał u pasa niewielką latarkę; gdy wyładował się akumulator karabinu akustycznego, pozostało im tylko to źródło światła odnalezione w plecaku Stelli. Dała je ojcu, by w trakcie wspinaczki widział lepiej szczeble drabiny.

Popełniła błąd.

Hałas nagle ucichł, równie raptownie, jak wybuchnął. Zaskoczony tym Jason poślizgnął się na szczeblu drabiny i na sekundę na niej zawisnął. Po chwili, dysząc ciężko, podciągnął się z powrotem w górę na dwóch rękach. Wyglądało na to, że impuls akustyczny przygwoździł go do ściany, a gdy nagle ustał, jego ciało zostało odrzucone do tyłu.

Wiedział, że to tylko złudzenie, skutek wstrząsu. Przywarł jednak do skały na dłuższą chwilę, zanim uniósł głowę.

Stella, oświetlona blaskiem latarki ojca, spojrzała na niego z góry.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją, widząc zatroskanie dziewczyny, choć nadal dzwoniło mu w uszach.

Nagle coś przeleciało wzdłuż ściany obok ramienia Stelli.

Hastax.

Najwyraźniej przerażony hałasem, rzucił się na najbliższy cel – irytujące jaskrawe światło, które wtargnęło na jego podniebne terytorium. Zanurkował i szturchnął w locie profesora – na tyle mocno, że strącił go z drabinki.

Jason widział jakby w zwolnionym tempie, jak starszy pan przelatuje obok niego i znika w ciemnościach niby spadająca gwiazda.

Stella krzyknęła rozpaczliwie, wyciągając rękę, jakby była gotowa skoczyć za ojcem.

– Zostań! Ja zejść! – Jason ruszył szybko na dół, choć nie miał wielkiej nadziei. – Przykro mi, Stello, ale ty musisz dostać się do stacji i zdetonować te bomby.

Tylko czy nie było za późno?

Spojrzał w dół i zobaczył, że cały tłum istot, migoczących w ciemnościach bioluminescencyjnym światłem, ucieka od źródła ataku akustycznego. Nawet ten pojedynczy impuls mógł mieć poważne konsekwencje. Panika nieuchronnie się rozszerzy i umykające w popłochu stwory popędzą przez długi tunel do wyjścia, jak staczająca się ze zbocza śnieżna kula.

Chłopak popatrzył na odległe światła obozowiska Wrighta. Jedno wiedział na pewno: To nie była ostatnia eksplozja. Każde kolejne zadęcie w ten róg spowoduje nasilenie paniki. Jeśli nie zasklepi się wyjścia z tunelu, świat będzie skazany na zagładę.

– Zaczekaj! – zawołała za nim Stella. – Nie mogę...

Nie miał czasu na dyskusje.

– Musisz!

– Posłuchaj, do cholery!

Przystanął i spojrzał w górę.

– Ja... nie znam kodu – powiedziała, tłumiąc szloch. – Zna go tylko mój ojciec.

Jason nie wziął tego pod uwagę. Zakładał, że ona również zna hasło. Spojrzał pod nogi, na plamkę światła u podnóża drabinki. Przymknął oczy, by spokojnie odetchnąć, i po chwili znów je otworzył.

– Tak czy inaczej, idź do góry! – zawołał. – Przygotuj wszystko, co trzeba. Przyjdę najszybciej, jak będę mógł.

– Dobrze – odparła cichym, łamiącym się głosem.

Nawet jeśli nie mogła nic tam w górze zrobić, nie chciał, żeby oglądała ojca w takim stanie, w jakim spodziewał się go znaleźć.

Jason zaczął pospiesznie schodzić, modląc się, by profesor jeszcze żył.

Roraima, Brazylia

30 kwietnia, godzina 13.45 czasu miejscowego

Jenna cofnęła się, widząc, jak coś spada jej pod nogi z korony drzewa. Krzyk uwiązł jej w gardle, gdy próbowała się zorientować, co to takiego. Zobaczyła szczupłego bosego chłopca w wieku dziesięciu, jedenastu lat, o czarnych włosach i jasnoniebieskich oczach. Był w szortach, podkoszulce i kamizelce safari.

Podbiegł do niej, chwycił ją za rękę i pociągnął lekko, by za nim poszła.

– Chodź...

W drugiej ręce trzymał długi żółty paralizator.

Wskazał nim w kierunku gigantycznej paproci, która zaczęła rozwijać liście, zasłaniając stojącą za nią potężną bestię.

Megatherium opadł z powrotem na cztery nogi. Skulił ramiona i nastroszył sierść. Jego ciemne futro w czarno-brązowe pręgi zapewniało idealny kamuflaż w tym mrocznym pierwotnym lesie.

Obnażył potężne, ostre zęby.

Chłopiec wcisnął guzik paralizatora. Między jego stykami zatańczyły błękitne iskry. Sądząc po ich intensywności, urządzenie miało dużo większą moc niż standardowy model.

Megatherium zmrużył ślepią, wbijając potężne, ostre jak brzytwa pazury w miękkie poszycie lasu.

Chłopiec znów pociągnął Jennę za rękę.

Poszła za nim.

Bestia ruszyła ich śladem, poruszając się ostrożnie i zachowując dystans. Przynajmniej na razie. Jenna rozglądała się na prawo i lewo, słysząc po bokach trzaski gałęzi i szelest liści.

Podobnych bestii musiało być tam więcej.

Przyspieszywszy kroku, wycofali się na zwirowaną polanę. Na jej środku stały trzy połączone klatki, nadal zamknięte i pod napięciem. Nie mieli się gdzie schować.

Mimo wszystko chłopiec stanął plecami do podłączonych do prądu krat. Klatki zabezpieczały ich przynajmniej przed atakiem od tyłu.

A być może nie tylko one.

Megatherium dotarł na skraj polany i przystanął. Cofnął łapę, którą zdążył już postawić na żwirze, jakby bał się tego miejsca. Czyżby ten nadrzewny drapieżca czuł się niepewnie na otwartej przestrzeni? A może wiązał z tym miejscem jakieś niemiłe, bolesne wspomnienia? Najwyraźniej rozpoznawał paralizator.

Chłopiec pochylił lekko głowę, sprawdzając, czy pręty są pod napięciem.

We wszystkich trzech klatkach zapaliły się czerwone światełka.

Zmarszczył brwi; widocznie się tego nie spodziewał. Spojrzał na korony drzew. Gałęzie zwisały nisko i wspiąwszy się na klatki, łatwo było do nich sięgnąć.

– Chciałeś iść tędy? – spytała Jenna, nie mając pewności, na ile dobrze chłopiec mówi po angielsku. – Wdrapać się na drzewa?

Skinął głową, pokazując, że rozumie, ale w oczach miał strach.

Musiał się już wspinać po gałęziach, ucząc się poznawać las z bezpiecznej odległości. Nie mogły go tam dopaść duże drapieżniki, a mniejsze zwierzęta odstraszał paralizatorem.

Była to dobra strategia ucieczki, ale z pewnością nie potrzebowali klatek, by z niej skorzystać.

Jenna wskazała na pobliską płataninę pnączy zwisających z konarów.

– Możemy wspiąć się po nich.

– Nie – rzucił chłopiec.

Schylił się, podniósł kamień ze zwirowanej ścieżki i rzucił go w kierunku pnączy. W miejscu, gdzie upadł, liściasta łodyga drgnęła i wysunęła haczykowate kolce, lśniące gęstym sokiem.

– Są jadowite – powiedział chłopiec. – Ukłucie bardzo boli, a potem się umiera.

Wzdrygnęła się na myśl, jak beztrąsko wchodziła do dżungli. Teraz patrzyła, jak kolce znów się chowają. Widziała podobną roślinę w lesie deszczowym w Australii. Próbowała przypomnieć sobie, jak się nazywała, ale miała w głowie coraz większy zamęt i nie potrafiła się skupić.

Stojący na skraju polany *Megatherium* postawił znów łapę na żwirze, grzebiąc w nim pazurami. Strach powoli go opuszczał.

Chłopiec chwycił Jennę za rękę i ścisnął ją mocno.

Wokół polany pojawiało się coraz więcej tajemniczych cieni.

Jenna przyciągnęła chłopca bliżej i ustawiła za sobą, gotowa go osłaniać.

– Jak masz na imię? – spytała szeptem.

Godzina 13.48

Słyszając zaniepokojony głos, Kendall podniósł wzrok znad sterty notatek i zobaczył, że do laboratorium wchodzi żona Cuttera. Wyglądała na zrozpaczoną. Na widok męża podniosła rękę.

– *As-tu vu Jori?*

– Jori? – Cutter odwrócił się od komputera i podszedł do mówiącej do niego po francusku żony. – Sądziłem, że jest z tobą.

Ashuu pokręciła głową.

Kendall położył palec na kartce papieru, w miejscu, gdzie przerwał lekturę. Od kilku minut czytał pospiesznie notatki Cuttera, nie mając pewności, na jak długo dostał je do wglądu. Dotyczyły eksperymentów z polem magnetycznym, których celem było rozbicie łańcucha XNA, roztrząskanie jego żelaznych kręgów przy użyciu odpowiedniego impulsu. Zapisał w notesie obserwacje Cuttera: *Trzeba za pomocą statycznego pola magnetycznego wytworzyć magnetyzm o sile co najmniej 0,465 tesli.*

– Sprawdzimy kamery. – Cutter dotknął uspokajająco ramienia żony. – Znasz tego

chłopaka. Ciągłe gdzieś myszkuje. Jest w takim wieku, że wszystko chce wiedzieć. Zaczynają buzować mu hormony, próbuje się odnaleźć w tym trudnym okresie, kiedy z chłopca staje się mężczyzną.

Podszedł do Kendalla i przegonił go sprzed komputera.

– Możesz przeczytać to później.

Kendall odjechał krzesłem na bok, zabierając papiery. Wygasił monitor, gdy zobaczył, jak Jenna opuszcza klatkę i wchodzi do dżungli. Nie chciał widzieć, co się tam będzie działo. Cutter włączył obraz kamery, zainstalowanej na polanie.

Kendall zamierzał kontynuować lekturę notatek, gdy przyciągnął jego uwagę jakiś ruch na ekranie. Jenna wróciła i stała plecami do klatek – ale nie była już sama.

Trzymał ją za rękę chłopiec uzbrojony w paralizator.

Cutter przysunął się bliżej.

– Jori...

Ashuu podbiegła do monitora i spojrzawszy na ekran, krzyknęła cicho z przerażenia, chwytając się za gardło.

Jej mąż odwrócił się, złapał ją za ramiona i delikatnie, lecz stanowczo przekazał pod opiekę Matea.

– Zostań tu, *mon amour*. Ja pójdę po chłopca.

Kendall wpatrywał się nadal w ekran. Zobaczył, że polanę przesłania potężny cień. Cokolwiek to było, pozostawało na uboczu, ale wyobrażał sobie, że to ten sam potwór, którego wcześniej widział przez moment. Pamiętał jego pazury i włochate futro.

Megatherium.

Stwór z ostatniej epoki lodowcowej.

– Patrz! – zawołał, kierując znów uwagę Cuttera na ekran.

Ten podszedł bliżej, spojrzął na monitor i zaklął.

Na skraju polany pojawiły się kolejne cienie.

– Nie zdążysz tam dotrzeć – powiedział Kendall. – Ale spójrz na Jennę. Zobacz, co ona robi.

Godzina 13.49

No już...

Jenna wpatrywała się w kamerę. Była umieszczona wysoko na drzewie i skierowana na polanę. Wiedziała, że wcześniej musieli ją obserwować. Na szczęście chłopiec znał lokalizację kamery.

Wykręciła szyję w stronę obiektywu kamery i wskazała ręką na klatki, wykonując taki gest, jakby podcinała sobie gardło.

Wyłączcie ten cholerny prąd!

– Jest zielone światło! – zawołał chłopiec.

Wreszcie!

Odwróciła się do klatki. Mieli dwie opcje: ukryć się za kratami i liczyć na to, że ktoś włączy ponownie prąd... albo wspiać się na drzewa.

Wybór nie był trudny.

Obejrzała się na *Megatherium*. Potwór tkwił na granicy dżungli i polany. Przypomniała sobie, jak uniósł się na wysokość czterech metrów, pokazując półmetrowe pazury. Nie miała ochoty powierzać swego życia – ani życia chłopca – cienkim stalowym prętom, nawet gdyby były pod napięciem.

A zagrażał im nie tylko ten leniwiec.

Dostrzegła co najmniej cztery następne.

Wskazując na szczyt klatki, powiedziała:

– Wejź tam.

Jori przekazał jej swą broń elektryczną i jak mała wspiał się po prętach. Gdy dotarł na górę, podała mu paralizator. Przykucnął i osłaniał ją, sypiąc iskrami w kierunku *Megatherium*.

Jenna chwyciła za pręty, postawiła stopę na kracie – i nagle zobaczyła, jak leniwiec wyskakuje z dżungli po drugiej stronie polany i szarżuje w jej kierunku.

Uświadomiła sobie swój błąd.

To nie strach powstrzymywał stado bestii przed atakiem.

Czekały, aż prąd będzie wyłączony, a chłopiec wejdzie na klatkę, bo to dawało im pewność, że nie zostaną porażone.

– Jori! Skacz!

Otworzyła drzwiczki, zanim leniwiec uderzył w kratę. Zdążyła jeszcze wskoczyć do środka i je zatrzasnąć. Nad jej głową Jori uchwycił się gałęzi i zręcznie na niej zawisł.

Leniwiec potrząsnął tymczasem potrójną klatką, po czym cofnął się i chwycił pazurami za górną krawędź, by ją przewrócić. Gdyby wylądowała drzwiami do ziemi, Jenna zostałaby uwięziona w środku.

Jori, wisząc głową w dół, rzucił jej paralizator. Zamiast jednak spaść między pręty, broń zaczęła staczać się wprost w łapy potwora. Jenna zdołała ją pochwycić i wymierzyła w potężnego leniwca. Celowała w pachę, gdzie miał mniej sierści, i prąd z metalowych bolców przypiekl mu skórę.

Megatherium ryknął i cofnął się, opuszczając klatkę z powrotem na ziemię. Obróciwszy się, opadł na cztery łapy i zaczął lizać ranę pod pachą, a potem się oddalił.

Jenna wyskoczyła z klatki, machając paralizatorem wokół siebie.

Megatherium, który był nadal na polanie, wpatrywał się w nią, otwierając pysk. Po chwili jednak zniknął wśród drzew. Jego ślepie pały wściekłością, obiecywały, że to jeszcze nie koniec.

Dziewczyna skorzystała z chwili spokoju, by wspiąć się po drzwiczkach klatki na drzewo i dołączyć do Joriego.

– Idź za mną – powiedział chłopiec. – Bardzo ostrożnie.

Poprowadził ją po grubych konarach i cieńszych gałęziach, które chwiały się pod jej ciężarem. Gdy znaleźli się na bezpiecznej wysokości, Jori wybrał drogę prowadzącą w kierunku bramek stanowiących wejście na poziom, na którym się znajdowali. Przypuszczała, że wie, jak pokonać tę przeszkodę.

A co potem? – zastanawiała się. Będę nadal uwięziona na tej podniebnej wyspie... a wirus pozbawi mnie tymczasem świadomości.

Na razie odsunęła te troski na bok. Musiała skoncentrować się na jednym problemie. Jej umysł więcej nie ogarniał.

Jori prowadził ją trasą, którą najwyraźniej znał; wiedział, gdzie gałęzie drzew są na tyle

blisko siebie, że da się między nimi przeskoczyć, albo gdzie można się uwiesić na moście z pnączy. Przedzierali się razem przez zielony gąszcz.

– Nie! – ostrzegł ją Jori, nie pozwalając, by przeskoczyła na rosnące obok drzewo mahoniowe. Wskazał na wyrastające z pnia gniazdo. – Szerszenie.

Skinęła głową. Nie miała ochoty, by ją użądliły.

Chłopiec wybrał okrężną drogę, ale Jenna nie spuszczała oka z ulepionego z błota gniazda. Spomiędzy gałęzi wyfrunął mały wróbel i zbliżył się za bardzo do brzęczącego roju. Stado szerszeni otoczyło go i z każdym ich użądleniem lot ptaka stawał się coraz bardziej chaotyczny. W końcu wróbel, oblepiony szerszeniami, spadł na leśne poszycie.

– Są jadowite? – spytała Joriego, który zauważył jej zainteresowanie.

– Nie. – Szedł dalej po mostku z pnączy, rozkładając ręce dla utrzymania równowagi. Gdy dotarł na drugą stronę, powiedział: – Ich żądła... – Najwyraźniej brakowało mu słowa, więc potarł dłonią brzuch. – ...mają soki, które rozpuszczają pokarm.

Spojrzała na gniazdo z większą nieufnością.

Soki trawienne.

A więc muszą wytwarzać substancje podobne do jadu pajaków.

– Zjadają cię od środka – ostrzegł Jori, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego.

Przeszli w milczeniu jakieś dwadzieścia metrów. Towarzyszył im jedynie śpiew ptaków i skrzeczenie papug z górnego poziomu. Nagle Jenna usłyszała po lewej stronie delikatne kwilenie. Żałosny odgłos sprawił, że podeszła bliżej.

– Nie – ostrzegł ją ponownie Jori. – To niebezpieczne.

Chciała go posłuchać, a głos dochodził z bliskiej odległości, z sąsiedniego drzewa. Obeszła pień i rozsunała liściaste gałęzie.

Dopiero po dłuższej chwili rozpoznała źródło kwilenia. Dostrzegła niewielki ruch wśród zwisających z gałęzi pnączy. Owłosiona kończyzna, wielkości ręki dziecka, zdawała się przyzywać pomocy. Zakrzywione pazury otwierały się i zamykały, bardziej z bólu niż w świadomym geście. W pnączach uwięzione było zwierzę wielkości niedźwiadka. Nawet z miejsca, gdzie stała, widziała haczykowate kolce i strużki szkarłatnej krwi. Zwierzę poruszyło się i pnącza zacisnęły się jeszcze mocniej, wywołując kolejny jęk bólu.

Jenna poczuła na ten widok skurcz serca.

Jori chwycił ją za rękę i gałęzie, które rozchyliła, się uniosły.

– Prawo Dżungli – powiedział.

Najwyraźniej starał się być dzielny, jakby chciał jej pokazać, że opanował tę życiową lekcję, ale miał posępną minę.

Kontynuował marsz, próbując ciągnąć ją za sobą.

– Dlaczego mi pomogłeś?! – zawołała. – Dlaczego złamałeś dla mnie prawo dżungli?!

Przystanął i odwrócił się. Spojrzał na jej twarz, a potem na swoje ręce.

– Jesteś piękna. – Pokręcił głową. – Prawo Dżungli nie dla ciebie – powiedział i ruszył dalej.

Godzina 13.55

Cutter przeszedł przez wąż do krateru w towarzystwie dwóch uzbrojonych ludzi. Czekają na niego dwa wózki, które wezwał przez radio. W jednym z nich było czterech uzbrojonych mężczyzn z plemienia Macuxi. Przed drugim stała jego szwagierka.

Rahei patrzyła na niego wilkiem, jakby to on wszystkiemu zawinił. Była zimnokrwista jak wąż, ale kochała Joriego. Jedynie ten chłopiec potrafił wzbudzić w niej ciepłe uczucia, ale ta miłość potrafiła również zamienić ją w dziką lwicę broniącą swego lwiatka.

W tym momencie było to jednak Cutterowi na rękę.

Wsiedli do wózków i popędzili spiralną drogą w dół, ocierając się o bramki na kolejnych poziomach, zanim zdążyły się otworzyć na całą szerokość.

Cuttera prześladował obraz syna znikającego w niebezpiecznej mrocznej dżungli. Po co podsyciałem jego zainteresowanie dla tego życia, które stworzyłem?

Wiedział, że po części powodowała nim duma, chęć ujrzenia w dziecięcych oczach Joriego szacunku i podziwu. To było jedyne uznanie, jakiego potrzebował w zamian za ciężką pracę i ambicję. Miał jednoosobową widownię, i to mu wystarczało, zwłaszcza że był nią Jori.

W miarę jak narastało w nim napięcie i strach, oddychał z coraz większym trudem. Rahei musiała to wyczuć, bo chwyciła go za kolano, wbijając mu palce w skórę jak sztylety i dając bezgłośnie do zrozumienia, by wziął się w garść.

Dla Joriego.

Dotarli w końcu do ostatniej bramki i oba wózki się zatrzymały.

– Nie zamykajcie – powiedział Cutter, wysiadając. – Gdyby Jori był ranny, nie chcę tracić ani sekundy.

Zostawił jednego z kierowców na straży pojazdów i bramki. Sam ruszył z innymi w dół rampy i zapuścił się w głąb dżungli.

Złożywszy dłonie przy ustach, ryknął, jakby rzucał wyzwanie temu mrocznemu światu:

– Jori! Gdzie jesteś?!

Godzina 13.56

Kendall zapiął ostatni zamek skafandra ochronnego i wszedł do laboratorium Poziomu 4. Zanim Cutter wybiegł, powiedział, by zaczął się przygotowywać do umieszczenia w osłonie wirusa niszczyielskiego kodu. Co gorsza, przed zmierzchem miał otrzymać próbkę krwi *Volitoxa*.

Kendall nie protestował. Tak czy inaczej, chciał mieć znów dostęp do strefy kwarantanny. Kiedy wyjrzał przez okno, zobaczył, jak Mateo i Ashuu rozmawiają po cichu, z opuszczonymi głowami, brat i siostra pocieszający się nawzajem. Olbrzym górował nad kruchą sylwetką kobiety, która znajdowała oparcie w jego sile.

Doktor miał wyrzuty, że będzie musiał ich zabić, ale potrzebował dostępu do telefonu, by powiadomić świat o leku na plagę, która nawiedziła Kalifornię, o częstotliwości pola magnetycznego, które może rozerwać kod genetyczny stworzonego przez niego wirusa.

Zamieszanie spowodowane zniknięciem chłopca dawało mu szansę, która się nie powtórzy.

Nawet Cutter popełnił błąd, co u takiego geniusza było rzadkością.

Kendall poklepał ręką kieszeń, w której ukrył przedmiot ukradziony z blatu stołu, gdy uwaga wszystkich była rozproszona. Podeszedł do dużych zamrażarek w głębi laboratorium,

otworzył drzwiczki i przeszukał półki z fiolkami. Był wdzięczny Cutterowi, że tak rzetelnie wszystko katalogował. Znalazł szybko to, czego potrzebował. Zabrał kilkanaście fiolek i wsunął je do kieszeni.

Obejrzał się przez ramię, by się upewnić, że Mateo nadal jest zajęty.

Jeszcze tylko parę minut.

Przeszedł do jednego z pomieszczeń na tyłach laboratorium, które wykorzystywano do badań tkanek i anatomii makroskopowej tworzonych przez Cuttera organizmów. Minął aparat rentgenowski, tomograf i znalazł się w obitej miedzią sali MRI.

Obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego.

Wyczuwał całą ironię sytuacji. Magnetyzm stanowił klucz do ocalenia świata, ale mógł również doprowadzić do upadku Cuttera.

Wpatrywał się w stół, otoczony pierścieniem gigantycznych magnesów. Były wystarczająco potężne, by wyrządzić poważne szkody, gdyby obsługiwał je ktoś nieodpowiednio przeszkolony lub nieostrożny. Z powodu niewłaściwego obchodzenia się z tymi wielkimi magnesami zdarzały się przypadki uszkodzeń ciała lub nawet śmierci, ale były one niebezpieczne także z innego powodu.

Podszedł do schładzarki, umieszczonej przy ścianie koło drzwi, i unióś jej sprężynującą pokrywę. Magnesy były ochładzane ciekłym helem. W razie awarii mógł on być szybko dostarczony, by obniżyć ich moc, ale w zamkniętej przestrzeni – na przykład w hermetycznym laboratorium Poziomu 4, zwłaszcza ukrytym w samym sercu *tepui* – była to ryzykowna operacja.

W większości szpitali wyprowadzano te przewody wentylacyjne na zewnątrz, ale Kendall sprawdził już, że Cutter w swojej pysze nie pofatygował się tego zrobić.

Wyjrzał z sali rezonansu, by zobaczyć, jaka jest sytuacja w głównym laboratorium. Mateo był teraz sam, obserwował go. Wyglądało na to, że Ashuu już wyszła.

Kendall spojrział w oczy olbrzyma, po czym wcisnął guzik.

Zanurkował głową do przodu przez drzwi, prześlizgując się po podłodze na brzuchu.

Za nim nastąpiła potężna eksplozja, gdy ciekły hel osiemsetkrotnie zwiększył objętość, wypychając przed sobą tlen. W głównym laboratorium popękały szyby, sypiąc szkłem w twarz Matea. Fragment magnesu przeleciał ze świstem, uderzając w rząd butli z tlenem w sąsiednim pomieszczeniu. Iskra spowodowała ich wybuch. Ognista kula konkurowała z lodowatą białą chmurą helu buchającą przez roztrzaskane okno.

Eksplozja była silniejsza, niż oczekiwał.

Podźwignął się na kolana i stanął na nogi. Postanowił wyjść przez rozbite okno, a nie przez komorę powietrzną.

Chyba już i tak zniszczyłem system zabezpieczeń, pomyślał.

Mateo leżał na podłodze, z poparzoną twarzą i osmalonymi włosami. Kendall musiał nad nim przejść, by przedostać się do głównego budynku, w którym był telefon.

Coś chwyciło go za nogę.

Spojrzał w dół i zobaczył dłoń zaciśniętą na swojej kostce.

Mateo rzucił się na niego. Oczy lśniły mu na poczerniałej twarzy.

Kendall próbował uciec, ale olbrzym unióś stłuczony szklany pojemnik i wbił mu go w bok.

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda
30 kwietnia, godzina 17.47 czasu miejscowego

– Przed nami gniazdo nimf – oznajmił Christchurch, celując promieniem podczerwieni z karabinu akustycznego w kierunku rzeki.

Dylan Wright zarządził postój i obejrzał to miejsce przez noktowizor. Dwadzieścia metrów dalej rzekę przecinała tama, tworząc niewielkie jezioro. Przypominała zapory budowane przez bobry.

Tyle że ta zapora była z kości.

Stos przemieszanych z błotem połamanych czaszek, żeber i innych rozkładających się szczątków tworzył półkolisty wał, wznoszący się na wysokość pasa i oddzielający od rzeki płytkie jezioro, w którym wiły się i pełzały setki szarych ślimaków, jedne wielkości kciuka, inne długości ramienia. Kilka z nich wdrapywało się na drugi brzeg, przedzierając się przez mchy i algi.

Obserwował, jak jedna ze starszych nimf – bo tak eufemistycznie je nazywano – marszczy się, skacze ze skalistego brzegu, przelatuje nad jeziorkiem, nurkuje w otworze odrażającej grobli i znika w jej czeluściach.

Major się wzdrygnął.

Mieszkańcy gniazda najwyraźniej byli jeszcze poruszeni po eksplozji akustycznej sprzed minuty. Choć tunel znajdował się poza strefą rażenia, fala uderzeniowa i echo soniczne dotarły aż tutaj. Niskiej częstotliwości infradźwięki przyprawiły Wrighta o ciarki, jak zgrzyt paznokci po tablicy.

– Ustawimy LRAD dziesięć metrów dalej – rozkazał.

– Tak blisko? – zdziwił się Riley.

Zazwyczaj major nie tolerował kwestionowania jego rozkazów, ale w tym przypadku nie miał pretensji do młodszego kolegi. Szczerze nie znosił tych nikczemnych małych drapieżników. Były odrażające.

Ale potrzebował jednego.

– Ruszamy – powiedział.

Posuwali się powoli, uważając na każdy krok. Nimfy atakowały stadnie. Naruszenie ich gniazda było jak włożenie kija w mrowisko. Badacze nazywali to zjawisko, gdy całe stado wylatywało z furią w odpowiedzi na zagrożenie, wrzeniem. Był to jeden z najbardziej przerażających widoków, jakie Dylan Wright kiedykolwiek zaobserwował: wzbijający się w powietrze w promieniu kilkudziesięciu metrów rój mięsożerców.

Rozumiał więc niepokój Rileya.

Był jednak zręcznym myśliwym. Poprowadził swoich ludzi, wybierając bezpieczną drogę.

W końcu uniósł zaciśniętą dłoń i nakazał gestem, by Christchurch i Riley przeszli na jego prawą stronę i przygotowali przenośny sprzęt LRAD.

Byli doświadczonym zespołem. Christchurch uniósł wysoko dysk, pozwalając, by Riley umocował kable, a potem stanął za nim z akumulatorem.

Major wskazał na gniazdo i uniósł kciuk.

Riley pstryknął przełącznikiem. Urządzenie brzęczało przez sekundę, a potem ryknęło jak szyszymora w rui. Reakcja była natychmiastowa. Ujrzeni widok jak z najgłębszych otchłani piekła.

Setki szarych istot wypływały, wyskakiwały i wyfruwały z gniazda, po czym wpadały do rzeki. Te, które były w jeziorkach lub na brzegach, podążały za swymi pobratymcami, uciekając od hałasu, jakby zmiotane odkurzaczem do zdmuchiwania liści.

Wright policzył do trzech, po czym przesunął dłonią po gardle.

Riley wyłączył akumulator, a Christchurch opuścił dysk.

Major pospieszył w kierunku jeziora; na myśl, że ma podejść do tego gnijącego gniazda, czuł skurcz w żołądku. Rozejrzał się i na skraju sterty kości znalazł jednak to, czego szukał.

Oszołomiony atakiem ślimak wił się niemrawo.

Wright pochwyił go przez rękawicę, uważając na okrągły otwór gębowy z ostrymi jak szpilki ząbkami. Wiedząc, że ślimak ma w gruczołach gębowych żrące kwasy zdolne przeniknąć przez ludzką skórę, odwrócił go otworem w dół.

Trzymając w dłoni swą przynętę, pospieszył na brzeg rzeki. Nimfa zaczynała już otrząsać się z szoku i wystawiała umięśnione czułki, przypominające odnóża stonogi.

Gdy zaczęła wykręcać się gwałtowniej, major wyciągnął sztylet i rozciął jej brzuch.

Do rzeki spłynęła czarna krew.

Zaczekał, aż nimfa przestanie się wić, po czym ułożył jej szczątki na skraju rzeki. Pochylił się, przewiązał je przez środek linką wędkarską i cofnął się szybko o dziesięć kroków.

Zajawszy upatrzoną pozycję, dał znak swoim towarzyszom, by przeszli na jego prawą stronę, włączyli ponownie dysk akustyczny i wycelowali go w stertę kości. Nie chciał, by inne nimfy wróciły do gniazda, gdy będzie wyczekiwał na zdobycz. Stwór, którego próbował zwabić, był odporny na impulsy akustyczne.

Wright przyklęknął, zsunął z ramienia karabin szturmowy i położył go przy nogach. Do tego polowania wołał inną broń.

Wyjął z kabury pistolet Howdah. Załadował już do niego naboje kalibru .557, po jednym do każdej z dwóch luf. Choć broń miała ponad sto lat – i służyła jego przodkom do polowań na nosorożce i tygrysy – utrzymywał ją w idealnym stanie, licząc na to, że będzie sprawna jeszcze po upływie kolejnego stulecia, gdy trafi w ręce jego prawnuka.

Ale tym razem nie polował na tak łagodnego zwierza jak lew.

Jego zdobycz pojawiła się szybciej, niż oczekiwał. Jedyne ostrzeżeniem był widoczny na wodzie ślad w kształcie litery V, zbliżający się do brzegu. Potem wyłoniła się nad powierzchnią rzeki toksyczna świecąca kula, utrzymująca się w górze na umięśnionej macce. Pulsowała różnymi barwami: jaskrawym błękitem, elektryzującą zielenią i krwawą czerwienią.

Łatwo było się domyślić, jak taka śmiercionośna przynęta olśniewa i przyciąga mieszkańców tego podziemnego świata, ale major zignorował ten pokaz i odciągnął kciukiem kurek przy jednej z luf.

Kula opadła nad skalistym brzegiem i przeszukiwała go na oślep, aż natrafiła na szczątki ślimaka. Nimfy były potomstwem gatunku *Volitox ignis*, pośrednim stadium rozwojowym tego

monstrualnego drapieżnika.

Kula obróciła bezwładne szczątki. Jej dziwnie delikatny dotyk nie spalił ciała nimfy, jakby królowa potrafiła kontrolować działanie swego żrącego kwasu. Niewiele wiadomo naprawdę o stadiach rozwojowych tych stworów. Były zbyt niebezpieczne, by poddawać je badaniom. Ale naukowcy ustalili już, że ich królowe mają bardzo silny instynkt macierzyński.

Wright zamierzał to teraz wykorzystać.

Opuścił rękę, pociągnął za linkę i przesunął szczątki nimfy dalej od brzegu i jej matki. Wabił *Volitoxa*, pozwalając mu wierzyć, że jego małeństwo jeszcze żyje i próbuje pęłzać.

Świetlista kula starała się dosięgnąć uciekającej nimfy. W końcu królowa musiała wychylić się z wody, by móc ją pochwycić.

Najwyższy czas!

Wysunęła głowę na brzeg, ukazując cielsko w kształcie torpedy. Była wielkości orki, ale miała okrągły otwór gębowy, jak minóg, z ułożonymi spiralnie haczykowatymi zębami.

Major puścił linkę i wycelował broń, mierząc w odsłonięty brzuch, gdzie znajdował się wielki zwój nerwowy, prowadzący wprost do mózgu.

Jeden strzał w to miejsce powinien powalić bestię.

A gdyby chybił, miał jeszcze pocisk w drugiej lufie.

Dwa strzały zawsze mi wystarczają.

Zaczął naciskać palcem spust...

I wtedy w tunelu rozległa się kanonada.

Drgnął zaskoczony i Howdah wystrzelił. Pocisk odbił się rykoszetem od skalistego brzegu i zniknął w ciemnościach.

W głębi tunelu trwała strzelanina, której towarzyszył odległy terkot karabinu maszynowego. Co, do cholery?!

Godzina 17.52

Gray, skulony w kabinie amfibii, powalił kolejnego nieprzyjaciela strzałem w pierś, który odrzucił go do tyłu. Nie mając już nabojów, cisnął broń na bok i sięgnął po leżący na siedzeniu karabin szturmowy Heckler & Koch.

Nie ma to jak dowodzić pojazdem pełnym broni wroga!

Co nie znaczyło, że on i jego partner nie byli uzbrojeni.

Kowalski przykucnął na zewnątrz, na gąsienicy amfibii, osłonięty otwartymi pancernymi drzwiami od strony kierowcy. Oparł o nie karabin maszynowy, tworząc sobie prowizoryczne gniazdo strzeleckie.

Wokół pojazdu leżały martwe ciała.

W sumie siedem.

Dwaj pozostali żołnierze połączyli siły i ostrzeliwali amfibię, rezygnując z prób przedarcia się do tunelu, którym mogli uciec. W końcu wycofali się w głąb Koloseum, znikając pod osłoną ciemności.

Komandor strzelał jeszcze do nich na chybił trafił, ale bezskutecznie.

– Co teraz? – spytał Kowalski.

Gray spojrział w mrok jaskini.

– Strzeż fortu – odparł, nie mając pewności, czy para uciekinierów nie spróbuje odbić bazy.

– Ja będę ścigał Wrighta.

Kowalski podniósł karabin maszynowy i zeskoczył na ziemię. Wskazał bronią w kierunku większej amfibii.

– Czas się przesiąść. Jeśli chcemy dotrzeć do Tylnych Wrót, musimy przejechać przez rzekę.

Był to rozsądny wybór. Gray pamiętał, jak dowódca grupy wyrażał obawę, czy mała amfibia pokona zdradziecki nurt rzeki. Duży pojazd miał większe szanse.

– Bądź ostrożny – rzucił.

– To ty uważaj na siebie. – Kowalski spojrział w głąb tunelu wychodzącego z Koloseum. – Nie uda ci się po raz drugi zaskoczyć tych łajdaków. Zwłaszcza Wrighta.

Komandor w milczeniu przyznał mu rację, wyjmując z uszu zatyczki.

Podstęp udał się znakomicie. Gdy zlokalizował obozowisko wroga, użył wbudowanego w karabin akustyczny kierunkowego mikrofonu do podsłuchiwania rozmów. Słyszał, jak Wright rozmawia z kimś przez radio. Odbierał tylko jego głos, ale najwyraźniej przekazano mu nowe rozkazy i musiał wykonać jakieś ważne zadanie, zanim ewakuuje się ze swoimi ludźmi.

Cokolwiek to było, Gray zamierzał go powstrzymać.

Po drodze podsłuchiwał również, że nieprzyjaciel zamierza użyć LRAD przeciwko nadjeżdżającej amfibii, by pozbawić przytomności jej załogę i przejąć pojazd siłą. Wiedząc o tym, zastosowali z Kowalskim ochronne zatyczki i tłumiące dźwięk słuchawki. Ponieważ wiele tutejszych amfibii było zaopatrzonych w przenośne dyski akustyczne, tego typu sprzęt należał do ich standardowego wyposażenia.

Musieli więc po prostu udawać, że są nieprzytomni, i opaść na siedzenia, co nie było takie trudne, ponieważ nawet po włożeniu zatyczek do tłumienia hałasu atak akustyczny powodował ból. Dzięki tej sztuczce osłabili skutecznie czujność nieprzyjaciela. Gdy byli brytyjscy żołnierze – ciesząc się z domniemanego zwycięstwa – zbliżyli się wystarczająco, Gray i Kowalski całkowicie ich zaskoczyli, strzelając z obu stron amfibii.

Ale tylko tyle udało im się osiągnąć.

Wright słyszał z pewnością krótką strzelaninę – i będzie na nich czekał.

No i dobrze.

Zmierzając do tunelu, Gray spojrział w prawo, gdzie wysoko na ścianie migotała gwiazda. Jason i pozostali powinni byli już dojść do Tylnych Wrót, więc komandor spodziewał się usłyszeć ogłuszającą eksplozję bomb przeciwbunkrowych.

Ale na razie nic się nie działo.

Co zabiera im tyle czasu?

Godzina 17.53

Jason zeskoczył z ostatniego szczebla drabinki i pobiegł w kierunku widocznego w mroku światełka. Schodził po ciemku najszybciej, jak mógł; dwa razy omal nie spadł. Wiedział, że nie pora teraz na zachowywanie ostrożności.

Grzęznąć przez błoto i mchy, dotarł do profesora. Starszy pan leżał na plecach, z otwartymi szklistymi oczami. Z kącików ust płynęła mu krew, jedną rękę miał złamaną i nienaturalnie wykręconą.

O Boże...

Chłopak opadł na kolana, zanurzając się w sięgających po kostki algach. Dotknął ramienia profesora, próbując drugą ręką zamknąć mu powieki.

Tak mi przykro.

Nagle Harrington zamrugał, spoglądając na jego palce. W lewej dziurce nosa miał krwawą bańkę.

Żyje!

Jason wiedział jednak, że ten człowiek wkrótce umrze. Najwyraźniej miał złamany krąg szyjny.

– Panie profesorze...

Błede wargi poruszyły się, lecz Harrington nic nie powiedział.

Chłopak nie chciał zakłócać ostatnich chwil jego życia, ale sytuacja była zbyt poważna, potrzeba zbyt nagła. Dotknął policzka starszego pana.

– Panie profesorze, potrzebujemy kodu. Może pan mówić?

Harrington spojrział mu w oczy. Najwyraźniej się bał, ale nie o siebie. Spoglądał w kierunku odległej stacji, gdzie była jego córka.

– Rozumiem – powiedział Jason. – Proszę się nie martwić. Stella dotarła bezpiecznie na górę.

Wcale nie był tego pewien, ale kłamstwo, które przynosi ulgę, nie może być grzechem.

Dzięki jego słowom profesor nieco się uspokoił. Opadł bezwładnie na miękkie podłoże. Zapewne żył jeszcze tylko dzięki temu, że leżał na grubej, wilgotnej warstwie alg pokrywających skalną półkę.

– Kod, panie profesorze – nalegał Jason.

Jedyną odpowiedzią było lekkie skinienie głowy, które chłopak wyczuł tylko dlatego, że trzymał dłoń na policzku Harringtona. Próbował skłonić go do mówienia, ale starszy pan wpatrywał się jedynie w światło odległej stacji, gdzie, jak sądził, schroniła się jego córka.

W końcu wydał ostatnie tchnienie, umierając w pokoju i zabierając do grobu swe tajemnice.

Jason podniósł się na nogi, pokonany i pogrążony w rozpacz.

Nie mogę nic już więcej zrobić...

Roraima, Brazylia

30 kwietnia, godzina 13.58 czasu miejscowego

– Widzę przed sobą kolumnę dymu – oznajmił z kokpitu valora sierżant Suarez. – Wznosi się nad wierzchołkiem góry.

Gdy samolot zbliżył się do płaskowyżu na szczycie, Painter pochylił się do okna. Gondole silników obróciły się, spowalniając lot. Pilot skierował sprawnie maszynę nad *tepui*, przechylając ją nieco na bok, po czym valor zawisł nad ziemią. Wirniki przecinały smugę dymu wylatującego z otwartych drzwi ukrytego w jaskini domu w stylu normandzkim.

To musi być rezydencja Cuttera Elwesa.

W innym miejscu Painter dostrzegł staw i krater w samym środku karłowatego lasu. Kiedy samolot zawisł nad ziemią, w dole pojawiło się kilku ludzi, którzy strzelali na chybił trafił do intruzów.

– Abramson! Henckel! – zawołał Suarez. – Może im pokażemy, jak witają się marines?

Valor zniżył lot, tak że Painter podskoczył na siedzeniu. Z boku kabiny otworzył się właz i do jej wnętrza wdarł się ryk silników i podmuch powietrza. Dwaj kaprale mieli już zahaczone linki. Zrzucili je na dół i szybko się po nich ześlizgnęli. Strzelali po drodze, powalając kilku przeciwników i zmuszając do ucieczki pozostałych.

Chwilę później koła samolotu dotknęły ziemi.

– Dołączmy do chłopaków – powiedział Drake do Malcolma i Schmitta.

Painter podążył za wyskakującymi marines, trzymając SIG sauera.

Suarez poszedł za nimi.

– Będę bronił z moimi ludźmi szczytu. – Postukał się w ucho. – Mamy łączność. W razie potrzeby wezwijcie pomocy.

Painter spojrzął na osnuty mgłą dom. Wiedział, gdzie powinni udać się najpierw.

Nie ma dymu bez ognia.

Pobiegli truchtem w kierunku otwartych drzwi. Marines przytykali do kolb karabinów zarośnięte policzki. Painter trzymał w pogotowiu pistolet, ściskając go w obu rękach.

Z okna na górnym piętrze padł pojedynczy strzał.

Drake uskoczył szybciej, niż Painter zdążył zareagować, i strzelił. Rozległ się brzęk szkła i przeciwnik runął na kamienny dziedziniec. Przebiegli obok niego i znaleźli się w ogromnym holu.

Był pusty.

– Winda! – Painter wskazał pistoletem kabinę z kutego żelaza.

Ruszywszy naprzód, zobaczyli w sąsiedniej sypialni skuloną na podłodze atrakcyjną kobietę. Była nieuzbrojona i wyglądała na zrozpaczoną. Nie stawiała oporu. Sądząc z jej

podpuchniętych oczu i załamanej twarzy, jej rozpacz miała niewiele wspólnego z ich przybyciem.

Painter wyciągnął dwie laminowane fotografie przedstawiające Kendalla Hessa i Jennę Beck i podsunął je kobiecie przed oczy.

– Czy są tutaj ci ludzie?

Podniosła wzrok i wskazała na zdjęcie Hessa, a potem na windę.

Painter nie miał czasu na uprzejmości, skoro w ciągu niecałej godziny zamierzano zdetonować w Kalifornii ładunek jądrowy. Postawił kobietę na nogi.

– Pokaż mi.

Pokuśtykała do windy i wskazała guzik jakiegoś poziomu w podziemiach.

Puścił ją i wcisnął się do kabiny z Drakiem.

– Malcolm, Schmitt, przetrząśnijcie ten dom piętro po piętrze! Szukajcie Jenny i Cuttera Elwesa.

Skinęli głowami.

Sierzant zatrasnął drzwi kabiny, a Painter wcisnął guzik. Winda ruszyła w dół szybem z litej skały; opadała dłużej, niż oczekiwał. W końcu zobaczyli gęsty dym i kabina znalazła się w ogromnym laboratorium.

Płonął tam w kilku miejscach ogień, w powietrzu wisiała sadza, a rozbita szklana ściana najwyraźniej wcześniej dzieliła to pomieszczenie od sąsiedniego.

Za stanowiska komputera wytoczyło się dwóch walczących ze sobą mężczyzn.

Ten na dole przegrywał. Miał zakrwawiony brzuch, a przeciwnik zaciskał mu na gardle potężną dłoń, unosząc drugą, w której trzymał kawałek stłuczonego szkła. Twarz napastnika była spalona – ale Painter rozpoznał bliźnię.

Wycelował SIG sauera i strzelił dwukrotnie. Trafiony w czoło mężczyzna osunął się do tyłu na podłogę.

Painter pospieszył z pomocą rannemu, ubranemu w skafander ochronny z rozdartym kapturem. Był to Kendall Hess.

– Doktorze Hess, jestem Painter Crowe. Przylecieliśmy...

Kendall nie potrzebował więcej wyjaśnień. Może wystarczył mu widok stojącego za nim uzbrojonego po zęby komandosa. Chwycił Paintera za ramię.

– Muszę przekazać wiadomość do Kalifornii. Wiem, jak zwalczyć wirusa, który wy dostał się z mojego laboratorium.

To była pierwsza dobra wiadomość od wielu dni.

– Co z Jenną Beck? – spytał Drake.

Naukowiec spojrział na komandosa, najwyraźniej wyczuwając niepokój w jego głosie.

– Jest tutaj... ale grozi jej poważne niebezpieczeństwo.

– Gdzie jest? Co jej grozi?

Hess zerknął na zegar ścienny.

– Nawet jeśli jeszcze żyje, odejdzie za trzydzieści minut.

Drake poblądł.

– Jak to odejdzie?!

Jenna walczyła z zamroczeniem, które ją ogarniało. Musiała się zastanawiać nad każdym ruchem.

...uchwyć się pnączy...

...zahacz nogę...

...sięgnij do następnej gałęzi...

Jori oglądał się na nią, marszcząc z niepokojem czoło i nie rozumiejąc, dlaczego jest taka powolna.

– Idź! – powiedziała, dając mu znak ręką, by nie czekał. Nawet język miała odrętwiały, a wypowiedanie słów wymagało dodatkowego wysiłku.

Starła się powtarzać swoją mantrę, by nie stanąć w miejscu.

Jestem Jenna Beck, córka... córka... Pokręciła głową, próbując otrząsnąć się z odurzenia.

Mam psa.

Przypomniała sobie jego zawsze zimny czarny nos, którym ją szturchał.

Nikko...

Te sterczące uszy.

Nikko...

Jego oczy – jedno biało-niebieskie, drugie brązowe.

Nikko...

To na razie wystarczyło.

Skupiła uwagę na chłopcu, podążając za nim i naśladowując go, zamiast myśleć. Powoli się od niej oddalał. Chciała go zawołać, ale nie pamiętała jego imienia. Zamrugła i przypomniała je sobie. Obawiała się jednak, że jeśli jej zamroczenie się pogłębi, wkrótce zapomni już wszystko.

Otworzyła ponownie usta, by go zawołać, ale uprzedził ją ktoś inny, krzycząc z oddali:

– JORI!!

Godzina 14.06

Cutter krzyknął raz jeszcze, coraz bardziej ochrypłym głosem:

– Jori!

Wcześniej słyszał jakąś eksplozję i widział dziwny samolot przelatujący z hukiem nad kraterem. Potem rozgorzała strzelanina. Czuł, że świat wali się wokół niego, ale w tym momencie tylko jedno miało znaczenie.

– Jori! Gdzie jesteś?

Dotarł wraz z towarzyszącymi mu ludźmi do podnóża spiralnej rampy i ruszyli długą żwirowaną drogą przez dżunglę. Rahei prowadziła, trzymając przy ramieniu karabin wyposażony w nasadkę ogłuszającą. Obok Cuttera i za nim szło pięciu mężczyzn, wszyscy uzbrojeni po zęby. Cutter mógł również zdetonować zapasy amunicji zgromadzone pod kraterem. Był to plan awaryjny, na wypadek gdyby musiał oczyścić to miejsce, ale na razie traktował tę opcję bardziej jako akt zemsty.

Jeśli te bestie skrzywdzą mojego syna...

– Jori!

Nagle po lewej stronie drogi przeniknął las cichy krzyk:

– TATO!

– To on! Żyje!

Cuttera ogarnęła przemożna radość, której towarzyszył jednak lęk. Nie mógł pozwolić, by synowi coś się przydarzyło.

Rahei cofnęła się i wskazała w głąb dżungli, w kierunku, z którego dochodził głos chłopca. Jeśli ktoś miał szansę go odnaleźć, to właśnie ona. Była najlepszą tropicielką, jaką znał. Ruszyła w drogę, a pozostali podążyli za nią. Nie zwalniała tempa, nawet jeśli ktoś nie nadązał, i Cutter nie miał nic przeciwko temu.

– Tato!

Głos był coraz bliżej.

Po upływie minuty Rahei rzuciła się do przodu i z drzewa wpadł jej wprost w ramiona szczupły chłopiec. Zakręciła Jorim w powietrzu, po czym postawiła go na nogi i mocno uścisnęła.

Cutter przyklęknął, rozpościerając ramiona.

Jori podbiegł do niego i wpadł mu w objęcia.

– Jestem na ciebie bardzo zły, mój drogi chłopcze. – Uścisnął jednak syna jeszcze mocniej i pocałował go w czubek głowy.

Z tego samego drzewa zeszła druga osoba; zeskoczyła z wysokości dwóch metrów, ale i tak wylądowała na nogach.

Rahei była gotowa zmusić ją do uległości, ale Cutter wiedział, że Jenna nie jest winna zaistniałej sytuacji. Prawdopodobnie ocaliła Joriemu życie. Podszedł do niej i objął ją, czując, jak sztywnieje w jego ramionach.

– Dziękuję – powiedział.

Gdy ją puścił, przełknęła głośno ślinę, jakby próbowała się odezwać. Oczy miała przekrwione i rozglądała się po dżungli.

Już niemal jej nie było.

Tak mi przykro, pomyślał.

– Zabieramy ją – rzucił. Nie zasługiwała już na to, by tu umrzeć. – Pospieszmy się. Przejdziemy ukrytymi tunelami w dół do dżungli. Nie wiem, co dzieje się na górze, ale chyba jesteśmy spaleni.

Rahei znów poszła przodem, narzucając ostre tempo.

Przed nimi pojawiła się droga, ale nim zdążyli do niej dotrzeć, mężczyzna, którego Cutter miał po lewej, upadł z odchyloną do tyłu głową i rozciętą do kości szyją. Jego krew spryskała gałęzie.

Cuttera chwyciło coś od tyłu, uniosło w górę i cisnęło kilka metrów do przodu. Potoczył się przez cierniste krzewy. Dostrzegł za sobą potężne kudłate cielsko. Przewrócił się na bok, przywierając do ziemi, gdy wokół rozległy się strzały. W powietrzu fruwały strzepy paproci i kawałki kory, ale nie było już śladu napastników.

Cutter usiadł i zaczął się rozglądać.

Co się stało, do cholery?

– Jori... – odezwała się napiętym głosem Jenna. – Zabrały go.

Cutter obrócił się raptownie i zerwał się z miejsca, szukając wzrokiem chłopca.

Jego syn zniknął.

Rahei podeszła do niego z twarzą stężoną z wściekłości.

– Dokąd one poszły? – zwrócił się do Jenny.

Wskazała w kierunku najmroczniejszej części starej dżungli, tam gdzie graniczyła ze ścianami krateru.

– Do swoich jaskiń...

Osobniki z gatunku *Megatherium* mieszkały w jaskiniach. Używały swoich grubych pazurów do wykopywania nor i legowisk.

Rahei pobiegła bez słowa we wskazanym kierunku. Najwyraźniej gardziła tymi potworami. Zamierzała wziąć sprawy w swoje sprawne ręce. Nawet jeśli miałyby to oznaczać ponowne wyginięcie całego gatunku.

– Chodźmy – rzucił Cutter, gotów podążyć za nią.

Jenna stanęła przed nim, kładąc mu dłoń na piersi.

– Nie. To nie... sposób.

Kręciła głową, jakby chciała wytrząsnąć z siebie słowa.

Cutter próbował ją ominąć, ale zastąpiła mu drogę, patrząc błagalnym wzrokiem.

– One go nie zabiły – próbowała ponownie, wskazując na martwego mężczyznę. – Porwały go. Rahei... jej metody... naturalna selekcja... on zginie.

– Więc co mamy robić?

Spojrzała na Cuttera; jej twarz wyrażała szczerą i żarliwą, jakiej nie potrafiła już wyrazić w słowach.

– Musimy postąpić inaczej.

Góry Sierra Nevada

Godzina 11.14 czasu miejscowego

Lisa patrzyła przez okno kaplicy na pobliskie lądowisko. Na pasie startowym stał bezzałogowy śmigłowiec wielkości czołgu. Miał pudełkowaty kształt i cztery śmigła, po jednym w każdym narożniku. Wyglądał jak gigantyczna wersja dronów sprzedawanych w sklepach modelarskich, ale to nie była zabawka.

W jego ładowni spoczywał ładunek nuklearny, przytwierdzony grubymi pasami do metalowej palety. Pracowała przy nim nadal grupa techników. Inni stali na betonie, żywo dyskutując. Lisa wiedziała, że jednym z tych ludzi jest doktor Raymond Lindahl. Jako dyrektor amerykańskiego Dowództwa Testowania Broni miał prawo tam być, ale wolałaby widzieć na jego miejscu Paintera, mniej porywczego i nie myślącego szablonowo.

Usłyszała głos za plecami.

– Słyszała pani, że pora na ewakuację. – To była kapral Sarah Jessup. – Detonacja nastąpi za trzy kwadranse. Mamy niewiele czasu, zwłaszcza że podobno mogą ją przyspieszyć z powodu bocznych wiatrów.

– Jeszcze tylko kilka minut – odparła Lisa.

Painter nigdy mnie nie zawiódł.

W tym momencie, jakby w odpowiedzi na tę myśl, zadzwonił telefon. Ten numer znała tylko garstka ludzi. Lisa przytknęła słuchawkę do ucha. Nie sprawdzała nawet, czy to Painter.

– Przekaż mi dobre wiadomości – powiedziała.

Głos w telefonie trzeszczał, ale słuchała go z radością.

– Chodzi o magnetyzm.

Była pewna, że źle go zrozumiała.

– Magnetyzm?

Wyjaśnił, jak odnalazł Kendalla, który posiadał już antidotum na tę dziwną epidemię.

– Każde silne pole magnetyczne powinno zwalczyć wirusa, ale, jak wynika z przeprowadzonych testów, trzeba, cytuję, za pomocą statycznego pola magnetycznego wytworzyć magnetyzm o sile co najmniej czterysta sześćdziesiąt pięć tysięcznych tesli.

Zanotowała tę informację na kartce papieru.

– Efekt powinien być niemal natychmiastowy, ponieważ to pole rozrywa kod genetyczny wirusa, nie uszkadzając niczego więcej.

O mój Boże...

Wyjrzała za okno, wiedząc, że wkrótce dojdzie tam niepotrzebnie do niszycielskiej detonacji.

Painter miał dodatkowe informacje.

– Hess twierdzi, że wybuch jądrowy nie zniszczy wirusa. Rozprzestrzeni go tylko na dużą odległość.

– Muszę ich powstrzymać.

– Zrób, co możesz. Kat próbuje już skontaktować się z dowództwem, by zapobiec eksplozji, ale wiesz, jak jest w Waszyngtonie. Mamy mniej niż czterdzieści pięć minut, by poruszyć głaz, który zazwyczaj nie chce nawet drgnąć.

– Już mnie nie ma. – Przerwała połączenie, nawet się nie żegnając, i zwróciła się do Jessup:

– Musimy przetransportować Nikka. Jest naszą jedyną nadzieją.

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda
30 kwietnia, godzina 18.15 czasu miejscowego

Dylan Wright zaklął, bo oddał niecelny strzał.

Odciągnął kurek przy drugiej lufie, obserwując bacznie *Volitoxa*, którego miał przed sobą. Królowa szukała nadal szczątków swego maleństwa, wynurzając się coraz bardziej z wody i sunąc swym świecącym cielskiem po skalistym brzegu.

Strzelanina ustała równie szybko, jak się zaczęła. Puścił ją na razie w niepamięć, koncentrując się na najpilniejszym zadaniu i grożącym mu niebezpieczeństwie.

Myśliwy nie może pozwolić, by coś przeszkodziło mu w upolowaniu zdobyczy.

Nie zwracał uwagi na dochodzący z prawej strony szum przenośnego dysku akustycznego, wycelowanego nadal w pobliskie gniazdo. Ignorował hipnotyzujący blask czułek *Volitoxa*. Słumił nawet pierwotny strach, jaki budził w nim ten potwór.

Uniósł pistolet i wycelował w podstawę macki, gdzie był ukryty zwój nerwowy. Strzał w to miejsce powinien okazać się śmiertelny.

Nacisnął spust.

Pocisk dużego kalibru trafił w grubą mackę nieco z lewej strony. Nie był to idealny strzał, ale wystarczył.

Cielsko *Volitoxa* zadrgało spazmatycznie, pulsując bioluminescencyjną energią. Stworzenie odsłoniło otwór gębowy, ukazując tysiące haczykowatych zębów.

Riley, stojący po lewej, cofnął się o dwa kroki i wpadł na Christchurcha; ten upuścił dysk LRAD. Upadł on z brzękiem na kamienne podłoże, syjąc iskrami.

Choć osobniki z gatunku *Volitox* są głuche i ślepe, wykazują wyjątkową wrażliwość na pola elektryczne i prądy – wszelkiego rodzaju.

Snop iskier wywołał instynktowny atak królowej. Wysunęła błyskawicznie mackę w kierunku szyi Christchurcha. Owinęła mu ją wokół gardła i przytknęła do jego policzka płonąca galaretowatą kulę. Poparzony żołnierz krzyczał z bólu, krztusząc się kwasem, który zalewał mu płuca.

W końcu uniosła go, łamiąc mu kark, i wrzuciła do rzeki.

Riley przebiegł obok majora i uciekł w kierunku pogrążonego w ciemnościach obozowiska.

Tchórz!

Wright, ufając swojemu strzałowi, nie ruszył się z miejsca. Czekał na śmierć *Volitoxa*.

Królowa, wytracivszy już resztki energii podczas ataku, osunęła się na ziemię, uderzając potężnym łbem o skałę.

Zaczekał minutę, po czym podszedł do niej ostrożnie ze sztyletem w ręce i wyjął z plecaka metalową manierkę na wodę.

Cutter Elwes powiedział, że potrzebuje tylko krwi tego potwora.

Prosta sprawa.

Major przekłuł bok bestii, nabrał czarnej cieczy do aluminiowego pojemnika i go zakręcił.

Misja wykonana.

Teraz trzeba się stąd wynieść.

Nagle usłyszał coraz głośniejszy tupot nóg. Wychyliwszy się zza martwego cielska *Volitoxa*, zobaczył, że Riley biegnie z powrotem w jego kierunku.

Najwyraźniej młody żołnierz odzyskał w końcu odwagę.

Niestety, szybko stracił głowę.

Rozległ się głośny strzał z karabinu i połowa czaszki Riley'a zamieniła się w krwawą miazgę. Runął resztkami twarzy na skaliste podłoże.

Wright ukrył się ponownie za cielskiem *Volitoxa*. Wymacał ręką w kaburze howdaha, ale nie miał już naboji. Spojrzał w głąb jaskini, gdzie odłożył karabin szturmowy. Gdyby próbował po niego sięgnąć, spotkałby go ten sam los, co Riley'a.

Ktokolwiek się tam czaił, był wyborowym strzelcem.

Domyślał się, że to ten Amerykanin.

Jeszcze nie zginąłeś, prawda?

Może nadeszła pora, by to zmienić. Wiedział, że przeciwnik nie jest tak obeznany z walką w ciemności jak on. Postanowił to wykorzystać.

– Czas, żebyśmy pogadali, kolego! – zawołał.

Godzina 18.17

– O czym?! – krzyknął w odpowiedzi Gray.

Siedział przykucnięty za skalnym występem, jakieś trzydzieści metrów od miejsca, gdzie ukrywał się Dylan Wright. Obserwował teren przez noktowizor. Zwłoki żołnierza leżały rozciągnięte na skale pomiędzy nimi. Wcześniej słyszał krzyk innego człowieka i głośny plusk, po którym komandos, którego właśnie zastrzelił, zaczął biec w panice.

Według wyliczeń Graya, pozostał tylko jeden przeciwnik, dowódca Szwadronu X.

Trzymał karabin wycelowany w cielsko leżącego na brzegu martwego monstrum. Sądząc po zwiotczącej macce, spoczywającej wzdłuż jego boku, musiał to być jeden z tych drapieżnych węgorzy z bioluminescencyjnymi czułkami.

– Zawrzyjmy układ – odparł Wright. – Facet, dla którego pracuję, potrafi być bardzo hojny.

– Nie jestem zainteresowany.

– Więc nie mogę powiedzieć, że nie próbowałem.

Świat eksplodował nagle przed Grayem, oślepiając go. Zerwał z głowy noktowizor – w samą porę, by zobaczyć, jak Dylan Wright wyłącza latarkę i wyskakuje z ukrycia. Nagły błysk jasnego światła w ciemności, wzmocnionego przez gogle, pozostawił plamkę na jego siatkówce.

Z nowej kryjówki majora padły strzały.

Komandor cofnął się, uświadamiając sobie swój błąd. Łajdak skorzystał z ciemności, żeby sięgnąć po broń. A miał nie tylko karabin. Rozległ się cichy szum agregatu, a potem ogłuszający ryk.

LRAD.

Hałas dźgał Graya w uszy i rozsadzał mu czaszkę. Tym razem nie miał zatyczek. Poczuł zawroty głowy. Uniósł karabin i strzelał na oślep w kierunku, z którego dochodził dźwięk, ale ryk nie ustawał.

Gray czuł, jak mąci mu się wzrok.

Wiedział, że za chwilę straci przytomność.

Godzina 18.18

Wright umieścił dysk soniczny na szczycie głazu i skierował go na kryjówkę Amerykanina. Potem zarzucił na ramię karabin i odsunął się na bok, by nie znaleźć się na drodze impulsu akustycznego. Mimo wszystko poczuł na skórze falę infradźwięków, od której zjeżyły mu się włosy na ramieniu.

Uśmiechnął się na myśl, czego musi doświadczać przeciwnik.

Gotów położyć kres tej patowej sytuacji, postąpił dwa kroki w bok, wracając niemal do miejsca, gdzie ukrywał się za cielskiem *Volitoxa*. Szukał pozycji, z której mógłby łatwo namierzyć cel.

Gdy zrobił jeszcze jeden krok – coś ugryzło go głęboko w tył nogi.

Sięgnął do uda i wyszarpnął razem z kawałkiem skóry ślimaka wielkości parówki, który zazgrzytał zębami, opryskując mu dłoń żrącym kwasem. Przerażony major wrzucił go z obrzydzeniem do rzeki.

Spojrzał ponownie na gniazdo nimf. Kiedy odwrócił dysk akustyczny, budowniczy tamy z kości wracali zapewne do siebie. Na razie jednak nie dostrzegł tam żadnego ruchu, żadnych dowodów obecności drapieżnej hordy. Gniazdo wyglądało na równie puste jak przedtem.

A więc gdzie podziały się nimfy?

Ogarnięty strachem, musnął niechcący ramieniem cielsko *Volitoxa*. Poczuł, że zadrzało, jakby bestia zaczęła nagle ożywać.

Nie...

Cofnął się niepewnie, rozumiejąc nagle, co się dzieje.

To nie królowa się poruszała.

To było coś wewnątrz niej.

Jakby na dowód tego, że szczeliny skrzeli wypełzła tłusta szara larwa i upadła ciężko na brzeg.

Dławiąc się z przerażenia, Dylan odsunął się od *Volitoxa*, gdy kolejne nimfy wychodziły z jego skrzeli, z otwartej paszczy i otworów nosowych.

Po ucieczce z gniazda szukały zapewne matki, by ukryć się w jej wnętrzu i zabezpieczyć przed atakiem akustycznym. Dorosłe osobniki były odporne na takie impulsy, najwyraźniej dzięki swoim bioprądom, które z kolei chroniły w razie zagrożenia ich potomstwo. Major wiedział, że niektóre gatunki ryb i żab noszą w brzuchach swoje młode, ale nikt nie podejrzewałby o to *Volitoxa*.

Domyślał się również, co tak nimfy poruszyło.

To moja wina...

Spojrzał przez ramię na tarczę LRAD. Przypomniał sobie, jakie w gnieździe panowało poruszenie z powodu uderzenia fali akustycznej z większego dysku, gdy jego ekipa przybyła tam po raz pierwszy. Kiedy przed chwilą aktywował mniejszą tarczę, jej odbijające się echem infradźwięki musiały rozdrażnić horde, ukrywającą się w martwym ciele *Volitoxa*.

Wiedział, na co się zanosi, co szykują.

Nimfy wykonywały gwałtowne susy w jego kierunku. Dopóki nie dotarł do LRAD, uskakiwał i opędał się od nich kolbą karabinu.

Potem chwycił leżący na głazie dysk i przysunął go do piersi jak tarczę, zwracając działo akustyczne w kierunku hordy – w samą porę. Od strony rzeki, skały i martwego cielska *Volitoxa* płynęła ku niemu fala żądnych zemsty drapieźców.

Utrzymywał swoją pozycję, posługując się dyskiem akustycznym jak węzem strażackim. Nimfy wiły się i kuliły. Niektóre próbowały ukryć się ponownie w ciele matki, przewiercając się przez jej skórę. Inne nurkowały z powrotem do wody.

Odetchnął z ulgą, lecz nagle z tunelu rozległy się dwa strzały.

Pierwszy pocisk uszkodził kabel zasilający LRAD.

Drugi trafił go w prawe kolano.

Dysk przestał działać, a on upadł ciężko na ziemię. Obróciwszy się, ujrzał Amerykanina, który stał obok sterty kamieni, z dymiącym karabinem przy ramieniu.

Major zobaczył po raz pierwszy swojego przeciwnika.

Nie, nie po raz pierwszy, uświadomił sobie nagle. Ta sama twarz patrzyła na niego kiedyś z okna centrali DARPA.

– To za doktora Luciusa Raffeeego – powiedział nieznajomy.

Godzina 18.19

Wystarczy...

Wciąż oszołomiony i częściowo ogłuszony po impulsie akustycznym, Gray odwrócił się, zostawiając krwawiącego Wrighta na kamiennym brzegu, przedtem jednak przyglądał się przez chwilę, jak kilka mięsożernych ślimaków zeskakuje ze skały i wgryza się w pierś i brzuch jego wroga.

Wright stracił kilka nimf z klatki piersiowej, ale gdy próbował zdjąć jedną z nich z brzucha, miał już zakrwawione ręce i skórę spaloną kwasami. Nie zdążył chwycić jej w porę i nimfa wwierciała mu się w ciało jak robak w zgniłe jabłko.

Major krzyczał, wijąc się na skale.

Gray pospieszył tunelem w kierunku wejścia do Koloseum. Krzyki Wrighta w końcu ucichły. Kowalski czekał w kabinie większej amfibii. Komandor wspiął się na gąsienicę po stronie pasażera i wsiadł do pojazdu.

– Wszystko załatwione? – spytał Kowalski, wrzucając bieg.

– Na razie tak.

– Tutaj był spokój... z wyjątkiem jakichś krzyków w ciemności. Chyba Natura załatwiła za nas tych dwóch dezertersów.

I Wrighta także.

Gray, niepokojąc się o Jasona i pozostałych, wskazał na światła błyskające wysoko na ścianie. Nie chciał zwlekać ani chwili dłużej.

– Musimy dotrzeć do tych Tylnych Wrót.

Godzina 18.22

Jason pochylał się nad pulpitem kontrolnym podstacji. Stella stała za nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach i załzawionymi oczami. Spoglądała często za okno wychodzące na Koloseum.

Gdy chłopak wspiął się do podstacji, opowiedział jej o ojcu. Skinęła tylko głową, bo spodziewała się tej wiadomości. Od tamtej pory prawie się nie odzywała.

– Powiedz mi coś o tym kodzie. – Próbował skłonić ją do mówienia; potrzebował jej pomocy, by rozwiązać tę zagadkę. – Czy hasło musi być określonej długości? Czy rozróżniane są duże litery?

Wpatrywał się w ekran konsoli. Próbował złamać szyfr, ale ciągle napotykał skomplikowane zabezpieczenia. Były nie do pokonania. Bez programu deszyfrującego Sigmy nie miał szans.

Potrzebował tego hasła.

Stella w końcu się odezwała:

– Jeśli system jest taki sam jak inne na tej stacji, hasło może być dowolnej długości. Ale musi zawierać zarówno duże, jak i małe litery i co najmniej jedną cyfrę lub symbol.

To była typowa procedura.

– Znasz któreś ze starych haseł ojca? – spytał. Wielu ludzi używa dla wygody zawsze tego samego hasła.

– Nie. – Stella przysunęła się do niego bliżej. – Ojciec nie dał ci żadnej wskazówki?

Jason spojrzał na jej zboląłą twarz.

– Bardziej martwił się o ciebie. Umarł dopiero wtedy, kiedy był pewien, że jesteś bezpieczna.

Po policzku spłynęła jej w końcu łza. Szybko ją otarła.

– A jeśli nie chodziło wcale o mnie, o moje bezpieczeństwo?

– Co masz na myśli?

– Może hasło ma coś wspólnego ze mną? Może to właśnie ojciec chciał ci przekazać?

Jason zastanowił się nad tym. Wielu ludzi wybiera jako hasła imiona ważnych dla siebie osób. Profesor z pewnością kochał córkę.

– Spróbujmy.

Jason wystukiwał na klawiaturze słowo „Stella” w różnych wariantach, ale skoro potrzebna była także cyfra i symbol, wchodziło w rachubę zbyt wiele możliwości. To mogło być cokolwiek.

Przymknął oczy, próbując się skoncentrować.

– Opowiedz mi o swoim ojcu – poprosił. – Jakim był człowiekiem?

Poczuła się zakłopotana tym dziwnym pytaniem.

– Był... był inteligentny, uwielbiał psy, pedantycznie dbał o szczegóły. Cenił porządek, wszystko musiało być na swoim miejscu. Ale kiedy coś... lub kogoś... kochał, poświęcał się bez reszty. Nigdy nie zapominał o urodzinach ani rocznicach, zawsze wysyłał prezenty.

Te wspomnienia sprawiły, że jej zbolący głos stał się znów ciepły.

Jason potarł szczecinę na podbródku.

– Skoro twój ojciec był taki uporządkowany, nie wybrałby pewnie żadnego wymyślnego hasła. Musiało to być coś praktycznego i osobistego. – Spojrzał na Stellę. – Na przykład data twoich urodzin.

– Możliwe...

Jason pochylił się nad klawiaturą, patrząc na Stellę. Wystukał datę, którą mu podała, stosując brytyjski system zapisu.

17 Stycznia, 1993

Zawiesił palec nad klawiszem ENTER.

– To hasło zawiera duże i małe litery, a także liczby i symbol.

Stella ujęła jego dłoń, ściskając ją z nadzieją.

Jason wcisnął klawisz.

Znów pojawił się komunikat BŁĄD.

– To nie to – rzucił.

A był taki pewien. To hasło wydawało się właściwe.

Spróbował amerykańskiej wersji zapisu daty.

Styczeń 17, 1993

Kolejne niepowodzenie.

W głosie Stelli znów pojawił się ton zwątpienia.

– Może powinniśmy zrezygnować.

Jason rozważył taką możliwość. Przypomniawszy sobie zmierzającą nieuchronnie w kierunku stacji spanikowaną falę uciekinierów, którą widział w dole po tym, jak Wright użył broni akustycznej.

Ale może się mylę... może jeden strzał to za mało.

Poza tym działało soniczne na razie zamilkło.

Był to z pewnością dobry znak.

Godzina 18.23

Dylan Wright leżał w kałuży krwi, znękany bólem i niemal unieruchomiony. Czuł, jak nimfy wiją się w jego mięśniach.

Zrobiły sobie ze mnie gniazdo.

Inne żywiły się jego ciałem, czepiały się nóg, rąk i twarzy. Wpełzały pod ubranie, wgryzały się w skórę, wciskały się w każdy otwór.

Zaciskał w trzech palcach prawej ręki, które mu pozostały, niewielkie urządzenie. Gdy został sam, wyciągnął je zza pasa. Przez kilka minut był nieprzytomny, ale śmierć tak łatwo go

nie dopadnie.

Jeszcze nie teraz.

Najpierw zrobię to, co muszę.

Położył kciuk na guziku zdalnego aktywatora LRAD 4000X... i go wcisnął.

W oddali cały świat zawył, oplakując swoją agonię.

Skoro muszę umierać w taki sposób, niech piekło pochłonie także resztę Ziemi.

Godzina 18.25

Gray zakrył uszy, chroniąc się przed atakiem akustycznym, i spojrzał w kierunku, z którego przyjechali.

– Odwróć amfibie! – krzyknął.

Kowalski zatrzymał pojazd na skraju rzeki, w pobliżu wysadzonego mostu. Dotarli już niemal z powrotem do podstacji, gdy LRAD znowu wystrzelił.

Co, do cholery?!

Nawet przy tak dużej odległości eksplozja wstrząsnęła pojazdem i jego załogą.

Chwilę wcześniej komandor i Kowalski szukali na pokładzie amfibii jakiegoś sprzętu do tłumienia hałasu, ale znaleźli tylko woskowe zatyczki do uszu i szybko z nich skorzystali. Załoga obsługująca LRAD musiała zabrać działające skuteczniej słuchawki.

– Nie dojedziemy do podstacji bez lepszego zabezpieczenia – ostrzegł Kowalski. – Zanim tam dotrzemy, będą nam krwawiły oczy, a pewnie także mózgi.

Gray wiedział, że jego towarzysz ma rację. Spojrzał przez rzekę w kierunku oświetlonych Tylnych Wrót.

A więc, Jasonie, wszystko w twoich rękach. Musisz szczelnie zakorkować to miejsce.

– Co robimy? – spytał Kowalski.

Gray zastanawiał się, jakie mają możliwości.

– Przeoczyliśmy pewne urządzenie do tłumienia hałasu.

– Jakże?

Obrócił się i wyciągnął coś spod fotela.

Kowalski skinął głową, gdy zobaczył, co komandor ma w rękach.

– Powinno się nadać – przyznał.

Miejmy nadzieję, że Jason będzie równie pomysłowy, pomyślał Gray.

Godzina 18.26

Na górze w podstacji wycie LRAD wstrząsnęło szybami w ramach i wywołało wibracje podłogi. Stella i Jason stali przy oknie, wpatrując się w krąg światła przy tylnej ścianie Koloseum.

Czyżby Gray nie zdołał powstrzymać Wrighta?

Ktoś najwyraźniej uruchomił ponownie duży dysk.

– Spójrz tam – powiedziała Stella. – Po drugiej stronie rzeki stoi amfibia.

Jason zauważył już dwa snopy reflektorów.

To przyjaciele czy wrogowie?

Odpowiedź nie była tak istotna, jak uciszenie tego przeraźliwego gwizdu, który wypląsał na powierzchnię wszystkie zwierzęta, albo – co byłoby jeszcze lepszym rozwiązaniem – szczelne zamknięcie wyjścia z tunelu.

Jason wrócił do konsoli. Wpisana przez niego data urodzin Stelli widniała nadal na ekranie, opatrzona czerwonym komunikatem BŁĄD. Nie próbował niczego innego, dziwnie przekonany, że odgadł właściwie hasło.

Co przeoczyłem? – zastanawiał się.

Sprawdził szybko inne warianty, skracając „Styczeń” do „Sty” i zmieniając „17” na „17ty”. Próbował zapisać datę po łacinie i po grecku, bo ojciec Stelli znał te starożytne języki.

Nic, nic, i jeszcze raz nic.

Chłopak uderzył pięścią w konsolę.

– Czy przeoczyliśmy coś w twojej dacie urodzenia?

Stella pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Jason starał się skoncentrować, ale utrudniało mu to przytłumione wycie LRAD.

– Sądząc z twojego opisu, ojciec był pedantem, nie lubił fantazjować.

– Owszem – odparła. – Jedyne wyjątek stanowiło to miejsce. Antarktyda. Dla niego spód świata był zawsze magiczny.

Równie magiczny jak jego córka...

Nagle go olśniło.

No jasne!

Ludzie stosują często prostą sztuczkę, by oczywiste hasło wydawało się bardziej skomplikowane, a równocześnie zachowało swe znaczenie. Takie rozwiązanie musiało szczególnie bawić człowieka, którego jedyną pasją była Antarktyda, kontynent u spodu świata.

Jason wpisał nowe hasło i wcisnął klawisz ENTER.

Zielone okienko dostępu się otworzyło.

– Udało ci się! – zawołała Stella.

Jason spojrział na hasło, które zostało zaakceptowane.

3991 ,ńezcytS 71

Była to data urodzin Stelli, tyle że zapisana od końca, tak jakby ktoś odwrócił glob, by Antarktyda znalazła się u góry.

Jason kliknął na okienko, by uzyskać dostęp do detonatora. Na ekranie pojawiły się proste instrukcje. Dokładnie się do nich zastosował, aż w końcu zapaliło się ostrzegawcze czerwone światełko z napisem DETONACJA.

Odsunął się od konsoli i skinął na Stellę, by zajęła jego miejsce.

– Ty powinnaś to zrobić.

Dziewczyna przytaknęła i sięgnęła do przycisku.

Godzina 18.28

Gray stał na pokładzie amfibii, gdy świat zadrżał mu pod nogami, wstrząsając całym pojazdem. Towarzyszył temu potężny grzmot. Spojrzał w kierunku odległej stacji, a potem w górę, na Tylne Wrota.

Dobra robota, chłopcze.

Ale na wypadek, gdyby eksplozja bomb przeciwbunkrowych nie zatarasowała całkowicie wejścia do kompleksu jaskiń, komandor oparł na ramieniu swój zaimprovizowany tłumik hałasu. Była to ulubiona broń Dylana Wrighta, nic więc dziwnego, że znalazł ją w jego amfibii.

Wycelował długą lufę granatnika w widoczne w oddali stanowisko LRAD – i nacisnął spust.

Granat o napędzie raketowym wystrzelił z lufy, przeleciał przez puste niemal Koloseum i eksplodował z błyskiem ognia przy tylnej ścianie, trafiając w cel. Odgłos eksplozji szybko ucichł.

Gray przymknął oczy, delektując się tą chwilą.

Do piekła wreszcie powróciła cisza.

Roraima, Brazylia

30 kwietnia, godzina 14.29 czasu miejscowego

Jenna stała ze skrzyżowanymi ramionami pod brazylijskim drzewem mahoniowym. Zbyt długo musiała odtwarzać trasę, którą przeszła z Jorim po gałęziach. Odnalazła w końcu drogę, gdy usłyszała brzęczenie szerszeni – tych samych, które zabiły nieszczęsnego wróbla.

Cutter dotknął jej ramienia i odsunął ją na bok.

– Proszę się cofnąć.

Z korony drzewa zeskoczyło na ziemię dwóch tubylców. Jeden niósł maczetę, drugi trzymał pod pachą coś zawiniętego w koc.

– Pospieszcie się – ponagliła ich Jenna.

Koc położono na ziemi i rozwinięto. Wewnątrz był młody leniwiec, nadal boleśnie zaplątany w kolczaste pnącze.

Czy jeszcze żyje?

Jenna chciała odciągnąć pnącze, ale Cutter przytrzymał jej rękę.

– Ostrożnie – powiedział.

Wziął paralizator i przytknął go do odciętego końca pnącza, porażając ją prądem. Skurczyło się, a potem rozluźniło, chowając haczykowane ciernie w zielonej łodydze. Cutter końcówką paralizatora uwolnił leniwca ze splotów rośliny.

Gdy zwierzę było już wolne, Jenna przykucnęła przy nim i położyła mu dłoń na klatce piersiowej. Czują uderzenia jego serca. Oddychał płytko, unosząc rytmicznie zębra. Z licznych ukłuć na jego ciele sączyła się krew.

– Jori... powiedział trucizna – wydusiła Jenna. Była zamroczona i sztywniał jej język.

– Osobniki gatunku *Megatherium* są bardzo wytrzymałe. Tak je zaprojektowałem. Są wszystkożerne, a nie roślinożerne, bo dzięki temu mają większe możliwości zdobywania pokarmu. – Skinął na małego leniwca. – Są też bardziej odporne na toksyny tych pnączy. Przystosowują się do nich powoli, ponieważ mają je w swoim najbliższym otoczeniu.

Jenna schyliła się i wzięła leniwca na ręce. Był cięższy, niż się spodziewała, sądząc po jego niewielkich rozmiarach; ważył ponad dwadzieścia kilogramów. Gdy położyła go sobie na ramię, usłyszała znów jego ciche kwilenie. Przysunął nos do jej szyi i przyłgął do niej z westchnieniem.

– Jaskinie – powiedziała.

– Tędy – odparł Cutter, ruszając w drogę z pozostałymi czterema ludźmi.

Jenna podążała za nimi; świadoma niebezpieczeństw czyhających w tej dżungli, pozwalała, by szli przodem, i stąpała po ich śladach. Trzymała mocno leniwca, przekładając go z jednego ramienia na drugie.

– Chce pani, żebym go poniósł? – spytał Cutter.

– Nie.

Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, ale wiedziała, że to ona musi dźwigać ten ciężar. Stworzenia, których szukali, nie były głupimi zwierzakami. Przy klatkach pod napięciem zaczekały, aż Jori się na nie wdrapie, zanim zaatakowały. A teraz porwały chłopca, być może w nadziei, że ta niewypowiedziana groźba wypłoszy intruzów z ich terytorium. Aby Jori miał jakąkolwiek szansę, musiała szanować ich inteligencję.

Drzewa stawały się coraz wyższe, a ich korony gęściejsze. Słońce rzucało już tylko szmaragdowy blask, a rosnące na pniach grzyby wydawały się jaśniejsze. Przerzedziło się również poszycie, pozbawione docierającego z góry światła.

W końcu rozpoznali w widocznych przed nimi mrocznych cieniach urwiska z czarnej skały, ozdobione pnączami i orchideami. Powietrze przesycone było smrodem mokrej skóry i zgniłego mięsa. Zobaczyli wiele wejść do jaskiń. Niektóre były dziełem natury, inne zostały najwyraźniej wydrapane pazurami.

Cutter zwolnił kroku.

Mieszkańców jaskiń nie było nigdzie widać.

– I co teraz? – spytał.

– Powinam pójść – wymamrotała Jenna. – Sama. Zostańcie tu.

Minęła Cuttera i ruszyła dalej samotnie. Zauważyła przesuwające się w mrocznych jaskiniach cienie.

Obserwują mnie, pomyślała.

Uniosła leniwca, skrzyżowała nogi i usiadła, trzymając maleństwo na brzuchu. Zaskomlało cicho, uderzając ją zakrzywionym pazurem, ale potem się uspokoilo.

Siedziała, czekając.

W pewnym momencie zaczęła nucić kołysankę; nie pamiętała słów, tylko melodię.

W końcu pojawił się samotny leniwiec, stąpający na zakrzywionych pazurach. Sądząc po zaplamionych brodawkach na piersi, była to samica. Sapiąc cicho, uniosła łeb.

Niemowlę poruszyło się, odwracając się w kierunku tego dźwięku i odpowiadając skomleniem.

Najwyraźniej to jego matka.

Jenna położyła maleństwo bardzo powoli na ziemi i wycofała się z pochyloną pokornie głową.

Samica podeszła bliżej, podniosła swoje dziecko jedną łapą, posługując się pazurami jak delikatnymi haczykami, i przycisnęła je do piersi. Potem odwróciła się i poczłapała z powrotem do jaskini.

Dziewczyna usiadła ponownie i czekała. Od czasu do czasu unosiła podbródek, naśladując sapanie samicy. Stado widziało, jak przedzierała się z Jorim przez korony drzew. Uznają, że jest jej dzieckiem. To dlatego musiała nieść sama małego leniwca. Przesiąknąć jego zapachem. Pokazać, że jest troskliwą matką.

Po kolejnych dziesięciu minutach nie potrafiła już zebrać myśli. Na chwilę zapomniała, po co tu przyszła. Zaczęła się podnosić, gdy dostrzegła ruch. Z lewej strony wybiegła z jaskini jakaś drobna postać.

Jori rzucił jej się w ramiona z takim impetem, że przewróciła się na plecy.

– Uważaj! – powiedziała oschle.

Pomagał jej, kiedy bardzo ostrożnie wstawała.

Nagle z jaskini wypadł potężny samiec, szarżując w jej kierunku. Zasłoniła Joriego, wiedząc, że gdyby zaczęła uciekać, zginęliby oboje. Nie ruszała się z miejsca, rozpościerając ramiona, by chronić chłopca. Nie chcąc prowokować samca, odwróciła głowę.

Megatherium zatrzymał się z nosem przy jej twarzy. Jego cuchnący krwią, mięsem i dzikością oddech zdmuchnął włosy z jej wilgotnej twarzy. Wiedziała, że to ten sam osobnik, którego zobaczyła wcześniej na polanie.

Obwąchał ją od twarzy do krocza, po czym trącił nosem, jakby chciał powiedzieć: „Ja też cię znam”.

Gdy zaczął się odwracać, Jenna cofnęła się o krok.

W tym momencie ciszę lasu przeszył huk wystrzału.

Ucho samca zmieniło się w krwawą miazgę. Obrócił się z rykiem, uderzając Jennę tak mocno, że poszybowała w powietrze.

Kolejny strzał trafił go w bok, powodując gwałtowne drganie jednej z kończyn.

– Uciekaj, Jori! – krzyknęła Jenna, próbując złapać oddech po uderzeniu.

Ale chłopiec, zamiast ratować się ucieczką, ruszył jej na pomoc. Widząc to, Cutter podbiegł do nich, żeby chronić syna.

Następny pocisk trafił bestię w łeb, ale odbił się rykoszetem od grubej czaszki. Jenna zauważyła, że Rahei leży na brzuchu na skraju skalnego urwiska – musiała dopełnić tam bardzo powoli, by nie dostrzegło jej stado.

Cutter dotarł do Jenny i Joriego, chwycił chłopca za ramię i pociągnął za sobą.

Samiec zauważył ten ruch i natarł na nich.

Jenna zdążyła przewrócić chłopca na ziemię i zasłonić go swoim ciałem, a bestia zaatakowała z furią Cuttera, powalając go na plecy, rozdzierając mu pazurem kamizelkę i koszulę i rozpruwając pierś.

Ludzie Cuttera otworzyli zaciekle ogień.

Nieszczęsne stworzenie skuliło się, jakby w obronie przed silnym wiatrem. Jego cielsko, choć tak potężne, nie mogło znieść długo takiego ataku. Zadrżało, cofnęło się o krok i upadło ciężko na ziemię, przygniatając niemal Cuttera.

Jenna rzuciła się do ucieczki, ciągnąc za sobą Joriego i Cuttera.

Rahei wyskoczyła z ukrycia jak gazela, zadowolona najwyraźniej ze swego udziału w upolowaniu bestii. Wciąż jednak spoglądała czujnie w kierunku jaskiń, nie spuszczać z nich wzroku.

Z jednego z legowisk wypadł mniejszy *Megatherium*, być może towarzysz zabitego samca. Rahei wycelowała w niego i strzeliła, ale pocisk drasnął go jedynie w ramię. Bestia wyhamowała gwałtownie na błotnistym podłożu i cisnęła w kierunku dziewczyny coś zawiniętego w liść. Liść odpadł w locie, a to, co zawierał, poszybowało w powietrzu i uderzyło Rahei w twarz.

Zachwiała się, jakby trafiona pociskiem. Zobaczyła, że ma na policzku lśniąca żabkę o hebanowej skórze. Krzyknęła, rzucając karabin, i chwytając się rękami za twarz. Strąciła płaz, ale na jej skórze pozostała krwista plama w kształcie żaby. Upadła na kolana, wstrząsana drgawkami, z wygiętymi w łuk plecami i otwartymi ustami.

W końcu przewróciła się na bok, i tak pozostała – nieruchoma i martwa. Potężną łowczynię pokonała nędzna żabka.

To musiał być jeden z tych toksycznych wynalazków Cuttera.

Jakby gwałtowna śmierć stanowiła sygnał, z jaskiń wyskoczyły kolejne leniwce, zwabione krzykami, rozlewem krwi, zgonem jednego z ich pobratymców.

Jenna uciekała wraz z pozostałymi, ścigana przez ryczące bestie. Biegli przed siebie, nie próbując nawet strzelać.

Nie damy rady, pomyślała.

Nagle rozwarły się nad nimi korony drzew i ciemność rozproszyło oślepiające światło. W las uderzył silny podmuch powietrza. Wiszący w górze śmigłowiec ryczał o wiele głośniejszym głosem niż jakikolwiek *Megatherium*.

Stado przystało na chwilę, przestraszone i zmieszane, a potem wszystkie bestie wycofały się chyłkiem w głąb dżungli i zniknęły.

Ze śmigłowca zrzucano liny, po których spuścili się zwinnie komandosi w kuloodpornych kamizelkach, uzbrojeni w ciężką broń automatyczną.

Ludzie Cuttera zostali szybko pokonani i pozbawieni karabinów.

Jeden z żołnierzy podszedł do Jenny.

– Trudno panią znaleźć.

Gdy odsunął do tyłu hełm, zobaczyła znajomą twarz. Mimo zamroczenia rozpoznała go... i uśmiechnęła się. Poczowała przypływ ulgi i wewnętrznej ciepła. Ten dzielny człowiek budził w niej nowe, nieznanne dotąd emocje.

– Drake...

– Przynajmniej mnie pani pamięta. To musi być dobry znak. – Wyciągnął rękę, wbił jej w szyję strzykawkę i wcisnął tłok. – Mały prezent od doktora Hessa.

Godzina 14.39

Cutter, ułożony na noszach, wzbił się w powietrze, w jasne niebo, ponad mroczne korony drzew. Spoglądał na swoje dzieło, tarasowe ogrody, jego podniebne Galapagos. Rozmyślał przez chwilę o własnych triumfach i porażkach.

Wokół siebie miał ewolucyjny tygiel, rządzący się prostymi zasadami.

Prawem selekcji naturalnej.

Prawem Dżungli.

Ale w tym idealnym ogrodzie jego duszy zostało zasiane ziarno wątpliwości, nowych możliwości, które wskazała mu drobna kobieta, Ewa w przebraniu strażniczki lasu. Objawiła mu nowy Eden, który nie musi być taki mroczny.

Doświadczył dziś czegoś nowego.

Życie i ewolucja to nie tylko Prawo Dżungli, bo altruizm, a nawet moralność mogą być równie ważnymi czynnikami środowiska, motorem zmian, które uzdrowią świat.

Tak...

Nadeszła pora, by zacząć od początku, założyć nowy ogród.

Ale by to zrobić, stary musi zostać zniszczony i zagrabiony.

Poza tym to moje dzieło. Dlaczego mam dzielić się nim ze światem, który jest jeszcze zupełnie nieprzygotowany i zbyt krótkowzroczny, by widzieć wszystko tak wyraźnie, jak ja?

Wsunął rękę do kieszeni, widząc oczami wyobraźni amunicję zakopaną w najstarszych tunelach pod kraterem.

Wcisnął guzik, aktywując odliczanie.

Bóg stworzył niebo i ziemię w ciągu siedmiu dni.
On zniszczy swój świat w siedem minut.

Góry Sierra Nevada Godzina 11.40 czasu miejscowego

Lisa jechała z tyłu wyposażonego w kabinę campera Dodge'a Ram 2500, który pędził przez bazę marines. Trzymała rękę na osłoniętych hermetycznym namiotem noszach Nikka, by się nie poruszały. Kapral Jessup siedziała z przodu obok swojego chłopaka, Dennisa Younga, młodego kapelana o rumianej twarzy i wielkim sercu.

Na prośbę Lisy wciskał do dechy pedał gazu, tak że niemal frunęli przez opustoszałą bazę. Nie mieli czasu na takie głupstwa jak znaki stopu, czy światła na skrzyżowaniach. Spojrzała na Nikka. Obawiała się, że pies nie przeżyje następnych kilku godzin. Wykazywał objawy wycieńczenia organizmu.

Trzymaj się, Nikko.

Wjechali z impetem na parking niewielkiego wojskowego szpitala, który właśnie wzbogacił swój oddział radiologiczny o sprzęt do rezonansu magnetycznego. Edmund Dent czekał już przy wejściu. Gdy Nikko był przygotowywany do transportu, Lisa zwołała w to miejsce wszystkich potrzebnych jej ludzi.

Furgonetka wjechała w zatokę dla karet i zahamowała ostro przed Edmundem. Wirusolog pomachał do kolegów, którzy mieli odlecieć ostatnim śmigłowcem. Wyciągnęli razem Nikka z campera i popchnęli nosze w kierunku oddziału radiologii.

Edmund biegł zasapany obok Lisy.

– Rozgrzałem już skaner. Technik nastawił magnesy na... – Sprawdził, co ma zapisane na dłoni. – ...czterysta pięćdziesiąt sześć tysięcy tesli. Statycznego pola.

– A co z próbką sztucznego wirusa?

– Mam ją tutaj. – Sięgnął do kieszeni i wyjął próbkę, hermetycznie zamkniętą i owiniętą taśmą.

Nie ma to jak improwizacja.

Na oddziale radiologii zastali dwóch fizyków nuklearnych i doktora Lindahla.

– Oby nie okazało się, że tracimy tylko czas – powitał Lisę ten ostatni. – Poza tym, kiedy będzie po wszystkim, zarządę dochodzenie w sprawie pani postępowania. Porwała pani pacjenta, którego poddawano testom.

– Nikko nie jest szcurem laboratoryjnym. Jest odznaczonym medalami psem ratowniczym, który, pomagając nam, przypadkiem zachorował.

– Nieważne – odparł Lindahl. – Skończmy już z tym.

Musieli we czworo przenieść Nikka w hermetycznym namiocie z noszy na stanowisko rezonansu magnetycznego.

Technik zastukał w szkło.

– Żadnego metalu!

Lisa zaklęła pod nosem. W pośpiechu nie pomyślała o tym szczególnie. Namiot Nikka miał metalowe elementy, których nie wolno było umieszczać w urządzeniu do rezonansu

magnetycznego.

Edmund spojrział na nią.

Muszę sobie poradzić, pomyślała i wskazała na drzwi.

– Niech wszyscy wyjdą.

– Liso... – odezwał się ostrzegawczym tonem Edmund. Najwyraźniej wiedział, co zamierza. – A jeśli dane są zafałszowane? Albo po prostu niewłaściwe?

– Zaryzykuję, żeby uniknąć wybuchu nuklearnego w górach. Poza tym wygląda na to, że Kendall Hess się nie myli. – Wyprosiła go z sali gestem ręki, zabierając mu wcześniej probówkę. – Wyjdź.

Gdy została sama, podeszła do namiotu Nikka, wzięła głęboki oddech i otworzyła go.

Painter, obyś się nie mylił.

Przeniosła ostrożnie psa na blat. Był bezwładny i wydawał się o wiele lżejszy, jakby uchodziło już z niego życie. Położyła go i przytknęła mu dłoń do boku. Dobrze było móc go dotknąć gołą ręką, a nie przez rękawiczkę. Przeczesła mu palcami sierść.

Dobry pies.

Umieściła probówkę z wirusem obok Nikka i unosząc kciuk, dała znak technikowi, że jest gotowa.

Po kilku sekundach maszyna zastukotała hałaśliwie i blat, na którym leżał Nikko, wsunął się powoli w magnetyczny pierścień. Na wszelki wypadek zrobili badanie dwukrotnie.

Lisa przez cały czas chodziła nerwowo po pokoju, obgryzając paznokcie.

Przed ślubem będę musiała zrobić manikiur, pomyślała.

– Już – oznajmił przez interkom technik.

Wzięła szybko strzykawkę z plastikowego wózka na kółkach i włożywszy rękawiczki, pobrała próbkę krwi z cewnika Nikka. Wstrzyknęła ją do sterylnej probówki, zamknęła ją szczelnie, włożyła do otrzymanej od Edmunda torebki na niebezpieczne odpady, położyła przy drzwiach i cofnęła się.

Edmund, ryzykując, zabrał ją sam.

– Pospiesz się – rzuciła.

Skinął głową i pobiegł do swojego laboratorium w hangarze.

Było to najdłuższych dziesięć minut w jej życiu. Wykorzystała ten czas, by odkazić się po kontakcie z krwią Nikka, a potem usiadła przy nim na blacie i trzymała jego łeb na kolanach.

W końcu usłyszała głos przez interkom.

Brzmiał triumfalnie.

– Wirusy są martwe. Zmieniły się w genetyczną papkę. Zarówno w próbce, jak i we krwi Nikka.

Przymknęła oczy i pochyliła się nad psem.

– Widzisz, jakim jesteś dobrym pieskiem – wyszeptwała.

Po chwili wzięła się w garść, chwyciła słuchawkę telefonu i powiedziała do Edmunda:

– Co teraz robimy?

Słyszała dyskusję i podniesione głosy, zwłaszcza Raymonda Lindahla.

– Nadal mamy problem – odparł Edmund po chwili. – Możesz się domyślić, z czyjego powodu.

Odłożyła słuchawkę i spojrziała na drzwi, zastanawiając się, co zrobić.

Zanim zdążyła podjąć decyzję, drzwi otworzyły się na oścież i wpadła Sarah, celując w nią palcem.

– Słyszałam. Lepiej tam jedź. Zajmę się psem. Dennis cię zawiezie.

Lisa uśmiechnęła się, uścisnęła Sarah i wybiegła.

Dennis przejechał błyskawicznie odległość czterystu metrów, dzielącą ich od hangaru. Wskoczyła z samochodu, zanim jeszcze zdążył się zatrzymać. Gdy wpadła do hangaru, Lindahl stał plecami do drzwi, twarzą w twarz z szefem fizyków nuklearnych.

– Trzymamy się pierwotnego planu, dopóki nie dostanę innych wytycznych z Waszyngtonu – oznajmił. – Wszystkie te nowe wyniki badań są w najlepszym razie... wstępne. A, moim zdaniem, wciąż dyskusyjne.

– Ale, panie dyrektorze, mogę łatwo zmodyfikować...

– Żadnych zmian. Trzymamy się planu.

Lisa podeszła do Lindahla od tyłu i poklepała go po ramieniu. Kiedy odwrócił się, okazując zdumienie na jej widok, zamachnęła się i uderzyła go pięścią w twarz. Głowa odskoczyła mu do tyłu i osunął się ciężko na podłogę.

Skrzywiła się, potrząsając ręką, i zwróciła się do szefa fizyków:

– Co pan mówił?

– Dowiedzieliśmy się właśnie, że powinienem być w stanie obniżyć moc naszego ładunku do jednej kilotony. Jeśli bomba eksploduje na wysokości sześciu tysięcy metrów, a dron może taką osiągnąć, wytworzy impuls elektromagnetyczny o wartości co najmniej pięć dziesiątych tesli. Napromieniuje wtedy nieznacznie wystarczająco duży obszar. Poziom promieniowania będzie taki jak przy zdjęciu rentgenowskim zęba.

– Ile potrzebuje pan czasu?

– Zdążę do południa.

Lisa skinęła głową.

– Proszę to zrobić.

– A co z Waszyngtonem?

– To moje zmartwienie. Pan niech się zajmie ładunkiem.

Gdy fizyk pospiesznie wyszedł, spojrzała na swoje posiniaczone kłykcie.

Zdecydowanie będzie mi potrzebny manikiur.

Roraima, Brazylia

Godzina 14.45 czasu miejscowego

Gdy samolot V-280 Valor odlatywał znad szczytu góry, Kendall patrzył, jak *tepuí* niknie w dole. Mieli zaledwie minutę, nim eksplodują ładunki Cuttera, niszcząc efekty jego makabrycznych eksperymentów z dziedziny biologii syntetycznej i inżynierii genetycznej.

Niech je piekło pochłonie.

Skupił ponownie uwagę na kabinie samolotu. Była wypełniona ludźmi. Prywatny śmigłowiec Cuttera odleciał już wcześniej, zabierając Ashuu i Joriego, ale przedtem odbył dwa loty, by przetransportować w bezpieczne miejsce, do pobliskich lasów deszczowych, pracujących dla niego tubylców.

Kendall dzielił miejsce z tyłu kabiny z Cutterem, przypiętym pasami do noszy, przykutym jedną ręką do poręczy i podłączonym cewnikiem do kroplówki. Jego głębokie rany wymagały

nadal interwencji chirurga, ale założony na piersi gruby kompres powinien wystarczyć, dopóki za parę godzin nie dotrą do Boa Vista, by uzupełnić paliwo.

Cutter popatrzył przez najbliższe okno.

– Dziesięć sekund.

Kendall, odliczając w myślach, spoglądał w kierunku spowitej chmurami góry. Gdy doliczył do zera, szczyt eksplodował chmurą dymu i kamieni, przesłaniając słońce i zabarwiając je na czerwono. Nad roztrzaskanym wierzchołkiem zadudnił grzmot, jakby oplakując śmierć tak wielu dziwnych stworzeń. Potem płaskowyż powoli pękł, rozpadając się jak topniejący lodowiec. Woda ze stawu na szczycie spłynęła w szczelinę, odbijając krwawe słońce; wyglądała jak ognista magma.

– Piękny widok – wyszeptał Cutter.

– Stosowny koniec dla Mrocznego Edenu – dodał Kendall.

Cutter spojrzął na Jennę.

– Ale ocalił pan jego fragment – powiedział. – Dla niej.

– I może dla świata. – Kendall przypomniał sobie, jak gorączkowo szukał tych próbek, zanim zniszczył laboratorium. – To antidotum może się przydać w leczeniu innych chorób. Z pewnością będzie wymagało dalszych badań. Z pańskich doświadczeń może jeszcze wyniknąć coś dobrego.

– I nie zachował pan niczego więcej? Żadnych próbek z mojej biblioteki genetycznej?

– Nie. Lepiej, żeby przepadły na zawsze.

– Nic nie przepada na zawsze. Zwłaszcza gdy jest tutaj. – Cutter postukał palcem w głowę.

– Długo tam nie pozostanie – odparł Kendall. Ten człowiek był po prostu zbyt niebezpieczny.

Gdy wszyscy skupiali uwagę na spektaklu za oknami, Kendall wziął do ręki przedmiot, który schował dyskretnie do kieszeni w laboratorium. Cutter, obawiając się panicznie o bezpieczeństwo syna, zostawił go bezmyślnie na blacie stołu. Kendall pochylił się i przytknął mu z boku do szyi bezigłową strzykawkę, taką samą, jaką ten szaleniec zrobił zastrzyk Jennie. W nietkniętej próbówce była nadal ostatnia dawka stworzonego przez niego kodu genetycznego.

Oczy Cuttera rozszerzyły się ze strachu, gdy Kendall nacisnął na spust i sprężony gaz wstrzyknął porcję płynu w jego szyję. Drugą ręką zaaplikował do kroplówki środek usypiający.

– Kiedy się obudzisz, przyjacielu, będzie po wszystkim.

Cutter wpatrywał się w niego z przerażeniem.

– Tym razem Cutter Elwes umrze naprawdę – obiecał Kendall. – Może nie jego ciało, ale umysł.

Dolina Yosemite, Kalifornia

29 maja, godzina 23.29 czasu miejscowego

– To nie był ten twój wymarzony ślub na plaży – powiedział Painter, obracając w jednej ręce szklankę whisky, a drugą obejmując miłość swego życia.

– Było idealnie. – Lisa przyłgnęła do niego mocniej.

Oboje zdjęli już oficjalne stroje i usiedli na sofie z miękkimi poduchami przed ogromnym kamiennym kominkiem w Wielkim Salonie hotelu Ahwahnee. Przyjęcie powoli się kończyło. Goście szli do pokoi albo wracali do domów.

Wesele odbyło się o zachodzie słońca na rozległym trawniku, pięknie oświetlonym i ukwieconym. Nie zabrakło ulubionych chryzantem jego żony, z płatkami w kolorze burgunda ze złotymi obwódkami. Hotel nie wystawił nawet rachunku, dziękując w ten sposób za wszystko, co państwo młodzi zrobili, by ocalić dolinę i okolicę. Ten hojny gest był możliwy, bo turystów wciąż brakowało.

Bioterroryzm i bomby nuklearne...

Musiało jeszcze trochę potrwać, nim hotel pozbędzie się złej reputacji, ale dzięki temu mogli łatwiej zorganizować w ostatniej chwili weselne przyjęcie. Czekali, aż Josh wydobrzeje wystarczająco, by w nim uczestniczyć, chlubiąc się najnowszymi osiągnięciami DARPA w dziedzinie protetyki. Miał z Monkiem o czym porozmawiać przy kolacji. Zważywszy na okoliczności, braciszek Lisy był nadzwyczaj energiczny, nalegał nawet, by wracać w góry i stawić czoło nowym wyzwaniom.

Wybrali to miejsce również dlatego, by być w pobliżu jeziora Mono i móc monitorować prowadzone tam działania. Lisa współpracowała nadal z wirusologiem, doktorem Edmundem Dentem, i jego zespołem, a Painter skorzystał z okazji, by wyrwać się z biura i spędzić więcej czasu z Lisą. Kat radziła sobie z bieżącymi sprawami i wzięła wolne tylko na ten weekend.

Wyszła z Monkiem tuż po kolacji. Wrócili z dziewczynkami na rękach do swoich pokoi, bo wcześniej rano mieli powrotny lot. Podczas ich nieobecności Gray, który z powodów osobistych musiał być blisko domu, strzegł fortu w Waszyngtonie.

Co do innych gości, cóż...

Kowalski podkradł się do Lisy i Paintera, z marynarką przewieszoną przez ramię i rozpiętymi dwoma górnymi guzikami koszuli, i wydmuchnął dym z cygara.

– Chyba nie wolno tutaj palić – ostrzegła go Lisa.

Wyjął z ust cygaro i przyjrzał mu się.

– Daj spokój, to kubańskie. Nie mogę być już bardziej oficjalny.

Po chwili pojawiła się Jenna, prowadząc Nikka na smyczy.

– Musimy wyjść na chwilę – oznajmiła, kierując się w stronę parkingu. – A przynajmniej

Nikko.

Podobnie jak Josh, husky całkowicie wyzdrowiał i dostał nawet medal za zasługi.

Kowalski spojrział krzywo na Jennę i Nikka, kręcąc głową.

– Najpierw Kane, teraz ten pies. Niedługo Sigma będzie musiała wybudować schronisko dla zwierząt. – Wskazał cygarem na Paintera. – I nie myśl sobie, że będę po nich sprzątał.

– Umowa stoi.

Kowalski skinął głową i odszedł w chmurze dymu z cygara.

Painter westchnął i wyciągnął rękę.

– My też już pójdziemy?

– Oczywiście. – Położyła dłoń na jego ręce. – Ale nie zamierzasz iść spać?

Painter przygarnął żonę delikatnie, położył rękę na jej karku i pocałował ją. Przerwał tylko na chwilę, by powiedzieć:

– Kto by tam spał? Musimy zacząć zakładać rodzinę.

Lee Vining, Kalifornia

30 maja, godzina 6.36

Jenna jechała przez centrum miasta drogą numer 395 swoim nowym pick-upem Fordem F-150, ze świeżo naklejoną gwiazdą Służby Leśnej stanu Kalifornia. Dostała go w nagrodę po tym wszystkim, co się wydarzyło. Wnętrze auta pachniało jeszcze nowością.

Niedługo tak będzie.

Nikko dyszał jej do ucha z tylnego siedzenia. Normalnie by go zbesztła, ale tym razem wyciągnęła rękę i potarła jego pysk. Choć fizycznie był już w formie, widziała u niego drobne oznaki stresu pourazowego. Bardziej do niej lgnął i był mniej skłonny szarżować, ale powoli wychodził i z tego.

Podobnie jak ja.

Nadal pamiętała to uczucie, gdy traciła świadomość i jej myśli tonęły we mgle.

Znów przeniknął ją dreszcz. Ciągle zastanawiała się nad sobą. Jeśli zapomniała kluczy, czy była to oznaka uszkodzenia nerwów? A gdy brakowało jej słowa albo nie mogła sobie przypomnieć adresu lub numeru telefonu? Już samo to było deprymujące.

Postanowiła więc wstawać o świcie. Zawsze uwielbiała poranki nad jeziorem. Słońce lśniło w lustrzanej tafli wody mnóstwem odcieni zmieniających się o każdej porze roku. Ulice były na ogół puste. A w pełni sezonu miasto zaczynało się właśnie budzić, ziewając i rozprostowując nogi.

W spokojne poranki miała zawsze czas pomyśleć, wziąć się w garść. Ostatnio potrzebowała tego bardziej niż czegokolwiek.

Ale poranki oznaczały teraz dla niej coś jeszcze.

Wzięła do ręki nadajnik i połączyła się z centralą.

– Bill, zatrzymuję się, żeby zatankować.

– Zrozumiałem.

Zaparkowała pod żółtą tablicą restauracji Nicely's i wyskoczyła z wozu, a za nią Nikko. Gdy weszła do środka, zabręczały dzwonki nad drzwiami. Stojąca za ladą Barbara podała jej

napełniony już kubek najlepszej w mieście gorącej czarnej kawy i rzuciła Nikkowi herbatnik dla psów. Pies, nauczony latami doświadczeń, chwycił go w powietrzu.

Ale Jenna miała teraz nowy rozkład dnia.

Ktoś pozdrowił ją z boksu, nie odrywając nawet oczu od gazety.

– Dzień dobry, moja droga.

Podeszła do niego i wsunęła się z kawą za blat stołu.

– Więc jakie plany na dzisiejszy dzień? – spytała Drake’a, który przyjął stałą posadę w górskiej bazie jako instruktor marines.

– No wiesz, pewnie będę musiał znów ratować naszą planetę.

Skinęła głową, wypila łyk kawy i skrzywiła się, bo była gorąca.

– NDTSG.

Nowy dzień, to samo gównno.

Podał jej stronę z wiadomościami sportowymi. Nie odmówiła.

Nie ma to jak proste relacje.

Ziemia Królowej Maud, Antarktyda

Godzina 14.07 czasu miejscowego

– Kolego, skoro ciągle tu wracasz, może skusisz się na kartę stałego klienta?

Jason poklepał brytyjskiego lotnika po ramieniu i zapiął dokładniej kurtkę, podnosząc kaptur.

– Może będę musiał to zrobić, Barstow.

Jason wyskoczył z twin ottera na lód. Spojrzał na skupisko budynków, wyglądających w cieniu czarnych turni gór Fenriskjeften jak budowle z klocków. Podstacja Tylne Wrota przypominała ziarno, które wykiełkowało w dochodzącym z dołu ciepłe i rozrastało się w coraz większy międzynarodowy kompleks badawczy na lodowej powierzchni.

Poczynili tu spore postępy, zauważył.

Pamiętał swoją podróż sprzed miesiąca, gdy uciekał przez te tylne drzwi z Przylądka Piekła z Grayem, Kowalskim i Stellą. Tak jak obiecała Stella, znaleźli zaparkowaną na dole awaryjną amfibię i skorzystali z niej, by wrócić na wybrzeże i dołączyć do doktor Von Der Bruegge i pozostałych naukowców ze Stacji Halleya numer VI. Gdy skończyła się słoneczna burza, zdołali się połączyć ze stacją McMurdo i wezwać pomoc.

A teraz tu wróciłem.

Miał jednak po temu ważny powód. Była nim dziewczyna. Wyszła właśnie z jednego z najwyższych nowych budynków, pomalowanego – podobnie jak otter – w czerwono-czarne barwy British Antarctic Survey. Nawet na kurtce miała wypisane z przodu litery BAS.

Podeszła do niego z opuszczonym kapturem, jakby spacerowała po parku, a nie przedzierała się przez śniegi Antarktydy. O tej porze roku panowała tam wieczna noc, ale jasne gwiazdy i srebrzysta tarcza księżyca w pełni dawały mnóstwo światła, zwłaszcza gdy towarzyszył im blask zorzy polarnej.

– Jason, tak się cieszę, że cię widzę! – Stella uściśnęła go i trwało to nieco dłużej, niż się spodziewał, ale nie protestował. – Mam ci tyle do pokazania i opowiedzenia. – Chciała

poprowadzić go w kierunku stacji, ale nie ruszył się z miejsca.

– Czytałem raporty – rzucił z uśmiechem. – Masz sporo pracy. Badanie wybranych sekcji Przylądka Piekieł jako chronionych biosfer musi być niełatwym zadaniem. Obiecywałem ci zawsze fachową pomoc, więc zjawiłem się w końcu osobiście, żeby się z tego wywiązać.

Pomachał w kierunku ottera. Otworzyły się drzwi z tyłu kabiny i wyszły przez nie dwie osoby w znoszonych arktycznych kombinezonach. Kobieta założyła kaptur, odgarniając do tyłu długie kręcone włosy z kilkoma pasemkami siwizny. Pomógł jej wyższy, mocno zbudowany mężczyzna, którego wieku prawie nikt by się nie domyślił. Wyglądali na nierozłączną parę, która wiele przeszła, podobnie jak ubrania, które mieli na sobie.

Jason przedstawił ich.

– Moja matka, Ashley Carter. I ojczym, Benjamin Brust.

Stella uściśnęła im dłonie, a uśmiech zaskoczenia na twarzy dodał jej jeszcze urody.

– Miło mi państwa poznać. Wejdźcie do środka i rozgrzejcie się.

Poprowadziła ich w kierunku stacji Tylne Wrota, stanowiącej nowe wejście do znajdującego się pod nią podziemnego świata. Gdy skręciła, Ben odwrócił się i trącił Jasona w bok łokciem.

– Ładnie, stary – powiedział z wyraźnie australijskim akcentem, który był zawsze silniejszy, gdy się z nim droczył. – Teraz widzę, dlaczego chciałeś tu przyjechać i przedstawić nas osobiście. Znalazłeś sobie laskę.

Obie kobiety spojrzały na nich.

Jason pochylił głowę i lekko nią pokręcił.

Ben wszedł między Ashley i Stellę i objął je ramionami.

– Chłopak mówi mi, że odkryliście pod lodem jakieś ciekawe jaskinie.

– Zna się pan na jaskiniach? – spytała Stella.

– Trochę o nich wiem.

Ojczym Jasona był ekspertem w tej dziedzinie, z długoletnim doświadczeniem, głównie na Antarktydzie.

– Cóż, wątpię, by widział pan kiedykolwiek takie, jakie odkryliśmy tutaj – oznajmiła z dumą Stella.

– Byłaby pani zdziwiona, ile w życiu zobaczyliśmy – wtrąciła z uśmiechem matka Jasona. – Któregoś dnia musimy panią zaprosić do nas.

Ben skinął głową.

– To może być przygoda dla nas wszystkich. – Obejrzał się na Jasona. – Co ty na to? Masz ochotę na dobrą zabawę?

Jason przyspieszył kroku, by ich dogonić.

Dlaczego sądziłem, że zabranie ich tutaj to dobry pomysł?

Roanoke, stan Wirginia

Godzina 20.23 czasu miejscowego

Kendall Hess jechał wypożyczonym samochodem długą obsadzoną drzewami aleją do prywatnej kliniki psychiatrycznej. Wypielęgnowane trawniki z niewielkimi fontannami

przylegały do ogrodowych ścieżek. Budynek miał cztery skrzydła, rozpostarte jak ramiona krzyża na samym środku tego pilnie strzeżonego terenu.

Szpital nie figurował w żadnym spisie firm i niewiele osób wiedziało o istnieniu tych dwudziestu hektarów ziemi sąsiadujących z Blue Ridge Parkway pod Roanoke w stanie Wirginia. Placówka przyjmowała tylko specjalnych pacjentów, ważnych dla bezpieczeństwa narodowego. Aby zdobyć tam miejsce, Hess musiał znaleźć wtyczkę w BRAG, należącej do FBI Grupy Oceny Zagrożenia Bioterrorystycznego.

Wylegitymował się na ostatnim punkcie kontroli i zaparkował samochód. Musiał zostawić odcisk palca w recepcji, po czym jedna z pielęgniarek poprowadziła go dalej.

– W jakim on jest stanie? – spytał.

– Bez zmian. Chciałby pan porozmawiać z opiekującym się nim lekarzem?

– To nie będzie konieczne.

Pielęgniarka – spokojna i opanowana młoda kobieta w niebieskim uniformie i butach na grubych podeszwach – spojrzała na niego.

– On ma gościa.

Hess skinął głową.

To dobrze, pomyślał.

Poszli razem długim sterylnym korytarzem, pomalowanym na pastelowe kolory, które podobno uspokajały. Dotarli w końcu do otwieranych kartą magnetyczną drzwi. Prowadziły do niewielkiego pomieszczenia, sąsiadującego z pokojem pacjenta i oddzielonego od niego lustrem weneckim.

Kendall podszedł do szyby. Pokój obok zdobyła drewniana boazeria i elektryczny kominek ze sztucznymi płomieniami. Pod ścianą w głębi stał wypełniony książkami regał.

Było to smutne, ale również krzepiące, że książki nadal przynosiły Cutterowi pociechę, jakby gdzieś głęboko w uszkodzonej korze mózgowej pozostały resztki pamięci, zamięłowanie do wiedzy.

Zobaczył, że w kącie siedzi Ashuu, patrząc tępo w okno.

Kendall zadbał o to, by zaopiekowano się rodziną Cuttera. Dostali mieszkanie i niewielką zapomogę, by mogli być w pobliżu. Jori chodził do miejscowej szkoły w Roanoke i szybko się tam adaptował. Bardziej martwiła go żona Cuttera. Podejrzewał, że wróci w końcu do lasu, może gdy Jori pójdzie na studia. Chłopak był bystry, niewątpliwie wdał się w ojca.

Cutter leżał na plecach, z przywiązanymi do łóżka nadgarstkami, nie dlatego, że był agresywny, ale czasem, gdy na niego nie uważano, kaleczył się. Chodził codziennie na spacer z personelem i w otoczeniu przyrody, podobnie jak w obecności książek, był spokojniejszy, bardziej przypominał siebie z dawnych czasów.

– Przygotowują go do spania – oznajmiła pielęgniarka. – Chłopiec czyta mu niemal co wieczór.

Kendall włączył interkom, by posłuchać, jak Jori, siedząc na krześle obok łóżka, z książką na swych chudych kolanach, czyta ją na głos.

Pielęgniarka wskazała na tomik.

– Powiedział mi, że ojciec czytał mu tę książkę na dobranoc.

Kendall spojrzał na tytuł i poczuł wyrzuty sumienia.

Księga dżungli Rudyarda Kiplinga.

Głos Joriego był słodki, pełen miłości dla słów i wspomnień, które przywoływały.

*Ludy dżungli bój zaczną lub wznowią przymierza,
Bo nadszedł czas turnieju, wielka łowów chwila.
Walczyć dzielnie, o ludy, póki dzień nie wstawa,
Szanując jednak wiernie stare dżungli prawa.*

Park Takoma, stan Maryland Godzina 23.48 czasu miejscowego

Gray siedział na huśtawce na ganku, z puszką zimnego piwa przed sobą. Noc była nadal gorąca, ponad trzydzieści stopni, i bardzo wilgotna. Miał przez to kiepski nastrój – a może dlatego, że przez cały dzień odwiedzał różne domy opieki, ograniczając się do tych, w których były oddziały dla pensjonariuszy z zaburzeniami pamięci.

Seichan wsunęła palce w jego chłodną dłoń. Ten dotyk sprawił, że przestał być spięty. Uścisnął z wdzięcznością jej rękę.

Właśnie wróciła z Hongkongu. Wrzuciła bagaże do jego mieszkania i przyjechała wprost tutaj, pędząc motocyklem po ulicach. Akurat zdążyła na obiad. Ojciec Graya przepadał za nią.

Zresztą, cóż w tym dziwnego?

Wystarczyło na nią spojrzeć.

Nawet w ciemnościach była uosobieniem gracji i siły, kobietą dziką i delikatną, o drobnej figurze i twardych mięśniach. W jej oczach odbijał się każdy promień światła. Usta miała miękkie jak jedwab. Uniósł dłoń i przesunął palcem po jej podbródku, podążając za kropelką potu, która spływała po szyi.

Boże, jak bardzo za nią tęsknił.

Obniżyła głos o całą oktawę, do namiętnego szeptu.

– Powinniśmy wracać do domu.

Poczuł dreszcz, słysząc to zaproszenie.

– Jedź już – powiedział. – Upewnię się, czy nocna pielęgniarka ma wszystko, czego potrzebuje, i przyjadę.

Seichan poruszyła się i zaczęła wstawać, ale musiała coś wyczuć i usiadła z powrotem na huśtawce.

– Co się stało?

Odwrócił się, widząc migoczące świetliki w krzakach za balustradą ganku. Co roku przylatywały wcześniej, podobno z powodu zmian klimatycznych, co przypominało o potężnych siłach, które tak naprawdę rządziły światem, sprawiając, że wszystko inne wydawało się małe i nieistotne.

Westchnął, nie chcąc przyznać, że czasem jest bezsilny.

– Mogę ocalić świat nieskończenie wiele razy. Dlaczego nie potrafię uratować jego? – Wzruszył ciężko ramionami. – Nic nie jestem w stanie zrobić.

– Jesteś dupkiem, Gray – rzuciła i ujęła jego dłonie.

– Nigdy się tego nie wypierałem – odparł, dostrzegając jej delikatny uśmiech.

– Zawsze coś możesz zrobić. Już to robisz. Możesz go kochać, pamiętać za niego, żyć dla niego, opiekować się nim, walczyć o niego. Okazujesz tę miłość każdą trudną decyzją, którą podejmujesz. Oto co możesz zrobić. To nie jest nic!

Milczał.

Mógł zrobić coś jeszcze, ale do tego potrzebował chwili prywatności.

– Rozumiem, Seichan. – Odsunął jej dłonie. – Jedź do domu. Ja też niedługo przyjadę.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek, a potem w usta.

– Nie każ mi czekać.

Nigdy.

Gdy ruszyła po schodach w kierunku podjazdu, Gray wszedł do domu i skinął do siedzącej na kanapie nocnej pielęgniarki.

– Zajrzę do niego, zanim wyjdę.

– Myślę, że już śpi – odparła.

To dobrze.

Wspiął się po schodach i przeszedł korytarzem do sypialni ojca. Drzwi były uchylone, wślizgnął się więc cicho i stanął przy jego łóżku.

Wyjął z kieszeni probówkę i strzykawkę.

Kilka dni temu wypytał doktora Kendalla Hessa o antidotum na wirusa Cuttera Elwesa. Dowiedział się, że, jego zdaniem, substancja ta może pomagać w leczeniu innych neurologicznych uszkodzeń. Gray powiedział Hessowi bez ogródek, o co chodzi, i następnego dnia otrzymał antidotum.

Napełnił nim teraz strzykawkę.

Kiedyś, miał wrażenie, że przed dziesiątkami lat, stał już przed podobnym wyborem. Zaproponowano mu lek, który mógł pomóc w leczeniu choroby Alzheimera u jego ojca. Wylał go do umywalki, uważając, że musi nauczyć się akceptować to, co nieuniknione, a nie walczyć z czymś, czego nie można pokonać.

Uniósł strzykawkę, wciskając tłok, aż u wylotu igły pojawiła się kropelka.

Pieprzyć to!

Zabrzmiały mu w uszach słowa Seichan.

...walczyć o niego...

Pochylił się nad ojcem, wbił mu w ramię igłę i wcisnął tłok strzykawki. Zdążył ją schować, nim ojciec zamrugał. Gdy starszy pan się ocknął, otworzył szeroko oczy ze zdumienia, widząc nad sobą syna.

– Gray, co ty robisz?

Walczę o ciebie...

Pochylił się i pocałował ojca w czubek głowy.

– Przyszedłem powiedzieć ci „dobranoc”.

EPILOG W LEŚNEJ GŁUSZY

Stado sunie powoli przez dżungłę, wlokąc się w szeregu, o wiele mniej liczne niż na początku długiej wędrówki. Prześladowają ich wspomnienia pożaru, pękających skał i zniszczeń. Pamiętają, jak grzebały ostrymi pazurami, odkrywając starsze tunele, które wyprowadziły ich w końcu na wolność, do bezkresnego lasu. Pamiętają krew i śmierć. Zdradę i ból. A także błękitne iskry i stalowe żądło.

Ich pamięć jest trwała.

A nienawiść jeszcze trwalsza.

Nota od autora Prawda czy fikcja

Czas wydobyć skalpel i zrobić sekcję tej powieści, oddzielając prawdę od fikcji. Stoimy w obliczu kilku krytycznych zmian na świecie. Choć niewiele osób podaje w wątpliwość fakt, że nasza planeta przeżywa szóstą masową zagładę, rozwiązania, które proponujemy – jako gatunek, jako wspólnota – zmierzają w wielu różnych kierunkach. Jednym z celów tej książki jest prześledzenie, dokąd mogą nas doprowadzić. Jak daleko już doszliśmy? Sprawdźmy to.

Po pierwsze, książka przedstawia rozłam istniejący obecnie w środowisku ekologów: między konserwatystami ze starej szkoły a nową generacją obrońców środowiska, między zwolennikami ochrony przyrody i entuzjastami biologii syntetycznej, nawet między tymi, którzy chcą powstrzymać grożącą nam zagładę, i tymi, którzy chcieliby do niej doprowadzić. Cztery wymienione poniżej książki odegrały kluczową rolę w tworzeniu fabuły tej powieści i będą znakomitym źródłem informacji dla każdego, kogo interesuje poruszona w niej tematyka.

George M. Church i Ed Regis, *Regenesis: How Synthetic Biology Will Reinvent Nature and Ourselves*, Basic Books, Nowy Jork 2012.

Elizabeth Kolbert, *The Sixth Extinction: An Unnatural History*, Henry Holt Nowy Jork 2014.

Craig Childs, *Apocalyptic Planet: Field Guide to the Future of the Earth*, Vintage, Nowy Jork 2013.

Alan Weisman, *Countdown: Our Last, Best Hope for a Future on Earth?*, Back Bay Books, Nowy Jork 2014)

...

Spójrzmy jednak na kilka konkretnych zagadnień. Najpierw z dziedziny nauki.

NAUKA

Biologia syntetyczna

Gdy chodzi o tworzenie sztucznego życia, przekraczamy kolejne granice w błyskawicznym tempie, szybciej nawet, niż zdołałem napisać tę powieść. Oto krótkie kalendarium wydarzeń

dotyczących tematyki poruszonej w tej książce (choć to zaledwie wierzchołek góry lodowej):

Rok 2002: W laboratorium stworzono pierwszego sztucznego wirusa.

Rok 2010: Zespół Craiga Ventera zbudował pierwszą żywą syntetyczną komórkę.

Rok 2012: Skonstruowano z powodzeniem kod XNA (kwas xenonukleinowy).

Rok 2013: Zbudowano od podstaw w pełni funkcjonalny chromosom.

Rok 2014: Instytut Scrippsa dodał nowe litery do naszego alfabetu genetycznego.

XNA

Wiele laboratoriów wyprodukowało rozmaite łańcuchy XNA. Kod ten okazał się odporniejszy i owszem, teoretycznie może zastąpić DNA we wszystkich żywych organizmach. Uważa się również, że w przeszłości stanowił dominującą formę życia na naszej planecie. Czy zatem jej pozostałości mogą nadal istnieć, ukryte gdzieś w alternatywnej biosferze? Czas pokaże.

Ułatwiona adaptacja

Cel badań doktora Kendalla – odkrycie sposobu na lepsze przystosowanie gatunków do zmian środowiska – jest przedmiotem eksperymentów laboratoryjnych.

Nawet dzieła Cuttera Elwesa były oparte na pomysłe Alexandry Daisy Ginsberg – Projekcie Szóstej Apokalipsy. Proponuje ona wypuścić na wolność stworzone sztucznie organizmy (posunęła się nawet do tego, że opatentowała wymyślone przez siebie formy życia). Fascynujący materiał. Jej prace można zobaczyć w internecie.

Maszyny ewolucji

1. Opisana w tej powieści technika CRISPR-Cas9 naprawdę istnieje! Rewolucjonizuje już świat inżynierii genetycznej. Po krótkim przeszkoleniu może się nią posługiwać nawet nowicjusz. Zapewnia precyzję, którą można by porównać do składania tekstu encyklopedii z pojedynczych liter bez popełnienia żadnego błędu w pisowni.

2. Techniki MAGE i CAGE zostały wynalezione przez genetyków z uniwersytetów w Yale, Massachusetts i Harvardzie. Umożliwiają znaczne modyfikowanie genomu i wiąże się z nimi wielkie nadzieje na odtworzenie wymarłych gatunków.

Odtworzenie gatunków

Opisuję w tej powieści, jak laboratoria na całym świecie próbują odtworzyć wymarłe gatunki zwierząt, na przykład włochatego mamuta (z kodu DNA słonia), gołębia wędrownego (z DNA pospolitego gołębia) czy tura (z DNA bydła). Ale poza manipulowaniem genami istnieje także wiele innych metod odtwarzania gatunków, choćby klonowanie komórek somatycznych.

A Rosjanin Siergiej Zimow naprawdę buduje na Syberii Park Plejstoczeński jako rezerwat dla włochatych mamutów.

Ekstremofile

Zapotrzebowanie na nowe substancje i związki chemiczne sprawiło, że poszukiwanie niezwykłych organizmów żyjących w trudnych warunkach zmieniło się w biologiczną gorączkę złota. Naukowcy odnaleźli ślady życia w wielu miejscach, w których – jak dotąd sądzono – nie może ono istnieć: w kominach hydrotermalnych, głęboko pod lodem, na toksycznych pustkowiach. Odkryto całe ekosystemy, nazwane „alternatywnymi biosferami”.

Niezniszczalne wirusy

Wirus stworzony w powieści przez doktora Hessa ma swój odpowiednik w realnym świecie: jest to bakteria o nazwie *Deinococcus radiodurans*. Ten wytrzymały mikroorganizm potrafi przeżyć piętnaście razy silniejsze promieniowanie niż słynące z odporności karaluchy. Nie zabija go mróz, odwodnienie, ogień, najsilniejsze kwasy ani nawet kosmiczna próżnia. W *Księdze rekordów Guinnessa* uznano go za najtrwalszą formę życia. Miejmy nadzieję, że nikt nie zacznie manipulować przy jego genach.

Skaczące geny (retrotranspozony)

O dziwo, jest również prawdą, że genetycy uznają obecnie „skaczące geny” za potężny motor ewolucji. Cechy mogą być przekazywane nie tylko potomstwu, ale również między gatunkami, w procesie zwanym poziomym transferem genów. Choć trudno w to uwierzyć, udowodniono, że jedna czwarta DNA bydła pochodzi od żmii rogatej. Ostrożnie więc z hamburgerami!

Biohakerzy/biologia DIY/biopunki

Jakkolwiek nazwalibyśmy te miejsca, to garaże, piwnice i ośrodki kultury stały się laboratoriami, w których prowadzi się eksperymenty genetyczne i patentuje nowe formy życia. Wspomniałem w tej powieści o programie Kickstarter, który ma na celu stworzenie świecącego chwastu. Dzięki wprowadzeniu „biocegiełek”, genetycznych narzędzi umożliwiających bawienie się w Boga we własnym ogródku, technologia ta działa już na zasadzie „podłącz i używaj”.

Trzy główne obawy związane z biologią syntetyczną i biohakerami to bioterroryzm, wypadki w laboratoriach i celowe wypuszczanie na wolność syntetycznych organizmów. Postanowiłem więc pójść na całość i umieścić je wszystkie w jednym thrillerze.

Magnetyzm a życie mikrobów

Czy pole magnetyczne może zabijać bakterie, wirusy i grzyby? W przypadku właściwie dobranych statycznych lub oscylujących pól – TAK. Agencja do spraw Żywności i Leków przeprowadziła szczegółowe badania na ten temat, określając nawet natężenia pól niezbędne do zabicia konkretnych gatunków.

Panspermia

Istnieje teoria, że życie na Ziemi może pochodzić z nasienia dostarczonego na naszą planetę przez meteoryt. Ten, o którym wspominam w mojej książce, utworzył potężny Krater Wilkesa na Antarktydzie i, jak się uważa, spowodował tak zwane wymieranie permskie, masową zagładę gatunków, która o mały włos nie zniszczyła wszelkich form życia. Pomyślałem więc: Skoro wszystkie nisze środowiska naturalnego zostały opróżnione w wyniku zagłady, być może ten sam meteoryt dostarczył czegoś, co miało użyźnić opustoszałe pola?

Życie na Antarktydzie

Rosjanie kontynuują obecnie wiercenia w jeziorze Wostok, równie dużym jak amerykańskie Wielkie Jeziora, ale ukryte przez tysiąclecia pod grubą warstwą lodu. Jakie formy życia można tam odnaleźć? Pierwsze sygnały wskazują, że rozliczne. Ale ten wysunięty najbardziej na południe kontynent obfituje w dziwne biologiczne odkrycia.

- W 1999 roku odkryto w lodzie wirusa, na którego nie są odporni ludzie ani zwierzęta.
- W 2014 roku przywrócono do życia arktyczny mech, liczący 1500 lat. Podobnie na Syberii wskrzeszono wirusa, który był zamrożony przez 30 tysięcy lat.
- W wielu miejscach na Antarktydzie odnaleziono skamieniałe pozostałości olbrzymich lasów.

Jak dotąd jednak poruszamy się zaledwie po powierzchni. Musimy dopiero odkryć, co naprawdę znajduje się pod lodem. Powinno to być interesujące ze względu na... geologię Antarktydy.

Geologia Antarktydy

Dopiero niedawno zaczęliśmy rozumieć, jak dziwna jest geologia tego kontynentu. Pod zamrażoną skorupą kryją się ciepłe mokradła. Są tam setki podziemnych jezior, między którymi przepływają rzeki, nierzadko wielkości Tamizy. Są wodospady płynące pod górę. Są czynne wulkany z lawą spływającą pod kilometrami lodu. W 2014 roku naukowcy odkryli, że na Antarktydzie jest rów, przy którym Wielki Kanion wydaje się karłem. Kto wie, co jeszcze znajdziemy w tym dziwnym, obcym świecie?

Hakerzy mózgu

W mojej powieści Cutter Elwes odkrywa nowy sposób manipulowania ludzką inteligencją dla swoich celów. Czy jest to możliwe? Raczej przestarzałe. Hakerów komputerowych z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zastępują biohakerzy nowego tysiąclecia. Również obecnie naukowcy badają wirusy i bakterie, które wykorzystują chemiczne sygnały do kontrolowania ludzkich emocji i myśli. Ponieważ potrafimy manipulować DNA coraz taniej, szybciej i precyzyjniej, wkrótce wszystko będzie możliwe.

Biuro biotechnologii DARPA

DARPA zajmowała się już robotyką, protetyką i sztuczną inteligencją. Ale w 2014 roku powstało nowe biuro, specjalizujące się w biotechnologii, czyli „badaniu coraz bardziej dynamicznych relacji między biologią a fizyką”. Obserwujcie, co robią!

Przedstawieni w tej powieści naukowcy proponują różne rozwiązania problemu Szóstej Apokalipsy. Brałem udział w wielu dyskusjach, dużo czytałem i ślęczałem nad artykułami, w których rozważano rozmaite aspekty tego skomplikowanego zagadnienia, pomyślałem jednak, że opowiem pokrótce o genezie niektórych z tych naukowych filozofii.

NAUKOWE FILOZOFIE

Ochrona przyrody

Filozofię tę reprezentują ekolodzy, którzy chcą ocalić żyjące gatunki lub stworzyć sprzyjające warunki dla tych, które są zagrożone. Należą do tej grupy również naukowcy pragnący odtworzyć gatunki, które wyginęły. W niektórych kręgach określa się to jako „starą szkołę ekologii”.

Biologia syntetyczna

W tej dziedzinie wiedzy, słusznie czy nie, szukają dla siebie możliwości młodzi, prężni naukowcy, by korzystając z manipulacji genetycznej i tworzenia syntetycznych organizmów, rekonstruować świat. Choć z pewnością towarzyszą tym eksperymentom pewna doza pychy i określone zagrożenia, można z nimi wiązać duże nadzieje.

Nowa ekologia

Natrafiłem na fascynujący wywiad w czasopiśmie „New Scientist” z ekologiem Craigiem Thomasem, który proponuje nowe filozoficzne spojrzenie na zjawisko wymierania gatunków: potraktowanie go jako szansy. Wielka zagłada mogłaby prowadzić do powstania nowych, ekscytujących form życia, nowych dróg ewolucji, nawet stworzenia Nowego Edenu. To ciekawa alternatywna opinia na temat kwestii Szóstej Apokalipsy.

Mroczna Góra

Trudno byłoby oddać sprawiedliwość temu ruchowi w krótkim akapicie. Zachęcam więc do zajrzenia na ich stronę (<http://dark-mountain.net>), na której został zamieszczony artykuł Dougalda Hine’a i Paula Kingsnortha *Uncivilisation: The Dark Mountain Manifesto* (Antycywilizacja: manifest Mrocznej Góry). To także radykalne nowe spojrzenie na wielką Szóstą Apokalipsę.

W postaci Cuttera Elwesa starałem się pokazać człowieka, który reprezentuje trzy ostatnie

filozofie w ich prymitywnej wersji. Przeciwstawiłem go Kendallowi Hessowi, zwolennikowi pierwszych dwóch. W środowisku naukowym trwa właśnie walka między tymi filozoficznymi nurtami.

. . .

I nie byłaby to powieść o Sigmie bez odrobiny (lub dużej porcji) historii.

HISTORIA

Darwin i rejs *The Beagle*

Charles Darwin rzeczywiście odwiedził tubylców z Ziemi Ognistej w Ameryce Południowej. Byli oni doświadczonymi żeglarzami i niewykluczone, że posiadali prymitywne mapy ze swoich podróży. Prawdą jest również to, że Darwin opublikował swą słynną rozprawę dopiero dwadzieścia lat po pamiętnym rejsie. Co każe postawić historyczne pytanie: dlaczego?

Mapy, mapy i jeszcze więcej map

Na stronach tej książki znalazły się przykłady starych map przedstawiających najwyraźniej Antarktydę – ale pozbawioną lodu. Choć są to prawdziwe mapy, liczące setki lat, nadal trwają dyskusje na ich temat. Wiemy jednak, że starożytni pływali po oceanach świata o wiele dawniej, niż pierwotnie sądzono. Linia czasu, określająca żeglarskie doświadczenia ludzkości, przesuwa się coraz bardziej w głąb historii. A ponieważ spłonęła słynna Biblioteka Aleksandryjska – ogromna skarbnica starożytnej wiedzy – kto wie, jakie wielkie tajemnice pochłonęły płomienie?

Niemcy na Antarktydzie

Wszystkie szczegóły dotyczące badań nazistów na Antarktydzie i ich zainteresowania tym kontynentem są oparte na faktach. Dotyczy to również tajemniczych zeznań admirała Karla Dönitza podczas procesów norymberskich i dziwnie łagodnego wyroku, jaki otrzymał.

Amerykanie na Antarktydzie

W Operacji Skok Wzwyż, którą dowodził admirał Byrd, wzięło rzeczywiście udział ponad 5000 ludzi. Nadal jednak osnuta jest tajemnicą. Pojazd śnieżny Byrda również naprawdę istniał. Został przewieziony na Antarktydę, ale potem zaginął w mrokach historii (albo pod lodem). Prawdą jest też, że rząd amerykański testował pod arktycznym lodem bomby atomowe.

Brytyjczycy na Antarktydzie

British Antarctic Survey było obecne na tym wysuniętym na południe kontynencie dłużej

niż organizacje z któregośkolwiek innego kraju, zmieniając po drodze nazwę, co opisałem w tej książce. A Stacja Halleya numer VI jest czynną brytyjską placówką badawczą (jeśli nie zsunęła się do morza, jak na kartach mojej powieści). Wygląda rzeczywiście jak stonoga na gigantycznych nartach.

Większość „technicznych” zagadnień omówiłem już w części NAUKA, ale warto jeszcze wspomnieć dodatkowo o dwóch nowościach.

TECHNIKA

Pojazd wodno-lądowy (CAAT)

Choć istnieją na razie tylko prototypy tych pojazdów, ich mniejsze wersje są już w pełni funkcjonalne. Posłużyły mi one jako modele dla przedstawionych w tej książce małych amfibii (i musiałem się mocno hamować, by nie nazywać ich... „kociakami”).

Broń akustyczna

Urządzenia dźwiękowe dalekiego zasięgu (LRAD) używane są przez policję i wojsko na całym świecie i działają tak, jak opisałem w tej książce.

Przenośne karabiny akustyczne (DSR) zostały opatentowane przez American Technology Corporation. O ile mi wiadomo, nie są produkowane, ale funkcjonują mniej więcej tak, jak przedstawiłem to w powieści, i mogą służyć także do wzmacniania głosu albo do podsłuchu.

Jeśli więc wybieracie się do jakiejś mrocznej jaskini pod Antarktydą, może zechcecie je zakupić.

...

I jeszcze parę słów o niektórych miejscach.

MIEJSCA

Tepui

Te dziwne płaskowyże, jakby z innego świata, rozciągają się między Gujaną, Wenezuelą i Brazylią. Do wielu z nich nie dotarli nigdy ludzie i istniejące tam niezwykle odizolowane ekosystemy są dziewicze i nietknięte. Mity opisane w tej książce nie są moim wymysłem, podobnie jak tajemnicze kratery, jaskinie i tunele. Sir Artur Conan Doyle umieścił akcję swojej powieści *Zaginiony świat* na szczycie jednego z tych *tepuj*, uznałem więc, że Cutter Elwes też by się tam ukrył, z dala od wścibskich spojrzeń.

Centrum Szkolenia Oddziałów Górskich

Udało mi się odwiedzić ten ośrodek w pobliżu Bridgeport w Kalifornii i choć większość szczegółów odpowiada prawdzie, pozwoliłem sobie na pewną dowolność w mniej istotnych kwestiach (wybaczcie, chłopaki, macie u mnie żeberka z grilla z Bodie Mike's). Baza ma rzeczywiście, używane do szkoleń, lądowisko dla samolotów pionowego startu i korzysta z maszyn typu Osprey. A opisany w tej książce Syn Ospreya, Bell V-280 Valor, jest obecnie w stadium projektowania.

Jezioro Mono i wymarłe miasta

Odwiedziłem także kilka razy jezioro Mono i mam nadzieję, że oddałem sprawiedliwość temu miejscu i zamieszkałym tam ludziom. Jeśli będziecie kiedykolwiek w tamtych stronach, zajrzyjcie do okolicznych wymarłych miasteczek. Uważajcie tylko na śmigłowce pełne komandosów.

Końcowy przypisek historyczny

Mam nadzieję, że podobała Wam się ta książka. To dziesiąta powieść z serii Sigmę Force, wydana w dziesiątą rocznicę opublikowania pierwszej, *Burza piaskowa* (2004). Postanowiłem skorzystać z tego okrągłego jubileuszu, by zażartować trochę z przeszłości. Na przykład powracając do postaci Ashley Carter i Bena Brusty, zapalonych badaczy Antarktydy, którzy wraz z Jasonem mieli poważne kłopoty w mojej debiutanckiej powieści *Podziemny labirynt*. W ten nowej książce chciałem także zapowiedzieć, co nas czeka, sygnalizując na jej stronicach wielkie zmiany – ponieważ największe i najbardziej śmiałe przygody jednostki Sigma są wciąż przed nami.

Mam więc nadzieję znów się z Wami spotkać!

Jim Rollins

PS Zabierzcie krem z filtrem (i zapas amunicji).

¹ Rozwój i rewolucyjne zmiany bez szkodzenia naturze.

² Przekład: Franciszek Mirandola.